

Kir Bułyczow

Utwory wybrane 1

Wielki Guslar i okolice

Przełożyli Tadeusz Gosk i Anita Tyszkowska
Tytuły oryginałów

z: Czudresa w Guslarie:

Wielikij Guslar, Nado pomocz, Postupili w prodażu zolotyje rybki, Swiazi licznego charaktiera, Dwie kapli na stakan wina, Ctwietnoje czuwstwo

oraz

Parowóz dla caria, Gradusnik czuwstw. Po primieru Bombarda, Lubimyj uczenik fakira, Rietrogienietika, Upriamyj Marsij Czornaja ikra. Dwa mietoda tielieportacji. Dary danajcew, Jest' swobodnyje miasta, Witiazi na pieriekriostkie

OD AUTORA

Stało by się lepiej gdyby ten wstęp napisał ktoś inny. Byłby on wtedy bardziej obiektywny. Pisanie o sobie źle — to kokieteria (nazywana niekiedy samokrytyką). Pisanie z zachwytem uważane jest za nieprzyzwoite. Jednak Wydawnictwo, nie wiedząc czemu, zdecydowało, że wiem o sobie więcej niż inni. Nie podzielając tej błędnej opinii, zmuszony jestem się podporządkować i odpowiedzieć moim drogim Czytelnikom na pytania, które być może zadaliby mi podczas naszego bezpośredniego spotkania. Na szczęście mogę te pytania przewidzieć, ponieważ zadawane są podczas moich (w miarę możliwości rzadkich) wystąpień przed czytelnikami.

A więc pytanie pierwsze: Czy prawdą jest, że Kir Bułyczow to pański pseudonim? Jeśli tak, to jak brzmi pańskie prawdziwe nazwisko? Przed kim i dlaczego je pan ukrywa?

Odpowiedź: Naprawdę nazywam się Igor Możejko. Moi przodkowie byli Litwinami. Urodziłem się w Moskwie w 1934 roku i mieszkam tam do dzisiaj. Pracuję w Instytucie Orientalistyki, zajmuję się historią i kulturą Azji Południowo-Wschodniej. Obroniłem pracę doktorską na temat historii buddyzmu w Birmie. Oprócz rozpraw naukowych opublikowałem pod prawdziwym nazwiskiem kilka książek popularnonaukowych. Niektóre z nich zostały wydane w Polsce.

Powstanie pseudonimu wyjaśnia specyfika mojej pracy. Kiedy napisałem pierwsze opowiadanie, a było to 20 lat temu, pomyślałem: co się stanie, jeśli w Instytucie dowiedzą się, że ja, poważny uczony, zajmuję się czymś tak błahym jak fantastyka naukowa? Bałem się narazić na szwank moją reputację. Ponieważ nie miałem czasu na wymyślenie bardziej eleganckiego, romantycznego pseudonimu, wziąłem więc po prostu panińskie nazwisko Matki — Bułyczowa, imię żony — Kira i tak powstał Kir Bułyczow. Gdybym się tak nie śpieszył, to znalazłbyście mnie pod bardziej dźwięcznym imieniem, na przykład Meteorow lub Etoile Gwiazdny. Ale cóż!

Pytanie drugie: Dlaczego uprawia pan fantastykę naukową i jak rozumie pan ten termin?

Odpowiedź: Fantastykę uważam za najbardziej nowoczesny rodzaj literatury, zdolny do szybkiego reagowania na wszystkie niepokojące nas dzisiaj sprawy. Przy zastosowaniu tak potężnego środka, jakim jest hiperbola, fantastyka staje się dla mnie sposobem ostrego i paradoksalnego przedstawienia zwykłego człowieka i stojących przed nim, i nami wszystkimi, problemów. W moim przekonaniu jest ona najbardziej interesująca wtedy, gdy czytelnik może postawić się na miejscu bohatera i wspólnie z nim wszystko przeżyć.

Czasami żąda się od fantastów prognoz futurologicznych czy wręcz umiejętności dokonywania odkryć naukowych. Kategorycznie się z tym nie zgadzam. Nauka w dzisiejszych czasach jest na tyle skomplikowana i wyspecjalizowana, że niekiedy uczeni nie mogą w pełni zrozumieć nad czym pracuje się w sąsiednim laboratorium. Pisarz nie ma prawa pretendować do poznania niuansów nauki i rozumienia procesu jej ewolucji. Jego zadaniem jest pisanie o współczesnych mu ludziach, o ich charakterach. Nie pisze on o przyszłości, lecz o człowieku stojącym w obliczu przyszłości zagadkowej, trudnej i niepokojącej.

Pytanie trzecie: Jak pan pracuje? Czy zajęcia naukowe nie przeszkadzają panu w działalności literackiej? A może pomagają?

Odpowiedź: Nauka i literatura funkcjonują w moim życiu niezależnie i bardzo rzadko się łączą. Co prawda w niektórych moich opowiadaniach można odnaleźć ślady zainteresowania kulturą Wschodu, ale należą one raczej do wyjątków. Nauka wymaga dokładności i wiarygodności, fantastyka natomiast nie może obejść się bez fikcji. Ale i jedna, i druga zmusza

do myślenia. Ja zajmuję się na przemian literaturą i nauką. Prawdopodobnie byłbym lepszym uczonym, gdybym porzucił literaturę i lepszym pisarzem, gdybym porzucił naukę. Ale mówiąc szczerze interesują mnie oba rodzaje działalności i z żadnego z nich nie zamierzam zrezygnować, tym bardziej, że w pracy wiele osób odkryło już moją tajemnicę i pogodziło się z jej nieco mniej poważnym charakterem.

Pytanie czwarte: Nad czym pracuje pan obecnie i jakie ma pan plany na przyszłość?

Odpowiedź: Na to pytanie mogę odpowiedzieć tylko bardzo ogólnikowo, ponieważ nie wiem, czy Czytelnik otworzy tę książkę w roku 1987, czy w dziesięć lat później. Piszę i mam nadzieję, że nadal będę pisał powieści i opowiadania fantastyczne, zarówno dla dzieci, jak i dla dorosłych. U siebie w kraju jestem bardziej znany właśnie jako pisarz dla dzieci. I myślę, że to dobrze, bo z pomocą fantastyki mogę w miarę swoich możliwości przygotowywać do życia w XXI wieku tych jego budowniczych i twórców, którzy dziś dopiero rozpoczynają naukę, a w przyszłości zostaną spadkobiercami świata. A świat ten, lepiej lub gorzej, został stworzony przez nas i takim zostawimy go przyszłym pokoleniom.

Jestem autorem kilku scenariuszy i myślę, że będę kontynuował pracę w filmie. Nie mogę powiedzieć, że jestem zadowolony z dotychczasowych rezultatów, ale odejść z filmu, jeśli połknęło się już bakcyła, jest bardzo trudno.

I pytanie ostatnie: Czy wierzy pan w UFO, parapsychologię, telepatię, telekinezę i temu podobne zjawiska?

Odpowiedź: Nie wiadomo dlaczego od pisarzy–fantastów wymaga się szczególnego stosunku do tych spraw. Panuje przekonanie, że skoro pisze się o kosmitach, to znaczy, że wie się o nich coś, co jest niedostępne dla zwykłych śmiertelników. A przecież wcale tak nie jest. Osobiście nie miałem okazji spotkać przybyszów, UFO, telepatów itp. Nie widziałem również czarownic ani duchów. Według mnie ich istnienie uwarunkowane jest po pierwsze naszym pociąganiem do tajemniczości, a po drugie — działalnością ludzi interesu, którzy potrafią wykorzystać nasze słabości do swoich własnych celów.

Nie wiem też czy istnieją w kosmosie nasi rozumni bracia i czy możliwe jest przekazywanie myśli na odległość. Nauka odnosi się do tego z powątpiewaniem. Ja też wolę być ostrożny. Na dodatek nie jestem pewien, czy, jeżeli jutro w Warszawie, czy pod Kijowem wyląduje statek kosmiczny i wyjdą z niego małe zielone ludziki, skończy się to dobrze. Poza tym myślę, że bez przybyszów czy telepatów i tak mamy dość własnych problemów. Niech więc pozostaną oni tylko w literaturze.

Warszawa, grudzień 1986

Wasz KIR BUŁYCZOW

WIELKI GUSLAR: KRÓTKI PRZEWODNIK

Ludzie czasem pytają: czemu to przybysze z kosmosu, którzy wybrali Ziemię za cel swej podróży, lądują nie na wyspach Oceanu Spokojnego, nie na szczytach Pamiru, nie na pustyni Takla Makan, nie w Osace lub Konotopie, lecz w mieście Wielki Guslar? Dlaczego pewne wydarzenia, których naukowcy do tej pory nie zdołali zadowalająco wyjaśnić, zachodzą właśnie w naszym sławetnym grodzie?

Pytanie to zadawali sobie również liczni naukowcy i miłośnicy astronomii, głowili się nad nim uczestnicy sympozjum w Addis Abebie, zastanawiali dziennikarze i czytelnicy „Litieraturnoj gaziety”.

Niedawno z nową hipotezą na ten temat wystąpił członek rzeczywisty Akademii Nauk, Spiczkin. Obserwując trajektorie meteorologicznych satelitów Ziemi, Spiczkin doszedł do wniosku, że miasto Wielki Guslar stoi na ziemskiej wypukłości, całkowicie niezauważalnej dla jej mieszkańców, lecz natychmiast rzucającej się w oczy tym, którzy oglądają nasz glob z sąsiednich gwiazd. Tej wypukłości w żadnej mierze nie należy mylić z górami, wzgórzami i innymi tego rodzaju tworem geologicznymi, gdyż niczego podobnego w okolicach Wielkiego Guslaru po prostu nie ma.

Miasto Wielki Guslar leży na równinie. Otoczone jest kołchozowymi niwami i gęstymi lasami. Rzeki płynące w tych okolicach wyróżniają się krystalicznie czystą wodą i powolnym nurtem. Wiosną zdarzają się powodzie, które trwają dość długo i pozostawiają na niskich brzegach rzek śmiecie i pnie drzew. Zimą na okolicznych drogach bywają zaspasy śnieżne, odcinające miasto od sąsiednich miejscowości. Latem panują umiarkowane upały, przerywane częstymi burzami. Jesień jest tam łagodna i kolorowa, a zimne deszcze zaczynają się dopiero pod koniec października. W roku 1876 starzy mieszkańcy obserwowali zorzę polarną, a trzydzieści lat wcześniej — potrójne słońce. Najniższa zanotowana temperatura wyniosła minus 48 stopni (18 stycznia roku 1923).

Dawniej w lasach pełno było niedźwiedzi, saren, dzików, jenotów, bobrów, lisów, rosomaków i wilków. Zwierzęta te trafiają się w lasach nawet i dzisiaj. W roku 1952 podjęto próbę zaaklimatyzowania pod Wielkim Guslarem żubrobizonów. Żubrobizony rozmnażały się w Rezerwacie Worobiowskim, w naturalny sposób skrzyżowały z łosiami i dzięki temu zyskały potężne rogi oraz spokojne usposobienie. Rzeki i jeziora obfitują w dzikie ptactwo. Niedawno do rzeki Guś wpuszczono narybek gambuzji i białego amura. Nie wiadomo jak w ostatnich latach rozplenił się w niej rak brazylijski, najbliższy krewniak homara. Miejscowi rybacy natychmiast ocenili jego znakomite cechy smakowe. Prasa terenowa donosiła o pojawieniu się w okolicach miasta muchy tse–tse, jednak wypadków śpiączki nie zanotowano.

Ludność Wielkiego Guslaru liczy bez mała osiemnaście tysięcy osób. Składają się na nią przedstawiciele szesnastu narodów. We wsi Moroszki mieszkają cztery rodziny Kozuchów. Kozuchowie są niewielkim leśnym narodem z ugrofińskiej grupy językowej mówiącym swoistym, dotychczas nie całkiem rozszyfrowanym językiem. Alfabet Kozuchów został opracowany na podstawie alfabetu łacińskiego w roku 1926 przez guslarskiego nauczyciela Iwanowa, który ułożył elementarz. Obecnie jedynie trzej Kozuchowie — Iwan Siemionow, Iwan Mudrik i Aleksandra Filipowna Małowa — władają językiem kozuchowskim.

Historia miasta Wielki Guslar liczy 750 lat. Pierwszą wzmiankę o nim można znaleźć w Kronice Andriana, który mówi, że potiomkinowski książę Gabriel Łagodny „przybył i wybił” niepokornych mieszkańców osady Guslar. Zdarzyło się to w roku 1222.

Miasteczko szybko rosło i rozwijało się, a to dzięki znakomitej lokalizacji na skrzyżowaniu szlaków handlowych, prowadzących na Ural i Syberię oraz do południowych i zachodnich regionów Rusi. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności uniknęło niewoli tatarskiej, ponieważ mongolscy najeźdźcy, odstraszeni gęstością i dzikością północnych kniei, ograniczyli się do przysyłania spisu żądanych danin, które zresztą obywatele miasta płacili rzadko i nieregularnie. Rozpoczęty w wieku XIV przez Moskwę i Nowogród spór o Guslar zakończył się ostatecznym zwycięstwem Moskwy dopiero w połowie wieku XV. W trakcie owego sporu miasto zostało trzykrotnie spalone i dwukrotnie kompletnie rozgrabione. Innym razem nowogrodzka drużyna wojewody Lepiechy zrównała miasto z ziemią. W następnych latach na Guslar spadały dżuma, powódzie, głód, morowe powietrze. Rokrocznie szalały pożary. Po każdej epidemii i pożodze miasto odbudowywało się i upiększało murowanymi soborami, których białe ściany malowniczo przegłędały się w zwierciadlanej gładzi rzeki Guś.

Ponad jedna trzecia odkrywców ruszających w drogę naprzeciw słońcu urodziła się w Wielkim Guslarze, który w szesnastym wieku przekształcił się w kwitnące miasto konkurujące z Wołogdą, Ustiugiem i Niżnim Nowogrodem. Wystarczy tu wspomnieć Timofieja Barchatowa, który odkrył Alaskę; Simona Trusowa, który na czele pięćdziesięciu Kozaków dotarł nad brzegi Kamczatki; Fiedkę Merkartowa, który jako pierwszy dotarł do Nowej Ziemi, odkrył Wyspy Kurylskie, Czelabińsk, Kalifornię i Antarktydę. Wszyscy ci herosi wracali na starość do rodzinnego miasta i budowali piętrowe murowańce na ulicy Targowej, w Niebieskim Zaułku lub na Wołowym Trakcie. Właśnie w owych latach Guslar zyskał przydomek Wielki.

À propos, wśród uczonych do dzisiaj trwają spory na temat tego, dlaczego Guslar nazywa się Guslarem? Profesor Tretiakowski w swojej monografii „Podbój Północy” uważa, że jego nazwa wywodzi się od słowa „Geślarz” lub nawet „Geśle” (hipoteza Reizmana), bowiem wytwarzanie owych instrumentów muzycznych było nader rozpowszechnione w tamtejszych okolicach, Illonen natomiast i inni zagraniczni historycy skłaniają się ku przypuszczeniu, że nazwę miastu dała rzeka Guś, nad której brzegiem Wielki Guslar leży. Istnieje jednak również wersja Tichonrawowej, która uważa, że w tych leśnych ostępach znaleźli schronienie współwyznawcy i zwolennicy Jana Husa, którzy zdołali ująć habsburskim prześladowaniom. Należy wreszcie wspomnieć o punkcie widzenia Iwanowa, który wyprowadza słowo Guslar z kozuchowskiego „chus-la”, które oznacza „tylna łapa wielkiego niedźwiedzia, żyjącego na bardzo wysokiej górze”. Wśród Kozuchów do dziś żyje legenda o wielkim myśliwym Demie, który w tych okolicach ubił niedźwiedzia i zjadł jego tylną łapę.

Pod koniec wieku XIX Wielki Guslar w związku z tym, że kolej żelazna ominęła go bokiem, przestał odgrywać ważną rolę w handlu i przekształcił się w zabite deskami miasteczko i trzeciorzędny przystań na rzece Guś.

W ostatnich latach w Guslarze coraz szybciej i intensywniej rozwija się przemysł terenowy. W mieście działa browar, fabryka „Zorza” (produkcja guzików i pinesek) i tartak (wytwarza doskonałej jakości wykałaczkę). Na dalekich przedmieściach jest także mleczarnia i dwa warsztaty bednarskie. Wielki Guslar posiada Technikum Żeglugi Śródlądowej, kilka szkół średnich i niepełnych średnich, trzy biblioteki, dwa kina, Klub Oryli oraz muzeum. Do zabytków architektury ochraniających przez państwo należy Monastyr Spaso-Trofimowski, cerkiew Paraskewy Piatnicy (wiek XVI) — i Sobór Dmitrowski. Wielki zajazd i kilka cerkwi rozebrano w roku 1930, a na ich miejscu urządzono Skwer Imienia Odkrywców.

Wielki Guslar jest miastem podlegającym władzom obwodowym i stolicą rejonu wielkoguslarskiego, w którym uprawia się len, żyto i grykę, hoduje bydło i pozyskuje drewno. Do dyspozycji turystów, którzy przyjeżdżają latem do miasta, stoi hotel „Wielki Guslar” z restauracją „Guś”, Dom Kołchoźnika i barka mieszkalna. W ciągu ostatnich kilku lat nad

brzegami Gusi kręcono wiele filmów historycznych, w szczególności „Stienkę Razina”, „Odkrywcę Barchatowa”, „Stadko” i „Husarską balladę”.

Główna arteria, ulica Puszkina, biegnie wzdłuż rzeki. Znajduje się przy niej Dom Towarowy, księgarnia i sklep zoologiczny. Zaczyna się obok mostu przez rzekę Griaznuchę, dzielącą miasto na historyczny gród i podgrodzie, kończy się natomiast przy parku miejskim, w którym znajduje się estrada, strzelnica i karuzela oraz letnia czytelnia pod parasolami.

Komunikacja z Wołogdą autobusem (sześć godzin) albo samolotem (godzina). Do Archangielska można dotrzeć samolotem (półtorej godziny) albo statkiem (przez Ustiug i Kotłaz) — cztery doby.

Przybysze kosmiczni zaczęli się w mieście pojawiać w roku 1967. Ich wcześniejszych śladów nie wykryto.

TRZEBA POMÓC

Korneliusz Udałow siedział w domu i oglądał telewizję. Na dworze było parszywie. Siąpił deszcz, hulał wiatr, mokre liście fruwały po ulicy. Słowem, pogoda była taka, w jaką dobry gospodarz psa z domu nie wypędzi. Żona Ksenia wzięła dzieci i poszła do przyjaciółki mieszkającej po drugiej stronie ulicy. A Udałow został. Program był tak nudny, że chciało się wyć albo wyłączyć odbiornik i iść spać. Ale Korneliusz był za leniwy, żeby wstać z fotela. Kiedy jednak wreszcie zdecydował się i nacisnął guzik, w pokoju pojawiła się istota z trzema nogami, czerwonymi oczami i w okularach.

— Dzień dobry — powiedziała po rosyjsku, ale z silnym obcym akcentem. — Wybaczcie mój wymowa. Ja uczyłem wasz język na gwałt. Nie niepokójcie się mój zewnętrzny wygląd. Ja można sięść?

— Siadajcie — powiedział Udałow — Jak tam na dworze, siąpi jeszcze?

— Ja prosto z kosmos — powiedziała istota. — Leciał w siłowe pole. Deszcz nie moknie.

— I po co wam taki kłopot? — zapytał Udałow.

— Ja wam jestem przeszkodzony?

— Nie, i tak nie ma co robić. Opowiadajcie. Herbaty się napijecie?

— To dla mnie być gwałtowna trucizna. Nie, dziękuję.

— Racja, jeśli szkodzi, to nie pijcie.

— Ja umierać od herbata w konwulsje — przyznał się gość

— Dobra, obędziemy się bez herbaty.

Istota podkurczyła pod siebie wszystkie trzy nogi, wskoczyła na fotel i wyciągnęła przed siebie łapkę z mnóstwem pazurków.

— Udałow — powiedziała z naciskiem. — Trzeba pomóc.

— W porządku — powiedział Udałow. — Czym możemy, pomożemy. Tylko żeby na dwór nie wychodzić.

— Trzeba wychodzić na dwór — powiedziała istota.

— Szkoda.

— Ja proszę wybaczyć, ale najpierw zaczynajcie nas słuchać — powiedziała istota i wypuściła z otworu gębowego kłęb różowego, ostro pachnącego dymu.

— Przeziębienie — powiedziała. — Bardzo daleka jest droga. Trzy tysiące rok świetlny i osiemset tam i z powrotem. Wielki nieprzyjemność. Zdychaj krupiki.

— Szkoda — powiedział Udałow. — To wasi krewni?

— Ja wytłumaczę? — zapytała istota.

Udałow skinął głową, a potem wziął arkusz papieru i długopis, żeby w razie czego od razu notować.

— Ja mam osiem minuta. Ja się nazywać Fywa. Ja jest z jedna planeta w constellation nader odległy, wasz astronom wie, a wy nie wie.

Udałow zgodził się.

— My są dawno przyleciane do was na Ziemia, brali doświadczenia i egzemplarze. Trochę pomagali budować piramida Cheopsa i pisać Mahab — harata, hinduski epos. Bardzo traktowali z szacunkiem, obcy nie ruszali. Jeden raz wzięli wasze krupiki i zawieźli na nasza planeta.

— Czekajcie — przerwał Udałow. — Co to są krupiki?

— Ja zapominaj wasz słowo. Malutki, szary, z uszami, siedzi pod choinką, skacze. Krupiki.

— Zając? — zapytał Udałow.

— Nie — zaproponowała istota. — Zając ja wiem, królik wiem, kangur wiem. Inny zwierz. Nie bardzo ważny. Genetycy próbowali, wielkiego wyhodowali, nowy gatunek. Cała planeta w krupikach. Bardzo ważne w gospodarstwo. Krupiki zdychać. Kryzys ekonomiczny. Od rana jadać krupika.

— „Co to może być? — męczył się Udałow. — Może skoczek pustynny?”

— Nie — odparła istota na myśl Udałowa — skoczek nie. Wiele lat mijać. Trzy dzień do tyłu krupiki zaczynać chorować. I zdychać. Wszyscy uczeni robią eksperyment. Środek nie ma. Środek tylko u was. Na Ziemia. Dziś rano mnie wołać i powiedzieć: — Leć, Fywa, ratuj nasz cywilizacja. Ja biegle powiedział?

— Zrozumiałem — odparł Udałow. — Tylko mam pytanie: kiedy, powiadacie, ruszyliście do nas.

— Dzisiaj. Śniadanie zjadł i poleciał.

— A ile, powiadacie, przelecieliście?

— Trzy tysiące świetlny rok.

— Bzdury — powiedział Udałow. — Takich szybkości nauka nie zna.

— Jeśli prosto lecieć, nie zna — zgodził się gość. — Tylko inny zasada. Ja lecę po czasie.

— No, no, opowiadajcie — poprosił Udałow, który z natury był ciekawy i nigdy nie pominął okazji, aby dowiedzieć się czegoś nowego.

— Jedna minuta opowiedział, bardzo krótko. Czas mało. My podróżować po czasie. Jedna chwila, tysiąc rok do tyłu.

— No to wylądujecie na swojej planecie tysiąc lat wcześniej.

— Jaki naiwność! Nie waż się czytać fantastyczna książka! Fantastyczny pisarz nauka nie zna, jeden od drugiego ściąga. Twoja Ziemia na miejsce stoi?

— Nie, lata dokoła Słońca.

— A Słońce?

— Też leci.

— Tak, zwykły dyrektor budowa, a wie. Pisarz Wells, pisarz Parnow nie wie. Jaki wstyd! Skocz do jutra, skocz w godzinę jedną do przodu, wyskocz z komory i nie ma pod tobą żadnej Ziemia. Ty już w kosmos, a Ziemia odleciał dalej, spod ciebie odleciał. Tak prosto. A jak na sto lat skoczę w tył, albo do przodu, Ziemia za ten czas odleciał daleko, daleko. A inny planeta albo gwiazda na to miejsce przyleciał. Ty wyskoczył już na inna planeta. Tylko liczyć trzeba. Bardzo dużo obliczenie robić. Chybisz i zraz.

— Klops — poprawił gościa Udałow, bardzo uradowany tym, że okazał się mądrzejszy od znanych pisarzy. — A do przodu też można skakać?

— Nie — odparła istota. — Czas jak ocean. Co było, jest, czego nie było, jeszcze nie ma. Ty możesz w ocean skakaj, nurkuj, znowu się wynurzaj. Bardzo dobrze liczyć, sto lat nazad skakaj, jedna planeta. Jeszcze pięćdziesiąt lat w drugi strona, jeszcze planeta. Trzy razy skakaj i już na Ziemia. Tylko bardzo trudno. Każdy dzień nie wolno skakaj. Bywa, że rażna sto lat można. Czasem trzy razy w godzinę. Zostało dla mnie trzy minuta, bo inaczej do domu nie trafię.

— Dobra — powiedział Udałow. — Wszystko jasne. A krupiki, to może myszy?

— Nie, myszy nie — powiedział gość. — Pomagać będziesz?

— Obowiązkowo — odparł Udałow.

— W twój miasto — powiedział przybysz — jest jeden środek. Czerwony kwiatek. Rośnie na okno. Jedna babka.

— Ziele?

— Nie, człowiek–babka. Ulica Merkartowa, dom trzy. Kwiatek trzeba zerwał i dawał mnie. Ja powiedział dziękuję w imieniu cała planeta. Krupiki też żyją. Też dziękuję. Jedna godzina czasu

masz. Ja z powrotem lecę i kwiatek wziął.

— A dlaczego sam kwiatka nie kupiłeś?

— Nie wolno, babka bardzo straszy. Trzy noga ze mnie rosnać. Nie wychodzi. W tobie cała nadzieja jest...

Przy tych słowach przybysz rozwiął się w powietrzu, bo właśnie upłynęła ósma minuta. Najprawdopodobniej rozpoczął swoje skoki w czasie, aby powrócić do domu i tam zameldować, że nawiązał kontakt z Korneliuszem Udałowem, który zgodził się pomóc.

Udałow przetarł oczy i popatrzył na fotel, w którym jeszcze przed chwilą siedział przybysz. Fotel miał pośrodku świeże wgniecenie. Wizyta nie była snem, a skoro tak, trzeba będzie pomóc braciom w rozumie. Ale co to za krupiki? Może lis? Może wilk?

Udałow włożył płaszcz, wziął parasol i wyszedł na ulicę. Przybyszowi z jego polem siłowym było dobrze. A na Udałowa runął wściekły wiatr, ciężkie krople deszczu i skrzywienie drzew. Pod nogami tały się czarne kałuże, a droga na ulicę Merkartowa wprawdzie nie była zbyt odległa, ale biegła z dala od centrum Wielkiego Guslaru.

Zanim dotarł do domu numer trzy, zdążył przemoknąć do nitki, w butach mu chlupało, woda ściekała za uszy i kołnierz. Domek był mały, z dwoma okienkami wychodzącymi na ulicę. Przytykał do niego drewniany płot z furtką. Udałow nie wszedł od razu na podwórze, lecz najpierw zapukał delikatnie w oświetlone okno. Zasłonka odsunęła się w bok i okrąglą, rumiana twarz staruszki zbliżyła się do szyby. Udałow uśmiechnął się do tej twarzy i otworzył furtkę. Odsunął mokry, zimny haczyk i nadstawił ucha. W domu było cicho. Na sąsiednim podwórku rozszczękał się mały pies. Udałow podszedł do chwiejnego ganku i wszedł po trzech stopniach. Psina biegła wzdłuż płotu i zanosila się szczekaniem, jakby pilnowała dwóch domów naraz.

Udałow pchnął drzwi, które otworzyły się ciężko, ze skrzypliwym westchnieniem.

— Jest tam kto? — zapytał uprzejmie i wkroczył w ciemność. W tej samej chwili coś ciężkiego spadło mu na głowę i zamroczyło. Ostatnią myślą Udałowa było: „Krupiki, to z pewnością wiewiórki”.

Przytomność odzyskał w białej izbie. Było jasno. Siedział na ławce, oparty plecami o ledwie ciepły stygnący piec. Przed nim stał tęgi mężczyzna ubrany w piżamę i waciak. Mężczyzna trzymał w ręku maczugę, miał czerwony nos i smutne oczy.

»A jednak krupiki to wiewiórki» — pomyślał Udałow, wracając do rzeczywistości i pomacał głowę. Na głowie był wielki guz.

— Wybaczcie, jeśli coś nie tak — powiedział mężczyzna — mnie ciocia Niusza na pomoc zawołała. Myślałem że to ten sam wrócił. W czarnych okularach. Przyczepił się, do okna się dobija, grozi: oddaj, powiada, kwiatek. Obcokrajowiec pewnie. Bandyta. A do domu nie wszedł. Giocia Niusza go przepędziła, a mnie zawołała na pomoc. Bądź co bądź mężczyzna w domu. Jestem jej sąsiadem, z domu obok.

Wtedy Udałow, rozpędziwszy sprzed oczu różnokolorowe plamy, zauważył stojącą z boku zmieszaną babcie o rumianych policzkach.

— Jestem kobietą samotną — powiedziała babcia. — Mnie bez trudu można ograbić.

— Słusznie — powiedział Udałow i zdenerwował się na przybysza, który nie powiedział najważniejszego: że nie przyszedł wprost do Udałowa, lecz najpierw zjawiał się tutaj, spróbował zdobyć kwiatek. I wszystko zepsuł. Mógłby przynajmniej powiedzieć. Nie powiedział i teraz głowa boli. Może być nawet wstrząs mózgu. To się zdarza, jeśli ktoś rąbnie maczugą.

— Wody — powiedział Udałow.

— Niusza, daj wody — powiedział mężczyzna i odłożył maczugę na stół.

— A ty, Innocenty, pilnuj go — powiedziała Niusza, wychodząc do sieni, gdzie z hałasem zaczerpnęła wody do kubka.

— Nie gniewajcie się na nią — powiedział mężczyzna. — Kobieta samotna, podejrzliwa. Ja wiem, że nie ma u niej nic do zabrania, ale ona myśli, że sama kogoś może zainteresować.

Udałow zerknął na okno. Na parapecie stały doniczki z kwiatami. Jedna roślina była obsypana czerwonymi pączkami.

— Właśnie, właśnie — mężczyzna zauważył jego spojrzenie. — Przez te nic nie warte kwiaty wszystko się pokiełbało.

Babcia przyniosła kubek z wodą i podała Korneliuszowi. Kiedy pił, obejrzała go od przemokniętych stóp do skołtunionej głowy i nie wiadomo było, czy jego widok ją zadowolił. W każdym razie spojrzenie nadal miała nieufne.

Za jakim interesem przyszliście? — zapytała Udałowa.

W innej sytuacji Udałow odłożyłby rozmowę do jutra. Pora na kupowanie kwiatka nie była najodpowiedniejsza. Ale teraz do powrotu przybysza zostało niewiele ponad pół godziny, z czego przynajmniej piętnaście minut zajmie droga do domu.

— Przechodziłem ulicą — powiedział — zajrzałem w okienko i postanowiłem wstąpić.

— Po co? — powiedziała babcia.

— No to ja już sobie pójdę, ciociu Niuszo — powiedział tęgi mężczyzna.

— Nie, Innocenty, poczekaj — zaproponowała babcia — nie zostawiaj mnie samej.

Mężczyzna westchnął i rozłożył ręce, jakby usprawiedliwiał się przed Udałowem.

— Cudowne tu kwiatki macie — powiedział wówczas Udałow.

— Znowu? — zapytała babcia.

— A czy to ja jestem winien, że mnie te kwiatki też się podobają?

— Może i winien.

— Moja żona bardzo lubi rozmaite rośliny pokojowe — powiedział Udałow pospiesznie, bo czas uciekał. Przybysz już podążał z powrotem na Ziemię, wymijając gwiazdozbiory i uskakując przed strumieniami meteorytów. — Jutro są jej urodziny, dlatego postanowiłem kupić jej coś niecodziennego. Bądź co bądź szesnaście lat razem przeżyliśmy. Moja żona ma Ksenia na imię, Ksenia Udałowa. Ja tutaj, w Guslarze, pracuję jako kierownik przedsiębiorstwa budowlanego.

— A jakże, słyszałem — powiedział mężczyzna. — W razie czego pomoże ci, ciociu Niuszo, zdobyć materiały budowlane.

— Pewnie, że pomogę, byle w granicach prawa — powiedział Udałow.

Ciocia Niusza nieco odtajała.

— A eternit masz? — zapytała.

— Mam — powiedział Udałow, chociaż z eternitem zawsze były trudności.

— A kwiatek jest nie na sprzedaż — powiedziała ciocia Niusza. — Wstąpcie do mojej sąsiadki, ona ma wspaniałe geranie.

— Geranie to i ja mam — odparł Udałow. — Trzy doniczki.

— Co ty człowieka męczysz — powiedział mężczyzna. — Sprzedaj mu kwiatek, on ci tego nie zapomni.

— Nie zapomnę — powiedział Udałow. — Sprzedajcie mi ten czerwony kwiatek. Zapłacę, ile będzie trzeba. Przecież nie na darmo dostałem maczugą po głowie. Niby nic, a jednak ciężkie uszkodzenie ciała. Można złożyć skargę.

— On ma prawo złożyć skargę — powiedział tęgi mężczyzna. — Ma guza na potylicy.

— A mam.

— A przecież ja, ciociu Niuszo, spełniałem twoje polecenie. Ciebie bronilem. — Tęgi mężczyzna najwyraźniej spieszył się do domu.

Ciocia Niusza posmutniała i rzekła:

— Myślałam sobie, że jak będę umierała, to sobie przed samą śmiercią na kwiatek

przynajmniej popatrzę. On jest jedyny. Nikt więcej w mieście drugiego takiego nie ma. A poza tym wybierałam się pojechać do córki, do Archangielska. Droga daleka i nietania.

— Podróż opłacę — powiedział Udałow. — Ile trzeba?

— Sto rubli — powiedziała babcia i zmrzyła oczy. Czekala, co Udałow odpowie na taką bezczelność.

— Sto rubli nie da rady — powiedział Udałow.

— Ciociu Niuszo, miej sumienie! — powiedział sąsiad.

— To ja już lepiej prosto stąd pójdę do dyżurnej przychodni — zagroził Udałow. — Niech mi zrobią obdukcję i oficjalnie opiszą wszystkie uszkodzenia ciała.

— Trzydzieści pięć i ani kopiejki mniej — powiedziała babcia.

— Przecież ty, ciociu Niuszo, sama sobie kręcisz stryczek!

— Będę musiał iść — powiedział Udałow.

— A ile dasz? — zapytała pospiesznie babcia.

— Dziesięć rubli dam.

— Dziesięć mało, dziesięć sama doniczka kosztuje.

— A ja doniczkę zostawię.

— A mnie doniczka bez kwiatka niepotrzebna.

— Dwanaście rubli. Więcej pieniędzy przy sobie nie mam.

— A do przychodni nie pójdziesz?

— Nie pójdę.

— A eternit zorganizujesz?

— Postaram się.

Ciocia Niusza ciężko westchnęła i powiedziała:

— Bierz, Bóg z tobą.

Udałow wyjął pieniądze. I tak dobrze, że je ze sobą zabrał. Odliczył dwie piątki, rubla i dziewięćdziesiąt kopiejek drobnymi. Ciocia Niusza wymogła na nim obietnicę, że następnego dnia przyniesie jej dziesięciokopiejówkę i Udałow wreszcie mógł zabrać ciężką, zakurzoną donicę.

Wyszedł na podwórko razem z sąsiadem. Sąsiad otulał się waciakiem i przestępował z nogi na nogę. Odprowadził Udałowa do furki i otworzył mu. Babcia z wielkim hałasem założyła sztabę na drzwi.

— Słuchaj — powiedział na pożegnanie tęgi mężczyzna — ty przecież łągałeś o tej swojej żonie. Dlaczego dałeś dwanaście rubli za zwyczajne zielsko? Powiedz, ja nikomu ani słowa.

— Nie warto — odparł Udałow, odgarniając głową gałęzie, żeby nie włożyły w oczy. — I tak nie uwierzycie. Na pewnej planecie zdychają krupiki. Wyleczyć je można tylko tym kwiatkiem. I dlatego zwrócili się do mnie o pomoc.

— Aha — powiedział mężczyzna. — To brzmi całkiem prawdopodobnie.

A kiedy Udałow był już dość daleko, mężczyzna krzyknął:

— A co to są krupiki?

— Nie wiem! — odkrzyknął Udałow. — Szare, podobno puszyste i siedzą pod krzakiem.

— Pewnie króliki — powiedział mężczyzna.

— Całkiem możliwe — odparł Udałow i pobiegł w stronę domu, ślizgając się w gliniastym bloku i przyciskając do piersi ciężką donicę.

Przybysz czekał na niego obok domu, na ulicy, pod drzewem.

— Zdobyłeś? — zapytał wychodząc z cienia. — Dziękuję gigantycznie. Dawaj tutaj. W domu ja nie mogłem. Twój żona przyszedł.

Udałow postawił donicę na ziemi.

— Nie dowiedzieli się tam u ciebie, co to są krupiki? — zapytał.

— Nie, nie zdążył — odparł przybysz. — Taki tragedia. Cały nadzieja leży na ja i ty.

Zaczął szybko obrywać z gałązek czerwone pąki.

— A całej doniczki nie zabierzecie?

— Z donicą nie da rady przez continuum czasoprzestrzenny. Nie ma taki możliwość.

— Gdybym wiedział, sam bym oberwał. A krupiki to przypadkiem nie wiewiórki?

— Nie. Ja poleciał. Wielki dziękuję. Wiecie co, nasz planeta będzie stawiał wam jeden wielki pomnik. Trzy osoby wysoki. Ja już robił zdjęcie. Wy idziecie przez deszcz i burza, a w ręka macie czerwony kwiatek.

— Dziękuję — powiedział Udałow. — Ale została do załatwienia jeszcze jedna mała sprawa, jeśli nie macie nic naprzeciw. Rozumiecie, wysłała taka historia: wydałem na ten kwiatek wszystkie moje pieniądze, a mam jutro zapłacić składki.

— Oj, jaki jest hańba dla nasza planeta! Oczywiście, wszystkie pieniądze ja ciebie dawaj. Całkiem zapomniałem. Masz, trzymaj. Dolar. Trzy tysiąc dolar.

— Czyście zwariowali? — oburzył się Udałow. — Po co mi dolary? Potrzebuję dwunastu rubli, a dokładniej jedenastu rubli i dziewięćdziesięciu kopiejek. Jeśli sądzicie, że zapłaciłem za ten kwiatek zbyt drogo, to weźcie pod uwagę, że nie miałem czasu targować się. A ten kwiatek wart jest najwyżej cztery ruble i to razem z doniczką.

— Ten kwiatek wart jest sto milion wasze ruble.

— Wcale nie chcę na nim zarabiać. Dajcie mi przynajmniej z osiem rubli — poprosił Udałow.

— Bierz dolar — nalegał przybysz. — Innej pieniędzy nie mam. Za trzy roki znowu pomyslny układ planeta, ja przyjechać i ciebie rubel dawaj. A teraz bierz dolar.

Udałow chciał jeszcze oponować, ale przybysz wepchnął mu do ręki plik nowiutkich banknotów i krzyknął:

— Dziękuję! Zdjęcie pomnik przywiozę w następny wizyta. I zniknął.

Udałow westchnął i poszedł do domu.

Ksenia czekała na niego, nie kładła się spać. Powitała go wyrzutami i nie dała mu zdjąć płaszcza, zanim się nie przyzna, z kim miał randkę.

— Nie było żadnej randki — odparł Udałow, myśląc przy tym: „A może krupiki to wręcz słonie albo leopardy? Przecież nie wiadomo, pod jakim drzewem siedzi ten szary z dużymi uszami. Może pod baobabem?”

— Wystarczy wyjść z domu — denerwowała się Ksenia — żeby cię od razu gdzieś pognało.

— Nie irtuj się — odparł Udałow, ciągle jeszcze myśląc o krupikach.

— A co ty masz w ręku? — zapytała Ksenia, patrząc na plik dolarów.

— Nic takiego, zwykłe dolary — odparł Udałow i podał żonie pieniądze.

— Ale się doczekałam! — powiedziała Ksenia i rozplakała się.

ŚWIEŻY TRANSPORT ŻŁOTYCH RYBEK

Jedyny w mieście Wielki Guslar sklep zoologiczny dzieli skromny lokal ze sklepem papierniczym. Na dwóch ladach leżą w nim pod szkłem długopisy, szkolne zeszyty w kratkę, album z białą mewą na błękitnej okładce, pędzelki popularne, ochra w tubkach, temperówki i mapy konturowe. Trzecia lada, stojąca na lewo od wejścia, nie jest oszklona. Piętrzą się na niej stosy półkilowych torebek z pokarmem dla kanarków, klatki dla wiewiórek i niewielkie konstrukcje z kamieni i cementu inkrustowanego muszlami. Konstrukcje te przypominają ruiny średniowiecznych zamków i przeznaczone są do umieszczania w akwariach, żeby rybki czuły się tam jak w swoim żywiole.

Sklep papierniczy zawsze wykonuje plan. Zwłaszcza w trakcie roku szkolnego. Sklepowi zoologicznemu wiedzie się znacznie gorzej. Jedynym chodliwym towarem, jaki w nim bywa, są kurczaki, kurczaki ze sztucznej wylęgarni, których dostawa zdarza się raz na kwartał. Wtedy kolejka po nie zakręca aż na rynek. W pozostałe dni przy ladzie jest zupełnie pusto. Jeśli nawet przychodzą tam chłopcy, żeby pogapić się na gupiki i czerwone mieczyki pływające w podświetlonym akwarium, to nigdy tych mieczyków nie kupują. Kupują je u Kolki Długiego, który co sobota stoi przed wejściem do sklepu i trzyma na długim sznurku litrowy słoik z narybkiem. W drugiej ręce dzierży papierową torbę z czerwonymi robaczkami.

— Znowu tu sterczy — mówi Zinoczka do Wiery Jakowlewny, sprzedawczynie ze sklepu papierniczego, i pisze do obwołu kolejne zamówienie na białe robaczki i rasowe gołębie.

Trudno powiedzieć, aby Zinoczka zupełnie nie miała klientów. Ma kilku. Prowizor Sawicz trzyma kanarka i raz w tygodniu, pod koniec dnia, wstępuje po drodze z apteki do domu. Kupuje pół kilo pokarmu. Wpada czasami Grubin, wynalazca i człowiek bez przyszłości. Grubin interesuje się wszelkimi zwierzakami i nosi głęboko w sercu nadzieję, że sklep otrzyma kiedyś do sprzedaży amazońską papugę arę, która bardzo łatwo uczy się ludzkiej mowy.

Jest jeszcze jeden człowiek zagląający do sklepu, ale to nie klient, tylko przypadek zupełnie szczególny. Były strażak, inwalida Eryk. Przychodzi, cicho staje w kącie za akwarium. Pusty rękaw ma założony za pas, a oparzoną stronę twarzy skierowaną ku ścianie. W mieście Eryka znają wszyscy. Dwa lata temu pewna babcia zostawiła włączone żelazko i położyła się spać. Eryk pierwszy wpadł do domu i zaczął wyciągać babcie na świeże powietrze, ale nie zdążył. Z góry spadła belka i w ten sposób Eryk został inwalidą. W dwudziestym trzecim roku życia. Ze strony obywateli było mnóstwo współczucia, załatwili Erykowi rentę i odszkodowanie, ale dotychczasową robotę musiał rzucić. Chłopak wprawdzie został w straży pożarnej, ale teraz tylko pilnuje garażu. Uczy się pisać lewą ręką, ale jest bardzo nieśmiały i wszystkiego się wstydzi. Nie lubi nawet pokazywać się na ulicy.

Eryk przychodzi do sklepu po pracy. Zazwyczaj kuleje, bo nogę też mu w tym pożarze przygniotło. Przychodzi, wciska się w kąt za akwarium i patrzy na Zinoczkę, w której kocha się bez wzajemności. Jaka zresztą może być wzajemność, jeśli Zinoczka to dziewczyna przystojna i postawna, ciesząca się powodzeniem u wielu chłopców z Technikum Rzecznego. Sama Zinoczka wzdycha do nauczyciela biologii ze szkoły średniej numer jeden, ale Erykowi nigdy złego słowa nie powie.

Kończył się trzeci kwartał. Była już jesień. Zinoczka spodziewała się dostawy dobrego towaru, gdyż jej zwierzchnicy w obwodzie musieli zdawać sobie sprawę, że jeśli nie wykonają planu, to ich też nikt po główce nie pogładzi.

Zina nie zawiodła się. Dwudziestego szóstego września dzień wypadł pogodny i bezwietrzny.

Ze sklepu widać było drogę wiodącą ku rzece, a nawet las na jej przeciwnym brzegu. Rzeką, lazurową niczym niebo, ale o ton ciemniejszą, płynęły barki, tratwy i motorówki. Chmury przesuwają się wolno po niebie, jakby każda z nich starała się z najlepszej strony zaprezentować własne wdzięki. Zinoczka otrzymała towar poprzedniego dnia już pod wieczór (przysłał go samolotem, przysłała więc do pracy wcześniej rano, popatrzyła na chmury i na drzwiach sklepu wywiesiła ogłoszenie:

„Świeży transport złotych rybek”

Weszła do środka. Rybki wpuszczone do dużego akwariów przez noc odżyły i teraz pływały godnie, ledwie poruszając długimi ogonami. Były niewielkie, najwyżej piętnastocentymetrowe, ale w masie (około dwudziestu sztuk) stanowiły widok wręcz wyjątkowy. Grzbieciki miały jztskrawozłociste, a brzuszki różowe niczym dopiero co wypucowane samowarki. Oczy duże, czarnego koloru, płetwy jasnoczerwone.

Z obwodu przysłał też bańkę żywego pokarmu. Zinoczka wyłożyła robaczki na wielką kuwetę fotograficzną, a one roily się i wspinały do góry po śliskiej białej emalii.

— Ach — powiedziała Wiera Jakowlewna, gdy przysłała do pracy i zobaczyła rybki. — Takiego cuda to ja bym nie sprzedawała. Zostawiłabym na wyposażeniu placówki.

— Wszystkie?

— No, nie. Jakąś połowę. Dzisiaj będziesz miała wielki dzień.

W chwilę potem otworzyły się drzwi i do sklepu wszedł stary Łożkin, który lubił wszystkich pouczać. Podeszedł wprost do lady, postął, poruszył wargami, wziął w dwa palce szczyptę robaków i powiedział:

— Stołeczne robaczki. Pierwszorzędne.

— A jak rybki? — zapytała Zinoczka.

— Zwyczajny towar — odparł Łożkin, zachowując dumną pozę. — Chińskiego pochodzenia. W Chinach te rybki trzymają w każdym basenie. Ze względów dekoracyjnych. Milionami.

— Przesadzacie! — obraziła się Wiera Jakowlewna. — Milionami!

— Trzeba czytać literaturę fachową — powiedział stary Łożkin. — Zobacz w fakturze. Tam wszystko napisali.

Zinoczka wyjęła fakturę.

— Spójrzcie sami — powiedziała. — Ja już sprawdzałam. Nic tam nie mówią o ich chińskim pochodzeniu. Nasze rybki. Dwa czterdzieści sztuka.

— Trochę przydrogie — powiedział Łożkin, zakładając na nos staroświeckie pince-nez. — Niechaj im się przyjrę.

Wszedł Grubin. Był to mężczyzna wysoki, rozczochrany, błyskawiczny w ruchach i szybki w decyzjach.

— Dzień dobry, Zinoczka — powiedział. — Dzień dobry, Wiero Jakowlewna. Macie coś nowego?

— Tak — powiedziała Zinoczka.

— A co z papugą? Nie zrealizowali jeszcze mojego zamówienia?

— Jeszcze nie, pewnie szukają.

Prawdę mówiąc, Zinoczka w ogóle nie zamawiała brazylijskiej papugi ary — Podejrzała, że w centrali wyśmieją takie zamówienie.

— Interesujące rybki — powiedział Grubin. — Charakterystyczny złoty odcień.

— Dla kogo charakterystyczny? — zapytał surowo stary Łożkin.

— Dla nich — odparł Grubin. — No to ja sobie pójdę.

— Niepoważny człowiek — powiedział Łożkin. — W specyfikacji nie ma ich łacińskiej nazwy.

Do sklepu zajrzał Długi Kola. Długim przezywano go pewnie dla śmiechu, bo był niziutki, mimo czterdziestki na karku w ogóle nie miał zarostu i przypominał dużego oseska. W zwykłe dni Zinoczka nie wpuszczała Koli do sklepu, wypędzała krzykiem i groźbami. Ale dzisiaj, gdy zobaczyła go w drzwiach, powiedziała triumfująco:

— No chodź tu, chodź, prywatna inicjatywo.

Kola zbliżył się do lady ostrożnie, czując jakiś podstęp. Torbę z robakami trzymał pod pachą, a słoik z narybkiem schował za plecy.

— Ja tylko popatrzeć na złote rybki... — powiedział cicho.

— A patrz, ubędzie ich czy co?

Ale Kola nie patrzył na rybki. Gapił się na kuwetę z robaczkami. Łożkin zauważył ten wzrok i powiedział głośno:

— Państwowa cena jest czterokrotnie niższa niż u krwiopiców. I robak znacznie lepszej jakości.

— Jakość to my zaraz sprawdzimy — odparł Kola. I zaczął cofać się ku drzwiom, gdzie wpadł plecami na czołówkę uczniów, którzy zwiali z lekcji, gdy tylko wieść o złotych rybkach rozniosła się po mieście.

Stary Łożkin opuścił sklep w pięć minut później. Wstąpił do domu po słoik i trzy ruble, wrócił, kupił złotą rybkę, a za resztę pieniędzy robaczków. W tym czasie do sklepu przyczłapał już i Eryk. Przyniósł bukiet astrów, który położył pod akwarium, bo lękał się, że Zinoczka zauważy prezent i zacznie go wyśmiewać. Wagarowicze gapili się na rybki, szeptali i planowali złożyć się na kupno jednej z nich dla kącika żywej przyrody. Zinoczka zanurzyła siatkę w akwarium, a Łożkin z nosem przy szybie kierował jej poczynaniami, wybierając najlepszą sztukę.

— Nie tą — mówił. — Nie wtryniajcie mi byle jakiego towaru. Ja się na tych rybach znam, mam specjalną literaturę. Z lewej bierz, z lewej! Lepiej ja sam.

— Co to, to nie — powiedziała Zinoczka, która dzisiaj była panią sytuacji. — Mówcie mi tylko którą, a ja już wyłowię.

— Nie, lepiej ja sam — odpowiadał na to stary Łożkin i łapał za drucianą rączkę siatki. — Mówcie mi tylko którą, a ja sam wyłowię.

— Przestańcie, obywatelu — wtrącił się Eryk. — Przecież starają się was obsłużyć.

— Milczeć! — obraził się Łożkin. — Mądrała się znalazł. Starszych będzie uczył!...

Stary Łożkin był z natury zgryźliwy i mówił obraźliwym tonem. Eryk chciał się odciąć, ale rozmyślił się i odwrócił do ściany.

— Takiemu wrednemu człowiekowi ja bym w ogóle rybek nie dawała — oburzyła się znad swojej lady Wiera Jakowlewna, po czym chwyciła przykładnicę i zamachnęła się nią jak do ciosu.

Stary Łożkin jakby zmałał i przestał wybrzydzać. Podstawił słoik, rybka ostrożnie ześlizgnęła się z siatki i złotym pyszczkiem dotknęła szkła. Zinoczka w milczeniu zważyła Łożkinowi robaki, w milczeniu przyjęła od niego pieniądze i wydała dwie kopiejki reszty. Stary usiłował zostawić je na ladzie, ale głośnym okrzykiem został zawrócony od drzwi, zabrał monetę i skurczył się jeszcze bardziej.

Kiedy Łożkin wyszedł na ulicę i kiedy promień słoneczny wpadł do słoika, z jego wnętrza wytrysnął promień jeszcze jaskrawszy i zaigrał na szybach domów. Na całej ulicy zaczęły się otwierać okna. Ludzie wyglądali z nich i pytali, co się stało. Rybka uderzyła ogonem, krople wody poleciały na chodnik, a każda z tych kropli też lśniła i błyszczała.

Przy krawężniku gwałtownie zahamował autobus. Kierowca wytknął głowę przez okno i krzyknął:

— Dziadku, co dają?

Łożkin podrapał się torebką z robakami w wygolony, pokryty zmarszczkami podbródek i odparł z godnością:

— Tylko dla znawców, dla tych, którzy potrafią ocenić.

„Znawca” wracał do domu nieco zawstydzony swym zachowaniem w sklepie, ale zmieszanie stopniowo ustępowało, gdyż za Łożkinem ciągnęli, sami tego nie zauważając, podnieceni ludzie, zachwycający się złotą pięknnością w słoiku po ogórkach.

— Dostałeś co? — zapytała stara Łożkina z kuchni, nie zwracając uwagi na jasność w pokoju za jej plecami. — Pewnie pół litra przyniósł?

— Pół litra czystej wody — zgodził się stary — pół litra w słoiku, czego i wam życzę.

— Nie — powiedziała stara nie odwracając się. — Od razu pod sklepem wydudliłeś.

— Niby dlaczego?

— Brednie gadasz.

Stary nie spierał się z nią, rozsunął tylko kaktusy na parapecie, mrugnął do kanarków, które na widok słoika zaniósł się zdumionym szczebiotem, wydobyl z kąta zapasowe akwarium i poszedł z nim do kuchni.

— Posuń się — powiedział do małżonki — Daj nabrać wody. Małżonka zrozumiała, że mąż o dziwo nie jest pijany, wytarła ręce w fartuch i zajrzała do pokoju.

— Skaranie boskie — wykrzyknęła. — Jeszcze nam tylko złotej rybki brakowało!

Pochyliła się nad słoikiem, a wtedy rybka wysunęła z wody ostry pyszczek, otworzyła go, jakby brakowało jej powietrza, i powiedziała półgłosem:

— Wypuścilibyście mnie, towarzysze, do rzeczki.

— Czego? — zapytała małżonka starego Łożkina.

— Wpłynięcie na męża — powiedziała rybka niemal szeptem. — On mnie bez waszej pomocy za nic nie wypuści.

— Czego czego? — zapytała Łożkina.

— Z kim ty rozmawiasz? — zdziwił się stary, który właśnie wrócił do pokoju z napełnionym akwarium

— Sama nie wiem — powiedziała żona. — Nie wiem.

— Ładna? — zapytał Łożkin.

— Sama nie wiem — powtórzyła żona. Chwilę pomyślała i dodała: — Wypuść ty ją do rzeczki, bo jeszcze sobie biedy napytasz.

— Ty co, zwariowałaś? Przecież jej oficjalna cena w państwowym sklepie wynosi dwa ruble czterdzieści kopiejek.

— W państwowym? — zapytała żona. — Już dają?

— Dają, ale nikt nie bierze. Nie znają się ludzie. Cena wysoka. Ale czy dwa czterdzieści to za drogo jak na takie чудо?

— Misza — powiedziała małżonka — ja ci trzy ruble dam. Dam ci cztery i zakąskę jeszcze kupię. Ty ją tylko wypuść. Boję się.

— Zwariowała baba — powiedział z przekonaniem stary. — My ją tu zaraz do akwarium przeniesiemy.

— Wypuść.

— Ani mi się śni. Ja na taką rybkę przez całe życie czekałem. Z Moskwą korespondowałem. Dwa czterdzieści żywą gotówką zapłaciłem.

— No to jak uważasz — powiedziała stara, zapłakała i poszła do kuchni. W tym momencie rybce nerwy odmówiły posłuszeństwa.

— Nie odchodź! — krzyknęła przenikliwie. — Nie wyczerpaliśmy jeszcze wszystkich argumentów. Jeśli wypuścicie, spełnię trzy życzenia.

Stary Łożkin był człowiekiem twardym i opanowanym, ale nawet on na te słowa upuścił akwarium, stłukł je i stał teraz po kostki w wodzie.

Nic nam nie trzeba! — odparła Łożkina z kuchni. — Nic nie trzeba. Wynoś się do swojej rzeki! Przez ciebie same tylko kłopoty.

— Nieee — przeciągnął stary Łożkin. — Nieeee! Co to ja słyszę, rozmówki?

— To ja mówię — odparła rybka. — A moje słowo coś znaczy.

— Ale jak to może być? — zapytał Łożkin podkulając przemoczoną nogę. — Ryby głosu nie mają.

— Ja jestem mutantem — odparła rybka. — Długo by o tym mówić.

— Izotopy? — zapytał stary.

— Izotopy też.

— Wyrzuć ją — nalegała Łożkina.

— Poczekaj. Zaraz ją wypróbujemy. Ano, odtwórz akwarium w jego pierwotnej postaci i żeby na oknie stało, a w pokoju, żeby było sucho.

— A wypuścisz, nie oszukasz?

— Słowo honoru, że wypuszczę — powiedział stary. — Wystarczy cię na trzy życzenia?

— Wystarczy.

— No to mi sklej akwarium. Jeśli ci się uda, to polecę do sklepu i jeszcze z dziesięć takich samych kupię. A może to tylko ty potrafisz gadać?

— Nie, wszystkie — wyznała rybka.

— No to stawiaj akwarium.

W pokoju nastąpiło momentalne zamglenie powietrza, wystąpił szum i łopot podobny do tego, jaki wydaje przelatujący wielki ptak, a w chwilę potem na oknie pojawiło się całe, niepotłuczone, wypełnione wodą akwarium.

— Może być — powiedział stary Łożkin. — Dałaś radę.

— Zostały dwa życzenia — powiedziała rybka.

— W takim razie to akwarium jest dla mnie za małe. Zażyczyć sobie nowe, stulitrowe, z wodorostami?...

Tymczasem do Łożkina podeszła jego ciągle jeszcze zapłakana żona. Teraz jednak płakała z obawy, że lekkomyślny małżonek roztrwoni wszystkie życzenia rybki. A co będzie, jeśli ona kłamie? Jeżeli tylko ona jedna jest taka?

— Stój! — powiedziała do starego. — Najpierw inne wypróbuj. Inne rybki. One i w małym akwarium się zmieszczą. Przecież dla niej akwarium zbudować to nic trudnego, a nam jest potrzebniejszy nowy dom z ogródkiem.

— Aha — zgodził się Łożkin. — Dobrze mówisz. Wyciągaj gotówkę z szafy, dawaj kubek. Póki nie wrócę, oka z niej nie spuszcza.

— To mam robić to wielkie akwarium, czy nie? — zapytała rybka bez szczególnej nadziei.

— Jeszcze czego? — zdenerwował się stary. — Spryciara! W kolektywie będziesz pracowała. Ja mam dużo życzeń, niech ci się nie wydaje, że jak starszy, to już nic nie potrzebuje.

Ksenia Udałowa, sąsiadka z góry, na pięć minut przed wygłoszeniem tych słów wstąpiła do Łożkinów po sól, bo w domu wszystko już wyszła. Drzwi otwarte, sąsiedzi zaprzyjaźnieni, dlaczego — więc miała nie wstąpić. No i usłyszała całą rozmowę. Staruszkowie byli odwróceny do niej plecami, a rybka, jeśli nawet ją zauważyła, to nie dała tego po sobie poznać. Ksenia Udałowa, matka dwojga dzieci i żona kierownika komunalnego przedsiębiorstwa budowlanego, wyróżniała się żywym umysłem i niczemu się nie dziwiła. Jak cicho weszła, tak samo po cichutku wyszła, zorientowawszy się, że Łożkinowie zmitrzą trochę czasu na zabranie wiadra z wodą i sięgnięcie po pieniądze. Wybiegła na dwór, gdzie, jako że była sobota, Korneliusz

Udałow, jej mąż, grał w domino pod opadającą lipą i krzyknęła doń władcym tonem:

— Korneliusz, do mnie!

— Przepraszam — powiedział Korneliusz Udałow do partnera — wołają mnie.

— Zwykła rzecz — powiedział partner. — Tylko postaraj się szybko wrócić.

— Ja zaraz!

Ksenia Udałowa podała mężowi niezbyt starannie umyty słoik po bakłażanach, pięć rubli w papierku i powiedziała głośnym szeptem:

— Leć do sklepu zoologicznego i kup dwie złote rybki!

— Kogo mam kupić? — zapytał Korneliusz posłusznie odbierając słoik.

— Złote rybki! Tylko bierz jak największe sztuki!

— Po co?

— Nie gadać! Biegiem marsz i nikomu ani słowa. Wody tylko nie rozlej. Noo! A ja ich tu zatrzymam.

— Kogo?

— Łóżkinów.

— Kseniusza, ja kompletnie nic nie rozumiem — powiedział Korneliusz, pocąc się jak ruda mysz.

— Potem zrozumiesz!

Ksenia usłyszała odgłos kroków dobiegający z wnętrza domu i pomknęła tam ze wszystkich sił.

— Dokąd to cię posyłają — zapytał Sasza Grubin, sąsiad. — Odprowadzić?

— Odprowadź — odparł Udałow, ciągle nie mogąc przyjść do siebie. — Odprowadź do sklepu zoologicznego. Złote rybki będę tam kupował.

— To być nie może — powiedział Pogosjan, partner od domina. — Twoja Ksenia nigdy w życiu podobnego zakupu nie dokonywała. Chyba, że chce usmażyć.

— A może i naprawdę chce sobie usmażyć? — uspokoił się trochę Korneliusz. — Idziemy.

Wyszli z Grubinem na ulicę, a pozostali gracze roześmieli się wesoło, bo dobrze znali zarówno Ksenię, jak i jej męża Korneliusza.

Jeszcze nie zdążył ucichnąć w zaułku odgłos kroków przyjaciół, gdy w drzwiach domu pokazała się ponownie Ksenia Udałowa. Szła tyłem i jej niezmiernie szerokie plecy drgały z wysiłku, powstrzymując jakiś napór. Było już widać, że napierają małżonkowie Łóżkinowie. Stary niósł wiadro z wodą, a żona pomagała mu wypychać Ksenię.

— I dokąd to tak spieszycie, sąsiedzi kochani? — pytała śpiewnie Ksenia.

— Puszczaj — nalegał stary. — Po wodę idę.

— Po jaką wodę idziecie, skoro już od dwóch lat mamy w domu wodociąg?

— Puszczaj! — krzyczał stary. — Po kwas idę.

— Z wiadrem pełnym wody? A ja chciałam od was soli pożyczyć.

— A pożyczaj, tylko mnie przepuść.

— A czy przypadkiem nie do sklepu zoologicznego tak się spieszycie? — zapytała zjadliwie Ksenia.

— A choćby i do sklepu zoologicznego — odparła stara Łóżkina. — I tak nie masz prawa nas zatrzymywać.

— Skąd wiesz? — oburzył się Łóżkin. — Skąd wiesz? Podśluchiwałaś?

— A co podśluchiwałaś? Co było do podśluchiwania?

Stary szarpnął się, omal nie zwałił Kseni z nóg i rzucił się w kierunku bramy. Jego małżonka zawisła na Udałowej, która chciała popędzić za Łóżkinem.

— Oj, oj — powiedział Pogosjan. — On też po złotą rybkę poleciał. Dlaczego poleciał?

— Żyliśmy bez złotych rybek — odparł mu na to Kac — to i dalej jakoś przeżyjemy. Mieszaj kamienie.

— Oj, oj — powiedział Pogosjan. — Ksenia Udałowa to taka sprytna baba, że aż czasem strach bierze. Patrzaj, też poleciała. I stara Łożkina za nią. Grajcie beze mnie. Ja, chyba rozumiecie, pójdę się przejść trochę po mieście.

— Walentin — powiedziała do Kaca jego żona, wyglądająca z okna pierwszego piętra. Usłyszała hałas na dworze i dokładnie go zanalizowała. — Walentin, masz pieniądze! Skocz do sklepu zoologicznego i zobacz, co tam dają. Może dla nas już nie starczy.

W półtorej minuty później wszyscy mieszkańcy domu numer szesnaście, w ogólnej liczbie około czterdziestu osób, biegli ulicą Puszkina do sklepu zoologicznego. Niektórzy biegli ze słoikami, niektórzy z butelkami, niektórzy z plastikowymi torebkami, a inni zwyczajnie, z pustymi rękami, żeby się bezinteresownie pogapić.

Kiedy pierwsi z nich dotarli do sklepu, przed drzwiami opatrzonymi napisem „Świeży transport złotych rybek” kłębił się zbity tłum.

Miasto Wielki Guslar jest niewielkie i życie płynie w nim powszednim, utartym trybem. Ludzie chodzą do kina, do pracy, do technikum rzecznego, do biblioteki i w tym wszystkim nie ma nic szczególnego. Wystarczy jednak aby wydarzyło się coś niecodziennego, a natychmiast przez miasto przetacza się fala niepokoju i podniecenia. Zupełnie jak w mrowisku, gdzie każda wieść w ułamku sekundy dociera do najdalszych zakątków. Mrówki natura obdarzyła w tym celu specjalnym szóstym zmysłem. Wielki Guslar też posiada zbiorowy szósty zmysł i to właśnie on sprowadził licznych ciekawskich, chętnych do gapienia się na złote ryбки. Ten sam szósty zmysł rozwiązał również ich wątpliwości co do tego, czy mają kupować, czy też nie. Obywatele Guslaru pojęli, że należy nabywać złote ryбки w tej samej chwili, gdy do sklepu wpadli Udałow z Grubinem, którzy nie całkiem jeszcze zdawali sobie sprawę z tego, po co to robią. Zasapany Udałow wetknął Zinoczce pięć rubli i powiedział:

— Dwie ryбки, złote, zawińcie mi z łaski swojej.

— To wy, Korneliuszu Iwanowiczu? — zdumiała się Zinoczka, która mieszkała na tej samej ulicy, co i Udałow. Łożkinowie wam poradzili? Chcecie samca z samiczką?

— Zinoczka, nie sprzedawaj im rybek — odezwał się zza akwarium inwalida Eryk, który nie mógł się zdecydować wyjść ze sklepu.

— Młody człowieku — osadził go Grubin. — Trochę z szacunku dla waszej bohaterskiej przeszłości powstrzymam się od odpowiedzi. Zinoczka, macie tu słoik, kładźcie towar.

Zinoczka miała łzy w oczach. Wzięła siatkę i zanurzyła ją w akwarium. Rybki uciekały przed nią w popłochu.

— Też rozumieją — powiedział któryś z gapiów.

W drzwiach zaczął się jakiś ruch. To stary Łożkin usiłował przecisnąć się z wiadrem do lady.

— Nie cackajcie się z nimi — powiedział Udałow. — I tak je usmażymy.

— Mnie dajcie, mnie — krzyczał od drzwi stary Łożkin. — Ja jestem miłośnikiem złotych rybek. Ja ich smażyć nie będę!

Ogólny harmider zagłuszył poszczególne słowa. W stronę Zinoczki wyciągały się ręce z zaciśniętymi w nich rublami i Eryk, pragnąc osłonić ją przed niebezpieczeństwem, stuknął kulą w podłogę i krzyknął:

— Cisza! Zachowajcie porządek!

Nastąpiła cisza i w tej ciszy wszyscy usłyszeli, że rybka, która wysunęła głowę z akwarium, powiedziała:

— To kompletne szaleństwo, żeby nas smażyć. To zupełnie tak samo, jakbyście chcieli zarznąć kurę niosącą złote jaja. My złożymy skargę.

Martwa cisza owładnęła sklepem.

Druga rybka podpłynęła do pierwszej i powiedziała:

— Musimy uzyskać gwarancje.

— Jakie? — zapytał Grubin cieniutkim głosem.

— Trzy życzenia na każdą i ani słowa więcej. Potem na wolność.

Nastąpiła pauza, a potem wolny ruch ku ladzie, bowiem ciekawość jest silnym uczuciem i pragnienie zerknięcia na prawdziwe gadające rybki przyciągało ludzi niczym magnes.

W pięć minut było po wszystkim. W pustym sklepie, na pustej ladzie stało puste akwarium. Woda jeszcze się w nim kołysała. Zinoczka liczyła utarg i cichutko płakała. Eryk nadal stał w kącie i zdrową ręką masował sobie poparzony bok. Potem pochylił się, podniósł z podłogi prawie nie pomięty bukiet astrów i położył go przed Zinoczką.

— Nie martwcie się — powiedział Eryk — może w następnym kwartale znowu przyślą. Żałuję tylko, że dla mnie zabrakło. Ja bym wam swoją oddał.

— Nie dlatego płaczę — odparła Zinoczka. — Widzieliście, jaka chciwość się w ludziach obudziła? Wstyd patrzeć. I stary Łożkin krzychał, żeby mu dać dziesięć sztuk, i w ogóle...

— Bardzo mi przykro, że nie udało mi się dla was kupić — powiedział Eryk. — Do widzenia.

Wyszedł. Wiera Jakowlewna, która czekała, aż sklep całkiem się opróżni, podeszła do Zinoczki, trzymając w ręku polichromowaną szkatułkę roboty mistrzów z Palechu. W szkatułce z trudem mieściły się dwie rybki.

— Ja jednak kupiłam — powiedziała Wiera Jakowlewna. — Nawet nie zauważyłaś. Zrozumiałam, że jak będę czekała, aż się zbiegowisko skończy, to nic dla nas nie zostanie. Przecież nie domyśliłaś się, żeby przynajmniej jakieś trzy sztuki odłożyć.

— Skądże — powiedziała Zinoczka. — Bardzo się cieszę, że przynajmniej wy zdążyliście. A ja nawet nie zauważyłam. Taki był rwetes, że tylko pieniądze brałam i rybki wylawiałam.

— Jedna twoja — powiedziała Wiera Jakowlewna. — Pieniądze mi oddasz z pensji.

— Mnie nie trzeba — powiedziała Zinoczka. — Zresztą nie mam prawa kupić.

— No to ci ją daję w prezencie. Na urodziny. I nie wygłupiaj się. Kto sam rezygnuje ze szczęścia? Ty nawet futerka nie masz, a zima się zbliża.

— Nie, nie, za nic! — powiedziała Zinoczka i zaniósła się jeszcze głośniejszym płaczem.

— Nie ma co się mazać — powiedziała ze szkatułki rybka. — I tak jeden człowiek nie może żądać spełnienia więcej niż trzech życzeń. Choćby nawet miał i sto rybek. A futro ci potrzebne. Chętnie zrobię. Jakie chcesz? Norkowe czy karakulę?

— Wspaniale — powiedziała Wiera Jakowlewna. — Gdzie siatka? Zaraz ci ją przełożymy. Bardzo się cieszę.

— Ale jak to można? — broniła się Zinoczka.

Do sklepu zajrzała nieznajoma kobieta i zapytała:

— Rybki jeszcze zostały?

— Skończyły się — powiedziała Wiera Jakowlewna, zamykając wieczko paleskiej szkatułki.

— Zamkniemy sklep? I tak chyba dzisiaj już handlu nie będzie.

— Powinam do obwodu, do tamtejszego zarządu handlu napisać sprawozdanie, powiedziała Zinoczka. — Obawiam się, że nam ten towar omyłkowo przysłali.

— No to napiszesz w domu. Idziemy.

Zinoczka posłuchała. Zdjęła z drzwi wywieszkę, zamknęła sklep, schowała utarg. Wiera Jakowlewna sięgnęła na półkę po jeszcze jedną paleską szkatułkę i przełożyła w nią rybkę dla Zinoczki. Potem obie sprzedawczynie wyszły tylnymi drzwiami.

— A ty przynajmniej pamiętasz kogoś z tych, kto kupował rybki? — spytała Wiera Jakowlewna.

— W ogóle niewiele pamiętam. No, najpierw, jeszcze przed tą całą historią, był Łożkin. I kółko młodych przyrodników ze szkoły średniej. Potem znów Łożkin. I Sawicz. I ten długi z miejskiego wydziału zdrowia... Potem Udałow z Grubinem wzięli po sztuce. A pozostałych chyba nie dam rady sobie przypomnieć.

— Boję się — rzekła na to Wiera Jakowlewna. — Boję się, że już za późno się zastanawiać, bo rezultaty przemówią same za siebie.

— To znaczy niby jak?

— Jak sądzisz, jakie mogą być życzenia?

— Nie wiem. Różne. Noo, może o pieniądze poproszą...

— O pieniądze prosić nie wolno, chyba, że o niewielkie sumy — powiedziała z pudełka rybka. Mówiła głuchym głosem, który z trudem przebijał się przez lakowe wieczko.

— Oj! — pisnęła Zinoczka.

Sprzedawczynie doszły do zaułka, który jeszcze rankiem był wyboisty i zakurzony. Teraz uliczka pokryta była lśniącym, równym betonem. Beton zaścierał całą jej szerokość. Tylko na poboczach zamiast porannych rowów ciągnęły się estetyczne wstęgi chodników. Płoty wzdłuż jezdni błyszcząły przyjemnym dla oka zielonym lakierem, a w przydomowych ogródkach kwitły wonne geranie.

— To nic szczególnego — powiedziała Wiera Jakowlewna, psychicznie przygotowana na wszelkie niespodzianki. — Pewnie ktoś z rady miejskiej kupił rybkę. Kupił i wykonał roczny plan porządkowania miasta.

— Co to będzie... — powiedziała Zinoczka, wchodząc ostrożnie na trotuar.

— Uważam — odparła Wiera Jakowlewna — krocząc środkiem betonowej jezdni — uważam, że powinnam dostać własne mieszkanie. Zresztą nie spiesz się, rybko, ja jeszcze pomyślę...

W domu Zinoczka wyjęła z szafki duży słoik. Wylała do niego rybkę ze szkatułki i zaniosiła do kuchni, żeby dolać wody do pełna.

— Zaraz będziesz miała świeżą wodę — powiedziała. — Poczekaj chwilę. Odkręciła kran i przezroczyta ciecz trysnęła do słoja.

— Stój! — krzyknęła rybka. — Czyś ty zwariowała?! Chcesz mnie zabić. Zakręć kran! Natychmiast mnie wyjmij! Oj, oj, oj!

Zinoczka przestraszyła się. Wyjęła rybkę i zacisnęła ją w rękę...

Po kuchni zaczął rozchodzić się mdlący odór wódki.

— Co to jest — zdziwiła się Zinoczka. — Co się stało?

— Wody! — wyszeptała rybka. — Wody... umieram...

Zinoczka zakręciła się na pięcie, chwyciła czajnik. Na szczęście była w nim woda. Rybka ożyła. Strumyk wódki nadal ciekł z kranu, wypełniając kuchnię odurzającym zapachem.

— Skąd się wzięła wódka? — zdumiała się Zinoczka.

— Nie domyślasz się? — powiedziała rybka. — Jakiś idiota chciał sprawdzić nasze możliwości i rozkazał, żeby zamiast wody w rurach ciekła wódka. Widać na młodą rybkę trafił, na niedoświadczoną. Ja bym na jej miejscu odmówiła. Kategorycznie. To nie życzenie, tylko sabotaż i szkodnictwo.

— A gdzie jest teraz woda?

— Wydaje mi się, że wódka szybko się skończy. Ktoś inny każe spełnić przeciwstawne życzenie.

— A jeśli nie?

— Jeśli nie, musisz się przyzwyczaić. A w ogóle to skandal! Wódka trafiła do rur kanalizacyjnych, a stamtąd chyba do jezior i rzek, gdzie może wszystko wytruć. Wiesz co, Zinoczko, mam do ciebie osobistą prośbę. Każ zamienić wódkę w wodę. Zużyj jedno życzenie.

My ci za to unikalne futro wymyślmy.

— Ja unikalnego nie potrzebuję — powiedziała Zinoczka. — Po co mi unikalne? Ja bym bardzo chciała kozuch. Bułgarski. Moja ciotka z Wołody taki ma.

— To znaczy, że zużywamy od razu dwa życzenia, tak?

— Zużywamy — powiedziała Zinoczka, trochę już żalując, iż zostało jej tylko jedno życzenie.

Kozuszek zmaterializował się na oparciu krzesła. Był zamszowy, w jasnobrązowym, delikatnym, ciepłym kolorze. Zdobiał go biały, futrzany kołnierzyk.

— Wybacz, ale podbiłam go norką — powiedziała rybka. — Miło jest służyć porządnemu człowiekowi. Trzecie życzenie teraz będziemy robić, czy poczekamy?

— Można trochę poczekać? — poprosiła Zinoczka. — Pomyślę.

— A myśl sobie, myśl. Zjedz coś. I mnie okruszynek nasyp. Bądź co bądź ja też jestem żywe stworzenie.

— Wybaczcie! — powiedziała Zinoczka. — Całkiem zapomniałam.

*

...Udałow wszedł do domu razem z Łożkinem, Grubin zatrzymał się na podwórku, aby wymienić wrażenia z przyjaciółmi. Udałow wchodził po schodach razem z sąsiadem i obaj mieli do siebie pretensje. Udałow wyrzucał Łożkinowi:

— Chcieliście wszystko załatwić w sekrecie? Wszystko dla siebie?

Łożkin nie odpowiadał.

— Żeby, znaczy, całe miasto było jak dawniej, a żebyście tylko wy jedni żyli jak milioner Rockefeller? Wstyd! Po prostu okropny wstyd!

— A twoja żona szpiegowała — powiedział Łożkin ostrym tonem i wślizgnął się w drzwi, za którymi już stała jego małżonka z uchem przyłożonym do dziurki od klucza.

Udałow chciał odpowiedzieć coś obraźliwego, ale nie zdążył, bo i jego żona wybiegła z pokoju, wyrwała mu z rąk słoik i powiedziała z zawodem w głosie:

— Dlaczego tylko jedna? Przecież dałam pieniądze na dwie.

— Drugą wziął Grubin — odparł Udałow. — My z nim razem poszliśmy do sklepu.

— Mógł sam sobie kupić — obraziła się Ksenia. — Przecież masz dzieci. A on kawaler.

— Dobra już, dobra — powiedział Udałow. — Trzech życzeń ci za mało?

— Byłoby sześć. Łożkinowie mają sześć.

— Nie denerwujcie się, obywatelko — powiedziała złota rybka. — Więcej niż trzy życzenia i tak nie wolno.

— Na osobę?

— Na osobę, na rodzinę albo na kolektyw. Wszystko jedno.

— To znaczy, że Łożkin na próżno po drugą rybkę latał? Na próżno chciał dziesięć kupić?

— Na próżno — odparła rybka. — Czy nie moglibyście pospieszyć się z życzeniami?

Spełniłabym i popłynęła sobie.

— Nie pali się — powiedziała Ksenia zdecydowanym tonem. — A ty, Korneliuszu, idź, umyj ręce i siadaj do stołu. Wszystko ostygło.

Korneliusz posłuchał, chociaż obawiał się, że żona pod jego nieobecność zażąda różnych głupstw.

Przy umywalce czekała na Udałowa przyjemna niespodzianka. Ktoś domyślił się, żeby zamienić wodociągową wodę na wódkę. Korneliusz nie podnosił szumu. Umył się wódką, chociaż szczypała go trochę w oczy. Potem napił się z podstawionej garści, niczym nie zakąsił i nalał sobie jeszcze na zapas cały pięciolitrowy garnek.

— Gdzie cię nosiło? — krzyknęła niecierpliwie żona z pokoju.

— Zaraz — powiedział Udałow, któremu język trochę się już plątał.

Do kuchni przyszedł Łożkin z ręcznikiem przerzuconym przez ramię. Patrzył spode łba. Pociągnął nosem i łypnął okiem na gar z wódką. Udałow przycisnął garnek do brzucha i szybko wszedł do swojego pokoju.

— Masz — powiedział do żony. — Szykuj zakąskę. Nie moje życzenie, cudze.

Ksenia od razu zrozumiała, rozlała wódkę do pustych butli i zakorkowała.

— Jaki człowiek! Jaka państwowa głowa! — chwalił Udałow nieznanego dobroczyńcę. — Nie taki, żeby tylko dla siebie coś zamówić. Nie, całemu miastu radość sprawił. Ale Łożkin się zdziwi. Na mnie pomyśli!

— A może to on sam?!

— Nigdy. To egoista!

— A jeśli on na ciebie pomyśli i powie, gdzie trzeba, że zatruwasz wodę w mieście, po główce cię nie pogładzą.

— Niech spróbują dowieść! To przecież nie ja, tylko złota rybka. Z podwórza huknęła pieśń.

— Patrzaj — powiedział Udałow. — Słyszysz? Naród już korzysta.

A Łożkin tymczasem zaczął się myć wódką. Zdziwił się, parsknął, potem zorientował się w sytuacji i poleciał spytać o radę żonę, a kiedy stara Łożkina przyszła z naczyniem, zamiast wódki ciekła już woda, wynik realizacji Zinoczkiniego życzenia. Starucha skłęła Łożkina za powolność i już mniej więcej spokojnie zaczęli zastanawiać się, w jaki sposób zużyć pięć życzeń, dwa należne do pierwszej rybki i trzy do drugiej.

Grubin swoje podstawowe życzenie spełnił od razu na podwórku.

— Ja — powiedział w obecności mnóstwa świadków — chciałbym, złota rybko, otrzymać brazylijską papugę arę, która może nauczyć się ludzkiej mowy.

— To nic trudnego — odparła rybka — ja sama przecież potrafię mówić po ludzku.

— Zgoda — powiedział Grubin, postawił słoik z rybką na ławce, wyjął z kieszeni grzebień i w oczekiwaniu na uroczysty moment przecesał gęste, rozwichrzone kosmyki.

— Chwileczkę — powiedziała złota rybka. — Z Brazylii droga daleka... Trzy, cztery, pięć.

Wspaniała, ogromna, wielobarwna, dumna papuga ara siedziała na gałęzi drzewa tuż nad Grubinem i przechyliwszy głowę na bok patrzyła na stojących pod drzewem ludzi.

Grubin zadarł głowę i powiedział:

— Cip, cip! Chodź tutaj, drogi ptaku.

Papuga zastanawiała się, czy warto zeskoczyć, na wyciągniętą dłoń Grubina, gdy akurat weszli na podwórko śpiewający głośno radosną pieśń Pogosjan z Kacem, również posiadacze złotych rybek. Jak się później okazało, to właśnie oni, niezależnie jeden od drugiego, przekształcili wodę w wódkę. Teraz, zadowoleni z wyników doświadczenia i ze zbieżności swoich życzeń, szli ku sąsiadom, aby obwieścić im początek nowej ery.

— Carramba! — powiedziała papuga, ciężko zeskoczyła z gałęzi drzewa i wleciała ponad dachy. Tam zatoczyła koło, strasząc wrony i połyskując tęczowymi skrzydłami.

— Carramba — krzyknęła ponownie i wzięła kurs na zachód, ku brzegom ojczyznej Brazylii.

— Zawróć ją! — krzyknął Grubin. — Zawróć ją natychmiast!

— To twoje drugie życzenie? — zapytała podstępnie rybka.

— Pierwsze! Przecież go nie spełniłaś?

— Zamawialiście papugę, towarzyszu Grubin?

— Zamawiałem. A gdzie ona jest, złota rybko?

— Odleciała.

— Przecież mówię.

— Ale była.

— I odleciała. Dlaczego nie w klatce?

— Dlatego, że wy, towarzyszu Grubin, klatki nie zamawialiście.

Grubin zamyślił się. Był człowiekiem w zasadzie sprawiedliwym i przyznał rybce rację. Klatki istotnie nie zamawiał.

— W porządku — powiedział. — Niechaj będzie papuga ara w klatce.

W ten sposób Grubin zużył swoje drugie życzenie i dlatego wzięwszy klatkę z arą w jedną rękę, zaś słoik z rybką w drugą, poszedł do domu. Wtedy to na podwórko wszedł inwalida Eryk.

Eryk obszedł już pół miasta. Szukał rybki dla Zinoczki, nie mając pojęcia, że dziewczyna otrzymała ją w подарunku od Wiery Jakowlewny.

— Dzień dobry — powiedział. — Czy ktoś ma może przypadkiem zbędną złotą rybkę?

Grubin zgarbił się i wolniutko ruszył ze swoim bagażem w kierunku domu. Zostało mu tylko jedno życzenie, ale za to mnóstwo potrzeb. Pogosjan pomógł Kacowi zawrócić w stronę drzwi. Ich rybki też już były częściowo wykorzystane. Okna w pokojach Udałowa i Łóżkina zatrzęsnęły się.

— Ja nie dla siebie! — krzyknął Eryk w pustkę. Nikt mu nie odpowiedział.

Eryk poprawił pusty rękaw i kulejąc powłókł się z podwórka na ulicę.

— Musimy starannie przemyśleć, o co będziemy prosić — mówiła w tym czasie do męża Ksenia Udałowa.

— Ja chcę rower — powiedział ich syn Maksymek.

— Milczeć! — parsknęła Ksenia. — Idź się bawić. Bez ciebie wymyślimy, o co prosić.

— Moglibyście się pospieszyć — powiedziała złota rybka. — Przed wieczorem chciałybyśmy już być w rzece. Zanim nadejdą mrozy, musimy dotrzeć do Morza Sargassowego.

— Kto by pomyślał! — powiedział Udałow. — Też ich do kraju ciągnie.

— Złożyć ikrę — wytłumaczyła rybka.

— Ja chcę rower — krzyknął z podwórka Maksymek.

— Moglibyście zrobić chłopakowi przyjemność, naprawdę chce mieć rower — powiedziała rybka.

— A może jednak? — powiedział Udałow.

— Ja już nie mogę — oburzyła się Ksenia. — Wszyscy podpowiadają, wszyscy przeszkadzają, wszyscy czegoś żądają.

*

Gubin postawił klatkę z papugą na stole i zaczął zachwycać się ptakiem.

— Ty cudo moje — powiedział pieszczotliwie.

Papuga nie odpowiedziała.

— To znaczy, że ona nie umie, czy co? — zapytał Grubin.

— Nie umie — odparła rybka.

— Dlaczegoż to? Przecież tak jakby dopiero co mówiła „carramba”.

— To była inna, oswojona, z zamożnej brazylijskiej rodziny. A drugą trzeba było dziką łowić.

— I co teraz robić?

— Jak chcesz trzecie życzenie, to je wypowiedz. Ja ją w jednej chwili nauczę.

— Tak? — Grubin zastanawiał się przez chwilę. — Nie, już sam ją nauczę.

— Może masz rację — zgodziła się rybka. — Co więc będziemy dalej robić? Chcesz może mikroskop elektronowy?

*

... Mocą swojego pierwszego życzenia członkowie kółka biologicznego szkoły średniej numer jeden — kolektywny posiadacz jednej z rybek — stworzyli na tylnym dziedzińcu szkoły zwierzyńiec z tygrysiatkami, morsem i z mnóstwem królików. Drugim życzeniem osiągnęli to, że im przez cały tydzień nie będą zadawać lekcji do domu. Z trzecim życzeniem był kłopot, dyskusje i wielki krzyk. Dyskusja przeciągnęła się niemal do wieczora.

*

Prowizor Sawicz przez całą drogę do domu przebierał w myślach mnóstwo wariantów. Przy samej bramie dopadł go nieznamy mężczyzna w ogromnej cyklistówce.

— Słuchaj — powiedział mężczyzna. — Chcesz dziesięć tysięcy?

— Za co? — spytał Sawicz.

— Dziesięć tysięcy daję — rybka moja, pieniądze twoje. Dla mnie, rozumiesz, zabrakło. Na bazarze stałem, owoc sprzedawałem, spóźniłem się, rozumiesz.

— A po co wam rybka? — spytał prowizor.

— Nie twoja sprawa? Chcesz forse? Jeszcze dziś, przekazem telegraficznym?

— No to wytłumaczcie mi wreszcie — powtórzył Sawicz — po co wam rybka? Przecież ja też chyba z jej pomocą mogę zdobyć dużo pieniędzy.

— Nie — powiedział mężczyzna w cyklistówce. — Rybka dużo pieniędzy nie może.

— On ma rację — powiedziała rybka — ja nie mogę zrobić dużej ilości pieniędzy.

— Piętnaście tysięcy — powiedział mężczyzna w cyklistówce i wyciągnął rękę po słoik z rybką. — Więcej nikt nie da.

— Nie — powiedział twardo Sawicz.

Mężczyzna szedł za nim, wyciągał rękę i dorzucał po tysiącu. Kiedy doszedł do dwudziestu, Sawicz ostatecznie się rozeźlił.

— To skandal! — powiedział. — Idę sobie do domu, nikomu nie wchodzę w drogę, a tu jacyś zaczepiają, proponują podejrzaną transakcję. Rybka przecież kosztuje dwa ruble i czterdzieści kopiejek.

— Mogę ci dać i dwa ruble — ucieszył się mężczyzna w cyklistówce. — I jeszcze dwadzieścia tysięcy dołożę. Dwadzieścia jeden!

— No to powiedzcie, po co wam?

Mężczyzna w cyklistówce zbliżył wargi do ucha Sawicza i powiedział:

— Samochód wołga będę kupował.

— No to kupujcie, skoro macie tyle pieniędzy.

— Lewe dochody — przyznał się mężczyzna w cyklistówce. — A jak przyjdzie inspektor finansowy, to mu rybkę pokażę — proszę bardzo. Wy mi tylko wystawcie kwit, dowód wpłaty na dwa ruble czterdzieści.

— Proszę natychmiast odejść! — oburzył się Sawicz. — Jesteście oszustem!

— Dlaczego tak ostro? Dwadzieścia trzy tysiące daję. Niezły pieniądz. Z torbami pójdę.

— Odpędź go — powiedziała rybka. — On mi się też nie podoba.

— No i widzicie — powiedział Sawicz.

— Dwadzieścia cztery tysiące!

— Już wiem — powiedział Sawicz. — Żeby ten człowiek niezwłocznie wyniósł się do domu. Żeby zniknął bez śladu. Ja już dłużej nie wytrzymam!

— Wykonać? — spytała rybka.

— Niezwłocznie!

I mężczyzna zakołysał się w trąbie powietrznej, a następnie zniknął. Tylko cyklistówka została na jezdni.

— Dziękuję — powiedział Sawicz do rybki. Nie wyobrażacie sobie, jak bardzo mi dokuczył. Chodźmy teraz do domu, gdzie godnie spożytkujemy pozostałe życzenia.

Tego dnia w mieście wydarzyło się jeszcze wiele cudów. Niektóre z nich pozostały własnością osób prywatnych i ich rodzin, o niektórych zaś dowiedział się cały Wielki Guslar. Do tej drugiej kategorii zaliczyć należy dziecięcy ogród zoologiczny, który do tej pory stanowi jedną z największych osobliwości miasta, i historię z wódką cieknącą z kranów, i wybrukowany zaułek, i pojawienie się w domu towarowym zagadkowe i niewytłumaczalne, wielkiej ilości francuskich perfum, i ciężarówkę borowików dostrzeżoną przez wielu przed domem Sieńkinów, i nawet pypeć na języku pewnej kłótlivej osoby. Wreszcie trzy wesela niespodziewane dla otoczenia i wiele, wiele innych...

Pod wieczór, gdy zbliżał się termin odniesienia rybek do rzeki, większość życzeń została już wyczerpana.

Ulicą Puszkina w kierunku nabrzeża walił tłum. Tworzyli go zarówno posiadacze rybek, jak zwyczajni gapie.

Szli Udałowicie całą rodziną. Przodem Maksymek na rowerze, a za nim reszta rodziny. Ksenia ścisnęła w rękę szmatkę, którą jeszcze przed chwilą ścierała kurz z nowego fortepianu marki „Becker”.

Szedł Grubin. Niósł nie tylko słoik z rybką, lecz także klatkę z papugą. Chciał, aby wszyscy widzieli, że jego marzenie wreszcie się spełniło.

Szli Łóżkinowie. Stary miał na sobie nowy garnitur z szewiotu i jeszcze osiem niezłych garniturów zostało mu w szafie.

Szli, obejmując się, Pogosjan z Kacem. Nieśli we dwóch flaszkę. Żeby nie zostawiać na jutro.

Szła Zinoczka.

Szedł Sawicz.

Szli wszyscy pozostali.

Zatrzymali się na brzegu.

— Chwileczkę — powiedziała jedna ze złotych rybek. — Jesteśmy wam bardzo wdzięczne, obywatele tego wspaniałego miasta. Wasze życzenia, chociaż często wygłaszane nazbyt może pośpiesznie, uradowały nas swą różnorodnością.

— Nie wszystkie — zaproponowały rybki ze słoika Pogosjana–Kaca.

— Nie wszystkie — zgodziła się rybka. — Jutro wielu z was zacznie trapić wątpliwość. Wielu z was będzie sobie wyrzucać, że nie zażądało złotych pałaców. Nie trzeba. Mówimy wam: jutro nikt z was nie będzie czuł się rozczarowany. Tak chcemy i jest to nasze kolektywne, rybnie życzenie. Rozumiecie?

— Rozumiemy — odparli mieszkańcy miasta.

— Durrnie — powiedziała papuga ara, która jak się okazało, miała zdolności językowe i już nauczyła się kilku słów.

— Teraz można już nas wpuszczać do wody — powiedziała rybka.

— Stójcie! — rozległ się krzyk z góry.

Wszyscy obrócili się w stronę miasta i zdrtwili z przerażenia. Nic dziwnego, gdyż widok, jaki ukazał się ich oczom, był niezwykle i tragiczny.

Ku brzegowi biegł człowiek z dziesięcioma nogami i mnóstwem rąk i machał wszystkimi tymi rękoma jednocześnie.

Kiedy człowiek podbiegł bliżej, wszyscy poznali go.

— Eryk! — powiedział ktoś.

— Eryk — powtórzyli ludzie, rozstępując się na boki.

— Co się ze mną stało? krzyczał Eryk. — Co się ze mną stało? Czyja to wina? Po co to?

Twarz miał czystą, bez śladów oparzenia, włosy rozwiane.

— Ja po mieście biegałem, prosiłem o rybkę — ciągnął straszliwy Eryk, gestykulując dwudziestoma rękami, z których jedna była z lewej, a pozostałe z prawej. — Położyłem się odpocząć, zdrzemnąłem się, a po przebudzeniu byłem już taki.

— Oj — powiedziała Zinoczka. — To ja jestem wszystkiemu winna. Co ja narobiłam! Ale chciałam, żeby było jak najlepiej. Prosiłam, żeby Eryk miał nową rękę, nową nogę i zdrową twarz. Chciałam jak najlepiej, bo mi życzenie zostało.

— I ja — powiedział Grubin.

— I ja — powiedział Sawicz.

Łącznie przyznało się do tego osiemnastu ludzi.

Ktoś nerwowo zachichotał w ciszy, która zapadła nad tłumem.

Sawicz zapytał swoją rybkę:

— Nie możecie nam pomóc?

— Niestety nie — odparła rybka. — Wszystkie życzenia zostały zużyte... Trzeba będzie zawieźć go do Moskwy, żeby mu tam zbędne kończyły obcieli.

— Taak, ładna historia — powiedział Grubin. — W ogóle, jak trzeba, to zabierzcie sobie moją cholerną papugę.

— Dureń — powiedziała papuga.

— Nie pomoże — powiedziała rybka. — Nie mamy władzy odwracania życzeń.

Wtedy na scenie pojawili się młodzi przyrodnicy ze szkoły średniej numer jeden.

— Kto potrzebuje dodatkowego życzenia? — zapytał jeden z nich. — My dwa zużyliśmy, a co do trzeciego nie mogliśmy się dogadać.

W tej chwili dzieci zobaczyły Eryka i przestraszyły się.

— Nie bójcie się, dzieci — powiedziała złota rybka. — Jeśli nie macie nic naprzeciw, doprowadzimy do porządku strażaka Eryka.

— Nie mamy — powiedzieli młodzi przyrodnicy.

— A wy, mieszkańcy miasta?

— My też nie — odpowiedzieli rybkom ludzie.

I w tej samej chwili nastąpiło zmętnienie powietrza, a Eryk powrócił do swego naturalnego, zdrowego stanu. I okazał się zresztą, całkiem przystojnym i sympatycznym chłopcem.

— Hoop-la! — powiedziały chórem rybki, wyskoczywszy ze słoików, akwariów i innych naczyń, aby złotymi błyskawicami wpaść do rzeki.

I znikły.

Bardzo spieszyły się do Morza Sargassowego składać ikrę.

KONTAKTY OSOBISTE

Siedzieli na podwórku i grali Xv domino. Właśnie ustał obfity, letni deszcz. Było pogodnie i ciepło. Chmury, które wytrząsnęły już z siebie wodę, płynęły teraz nad miastem puszyste i spokojne, a kałuże szybko wysychały. Nadchodziła pora kolacji, gra się już wszystkim trochę znudziła i teraz każdy by sobie pogadał o różnych różnościach.

— Coś się dzisiaj zmęczyłem — powiedział Wasilij Wasiljewicz, łowiąc nosem skomplikowane aromaty, docierające do graczy z dwunastu kuchni domu.

— Gorąco było — zgodził się Walentin Kac, mieszając kamienie i zapytał kolegów: — Jeszcze jedną partyjkę?

W tej samej chwili na podwórko wszedł Korneliusz Udałow. Był spocony, blond włoski miał skołtunione, spodnie zabłocone, marynarkę zarzuconą na ramię, a w rękach trzymał upapraną puszkę po białej farbie z pędzlem w środku.

— Patrzenie — powiedział Pogosjan. — Korneliusz został malarzem?!

— Baran — skwitował Udałow, zerknął na swoje okno, aby przekonać się, czy nie wygląda z niego żona Ksenia, postawił puszkę na ziemi i przysiadł na ławce.

— Historia mi się przydarzyła — powiedział. — Fantastyczna.

— Zawsze coś ci się przytrafia — mruknął Walentin. — Może jednak strzelimy partyjkę?

— Co za historia? — zapytał Pogosjan.

Udałow, który wyraźnie chciał pogadać, natychmiast odpowiedział:

— Drogę na Griaznuchę znacie? Do sanatorium?

— No.

— To właśnie tam wszystko się stało. Nie było dzisiaj drogi.

— A niby gdzie się podziała?

— Nawet nie wiem, co na to odpowiedzieć — odrzekł Udałow. — Ludzkość jeszcze do tego nie dorosła.

— Ty, Korneliuszu, nie kręć — obraził się Wasylj Wasiljewicz. — Zawsze ci się jakieś historie przytrafiają i zawsze nadajesz im kosmiczne znaczenie.

— Właśnie kosmiczne. Ni mniej, ni więcej, tylko właśnie kosmiczne.

— Jasne — powiedział Grubin, który przez otwarte okno swojej izdebki doskonale słyszał całą rozmowę. Zajmował się akurat robotą nudną, chociaż twórczą. Rzeźbił mianowicie w ryżowym ziarenku „Słowo o wyprawie Igora”. — Jasne, Amerykanie wieźli kamień z Księżyca, po drodze upuścili i trafili prosto w Korneliuszową drogę.

— Cynik z ciebie, Grubin — powiedział Korneliusz Udałow ze smutkiem w głosie.

Wszyscy dokładnie widzieli, że język go świerzbi, żeby opowiedzieć całą historię, ale na razie nie może się zdecydować. Na jego pulchnej twarzy pojawiły się kropelki potu.

— Cynik z ciebie, Grubin, ale najdziwniejsze, że prawie trafiłeś w sedno, chociaż nie potrafisz sobie wyobrazić całej ogromnej wagi takiego wydarzenia. Ja przecież dałem słowo, niemal zobowiązanie dochowania tajemnicy.

— No to dochowuj — powiedział Grubin.

— Toteż dochowam — powiedział Udałow.

— Potrzebne nam twoje historie — powiedział Grubin, który wbrew pozorom był najlepszym przyjacielem Udałowa, o czym wszyscy wiedzieli.

— No więc, co ci się na tej drodze przytrafiło? — zapytał Wala Kac. — Opowiadaj szybciej, bo żona zaraz mnie zawoła na kolację.

— Nie uwierzycie — powiedział Udałow.

— Nie uwierzimy — zgodził się Grubin z okna.

Ale Udałow już się zdecydował opowiedzieć i nie słuchał grubiańskich słów. Oczy mu zmętniały i nabrały wyrazu obcości, z jakim w dawnych czasach bajarze przystępowali do strojenia gęśli i zwracali twarz ku kniaziowi, aby snuć długą, pasjonującą opowieść, prawdopodobną dla słuchaczy i całkowicie łgarską dla ich potomków.

— Dzisiaj do Griaznuchy poszedłem na piechotę — rozpoczął Udałow — Do mleczarni autobusem, a dalej piechotą. Za miesiąc będziemy musieli zmienić dach na sanatorium. No to poszedłem zobaczyć.

— A co z twoim służbowym samochodem? — zapytał Grubin

— Samochód pojechał do Połomy po generator. Samochód mamy jeden dla wszystkich. A ja udałem się do sanatorium. Po co niby mam się spieszyć, pytam? I Dokąd mam się spieszyć, jeśli droga wiedzie przez las, miejscami nad samym brzegiem rzeki, ptaki śpiewają, dookoła żadnego ruchu i nawet urlopowiczów nie widać.

— A to prawda, że sanatorium zamknęli? — zarzytał Wasilij Wasiljewicz.

— Tymczasowo — odparł Udałow. — Na razie borowina się skończyła. Będziemy pewnie narzan przywozić. Ale to się jeszcze zobaczy. Właśnie wtedy ich spotkałem.

— Urlopowiczów?

— Jakich urlopowiczów? Ludzi w moskwiczu. Całą rodzinę. Pewnie turyści. Na dachu mieli namiot, materace, a nawet dziecienny wózek. Dlatego się z nimi nie zabrałem, że było ich w wozie pięcioro.

— Po co niby miałeś się z nimi zabierać?

— Jak to po co? Żeby do sanatorium podrzucili.

— Przecież oni jechali z przeciwka.

— Nie, Walentin, wszystko pomyliłeś. Najpierw oni mnie wyprzedzili. I ja się z nimi nie zabrałem. Albo mi to pilno? A potem oni zawrócili. Ten, który siedział za kierownicą, był blady jak śmierć, dzieci płaczą, rwetes, krzyk. Kierowca wysunął się przez okno i macha do mnie ręką, żebym zawracał. Ale, myślę sobie, dziwak. Nie wiedziałem jeszcze, co mnie czeka za zakrętem.

— Za zakrętem na Korneliusza czekał zimny trup — powiedział Grubin.

— Nie przerywaj! — oburzył się Pogosjan. — Słyszysz, że człowiek opowiada, a ty mu przerywasz.

— Za zakrętem czekał na mnie znak. „Uwaga — roboty drogowe!” Znacie taki znak? Trójkąt, a w jego środku człowiek z łopata. Zdziwiłem się, co to za roboty drogowe bez mojej wiedzy? Nasze miasto jest niewielkie i nie może być takich robót. I jeszcze to mnie zdziwiło, że znak był jakiś dziwny. Źle wykonany z punktu widzenia estetyki i sztuki malarskiej. Robotnik miał trzy nogi i bardzo niechlujny wygląd.

— A kto u nas znaki robi?

— Znaki nam przysyłają z Wołogdy. Znaki to sprawa milicji. Ale nie o to chodzi. Nie chodzi o to czy znak dobry, czy zły, ale o to, że trzy nogi.

— Chuligaństwo — powiedziała stara Łożkina, która już nakarmiła swojego męża i teraz wcisnęła się w szparę między akwarium a klatkę z kanarkiem, żeby posłuchać ciekawej historii.

— Ja też tak pomyślałem — zgodził się Udałow. — A jeszcze zaniepokoił mnie ludzie z moskwicza. Czego się tak zlekli?

— Chuligaństwo. Jasna sprawa, chuligaństwo — powtórzyła stara Łożkina.

— No więc stoi zakopany w ziemię nie znany mi znak, a zza zakrętu dobiega dźwięk metalu i hałas charakterystyczny dla robót budowlanych.

Robię jeszcze dziesięć kroków i to, muszę się przyznać, robię z całą ostrożnością. Widzę: w

poprzek drogi zaporą, szlaban innymi słowy. A na nim czarny napis: „Przejazd wzbroniony”. A tuż za szlabanem akurat zawraca bardzo dziwny spychacz, na którym siedzi, pewnie mi nie uwierzycie, obcoplanetny przybysz z kosmosu, który ma cztery ręce i troje oczu.

— Ale zalewa — powiedział Pogosjan, który nie uwierzył ani jednemu słowu.

— Walentin, kolacja stygnie! — krzyknęła przez okno żona Kaca.

— Poczekaj — powiedział Kac. — Dosłucham i przyjdę.

— Popatrzcie tylko, co się dzieje — krzyknęła żona Kaca do starej Łóżkiny — Walentin nie leci, kiedy go wołam na kolację!

— Na głowie miał przezroczysty hełm. Jak kosmonauci — kontynuował Udałow, przymykając oczy, aby wyraźniej przywołać ten widok. — Z hełmu sterczały mu jakieś druciki, a ubrany był w pomarańczowy kombinezon. Zobaczył mnie, ale udał, że nie dostrzega, zgasił silnik, zeskoczył na ziemię i widzę ci ja, że ma minimum trzy nogi, i co charakterystyczne, każdą w innym bucie. Przywitałem się, gdyż byłem w stanie silnego szoku, a on mi na to też mówi: „Dzień dobry”.

— Ale zalewa! — powiedział Pogosjan. — „Dzień dobry”, znaczy, powiedział w swoim międzyplanetarnym języku, a Korneliusz, rzecz jasna, włada nim od dzieciństwa, tak?

— Od dzieciństwa — zgodził się Grubin, który już dawno odłożył swoją robotę i nie przepuścił ani jednego słowa.

— On po rosyjsku się do mnie odezwał — zaoponował Udałow. — Wtedy ja go z całą szczerością i odpowiedzialnością zapytałem: „A kto dał zlecenie na wykonanie roboty?”

— Naturalnie — powiedział Grubin. — Widzimy człowieka na trzech nogach, gościa z dalekich gwiazdnych światów i zamiast „Serdecznie witamy” od razu z pyskiem: „Kto pozwolił?”

— Przestraszyłem się — powiedział Udałow. — W przeciwnym razie zwróciłbym się do niego jak należy. Ale z przestachu wziąłem byka za rogi.

— To on miał rogi? — zdziwiła się stara Łóżkina.

— On to w przerośni powiedział — wyjaśnił Wasilij Wasiljewicz.

— Idę — powiedział Pogosjan. — Idę, bo Udałow zamiast kolacją bajkami mnie tu karmi.

Ale Pogosjan nigdzie nie poszedł. Bardzo chciał, żeby go zatrzymywali, mówili, że to wszystko żarty, ale nikt nie zatrzymywał i niczego takiego nie mówił. Wszyscy wiedzieli, że wprawdzie Udałow ma bujną wyobraźnię i jest człowiekiem nerwowym, ale brzydzi się kłamstwa, a w dodatku Ksenia, jego małżonka, za mijanie się z prawdą urwałaby mu głowę.

— Ja go pytam — kontynuował tymczasem Udałow — a on wymachuje swoimi łapkami i powiada: „Skandal, bałagan kosmiczny”.

— A duzi są ci przybysze? — zapytał Wasilij Wasiljewicz.

— Nie, nie bardzo, wzrostu dziesięciolatka — odparł Udałow.

— Tak też myślałem — powiedział Wasilij Wasiljewicz. — Gdzie niby mieli urosnąć?

— Chciałem przejść pod szlabanem, a on mnie z początku nie puszczał, napis pokazywał i mamrotał, że przejście wzbronione. Ja mu na to, że jestem kierownikiem komunalnego przedsiębiorstwa budowlanego miasta Wielki Guslar, na przedmieściach którego on prowadzi nie znane mi prace remontowe.

— I nie przestraszyłeś się?

— Przestraszyłem się później — wyznał Udałow. — A z początku wzięło górę oburzenie. Jeździ tu jeden z drugim spychaczem, nie puszcza, ludzi straszy, a co najważniejsze, spychacz ma obcej marki. Wówczas ten przybysz trochę spuścił z tonu i mówi do mnie: „Bardzo przepraszam, czy nie byłibyście tak uprzejmi pójść ze mną, porozmawiać z naszym zwierzchnictwem?”

Żona Kaca wychyliła się przez okno aż do pasa i omal nie wypadła na podwórze.

— I ty poszedłeś?

— A niby dlaczego nie? Poszedłem. Przelazłem pod szlabanem i ruszyłem do zakrętu, tam, za wzgórkami, ujrzałem zadziwiający widok. Dopiero wówczas wszystko zrozumiałem. Droga na odcinku co najmniej trzydziestu metrów była całkowicie zniszczona, jakby kto w nią rąbnął ogromnym młotem albo spuścił z góry lawinę. Ale ja od razu zrozumiałem, o co chodzi, bo trochę dalej na zboczu leżał, przechylony na bok, ich latający talerzyk.

— A jakie miał znaki rozpoznawcze? — zapytał podejrzliwie Pogosjan.

— Aparat nie miał żadnych znaków rozpoznawczych — odparł Udałow. — Im to nie jest potrzebne. Leżał więc sobie ten talerzyk, a wokół niego kłębił się tłum przybyszów. Jedni statek naprawiają, inni krzątają się na drodze. Sprzęt, urządzenia mechaniczne, maszyny drogowe — aż dziw bierze, ile tego wszystkiego może się pomieścić w niewielkim talerzyku.

Grubin wyszedł przez okno i zbliżył się do stołu.

— Ja ich pytam: „Przymusowe lądowanie?” Na to z tłumu wychodzi do mnie jeden, też na trzech nogach, i powiada: „Skandaliczne lądowanie. Chuligańskie lądowanie. Powiem uczciwie, że udzieliłem nawigatorowi dwóch surowych nagan, w tym jednej z ostrzeżeniem”. Ja na to: „Czemu tak ostro?” A on mi na to odpowiada...

Przy tych słowach Udałow przerwał opowieść, bowiem poczuł, niczym Szeherazada, że słuchacze są pod całkowitym urokiem jego historii. Obrócił się w stronę swojego okna i zapytał surowo:

— Ksenia, kiedy kolacja? Ksenia nie odpowiedziała.

— Zdązysz jeszcze zjeść kolację — powiedział Kac. — Najpierw dokończ swoją bajkę.

— Dla kogo bajka, dla kogo prawda — powiedział Udałow. Nikt się nie roześmiał.

— Dawaj dalej — powiedział Wasilij Wasiljewicz. — Robi się chłodno.

— No więc pytam — ciągnął Udałow zapalając papierosa — „Dlaczego tak ostro?” A główny przybysz odpowiada: „A co mam robić? Postawcie się — powiada — na nasze miejsce. Przylatujemy na obcą planetę Mamy — powiada — kategoryczne polecenie unikania kontaktów i ograniczenia się jedynie do obserwacji wizualnej. Tubylcze — powiada — cywilizacje, powinny rozwijać się wedle własnych praw”.

— Jakie niby tubylcze cywilizacje? — zapytał Pogosjan.

— My — odparł Grubin za Udałowa.

— My nie jesteśmy cywilizacją tubylczą — oburzył się Pogosjan. — To obraźliwe słowo! Wychodzi, że na golasa biegamy, tak? Na golasa?!

— Nie obrażaj się — powiedział Grubin. A Udałow tymczasem kontynuował:

— „Wybieramy — powiada mi główny przybysz — spokojne miejsce pod niewielkim miasteczkiem...”

— Jakie niewielkie miasteczko? — zapytał Pogosjan. — Wielki Guslar to niewielkie miasteczko, tak?

— „Wybieramy niewielkie, spokojne miasteczko, chcemy wylądować w pobliżu, żeby zebrać próbki flory i zrobić rozmaite zdjęcia. A tu nagle z winy tego niedouczzonego nawigatora następuje katastrofa!”

— I słusznie — powiedziała stara Łożkina. — Słusznie, że udzielił nawigatorowi surowej nagany z ostrzeżeniem. Jeśli wypuścili cię w kosmos, to pracuj, a nie dłub w nosie.

— Może on zobaczył z góry, jaka piękna jest nasza ziemia w okolicach Wielkiego Guslaru — powiedziała żona Kaca — i ręka mu drgnęła?

— A te ich nagany bywają z zawieszeniem czy bez? — zapytał Wasilij Wasiljewicz.

— Nie wiem, nie pytałem — powiedział Udałow. — Jeśli kogoś nie interesuje, to niech sobie

idzie do domu i nie przeszkadza. Dyskutuje tu jeden z drugim!

Udałow, znajdując się w centrum uwagi, najwyraźniej zbeczelniał i w jego głosie dawały się teraz wyczuć metaliczne nuty. Słuchacze zamilkli.

— Wokół nas krzątają się roboty, jeżdżą maszyny, kosmonauci się spieszą, żeby naprawić szkodę, zanim ich hańba dotrze do wiadomości publicznej mieszkańców Ziemi. Dowódca kiwa hełmem, wzdycha po swoim i mówi dalej: „A jak się będziemy czuli, kiedy galaktyka dowie się, że nasz statek zniszczył drogę na Ziemi w okolicach Wielkiego Guslaru? A możecie sobie wyobrazić, jak się będą z nas śmiać bezczelne Akryle z planety Cuk? Jak obrzydliwe Tumsy będą miauczeć w ataku ironii? Jak będą kręcić wszystkimi swoimi głowami mądrzy Ikikowie? Wstyd na cały kosmos...”

— Nie, oni pewnie nie zawieszają swoich surowych nagan — powiedział Wasilij Wasiljewicz.

— I jakżeś ty, Korneliuszu, potrafił zapamiętać te wszystkie nazwy? — zapytał Grubin.

— Oni wiedzieli, z kim się na Ziemi spotkać — odpowiedział z godnością Udałow. — „Proszę sobie wyobrazić mój stan” — powiada ten przybysz, a ja, rzecz jasna, wyrażam mu swoje współczucie. Wtedy do nas podchodzi jeszcze jeden w pasiastym kombinezonie, czarniawy i zezowaty w trzy strony. Zaczyna tam coś po swojemu gadać. Ja na razie rozglądam się na boki i dochodzę do wniosku, że remont talerzyka i naprawa drogi zajmie im cały dzień, a może jeszcze i kawałek nocy! Nawet z ich sprzętem. „Nie wiem, czy się nie mylę — główny przybysz przechodzi tymczasem na rosyjski. — Mam jednak nadzieję, że dobry los zesłał nam rozumnego i dobrego tubylca”.

— Powiedział: tubylca? — zapytał Pogosjan.

— Tak właśnie powiedział.

— Ja bym mu odpowiedział — warknął Pogosjan. — Dałbym mu za swoje. Przecież nie byłeś na golasa!

— Nie na golasa, tylko w marynarce — rzekł Udałow. — Ale ja o tym nie myślałem. Oni ze mną rozmawiali jak z bratem w rozumie. Po co bez potrzeby komplikować stosunki międzyplanetarne?

— Słusznie — zgodził się Wasilij Wasiljewicz — inaczej oni by ci udzielili takiej nagany, że więcej byśmy cię nie zobaczyli.

— Oj — powiedziała żona Kaca. — Jakie niebezpieczeństwo.

— Żadnego niebezpieczeństwa — uspokoił ją Udałow. — Ja im od razu odpowiedziałem: jeśli mają jakąś prośbę albo zlecenie, ludzie Ziemi i Wielkiego Guslaru w mojej osobie gotowi są natychmiast pośpieszyć z pomocą.

— Zuch! — powiedział Wasilij Wasiljewicz. — Po naszymu im odpowiedziałeś.

— I wtedy on mi powiada, że ma prośbę. Drogę to oni naprawią, że śladu nie będzie, talerzyk zabiorą na orbitę wokółziemską. Ale nie mają białej farby.

— Czego?

— Białej farby. Olejnej. Słupki na poboczu drogi wszystkie powywracali, rozbili w drobny mak. A słupki powinny być pomalowane na białą w celu uniknięcia awarii pojazdów mechanicznych. No to mnie proszą: przynieś, drogi bracie w rozumie, przynieś nam puszkę farby. Po królewsku ci się odwdzięczymy. Odpowiadam im, że nie potrzebuję żadnej nagrody, że zawsze gotów jestem pomóc. Oni mi na to, że galaktyka nigdy nie zapomni o mojej skromnej przysłudze. Poleciałem więc z powrotem do miasta...

Słuchacze siedzieli z minutę w milczeniu, zastanawiając się, czy to już koniec opowieści, czy też Udałow będzie ją jeszcze kontynuował. Słońce stało już nisko nad rzeką, cienie wydłużyły się, chłodny wietrzyk powiał od strony lasu. Kacom przypaliła się kolacja, ale żona Wali wcale tego nie spostrzegła.

— To wszystko? — zapytał wreszcie Grubin.

— Prawie wszystko — odparł Udałow. Jego święto dobiegało końca. Kończyło się wraz z opowieścią. — Szukałem tej puszki całą godzinę. Pędzła też. Mydlarnia zamknięta, magazynier naszej bazy poszedł na obiad i tak dalej. Potem jednak do nich pobiegłem, przecież nie można ludziom robić zawodu. Przybiegłem, a znaku drogowego nie ma. I niczego nie ma. Ani talerzyka, ani maszyn, ani robotów. Pustka.

— A droga?

— Droga całkowicie naprawiona.

— Wtedy wróciłeś do domu?

— Nie — powiedział Udałow. — Najpierw spełniłem swoją obietnicę. Pomalowałem słupki.

— A one nie były pomalowane?

— Nie. Cztery słupki. Nowiutkie jak z igły, ale nie pomalowane. Koło jednego leżała kartka. Pokazać?

— Oczywiście.

— Patrzcie.

Udałow wyjął z kieszeni złożoną na czworo kartkę papieru. Rozwinął, wygładził na stole i przeczytał na głos. Pozostali nachylili się nad stołem i czytali, powtarzając za nim słowo w słowo. Oto, co było napisane na kartce. Drukowanymi literami, czarnym atramentem.

„Z góry dziękujemy za pomoc. Słupki do waszych usług. Wasza pomoc nie będzie zapomniana. Prosimy więc nie rozgłaszać tego wydarzenia”.

— I bez podpisu — powiedział Pogosjan.

— I słusznie, że bez podpisu — powiedział Wasilij Wasiljewicz. — Ale ty, Udałow, zawiodłeś zaufanie i przy pierwszej okazji zarobisz poważne ostrzeżenie z daleko idącymi konsekwencjami.

— A to niby dlaczego?! — wykrzyknął Udałow.

— Prosimy, żebyś milczał. A ty rozgadałeś. Wiesz, co za to dają?

— Nic podobnego! — powiedział Udałow obrażonym głosem. — Oni też nie są w porządku. Ja bym milczał, ale oni odlecieli i nie zostawili żadnych śladów. Może ja im chciałem jakieś pytania zadać? Może chciałbym z nimi co do przyszłości się naradzić? Może oni z wdzięczności mogliby zamiast kartki chociaż jeden spychacz swojej marki naszemu przedsiębiorstwu zostawić? Źle mówię?

Wszyscy zgodzili się, że mówi słusznie.

— Ja nawet o ich adres nie zapytałem, nie dowiedziałem się nawet, z jakiej planety przylecieli i co będą robić, kiedy agresorzy rozpętają na Ziemi wojnę jądrową. Czy tak postępują prawdziwi kosmonauci?

I wszyscy zgodzili się, że prawdziwi kosmonauci tak nie postępują. Potem znów przez chwilę milczeli, trawiając całe wydarzenie, Wreszcie Pogosjan zapytał:

— A dowody, Udałow, masz?

— Jakie niby dowody?

— Dowody na to, że dzisiaj rozmawiałeś z przybyszami.

— No, wiecie! — oburzył się Udałow. — No, wiecie! A ta puszka, która wam stoi przed oczami na środku podwórza? Puszka po farbie. Dzisiaj brałem ją na własny rachunek z magazynu. Po co mi biała farba? Po co mi, pytam, biała farba olejna? Przecież wiecie, że pełnię funkcję kierowniczą.

— Słusznie mówi — powiedział Wasilij Wasiljewicz. — Po co miał niby zalewać na temat farby?

— A zaraz jutro, w niedzielę — powiedział Udałow nerwowo — pójdziemy wszyscy razem

na tę drogę. I wszyscy na własne oczy zobaczą te świeżo pomalowane słupki. Takie gładkie i równiutkie słupki, że nasi cieśle za nic takich nie zrobią. Niczym importowane meble. I farba na nich jeszcze nie obeschła.

— Kor-ne-liusz! — krzyknęła z okna Ksenia Udałowa, która nie była poinformowana i dlatego nie odczuwała szacunku dla swego męża. — Zupę trzeci raz mam grzać?

— Idę, Ksiusza, idę — odparł Udałow. — Do jutra — powiedział do przyjaciół i sąsiadów.

— A niech mu tam — powiedział Wasilij Wasiljewicz. — Dlaczego człowiekowi nie wierzyć? Rzecz jasna, że mu uwierzemy.

I wszyscy uwierzyli i nie pojechali następnego dnia na tamtą drogę, chociaż Udałow usilnie ich do tego namawiał. Co za sens gapić się na słupki?

Teraz ludność Wielkiego Guslaru czeka na nowy przylot kosmonautów. Wszyscy sądzą, że ich lądowanie odbędzie się właśnie tam, gdyż pewne kontakty zostały już nawiązane. Kontakty osobiste. Niemal przyjaźń.

DWIE KROPLE NA SZKLANKĘ WINA

Profesor Lew Chrystoforowicz Minc, który czasowo osiedlił się w mieście Wielki Guslar, za nic nie mógł się skupić. Już rano był o krok od wyprowadzenia formuły bezprzewodowego przekazywania energii, ale też od samego rana przeszkadzano mu ten ostateczny krok uczynić.

Przeszkadzał Kola Gawriłow, który bez przerwy puszczał płytę z okropną muzyką. Przeszkadzali malarze, którzy odnawiali mieszkanie Łożkinów, ale szybko się zmęczyli i dla pokrzepienia co nieco wypili, a teraz śpiewali pieśni masowe pod samym oknem profesora. Przeszkadzali sąsiedzi, którzy siedzieli pod przekwitłym bzem i grali w domino, z wielkim hałasem uderzając kamieniami o rozklekotany stół.

— Ja już dłużej nie wytrzymam! — wykrzyknął profesor, kryjąc swą łysą, genialną głowę w wypielęgowanych dłoniach.

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła sąsiadka Gawriłowa, matka Mikołaja.

— Ja też już dłużej nie wytrzymam. Lwie Chrystoforowiczu! — wykrzyknęła przykładając dłoń do czoła.

— Co się stało? — zapytał profesor.

— Zamiast syna mam w domu śmierdzącego lenia! — powiedziała biedna niewiasta. — Ja w jego latach ani chwili nie usiedziałam bez roboty. Ledwie mnie któreś z rodziców, o coś poprosiło, a ja już w te pędy za robotę. Zresztą nawet nie trzeba było mnie prosić. Sama z siebie krowę wyгнаłam na pastwisko, przyprowadziłam ją do domu, wydoiłam, wieprzki oporządziłam, podwórko zamiotłam... Wszystko potrafiłam, na wszystko miałam czas.

Gawriłowa nieco koloryzowała — na wsi bywała tylko podczas wakacji i nikt jej tam do roboty nie pędził. Ale w trakcie rozmów z synem tak weszła w rolę pracowitej wiejskiej dziewczyny, że sama w nią uwierzyła.

— Mnie w dzieciństwie też nie rozpieszczali — poparł Gawriłowa Minc. — Mój tatuś był stroicielem fortepianów, a ja nosiłem mu ciężką walizę z narzędziami i czasami po kilka godzin wystawałem na obcych, zimnych klatkach schodowych. Gdy tylko wracałem ze szkoły, natychmiast siadałem przy starym, podarowanym ojcu fortepianie i grałem gamy. Grałem bez żadnej zachęty ze strony rodziców.

Profesor również koloryzował, ale nieświadomie, gdyż on także wierzył w swoje słowa. Stroiciele nie miewają przecież ciężkich waliz, a jeżeli malutki Lowuszka uparł się iść z ojcem do klienta, rodzic nigdy nie powierzał mu swojego neseserka. Co się zaś tyczy ćwiczeń muzycznych, to Minc nienawidził ich z całej duszy i często podpilożywał struny, gdyż od najmłodszych lat miał wielką smykałkę do techniki.

— Pomóżcie mi — powiedziała Gawriłowa. — To już ponad moje siły.

— Ale jak ja mogę pomóc? — odparł Minc nie podnosząc oczu. — Moje możliwości są ograniczone.

— Nie bądźcie tacy skromni — zaoponowała Gawriłowa. — Naród w was wierzy, Lwie Chrystoforowiczu.

— Dziękuję — odparł Minc i głęboko się zamyślił. Tak głęboko, że nawet nie zauważył, kiedy Gawriłowa opuściła pokój.

Nadeszła noc. We wszystkich oknach domu nr 16 pogasły światła, zasnęli gracze i śpiewacy. Jedynie w oknie profesora Minca światło paliło się nadal. Czasami wysoki, lecz brzuchaty cień uczonego pojawiał się w oświetlonych szybach. Czasami przez lufcik dobiegał na podwórze szelest i trzask rozcinanych kart — profesor wertował zagraniczne czasopisma, przeglądał

monografie z nauk pokrewnych.

Profesor Minc różnił się od pozostałych uczonych nie tylko fenomenalną wręcz pamięcią, która chłoneła wszystko to, co kiedykolwiek mogło mu się przydać, lecz także zdumiewającą umiejętnością szybkiego czytania, znajomością dwudziestu czterech języków i zdolnością przyswajania sobie literatury fachowej z dowolnej dziedziny wiedzy, od filozofii i fizyki jądrowej poczynając a na introligatorstwie kończąc. I choć formalnie profesor Minc był organikiem, interesującym się szczególnie zastosowaniami rolniczymi chemii, w której to dziedzinie osiągnął największe sukcesy oraz przyniósł najwięcej pożytku i szkody, w rzeczywistości był prawdziwym encyklopedystą.

Późnym już rankiem profesor na dwadzieścia minut przymknął oczy. Kiedy bowiem czuł, że rozwiązanie zadania jest bliskie, natychmiast zamykał powieki, po czym zasypiał szybko i niewinnie, niczym dziecko, a czuwająca część jego mózgu znajdowała owo rozwiązanie.

O godzinie ósmej minut czterdzieści profesor Minc zbudził się i poszedł umyć zęby. Rozwiązanie było gotowe. Pozostawało jedynie utrwalić je na papierze, wcielić w związki chemiczne i przygotować krótki komunikat dla kolegów.

O godzinie dziesiątej minut trzydzieści zajrzała Gawriłowa. Minc powitał zmartwioną niewiastę znużonym uśmiechem zwyczajcy.

— Proszę usiąść — powiedział. — Wydaje mi się, że jesteśmy u celu.

— Dziękuję — odparła wzruszonym głosem Gawriłowa. — Dziękuję jeszcze raz, bo ja go dziś rano ledwie dobudziłam. Nie chce iść na zajęcia do technikum. A oni mają dzisiaj praktykę z okropnie wymagającym majstrem. Za byle co wygania i biedny uczeń zostaje bez zawodu.

Minc włączył małą wirówkę, która wypełniła pokój przyjemnym dla ucha, rzeczowym buczeniem.

— Nasz preparat będzie działał na zasadzie przeciwstawienia — powiedział Minc.

— To znaczy krople? — zapytała z niedowierzaniem Gawriłowa.

— Lekarstwo. Bez smaku i zapachu.

— Mój Kola żadnych lekarstw nie używa.

— To mu w herbatę nakapcie.

— A w barszcz można? Mam dzisiaj dobry barszcz.

— W barszczu też można — powiedział Minc. A więc, jak już powiedziałem, nasz preparat działa na zasadzie przeciwstawienia. Jeśli ja go zażyję, to nic się nie stanie. Jak pracowałem, dotychczas, tak będę pracował nadal. Bo ja jestem pracowity.

— Może więc i z Kola nic się nie stanie?

— Proszę mi nie przerywać. Ze mną nic się nie stanie, gdyż w moim organizmie nie ma żadnych antygenów pracy. Z kroplami czy bez kropel pracuję równie chętnie i wydajnie. Ale czym antygeny silniejsze, tym silniejsze działanie naszego środka. Lekarstwo, natykając się na opór, przebudowuje każdą komórkę, która do tej pory znajdowała się w stanie rozleniwionej błogości. Rozumiecie?

— Trochę to dla mnie zbyt zawiłe, Lwie Chrystoforowiczu. Ale najważniejsze jest to, żeby mój Koleńka trochę mniej się byczył.

— Życzę sukcesów — powiedział Lew Chrystoforowicz i dał Gawriłowej flakonik z preparatem. Po czym z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku skierował się do swego biurka i już zajął się przywracaniem w pamięci wzoru bezprzewodowego przekazywania energii, gdy głos Gawriłowej dobiegający z podwórka przerwał mu to zajęcie:

— A po ile kropli?

— Po dziesięć — odparł Minc podchodząc do okna.

— A jeśli po pięć? — zapytała Gawriłowa.

Profesor machnął ręką. Rozumiał doskonale, że matczyne serce skłoni ją do zaaplikowania synowi minimalnej dawki, żeby chłopiec się nie otruł. Nie miało to żadnego znaczenia, gdyż jedna kropla wystarczała do przebudowania charakteru dwóch osób. A poza tym środek był całkowicie nieszkodliwy.

Pod oknem dwaj malarze zaintonowali pierwszą tego dnia pieśń masową. Pieśń była nudna i ze względu na wczesną porę niezbyt głośna. Malarze popracowali sobie już ponad trzydzieści minut i teraz, zmęczeni, zamierzali odpocząć do obiadu.

Minc zamyslił się na chwilę, a potem przypomniał sobie, że gdzieś pod biurkiem powinna stać nie napoczęta butelka piwa. Rozgrzebał papiery, odszukał butelkę, zdjął z niej kapsel i rozlał piwo do dwóch szklanek. Przyprawił je środkiem przeciwko lenistwu i podszedł do okna.

— Dzień dobry, sokoły — powiedział dziarsko.

— Szacunek — odparł jeden z malarzy.

— Napijcie się czegoś?

— Jeżeli wody albo herbaty — zdecydowanie odmówimy — powiedział malarz. — Co innego, gdybyś nam, wujaszku, zaproponował wina. Wtedy byśmy ci cały pokój migiem obielili.

Przez podwórko wolnym krokiem znużonego człowieka szedł Mikołaj Gawriłow, który urwał się z praktyki i teraz zastanawiał się, jakby tu oszukać rodzoną matkę i przekonać ją, że majster zachorował na świnkę. Gawriłow spostrzegł, że słońce, odbijając się od łysiny profesora, rozrzuca po całym podwórku wesole zajączki. Zauważył to i poczuł nieodparte pragnienie, aby strzelić w tę łysinę z procy. Natychmiast jednak się odwrócił, żeby go nie skusiło.

— A piwo uznajecie? — zapytał przymilnie profesor Minc.

— Żartujesz — odparł obrażonym głosem malarz — piwa już trzeci dzień nie ma w sklepie. Powiadają, że to przez ten upał.

— A mnie butelka została — powiedział Minc. Postawił pełne szklanki na parapecie, a malarzom pokazał ciemnozieloną butelkę.

— Poczekaj — powiedział rzeczowo malarz. — Nie ruszaj się z miejsca, póki nie zorientujemy się w sytuacji.

Malarze zachowali się jak ludzie dobrze wychowani. Najpierw obejrzelili sufit, udzielili profesorowi cennych rad co do gruntowania i dopiero później z wdzięcznością wypili po szklance piwa.

— Samogon pędzisz? — zapytał z nadzieją w głosie jeden z nich, przyglądając się kolbom i retortom.

— Nie — odparł profesor. — Nie macie przypadkiem ochoty powrócić do pracy w mieszkaniu towarzysza Łożkina?

Malarze roześmieli się wesoło.

Minc patrzył na nich uważnie, chcąc uchwycić moment, w którym ogarnie ich zapał do pracy. Ale malarze pożegnali się i wrócili na dwór, aby dośpiewać przerwana pieśń.

Była godzina jedenasta minut dwadzieścia. Gawriłowa przyniosła synowi talerz barszczu z dwoma kroplami preparatu profesora Minca. Pięciu kropeł bała się wlać. Mikołaj popatrzył na matkę podejrzliwie. Nie wymyślała i nie czyniła mu żadnych wyrzutów. To było bardzo dziwne, a nawet niebezpieczne. Matka mogła podjąć jakąś niepokojącą decyzję: napisać do ojca pracującego w Wołogdzie, sprowadzić dziadka albo pójść do technikum. Gawriłow jadł barszcz bez żadnej przyjemności. Potem jakoś rozprawił się z kotletami i poczuł się senny. Włączył więc niezbyt głośno adapter i usnął na kanapie z oczami zakrytymi podręcznikiem matematyki — wierzył, że kiedy się śpi z książką na czole, to z tej książki może coś przeniknąć do głowy.

Minc nie mógł pracować: stale popełniał błędy w obliczeniach. Malarze najpierw leniwie wyklócili się ze starą Łożkiną, która namawiała ich do powrotu na posterunek pracy, potem zaś

zaczęli zastanawiać się, który z nich pierwszy ma pójść po wino. Z okna Gawriłowa dobiegała muzyka. Przy stole pod bzem siedział Kac i Wasilij Wasiljewicz. Kac był „na zwolnieniu”, a Wasilij Wasiljewicz pracował na nocnej zmianie. Obaj czekali, aż zjawi się któryś ze zwykłych dominowych partnerów. Żona Kaca krzyczała przez okno:

— Walentin, ile razy cię prosiłam, żebyś naprawił wyłącznik? Przecież i tak nic nie robisz.

— Ja całkiem legalnie nic nie robię, kiciu — odpowiedział Wala Kac. — Jestem na zwolnieniu z powodu grypy.

— No tak — powiedział surowym półgłosem Minc. — Ci też będą moimi królikami doświadczalnymi.

Wziął torbę na zakupy i poszedł do sklepu.

W sklepie było węgierskie wino wytrawne, ale ludzie kupowali go mało, bez entuzjazmu. Wszyscy czekali na portwain. Wśród oczekujących był oczywiście malarz. Powitał Minca jak dobrego znajomego i powiedział:

— Nie wyrzucaj pieniędzy na byle co. Zaraz portwain dadzą na sklep. Rimma ma cztery skrzynki na zapleczu.

— Nie szkodzi — zmieszał się profesor Minc. — Ja nie będę pił, wino mi jest potrzebne do doświadczenia.

— Do doświadczenia nada się i mleko — powiedział z potępieniem w głosie mężczyzna z fioletowym nosem. Kolor nochala był tak intensywny, że Minc nie mógł oderwać od niego wzroku, a mężczyzna powiedział dumnie:

— Za długo się opalałem. Skóra zlazła.

Rimma postawiła na kontuarze przed Mincem sześć butelek wytrawnego wina.

— Duże doświadczenie — powiedział malarz. — W gości zaprosisz?

Wtedy Minc zdecydował się.

— Wszystkim stawiam! — wykrzyknął głosem stałego hulaki. — Wszyscy piją!

W sklepie było około piętnastu osób. Wszyscy, zdaniem Minca, lenie i bumelanci. Wszyscy zasłużyli na radykalne wychowanie.

— Żadnego picia! — oburzyła się Rimma kładąc obfity biust na kontuarze i przesywając Minca wzrokiem. — Ja wam pokażę, alkoholicy! Zaraz milicję wezwę.

— Chodźmy do parku — powiedział mężczyzna z fioletowym nosem. — Tutaj nas nie rozumieją.

Zatrzymali się na chwilę przy automatach z wodą sodową. Minc mógłby przysiąc, iż żaden z jego nowych znajomych nie zbliżył się do nich nawet na trzy kroki, ale sześć szklanek stojących w automatach natychmiast zniknęło.

— Tobie pierwszemu — powiedział mężczyzna z fioletowym nosem, wyciągając zębami korek. — Ty, mój stary, jesteś człowiek szlachetny.

— Nie, co wy, ja później — odparł Minc, pojmując, że popełnił błąd. W jaki sposób zakropi wino swoim preparatem? Przecież gapi się na niego piętnaście par oczu.

— Nie ciągnij, nie męcz ludzi! — powiedział malarz, podając profesorowi szklankę.

— Poczekajcie — powiedział Minc doznając olśnienia. — Mam taką jedną rzecz... Dolewa się trzy krople i wino od razu o dziesięć procent mocniejsze. — Wyjął z kieszeni flakon i szybko kapnął sobie do szklanki.

Nowi znajomi patrzyli nań surowo i podejrzliwie.

— Nie znam nic takiego — powiedział malarz.

— A ja w jednym piśmie czytałem — powiedział mężczyzna z fioletowym nosem. — Kondensator się nazywa.

— Słusznie — odparł Minc i szybko wypił swoje wino. Wino było chłodne i przyjemne w

smaku. Profesor nigdy nie pił wina szklankami.

W tym czasie reszta szklanek też już była napelniona. Ich posiadacze patrzyli na profesora oczekująco. Ale profesor nie śpieszył się. Milczał.

— Słuchaj, staruszk — powiedział malarz. — Ty coś mnie nie szanujesz.

— Bo co? — zdziwił się Minc.

— Kapnij kondensatora, nie żałuj. Przecież masz całą butelkę. Ryzykowny eksperyment psychologiczny całkowicie się powiódł.

— Ale tylko po dwie krople, nie więcej — zgodził się niechętnie profesor, żeby nie irytować kumpli od kieliszka.

Kapał w kolejno podsuwane szklanki, chwalił się w duchu za spryt i omal nie stał się przyczyną ostrej scysji.

— Co to znaczy?! — wykrzyknął nagle malarz. — Dlaczego jemu trzy krople?

— Mnie? Trzy? Ty co, pycia masz na oku?

— Spokojnie — profesor wcisnął się między dyskutantów. — Komu zabrakło kropli?

Malarz pierwszy upił trochę wina. Wszyscy patrzyli na niego. Profesor wstrzymał oddech.

Malarz przechylił szklankę i wino hałaśliwie wlało się do jego gardła. Malarz westchnął i powiedział:

— Dziesięciu procent nie będzie, ale jakieś pięć do sześciu dorzuca. Wierzcie mojemu doświadczeniu.

Pozostali doszli do tego samego wniosku.

Z parku wracali radośnie, objęci jak bracia i rozśpiewani. Namówili profesora, żeby jeszcze raz zajrzał do Rimmy, może już jest portwain. Profesorowi Mincowi szumiało w głowie, było mu dobrze i ciepło. Pokochał tych wszystkich tak niepodobnych do siebie ludzi, którzy jeszcze nie wiedzieli, jak bardzo pracowici staną się niebawem.

Rimma miała portwain.

Profesora odprowadzono do domu i pozostawiono na podwórku opartego o słupek ogrodzenia.

Pierwszy zobaczył go Mikołaj Gawriłow. Mikołaj obudził się z jakimś dziwnym, świdrującym uczuciem. Czegoś mu się chciało. Uczucie było tak nie znane i podniecające, że młody człowiek stanął przy oknie i zaczął się zastanawiać, czego mu się właściwie chce? Ręce same odnalazły ścierkę i zaczął ścierać kurz z parapetu i ramy okiennej. W tym momencie Mikołaj zobaczył profesora i powiedział do tych, którzy grali pod bzem w domino:

— Patrzcie, profesor opił się jak trzmiel!

Słowa Gawriłowa oburzyły Wasilija Wasiljewicza, który kazał chłopakowi zamknąć okno i przestać chuliganic. Ale potem Wasilij Wasiljewicz mimo wszystko zerknął w stronę bramy i tak się zdumiał, że zamilkł z otwartymi ustami.

Tymczasem Minc przypomniał sobie, że ma jeszcze wiele roboty i że część tej roboty związana jest z ludźmi, którzy siedzą wokół stołu i stukają po nim kamieniami domina. Odkleił się więc od słupka i wymacał w jednej kieszeni flakon z preparatem, w drugiej zaś niedopitą butelkę portwainu, którą kumple dali mu na pożegnanie. Korneliusz Udałow, który akurat wchodził na podwórko, podtrzymał profesora.

— Wypijemy i do roboty — powiedział profesor.

— Co za wstyd! — wykrzyknęła stara Łożkina otwierając okno.

— Trzeba pomóc człowiekowi — powiedział Łożkin. — To jakiś spisek. Towarzysz Minc mieszka w naszym domu już od trzech miesięcy i wszyscy wiemy, że jest niepijący.

— Widać go przyparło — powiedziała stara Łożkina. — Oni czasem i pół roku wytrzymują, a potem w tango. Teraz się z nim namęczymy.

— Nie wierzę — powiedział Łożkin.

Kola Gawriłow polerował szmatą okno i nie wtrącał się więcej do rozmów na podwórzu. Żał mu było odrywać się od takiego pasjonującego zajęcia.

Profesor Minc, opierając się ciężko na ramieniu Udałowa, doczłapał do stołu. Sąsiedzi powstali na jego powitanie.

Wypijmy — powiedział profesor surowo. — Wypijmy za osiągnięcia w pracy zawodowej i społecznej.

Szerokim gestem siewcy zatoczył butelką przed oczami sąsiadów. Nikt nawet nie drgnął.

— Nie pora na to — powiedział Udałow nieśmiało. — Gdy tak wieczorem w kręgu przyjaciół i tak dalej, bylibyśmy zaszczytzeni.

— A jednak — nastawał profesor. — Powinniście w mej osobie uszanować naukę. Ja się mogę obrazić i nauka się obrazi. A wtedy wydarzy się coś tak okropnego, że aż strach pomyśleć.

Wasilij Wasiljewicz drgnął i powiedział:

— Tylko z szacunku.

Profesor Minc postawił butelkę na stole, przeciągnął nieposłusznymi rękoma po kieszeniach, co sprawiało wrażenie, jakby szukał pistoletu, i ku zdumieniu obecnych wy dobył z którejś z nich szklanekę — musztardówkę.

— W porządku — powiedział. — Wszystko będzie zgodnie z regułami sztuki.

Kapał z flakonika do szklanki, dolewał wina i zmuszał każdego do wypicia, powtarzając przy tym:

— Jak lekarstwo, jak rycynę, jak trioksazyne.

Sąsiedzi pili bez żadnej przyjemności, a nawet z pewną przykrością. Pili jak rycynę.

Kola Gawriłow tego nie widział. Mył już podłogę i dlatego pełzał na czworakach.

Malarz, który zaprawiał się z Mincem w miejskim parku, a potem za rogiem obok sklepu, jeszcze nie wrócił, bo zabłądził i poszedł do domu, w którym skończył robotę już dwa tygodnie temu. Drugi natomiast pomyślał, że bez potrzeby się tu byczy, wziął pędzel i pośpieszył na górę do Łożkinów, już zawczasu ciesząc się radością, jaką przyniesie mu ukochana praca.

— Dziękuję — powiedział profesor Minc, usiadł na ławce i wpadł w głęboką zadumę. Zmęczył się niepomrotnie. Dla dobra nauki musiał złamać niektóre ze swych zasad.

Sąsiedzi zaczęli się rozchodzić. W bramie pokazała się Gawriłowa z siatką na zakupy w rękę. Nieszczęsna matka zatrzymała się pośrodku podwórza i zaczęła nasłuchiwać. Jej syn Kola nie włączył adapteru. To było dziwne. Pewnie chłopak zachorował. Czy aby nie otruła własnego dziecka miksturą profesora Minca?

I wtedy właśnie zobaczyła domniemanego sprawcę nieszczęścia. Minc siedział przy stole, gdzie sąsiedzi zazwyczaj grali w domino, kiwał się na boki i wyśpiewywał jakąś melodię. Obok niego stał Korneliusz Udałow, a opodal smętny Wasilij Wasiljewicz i bardzo zmieszany Wala Kac.

— Co się stało? — wykrzyknęła Gawriłowa i zawołała już znacznie głośniej:

— Kola! Gdzie jesteś! Co z tobą!? Jej serce ścisnęło się w trwodze.

Kola się nie odzywał. W tym momencie akurat poszedł do kuchni, żeby wylać z miednicy brudną wodę i nabrać czystej. Zapra gnął bowiem ponownie umyć podłogę, aby wydobyć pierwotną biel drewna.

Gawriłowa rzuciła na Minca gniewne spojrzenie i pobię gła do domu.

— Pomogę wam — powiedział Udałow, pomagając Mincowi wstać z ławki. — Odprowadzę was.

— Dziękuję ci, przyjacielu — powiedział profesor Minc.

Szli przez podwórko objęci w pól. Profesor całym ciężarem opierał się na Udałowie. Stara Łożkina patrzyła na nich przez okno kręcąc głową z potępieniem. To, że jeden z malarzy

ponownie zabrał się do roboty, zdziwiło ją, ale nie do tego stopnia, aby miała zapomnieć o hańbie profesora.

Tuż przed drzwiami mieszkania wyprzedził Minca i Udałowa drugi malarz, który zamaszystym krokiem spieszył się na miejsce pracy.

— Z drogi! — powiedział rzeczowo.

Profesor Minc zrozumiał, że doświadczenie się udało.

Udałow pomógł profesorowi położyć się na jego skromnym pościeliu. Profesor natychmiast zamknął oczy i usnął. Udałow przez jakiś czas stał pośrodku pokoju i wdychał wonie chemikaliów. Profesor zachowywał się dziwnie, a Korneliusz Udałow nie wierzył w przypadkowość takiego zachowania.

Profesor obudził się po trzech godzinach. Głowę miał jasną i gotową do podjęcia nowych zadań. W jego życiu wydarzyło się coś wielkiego i szlachetnego. Tak, podstawowy problem współczesności został rozwiązany. Genialny umysł profesora znalazł klucz zagadki, której nie potrafili rozwikłać tacy tytani myśli jak Paracelsus, Newton i Razdobuńko.

Za ścianą słychać było szmery i postukiwania. Jakieś niewyraźne dźwięki dobiegały z podwórka. Profesor usiadł na łóżku i przez skrzywienie sprężyn usłyszał delikatne pukanie do drzwi.

— Proszę — powiedział.

— To ja — szepnęła Gawriłowa, wchodząc do środka.

— No i jak? — zapytał profesor głosem dentysty, gładząc łysinę i filuternie mrugając do nieszczęsnej matki. Gawriłowa miała obłęd w oczach.

— Oj — powiedziała nieszczęsna matka i przysiadła na krawędzi łóżka, przyciskając dłonie do zaróżowionych policzków. — Sama nie wiem.

— A o co chodzi? — Profesor zerwał się i zaczął szybkimi krokami biegać po pokoju. — Chyba pracowitość się pojawiła? Jakoś nie słyszę muzyki.

— Gdzie tam mowa o muzyce — westchnęła Gawriłowa. — Boję się. Dwa razy dziś mdlałam. I to przy mojej tuszy. Co on zrobił z podłogą? Co on ze mną zrobił... — tu zacna niewiasta zaczęła łkać, a profesor Minc niezręcznie ją pocieszał, gładził po bujnej fryzurze i podawał wodę.

— Słuchajcie — powiedział, gdy wreszcie łkania ustały. — Proponuję udać się na miejsce wypadku. Może na coś się przydam.

— Chodźmy — powiedziała kobieta i znów zalkała. — Gdyby moja nieboszczka mamusia...

W korytarzu musieli się zatrzymać. Malarze skończyli właśnie odnawianie mieszkania Łóżkinów i wzięli się za korytarz, co nie należało do ich obowiązków, tym bardziej, że dzień pracy się skończył. Zdrapali już ze ścian starą farbę i zmyli tynki. Pracowali sprawnie, wesoło, nie tracąc na darmo ani minuty. Tylko jeden z nich na moment oderwał się od pracy, aby mrugnąć do profesora Minca i rzucić mimochodem: „Czemu się, dziadku, opalasz? W ten sposób życie bez pożytku i bez sensu przeleci”.

Profesor był tego samego zdania, uśmiechnął się więc przyjaźnie i bez urazy. Stara Łóżkina wyglądała przez uchylone drzwi i patrzyła na malarzy jak zaszczuty zajac. Pociągnęła przechodzącego profesora za rękaw i szepnęła mu na ucho: „Nie dam ani kopiejki. Niech się nie spodziewają. Oni przecież i tak państwowe pieniądze biorą”.

— A my nie za pieniądze, babciu — odparł malarz, który usłyszał jej szept. — Sama praca tak nas pociąga. To droższe od pieniędzy całego świata.

— I od sławy — dodał drugi, mieszając farbę w wiadrze.

Na podwórku profesor ujrzał niecodzienne zjawisko. Wasilij Wasiljewicz i Wala Kac porządkowali teren, podcinali krzewy, wyrównywali alejki, kosili trawę. A sąsiad, którego

profesor bliżej nie znał, wjeżdżał właśnie w bramę z taczkami pełnymi piasku, bo zamierzał zrobić dzieciakom piaskownicę. Sąsiedzi pracowali z takim zapalem, że nie zwrócili na Minca najmniejszej uwagi.

Gawriłowa popatrzyła na nich z pewnym, lękiem, a zaraz potem wpadła jej do głowy ciekawa myśl.

— Czy to przypadkiem nie wy, Lwie Chrystoforowiczu? — zapytała.

— Ja — odparł skromnie profesor.

— Oj, co to się wyrabia! — powiedziała Gawriłowa.

W tym momencie na podwórku zjawił się Korneliusz Udałow, który niósł na ramieniu dwie deski na przyszłą piaskownicę. Usłyszał słowa Gawriłowej i podejrzenia odżyły w nim z nową siłą. Ponieważ zasadniczo nigdy nie czuł wstrętu do pracy, to lekarstwo profesora podziałało nań w sposób umiarkowany, bez większego więc trudu zdołał przewyciężyć pęd do roboty. Rzucił deski na ziemię i ruszył za profesorem do mieszkania Gawriłowej.

Mieszkanie powitało profesora nieprawdopodobną, bajeczną wręcz czystością. Podłoga była wyszorowana do srebrnego połysku i pokryta lśniąca pastą, parapety i drzwi wypucowane do białości. Przez otwarte drzwi kuchni widać było równo rozwieszzone, świeżo wyprane zasłony, koszule Koli Gawriłowa i bieliznę pościelową, a w prześwitach między prześcieradłami iskrzyły się wypolerowane rondle.

Mikołaja nigdzie nie było widać.

Gawriłowa zatrzymała się na progu, bojąc się wejść do własnego mieszkania.

— Kola — powiedziała słabym głosem. — Koleńka. Kola nie odzywał się.

Profesor starannie wytarł nogi w świeżo wyprane sukno i wszedł do pokoju. Kola obłożony podręcznikami leżał na kanapie i szybko coś notował.

Profesor pochylił się nad nim i zapytał:

— Jak się czujecie, młody człowieku?

Kola machnął ręką, jakby opędzał się od muchy, i sięgnął po nowy podręcznik.

— Kola — powiedział profesor. — Dzisiaj i tak już wiele zrobiłeś. Czy nie warto nieco odpocząć?

— Jakże głęboko się mylicie — odparł na to Kola, nie odrywając oczu od książki. — Przecież tyle jeszcze muszę dokonać, a życie jest krótkie. Mam zaległości w tym półroczu, a zwyczajnie i po ludzku, głęboko i poważnie chciałbym przerobić w tym roku dwie klasy. Może nawet trzy. Błagam więc, abyście nie odrywali mnie od nauki.

— Chłopiec ma rację — rzekł profesor zwracając się do Gawriłowej i Udałowa, którzy obserwowali tę scenę stojąc w drzwiach.

— Ale przecież on się przemęczy — powiedziała Gawriłowa. — On do tego nie przywykł.

— Nie martw się, mam — odparł na to Kola Gawriłow. — Mózg człowieka spożytkowuje zaledwie maleńką cząstkę swoich komórek. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie mam rezerwy. A propos, obiad stoi na kuchni, kolacja zresztą także. Bądź taka dobra i nie pracuj zbyt wiele, odpocznij, poczytaj, obejrzyj telewizję. Przecież masz wysokie ciśnienie.

Zacna niewiasta Gawriłowa znów wybuchnęła łkaniem.

Udałow wraz z profesorem zeszli na podwórze. Na widok sąsiadów Udałow zapragnął włączyć się do ich twórczej pracy, ale zdołał się powstrzymać. Zwrócił się do Minca:

— Lwie Chrystoforowiczu — powiedział z naciskiem. — Przecież to wasz środek. Przecież jesteście naszym jedynym chemikiem.

— I to w dodatku genialnym — dodał poważnie profesor, zadowolony z wyników eksperymentu.

— A to zdrowiu nie szkodzi? — pytał dalej Udałow.

— Nie szkodzi — odparł profesor. — Ale za to stwarza niebezpieczeństwo zmiany stylu życia.

— Jak prędko pójdzie do produkcji? — zapytał Udałow, który, aby nie tracić czasu, oblamywał zeschnięte gałęzie z drzewa.

— Co ma iść do produkcji?

— Środek przeciwko lenistwu.

Udałow zawsze brał byka za rogi i nazywał rzeczy po imieniu.

— Proszę zrozumieć, mój przyjacielu — powiedział profesor — że bez względu na to, jakie nauka wynajdzie środki w celu poprawienia ludzkich ułomności, środki te zawsze pozostaną zaledwie protezami. Na razie nie możemy i nie potrafimy zmienić natury człowieka. Planowe, konsekwentne, cierpliwe wychowanie człowieka — twórcy, człowieka — budowniczego na zawsze pozostanie naszym głównym zadaniem.

— To znaczy wszystko zostanie po starymu? — zapytał Udałow z rozczarowaniem w głosie.

— Obawiam się, że tak.

— A gdyby tak dać więcej? Dawaliście nam po kropli, a przecież można i po szklance? Chyba że szkodzi?

— Nie, preparat jest zupełnie nieszkodliwy. Ale nie mamy prawa przeprowadzać doświadczeń, póki preparat nie wypróbują w Moskwie, póki nie zatwierdzi go Ministerstwo Zdrowia, póki go wreszcie nie opatentujemy w celu uniknięcia konfliktów międzynarodowych.

— Po co tyle czekać? I co tu mają do rzeczy konflikty międzynarodowe? — oburzył się Udałow.

— To bardzo proste. — Twarz profesora nabrała wyrazu głębokiej mądrości przyprawionej odrobinką smutku. — Wyobraźcie sobie, że środek dostanie się w łapy rekinów imperializmu, wyzyskiwaczy i neokolonizatorów. Pomyśleliście o konsekwencjach? Każdy, nawet najszlachetniejszy wynalazek może być obrócony na szkodę ludzkości.

— Tak — westchnął Udałow. Wyobraził sobie, jak to właściciele plantacji w pewnych krajach Ameryki Łacińskiej będą za pomocą nowego preparatu wyciskać ostatnie poty z parobków i robotników sezonowych, jak kolonizatorzy będą poić preparatem niewolników w głębokich kopalniach diamentów. Jak najemni pismacy nieustannie będą klekotać na maszynach i jak przekonująco będą gadać w telewizji reakcyjni komentatorzy. Im dalej, tym gorzej. Gangsterzy cierpliwie i pracowicie będą podkopywać się pod banki, a fałszerze pieniędzy dzień i noc bez przerwy drukować swoje falsyfikaty. Nie, taki środek należy trzymać w tajemnicy, a nie propagować!

Udałow powiedział to wszystkowi profesorowi Mincowi i zaraz potem zabrał się do pielenia klombów.

Na miasto opadł ciepły, wonny, przyjemny wieczór. Zapłonęły jaskrawe gwiazdy. Ómy krążyły wokół ulicznych latarni. Na rzece rozległ się niski, uspokajający głos syreny parostatku. Profesor Minc stał w bramie i patrzył na ulicę. Ulicą posuwała się niewielka grupa ludzi uzbrojonych w szczotki i śmietniczki. Wśród nich Minc rozpoznał swoich znajomych z porannej hulanki w parku miejskim. Ludzie zamiatali jezdnię i chodniki, a po drodze niektórzy z nich zatrzymywali się, wspinali na latarnie i wymieniali przepalone żarówki. Za tą grupką pracowitych szedł ogromny tłum gapiów, którzy gromko zastanawiali się co to wszystko może znaczyć. Jedni mówili, że to pewnie aresztanci, którzy dostali dwa tygodnie za chuligańskie wybryki, bo przecież wśród pracujących znajdowali się alkoholicy i pasożyci, inni zaś utrzymywali, że to towarzystwo chce wygrać jakiś zakład albo po prostu robi to dla hecy. Ale niedawni lenie i bumelanci nie zwracali najmniejszej uwagi na ironiczne komentarze i spokojnie robili swoje.

Minc był bardzo zaniepokojony. Nie odważył się nikomu przyznać, że nie przewidział niebezpieczeństwa kryjącego się w eksperymencie. Nie znał intensywności współdziałania preparatu z leniwymi komórkami organizmu ludzkiego i nie wiedział, kiedy to działanie ustanie.

Za plecami profesora rozlegały się ciężkie oddechy malarzy. Malarze bez chwili przerwy pokrywali ściany domu wesolutkim żółtym kolorkiem i niczym podróżnicy arktyczni dążący do bieguna podtrzymywali się nawzajem przykładami z życia bohaterów.

Na ławeczce pod bzem rozpaczała Gawriłowa. Jej syn opanował już program fizyki i chemii z pierwszego półrocza i teraz dla odmiany postanowił wymienić tapety, a potem zdjęć i ponownie ułożyć parkiet w pokoju sąsiadki, samotnej starszej kobiety. Nikt na nieszczęście Gawriłowej nie zwracał uwagi. Mieszkańcy domu przekształcali pustynny dotychczas placyk za domem w stadion sportowy dla młodzieży z całej ulicy. Wkopali już słupy na boisku do siatkówki i koszykówki, a teraz właśnie budowali niewielki basen pływacki z trampoliną.

— Co robić? Co robić? — szeptał profesor. — Potrzebne jest antidotum.

Szybko przemknął się przez podwórze, przyciskając się do ścian, aby nie napotkać zrozpaczonego wzroku Gawriłowej, i poszedł do swojego mieszkania. Krople żółtej farby niczym motylki wpadały przez otwarte okno. Profesor przystąpił do obliczeń.

Zakończył je późną nocą. Malarze odnowili już fasadę domu i z braku farby cyklinowali drewniany parkan, który potem zamierzali wypolituować. Mieszkańcy domu wykopali już basen, pokryli jego ściany zaprawą cementową i właśnie podłączali rury wodociągowe. Jedyne Wasilij Wasiljewicz opuścił swój posterunek. I to też nie z własnej woli. Po prostu jego żona, bojąc się o zdrowie swego sędziwego męża, namówiła sąsiadów, aby zwiążali Wasilija Wasiljewicza i odnieśli go na łóżko. Wasilij Wasiljewicz nie chciał zasnąć, niepokoił się, że bez niego koledzy spartaczą robotę, i dawał im z pościeli dobre rady oraz wykrzykiwał życzenia sukcesów w pracy.

Bumelanci i pijacy już wyczyścili całe miasto i dotarli nad rzekę, gdzie na przystani barek zaczęli sortować pnie drzew wedle rozmiarów i gatunków, i układać je w zgrabne sterty.

Późną nocą Minc dokonał dwóch odkryć. Po pierwsze, wyprowadził wzór osłabionego preparatu, który nie powodował u człowieka niczego, poza normalną pracowitością. Po wtóre, obliczył, że działanie środka podanego rankiem zakończy się mniej więcej za godzinę.

Inny na miejscu Minca po prostu poszedłby spać. Ale Minc nie był taki. Chciał naocznie przekonać się o prawidłowości swoich obliczeń. W tym celu musiał jeszcze czuwać około godziny. Lew Chrystoforowicz postanowił spożytkować ten czas na przygotowanie osłabionej mieszanki. Doszedł też do wniosku, że doświadczenia na ludziach są zbyt ryzykowne i że w związku z tym normalny preparat będzie wypróbowywał tylko na kocie Łożkinów, który do tego stopnia się rozleniwił, że przestał łowić myszy.

Najpierw należało odnaleźć buteleczkę z resztkami preparatu i rozcieńczyć go do właściwego stężenia. Flakon znalazł się w kieszeni marynarki. Na jego dnie było jeszcze dość środka, aby skłonić do wydajnej pracy załogę wielkiej instytucji. Minc postawił buteleczkę na stole i zaczął szukać pustego naczynia. Brał z półki butle, kolby, butelki, zlewki i flakony, wyciągał je spod biurka, zza szafy... O niektórych już dawno zapomniał, inne natomiast wywoływały w jego pamięci przyjemne wspomnienia o sukcesach lub też ciężkie westchnienia, świadczące o drobnych porażkach.

Oto kolba z niezastąpionym środkiem przeciwko komarom, środkiem nie zabijającym ich, lecz zmuszającym do odlatywania na dwa metry. Z tego środka trzeba było w końcu zrezygnować gdyż komary w drodze doboru naturalnego wyhodowały sobie żądła dokładnie dwa metry długie i właśnie nimi kłuły profesora spoza strefy ochronnej.

Oto środek na rozwój słuchu muzycznego, oto próbówka z nie wiadomo czym, oto flakon ze

stymulatorem wzrostu pieczarek, pod którego wpływem grzybki w ciągu nocy osiągają metrową średnicę...

Profesor z taką miłością przestawiał naczynia z preparatami, że ani się spostrzegł, kiedy upłynęła godzina. Do rzeczywistości przywołał go hałas dobiegający z podwórka. Okazało się, że malarze zakończyli robotę i zbierali teraz narzędzia z pewnym zdumieniem przyglądając się owocom swojej pracy, sąsiedzi przerwali budowę basenu i żegnali się, udając się na spoczynek. W oknie Gawriłow zgasło światło. Znad rzeki zmęczonym krokiem wracali pojedynczo pasożyci.

— Co to będzie jutro? — powiedział w zadumie Lew Chrystoforowicz i położył się spać. Miał nadzieję, że preparat nie całkiem wywietrzeje z organizmów ludzi.

Profesor spał mocno i śniły mu się sny, w których zawsze znajdował tematy dla pracy naukowej na dzień następny. Nie słyszał, jak cichutko otwierają się drzwi i ciemna ludzka postać, osłaniając dłonią reflektor latarki elektrycznej, zatrzymuje się w progu. Promień latarki nieśmiało obiegł pokój, zatrzymał się na moment przy wezgielciu posłania, odbił się od łysiny profesora i zamarł na stole pośród butelek.

Postać podkraśniała się na palcach do stołu i zatrzymała się przed szeregiem naczyń. Podnosiła i prześwietlała latarką flakony do tej pory, aż odszukała potrzebny. Wówczas człowiek schował go za pazuchę, wyszedł z pokoju i bezszelestnie zamknął za sobą drzwi. Profesor spał jak nowo narodzone dziecko i śnił o metodach zwiększenia wagi młodego bydła rzeźnego.

Rankiem profesor wstał przed wszystkimi i zanim przystąpił do nowych doświadczeń, usiadł przy oknie i zaczął wyglądać na podwórze.

Jako pierwsi poszli do pracy Wasilij Wasilijewicz i Wala Kac, byli weseli i ożywieni. Odnosiło się wrażenie, że wczorajsze przemęczenie zupełnie im nie zaszkodziło.

— Jak leci? — zapytał ich Minc.

— Doskonale, Lwie Chrystoforowiczu — odparł Wala. — Dziś po pracy będziemy kończyć basen. Przyłączcie się do nas?

— Z przyjemnością — odparł profesor.

Humor mu się znacznie poprawił, gdyż przekonał się, że preparat daje efekty uboczne o najprawdopodobniej przedłużonym działaniu.

Potem na podwórku pokazał się Korneliusz Udałow, który również śpieszył się do pracy. Na widok profesora skłonił mu się i nie wiadomo czemu złapał za odstającą kieszeń. Profesor niczego się nie domyślił i zapytał:

— Jak samopoczucie, Kornieliuszu Iwanowiczu?

— Trudno o lepsze — odparł Udałow i zrobił perskie oko.

Zaraz za Udałowem wyszedł młody Mikołaj Gawriłow z podręcznikami i zeszytami pod pachą. Już w bramie krzyknął do matki, która wyglądała przez okno:

— Nie przemęczaj się, mamó. Masz wysokie ciśnienie. A kartofle obiorem, jak tylko wrócę z praktyki.

To również był dobry znak. Profesor odprowadził Gawriłowa wzrokiem, a potem zamienił kilka słów z jego matką.

Przekonawszy się, że preparat nikomu z jego znajomych nie zaszkodził, profesor podjął rejs zwiadowczy do sklepu Rimmy.

Rimma nudziła się, bo nie miała się z kim kłócić. Zamiast normalnego tłumu niecierpliwych pasożytów w sklepie szwendało się zaledwie dwóch jakichś nie znanych profesorowi facetów.

Lew Chrystoforowicz kupił dwie butelki lemoniady i powiedział groźnie do pasożytów: „ja wam jeszcze dam popić zobaczycie”. Pasożyci nie zrozumieli profesora i zwymyślali go od ostatnich, a Minc podążył do domu.

Na ulicy spotkał znajomych malarzy. Obaj nieśli pędzle i wiadra z farbą do nowego obiektu.

— Cześć, ojczulku! — zawołali. — Nieźle sobie wczoraj popracowaliśmy!
— Tylko dziś zbytnio się nie przemęczajcie — powiedział troskliwie Minc.
— Nic się nie bój, wszystko będzie w porządku — odpowiedzieli malarze. — Nie przemęczymy się, ale z przyjemnością popracujemy.

Szczęśliwy uśmiech nie opuszczał twarzy profesora, lecz kiedy doszedł do rogu ulicy Puszkina, uśmiech ustąpił miejsca wyrazowi najwyższego zaniepokojenia.

Pośrodku ulicy Puszkina, obok walca drogowego i generatora stała grupa robotników miejskich, ubranych w pomarańczowe kamizelki i plastikowe hełmy. Przed frontem brygady defilował Udałow, trzymając w jednym ręku ciemny, znany profesorowi flakon, w drugiej zaś łyżkę stołową. Nalewał na łyżkę płyn z butelki i podawał kolejnemu podwładnemu.

— To szczepionka — powtarzał przy tym Udałow — przeciwko epidemii grypy. Z obwodu przysłali. Wedle specjalnej listy. Każdy musi obowiązkowo zażyć!

Robotnicy i technicy posłusznie otwierali usta i zażywali lekarstwo.

— Korneliuszu Iwanowiczu, nie róbcie tego! — krzyknął profesor, podbiegając do Udałowa.

Ale Udałow najpierw przekonał się, że ostatni członek brygady zażył preparat, a dopiero potem odwrócił się do profesora, oddał mu pustą butelkę i odciągnął pod stojące opodal drzewo.

— Ja bardzo przepraszam, że bez pozwolenia. Ale to dla dobra sprawy — powiedział półgłosem, aby go nie usłyszeli drogowcy. — Muszą dziś pracować do późnej nocy, bo inaczej kwartalny plan się zawali. Nic im nie będzie, jeśli chociaż raz przyłożą się do roboty. Zaszczepiłem też pracowników biurowych i dyspozytorów. Wedle moich obliczeń do wieczora wykonamy plan i wyjdziemy na prowadzenie w obwodzie.

Oczy Udałowa błyszczały podnieceniem.

— Jak tak można — powiedział z wyrzutem profesor. — Musieliście wchodzić do mojego pokoju po ciemku. Przecież mogliście się potknąć, przewrócić, nabić sobie guza...

Dobry profesor był naprawdę zmartwiony.

— Nie denerwujcie się, Lwie Chrystoforowiczu — odparł Udałow. — Miałem ze sobą latarkę. Odwrócił się do drogowców i powiedział gromko:

— Do roboty, przyjaciele!

Ale z drogowcami działo się coś niezwykłego. Żaden z nich nie chwycił za łopatę lub młot pneumatyczny. Wszyscy coś nucili pod nosem potem stanęli w kręgu, a brygadzysta pomachał w powietrzu ręką, zaprowadzając wśród nich muzyczny porządek.

— Co się dzieje? — zdziwił się Udałow.

Brygadzysta uniósł dłoń do góry, prosząc w ten sposób o ciszę. Następnie powiedział:

— Raz, dwa, trzy!

I brygada ochoczo zaśpiewała na cztery głosy trudną wykonawczo gruzińską melodię ludową „Suliko”. Drogowcy śpiewali czysto i pięknie. Żaden z nich nie sfalszował i nie zmylił taktu.

Udałow stał pod drzewem jak rażony gromem. W domach na całej ulicy pootwierały się okna i ludzie wsłuchiwali się w śpiew, którego mógłby pozazdrościć zespół „Orera”.

— Co? Co? — Udałow patrzył gniewnie na profesora. — To wasze dowcipy?

— Chwileczkę... — profesor powąchał pusty flakonik. — Tak myślałem. W ciemności pomyliliście butelki. To jest preparat polepszający słuch muzyczny i zdolność śpiewu chóralnego.

— Okropność! — wykrzyknął Udałow. — I długo oni tak będą śpiewać?

— Długo — powiedział profesor.

— Ale co w takim razie dzieje się w biurze? A co w dyspozytorni?

— Nie rozpaczajcie — powiedział profesor wsłuchując się w melodyjne pienia drogowców.
— Gwarantuję, że wasze przedsiębiorstwo budowlane zajmie pierwsze miejsce w obwodowym

konkursie amatorskich zespołów artystycznych.

— No cóż — powiedział ze smutkiem Udałow. — To też coś...

WZAJEMNOŚĆ

Misza Standal wstydził się bardzo sterczeć pod oknami Aleny Wiszniak, ale w żaden sposób nie potrafił się od tego powstrzymać. Księżyc już wzeszedł i teraz skradał się nad Wielkim Guslarem, nurkując w półprzezroczyste chmury i odrzucając je do tyłu niczym muślinowy tren, aby potem ukazać się światu w srebrzystej nagości. Poszczekiwały psy. Obok, po drugiej stronie parkanu miarowo dyszała Antarktyda, zła suka należąca do ciotki Aleny. Antarktyda nie szczekała, usiłowała tylko precyzyjnie przycisnąć pysk przez szczeliny między sztachetami i odgryźć Miszy rękę.

Z okna padało na zarośla niepokojące, pomarańczowe światło. Ową niecodzienną poświatę rzucała lampa z abazurem, wisząca nisko nad stołem. Ciotka siedziała plecami do okna i piła herbatę. Alena czytała. Kiedy przewracała stronicę, poprawiała jednocześnie kosmyk włosów spadający na czoło, a Misza zachwycał się gestem ręki i kolorem kosmyka. Raz Alena w zamyśleniu odwróciła się do okna i Miszy wydało się, że ich spojrzenia spotkały się. Natychmiast osłabł i chwycił się parkanu. Zdążył jednak cofnąć rękę i Antarktyda kłapnęła jedynie zębami.

Ciotka poruszyła głową. Widocznie powiedziała coś do Aleny. Alena przesunęła dłonią po książce, żeby się nie zamknęła, wstała i ruszyła do drzwi. Misza cofnął się o krok. Trzasnęły drzwi, Alena wyszła na ganek i brzęknęła rączką wiadra. Antarktyda zawyla i trzema susami znalazła się przy ganku. W jej skomlaniu Misza wyraźnie usłyszał plotkarską obmowę. Alena jednak nie zrozumiała. Powiedziała tylko:

— Pójdziesz ze mną do pompy?

Patrząc na sylwetkę Aleny, Misza czuł, że wiąże go z nią mocne nici gorącego uczucia. Pojmował nawet, że w jego nastrojach nastąpił moment tak krytyczny, że gotów jest podejść do dziewczyny i oświadczyć się. Przeszkadzała mu w tym zła suka, której trudno było się pozbyć.

Kiedy Misza w ten sposób rozmyślał, Alena podeszła do furtki i odsunęła rygiel. Jej cień wyrysował się ostro w pomarańczowym prostokącie światła. Antarktyda, nie czekając, aż furtka otworzy się całkowicie, wyskoczyła na ulicę, rzuciła się na Standala, chwyciła go za rękaw i zaczęła ciągnąć w kierunku Aleny. Misza opierał się. Alena rozpoznała łup Antarktydy i powiedziała:

— To wy, Misza? Prawie się przestraszyłam. Co wy tu robicie o tak późnej porze?

Misza w obecności Aleny krępował się walczyć z suką, starał się więc tylko tak trzymać rękę, żeby Antarktyda nie rozerwała mu rękawa.

— Przechodziłem tędy — odpowiedział.

Pies warknął głośniejszym, zarzucając Miszy kłamstwo.

— Dokąd to szliście? — zapytała Alena.

— Niedaleko, do sąsiedniego domu. Po prostu spacerowałem.

— Puść go, Anka — powiedziała Alena do suki. — On po prostu spacerował.

Alena poszła w stronę pompy. Pies nie puszczał Miszy, lecz prowadził go za swoją panią. W takiej sytuacji Misza zdecydował się kontynuować rozmowę.

— Chciałem was zobaczyć — powiedział. — Zatrzymałem się pod waszymi oknami.

— Zachowujecie się nieprzyzwoicie — oświadczyła Alena. — Wczoraj też peszyliście mnie swoimi spojrzeniami.

— Przepraszam — powiedział Misza. — Ja nienaumyślnie. Po prostu nie mogłem oczu oderwać.

— Nie dawałam wam żadnego powodu — powiedziała Alena. Następnie powiesiła wiadro na haku i zaczęła pompować wodę.

— Pozwólcie, że wam pomogę — powiedział Misza zapominając o psie.

— Jak chcecie — odrzekła Alena i wyprostowała się ustępując mu miejsca. Misza pompował wodę, a pies zwiślał mu na rękę. Musiał wobec tego pompując wodę jednocześnie podnosić i opuszczać psa. Alena patrzyła na księżyc.

— Chcielibyście znaleźć się tam? — zapytała.

— Powiedźcie swojej suce, żeby mnie puściła.

— Oj, jak śmiesznie — powiedziała Alena. — Anka, ile razy mam ci powtarzać? Widzicie, że ona mnie nie słucha. Będę musiała sama dopompować.

— Wiadro już dawno jest pełne — powiedział Misza. — Pompuję tylko po to, żeby was tu jak najdłużej zatrzymać.

— Dziwak — powiedziała Alena. — Dobranoc. I bądźcie uprzejmi nie włączyć się za mną więcej. Jeśli ciocia się dowie, postara się o to, żeby was usunęli z pracy.

— Drobiazg — powiedział Misza. — Nie zależy mi na tej pracy. — Szli z powrotem ku furtce. Misza w jednej ręce niósł wiadro, a z drugiej zwiślała mu suka.

— Jeszcze raz dobranoc — powiedziała Alena. — I zapamiętajcie sobie, że choć Anka jest zwykłą kundlicą, to potrafi człowieka zagryźć na śmierć. Następnym razem może was chwycić za gardło.

— Smutno mi bez was — odparł Standał. Antarktyda puściła Miszę i wślizgnęła się do ogródka.

Misza poczekał, aż za Aleną zamkną się drzwi i poszedł sobie. Postanowił, że nie zwlekając uda się do Głumuszki.

Głumuszka mieszkała za tartakiem na skraju starej poręby, w domu, który niegdyś jeszcze przed rewolucją należał do gajowego. Z biegiem lat gajowy, podążając za lasem, przeniósł się o jakieś dziesięć kilometrów za miasto, a w domu zmieniali się przypadkowi gospodarze, póki nie rzucili go na pastwę losu. I wtedy zamieszkała w nim Głumuszka.

Nikt nie wiedział, skąd przyszła i co dawniej robiła. Mieszkała w ruderze już drugi rok, żywiła się byle czym, do cerkwi i na cmentarze nie chodziła, zbierała butelki pozostawione w lasu podczas sobotnich pikników i odnosiła je do punktu skupu na bazarze.

Początkowo na Głumuszkę nikt nie zwracał uwagi. Raz tylko zajrzała do niej urzędniczka z ubezpieczalni, żeby zapytać o jej emeryturę, ale Głumuszka do emerytury nie miała żadnych uprawnień, a w dodatku powiedziała, że co miesiąc otrzymuje przekaz z Wołogdy, od siostrzenicy, co było nieprawdą. Głumuszka lubiła włączyć się po lesie i zapuszczała się daleko, aż za Konopatówkę, a nawet za Sidorowskie Bagna. Zbierała zioła i grzyby. Kiedyś wyleczyła Miłowidową krowę, na której weterynarz już postawił krzyżyk. Potem zdarzyło się, że przyszła do biura tartaku i powiedziała strażnikowi, że nocą zostanie podjęta próba wywiezienia ciężarówki desek. Strażnik nie uwierzył, ale jednak trochę się zdenerwował, w związku z czym nie mógł zasnąć i zatrzymał półtoratonówkę z deskami. Otrzymał za to pochwałę, a o Głumuszcze opowiedział żonie. Żona z kolei spotkała kiedyś Głumuszkę na drodze i zapytała ją, co urodzi córka — chłopca czy dziewczynkę. Głumuszka poprosiła o dwa dni zwłoki i powiedziała, że chłopca. Syna nazwano Jurą, a żona strażnika przyniosła Głumuszcze mendel jaj.

Tak rosła sława. Sława niezbyt trwała i niepewna, gdyż wraz ze wzrostem liczebności miłośników Głumuszkińskiego talentu mnożyli się również wrogowie, zawistnicy i sceptycy. Kontrowersje wokół jej osoby nasiliły się zwłaszcza po tym, kiedy Głumuszka, jak ludzie powiadali, skłoniła do małżeństwa ze Stołypinem przyjezdną kobietę, która miała narzeczonego w Archangielsku. Stołypin, kierowca z tartaku, zaprzeczał słuchom, że dostał od Głumuszki

lubczyk, ale im uporczywiej zaprzeczał, tym mniej ludzie wierzyli. A młoda żona świata poza nim nie widziała.

Do Głumuszki biegały sprzedawczynie z Domu Towarowego, uczennice i uczniowie dziesiątej klasy, niektóre staruszki i gospodynie domowe. Pod osłoną nocy do jej okienka pukali również mężczyźni. Głumuszka z wolna omotała miasto Wielki Guslar swoim czarnoksięstwem, ale nikomu nie udało się złapać jej na gorącym uczynku. Kiedy do starej przyszło dwóch aktywistów z kółka ateistycznego i zażądało, aby za godziwą opłatą przygotowała im środek przeciwko miejscowemu popowi, odpowiedziała im tak:

— Niepotrzebnie się wygłupiacie. Nie jestem czarownicą, a tym bardziej znachorką. Wstyd nawet wysłuchiwać takich propozycji od ludzi na pierwszy rzut oka kulturalnych. Idźcie z Bogiem, bo doniosę do waszej dyrekcji.

Aktywiści musieli odejść z niczym.

Misza Standal, rzecz oczywista, odnosił się sceptycznie do opowiadań o umiejętnościach starej. Kiedyś nawet zaproponował redaktorowi swojej gazety napisanie materiału demaskującego szarlatanę, ale redaktor odrzucił do tyłu rzeźbioną, masywną głowę i odradził. Wy tłumaczył przy tym, że starucha nie stwarza zagrożenia społecznego, a gazecie nie uchodzi zajmować się babskimi plotkami. Zaciekawiony tym wszystkim Misza wypytał konfidencko grono znajomych i nawet spotkał się z pewną niewiastą w średnim wieku, utrzymującą, że Głumuszka pogodziła ją z mężem. Niewiasta pracowała na stanowisku bibliotekarki w Technikum Rzecznym i trudno ją było posądzać o nadmierną zabobonność.

Misza uspokoił się, zapomniał o Głumuszcze, zepchnął ją na samo dno świadomości. Niewykluczone, że Standal, nieetatowy publicysta gazety miejskiej, nigdy by już o czarownicy nie wspomniał, gdyby w odwiedzinach do ciotki nie przyjechała Alena Wiszniak, mistrzyni sportu w tenisie, finalistka ogólnozwiązkowa mistrzostw w deblu, blondynka o czarnych oczach, w której natychmiast beznadziejnie się zakochał. Standal był mężczyzną o wyglądzie całkowicie niesportowym i nawet nie lubił chodzić na plażę, gdyż wstydził się swej białej cery i miękkiego brzucha. Poza tym nosił okulary i przypominał młodego Gribojedowa.

Misza przedsięwziął kilka prób zbliżenia się do Aleny Wiszniak. Przeczytał nawet w tym celu książkę o tenisie i zaprenumerował czasopismo „Tenis”. Przeprowadził też z Aleną wywiad, który nie ukazał się w gazecie, gdyż akurat zbliżały się pielenia i sianokosy oraz mistrzostwa świata w piłce nożnej. Chodził za Aleną po ulicach i gapił się na nią w miejscach publicznych, niewiele jadł i w swych korespondencjach mylił oczywiste fakty.

Misza Standal, człowiek inteligentny i zrównoważony, absolwent Uniwersytetu Leningradzkiego zapisał bardzo złymi rymami gruby brulion, schudł, wpadł w rozpacz i postanowił wreszcie pójść do Głumuszki, zdając sobie doskonale sprawę z tego, jak bardzo jest to głupie i nielogiczne. Ale w życiu następuje czasem taki moment, że rozsądek schodzi na dalszy plan. Rozsądek Miszy właśnie odszedł.

*

Misza po raz ostatni obrócił się w stronę pomarańczowego okna, zdjął okulary, przetarł je chusteczką, rozejrzał się nerwowo na boki i ruszył ku tartakowi, udając, że spaceruje, i zagrzewając się wspomnieniami o twarzy Aleny, opromienionej srebrzystym blaskiem księżyca. Po jej twarzy przebiegały cienie chmur, oczy wydawały się czarne i bezdenne, a zęby błyszczały, niczym odlane z księżycowej materii. Przy samym tartaku kończył się asfalt. Dalej była nierówna, gruntowa droga z głębokimi koleinami wyjeżdżonymi jeszcze podczas wiosennych roztopów. W głębi kolein pozostawała woda, a w każdej takiej kałuży odbijał się księżyc. Domki

przedmieścia już spały i gapiły się ciemnymi oknami na późnego wędrowca. Latarnie stały daleko od siebie i cień Miszy wyrastał do niesłychanej długości, potem rozdwajał się, przekręcał i skracał w miarę zbliżania do następnej latarni. Za parkanami budziły się psy i wściekle obszczekiwały Misze aż do granic swoich podwórek. Miszy było nieco nieswojo ale nie dlatego, żeby lękał się samotności, lecz raczej dlatego, że obawiał się spotkać, w tym miejscu i o tej porze, któregoś ze swych zwykłych, dziennych znajomych.

Za ostatnimi domami trzeba było skręcać z drogi w kierunku sosen. Księżyc świecił nadal. Ścieżka wiodąca do domu Głumuszki była doskonale widoczna, Misza więc bez trudu omijał korzenie podstawiane mu przez drzewa. Mimo woli przyspieszył jednak kroku i ostatnie metry, dzielące go od chatynki, przebył biegiem, jakby gonił ruszający właśnie pociąg. Dobiegł i zatrzymał się. Stał na polance. Dom Głumuszki wykrzywił się i jednym rogiem zapadł w ziemię. Dranice dachu, posiwiałe ze starości, błyszcząły w świetle księżyca. Płot z nierównych kołków sprawiał wrażenie szeregu kopii, ustawionych przez wojów książęcej drużyny. Okiennice były zamknięte, ale spoza nich przebijało mętne światło. Głumuszka nie spała, ale czy go przyjmie? A może akurat ma klienta? Misza wyobraził sobie nawet, że klientem może być ktoś z redakcji. I wtedy konsekwencje będą okropne. Przystąpił z nogi na nogę, niczym skoczek wzwyż przed rozbiegiem. Nie pobiegł jednak, lecz zaczął wolniutko skradać się na palcach, aby najpierw zajrzeć przez szczelinę w okiennicach i przekonać się, czy może bezpiecznie wejść.

Pod oknem rosły gęste łopiany i pokrzywy. Najpierw pod nogami Miszy z ogłuszającym trzaskiem złamał się patyk, a następnie sam Misza wpadł po kolana w niewidzialną jamę i w tej niewygodnej pozie znieruchomiał.

Drzwi otworzyły się.

— Wchodźcie — powiedział głos. — Nie ma co stać pod oknem.

Misza wyplątał się z łopianów i wszedł na ganek. Czuł się parszywie. Bo niby z jakiej racji włóczył się nocą po lesie i wystawał pod podejrzaną chatynką? Kto go do tego zmusza? Zaraz jednak odrzucił te myśli, gdyż kładły się brzydkim cieniem na czystym afekcie, jakim pałał do Aleny Wiszniak.

Za uchylonymi drzwiami nie było nikogo. Była jedynie niska, pusta sień, słabo oświetlona gołą żarówką zawieszoną pod sufitem.

— Wycierajcie nogi — powiedział głos.

Misza posłusznie szurnął podeszwami po słomiance.

Żadnych innych wskazówek nie otrzymał, popchnął więc drzwi wiodące do izby. Drzwi otworzyły się miękko i bezszelestnie. Z izby uderzyło mu w twarz jaskrawe światło, jakie bywa w szpitalach i przychodniach lekarskich. Misza znalazł się w obszernym pomieszczeniu o równych, czysto wybielonych ścianach. Pod ścianami stały ławki. Na ławkach siedzieli ludzie, którzy jak na komendę odwrócili się w kierunku przybysza.

— Dobry wieczór — powiedział mężczyzna z zawiązanym policzkiem, w którym Misza rozpoznał Korneliusza Udałowa, kierownika komunalnego przedsiębiorstwa budowlanego. — Co was tu sprowadza? Siadajcie obok, jest jeszcze trochę miejsca. Jak długo czekaliście na wizytę?

— Ja... w ogóle nie czekałem — powiedział Misza. — Chyba sobie pójde. Wpadnę jutro.

— Jutro nie ma co — powiedział Udałow. — Jutro nie przyjmują. A ja na przykład zapisałem się trzy dni temu.

Udałow otworzył dłoń, na której widniał, wyrysowany ołówkiem kopiowym, wielki numer dwadzieścia osiem.

— Siadajcie — powiedział. — Jeśli drzwi były otwarte, to przyjmą. Nas już niewielu zostało.

Ponieważ Standal był ostatni i dla nikogo z obecnych nie stanowił konkurencji, do Udałowa przyłączyli się pozostali pacjenci.

— Siadajcie — rozległo się ze wszystkich stron. — Ona szybko przyjmuje.

I Misza usiadł na krawędzi ławki.

W poczekalni zastał sześć osób. Były to osoby bardzo różne i najwidoczniej różne też były przyczyny, które ich tam sprowadziły. Udałowa bolał ząb.

— Was też? — zapytał Udałow.

— Nie — odparł Misza.

— A ja trzy noce nie spałem. Poszedłem do przychodni, a dentystka mówi, że trzeba rwać. Wtedy żona do mnie: „Korneliusz, Głumuszka potrafi zamawiać. Ona naszemu Pogosjanowi zamówiła. Nawet nerwu nie trzeba było usuwać”. No to poszedłem.

— A co z tym? — zapytał Misza półgłosem.

— Nie poznajecie? Ze stacji meteorologicznej.

— Ze stacji meteorologicznej?

— Co wy tam szepczecie — powiedział siedzący naprzeciw mężczyzna w kapeluszu nasuniętym nisko na oczy i z podniesionym kołnierzem płaszcza. — Ja bardzo bym prosił nie rozgłaszać!

— Jasna rzecz — zgodził się Udałow. — My tu wszyscy bez rozgłaszania. Jaki dureń się przyzna. Po prostu mój znajomy zainteresował się wami. No to mu powiedziałem, że jesteście ze stacji meteorologicznej. Nawet nazwiska nie wymieniłem.

— Wasz znajomy pracuje w naszej gazecie i całkiem możliwe, że go tu redakcja przysłała — odparł mężczyzna w kapeluszu. — Nie możemy mu zaufać.

— Z gazety? — zapytał grubas z kozłem na smyczy. — W takim razie lepiej sobie pójdźcie. Wcale nie mamy ochoty trafić do felietonu. I bez tego człowiek ma dość kłopotów. Ja się cieszę opinią!

Kozioł zadarł brodaty pysk, lekko uniósł przednie nogi, oparł się kopytami o kolana grubasa i polizał go w brodę.

— Niech idzie — powiedziała malutka kobieta zawinięta w szarą chustę, gdy grubas odpychał kozła.

— Ja nie z ramienia gazety — zapewnił gorąco Standal. — Daję słowo honoru! Ja z własnej inicjatywy.

Obite czarną ceratą drzwi do następnej izby otworzyły się i wyszedł z nich brodaty mężczyzna z plecakiem na ramionach. — Promieniał ze szczęścia i nie widział nikogo z obecnych.

Człowiek ze stacji meteorologicznej poderwał się, pośpiesznie podbiegł pod drzwi i zapytał:

— Można wejść, czy sami zaprosicie?

— Zdejmijcie kapelusz — rozległ się głos z białej izby. — I wchodźcie. Przecież nie mogę do jutro was tu przyjmować.

— Po co on tu przychodzi? — zapytał znowu Misza, gdy tylko zamknęły się drzwi za pracownikiem stacji meteorologicznej.

— Prognozy opracowuje — odparł Udałow — i skarży się na los. Dziesięć pomyłek w ciągu dwóch tygodni. Klimat nam się ostatnio okropnie zepsuł i niczego nie można być pewnym, chociaż nad głowami latają sputniki meteorologiczne.

— A co ona ma z tym wspólnego?

— Powiadają, że potrafi, a on wyzbył się już wszelkiej nadziei. Chłopi go męczą. Pytają: kosić, czy poczekać. A co on może odpowiedzieć?

— Dziwne — powiedział Misza.

— A jednak — nalegał Udałow — ciekawe, z jaką sprawą przyszliście? Mam nadzieję, że nie przysłali was z redakcji, żeby zdemaskować?

— Ja mam sprawę prywatną — odparł Misza. — A ząb bardzo was boli?

— Teraz można wytrzymać. U mnie tak zawsze. Kiedy tylko przyjdę do lekarza, ból zaraz ustaje.

— To nerwy — powiedział mężczyzna z kozłem.

Kozioł naciągał smycz, bo chciał wyjść na dwór.

— A zęby to w ogóle choroba nerwowa — poparła go kobieta w szarej chusteczce. — Wrzód też.

— A wy cierpicie na wrzód żołądka? — zapytał Misza.

— Nie — odparła kobieta. — Cierpię dlatego, że córka mi się za mąż wybiera. A jego jesienią biorą do wojska. Co tu mówić o zakładaniu rodziny! To znaczy, że nie jesteście z gazety?

— W ogóle to z gazety, ale teraz nie z gazety — wyjaśnił Misza.

— Jeśli potrzebujecie lubczyka — powiedział mężczyzna z kozłem — to radzę zachować wyjątkową ostrożność.

— Nie, co wy — powiedział Misza i poczerwieniał.

— Jasne, że nie z gazety — powiedział mężczyzna dotychczas milczący, z wypłowiałymi brwiami, ubrany w wysokie myśliwskie buty i watowaną kurtkę. — Zakochał się. Patrzaj Iwan, on się zakochał.

Jego sąsiad, strażak, który do tej pory drzemał z kaskiem opartym o donicę z fikusem, obudził się i potwierdził.

— Spokojny, diabeł — powiedział mężczyzna w waciaku, wskazując na strażaka. — Już piąty raz przychodzi, przyzwyczał się. A ja nie, nie mogę.

— Piąty raz? — zdumiał się Udałow. — A co mu się takiego stało?

— Węża parcianego zgubił — powiedział mężczyzna w waciaku. — Często gubi rozmaite przedmioty wyposażenia przeciwpożarowego.

— I ona znajduje?

— Za każdym razem — powiedział mężczyzna w waciaku. — Poprzednio trzy gaśnice mu odszukała. Dobry z niej człowiek, serdeczny. A mnie kłusownicy zamęczyli. Tajną ścieżkę znają. No to przyszedłem, żeby mi stara powiedziała, którędy ta ścieżka biegnie. Jestem ze straży rybackiej.

Wyszedł meteorolog, szybkimi ruchami zwijając mapę synoptyczną.

— No i jak? — zapytał go mężczyzna w waciaku.

— Od jutra pogoda będzie bez opadów! I to do końca tygodnia. Przecież mówiłem! — kapelusz meteorologa przewędrował z czoła na czubek głowy, twarz mu błyszczała od potu. — Segejda nie uwzględnił antycyklonu znad Antylów. A ja mu mówiłem, że zaczepi. On na to, że za daleko. A trzeba było uwzględnić.

Jako następna zniknęła za drzwiami kobieta w szarej chuście. Gdy tylko drzwi się za nią zamknęły, z gabinetu zaczęło dobiegać mamrotanie, szybko wzmagające się do niewyraźnego krzyku. Widać kobiety klóciły się. Po niespełna dwóch minutach kobieta w szarej chustce wbiegła do poczekalni, przyciskając do piersi zawiniątko z darami, które przyniosła Głumuszce.

— I nie przychodźcie do mnie więcej ze swoimi wstrętnymi propozycjami! — krzyczała za nią czarownica. — Chcecie ludzi pozbawić szczęścia? Tak? No to się wam nie uda!

— Jestem matką! — krzyknęła niewiasta na odchodnym. — Ja złożę skargę!

— Następny — powiedziała Głumuszka.

Misza nie mógł jej dojrzeć, bo drzwi otwierały się w jego stronę i dobiegał zza nich jedynie swarliwy głos czarownicy.

— Iwan, teraz ty — powiedział mężczyzna w waciaku.

— Co zgubiliście? — zapytała Głumuszka, nie zamykając drzwi.

— Wąż gdzieś się zapodział. Porucznik mówi: ty, Sidorenkow, ostatni miałeś go w ręku. Ty,

powiada musisz go znaleźć.

— Przyjdź jutro o ósmej trzydzieści — powiedziała Głumuszka.

— Następny.

Wobec tego teraz przypada moja kolejka — powiedział mężczyzna w waciaku. Strażnik znów zapadł w drzemkę.

Niezwykłość oglądanych scen pozwoliła Standalowi zapomnieć na moment o ukochanej. Zamiast ciemnej chatynki, czarnego kota na piecu, ciężkiego, duszącego aromatu ziół i dekoktów była poczekalnia z fikusem. I synoptyk. I Iwan z wężem pożarniczym. Udając się do czarownicy, Misza Standal gardził sobą i przeklinał Alenę, która zmusiła go do podejmowania takich rozpaczliwych kroków. Ale właściwie ta haniebność, nienaturalność wyprawy do izdebki czarownicy łączyła się w jego świadomości z nieodwzajemnioną miłością, miłością bez wyjścia. A tymczasem znalazł zwyczajną przychodnię. Nieoficjalną, lecz powszednią różniącą się od przychodni rejonowej jedynie rodzajem dolegliwości pacjentów. Ku swojemu przerażeniu Standal zrozumiał nagle, że może uzyskać tu pomoc, ale nie wiedział już, czy istnieje tej pomocy pragnienie.

— A wtedy ja jej mówię... — usłyszał nagle słowa grubasa z kozłem. — Albo ona mnie pokocha, albo będę zmuszony zwrócić się do sądu. Sytuacja bez wyjścia.

— Tak — zgodził się Udałow. — Sytuacja rzeczywiście bez wyjścia.

— Dostaję ci ja od niej lubczyk...

— Nareszcie — wymknęło się Standalowi.

— Co?

— Ja tylko tak, głośno myślałem.

Misza tymczasem myślał: wreszcie znalazł się człowiek, który nie gubił węża pożarniczego, nie interesuje się drogami cyklonów i poluje na kłusowników. Człowiek, który pokochał i oczekuje wzajemności.

— Dostaję ci od niej lubczyk i od razu biegnę tam. A ona na mnie z pyskiem. Wówczas powstał problem: jak ją tym lubczykiem napoić?

Z drzwi gabinetu wyszedł mężczyzna w waciaku, pogwizdując w zadumie jakąś pieśń masową. Obudził strażaka i wyszedł z nim na dwór, a do gabinetu wśliznął się Udałow. Grubas utracił wszystkich słuchaczy poza Standalem, wobec czego zapytał go:

— Mam kontynuować swoją opowieść?

— Tak, naturalnie — odparł Misza. — Ja mam taki sam problem.

— Również ona?

— Również. Ale nie słyszałem początku waszej historii i jeżeli nie weźmiecie mi tego za złe...

— Oczywiście, chętnie powtórzę. Tym bardziej, że macie ten sam kłopot. Odejdź! Odejdź ode mnie! Nie lubię!

Te ostatnie słowa odnosiły się do kozła, który po psiemu łąsił się do grubasa.

— A więc mam sąsiadkę, Aidę. Cholera, jakiej świat nie widział. Stara panna, sucha jak deska i tak dalej. Nienawidzę jej, a mnie doprowadzić do nienawiści nie jest łatwo. Dwa razy w ciągu ostatniego miesiąca niszczyła graniczny parkan, pomyje wylewa tylko pod moim oknem i w dodatku prześladuje mnie swoją pogardą. Żmija!

— To o niej mówiliście? — zapytał Standal.

— Pewnie, że o niej, żeby ją szlag trafił! Zrozumiałem, że jeszcze dzień takiej męczarni i albo trafię do domu wariatów, albo zaskarżę ją do sądu, albo posunę się do rękoczynów. I w dodatku ten przekłety kozioł!

Grubas wskazał palcem kozła, który skorzystał z okazji i polizał go po palcu długim,

szorstkim językiem.

— Ten kozioł regularnie, umyślnie wpuszczany do mojego ogrodu, zżera wszystkie plody mojej pozazawodowej pracy. Wszystkie. Przy czym najbardziej smakują mu słabe, delikatne pędy rzadkich roślin. Poszedłem ci ja więc do tej Głumuszki i otrzymałem od niej lubczyk. Wróciłem do domu zacząłem się zastanawiać, w jaki by tu sposób zadać ten lubczyk mojej sąsiadce, zmusić ją do tego, aby traktowała mnie po ludzku i tym sposobem położyć koniec zastarzałym waśniom...

Z drzwi gabinetu wyszedł Korneliusz Udałow, miętosząc w ręku opatrunek, z którego wystawała przybrudzona wata.

— Dziękuję, towarzyszeko doktor — powiedział do czarownicy. — Obawiam się, że trzeba będzie rwać. A ja i tak już mam trzy mostki.

Zaraz za Korneliuszem Udałowem do poczekalni weszła malutka, pomarszczona staruszka w szarej, samodziałowej sukience i łapciach. Przymiała się bardzo prosto, a jej oczy błyszczały bystro i przenikliwie. Siwe włosy miała starannie przewiązane błękitną chusteczką.

— Dwóch zostało? — zapytała czarownica.

— Dwóch — odparł Misza, drętwiąc z przerażenia.

— Wobec tego wchodźcie obaj. Problem macie podobny — powiedziała Głumuszka.

— Ja na ciebie, Misza, tutaj zaczekam — powiedział Udałow. — Nie spieszy mi się, a samemu iść nie bardzo przyjemnie.

Pierwszy do gabinetu wszedł kozioł, za nim grubas, a na końcu Misza.

— Siadajcie — powiedziała staruszka. — Zmęczyłam się dzisiaj. Niedługo inspektor finansowy się do mnie dobierze. Tyle będę miała ze swojej dobroci.

Czarownica usiadła przy starym biurku, wymazanym atramentem i pokrytym różnymi, nie zawsze przyzwoitymi napisami. Grubas zajął miejsce na krześle przed biurkiem, a Misza skromnie przycupnął na ławce u pieca.

Izba była czysto zamieciona i niemal pusta. Jedynie stary chodnik przecinał ją na ukos, a okienko zasłaniały dwie doniczki z geranium. Pod oknem stała oszklona szafka. W szafeczce były słoiki i butelki z papierowymi etykietami. Na piecu suszyły się różne zioła.

— Wyście u mnie, dobry człowieku, już w tych dniach byli — powiedziała Głumuszka. — Coś nie tak wyszło?

— Nie tak — przyznał się grubas.

— Opowiadajcie — poleciła Głumuszka. — Tylko krótko.

— Poszedłem do domu — powiedział grubas. — A ona na mnie już czeka. Z krzykami, że niby ja jej spodnią bieliznę ze sznurka ukradłem. Myślę sobie, w jaki sposób wytrzymać takie nerwowe napięcie, jak jej podrzucić lubczyk? Nie znalazłem wyjścia. A ona szaleje. Przemęczyłem się do wieczora...

— Krócej — powiedziała Głumuszka.

Kozioł tupnął nogą. Nie spodobał mu się ton czarownicy.

— Ja krócej — zgodził się grubas. — Jak tylko się ściemniło, podkradłem się do jej okna i wlałem lubczyk do czajnika na esencję. Czajnik stał na parapecie. A potem widzę, że ona zamierza napić się herbaty, zdejmuję pokrywkę, wacha i mówi na głos: „Herbata stara, zwietrzała. Trzeba nową zaparzyć”. No i cały ten lubczyk wylała do wiadra z pomyjami, a wiadro wystawiła na dwór. Zanim zdążyłem zareagować, jej wredny i szkodny kozioł podszedł do tego wiadra i napił się pomyj. A z samego rana czekał już na mnie pod drzwiami, żeby miłość wyrazić, i od tej pory chodzi za mną jak przywiązany. Chciałem przed nim uciec, autobusami jeździłem, w domu się zamykałem, ale on przez okno wchodzi, a ta cholera Aida na cały świat krzyczy, a ja... Boże, jaki ja jestem nieszczęśliwy!

— Ciekawe — powiedziała staruszka. — Powiadacie, że kozioł was pokochał?

— A co, nie widać?

— On ma zupełnie inny metabolizm — powiedziała czarownica. — Nawet nie wiem, jak wam pomóc... A wy, młody człowieku, przestańcie się śmiać. Nie ma w tym nic śmiesznego. Człowiekowi się nie poszczęściło.

— Ja się nie śmieję — powiedział Misza, nie mogąc spędzić z twarzy idiotycznego uśmiechu. — To tylko nerwowy grymas.

— Nie, ja się nie obrażam, rozumiem, że jestem śmieszny — powiedział grubas płaczącym głosem. — Mnie miłość tej kobiety była potrzebna nie dla niskich korzyści, lecz dla uzyskania spokoju i zachowania delikatnych roślinek w moim ogródku.

— Roślinkom nic teraz nie grozi. Kozioł nie zrobi wam krzywdy.

— Ach, jeszcze i ten kozioł! — Grubasowi zabulgotało w gardle, a głowa opadła mu na blat biurka.

„Działa — myślał Misza. — Lubczyk działa! I będę mógł jutro wypróbować jego skuteczność”. Na duszy było mu trwożnie i wesoło. I znów przed oczami Miszy Standała zamajaczyła twarz Aleny opromieniona światłem księżyca. Ale tym razem jej wargi szeptały coś czulego. Zanim Misza zdołał zrozumieć ten szept, obok niego ciężko przemaszerował grubas z kozłem radośnie podskakując do góry, a Głumuszka zadawała Miszy pytanie:

— A wy, młody człowieku, w kim się zakochaliście?

— W dziewczynie — powiedział Misza. — W Alenie. Ona przyjechała w odwiedziny, mieszka u swojej ciotki. Wybaczcie mi z łaski swojej kłopot, który wam sprawiam.

— Nie szkodzi, nie szkodzi, to mój obowiązek — powiedziała Głumuszka. — Jaką uczelnię kończyliście?

— Uniwersytet Leningradzki. Wydział filologiczny. A tutaj pracuję w gazecie jako nieetatowy publicysta. Mam dyplom uznania.

— Bardzo mi miło. A nie wstyd wam, młody człowieku, prosić zacofaną staruszkę o miłosne ziele? Przesiądźcie się tutaj, na krzesło, bo przez całą izbę niewygodnie się rozmawia.

Misza przesiadł się bliżej biurka i poczuł się od razu nieswojo, jak na egzaminie albo w dziale kadr.

— Jesteście podobni do młodego Gribojedowa — powiedziała w zadumie staruszka.

— Już mi to mówili — zgodził się Standal.

— Namiętność opanowała was nieoczekiwanie, czy też stopniowo?

— Chyba nieoczekiwanie — powiedział Standal. — Ujrzałem ją i już.

— Chcę was uprzedzić — powiedziała Głumuszka — że wzajemność spowodowana sztucznymi środkami może z czasem zaniknąć, co doprowadzi do tragicznych następstw.

— Wiem. Ale dłużej już nie zniosę pogardy i obojętności. Wy pewnie, nigdy się nie kochaliście.

— Ja? Kochałam i to nie raz — odparła Głumuszka.

— Przepraszam. Nie chciałem was dotknąć.

— Może jednak uciekniecie się do bardziej konserwatywnych metod? — powiedziała czarownica. — Może otoczycie dziewczynę troską, uwagą i czułością, wykażecie swą odwagę, uczciwość i szlachetność? Wtedy Alena was pokocha.

— Kiedy? — zaoponował Standal. — Za dziesięć dni moja ukochana wyjeżdża na zgrupowanie do Kaługi i nigdy więcej już jej nie zobaczę.

— Jak chcecie — powiedziała Głumuszka. — Zostaliście uprzedzeni. Wobec tego muszę was sfotografować i zrobić analizę krwi.

— A nie można bez formalności? Dajcie mi po prostu lubczyk.

— Och, mój Boże — westchnęła staruszka. — Czyżbyście wy, człowiek kulturalny, wierzyli w takie brednie?

— Niby dlaczego mam nie wierzyć? Przecież widziałem rezultaty.

— Pleciecie głupstwa, Standal. Nie chcecie chyba powiedzieć że o dwa kilometry od miasta Wielki Guslar mieszka czynna czarownica, innymi słowy wiedźma?

— A jak mam was nazywać?

— Jak chcecie: eksperymentatorką, filantropką, przybyszką z sąsiedniego układu gwiazdowego, która spóźniła się na swój statek, wreszcie laureatka Nagrody Nobla w dziedzinie genetyki.

— Ale nie zaprzeczacie, że jesteście czarownicą?

— Wcale nie chciałam, żeby ludzie tak o mnie mówili. Stańcie pod ścianą, zaraz włączę oświetlenie. Przesuńcie się trochę w lewo. Wcale tego nie chciałam. Żyłam sobie cicho i spokojnie, prowadziłam wyrwykowe obserwacje, zbierałam w lesie puste butelki i sprzedawałam je po dwanaście kopiejek sztuka. Reszta była dziełem czystego przypadku. Wystarczy, możecie siadać. Dajcie mi serdeczny palec lewej łęki. Gdzie to się spirytus zapodział? Nie wiecie przypadkiem, czy do apteki przywieźli wreszcie watę? Tak, na czym to stanęłam? Aha, wszystko było dziełem przypadku. Pokochałam mieszkańców tego miasta i nie potrafiłam odmówić im pewnych drobnych usług. Skoro wiem więcej niż oni, umiem więcej od nich i mogę pomóc w nieszczęściu, czy mam moralne prawo odmówić? Nie wrywajcie palca! Będę zmuszona ukłuć was jeszcze raz. Wstydzcie się! Dorosły człowiek, beznadziejnie zakochany, a boi się zwyczajnej igły!

— A po co wam moja krew? — zapytał Standal.

Czarownica wycisnęła kilka kropelek do próbówki, zatkała ją tamponem z waty, potrząsnęła i obejrzała pod światło.

— Grupa B — powiedziała. — Grupa B ze zwiększoną zawartością białych ciałek.

— Nic nie rozumiem — powiedział Standal.

— Wcale nie musicie rozumieć. Ludzie wierzyli, że jestem osobą dosyć tajemniczą, może nawet wiedźmą. Nie chciałam wyprowadzić ich z błędu. A wasza krew potrzebna jest do przygotowania substancji, którą nazywacie lubczykiem. Substancja ta, zawierająca wasz kod genetyczny, po zmieszaniu z pożywieniem obiektu waszej namiętności, nieznacznie przebuduje jego strukturę nerwową. Innymi słowy staniecie się jakby bliźniętami o identycznej krwi. Nie, źle to sformułowałam. Staniecie się bliscy duchem. Ona nabierze do was sympatii tego samego rodzaju, jaką wy odczuwacie do niej. Mogłabym wytłumaczyć to dokładniej za pomocą wzorów, ale z waszym humanistycznym wykształceniem nic z tego nie zrozumiecie. Mój Boże, jak ja się stęskniłam za inteligentnym, wykształconym człowiekiem! Nawet przed wami zaczynam otwierać duszę. Najwyższy czas wracać do domu!

— A więc to jednak czary?

— Masz ci los! Tłumaczy człowiek, tłumaczy, a on znów swoje. Czarów i cudów nie ma. Jest chemia. A dlaczego macie zwiększoną zawartość białych ciałek? Zęby nie dokuczają?

— Prawie nie. A jak wytłumaczyć historię ze złodziejami w tartaku albo odszukiwanie gubionego sprzętu pożarniczego, albo wreszcie żab Udałowa? To wszystko też chemia?

— Nie wierzycie mi. Widzę, że nie wierzycie. Sprzęt odszukałam przy pomocy zwykłego detektora. Trzymam go na piecu. Złodziei wykryłam lokatorem telepatycznym, który zresztą zepsuł mi się i nie da się naprawić z powodu braku części zamiennych. To wszystko jest takie proste, że nawet wstyd o tym mówić. Muszę zresztą przyznać, że bez telepatolokatora pracuje się znacznie trudniej. Przyjęłam zasadę, aby pomagać wyłącznie tym ludziom, których intencje są czyste i szlachetne. Do pewnego stopnia. A jaką mogę mieć pewność, że nie popełniłam błędu?

— Ale moje intencje są zupełnie czyste.

— Wątpię. Chcecie zawrócić w głowie niewinnej dziewczynie. No i dobra. Ja i tak niedługo wyjeżdżam.

Głumuszka ustawiła na biurku najrozmaitsze słoiki i flakoniki, coś mieszała, wywoływała w naczyniach syk i zmiany barwy.

— Wołałabym, żebyście przyszli jeszcze raz, ale obawiam się, że nie będziecie mieli dość odwagi. Wstyd wam nie pozwoli. Przecież nie spodziewaliście się zastać u mnie takiej klienteli? Nie bójcie się, zaraz dostaniecie ten swój lubczyk.

Udałow odprowadził Misze niemal do samego — domu. Szef przedsiębiorstwa budowlanego nie zrobił tego z sympatii do Standala, lecz po prostu dlatego, że lękał się samotnie wracać przez ciemne miasto. Udałow był gadatliwy, jak człowiek, który nieoczekiwanie pozbył się kłopotu.

— Weźmy tego kozła — mówił — zadziwiająca historia! Taka miłość ze strony cuchnącego zwierzaka. A ona mi nawet do ust nie zaglądała, tylko przyłożyła coś do policzka i już. Kanał, powiada, oczyszczony, płucicie usta dwa razy dziennie ciepłym roztworem sody. Sody, powiada, a ja tej sody zupełnie nie znoszę. Mam zbyt rozwiniętą wyobraźnię...

Księżyc zaszedł, latarnie świeciły czerwonym blaskiem. Kiedy przechodzili obok domu Aleny, Standal usiłował nie patrzeć w jej okna. Butelkę z lubczykiem zaciskał w kieszeni, aby przypadkiem nie wypadła albo się nie wylała jej zawartość.

— No i widzicie — kontynuował tymczasem Udałow, zaglądając w twarz Standalowi. — Zadziwiająca historia... Żyjemy w drugiej połowie dwudziestego wieku, w dobie elektroniki i rakiet. A pod bokiem niczym relikwiarz przeszłości mieszka sobie staruszka, która potrafi dokonywać niektórych cudów. Nigdy bym nie uwierzył, gdybym sam nie zobaczył. Z jednej strony zabobon, z drugiej zaś jeszcze nie do końca wyjaśnione możliwości ludzkiej psychiki. Wszak nie na darmo ludzie wierzyli w czary. Znaczy dawniej, za cara. I teraz też jeszcze niektórzy wierzą. W dobie elektroniki.

— Może ona was z pomocą elektroniki wyleczyła — powiedział Misza.

— Ha, ha śmieszne. Z pomocą elektroniki! I wam elektroniczny lubczyk dała? Rozumiem. I kozła też z pomocą elektroniki?

— Czym to się może skończyć? — powiedział Standal.

— O sobie mówicie? Pokocha. Jeszcze jak pokocha. Są już precedensy. — Chodzi mi o staruszkę. Nie powinna mieszkać wśród nas.

— I to się nazywa wdzięczność! Felieton napiszecie? — oburzył się Udałow.

— Jaki tam felieton?

— Właśnie! Jesteśmy na miejscu. Życzę szczęścia w miłości. Udałow ruszył w stronę swojego domu, który stał kilkaset metrów dalej, a Standal ostrożnie wydobył ręką klucz i powoli włożył go do zamka, aby nie obudzić gospodyni mieszkania, od której wynajmował pokój.

Noc spędził bardzo niespokojnie, często budził się i odpędzał koszmary. Śniło mu się, że Głumuszka zmusza go do picia rozmaitych paskudztw i grozi wszczęciem postępowania sądowego.

Ranek był słoneczny i pogodny. Standal długo wpatrywał się we flakonik z lubczykiem, zanim odtworzył w pamięci wszystkie szczegóły nocnej wyprawy.

Pewnie mi się to jednak śniło — powiedział na głos i już zamierzał wyrzucić buteleczkę przez okno, gdy nagle ujrzał przez nie Alenę idącą w kierunku bazaru, z koszykiem na zakupy w ręku. Alena promieniowała takim blaskiem, że Standal zacisnął buteleczkę w dłoni i popędził do umywalni, aby dokończyć formalności porannych ablucji i pospieszyć na bazar za Aleną.

Rozminął się z nią, zaczął szukać na okolicznych ulicach, wpadł w rozpacz i zamierzał już pomknąć w stronę jej domu, ryzykując spotkanie ze złą Antarktydą, gdy nagle dojrzał postać Aleny za zwierciadlaną witryną sklepu spożywczego. Wszedł do środka i ogromnie się speszył.

Najwięcej klientów było w dziale monopolowym. Misza rzucił się tam, wcisnął w kolejkę przy samej ladzie za plecami jakiegoś zwalistego mężczyzny. Alena tymczasem kupowała ser oraz masło i nie widziała go.

— Co wam podać, młody człowieku — zapytała ekspedientka.

— Puskę soku mango — odparł Standal.

— To w dziale warzywniczym — powiedziała ekspedientka ze zdziwieniem. — Nie widzicie, że handluję napojami wysokowymi, bodajby je szlag trafił?!

— Tak, tak, widzę — powiedział Standal. — Doskonale widzę.

Alena spojrzała w jego stronę, wobec czego Misza nieco przysiadł.

— Jakiś nienormalny — powiedział któryś z klientów.

— Normalniejszy od was — odparła sprzedawczyni z nieoczekiwanym rozdrażnieniem w głosie. — Normalniejszy, bo chce się napić naturalnego produktu.

Standal na ugiętych nogach przekradł się do działu warzywniczego. Alena wyszła już ze sklepu, wobec czego bez dalszych przeszkód kupił sobie puszkę soku z mango.

Brakowało mu jeszcze szklanki. Ukradł ją w samoobsługowej stołówce, ukrył pod koszulą i jak na złość akurat w tej samej chwili podszedł do niego redakcyjny kolega, kierownik działu listów. Standalowi koszula odstawała na brzuchu i kolega zrezygnował z podania mu ręki. Westchnął współczująco i delikatnie się odwrócił.

„No tak — pomyślał znękany Standal, lawirujący między stolikami w kierunku wyjścia — jeszcze tego brakowało, żeby w robocie zaczęli gadać, że jestem alkohikiem i w dodatku mam lepkie ręce”.

Wyszedł na ulicę i natychmiast zrozumiał, że wszystkie jego starania były daremne. Alena zniknęła. Misza pomknął ulicą Puszkina, skręcił w Czerwonoarmiejską, zajrzał do księgarni. Alena jakby się pod ziemię zapadła.

Wtedy Misza Standal, ściskając w jednym ręku puszkę soku mango, w drugim zaś skradzioną szklankę, poszedł gdzie go oczy poniosą.

Nogi same przywiodły go do parku. Aleje zalane były porannym słońcem, poprzekreślane cieniami starych lip i całkowicie puste. Misza wyszukał ustronną ławeczkę w cieniu rozłożystego drzewa, usiadł na niej i oddał się rozpaczy. Tak wszystko doskonale się zapowiadało i tak paskudnie skończyło. A teraz w dodatku trzeba iść do stołówki i zwracać szklankę, ryzykując spotkanie z innym redakcyjnym kolegą... Można zresztą poczekać i użyć szklanki zgodnie z przeznaczeniem.

Standal wyjął z kieszeni scyzoryk, zrobił w puszcze dwie dziurki i właśnie zamierzał ugasić pragnienie egzotycznym sokiem, gdy usłyszał czyjeś kroki.

Uniósł głowę.

Do ławeczki zbliżała się Alena Wiszniak. Bez najmniejszego wysiłku niosła ciężki koszyk z zakupami i patrzyła na Standala spokojnymi, brązowymi oczyma.

— Zachciało się pić? — zapytała, a Standal spróbował ukryć za plecami rękę z puszką, jakby go przychywycono na wstydlivej czynności.

— Co z wami?

Alena wznosiła się nad Miszą, niczym posąg greckiej bogini, a słoneczne promienie przenikały przez jej bujne włosy i złościły brzoskwiniowy puszek na policzkach. Na ten widok Standal odzyskał spokój. Zrozumiał bowiem, że nie boi się już pięknej Aleny, że dziewczyna niebawem przestanie się nad nim znęcać, przestanie patrzeć z wysoka.

— Postawię koszyk na ławce — powiedziała Alena. — A skąd wzięliście szklankę? Przenieśliście z domu?

— Ukradłem — powiedział Standal.

— To bardzo nieładnie — zauważyła Alena. — Poczęstujecie mnie sokiem? Okropnie się zmęczyłam.

— Naturalnie — ucieszył się Standal, bo zdobycz sama szła mu w ręce. — Przecież ja na was czekam.

— Doprawdy?

Nastąpiła chwila niezręcznego milczenia. Alena przymrużonymi oczyma patrzyła na słońce i zachowywała się tak, jakby początkowo zamierzała za moment wstać i pójść sobie, ale ranek był taki piękny i rozleniwiający, że nie mogła się na to zdobyć. Standal zapomniał o lubczyku i z zapartym tchem wpatrywał się w czarujący profil dziewczyny.

— Chyba sobie pójde — powiedziała nagle Alena. — Zapomnieliście o mnie.

— Poczekajcie — wykrzyknął Standal. — Dlaczego? Ja o was pamiętam.

— Wobec tego spełnijcie obietnicę.

— Obietnicę?

— Słuchajcie, Standal. Zachowujecie się dziwnie. Chce mi się pić, a wy dusicie puszkę w rękę, jakbyście żalowali mi odrobiny zwyczajnego soku mango.

— Tak, tak — powiedział Standal i przechylił puszkę. Gęsty żółty płyn przeleciał obok szklanki, wobec czego Alena wyciągnęła rękę i pomogła Standalowi. Rękę miała miękką i ciepłą.

Standal przypomniał sobie o lubczyku. Trzeba było nalać go do szklanki i to tak, żeby Alena tego nie zauważyła.

— Starczy już — powiedziała Alena. — Dla mnie starczy, bo dla was nic nie zostanie.

— Zaraz — powiedział Standal, stawiając puszkę z sokiem na ławce i odsuwając rękę ze szklanką jak najdalej od Aleny. Wolną ręką usiłował otworzyć w kieszeni buteleczkę z lubczykiem.

Patrząc na jego niezręczne ruchy, Alena roześmiała się i cały park rozbrzmiewał srebrzystymi dzwoneczkami jej głosu.

— Popatrzcie! — powiedział Standal, patrząc ponad jej głowę. — Szybciej!

Alena odwróciła się, a Standal wyszarpnął flakonik i opróżnił go do szklanki.

— Co się stało? — Alena znów patrzyła na Miszę, ale buteleczka powędrowała już za oparcie ławki. Standal głęboko odetchnął.

— Bardzo śmieszny gołąb — powiedział. — Już odleciał.

Alena napiła się i oddała szklankę Miszy. Misza wlał do niej resztę soku i zaczął pić nie spuszczać oczu z dziewczyny. Sok ściekał mu na koszulę, ale nie zauważył tego, bo lękał się, że Alena odejdzie, obrazi się, a wówczas lubczyk nie podziała.

— Wystarczy — powiedziała Alena. — Ktoś tutaj idzie. Zuch jesteście, Misza. Tylko nie bójcie się mnie. Traktuję was inaczej zupełnie niż sądzicie.

„Zaczęło się” — pomyślał Misza z drżeniem w sercu.

— Jestem bardzo nieśmiała i dopiero teraz nabrałam trochę odwagi. Kiedy wczoraj odeszliście, napisałam do was list. Nie pogniewaliście się?

— Wczoraj? — zapytał głupio Misza.

— A czemu się dziwicie?

— Wczoraj — powtórzył tępo Misza.

— Pomyślałam sobie... Dajcie mi jeszcze trochę soku. Zachowuję się jak mała dziewczynka...

Alena upiła soku, postawiła szklankę na ławce, Standal poruszył się niezręcznie, szklanka Wywróciła się i reszta soku wylała się na ziemię.

— Weźcie — powiedziała Alena, podając Miszy błękitną kopertę.

Chwyła koszyk i uciekła aleją.

Misza rozerwał kopertę.

„Misza! Wybaczcie, że was niepokoję, ale chyba jestem głupia i niezbyt szczerą. Ale kiedy ujrzałam was po raz pierwszy, takiego mądrego i podobnego do młodego Gribojewa, zrozumiałam nagle, że już od kilku lat marzyłam o spotkaniu właśnie z wami... Nie gniewajcie się, że traktowałam was tak nieuprzejmie, a nawet pogardliwie, lecz obawiałam się moich prawdziwych uczuć...”

Misza czytał list i po plecach biegały mu mrówki, a całym ciałem wstrząsały dreszcze szczęścia i wstydu. Ślepy dureń!... Wróble i inne ptaszęta licznymi stadkami zebrały się u jego nóg i piły resztki rozlanego soku. Misza nagle powiedział sobie: — A co będzie, gdy plus dodać plus uczyni minus? Co będzie, jeśli Alena po tym soku przestanie mnie kochać.

Poderwał się z ławki i pobiegł aleją, starając się dopędzić Alenę i do wszystkiego się przyznać. Biegł tak szybko, że przechodnie rozpryskiwali się przed nim na wszystkie strony i głośno wyrażali niezadowolenie z jego manier, a ptaki, już zakochane w Miszy, krążyły nad jego głową i starały się usiąść mu na ramiona, aby dać wyraz swoim uczuciom. Misza dopędził Alenę przed jej domem, akurat przy ulicznej pompie.

Stali tam bardzo długo, a suka Antarktyda wściekała się za ogrodzeniem. Denerwował ją nie tylko Misza, lecz także ptaki, oszalałe od soku i miłości. Misza gadał jak najęty. Alena zaś patrzyła nań ufnyimi brązowymi oczyma, zapominając, że trzyma w ręku ciężki kosz z zakupami.

Wieczorem Misza namówił Alenę na spacer do tartaku, bo niczym mordercę ciągnęło go na miejsce przestępstwa. Alena wiedziała o jego nocnej wyprawie do czarownicy, ale nie miała mu tego za złe, śmiała się i straszyla, że po wypiciu soku z lubczykiem pokocha on siebie bardziej niż wszystkich pozostałych ludzi łącznie z Aleną. Misza odrzucał taką możliwość i rozpaczliwie walczył z miłością do samego siebie. A miłość ta nieustannie narastała i ciągnęła go przed lustro, aby mógł spojrzeć w swą przystojną, inteligentną twarz.

— Nie szkodzi — powiedziała Alena. — Przynajmniej nie będziecie teraz tacy nieśmiali jak dawniej. To wam pomoże w życiu.

— W naszym życiu — poprawił ją Standal.

Doszli do lasu za tartakiem. Znowś świecił księżyc i znowś w jego blasku twarz Aleny wydawała się w trójnasób piękna i zagadkowa.

— Oto i chatka — powiedział Standal. — Pewnie znowś w środku czeka kolejka pacjentów. Warto byłoby Głumuszce podziękować.

— Za co? — zdziwiła się Alena.

— Za wszystko, za dobroć. Mogliście mnie przecież nie zauważyć.

— Niegodziwiec — powiedziała Alena bez szczególnej złości. — Chcieliście ukraść moje uczucia, oszołomić mnie czarodziejską trucizną.

Nie, wcale się nie gniewała. Pochlebiali jej nawet, że młody dziennikarz z jej powodu był u czarownicy.

— Coś nie widać światła — powiedział Standal. — Czyżby dzisiaj nie przyjmowała?

Stali na skraju polanki, w cieniu sosen. Drzwi izby otworzyły się bezszelestnie i Głumuszka, ubrana w swoją samodzielną suknię i błękitną chusteczkę, wyszła na zewnątrz i zzwawo pobiegła w stronę pobliskiej rzeczki. Standal otworzył usta, aby zawołać staruszkę, lecz Alena trąciła go łokciem.

— Milcz — szepnęła.

Czarownica zatrzymała się na brzegu, wydobyła zza pazuchy jakiś czarny przedmiot i skierowała go ku górze. W niebo trysnął ostry płomień światła.

— Dziwna babcia — wyszeptwała Alena.

Minęła minuta, dwie... Coś rozbłysło na niebie, a po chwili miękko opadł stamtąd ogromny

latający talerz i zawisł nad ziemią. Z włazu w jego dnie wysunęła się drabina sznurowa.

Głumuszka zrzuciła z siebie sukienczynę, chusteczkę oraz perukę i przekształciła się w dwunogą smukłą istotę, dokładnie taką samą jak te, które schodziły po sznurowej drabinie na ziemię.

— Nareszcie! — powiedziała Głumuszka.

Przybysze zatrajkotali coś w odpowiedzi, prawdopodobnie nakłaniając ją do pośpiechu.

— Nie — odparła Głumuszka i wskazała ręką w kierunku chaty. Dwunogie istoty pobiegły tam i pomogły Głumuszce przenieść do statku kilka skrzynek i zawiniątek.

— Dziękuję — powiedział do Głumuszki jeden z przybyszów.

Ich mowa nie przypominała żadnego z ziemskich języków, lecz Alena i Misza doskonale ją rozumieli, gdyż słowa dźwięczały im w głowach.

— Dziękuję. Znaleźliście się w ciężkich warunkach, sami na obcej planecie, ale mimo to nie zapomnieliście o potrzebach nauki. W ciągu dwóch lat zebraliście bezcenny materiał etnograficzny. Mam nadzieję, że nikomu nie zdradziliście swej prawdziwej istoty? Nie ujawniliście swoich nadludzkich możliwości?

Głumuszka chwilę milczała, ale potem odpowiedziała bardzo pewnym głosem:

— Nie, kapitanie.

Statek odleciał na swoją gwiazdę bezdźwięcznie jak się pojawił. Alena z Miszą wzięli się za ręce i wolno poszli w kierunku miasta.

PAROWÓZ DLA CARA

Niewielki statek kosmiczny spadł na podwórko domu numer 16 przy ulicy Puszkina. Padał deszcz ze śniegiem, jesień kończyła swoje panowanie i z wolna ustępowała miejsca zimie. Statek spadł bez najmniejszego hałasu, tak że Korneliusz Udałow, który właśnie szedł do pracy, z początku nawet nie zorientował się, jacy to goście zaszczylicili jego rodzinny dom.

Statek uszkodził węgiel szopy, osunął się w kałużę, wznosząc całe tumany drobnych kropelek błota, i znieruchomiał.

Udałow cofnął się od bramy, obszedł statek dokoła, osłaniając się od deszczu kolorową parasolką plażową typu umbrelka, którą pożyczył od żony, zapukał w kadłub statku w nadziei, że uzyska jakiś sygnał, a gdy to nie nastąpiło, poszedł budzić sąsiada, Aleksandra Grubina.

— Sasza — powiedział stukając palcem w lufcik okna na parterze — Sasza, wstawaj, na nasze podwórko spadł statek kosmiczny.

— Jeszcze za wcześniej — rozległ się rozespany głos Grubina. — Nie ma ósmej.

— Milczy, nie reaguje — powiedział Udałow. — Może przydarzyła mu się jakaś awaria?

— A duży to statek? — zapytał Grubin.

— Nie, jakieś trzy metry średnicy. Typu „latający talerz”.

— Ma znaki rozpoznawcze?

— Znaków rozpoznawczych nie widać.

— Popilnuj go, a ja tymczasem się ubiorę. Pada?

— Jest paskudnie. Że też musiał akurat dziś spać. O dziewiątej mam naradę.

Udałow wrócił do statku, odszukał właz i zapukał.

— Stemiwuram zaś? — zapytał głos ze środka.

— To ja, Udałow — powiedział Korneliusz Iwanowicz. — Naumyślnie tu wylądowaliście czy jak?

— Posliti, maratakra — powiedział ten sam głos.

— Otwieraj, nie spiesz się, poczekam — odparł Udałow.

Właz szczęknął i otworzył się.

W progu stał, przecierając zaspane oczy, nie znany Udałowowi rozczochrany kosmonauta w piżamie.

Kosmonauta przypominał wyglądem człowieka, jeśli nie liczyć niezwykle niskiego, do pasa Udałowowi, wzrostu, zielonkawej cery i sztywnych włosów, które wyrastały pęczkami z czoła i końca nosa.

— Pregranika wsłuka! — wykrzyknął kosmonauta spojrzawszy na niebo, a potem na Udałowa i na budynki otaczające podwórze.

— Pogoda jak pogoda, o tej porze roku w naszej strefie klimatycznej niczego lepszego nie można się spodziewać.

Kosmonauta wzdrygnął się z zimna i powiedział:

— Struku, krapataka.

— Ubierz się, ubierz — odparł Udałow. — Poczekam.

Troskliwie przymknął pokrywę włazu i stanął za statkiem, gdzie deszcz nie tak silnie zacinał. Różowa farba prawie zupełnie złuszczyła się z kadłuba — widocznie statek nie od dziś wędrował przez kosmiczne dale.

Przyszedł Grubin, zawinięty w wojskową płachtę namiotową.

— Ten? — zapytał wskazując statek kosmiczny.

— Właśnie — powiedział Udałow.

— Nieduży. Dopukałeś się?

— Zaraz wyjdzie, tylko się ubierze.

— Przyleciał do nas z wizytą czy tak sobie?

— Jeszcze nie wiadomo. W każdym razie nasza pogoda wcale mu się nie spodobała.

— Komu ona może się spodobać! Przecież to nie Soczi.

— Zawsze gdy przylatują do nas międzygwiazdni goście, spodziewam się po ich wizytach czegoś interesującego. Rozwoju nauki, techniki, sztuki — powiedział w rozmarzeniu Udałow. — Aż serce zaczyna mi szybciej bić na myśl o perspektywach.

— Poczekaj, może on ma wrogie zamiary — mruknął Grubin.

— Nie wygląda mi na to — powiedział Udałow. — Był w piżamie, widocznie przespał lądowanie.

— A po jakimu on mówi?

— Jego język jest na razie niezrozumiały, ale to nic, rozszyfrujemy.

Szczęśliwie się obeszło bez rozszyfrowywania języka. Właz skrzypnął i na ziemię zeskoczył kosmonauta, tym razem w przezroczystym płaszczu i takimż kapeluszu.

— No cóż — powiedział Udałow — poznajmy się.

— Strpiechurka tik — odparł kosmonauta.

— Możemy poczekać, nam się nie pali — zgodził się Udałow. — Proszę jednak wziąć pod uwagę, że o dziewiątej mam naradę.

Kosmonauta wyjął z kieszeni czarne pudełko z dziurkami osłoniętymi siatką i włączył je naciskając guzik.

— To twój tłumacz? — zapytał Grubin.

A czarne pudełko natychmiast wychrypiało:

— Wokrocituk pa latam prakawa?

— Wosta — powiedział kosmonauta i pudełko powtórzyło:

— Oczywiście.

Od tej chwili rozmowa między kosmonautą a ludźmi była znacznie uproszczona i Udałow natychmiast mógł się przekonać, iż istotnie gość należy do niezmiernie rozwiniętej i postępowej cywilizacji. Kontakt z takim kosmonautą mógł przynieść wiele korzyści.

— Co to za planeta? — zapytał kosmonauta.

Było mu zimno, przestępował z nóżki na nóżkę, więc Grubin zaproponował:

— Chodźmy do mnie pogadać w ciepło. Co to za rozmowa na dworze przy takiej pogodzie?

— Jeśli naturalnie nigdzie się pan nie spieszy — dodał Udałow.

Kosmonauta machnął rączką, co oznaczało: a gdzie niby mam się spieszyć, i ruszyli przez podwórze do mieszkania Grubina.

Kosmonauta zachowywał się przyzwoicie, wytarł nogi, tyle tylko że ze względu na mały wzrost trzeba go było podsadzić na krzesło.

— Nasza planeta nosi nazwę Ziemia — powiedział Udałow, gdy wszyscy już usiedli. — Zje pan śniadanie?

— Nie, dziękuję — odparł kosmonauta. — A w jakim to sektorze?

— Sam pan rozumie — odparł Udałow — że wy macie własną numerację sektorów, a my własną.

Tymczasem Grubin przyniósł butelkę kefiru, po czym nalał sobie i kosmonaucie. Udałow podziękował, bo był już po śniadaniu. Kosmonauta powąchał kefir i powiedział, że jest zbyt kwaśny, a on ma słaby żołądek.

— A pan skąd jest? — zapytał Udałow.

— Z Wapraksili — odparł kosmonauta. To jednak też niczego nie powiedziało Udałowowi, gdyż Wapraksila równie dobrze mogła być Alfą Ptolemeusza, jak Betą Centaura.

— A czemu zawdzięczamy pańską wizytę? — zapytał Udałow. — Wyprawa badawcza?

— Nie — powiedział kosmonauta, który nazywał się Wusc — trafiłem tu zupełnie niechcący. Coś mi się zepsuło. Albo w urządzeniach nawigacyjnych, albo w silniku. W ogóle to leciałem do swojej ciotki na Krupisę, a gdy wysiadłem, okazano się, że to wcale nie Krupisa...

— Nie, to rzeczywiście nie jest Krupisa — potwierdził Udałow.

— Poczekaj — wtrącił się Grubin. — Nie jest wykluczone, że oni naszą Ziemię nazywają Krupisa.

— Nie — zaproponował Wusc. — Na Krupisie byłem już kilka razy. Ona wygląda zupełnie inaczej i ma zupełnie inną ludność. Nie mówiąc już o klimacie.

— Tak, nieprzyjemna historia — powiedział Udałow.

Rozległo się pukanie do drzwi.

— Kto tam? — zapytał Grubin.

— To ja, Łożkin — odpowiedział głos zza drzwi. — Chodź szybko, bo na naszym podwórzu stoi pusty statek kosmiczny. Może jego załoga już rozbiegła się po mieszkaniach i grabi.

— Wejdz, Łożkin — zaprosił Grubin — i nic się nie bój.

Łożkin wszedł, zobaczył kosmonautę i mocno się speszył. Nic dziwnego, przez swój parszywy charakter niechcący obraził gościa.

— Jest mi niezmiernie przykro — zauważył mimochodem Wusc. — Czyżby tego rodzaju podejrzliwość była cechą całej ludności Ziemi? Muszę stwierdzić, iż świadczyłoby to o niskim stopniu ucywilizowania tubylców.

— Przecież nie chciałem — zaczął tłumaczyć się Łożkin. — Ale proszę mnie też zrozumieć. Wychodzę na dwór, widzę pusty statek, włącz na oścież, to zląkłem się, żeby jakiś dzieciak nie włązł do środka.

— Tak — westchnął kosmonauta. — Smutno jest znaleźć się w zacofanej społeczności i stać się obiektem podejrzeń. Gdybym miał nieco czasu, wielu rzeczy bym was nauczył i oświecił.

— Nigdy nie odmawiamy posłuchu ludziom, którzy pragną udzielić nam lekcji — powiedział Udałow.

— Cóż więc teraz będziemy robić?

— Robić? — Wusc popatrzył w okno. Deszcz przestał padać, wyrzało blade jesienne słońce. — Czy jest wśród was ktoś, kto zna się na silnikach grawitacyjnych?

— W ogóle to interesuję się techniką — powiedział Grubin. — Ale z silnikami grawitacyjnymi nie miałem dotychczas do czynienia.

— Szkoda — powiedział Wusc. — U nas na każdym rogu stoją stacje obsługi i miliony, a może nawet dziesiątki milionów mechaników doskonale znają się na silnikach grawitacyjnych.

— No, to jest całkiem zrozumiałe — Łożkin pragnął odkupić swoją winę. — Przy waszej cywilizacji takie rzeczy nie mogą dziwić.

— Może spróbujemy zerknąć na uszkodzenie — zaproponował Wusc.

Wstał i wraz z Grubinem poszedł do statku. Grubin wziął śrubokręt i kombinerki. Łożkin i Udałow ruszyli za nimi.

— Jak wielkie sukcesy osiągnęliście w nauce? — zapytał Udałow w drodze.

— Ogromne — odparł kosmonauta. — W porównaniu z wami wręcz zdumiewające.

— Opowiedziałby pan — poprosił Udałow. — Zbierzemy frekwencję, a pan będzie opowiadał.

— No cóż, może znajdę jakąś chwilę — powiedział Wusc.

Kosmonauta gestem zaprosił Grubina do statku. Grubin z najwyższym trudem wgramolił się

przez właz do środka. Podeszwy jego butów skryły się w ciemnym wnętrzu, a za chwilę znów ukazała się twarz.

— Bardzo mi przykro, ale bez pana sobie tu nie poradzę — powiedział. — Gdzie, na przykład, zapala się światło?

Wusc głęboko westchnął i rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć do obecnych: „Cóż to za ciemnota! Czy można zaufać waszym mechanikom, skoro nawet nie potrafią zapalić światła!” Obecni poczuli się głupio, a Udałow powiedział z wyrzutem:

— No, Sasza, coś ty!

— Wyłącznik jest w kabinie z prawej strony — powiedział zrezygnowanym tonem kosmonauta, a kiedy Grubin ponownie zniknął we wnętrzu, dodał:

— Zapomniałem powiedzieć, że u nas mechanicy dokonują napraw pod nieobecność zleceniodawcy. Posługują się w pracy telepatią. Zjrzyj taki mechanik w duszę, dowie się, na co klient się skarża, i natychmiast zabiera się do roboty. Wystarcza im pięć minut na usunięcie najgroźniejszej awarii.

— Tak — zgodził się Udałow. — U nas do tego jest jeszcze bardzo daleko.

— Ta metoda — kontynuował Wusc — stosowana jest również w medycynie.

— Znaczą pod nieobecność? — zapytał Łożkin.

— Nie, za pomocą telepatii — powiedział kosmonauta i beznadziejnie pokręcił głową.

Tak, pomyślał Udałow, trudno mu jest u nas. Nic dziwnego, przy tak zniechęcającej różnicy w poziomach cywilizacji...

We włazie znów ukazała się głowa Grubina.

— Niech mi pan powie z łaski swojej — poprosił Grubin — na czym właściwie polega to uszkodzenie. Może mi pan pokaże? Bo jeśli mam być szczerzy, nie bardzo się jeszcze orientuję, gdzie tu jest silnik, a gdzie kuchnia.

— Na mnie proszę nie liczyć — powiedział twardo kosmonauta. — Co pan myśli, że jestem jakimś tam mechanikiem? Gdyby u nas każdy nie zajmował się swoją robotą, nigdy nie osiągnęlibyśmy tak wielkich sukcesów.

— Wobec tego niczego tu nie będę naprawiał — uniósł się honorem Grubin.

Już do połowy wygramolił się z włazu, więc Łożkin i Udałow zaczęli wpychać go z powrotem, żeby nie dyskutował, tylko zajął się robotą.

— Ale co ja mogę tu zrobić! — bronił się Grubin. — Oni nas wyprzedzili co najmniej o sto lat, a ja nie mam odpowiedniego wykształcenia. W dodatku tutaj na wszystkich urządzeniach wiszą plomby.

— Dlaczego nie nam pan nie mówił o plombach? — zwrócił się Udałow do Wusca.

— Skąd niby miałem wiedzieć, że tam są jakieś plomby? — oburzył się Wusc. — Leciałem sobie jak człowiek na Krupisę, statek uległ uszkodzeniu nie z mojej winy i znalazłem się na dzikiej, zacofanej planecie w otoczeniu prymitywnych, źle wychowanych tubylców, którzy mnie zupełnie nie rozumieją i nie chcą pomóc.

— Proszę się nie denerwować — uspokajał go Udałow. — Rozumiemy pański stan. Zaraz skoczę do naszej bazy samochodowej. Pracuje tam majster Miszutin, prawdziwa złota rączka.

— No więc proszę go zawołać! — wykrzyknął kosmonauta. — Rodzina na mnie czeka!

Udałow, zdając sobie sprawę z tego, jak bardzo ludzkość zawiniła wobec przypadkowego gościa, pobiegł paręset metrów po Froła Miszutina i niebawem go przyprowadził. W tym czasie już wszyscy mieszkańcy domu numer 16 wyszli na podwórko, poznali nowego przybysza, a Kola Gawriłow nawet poczęstował go jabłkiem.

Froł Miszutin był człowiekiem poważnym. Popatrzył tylko na statek kosmiczny i zapytał:

— Na jakiej zasadzie toto lata?

— Chyba na lekkich grawitonach — powiedział Wusc. — Chociaż nie jestem pewien. Ale w szkole mówili nam, że na lekkich grawitonach. Gdyby były ciężkie, wtedy kadłub miałby inny kształt

— Aha — powiedział Miszutin. — A typów silnika w szkole nie przerabialiście?

— Też coś! — powiedział Wusc. — Specjalizowałem się w geografii i buchalterii.

— Niewiele z ciebie pożytku — mruknął Froł Miszutin.

— Nie ma pan prawa tak mówić — obraził się kosmonauta. — Jeszcze nie dorósł pan do krytykowania wyżej stojącej cywilizacji.

— Co prawda, to prawda — odparł Froł Miszutin i wgramolił się do statku. Długo stamtąd nie wracał, więc wszyscy ponownie przeszli do pokoju Grubina, żeby posłuchać przybysza. Wprawdzie gość z początku trochę się krygował, mówił, że zupełnie nie ma czasu, ale w końcu się zgodził.

— Opowiedz nam, drogi gościu — zwrócił się do niego Udałow — o swoim oświeconym świecie. Przybliż nam, że tak powiem, tajemnice przyszłości.

Gość wyjął chusteczkę, wysiąkał nos i powiedział:

— Nasz świat szalenie wyprzedził was w rozwoju.

O tym wszyscy już wiedzieli, więc czekali teraz na szczegóły.

— Osiągnęliśmy niezmiernie wysoki poziom techniki i powszechną obfitość. Ja na przykład pracuję we własnym gabinecie i tylko naciskam guziki, a czasami wyniki swego trudu przekazuję myślowo do specjalnej maszyny, która następnie wszystko podsumowuje i kładzie w gotowej postaci na biurku kierownika naszej instytucji.

— To dopiero! — powiedział Udałow, żeby zachęcić Wusca.

— To jest zupełnie normalne — zauważył Wusc. — Dziwię się niezmiernie, że może być inaczej. Do pracy i z pracy jeżdżę błyskawicznie. Wchodzę do budki obok swego domu, naciskam guzik i natychmiast znajduję się w identycznej budce stojącej przy bramie mojej instytucji.

— A jak ta budka działa? — zapytał Grubin.

— Nie interesowałem się — odparł Wusc. — Domy wznosi się u nas w ciągu jednej nocy. Wieczorem przygotowuje się działkę, a rano stoi już gotowy trzydziestopiętrowy dom.

— Wspaniale! — wykrzyknął Łożkin. — A jak to się robi?

— O to proszę zapytać budowlanych — powiedział Wusc i kontynuował: — Przerwę obiadową wykorzystuję na obejrzenie nowych filmów, które wybieram z listy, gdy spożywam posiłek przy stole. A obiad zamawiam sobie naciskając guziki na stole.

— Jak to się robi? — zapytał Udałow, który nienawidził kolejek w stołówce.

— Nie wiem — odrzekł Wusc. — To zresztą nieważne. Ważny jest rezultat. Kiedy chcę udać się na sąsiednią planetę, wzywam statek kosmiczny, który podstawiają mi pod dom. Naciskam guzik z nazwą planety, a potem oglądam filmy.

— Ech, ty! — powiedział od drzwi Froł Miszutin, który wszedł po cichu i teraz stał, wycierając ręce bawełnianymi szmatami. — Gdybyś ty jeszcze interesował się, co masz w motorze, byłbyś zupełnie nieoceniony.

— A co się stało? — przeraził się przybysz.

— Przeciek w zbiorniku grawitonowym. Paliwo się skończyło. I ta część, widzisz, pękła. Nie mogę skapować, do czego ona służy.

Froł wyjął z kieszeni pękniętą pośrodku kulkę wielkości włoskiego orzecha.

— Do czego to jest? Nie przerabialiście przypadkiem w szkole?

— Proszę się nade mną nie znęcać — oburzył się Wusc. — U nas panują wysoko rozwinięte stosunki społeczne i każdy zajmuje się swoją robotą. Ja jestem urzędnikiem, ktoś inny

technikiem, a jeszcze inny — budowlanym. To przecież naturalne. To, co ja wytwarzam, konsumują inni. To, co wytwarzają inni — konsumują ja.

Froł wrzucił kulkę do kieszeni i powiedział:

— Pójdę jeszcze raz popatrzeć.

Zapadło milczenie. Udałow współczuł przybyszowi oderwanemu od normalnych warunków, ale stary Łożkin, który jednak czuł się nieco urażony, zauważył nie bez złośliwości:

— Coś ten przybysz nam się nie udał. Jak na złość, trafił się taki, który nic nie wie.

— Nieprawda! — odparł Wusc. — Doskonale wiem, jakie guziki trzeba naciskać.

— Właśnie — powiedział Łożkin i uśmiechnął się ironicznie.

— Nie czepiaj się człowieka — odezwał się Udałow. — Wyobraź sobie, że znalazłeś się w jego sytuacji.

— Nawet nie będę próbował — odpowiedział Łożkin. — Do takiego kontrastu między rozwiniętą cywilizacją a jej ciemnym jak tabaka w rogu przedstawicielem nigdy bym nie dopuścił. A my, durnie, zlecieliśmy się jak do miodu: przybył kosmonauta, gość z dalekiej planety, zaraz nas oświeci...

— Tak zdarza się tylko w opowiadaniach fantastycznych — rzekł Grubin. — Tylko tam kosmonauci z obcych światów przylatują i natychmiast zaczynają wszystkich uczyć.

— Różni bywają przybysze! — nie poddawał się Łożkin.

— Posłuchaj, Łożkin, przecież to bardzo prosta sprawa — powiedział Udałow, patrząc na posmutniałego Wusca, który skulił się na krześle, podwinął pod siebie nóżki i w ogóle wyglądał jak nieszczęsne dziecko, które zgubiło mamę w centralnym domu towarowym w stołecznym mieście Moskwie. — Zaraz ci dowiodę, że zupełnie nie masz racji. Chcesz?

— Spróbuj.

— No to wyobraź sobie, że jestem carem Iwanem Groźnym.

— Tego tylko jeszcze brakowało!

— Ale wyobraź to sobie, nie opieraj się. A Grubin jest na przykład jego przyjacielem Malutą Skuratowem.

— No i co?

— Ty za to jesteś Mikołajem Łożkinem, który wsiadł do samochodu marki Łada, wskutek nieprzyzwoitego splotu wypadków pomylił drogę i zamiast do Wołogdy trafił do podmiejskiego pałacu Iwana Groźnego.

— Przecież nie mam żadnej Łady, sam o tym doskonale wiesz — wciąż opierał się Łożkin. — Po co taka przesada?

— To taki eksperyment myślowy — nalegał Udałow. — Czyżbyś zupełnie nie miał wyobraźni?

— No dobra — poddał się Łożkin. — I co dalej?

— A dalej to ja cię poproszę, żebyś opowiedział, jakie wy w tym waszym dwudziestym wieku macie osiągnięcia techniczne. Opowiadaj!

— O czym?

— No, chociażby o tym, jak ja, Iwan Groźny, mam się zabrać do budowy takiej samej karety jak twoja.

— Łady czy co?

— Może być coś prostszego, na przykład motocykl.

— Prosta sprawa — powiedział Łożkin. — Widzisz samochód? No to skopiuj i jedź.

— Jak mam kopiować, kiedy nie rozumiem zasady?

— Najpierw potrzebna jest benzyna — powiedział Łożkin, który chciał dowieść obecnym, że przybysz Wusc to zwykle nieporozumienie towarzyskie, i dlatego starał się tłumaczyć wszystko

możliwie najdostępniej. — Benzynę wlewa się do baku.

— Poczekaj — powiedział Korneliusz Iwanowicz Groźny gładząc nie istniejącą brodę. — A co to jest benzyna?

— Benzyna?... Ropę naftową znasz?

— Znam.

— Oczyść ją...

— Z czego?

— Jak to z czego? Z mazutu.

— Nie rozumiem! Szczotką mam ją oczyścić?

— To się robi w specjalnych fabrykach... — Łożkin przerwał w pół zdania.

— Nie pesz się, mów dalej — uśmiechnął się car. — Opowiedz mi o tych fabrykach, a przy okazji opisz przemysł oponiarski.

— No dobra — odparł na to Łożkin, który nie lubił zależeć od pańskiej łaski. — W takim razie lepiej będzie, jak ci wytłumaczę parowóz.

— No jak? — zwrócił się Udałow do Maluty Skuratowa. — Posłuchamy o parowozie?

— Dobra — zgodził się faworyt władcy. — Tylko jeśli nie wytłumaczy, trzeba będzie go ściać.

— Parowóz jeździ na zasadzie sprężania pary — objaśniał Łożkin. — Tam chodzi taki tłok i przez to koła się kręca.

— Ach, jakie to ciekawe — powiedział car. — I gdzie ten tłok chodzi?

— Jak to gdzie? W kotle, rzecz jasna.

— Słuchaj — powiedział Malutą Skuratow — może od razu go zetniemy? Bo wygląda na to, że na próżno tracimy czas.

Łożkin milczał. Wszedł Miszutin.

— Nie da rady — powiedział. — Mówię ci, że nic z tego nie będzie. Dzwon po pomoc drogową.

— To niemożliwe! — wykrzyknął gość z kosmosu. — Niech pan mnie nie gubi! Może spróbujemy zaprosić specjalistów z waszej stolicy?

— Nie — powiedział Miszutin tonem nie znoszącym sprzeciwu. — U nas grawitonów się nie robi. Możesz być pewien.

Łożkin powiedział:

— W parowozie są dwa tłoki. Para naciska na nie kolejno.

— Już cię ścieliśmy — poinformował go Grubin — więc nie musisz się martwić, czy Iwan Groźny będzie miał swój parowóz.

Przybysz rozplakał się, gdyż nie mógł pogodzić się z faktem, że stał się Robinsonem Crusoe otoczonym Piętaszkami.

Zaczął padać mokry śnieg, który szybko przysypał grubą warstwą różowy statek kosmiczny.

Od tej pory minęły trzy miesiące.

Przybysz Wusc póki co zaczął się w firmie Udałowa jako księgowy, nauczył się rosyjskiego, ze swych obowiązków wywiązuje się jako tako, ale nic ponadto. Chciał wprawdzie za poradą Grubina pojechać do Wołogdy, żeby występować w cyrku w charakterze liliputa, ale potem rozmyślił się, bo nie chciał oddalać się od statku — a nuż odnajdą go, przylecą po niego?

A statek przypomina ogromną zaspę, całą śnieżną górę. Dzieci zjeżdżają z niego na sankach.

Wiosną, jeśli do tego czasu nic się nie wydarzy, powinien przyjechać z Archangielska Kamarinski, wielki przyjaciel Froła Miszutina i znakomity mechanik. Jeśli on nic nie pomoże, to już nikt nie pomoże.

TERMOMETR UCZUĆ

Życiorys ani dane ankietowe Emmy Proskuriakowej zupełnie nas nie interesują. Ważne jest tylko to, że ta zgrabna zielonooka dziewczyna wyróżnia się niesłychaną tajemniczością i brakiem wylewności. Bo proszę pomyśleć: Emma była cztery razy w kinie z Michałem Standalem, reporterem gazety miejskiej, dwa razy poszła z nim do kawiarni i jeden wieczór spędziła z nim na ławce w parku, ale ni spojrzeniem, ni jednym choćby słowem nie zdradziła swego stosunku do Standala.

A Standal kipiał. Wrzał od rozpierającego go uczucia i niedostatku informacji. Nie wiedział bowiem, czy piękna Emma owo uczucie podziela.

Wreszcie, odprowadzając Emmę z kina do domu, ośmielił się zapytać:

— Emmo, my tu sobie spacerujemy, ale czy coś się za tym kryje?

— Niby co?

— Może nieprecyzyjnie się wyrażam, ale z drugiej strony ubiegłej nocy napisałem wiersz.

— Już mi go pan zadeklamował — odparła zagadkowa Emma. — Ale z wielkim zainteresowaniem posłucham każdego pańskiego nowego utworu.

— Ech! — powiedział wówczas Misza Standal.

I do furtki, za którą zazwyczaj znikwała Emma, doszli w całkowitym milczeniu.

Następnego dnia Misza Standal odwiedził profesora Minca, wielkiego naukowca, który przejściowo mieszkał w Wielkim Guslarze. Profesor Minc przyjął go w swym niewielkim pokoju i na pytanie, co słyhać na farmie drobiarskiej, odpowiedział:

— Drogi młodzieńcze, potracił pan pękniętą strunę mojej duszy.

Profesor Minc czasami lubił wyrażać się wytwornie. Poglądził się po lśniącej tysinie i wskazał klatkę, w której wyraźnie nudziła się dziwna istota z dziobem.

Standal uważnie przyjrzał się stworzeniu, które przypominało barana i kurę zarazem.

— Liczę na pański artykuł — powiedział.

— O czym tu pisać? — westchnął wielki naukowiec.

— Należy zacząć od tego, jak pomyślał pan...

— Pomyślałem o tym, że ziemniaki potrafimy już obierać maszynami, ale drób wciąż musimy skubać rękami. To jest niewydajne.

— I postanowił pan...

— Postanowiłem wyhodować roznegliżowaną kurę. To wcale nie jest trudne przy moim doświadczeniu. I wyhodowałem ją. Ale gołe kurczaki ciągle się przeziębiały. Wynalazłem dla nich narzutki, lecz kurczęta rosły, a ciągła wymiana narzutek według wzrostu jest nieracjonalna. Łatwiej jest po prostu oskubać ptaka.

— Wówczas pan...

— Wówczas przesłaliśmy jaja nagich kur wraz z całą stosowną dokumentacją naszym indyjskim i kubańskim kolegom, dla których problemy klimatyczne nie istnieją, gdyż dawno już zostały rozwiązane przez naturę, i zaczęliśmy myśleć dalej.

— W wyniku czego pan...

— W wyniku czego wyhodowałem gatunek kur pokrytych owczą wełną, kur, których nie trzeba zarzynać. Wystarczy ogolić i znów wypędzić na pastwisko. Przy czym nowy gatunek — nazwijmy go „kurowce” — w przeciwieństwie do owiec znosi jaja.

— Ale teraz pan...

— Ale teraz jestem niezadowolony. Okazało się, że kurowce bardzo trudno strzyc z powodu

ich niewielkich gabarytów i ruchliwości. Zwyczajne kury skubało się znacznie łatwiej.

— Ale czyż sam fakt, znakomity eksperyment...

— Sam fakt jest pozbawiony sensu, jeśli nie przynosi pożytku ludzkości — uciął zdecydowanie profesor. — Poza tym stwierdziłem, że kury pokryte wełną cierpią na kompleks niższości. Stronią od swoich opierzonych koleżanek. Wykryłem przyczynę takiego postępowania.

Profesor Minc zbliżył się do biurka zavalonego czasopismami naukowymi, rękopisami i aparatami, rozgrzebał stertę, wydobył spod niej termometr przypominający przyrząd, jakim zwykle mierzy się temperaturę wody w dziecięcych wanienkach, i potrząsnął nim Standalowi przed nosem.

— Proszę przynieść z korytarza drugą klatkę z kogutem — rozkazał dziennikarzowi.

Standal usłuchał. Klatka z kogutem była przykryta starym obrusem i kiedy Minc go ściągnął, kogut potrząsnął grzebieniem, spróbował rozprostować skrzydła i wrzasnął orlim głosem.

— Lubię koguty — powiedział Minc. — Cudowny egzemplarz. Głupie stworzenie, ale ileż poczucia godności własnej!

Zbliżył termometr do klatki z kędzierzawą kurowcą, która gapiała się na koguta, nerwowo przebierając żółtymi nogami.

— Co pan widzi na skali?

Słupek rtęci powędrował do góry i zatrzymał się mniej więcej na dwudziestu stopniach Celsjusza, o czym Standal nie omieszkiał donieść profesorowi.

— Słusznie. A teraz zbliżmy termometr do klatki z kogutem. Rtęć runęła w dół, przeskoczyła zero i zatrzymała się na piętnastu stopniach mrozu.

— Jasne? — zapytał Minc.

— Nie — wyznał Standal.

— Dziwne. Sprawia pan wrażenie niegłupiego młodego człowieka. Przecież to nie jest zwyczajny termometr, tylko termometr mierzący emocje. Stosunek jednej istoty do drugiej. Zero oznacza brak jakiegokolwiek stosunku. Jeśli słupek rtęci powędrował do góry, to znaczy, że stosunek jest pozytywny. Im wyżej się wznosi, tym emocje są gorętsze. Dwadzieścia stopni Celsjusza wyraża stopień pozytywnego zainteresowania kurowcy zwyczajnym kogutem.

— A na odwrót... — domyślił się Standal.

— I na odwrót! Kogut gardzi kurowcą. I to jest fakt.

— Nieprawdopodobne! — wykrzyknął Standal. — Napiszę o tym.

— W żadnym razie. Likwiduję doświadczenia z kurowcami. Nie mogę przecież wyhodować rasy wzgardzonych odszczepieńców, kur, na które ich koleżanki będą spoglądać z obrzydzeniem, kurczą, które będą tłukli ich rówieśnicy, kogutów, których żadna kokoszka nie obdarzy miłością.

— Ja nie o tym — powiedział Standal — tylko o termometrze.

— Ach, cóż za pomysł! Sporządzenie termometru zajęło mi pół godziny. Przecież to przyrząd pomocniczy.

— A jednak...

— Powiedziałem. Rozmowa skończona. Od jutra zaczynamy hodować długowłniste krowy-merynoski.

Standal pożegnał się i opuścił pokój, pełen uwielbienia dla skoncentrowanego geniuszu wynalazczego gnieźdzącego się w pulchnym ciele profesora.

Tak, myślał idąc ku bramie, wystarczy pół godziny i oto mamy wspaniały przyrząd. Ale wynalazcy ten przyrząd nie wydaje się wspaniały. Już go nie interesuje, gdyż poszedł dalej. A ileż zastosowań może taki termometr znaleźć... Standal zatrzymał się pośrodku podwórza.

— Tak — powiedział na głos. — Właśnie tak.

I wrócił do profesora.

— Przepraszam — powiedział od drzwi, opuszczając w zmieszaniu oczy — mam do pana osobistą prośbę.

— Tak? — powiedział profesor, zakładając palcem czytana właśnie książkę.

— Jeszcze raz przepraszam, ale znajduję się w takiej sytuacji, że niezmiernie ważne jest dla mnie... Ach, nie! Nie to...

Standal zauważył, iż ręka profesora zaczęła wolno wędrować w kierunku kieszeni zamszowej marynarki, gdzie zapewne znajdował się portfel z pieniędzmi.

— Czy nie mógłby mi pan pożyczyć na dwie godziny swego termometru? Zwrócę go panu jeszcze dziś...

Standal zauważył na ścianie szkarłatny odbłask od swego policzka.

— Zakochał się pan? — zapytał surowo profesor.

— W pewnym sensie...

— Prawdę mówiąc przyrzekłem sobie nie używać swoich wynalazków amatorom.

— Ale ja się tylko chcę dowiedzieć... rozumie pan, w górę czy w dół? Tylko dowiedzieć się i już. Przecież nie będę oddziaływał...

— Ech, młodość! — powiedział profesor z wyrzutem w głosie. — W moich czasach zagłądaliśmy sobie nawzajem w oczy.

— Ale tu mamy do czynienia ze szczególnym przypadkiem.

— Wszystkie przypadki tego rodzaju są szczególne. Standardowe się nie zdarzają — powiedział profesor. — Inaczej miłość utraciłaby romantyczną aureolę. Niech pan weźmie termometr, młodzieńcze. Życzę powodzenia w życiu osobistym.

Droga do redakcji minęła Standalowi na rozmyślaniach. Termometr był tak duży, że o jego sekretnym użyciu nie mogło być nawet mowy. Szkoda, że nie przypomina zegarka na rękę. Trzeba będzie go wyjąć w obecności Emmy. Ale pod jakim pozorem?

— Szukał cię naczelny — powitał Standała Stiepan Stiepanowicz, redakcyjny weteran, puszkiniasta amator. Kazał, żebyś do niego natychmiast przyszedł. Na kobierzec.

— Po co? — Standal runął na grzeszną ziemię i myślowo się potłukł, gdyż rozmowy z naczelnym rzadko kiedy mijały bezboleśnie. Malużkin uważał, że jego gazeta jest pępkiem świata.

— Przecież podjęliśmy inicjatywę profesora Minca, roztrąbiliśmy na cały rejon, a ty nie dajesz reportażu.

— Ten temat został zamknięty — powiedział Standal. — Koniec. Teraz hodujemy kudłate krowy.

— Z twoim profesorem zawsze było wesoło. Ale nie wiem, czy Malużkin cię zrozumie. Przecież już się w to wdał, złożył raport, więc...

Standal położył na biurku swoją sfatygowaną teczkę. Jego myśli natychmiast opuściły redakcję i pomknęły ku bliskiej już chwili, gdy wreszcie dowie się: tak czy nie... tak czy nie. A może ten termometr reaguje wyłącznie na kury?

Ostrożnie odpiął teczkę i wyjął termometr. Serce mu łomotało. Ręce drżały. Termometr był ciężki i ciepły.

— Co ty? — zapytał Stiepan Stiepanowicz unosząc głowę znad papierów. — Termometr kąpielowy dla dzieci kupiłeś? Przecież nie masz dzieci.

Standal patrzył na skalę. Słupek rtęci zachybotał się w pobliżu zera, ruszył z wolna w górę i zatrzymał się przy siedmiu stopniach. Niewiele. Standal uważał, że Stiepan Stiepanowicz go lubi.

— Nie — odparł z udawaną obojętnością. — To nowy model. Momentalnie mierzy temperaturę, wilgotność, ciśnienie i zapylenie powietrza. Przysłali go Mincowi do

wypróbowania.

— Oj, Misza, Misza — westchnął Stiepan Stiepanowicz. — Niby jesteś dorosły, a nabijasz się ze starszych jak dzieciak.

Usiadł, a słupek rtęci zaczął opadać w dół.

— Przepraszam, Stiepanyczu! — wykrzyknął gorąco Standal. — Naprawdę nie chciałem panu zrobić przykrości. Przecież pan wie, jak bardzo pana szanuję.

Redakcyjna sekretarka, kochająca się potajemnie w Standalu, o czym wiedziała cała gazeta, zajrzała do pokoju.

— Misza — powiedziała. — Naczelnego pana wzywa.

Standal natychmiast ruszył w jej stronę, nie spuszczać oczu ze skali termometru. W miarę zbliżania się do sekretarki słupek coraz bardziej się wydłużał. Kiedy temperatura wzrosła do dwudziestu pięciu stopni, Standal schował termometr za plecami i uśmiechnął się do dziewczyny.

— Dziękuję — powiedział.

— Za co, towarzyszu Standal? — spłonęła się sekretarka.

— Staaandaaal! — zagrzmiało w oddali.

Redaktor Malużkin patrzył nieruchomym wzrokiem na stojącego w drzwiach Standala. Jego spojrzenie spod gęstych czarnych brwi było jasne i twarde. W ogóle Malużkin był przystojny i majestatyczny, a siwiejące pukle i głębokie zmarszczki w kącikach ust upodobały go do jakiegoś znanego aktora filmowego.

— Siadaj, Michał — powiedział Malużkin.

Standal położył termometr na kolanach w ten sposób, aby biurko zasłaniało go przed wzrokiem redaktora naczelnego.

— Byłeś u profesora Minca?

— Właśnie od niego wracam — odparł Standal.

— Jak tam z nowym gatunkiem pierzastych, to znaczy... — Malużkin uśmiechnął się — włochatych?

— Profesor zrezygnował z dalszych doświadczeń.

— Nie żartuj — powiedział Malużkin. — Nie czas na to. Kilka gospodarstw nadesłało zamówienia. Jest możliwość przewodzenia ruchowi na rzecz. Na rezygnację już jest za późno. Mam nadzieję, że tak właśnie profesorowi powiedziałeś?

Standal zerknął na termometr. Pod biurkiem było ciemno, musiał go więc stamtąd wyciągnąć. Słupek rtęci nerwowo dygotał w okolicach zera.

— A my — kontynuował w zadumie redaktor — wymyśliliśmy już tytuł: „Złote runo ferm drobiarskich”. Ładnie brzmi?

— Bardzo ładnie — przytaknął Standal. — Ale profesor zaczął już hodować długowelniste krowy, więc możemy złożyć nowy tytuł: „Złote runo obór”.

— Nabijasz się ze mnie? I to w momencie, kiedy nasza gazeta może zasłynąć na cały obwód? Idź i bez zgody profesora na hodowlę długowelnistych kur nie wracaj. Jeśli do szóstej nie będzie jego zgody, to miej pretensję tylko do siebie.

Standal drgnął. O szóstej miał randkę z Emmą.

— Towarzyszu redaktorze! — powiedział błagalnie. — Profesor się na to nie zgodzi. Profesor mnie nie przyjmie. Profesor jest bardzo zajęty.

— Ach, to tylko wykręty — westchnął Malużkin. — Ciągłe wykręty. A w numerze muszą być nowe dane o kurach.

Standal zrozumiał, że prawdą nic tu nie wskóra. Najważniejszy dla niego był teraz czas.

— Profesor Minc — powiedział — wpadł pod samochód. Nic groźnego.

— Jak to, nic groźnego? Chłuba nauki naszego miasta pod samochodem, a ty uważasz, że nic

się nie stało. Gdzie on jest? W szpitalu?

— Tak. W miejskim. Jutro go wypiszą. Lekkie potłuczenia.

— Zaraz tam zadzwonię — zdecydował Malużkin wyciągając rękę po słuchawkę.

— Po co? Przecież on nie może rozmawiać. Doznał szoku nerwowego.

— Dziwne. Jesteś przekonany, że to nie jest żart?

— Żartować z takich rzeczy? — oburzył się perfidnie Standal, przeklinając .się w duchu za okazaną słabość. Jedno kłamstwo natychmiast pociąga za sobą następne i już nie można się zatrzymać. Trzeba kłamać dalej. Niechaj jutro na niego spadną wszystkie gromy i błyskawice, ale dziś za pół godziny musi być przed bramą parku. A potem... Potem będzie mu wszystko jedno.

— Jesteś pewien — dociekał Malużkin.

— Absolutnie — powiedział Standal ponurym tonem. Własne kłamstwa wzbudzały w nim wstręt, ale nie mógł się przecież wycofać. — Stało się to na moich oczach. Profesor uratował mi życie.

— Uratował cię?

— Tak. Staliśmy razem na ulicy. Dziecko wybiegło na jezdnię i wyładowana po brzegi wywrotka... — Standal zamilkł, bo poczuł, że relacjonuje wymyślony wypadek językiem notatki gazetowej — nie mogąc zahamować wjechała na chodnik. Na drodze rozpedzonej ciężarówki znalazł się reporter naszej gazety M. Standal. Tylko mgnienie oka dzieliło go od tragedii. Ale w tej samej chwili znajdujący się w pobliżu znany naukowiec L. Ch. Minc zdołał odepchnąć Standala na bok, doznając przy tym lekkich uszkodzeń ciała... Tak właśnie było.

— Niemożliwe! — styl relacji przekonał Malużkina, że Standal mówi prawdę. — Jakież wspaniałe czyn! Ale jesteś pewien, że jutro powróci do naszych kur?

— Powróci — odparł Standal drżącym głosem.

— Wobec tego siadaj i pisz krótką notatkę. Zatyłuj ją „Tak postępują prawdziwi naukowcy”. Opowiedz w niej wszystko, jak było. Ani słowa zmyślenia. Do jutrzejszego numeru... Jasne?

— Jasne — Standal zrozumiał, że kłamstwo wessało go niczym bezdenne trzęsawisko. Bez ratunku.

Ściskając w spoczonej dłoni termometr wstał i zapytał:

— Mogę już iść?

— Idź. Chwileczkę. Jak napiszesz, natychmiast leć do szpitala. Nie zapominaj, kto cię uratował. Masz tu pięć rubli. Kup za wszystko kwiaty. Najświeższe. Od gazety. Od zespołu redakcyjnego. Idź.

Standal wziął wolną ręką pieniądze.

— A to jest termometr? — domyślił się Malużkin. — Dla niego? Prosił?

Standal kiwnął głową. Nie mógł z siebie wydusić nawet słowa. Cofał się do drzwi i dlatego nie spostrzegł, że drzwi się otwierają.

Z tyłu rozległ się znajomy głos:

— Przepraszam za wtargnięcie. Szukałem pańskiego młodego pracownika, który zostawił u mnie swoją białą czapkę. A że przechodziłem w pobliżu...

Standal nie potrafił spojrzeć w oczy redaktorowi Malużkinowi. Nie potrafił odwrócić się i popatrzeć w oczy profesorowi Mincowi. Patrzył na termometr, skierowany kulką rtęci ku redaktorowi naczelnemu gazety.

W zapadłej nagle ciszy Standal zobaczył, jak słupek rtęci błyskawicznie runął w dół, jak przeskoczył trzydzieści, czterdzieści stopni mrozu... Rozległ się cichy trzask. Szklana rureczka nie wytrzymała emocjonalnego chłodu, którym zionął redaktor Malużkin, i pękła, a rtęć srebrzystymi kropelkami rozprysnęła się po gabinecie.

Do umówionej godziny spotkania zostało Standalowi już tylko piętnaście minut.

ŚLADAMI BOMBARDA

W lokalu „Guslarskiego Sztandaru” panowała jesienna cisza i spokój, gdyż redaktor naczelny pojechał na naradę do obwodu.

Misza Standal wyglądał przez okno i marzył o jakimś wspaniałym materiale, który przedrukuje „Litieraturnaja Gazieta”. To czasopismo centralne jeszcze żadnego materiału Miszy Standalowi nie zamieściło, i nie dziwota, bowiem nic do tej redakcji nie posyłał. W ogóle w prasie centralnej pojawiły się do tej pory tylko dwie notatki. Miesięcznik „Wokrug Świeta” wydrukował krótką informację o łowieniu pod lodem krokodyli w podguslarskim jeziorze Kopenhagen, a inne pismo zamieściło reportaż o spotkaniu mieszkańca Wielkiego Guslaru Korneliusza Udałowa z mieszkańcami innej planety w dziale „A może to nie kosmici?” Sława starannie omijała Misze Standola.

Wczoraj nieoczekiwanie spadł obfity śnieg i drzewa, które nie zdążyły jeszcze stracić liści, ubrane były w wielkie białe czapy na zielonych jeszcze czuprynach. Chodnikiem, powłócząc kaloszami, szedł znany Miszy Standalowi emeryt Łożkin, który trzymał pod pachą czarną szkolną teczkę z listami i zażaleniami, w większości zupełnie nieuzasadnionymi. Staruszek Łożkin najwidoczniej kierował się do redakcji i Misza zaczął żałować, że lokal nie ma tylnego wyjścia.

Nie martwił się jednak długo, gdyż niemal w tej samej chwili jego uwagę pochłonęło zamieszanie na dość odległym placu. Coś białego posuwało się w stronę domu redaktora naczelnego, a za tym czymś białym biegła dzieciarnia i ludzie dorośli.

Standal przytknął nos do szyby, ale przeszkadzały mu okulary, których jednak nie zdjął, ponieważ bez nich bardzo źle widział i przestawał być podobny do młodego Gribojedowa.

Chociaż w mieście niezwykle wydarzenia nie należały do rzadkości, Misza nigdy jeszcze nie widział, żeby ulicą jechał rosyjski piec bez widocznych kół, ale za to z wysokim kominem, z którego snuje się lekki dymek.

Na piecu siedział młody mężczyzna w bardzo porządnym granatowym garniturze i pod krawatem. Obok mego leżał schludny sążek polan. Młodzieniec wziął polano, pochylił się do przodu i otworzył drzwiczki paleniska, w którym po domowemu, przytulnie, płonął pomarańczowy ogień. Młodzieniec wepchnął polano do pieca, zatrzasnął drzwiczki i znów rozsiadł się w niewymuszonej pozie.

— Ej, przewiez nas! — krzyczała biegnąca dokoła dzieciarnia, ale młodzieniec nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Dorośli szli tłumnie z tyłu i dyskutowali o ewentualnych osiągnięciach pojazdu.

Kiedy piec zrównał się z wejściem do redakcji, młodzieniec klepnął dłonią komin i piec posłusznie się zatrzymał.

Za plecami rozległo się miarowe sapanie. Misza obejrzał się i zobaczył emeryta Łożkina.

— Trzeba będzie napisać — powiedział staruszek. — Pogwałcenie przepisów.

— Co napisać? — zdumiał się Standal.

— Zażalenie.

— Na co?

Emeryt był nie w ciemną bitą i bystry.

— On jeździ bez numerów i pewnie bez prawa jazdy. Co będzie, jak kogoś rozjedzie?

— Na piece nie dają numerów — odparł na odczepnego Misza. Młodzieniec zwinnie zeskoczył z przypiecka, powiedział coś do widzów i zniknął w drzwiach redakcji.

Emeryt Łożkin usiadł na jedynym wolnym krześle, otworzył teczkę i wyjął z niej arkusz papieru kancelaryjnego w kratkę. Standal ruszył w stronę drzwi, ale w tej samej chwili z korytarza dobiegł odgłos energicznych kroków, w drzwiach stanął młodzieniec w granatowym garniturze i zapytał:

— Bardzo przepraszam, gdzie mógłbym znaleźć redaktora naczelnego?

— Pan w jakiej sprawie? — zapytał uprzejmie Standal, przyciskając wskazującym palcem okulary do nosa.

— Napisaliśmy list — powiedział młodzieniec, wchodząc do pokoju i patrząc z dezaprobatą na porozrzucane papiery i zastarzały bałagan.

Standal chciał zaproponować gościowi krzesło, ale nie odważył się tego zrobić, bo krzesło było bardzo zakurzone, a sprzątaczką już od czterech dni chorowała.

Niezręczną pauzę wypełnił Łożkin, który odłożył pióro i zapytał surowym tonem:

— To pański środek lokomocji?

— Niby piec? Mój.

— Nie spodziewałem się — powiedział Łożkin.

Zaraz powie, że nie ma numeru — przestraszył się Standal. — A młodzieniec może pomyśleć, iż Łożkin jest naszym szefem.

— To jest towarzysz Łożkin — wyjaśnił młodzieńcowi. — Jest emerytem, a do nas wpadł tylko na chwilę.

Łożkin westchnął smutnie i uniósł palec do góry, jakby chciał zaprotestować.

— A gdzie jest towarzysz redaktor? — zapytał młodzieniec.

— Redaktor pojechał do obwodu na naradę. Może pan porozmawiać ze mną. Jestem reporterem i nazywam się Standal.

— Słyszałem — powiedział młodzieniec i zaczerwienił się, gdyż domyślił się od razu, że słyszał nie o Miszy, tylko o jego wielkim imienniku.

— To nawet nie krewny — uśmiechnął się Standal. — Ludzie często mnie o to pytają. A o co w pańskim liście chodziło?

Młodzieniec też się uśmiechnął — i powiedział:

— Ależ u was bałagan!

— Sprzątaczką zachorowała — wyjaśnił Standal. — Ale może pan jednak usiądzie.

— Nie będę się rozsiadał, bo chciałbym tylko pogadać o liście, który napisaliśmy razem z bratem, a odpowiedzi jak dotąd nie ma. Myślałem, że wyniknęły jakieś wątpliwości, więc przyjechałem je rozproszyć. Wcześniej nie mogłem się wybrać. Obaj z bratem jesteśmy gajowymi. Latem musimy pilnować lasu, sadzić młodziaki, dbać o równowagę ekologiczną... Dopiero o tej porze roku jest trochę luźniej z czasem.

— A gdzie pan kupił buty? — zapytał surowo Łożkin, który bardzo bolał nad tym, że rozmowa odbywa się bez jego udziału.

— Żona Wasi, Kława, jeździła do Leningradu po części i przy okazji mi kupiła.

— Prawdopodobnie — powiedział Łożkin w taki sposób, iż stało się oczywiste, że dopatruje się tu oszustwa i w odpowiedź nie uwierzył. Młodzieniec znów się zapłonił.

— Niech pan na niego nie zwraca uwagi — wykrzyknął Misza starając się dodać mu otuchy. — Pisaliście więc o piecu?

— Ależ co pan! — zdziwił się gajowy. — Czy warto byłoby takim głupstwem zawracać komuś głowę? A ja się panu nawet nie przedstawiłem. Nazywam się Zajka. Takie mam, za przeproszeniem, nazwisko. Brat mój jest Bazyli, a ja Terencjusz Zajka. Mieszkamy w masywie leśnym w Zabłociu.

— Przecież to daleko...

— Blisko nie jest. Będzie ze sto trzydzieści kilometrów. Dokładniej nie powiem, bo licznik mi się zepsuł.

— I pan tak całą drogę na tym?...

— Chciałem motocyklem, ale Wasia, on jest starszy, kazał wziąć piec. Uznał, że to zrobi lepsze wrażenie, przekona ludzi, że nie jesteśmy jakimiś tam oszustami. Z nami jeszcze ojciec mieszka, ale oni już są mocno posunięci w latach i zajmują się przeważnie teorią. Tata czyta wszystkie wydania, a jak tylko zobaczy jakąś świeżą ideę, od razu nas woła i powiada: „Dzieci moje, ja tu pomyślałem...” A my wtedy do roboty. Naszego tatę Artur wołają. Artur Iwanowicz Zajka.

— Bardzo dziwne imię — powiedział Łożkin, który tymczasem zaszedł młodzieńca od tyłu i przyglądał się jego fryzurze.

— A na jakiej zasadzie działa ten piec? — zapytał Standal.

— Zasada działania jest nie nasza, obca — znów wtrącił się Łożkin, osłaniając się czarną teczką niczym tarczą.

— To może nie dostaliście naszego listu?

— Pewnie leży w dziale łączności z czytelnikami, ale jego kierowniczką ma dziś wolny dzień. Nie odpowiedział mi pan na pytanie.

— Piec pracuje normalnie. Na drzewie, jak należy. Trzymamy go w domu w charakterze rezerwy. W czasie mrozów palimy w nim, ogrzewamy laboratorium, cieplarnię. A czasami jeździmy, jeśli trzeba coś ciężkiego przetransportować. Na drzewie pracuje...

— My tam już wiemy, jakie to drzewo — wtrącił niezmordowany Łożkin.

— Drzewo nie jest kradzione — obraził się Terencjusz. — Przeprowadzamy przecież cięcia sanitarne.

— A gdzie są koła? — zapytał Standal.

— Koła? A gdzie pan widział piec na kołach? Zrobiliśmy go na poduszce powietrznej. Ale co do listu...

— Może opowie go pan własnymi słowami? I zastanowimy się razem...

— Wiedziałem, żeście ten list zgubili, ale się nie obrażam. Wasia i ja proponujemy nowy sposób podróżowania, który przyda się strażnikom zwalczającym pożary w naszych lasach lub też zwyczajnym gajowym. Zrozumcie mnie dobrze, towarzyszu Balzak...

Standal nie poprawił gościa, ale wyręczył go Łożkin, który znów się wtrącił:

— Odejdź na bok, Standal — powiedział.

Terencjusz zauważył swoją gafę i wdzięcznie się zaróżowił. Łożkin odciągnął Standala za rękaw do kąta i powiedział scenicznym szeptem:

— Ty co, nie widzisz?

— Czego nie widzę?

— Typowy przybysz z innej planety. Wkradł się w nasze zaufanie. Widziałeś kiedy, żeby w takim garniturze jeździł ktoś na piecu?

— W ogóle nie widziałem, żeby ktoś jeździł na piecu.

— Ty mi tu piecem nie zamydlaj oczu, tylko przyjrzyj się szczegółom. Widziałeś kiedy taki krawat? Przecież to całkiem niezmierny kolor. Widziałeś coś takiego w naszym domu towarowym?

— Ach, dajcie spokój, towarzyszu Łożkin — powiedział Standal.

— Niepotrzebnie mnie podejrzewacie — odezwał się Terencjusz, który wszystko słyszał. — Mogę wam okazać dowód osobisty i książeczkę wojskową. A w ogóle to zostaliśmy uhonorowani wieloma dyplomami.

— Nie wątpię w to — pospieszył zapewnić go Standal. — Dokumenty nas nie interesują.

— Dokumenty mu zrobili — upierał się Łożkin. — A z krawatem im się nie udało.

— Krawat jest kupiony w Wołogdzie — zaoponował Terencjusz.

— Nawet ja bym coś lepszego wymyślił — parsknął złośliwie Łożkin.

— A pan przynajmniej widział żywego przybysza?

— Jakżeby inaczej? Odróżniam.

— Przybysze u nas rzeczywiście bywają powiedział Standal — ale to teraz nie ma nic do rzeczy. Proszę mówić dalej, Terencjuszu Arturowiczu.

— Naiwny prostak — rzucił oskarżycielsko Łożkin, po czym usiadł, wydobył z teczki arkusz papieru i zaczął udawać, że wszystko zapisuje słowo w słowo.

— Powróćmy więc do naszej rozmowy — zaproponował Terencjusz, który już zdołał przywyknąć do Łożkina. — Czytał pan „Dobrowolnego rozbitka” Bombarda? To moja ukochana książka.

— Ja też mam do niej pozytywny stosunek — odpowiedział Standal siadając na krawędzi biurka. — I też lubię morze.

— Nie chodzi wcale o morze, które jest daleko stąd i w ogóle nieaktualne. Bombard dowiódł, że jeśli czyjś statek utonął, to ten ktoś nie musi zaraz tracić życia. Dlaczego ludzie umierają w łodziach ratunkowych? Dlatego, że boją się umrzeć. Paradoks, ale prawdziwy. Ci ludzie, że tak powiem, zawczasu grzebią sami siebie w morskiej otchłani.

— Słusznie — powiedział Standal. — Szok psychiczny.

— Potrafimy takich ludzi zrozumieć. Przecież się boją.

— Niech pan weźmie pod uwagę — zagroził Łożkin — że u nas oceanu nie ma i nie będzie.

— Ja tu o Bombardzie mówię tylko dla przykładu — ciągnął Terencjusz nie zwracając uwagi na Łożkina. — Dla wytworzenia klimatu psychicznego. Nasz tata, kiedy przeczytał Bombarda, tak nam powiedział: „Dzieci moje, mam ideę z zakresu psychologii. A co, jeżeli strach, który stanowi główny ogranicznik naszych śmiałych planów i poczynań, i w ogóle postępu, wpływa nie tylko na żeglugę morską i oceaniczną, ale i na całą resztę?” Wtedyśmy się z bratem solidnie zamyśliли.

— I popłynęliście rzeką Guś, żywiąc się planktonem — nie wytrzymał Łożkin.

— Nad czym się zamyśliłiśmy? Weźmy na przykład skoczka narciarskiego. Jeśli zastanowić się, z jakiej wysokości skacze narciarz, to okaże się, że to jest śmierć! A on skacze sobie jak gdyby nigdy nic. Dlaczego?

— Jak to dlaczego? — zdziwił się Standal. — Przecież on skacze do przodu. Z rozpędu.

— Ale w dół też.

— Ale przeważnie w dal.

— A jeśli skoczek stchórzy, jak rozbitek? Jeśli przestanie utrzymywać równowagę?

— Wówczas upadnie.

— Rozbije się?

— Naturalnie.

— Co było do dowiedzenia. No więc kiedyśmy doszli do takiego wniosku, zaczęliśmy się z Wasią zastanawiać, jak się obyć bez nart.

— Nie można — powiedział Standal. — Niezbędna jest szybkość początkowa.

Terencjusz zerknął na Misze pobłaźliwie, jak mógłby spojrzeć akademik od fizyki na magistra historii, który powątpiewa w istnienie mezonów pi.

— To można sprawdzić — powiedział.

— Co sprawdzić?

— Sprawdzić, jak idee Bombarda dają się zastosować w naszej skromnej rzeczywistości. Idziemy?

— Dokąd?

— Na próbę metody beznartowej według Bombarda. Inna rzecz, że mój braciszek robi to lepiej, z większym wdziękiem, ale w zasadzie każdemu to wychodzi. Najważniejsze, żeby zawsze nie umrzeć ze strachu.

— Przybysz — powiedział Łóżkin z przekonaniem, kierując się za młodymi ludźmi ku wyjściu.

— Nie, jesteśmy guslarscy — odparł z godnością Terencjusz Zajka.

Na ulicy Terencjusz zbliżył się do pieca, pochylił się nad nim, czymś szcęknął, dorzucił drzewa i powiedział.

— Właście, nie trzęsie. Ja tylko po mieście wolno jeżdżę, a na szosie wyciągam sześćdziesiątkę.

Ulicą szedł prowizor Sawicz w rozpiętym palcie i rozmyślał o czymś ważnym. Na pierś spływał mu krawat w kolorze lila, dokładnie taki sam, jaki nosił przybysz Zajka.

— Dzień dobry — powiedział Standal. — Gdzie pan kupił ten krawat?

— A, dzień dobry, Misza. Przywieźli do domu towarowego. Podoba się panu?

Po czym ruszył dalej, nie zauważając pieca, a Standal odwrócił się do Łóżkina i zapytał:

— No i jak będzie z tym krawatem?

— Diabelski podstęp — odparł Łóżkin.

— Gdzie jedziemy? — zapytał Standal sadowiąc się na przypiecku i starając się przybrać godną minę, gdyż nigdy dotąd nie jeździł na piecu.

— Nie wsiądę na niego! — wykrzyknął Łóżkin. — Jeszcze mnie porwiecie w kosmos. Czytałem, że tam są potrzebni ludzcy niewolnicy. Powiedzcie mi dokąd, a ja już na piechotę trafię.

— Niewolnicy są nam potrzebni — odparł bez uśmiechu Terencjusz. — W lesie ręce do pracy są na wagę złota.

— Właśnie. Popatrzę sobie z daleka. Gdzie mam iść?

— Pod dzwonicę, na brzeg rzeki — odparł Terencjusz. — Tam, gdzie dawniej stały sukiennice.

Piec uniósł się bezszelestnie do góry i ruszył naprzód. Tylko trzeszczały drwa w palenisku i rozmawiali ciekawscy przechodnie.

— Towarzysze, rozejdźcie się — zaapelował do nich Terencjusz. — Niezdrowa ciekawość. Zagapili się jak na cadillaca.

Widzowie usłuchali i zwolnili przejście.

— Teraz wdrapię się na dzwonicę — powiedział Terencjusz, kiedy piec nabrał szybkości i pomknął ulicą. — Tam jest otwarte, sprawdzałem. Wy zostaniecie na dole i będziecie obserwować. Jasne?

Dzwonnica była wysoka. Krążyły nad nią wrony i przeciągały szare chmury. Piec znieruchomiał na skraju urwiska nad rzeką Guś. Od dzwownicy oddzielał go ugór przysypany nierówno śniegiem, spod którego wyglądała zielona trawa. W przyszłym roku na ugorze miała się rozpocząć budowa nowego hotelu. Od rzeki ciągnęło jaskiniowym chłodem.

— No, na razie — powiedział Terencjusz zeskakując z pieca. — Wziąłbym płaszcz, bo jest zimno, ale eksperyment powinien być czysty.

Nie mówiąc więcej ani słowa Terencjusz zrzucił marynarkę na ręce Standalowi i ruszył marszowym krokiem w stronę dzwownicy. Standola opanowały trwożne i wzniosłe przecucia, ale też milczał, gdyż zrozumiał, iż powszednie słowa mogły jedynie zakłócić uroczysty moment.

Minęły jakieś trzy minuty. Standal stał oparty o ciepłą ściankę pieca, ale nic się nie działo poza tym, że krakały wrony i przyleciał emeryt Łóżkin.

— Gdzie przybysz? — zapytał.

— Terencjusz Arturowicz jest na dzwonnicy. Zaraz nam zademonstruje doświadczenie.

— Przybyszowi wszystko wolno — powiedział Łożkin.

Na szczycie dzwonnicy pod dzwonami ukazała się mała postać ludzka. Była tak mała i bezbronna, że Standalowi zamarło serce z przerażenia.

— Ach! — powiedział Łożkin przeczuwając nieszczęście. W gruncie rzeczy nie był bowiem złym i oschłym człowiekiem. — Jeśli coś się stanie nawet przybyszowi, to i tak będzie szkoda.

Mała figurka wdrapała się na poręcz okalającą dzwonnice i przez kilka sekund ludzik, szeroko rozstawiając ręce, starał się utrzymać równowagę. Potem dał krok w dół...

Standal z przerażenia zamknął oczy. Łożkin znów powiedział „ach”. A może to wariat, którego nie powstrzymali przed szaleńczym krokiem?

Standal otworzył oczy. Człowiek wciąż spadał, ale spadał jakoś dziwnie. Zdawał się iść po powietrzu, po płaskim łuku, rozłożywszy ręce i coraz prędzej przebierając nogami w miarę zbliżania się do ziemi. Ostatnie kilka metrów w powietrzu już szybko biegł i osiągnąwszy ziemię nie przewrócił się, lecz kontynuował swój bieg. Dobiegł do Standala i objął go z rozpędu rękami, ale tak, żeby nie pognieść własnej marynarki.

— Przepraszam cię, Balzak — powiedział zdyszonym głosem, nie odrywając dłoni od serca. — Wiatr mnie znosił i w dodatku zmarłem jak pies. Dawaj marynarkę. No i jak ci się podobał efekt?

— Myślałem, że padnę trupem — odparł Standal, oddał marynarkę i zaczął oddychać głęboko i miarowo, żeby uspokoić serce.

— Przybysz — powiedział Łożkin. — Nie wstyd ci tak straszyć szarych ziemskich ludzi?

— Nie — powiedział surowo Terencjusz. — Naśladowca Bombarda, przekonany o sile ludzkiego ducha w materialnych jej przejawach.

— Mistyka — rzucił oskarżycielsko Łożkin.

— Nie ma w tym żadnej mistyki — zaproponował Terencjusz — tylko wynik trwającego trzy miesiące doświadczenia. Uznaliśmy z Bazylim, że można skakać z dowolnej wysokości na zasadzie trampoliny lub skoczni narciarskiej. Im szybciej opadasz w dół, tym prędzej powinienesz przebierać nogami i biec do przodu. I nie zatrzymywać się nawet na sekundę, bo inaczej szlag cię trafi. Nikt się tego wcześniej nie domyślił, bo jak już kto zaczął — spadać, to już był koniec. A tu trzeba zachowywać równowagę i pamiętać, że nie ma żadnego upadku, tylko strach i nerwy. Dopóki się jednak człowiekowi nie pokaże, to za nic nie uwierzy. Gdybym się wam przyznał, że chcę zejść na piechotę z dzwonnicy, bez drabiny lub jakiegoś aparatu latającego, to co by się stało? Związałibyście mnie i razem z piecem odstawili do szpitala klinicznego. Przecież nawet jak się patrzy na to z boku, to robi się słabo, a jak się samemu po raz pierwszy skacze, strach jest jeszcze większy.

— Ja tam bym już na pierwszym metrze umarł ze strachu — wyznał Standal.

— Umarłbyś i zagnał władzę człowieka z wielkiej litery nad ślepych siłami natury. Jak Kolumb.

— A na co on umarł? — zapytał Standal, chociaż wiedział, że pytanie zabrzmiało głupio.

— Nie, źle mnie zrozumiałeś. Miałem na myśli to, że gdyby Kolumb stchórzył, nigdy by nie odkrył Ameryki, tylko jak ty, umarłby na pierwszym metrze. Człowiek winien być panem całego świata — i ziemi, i wody, i oceanu powietrznego. Nasz ojciec tak to sformułował. A wy gubicie listy do redakcji.

Terencjusz przyjaźnie położył rękę na ramieniu Standala. Doświadczenie się powiodło, więc teraz nie miał już pretensji do redakcji. W Standalu widział sojusznika, a dla prawdziwego naukowca poparcie opinii publicznej niezmiernie wiele znaczy.

— Jeśli chcesz, Balzak, mogę cię nauczyć, tyle że zaczniemy od niewielkich wysokości.

— Idę — powiedział Łożkin. — Serce mnie kłuje. Muszę zażyć kardiaminę.

Odszedł powłócząc kaloszami, a Terencjusz powiedział:

— Nie uwierzył. Widział na własne oczy, ale nie uwierzył. Wiele jeszcze nie uwierzy. A ty?

— Ja uwierzyłem i chętnie bym sam spróbował. Ale się boję.

— Nie pękaj. Sam za pierwszym razem czułem się nieswojo. Jedziemy? Podrzucę cię i udam się do domu. A propos, jeśli będziesz chciał beze mnie trenować, to zaczynaj od stołu, bo nabijesz sobie guza...

Rozstali się przed drzwiami redakcji. Przedtem umówili się, że za dwa dni, kiedy Standal odda numer do drukarni, przyjedzie do Zajków z fotoreporterem. Misza długo patrzył za odjeżdżającym piecem. Do redakcji nie chciało mu się wracać. Dochodziła szósta i zaczynało się ściemniać. Standal wyobraził sobie, jak na zawrotnej wysokości robi krok w pustkę i idzie sobie dalej jak gdyby nigdy nic, tylko wiatr gwizdże w uszach i wrony przyskają na boki. Żeby tylko nie stracić równowagi...

Z nieba walił leniwie mokry śnieg. Standal szedł, nie myśląc dokąd idzie, i nogi same zaniósł go na ugór za dzwonnice. Rzucił okiem na dzwonnice, ale pokusę wdrapania się na nią pokonał bez większego trudu.

Standal odwrócił się od dzwonnicy. Daleko w dole, pod urwiskiem, płynęła ciemna i zimna rzeka z samotną tratwą pośrodku nurtu. Standal usiłował myśleć o przyszłym artykule i już nawet znalazł dla niego tytuł: „Śladami Bombarda”. Ale dalej sprawa się nie posunęła, gdyż Standal znów sobie wyobraził, że robi krok... Z przeciwległego, niskiego brzegu doleciał krzyk kobiety. Standal spojrzał w tamtą stronę. Na odległym brzegu, ledwie widoczna w zapadającym zmierzchu, miotała się kobieca postać. Co się stało? No tak, na tratwce siedział skulony z przerażenia malutki urwis.

Jeszcze wczoraj Standal uznałby, że chłopcykowi nic nie grozi, że w końcu tratwa dobije do brzegu, i najspokojniej w świecie zaczęłby szukać zejścia z urwiska... Tak byłoby wczoraj. A dzisiaj Standal nawet się nie zastanawiał. Był władcą wielkiego sekretu. Najważniejsze to stałe iść naprzód i nie tracić równowagi.

Najstraszniejszy i najtrudniejszy był pierwszy krok — powietrze, rzadkie i bezcielesne, nie chciało trzymać człowieka i niczym bagno wciągało w dół. Chciało się krzyczeć, wołać ratunku, zwinąć się w kłębuszek, żeby uderzenie o grunt nie było tak straszliwie silne... Ale Standal utrzymał wyciągnięte na boki ręce i zmusił się do zrobienia szybkiego kroku naprzód, a potem następnego i wtedy poczuł, że idzie, idzie zapadając się w powietrze, ale jednak nie spadając... Liczył: raz — dwa — trzy, wciąż przyspieszając tę wyliczankę, i rozumiał, że należy spojrzeć w dół, przekonać się, jak daleko jest do wody, ale nie miał czasu spojrzeć, bo musiał liczyć, przyspieszać kroku i opierać się o powietrze rękami.

Nagle zdarzyło się najgorsze — nieoczekiwany powiew wiatru zachwiał nim i okulary lekko zsunęły się na nos. Standal zrobił to, co robi każdy człowiek, któremu okulary zsuwają się z nosa. Poprawił je. Ręką.

I natychmiast runął w dół niczym ptak z przestrelonym skrzydłem.

Na szczęście w owej chwili znajdował się już zaledwie o jakieś pięć metrów od powierzchni wody i około dziesięciu kroków od tratwki.

Biały słup wody trysnął do góry, jakby w tym miejscu eksplodował pocisk armatni lub moździerzowy. Zanurzając się w parzącą chłodem głębię, Standal zdążył pomyśleć, że na pewno się przeiębi.

A woda już wypychała go na powierzchnię, więc zaczął wymachiwać rękami, parskać, szamotać się i naturalnie zgubił okulary.

Tratwa była niedaleko i Standal dostrzegł ją od razu mimo padającego śniegu i od razu też pomyślał o dzieciaku. Cel przede wszystkim. Standal pomknął w stronę tratwy i wczepił się w jej krawędź. Popłynął do brzegu, pchając tratwę przed sobą. Urwis na tratwie nie ruszył się, milczał i pewnie myślał o tym, jakie łanie dostanie w domu.

— Nareszcie — a Standalowi wydawało się, że minęła cała wieczność — pokonał dwadzieścia metrów dzielących go od brzegu. Pod nogami wyczuł pochyłe, śliskie dno. Staął. Woda sięgała mu do pasa i powietrze było ciepłe, wręcz gorące po lodowatej kąpieli.

Zobaczył kobietę podbiegającą do wody i odezwał się do niej zmęczonym, pełnym godności głosem, niczym pionier po zatrzymaniu pociągu, któremu groziła katastrofa:

— Ma pani swój skarb.

— Mój Boże — powiedziała kobieta. — Wylaż prędko z wody, bo się przeziębisz.

Pochyliła się, wzięła z tratwy wiadro z praniem i podała wolną rękę Standalowi, pomagając mu w ten sposób wydostać się na brzeg.

— Pomost się załamał — powiedziała. — Sama nie wiem, jak to się stało. Ale się przestraszyłam...

Standal stał na brzegu obok kobiety i dygotał.

— Jakżeś ty skoczył? — zapytała kobieta. — Nawet nie zauważyłam skąd. Chodź do mnie, ogrzejesz się.

— Proszę mi dać wiadro — powiedział Standal. — Po... po, pomogę zanieść.

Każdy, nawet pomyślnie zakończony eksperyment (jak na to wskazuje Bombard) kryje w sobie niebezpieczeństwo wystąpienia efektów ubocznych. Następnego dnia Standal dostał okropnej anginy. W trzy tygodnie później wybrał się do Zajków i dowiedział się, że dwa dni wcześniej gościł u nich reporter z pewnego stołecznego czasopisma.

UKOCHANY UCZEŃ FAKIRA

Wydarzenia, które wzburzyły opinię publiczną spokojnego miasta Wielki Guslar, zaczęły się, jak to zwykle w takich wypadkach bywa, całkiem zwyczajnie.

Autobus jadący do Wielkiego Guslaru ze stacji kolejowej Łysy Bór był w drodze już od półtorej godziny. Miał obfitujące we wszelką rybę jezioro Kopenhagen, przejechał obok Domu Wypoczynkowego Pracowników Leśnych, przemknął wreszcie w pobliżu niewielkiego wygasłego wulkanu. Lada moment powinien był ukazać się zza zakrętu znajomy, charakterystyczny zarys starego miasta, gdy autobus zahamował, zjechał na pobocze i stanął, nieco pochylony, pod koronami potężnych sosen i świerków.

Pasażerowie autobusu budzili się, niepokoiли, zakłócali poranną ciszę pełnymi zdumienia okrzykami:

— Co się stało? — pytali się nawzajem, po czym zwracali się z tym samym pytaniem do kierowcy. — Dlaczego stanęliśmy? Może jakieś uszkodzenie? Albo wręcz awaria?

Drzemiący pod oknem młodzieniec o przyjemnej powierzchowności i z niewielkimi czarnymi wąsikami nad pulchną górną wargą również otworzył oczy i nieco się zdumiał stwierdziwszy, że świerkowa gałąź wślazła przez okno i właściwie wbiła mu się w twarz.

— Wysiadać! — dobiegł go smętny głos kierowcy. — Będziemy się opalać. Przecież im mówiłem, że nie mogę wyjeżdżać na trasę bez lewarka, bo na pewno złapię gumę. A mechanicy mi na to, że dziś lewara nie będzie, bo gwint na nim poleciał!...

Młodzieniec wyobraził sobie lewar z kompletnie zerwanym gwintem i skrzywił się boleśnie, gdyż miał niezmiernie bogatą wyobraźnię. Wstał i wysiadł z autobusu. Wyglądał głupio, bo autobusy nie mają prawa tak stać.

Kierowca w otoczeniu pasażerów stał na drodze i wpatrywał się w tylne koło niczym w obraz Rembrandta. Uspokajająco szumiał las. Drzewa z godnością kiwały dumnymi głowami. Szosa była całkowicie pusta. Lato już wstąpiło w swoje prawa. W rowie kwitły mleczce, a czarnooka dziewczyna w jersejowym kostiumiku i niebieskiej chusteczce przysiadła na pienuszkach i już spletała wianek z żółtych kwiatków.

— Albo czekać, albo iść na piechotę do miasta — powiedział kierowca.

— Może ktoś będzie przejeżdżał? — wyraził nadzieję dobrze odżywiony mężczyzna, którego jasne, błyszczące włoski ledwie zakrywały łysinę. — Jeśli ktoś się trafi, to przyślemy pomoc z miasta.

Przemawiał autorytatywnym tonem, ale nieco zbyt szybko, co świadczyło o miękkości i niepewności. Jego twarz wydała się młodzieńcowi znajoma, a zresztą i ów mężczyzna po zakończeniu rozmowy z kierowcą obrócił się ku niemu i zapytał wprost:

— Przyglądam się panu od samej stacji i nijak nie mogę określić. Jedzie pan do Guslaru?

— Naturalnie — odparł młodzieniec. — A czyż ta droga jeszcze dokąd prowadzi?

— Nie, dalej nie prowadzi, jeśli nie liczyć traktów gruntowych, wiodących do okolicznych wsi — odpowiedział dobrze odżywiony blondyn.

— A więc jadę do Guslaru — powiedział młodzieniec, wielki zwolennik logiki formalnej w słowie i czynie.

— Na długo?

— Na urlop — odparł młodzieniec, ukazując w uśmiechu równe białe zęby, które szczególnie wyraźnie odbijały od smagłej, ogorzałej i nieco zmęczonej twarzy.

— A na jakiej ulicy w Wielkim Guslarze zamierza się pan zatrzymać?

— Na swojej — powiedział młodzieniec.

— A dokładnie?

— Na ulicy Puszkina.

— No i widzi pan — ucieszył się pulchny mężczyzna i tak pochylił głowę, że promień słońca odbił się od jego łysiny i trafił wprost do oka dziewczyny splatającej wianek. — A co ja mówiłem?

I była w nim radość sędziego śledczego, który wydusił z upartego świadka bardzo ważne zeznanie.

— A w jakim domu chce się pan zatrzymać?

— W naszym — powiedział młodzieniec i dorzucił, kierując się ku grupie ludzi kontemplujących splaszczoną oponę: — Pańska twarz też mi się wydaje znajoma.

— Numer szesnasty? — upewnił się dobrze odżywiony blondyn.

— Numer szesnasty.

— Tak myślałem. Pan jest Gieorgij Borowkow, Łożkin po kądzieli.

— Jam ci jest — odparł młodzieniec.

— A ja jestem Korneliusz Udałow — oświadczył pulchny blondyn. — Czy pamięta mnie pan, w dzieciństwie huśtałem pana na kolanie?

— Pamiętam — powiedział młodzieniec. — Pamiętam bardzo dokładnie. Spadłem z pańskiego kolana, a ta blizna na nosie jest tego dowodem.

— Och! — ucieszył się jak dziecko Korneliusz Udałow. — Cóż za spotkanie! Czyżbyś, urwisie, przez wszystkie te lata pamiętał tamten bolesny upadek?

— A jakże! — powiedział młodzieniec. — Przez tę niemal niewidoczną bliznę nie chciano mnie przyjąć do leśnej akademii radzajogi Guru Kamarasvami, gdyż jest to ułomność fizyczna świadcząca o pewnej nieprzychylności bogów wobec mojego naczynia smutku.

— Czego? — zapytał nieco zmieszany Udałow.

— Wobec mego śmiertelnego ciała, cielesnej powłoki, w której rzekomo kryje się nieśmiertelne idealistyczne sedno.

— Aha — powiedział Udałow i postanowił nie zagłębiać się dalej w zagadnienie. — Na długo pan do nas?

— Na miesiąc albo mniej — odparł młodzieniec. — To zależy od tego, jak mi się ułoży. Może wezwą mnie z powrotem do Moskwy... A z kołem paskudna sprawa. Jest zapasowe?

— Sam widzę — odwarknął kierowca, spoglądając z niejakim obrzydzeniem na granatowy garnitur oraz importowany krawat, starannie zawiązany pod szyją mimo wczesnej pory i powszedniego dnia, i na cały wytworny wygląd młodzieńca.

— Człowiek cię pyta, czy masz zapasowe koło! — wtrącił się Udałow. — A może też zostawiłeś je w bazie?

— Koło jest, ale co ono jest warte bez lewarka?

— Bez lewarka nic nie jest warte — zgodził się Udałow i zapytał Borówkowa: — Podobno byłeś za granicą?

— Wysiali mnie na staż — odparł Borowkow. — W trybie wymiany naukowej. Trzeba będzie unieść autobus, a wy tymczasem wymienicie koło. Robi się gorąco, a ludzie spieszą się do miasta.

— No to podnieś — obraził się kierowca.

— Podniosę — powiedział Borowkow. — Tylko proszę, żebyście nie tracili czasu na próżno.

— Do roboty, szefie — powiedziała jakaś omszała staruszka kryjącą się w tłumie pasażerów.

— Człowiek proponuje ci pomoc!

— Tej tylko brakowało! — oburzył się kierowca. — Spróbuj, babciu, z nim do spółki unieść

autobus.

Ale Borowkow już najspokojniej w świecie zdjął marynarkę, przekazał ją Udałowowi i odwrócił się do kierowcy jak człowiek, który już zamierza przystąpić do roboty, a stanowisko pracy nie zostało mu przygotowane.

— No! — powiedział spiżowym głosem.

Kierowca nie odważył się polemizować z takim głosem i pospieszył po koło zapasowe.

— Rozejdźcie się — powiedział surowo Udałow. — Nie widzicie, czy co?

Pasażerowi cofnęli się trochę, a kierowca z widocznym wysiłkiem przytoczył zapasowe koło i z brzękiem rzucił na żwir ogromnego „francuza”.

— Odkręcaj pan — powiedział Borowkow.

Kierowca wolno odkręcał nakrętki, a jego wargi układały się do przekleństw, ale obecność pasażerek powstrzymywała go od ich wygłoszenia. Udałow pełnił rolę wieszaka, trzymając marynarkę Borówkowa na małym paluszku i odpychając plecami tych, którzy usiłowali się zbliżyć.

— A teraz — odezwał się Borowkow — ja uniosę autobus, a pan niech wymieni koło.

Przesunął dłońmi pod kadłubem pojazdu, szukając miejsca, za które można dobrze chwycić, a następnie wczepił się w to miejsce szczupłymi, smukłymi palcami i bez wysiłku uniosł samochód. Autobus pochylił się do przodu, jakby musiał dokładnie obejrzeć coś leżącego przed nim na ziemi, i znieruchomiał.

W tłumie zerwał się stłumiony krzyk i wszyscy skwapliwie odeszli do tyłu. Tylko Korneliusz Udałow, jako uczestnik wydarzeń, pozostał dzielnie na posterunku.

Kierowca był tak zgnębiony, że błyskawicznie zdjął koło, bez słowa przytoczył drugie i zaczął je zakładać na właściwe miejsce.

— Nie jest ci ciężko? — zapytał Udałow Borówkowa.

— Nie — odpowiedział szczerze młodzieniec.

Udałow z szacunkiem popatrzył na krewniaka swego sąsiada, dziwiąc się jego zewnętrznej wiotkości. Borowkow utrzymywał samochód tak łatwo, że Korneliusz pomyślał, iż autobus wcale nie jest taki ciężki, jak się wydaje.

— Koniec — powiedział kierowca, ocierając pot z czoła. — Puszczaj.

I Borowkow ostrożnie postawił autobus na ziemi.

Nawet się nie spocił i w żaden sposób nie okazywał zmęczenia. W tłumie pasażerów rozległy się oklaski, a czarnowłosa dziewczyna, która skończyła pleść wianek z dmuchawców, podeszła do Borówkowa i założyła mu wianek na głowę. Borowkow nie oponował, a Udałow zauważył:

— Rozmiar trochę za mały.

— W sam raz — nie zgodziła się z nim dziewczyna i dodała: — Jakbym wiedziała, że się przyda.

— Pozwoli pan marynareczkę założyć — powiedział Udałow, ale Borowkow zmieszał się, odrzucił zaoferowaną pomoc Korneliusza Iwanowicza, sam wbił się w marynarkę, obdarzył dziewczynę promiennym uśmiechem, musnął swoje czarne wąsiki, wskoczył do autobusu i usiadł na dawnym miejscu.

Kierowca ponuro milczał, gdyż nie wiedział, czy należy tłumaczyć w bazie, jak to pasażer gołymi rękami uniosł autobus, czy też prawdziwsze będzie powiedzenie, że wybrał lewarek od szofera przejeżdżającej wywrotki. A Udałow siedział o dwa rzędy przed Borowkowem i przez całą drogę do miasta odwracał się, uśmiechał się do młodzieńca, mrugał do niego i wreszcie, już w mieście, nie wytrzymał i zapytał:

— Ćwiczyłeś podnoszenie ciężarów?

— Nie — odparł skromnie Borowkow. — To nie wykorzystane rezerwy ciała.

Ulicą Puszkina aż do samego domu szli razem. Udałow chętnie porozmawiałby z Borowkowem o dalekich krajach i miejscach, ale młodzieniec wciąż pytał o krewnych i znajomych. Udałow pragnął wtrącić coś poważnego, godnego, aby i siebie przedstawić we właściwym świetle, więc wspomniał, że w Guslarze byli przybysze z kosmosu, ale Borowkow uciał:

— Ja się tym nie interesuję.

— A skąd wobec tego — zapytał na to Udałow — wzięły się zagadkowe starożytne budowle, w tym również piramida Cheopsa i weranda z Baalbeku?

— Wszystkie werandy są dziełem rak ludzkich — odparł kategorycznym tonem Borowkow. — Innej drogi nie ma. Człowiek — to brzmi dumnie.

— Górki — odpowiedział Udarów. — Starucha Izergil. — Wciąż zerkał na dwie zagraniczne walizki Borówkowa, wypełnione jego rzeczami osobistymi i prezentami dla krewnych: gdyby nie widział osiągnąć fizycznych sąsiada, z pewnością zaproponowałby mu swoją pomoc, ale w obecnej sytuacji taka propozycja równałaby się drwinie z samego siebie.

Wieczorem Mikołaj Łożkin, wujek Borówkowa po kądzeli, zajrzał do Udałowa i zaprosił go wraz z żoną Ksenią do spędzenia wieczoru w miłym towarzystwie zebranych z okazji przyjazdu na urlop bratanka Gieorgija. Ksenią, która już słyszała od Korneliusza o zdolnościach młodzieńca, zwinęła się tak szybko, że już po pięciu minutach znaleźli się w jadalni Łożkinów, która była zarazem gabinetem pana domu: znajdowały się tam akwaria, klatki z ptactwem śpiewającym i szafa z książkami.

Przy stole zebrało się szczupłe grono przyjaciół i sąsiadów Łożkinów. Stara Łożkina odżałowała na tę okazję nalewkę, którą chowała na święta październikowe, gdyż — a to już powiedział w swym toaście sam Łożkin — młodzi ludzie rzadko wspominają o starcach, bowiem żyją własnym, intensywnym i postronnym życiem, i w świetle tego znamieny jest powrót Garika, to znaczy Gieorgija, do jego cioci i wuja, podczas gdy mógł on wybrać dowolne sanatorium lub dom wypoczynkowy na kaukaskim wybrzeżu Morza Czarnego lub też w Złotych Piaskach.

Wszyscy bili brawo, a potem Udałow również wygłosił toast. Powiedział mianowicie:

— Nasza młodzież rozlatuje się z rodzinnego gniazda każda w swoją stronę, jak ptactwo przelotne. W moim domu też dorasta Maksymek i córka, którzy też wypierzą się i odlecą. No i dobra. Szerokie drogi otwierają się dla naszych ptaków przelotnych, ale kiedy już zalecą z powrotem, wprost nie możemy wyjść z podziwu, na jakich zdrowych i silnych ich wychowaliśmy. — I tu wskazał palcem na skromnie siedzącego u szczytu stołu zawstydzonego Gieorgija Borówkowa.

— Wznieśmy więc ten toast — zakończył swą przemowę Korneliusz — za naszego ukochanego siłacza, który na moich oczach uniósł w powietrze autobus z pasażerami i trzymał go w rękach do chwili zakończenia naprawy bieżącej. Hura!

Wielu z obecnych nic nie zrozumiało, ci zaś, którzy zrozumieli, nie uwierzyli, a Borowkow poprosił o głos:

— Naturalnie pochlebia mi to, jednak czuję się w obowiązku dokonać pewnych — sprostowań. Po pierwsze, nie brałem autobusu na ręce, tylko go uniosłem, czego przy pewnym treningu może dokonać każdy człowiek. Po wtóre, w autobusie nie było pasażerów, którzy stali z boku, ponieważ w żadnym razie nie ryzykowałbym zdrowia ludzi.

Przyjaciele i sąsiedzi patrzyli z przyjemnością na niedawnego wyrostka, który biegał po podwórku i kąpał się w rzece, a teraz, po uzyskaniu wykształcenia i odbyciu stażu za granicą, nie utracił dawnej skromności i powrócił do rodzinnych penatów.

— I w jakiej to specjalności odbywałeś tam staż? — zapytał wąsaty Grubin, sąsiad z dołu, kiedy na stół wjechała herbata i pieróg.

— Przyjacielskie Indie — odparł Borowkow — umożliwiły mi dwuletnie studia u pewnego znanego fakira” pustelnika i jogina, guru Kumarasvami.

— No i jak? Wykazałeś się?

— Staralem się — odparł wstydliwie Garik — nie zawieść pokładanego we mnie zaufania.

— Nie bądź taki skromny! — wtrącił Korneliusz Udałow. — Pewnie byłeś najwybitniejszym z uczniów!

— Nie, byli wybitniejsi — odparł Borowkow — chociaż guru czasami nazywał mnie najukochańszym uczniem. Może dlatego, że mam niezłe przygotowanie ogólne.

— A jak tam z wyżywieniem? zainteresowała się Ksenia Udałowa.

— Odżywialiśmy się mlekiem i jarzynami. Do tej pory w ogóle nie spożywam mięsa.

— Bardzo mądrze — powiedziała Ksenia. — Ja też nie używam mięsa. Dla diety.

Borowkow uprzejmie przeczekał, a następnie obrócił się do Udałowa, który zadał mu następujące pytanie:

— Niedawno u nas w prasie była dyskusja o tym, czy jogowie są pozytywni, czy to mistyka?

— Mistyka na świecie w ogóle nie występuje — odparł Borowkow. — Cały problem tkwi w mobilizacji zasobów ciała ludzkiego. Bywa to niebezpieczne, gdy takimi rzeczami zajmują się szarlatani i niedouki. Jednakowoż głębokie korzenie mądrości ludowej, biorące swój początek w Rigwedzie, wymagają pogłębionych studiów.

Po czym Garik z uczuciem zadeklamował w języku staroindyjskim kilka strof poematu „Mahabharata”.

— A na głowie potrafisz stanąć? — zapytał niezmordowany w swej dociekliwości Udałow.

— A jakżeby inaczej! — wykrzyknął Garik i od razu” lekko wsparłszy się dłońmi o krawędź stołu, podrzucił nogi do góry, stanął na głowie, zaparł się stopami o sufit i dalszą rozmowę ze swymi bliskimi prowadził w takiej niewygodnej dla zwykłego człowieka pozycji.

— To wszystko jest dla nas jasne, o tym czytaliśmy — powiedział Grubin, patrząc na Borówkova z ukosa. — A jakie korzyści twoja wiedza przynosi gospodarce narodowej?

— Właśnie pracujemy nad tym zagadnieniem — odparł Borowkow, zwinął wargi w trąbkę i napił się herbaty bez pomocy rąk. Potem opuścił prawą rękę i wziął czereśnię z wazy. — Otwierają się poważne możliwości. Drobnym przykładem, który zademonstrowałem na oczach towarzysza Udałowa, jest najlepszym tego dowodem. Każdy może się wewnętrznie zmobilizować i dokonać tego, co wydaje się ponad ludzkie siły.

— Wspomina, jak podniósł autobus — stwierdził Udałow i wszyscy zgodnie pokiwali głowami.

— Mógłbyś się, Garik, odwrócić i usiąść — powiedziała stara Łożkina. — Krew cię zaleje.

— Dziękuję, postoję — odparł Garik.

Rozmowa przy stole potoczyła się dalej i wszyscy obecni stopniowo przyzwyczaili się do tego, że Borowkow znajduje się w zupełnie odmiennej pozycji. Młodzieniec tymczasem opowiadał o kontrastach społecznych w Indiach, o tamtejszym życiu, o pomnikach kultury, o hipnozie, hathajodze, i radzajodze. Goście rozeszli się bardzo późno, niezmiernie zadowoleni z przyjęcia.

A następnego dnia rano Borowkow wyszedł na podwórko już w sportowej koszulce i dzinsach, przez co wydawał się swój, guslarski. Udałow, przygotowując się do pójścia na służbę, wyjrzał przez okno, zobaczył, jak Borowkow wykonuje jakieś ruchy rękami i wyszedł z domu.

— Dzień dobry, Garik powiedział, siadając na ławce. — Co robisz?

— Dzień dobry — odparł Garik — trenuję myśl i palce. Muszę nieustannie trenować, jak

wykonawca utworów na instrumentach muzycznych, gdyż w przeciwnym razie mięśnie utracą formę.

— Słusznie — zgodził się Udałow. — Chciałbym cię zapytać o taką rzecz: zdarzyło mi się czytać, że niektórzy fakirzy w Indiach potrafią obłąskawiać dzikie kobry. Dźwiękiem melodii na fujarce mianowicie. Jak ty na podstawie własnego doświadczenia przypuszczasz, oni to naprawdę robią, czy oszukują?

Pewnie mógłby wymyślić jakieś lepsze, mądrzejsze pytanie, ale chciał o coś zapytać, więc palnął pierwszą rzecz, która mu przyszła do głowy. I gdyby nie zapytał o żmije, może by się wszystko lepiej skończyło.

— Istnieje opinia, że dźwięki muzyki istotnie działają hipnotycznie na kobry — odpowiedział skwapliwie Borowkow. — Ale najczęściej fakirzy wrywają im zęby jadowe.

— Nie zdarzyło mi się nigdy widzieć kobry — zmartwił się Udałow, zaczesując białawe włoski na łysinę. — Ona ma imponującą wielkość?

— Mniej więcej taką — powiedział Borowkow i zmarszczył czoło. Milczał chyba z pół minuty, a potem Udałow spostrzegł, że na piasku, o jakiś metr od nich, pojawiła się zwinięta w pierścień wielka żmija.

Żmija rozwinęła się, uniosła głowę i rozdeła szyję, a Udałow podkurczył nogi na ławkę i zaciekał się:

— Nie ugryzie?

— Nie, Korneliuszu Iwanowiczu — powiedział młodzieniec. — Żmija jest pozorna. Przecież wczoraj o tym opowiadałem.

Kobra tymczasem podpełzła bliżej. Borowkow wyjął z kieszeni dżinsów fujarkę, przystawił ją do warg i odtworzył nie znaną Udałowowi prostą melodię, od czego żmija zaprzestała pełzania, uniosła głowę jeszcze wyżej i zaczęła się kołysać w takt muzyki.

— I to też mi się wydaje? — zapytał Udałow.

Borowkow, nie przestając grać, kiwnął głową. Ale akurat wtedy na podwórku pokazała się z siatką na zakupy w ręku obywatelka Gawriłowa z sąsiedniej oficyny.

— Żmija! — wrzasnęła straszliwym głosem i rzuciła się do ucieczki. Żmija wystraszyła się krzyku i popęzła w kierunku kępy bzów z wyraźnym zamiarem ukrycia się w ich gąszczu.

— Zniknij ją — zwrócił się Udałow do Borówkowa, nie opuszczając nóg na ziemię.

Młodzieniec zgodził się, oderwał fujarkę od warg i machnął nią w powietrzu. Fujarka znikła, a i żmija przestała być widoczna, choć Udałow nie potrafił powiedzieć, czy znikła w ogóle, czy tylko schowała się w krzakach.

— Głupio wyszło — powiedział Garik, muskając wąsiki. — Nastraszyliśmy kobietę.

— Tak. Głupio. Ale przecież to tylko pozór?

— Pozór — zgodził się Borowkow. — Pozwoli pan, Korneliuszu Iwanowiczu, że pana kawałek odprowadzę? Przy okazji przejdę się po mieście.

— Doskonale — powiedział Udałow. — Tylko wezmę teczkę.

Wyruszyli razem na poranne ulice. Udałow zadawał pytania, a Garik wyczerpująco na nie odpowiadał.

— A ta hipoteza działa na wiele ludzi?

— Prawie na wszystkich.

— A jeśli ludzi jest dużo?

— Też działa. Już o tym opowiadałem.

— Słuchaj! — Udałowowi przyszła do głowy niespodziewana myśl. — Aż autobusem też była hipnoza?

— Ależ co pan? — powiedział Garik. — Przecież kierowca wymienił koło?

— Słusznie, wymienił.

Udałow zamyślił się.

— Powiedz mi, Garik — zapytał — ten pozór można wykorzystać?

— Jak?

— No, przypuścimy, w warunkach bojowych do celów kamuflażu. Sugerujesz faszystom, że przed nimi płynie nieprzebyta rzeka, więc się wycofują. A w rzeczywistości rozpościera się przed nimi spokojne miasto.

— Teoretycznie jest to możliwe, ale żeby zahipnotyzować faszystów, trzeba koniecznie zbliżyć się do nich...

— Zaproponuję wobec tego coś innego. Teatr. Pozorny efekt. Hipnotyzujesz widzów, a im się wydaje, że burza na scenie jest prawdziwa, nawet deszcz pada, a wszyscy czują się zmoknięci.

— To można zrobić — zgodził się Borowkow.

— Albo też — tu Udałow przeszedł już do zagadnień produkcyjnych — niedoróbki w domu, który mam zdawać. Przychodzi komisja, ty ją dla mnie hipnotyzujesz i wszystkim członkom wydaje się, że dom jest jak cacuszko, po prostu z importu.

— Dom to trochę dużo — powiedział ukochany uczeń fakira. — Mój nauczyciel zdołał kiedyś odtworzyć Tadž Mahal, wielki pomnik przeszłości Indii. Ale wymagało to niesłychanego napięcia umysłu i duszy. Do tej pory jeszcze niezupełnie wrócił do siebie. A nam, uczniom, wolno materializować przedmioty o średnicy nie przekraczającej metra.

— Ciekawe — powiedział z powątpiewaniem Udałow. — Ale ja po prostu żartowałem. Nikogo nie zamierzam wprowadzać w błąd. Pozostawmy to zamydlaczom oczu.

— Ja zaś — poparł go delikatnie Borowkow — nawet przy całym szacunku, jaki dla pana żywię, nie chciałbym udzielać pomocy w takich sprawach.

W chwilę potem, po drodze, miał miejsce jeszcze jeden incydent, który umocnił wiarę Udałowa w możliwości Garika.

Ulicą z przeciwka szło zasmarkane do pasa dziecko, które głośno rozpaczało z powodu utraconej piłki.

— Jaką miałeś piłkę, chłopczyku? — zapytał Borowkow.

— Niebieskąaaa! — i dziecko zapłakało jeszcze głośniej.

— Taką? — zapytał Borowkow i ku zdziwieniu chłopczyka oraz Udałowa natychmiast stworzył średniej wielkości niebieską piłkę, która podskoczyła i opadła chłopcu pod nogi.

— Nie taką! — ryknęło dziecko. — Moja była duużaa!

— Duża? spytał wcale nie speszony Borowkow. — Będzie duża. I natychmiast w powietrzu pojawiła się kula o średnicy dziesięciokilogramowego arbuza. Kula wisiała chwilę nieruchomo, a potem leniwie opadła na ziemię.

— Taka? — zapytał Borowkow czułym głosem, gdyż niezmiernie lubił dzieci.

A Udałow dostrzegł tymczasem dziwną iskierkę w sprytnych oczach dziecka, które natychmiast wyschły — chłopczyk postanowił wykorzystać czarodzieja.

— Moja była większa! — wrzasnął. — Moja była ze złotymi gwiazdkami. Moja była jak dom!

— Postaram się — powiedział potulnie Borowkow. — Ale moje możliwości są ograniczone.

— Bachor kłamie — powiedział Udałow z przekonaniem w głosie. — Takich piłek w naszym domu towarowym nigdy nie było. Gdyby były, od razu by się ustawiła po nie kolejka! Takich piłek w ogóle przemysł nie produkuje.

— A mnie tatuś z Moskwy przywiózł — powiedziało dziecko trzeźwym głosem handlowca. — Tam takie sprzedają.

— Nie — upierał się Udałow. — Normy państwowe nie pozwalają wytwarzać takich wielkich

piłek i z importu też się takich nie sprowadza. Można przecież czymś takim niechcący kogoś zatłuc.

— Sądzi pan? — zapytał Borowkow. — Bo ja, jak pan wie, przez dwa lata byłem oderwany...

— Oddaj moją piłkę! — zakomenderowało dziecko. Borowkow zmarszczył bardzo silnie czoło i obok chłopczyka pojawiła się kula o średnicy przekraczającej nawet metr. Była błękitna i usiana złotymi gwiazdkami.

— Taka się nada? — zapytał Borowkow.

— Taka? — Chłopczyk zmierzył piłkę wzrokiem i powiedział niezbyt pewnie: — A moja była większa. I gwiazd na niej też było więcej...

— Chodźmy, Garik — oburzył się Udałow. — Zdejmij z niego hipnozę. Niech zostanie bez piłek.

— Nie trzeba — powiedział Borowkow, patrząc z wyrzutem na chłopczyka usiłującego objąć piłkę i ruszył za Udałowem.

— A oto i mój obiekt — powiedział Korneliusz. — No i jak, podoba ci się?

Borowkow odpowiedział nie od razu. Dom, zbudowany przez przedsiębiorstwo, którego szefem był Udałow, zdecydowanie nie należał do najpiękniejszych w mieście. I z pewnością Garik Borowkow widział staranniej zbudowane domy zarówno w Bombaju i Delhi, jak i w Moskwie i Paryżu. Był to jednak młodzieniec dobrze wychowany i dlatego jedynie westchnął, a Udałow powiedział:

— To wszystko przez kooperantów, którzy dostarczali złych materiałów. Ale co im można zrobić?

— Tak, tak, naturalnie — zgodził się Borowkow.

— Wejdziemy? — zapytał Udałow.

— Po co?

— Obejrzyj sobie wnętrza. Akurat za chwilę ma przyjść komisja odbiorcza.

Borowkow nie odważył się odmówić i ruszył za sprytnym Korneliuszem Iwanowiczem, który naturalnie postanowił spożytkować jego talent w pewnej skomplikowanej sprawie.

— Popatrz — zwrócił się do młodzieńca, wprowadzając go do łazienki parterowego mieszkania. — Jak tutaj ludzie będą mieszkać?

Borowkow rozejrzał się. Łazienka przypominała prawdziwą. Było w niej wszystko, co potrzeba: umywalka, miska klozetowa, wanna i nawet glazura, tyle że niezbyt równo ułożona.

— Czego brakuje? — zapytał Udałow.

— Jak to brakuje?

— Kranów brakuje, młody człowieku, kranów! — odpowiedział Udałow. — Dostawcy nas oszukali. Powiadają, że nie złożyłem na czas zamówienia. A komisja zaraz przyjdzie. I kto na tym ucierpi? Ucierpi twój sąsiad i niemal krewny Korneliusz Udałow, na którym wszystkie psy powieszą.

— Szkoda — powiedział z wielkim przejęciem Borowkow. — Ale jeszcze bardziej ucierpią ci, którzy tu będą mieszkać.

— Im nie będzie tak źle — westchnął Korneliusz Iwanowicz. — Im w końcu wszystko założą, i krany, i uszczelki. Oni zaczną pisać, awanturować się i krany się znajdą. A mnie już nic nie uratuje. Komisja nie przyjmie domu — i premię diabli wzięli! Nie o siebie się zresztą troszczę, tylko o moich współpracowników, o tych na przykład glazurników, którzy nie szczędząc zdrowia starali się ukończyć robotę w terminie.

Borowkow milczał i najwidoczniej bardziej współczuł przyszłym mieszkańcom domu niż Udałowowi. A Udałow czuł, jak rośnie w nim pokrewieństwo duchowe z chłopczykiem, który

wyprosił piłki od Borówkowa. Zewnętrznie łkał i rozpaczał, ale od środka wzbierało w nim radosne oczekiwanie, gdyż Borowkow był człowiekiem miękkim i dlatego skazanym na kapitulację, — Powiedz, czy nie mógłbyś dla czystego eksperymentu przedstawić zaworu czerpalnego? — zapytał Udałow.

— Po co? — odpowiedział pytaniem Borowkow. — Przecież nie wolno oszukiwać ludzi. Chyba że dla żartu?...

Głęboko westchnął, jak człowiek robiący coś wbrew swojej woli, i w miejscu, gdzie powinien być kran, ukazał się miedziany kran w kształcie rybki z otwartym pyszczkiem. Widocznie takie krany Borowkow widywał w Indiach.

— Nie — powiedział Udałow, zupełnie jak chłopczyk od piłek. — Kran jest niedobry. Nasze krany są zwyczajne, bez fintifluzzków. Jak u twojego wujka. Pamiętasz?

Borowkow zniweczył wizerunek wytwornego kranu i na jego miejscu umieścił wizerunek standardowego zaworu czerpalnego.

Udałow podszedł bliżej i, bojąc się nawet dotknąć kranu, sprawdził starannie, czy kran jest przytwierdzony do odpowiedniej rury. Jego obawy potwierdziły się: kran nie był do niczego przymocowany i każdy członek komisji natychmiast by to zauważył.

— No nie, ty tylko spojrzysz tutaj! — powiedział Udałow głosem pełnym oburzenia. — Czy tak się instaluje zawory?... Partacz z ciebie, Garik, daję słowo. Jak woda ma z niego płynąć, jeśli on nie jest przykręcony do rury?

Borowkow poczuł się głęboko dotknięty.

— Co znaczy, że nie popłynie? — I natychmiast z kranu, do niczego nie przymocowanego, trysnął strumień wody.

— Stój! — krzyknął Udałow. — Wody jeszcze w ogóle nie ma. Dom nie został podłączony do sieci. Świnie chcesz mi podłożyć?

— Mogę puścić nawet gorącą! — wykrzyknął podniecony tą całą zabawą Borowkow. Woda zmętniała i zaczęła parować.

— Daj spokój z tymi hipnotyzerskimi sztuczkami — powiedział Udałow surowym tonem. — Mówię ci to z pozycji starszego towarzysza. Zamknij wodę i zostaw krany w spokoju.

W tym momencie do łazienki wtargnął młody człowiek pokryty od stóp do głów tynkiem. Czuprynę przykrywał kapelusz z gazety, przypominający trójgraniasty kapelusz Napoleona.

— Idą! — krzyknął zdławionym głosem. — Co to będzie, co to będzie!

— Garik! — zakomenderował Udałow. — Za mną! Za późno już na gadanie. Trzeba ratować sytuację.

I wyszli naprzeciw komisji.

Komisja stała przed domem na podwórku, którego urządzenie jeszcze nie zakończono, i oglądała obiekt z zewnątrz. Udałow ruszył ku niej jak gościnny gospodarz. Przewodniczący komisji, Iwan Andriejewicz, mężczyzna od dawna mu już znajomy, paskudny, czepialski i w ogóle nieubłagany, powiedział, podając Korneliuszowi rękę:

— Źle budujesz. Niechlujnie.

— Czy ja wiem — ostrożnie zaoponował Udałow, ściskając podaną mu rękę — czy ja wiem? Katarzyna... — zająknął się i natychmiast poprawił — to znaczy przedstawicielka Rady Miejskiej Katarzyna Pawłowna orientuje się doskonale w naszych przejściowych trudnościach. — Po czym zmarszczył czoło, demonstrując w ten sposób usilną pracę myślową.

— Znasz całą komisję — powiedział przewodniczący. — Może tylko Wietługiny dotąd nie spotkałeś.

I wskazał Udałowowi czarnooką dziewczynę w jersejowym kostiumiku, która w czasie przymusowego postoju autobusu spletała wianek z dmuchawców i uwieńczyła nim głowę

Borówkowa. Dziewczyna posiadała męski zawód technika sanitarnego. Borowkow też ją poznał i zaczerwienił się, a ona również z lekka się zaróżowiła, gdyż obecnie była osobą urzędową i nie chciała, aby przypomniano jej o romantycznych porywach serca.

Zapytała tylko Borówkowa:

— Pan także jest budowlanym?

A on odpowiedział:

— Nie, towarzysz Udałow zaprosił mnie tylko na ogłędziny domu.

— No — Udałow uniósł się na palcach, aby dosięgnąć wargami ucha Garika — albo ratujesz, albo mnie, sam rozumiesz...

Borowkow ponownie westchnął, musnął wąsiki i posłusznie ruszył za dziewczyną w głąb domu. Udałow postanowił nie zostawać w tyle ani na krok. Co tam reszta komisji, skoro największym niebezpieczeństwem jest technik sanitarny!

Zaczęli ogłędziny od mieszkania, w którym Borowkow już puszczał wodę. Kran był na miejscu, ale nie podłączony do rury wodociągowej.

Dziewczyna doświadczonym wzrokiem fachowca oceniła elegancję i jakość wykonania zaworu, ale zaraz podejrzliwie zerknęła na jego odwrótny koniec. Udałow jęknął w duchu. Borowkow wyczuł to i natychmiast od kranu wyrosła stosowna rura, a technik sanitarny Wietługina uniosła ze zdumienia brwi, podobne do odwróconych mew narysowanych przez słuchaczy przedszkola. Nie miała się jednak do czego przyczepić, więc przeszła do kuchni. Udałow uszczypnął Borówkowa i Garik, nie odrywając wzroku od Wietługiny, stworzył zawór również tam. Tak wędrowali z mieszkania do mieszkania i wszędzie Borowkow hipnotyzował Wietługinę lśnącymi kranami, a Udałow bał się, że technik sanitarny zechce sprawdzić, czy krany dobrze działają, bo gdy jej paluszki przejdą przez nie istniejące części metalowe, wybuchnie ogromna awantura.

Ale jakoś się udało. Sytuację uratował Borowkow. Wietługina zbyt często kierowała ku niemu promienny wzrok, a Borowkow zbyt często szukał jej spojrzenia, aby dziewczyna mogła rzetelnie wykonywać obowiązki członka komisji odbiorczej.

Wyszli wreszcie na klatkę schodową i zatrzymali się na podeście ostatniego piętra.

— Wietługina, u ciebie wszystko w porządku? — zapytał Iwan Andriejewicz.

— Prawie — odpowiedziała dziewczyna patrząc na Garika.

Udało się — pomyślał Udałow. — Zaćmiliśmy jej wzrok razem z Borowkowem!

— A dlaczego prawie? — zapytał Iwan Andriejewicz.

— Nie ma kranów — powiedziała dziewczyna i te słowa zabrzmiały dla Udałowa jak złowieszczy grom z jasnego nieba. Poczuł, jak wzbiera w nim nienawiść. Tysiące ludzi całkiem naukowo poddają się hipnozie, a ta wiedźma nie ma życzenia się poddawać!

— Jak to nie ma kranów? — oburzył się Korneliusz Iwanowicz. — Przecież pani widziała. Wszyscy widzieli! I członkowie komisji widzieli. I Iwan Andriejewicz osobiście widział.

— To tylko sama fikcja i pozór materializacji — powiedziała smutnym głosem dziewczyna. — I ja wiem, czym to jest dziełem.

Patrzyła na Borówkowa zaczarowanym wzrokiem, a Garik milczał.

— Wiem, że ten oto towarzysz — kontynuowała podstępna dziewczyna, nie spuszczać oczu z Borówkowa — przebywał w Indiach na wymianie naukowej i nauczył się tam hipnozy i fakirskich sztuczek. Przy mnie już wczoraj udał, że podnosi autobus za tylne koła, a on tylko nas zahipnotyzował. Moja babcia była wczoraj w gościach u Łożkinów i tam wszystkim wydawało się, że on przez cały wieczór stał na głowie i pił herbatę...

A Borowkow milczał.

No teraz zrazisz się do niej za swoją hańbę! — pomyślał z nadzieją Udałow. Owładnęło nim

mściwe uczucie: on sam już przepadł z kretesem, więc niechaj teraz zginie cały świat, jak rozumowali francuscy królowie w okresie absolutyzmu.

— Idziemy — powiedział surowo Iwan Andriejewicz. — Przejdziemy wszystko od początku, ty oszuście. Zawsze podejrzewałem, Udałow, że już od dawna powinieś gnić w więzieniu, a teraz owe podejrzenia wreszcie się zmaterializowały.

Borowkow milczał.

— A tego młodzieńca — kontynuował Iwan Andriejewicz — który za granicą liźnął obcych nam prądów, też przywołamy do porządku... Proszę wyjść na dwór — zwrócił się do Borówkova — i nawet nie próbować zajrzeć ponownie do domu!

— Słusznie — powiedziała omdlewającym tonem podstępna Wietługina. — Bo inaczej wszystkich nas znowu zahipnotyzuje.

— Może i domu nie ma? Trzeba sprawdzić — powiedział Iwan Andriejewicz.

— Nie — odparła Katarzyna z Rady Miejskiej. — Dom stał wcześniej, budowali go na naszych oczach, a ten młodzieniec dopiero wczoraj do nas zawitał.

Guslar jest miastem niewielkim i nowiny rozchodzą się w nim niemal w mgnieniu oka.

Udałow włókł się w ogonie komisji. Czuł się jak skazaniec. Nabrzmiwały kłopoty w skali ogólnodzielnicowej. Pomyślał nawet, że w jego wieku jeszcze nie jest za późno rozpocząć nowe życie i pójść na budowę w charakterze tynkarza, od którego to stanowiska Korneliusz Iwanowicz rozpoczął niegdyś swoją drogę ku szczytom władzy. Ale co na to powie żona!...

— Pokażcie wasze rzekome krany — powiedział Iwan Andriejewicz, wchodząc do pierwszego mieszkania.

Udałow nie wszedł do łazienki. Został w pokoju i zbliżył się do okna. Na podwórku Borowkow kreślił coś w zadumie patykiem na piasku.

I po co ja go zaplątałem w tę całą sprawę? — zasmucił się Udałow, po czym jego myśl pobiegła ku koncepcji, że nieźle byłoby żyć na świecie bez kobiet.

Za cienką ścianą działową rozlegały się podniecone głosy. Nikt nie wychodził z łazienki i wszystko wskazywało na to, że coś się tam stało. Udałow zrobił dwa kroki i zajrzał do środka przez ramię Katarzyny z Rady Miejskiej. Cały skład komisji z ogromnym trudem mieścił się w łazience. Wietługina siedziała na krawędzi wanny, a Iwan Andriejewicz macał kran i jego palce w nic się nie zapadały.

— Coś ci się pomyliło — powiedział Iwan Andriejewicz do Wietługiny.

— To i tak jedynie pozór — upierała się zmieszana Wietługina, gdyż wychodziło na to, że oczerniła i Udałowa, i Garika, i całą fakirską naukę.

— A jaki to pozór, jeżeli on jest twardy? — zdziwił się Iwan Andriejewicz.

— Prawdziwy — pospieszył z potwierdzeniem Udałow.

— No to niech powie, kiedy i skąd dostał zawory czerpalne — wpadła na nowy pomysł uparta Wietługina. — Niech komisja sprawdzi to w dokumentach!

— Dziecinne gadanie — powiedział Udałow, który poczuł, że znów stoi na pewniejszym gruncie. — Czy ja bym krany kupował na bazarze za własne ciężko zapracowane pieniądze?

Tu już Iwana Andriejewicza zawiodła cierpliwość.

— Ty, Wietługina, jesteś jeszcze fachowiec młody, i nie jest dobrze, że swoją karierą zawodową zaczynasz od oczerniania naszych zasłużonych starszych towarzyszy.

I zamaszystym gestem wskazał głowę Udałowa, która wyglądała zza ramienia Katarzyny.

— Słusznie, Iwanie Andriejewiczu — Udałow bez najmniejszych wyrzutów sumienia przyłączył się do opinii przewodniczącego komisji. — My tu pracujemy, wszyscy starają się jak najlepiej wykonywać swoje obowiązki, a tymczasem pewni towarzysze zajmują się z

upodobaniem rozpowszechnianiem niesprawdzonych pogłosek.

Wietługina, czerwona jak piwonia, wybiegła z łazienki, a Udałow błogosławił los za to, że Borowkow jest na dworze i nic nie widzi. Jego miękkie serce z pewnością nie wytrzymałoby tego widoku.

Korneliusz Iwanowicz postarał się jak najszybciej wyprowadzić komisję z domu, gdyż w takich delikatnych sytuacjach nigdy nie wiadomo, jaki obrót może sprawą przybrać za pięć minut. I w ostatniej chwili wszystko rzeczywiście omal nie zawaliło się przez nadmierny perfekcjonizm Borówkowa, gdyż Iwan Andriejewicz machinalnie odkręcił kran, z którego trysnął strumień gorącej wody. Iwan Andriejewicz naturalnie od razu zakręcił zawór, wyszedł z łazienki, ale już na schodach zatrzymał się raptownie i zapytał z niejakim zdziwieniem:

— Co to, woda też już jest podłączona?

— Nie, została w rurach po próbie ciśnieniowej.

Udałow patrzył na przewodniczącą komisji wzrokiem niewinnym i naiwnym.

— A dlaczego jest gorąca? — zapytał przewodniczący.

— Gorąca? A ona była gorąca?

— Gorąca — potwierdziła Katarzyna z Rady Miejskiej. — Sama to obserwowałam.

— Widocznie nagrzała się od słońca. Pod dachem.

Iwan Andriejewicz spojrział na Udałowa nieco ogłupiałym wzrokiem, machnął ręką i burknął:

— Sami fakirzy się tu zebrali!...

Akurat w tym momencie wyszli z bramy i ujrzeni technika sanitarnego Wietługinę, łkającą na ramieniu Borówkowa.

— Idziemy — powiedział Iwan Andriejewicz. — Do biura. Sporządzimy protokół. Katarzyno Pawłowna! Zawołaj Wietługinę... Każdy potrafi krzyżeć, a jak go tylko skrytykują, od razu w bek...

Kiedy wszystkie papiery zostały już rozłożone i Katarzyna, która miała najładniejszy charakter pisma, zaczęła wypełniać pierwszy blankiet, Korneliusz Iwanowicz nagle przeprosił zebranych i zaniepokojony wybiegł na dwór do Garika.

— Ale krany zostaną? — zapytał. — Krany nigdzie nie znikną? Przyznaj się, to nie jest hipnoza?

— Krany zostaną. Przecież mieszkańcy muszą coś pić i w czymś myć się! Bo przy pańskiej, Korneliuszu Iwanowiczu, zapobiegliwości musieliby biegać z wiadrami po wodę do studni.

— Aha! To znaczy, że krany są prawdziwe?

— Najprawdziwsze.

— A skąd się wzięły? Może to idealizm?

— Nic podobnego — zaproponował Borowkow. — Nie ma w tym żadnego idealizmu. Po prostu należy szukać natchnienia w mądrości ludowej i znajdować w niej racjonalne ziarno.

— Jeśli to materializm, skąd wobec tego wziął się metal? Gdzie prawo zachowania materii? Jesteś pewien, że krany nie zostały skradzione, że nie przeniosłeś ich tutaj siłą woli z gotowego domu?

— Absolutnie — odparł Borowkow. — Nie przeniosłem. Ile metalu znalazło się w kranach, tyle zniknęło go z wnętrza Ziemi. Ani mniej, ani więcej.

— A ty — w oczkach Udałowa znów pojawił się dziecięcy błysk: zapragnął jeszcze jednej piłki, znacznie większej — ty jednak nie mógłbyś stworzyć domu?

— Mówiłem już, że nie mogę. Mój nauczyciel guru Kumarasvami raz zdołał, ale potem leżał cztery lata w kompletnej prostracji i prawie nie oddychał.

— Duży ten dom był?

— Też już mówiłem! To było mauzoleum Tadż Mahal w mieście Agra.

Znad rzeki wionął wietrzyk i zmierzwił rzadziutkie włoski Udałowa, więc Korneliusz Iwanowicz sięgnął do kieszeni po grzebień.

— Wietługinie się przyznałeś?

— Nie, przekonałem ją, że umiem podnosić ciężary, stać na głowie i spać na gwoździach, ale nie potrafię niczego zmaterializować.

I dodał z przekonaniem w głosie:

— A w ogóle to spodobałem się jej z zupełnie innych powodów.

— Pewnie, że z innych — zgodził się Udałow. — To wcale jej się nie spodobało, bo to dziewczyna z zasadami. Tak więc w przyszłości nie ma co na ciebie liczyć?...

— W żadnym wypadku.

— No, dzięki i za to, co dla mnie zrobiłeś. Gdzie ja podziałem grzebień?

I natychmiast w jego rękę pojawił się grzebień z rzeźbionego szylkretu.

— To dla pana na pamiątkę ode mnie — powiedział Garik, siadając na betonowej rurze, gdyż musiał przygotować się na długie oczekiwanie na Tanie Wietługinę.

— Dziękuję — powiedział Udałow, doprowadził łysinę do oficjalnego wyglądu i poszedł do biura.

RETROGENETYKA

Cudowny majowy dzień zakończył się niewielką wzorcową burzą z kilkoma pięknymi błyskawicami, malowniczym blaszanym grzmiotem, pięciominutową ulewą i miłą świeżością w powietrzu wypełnionym aromatem bzów. Miasto powiatowe Wielki Guslar tonęło z rozkoszą w tej świeżości i w tych zapachach.

Emeryt Mikołaj Łóżkin wyszedł na kędzierzawe od młodej zieleni, czyste i nawet w jakiejś mierze po wiosennemu kokieterijne podwórze z wielką księgą w rękach. Po podwórku spacerował tęgi, łysy mężczyzna — profesor Lew Chrystoforowicz Minc, który przyjechał do spokojnego Wielkiego Guslaru dla poratowania zdrowia nadszarpniętego wytężoną działalnością naukową.

Mikołaj Łóżkin lubił porozmawiać z profesorem na tematy umysłowe, czasami nawet podyskutować z nim, ponieważ sam również uważał się za znawcę natury.

— Co pana teraz pasjonuje — zapytał profesor. — Cóż to za książkę z taką miłością tuli pan do piersi?

— Zafascynowała mnie antropologia — odparł Łóżkin. — Interesują się problemem pochodzenia człowieka od małp.

— No i jak, odkryto w tym zakresie coś nowego?

— Obawiam się, iż nauka znalazła się w ślepych zaułku — poskarżył się Łóżkin. — Ludziska tyle najrozmaitszych rzeczy wykopali, ale nie dokopali się najważniejszego: jak, gdzie i kiedy małpa przekształciła się w człowieka.

— Tak, ten moment jest bardzo trudno uchwycić — zgodził się z nim Minc. — A może w ogóle go nie było?

— Musiał być — powiedział Łóżkin tonem pełnym najgłębszego przekonania. — To niemożliwe, aby takiego momentu nie było. Bo wie pan, jak to jest? Wykopią gdzieś w Indonezji albo w innej Afryce pojedynczy prehistoryczny ząb i zaczynają się zastanawiać, kto go zgubił, człowiek czy małpa. Jeden powiada — „człowiek” i nazywa tego człowieka powiedzmy preantropem. A inny zerknie na ten sam ząb i mówi: „Nie, to jest ząb małpi i należy, rzecz jasna, do prepiteka”. Wydawałoby się, że nie ma żadnej różnicy, bo i tak nikt nic nie wie... Ale chodzi o zasadę!

Minc pochylił mądrą, łysą głowę, skrzyżował ręce na krągłym brzuszku wypełniającym szczelnie marynarkę i zapytał surowym tonem:

— I coż pan proponuje?

— Nie mam najmniejszego pojęcia — wyznał Łóżkin. — Trzeba by tam zajrzeć. Ale jak? Przecież wygląda na to, że podróże w czasie są niemożliwe.

— Brednie — zachnął się Minc. — Kiedy spróbowałem zbudować maszynę czasu, dotarłem do dnia wczorajszego i tam już zostałem.

— Niemożliwe! — wykrzyknął Łóżkin. — Wziął pan i został?

— Wziąłem i zostałem — potwierdził Minc.

— A w jaki sposób ja pana obserwuję?

— Złudzenie optyczne. Co dla pana jest dzisiaj, to dla mnie wczoraj — odpowiedział zagadkowo Minc.

— To znaczy, że nie ma żadnej nadziei?

Profesor zamyślił się głęboko i nie odpowiedział.

W jakieś trzy dni później Minc spotkał Łóżkina na ulicy.

- Słuchajcie, Łożkin powiedział. — Jestem panu bardzo wdzięczny.
- Za co? — zdziwił się Łożkin.
- Za wspaniałą ideę.
- No cóż — odparł Łożkin, który nie odznaczał się nadmierną skromnością — na zdrowie.

Nie jestem skąpy.

- Odkrył pan nowy kierunek w biologii!
- Jaki? — zainteresował się Łożkin.
- Odkrył pan genetykę na odwrót.
- Proszę to wyjaśnić — zażądał Łożkin oficjalnym tonem.
- Pamięta pan naszą rozmowę o brakującym ogniwie, o pochodzeniu człowieka?
- Jak niby miałbym zapomnieć!
- A więc zapewne pamięta pan również o swym pragnieniu, by zajrzeć w mroki dziejów i odnaleźć moment przekształcenia małpy w człowieka?

— Pamiętam.

— Wtedy zacząłem się zastanawiać, czym właściwie jest życie na Ziemi. I sam sobie odpowiedziałem: nieprzerwanym łańcuchem zmian genetycznych. Oto wśród ameb zjawiał się szczęśliwy mutant, który szybciej od innych pływał w praoceanie lub też miał szerszą gębę... Ten mutant miał żarłoczne i żwawe potomstwo. Wnuk tej ameby spotkał okrutnie żarłoczną amebicę i w ten sposób uczynił kolejny krok na drodze ewolucji. W ten sposób to biegło, aż do człowieka. Wyczuwa pan więź czasu?

— Wyczuwam — odrzekł Łożkin i dodał: — W rozmowie ze mną nie musi pan uciekać się do uproszczeń.

— Znakomicie. My, ludzie, aktywnie ingerujemy w ten proces. Podpatrzyliśmy, jak to robi natura, i zamiast niej dokonujemy krzyżówek, przeprowadzamy dobór, tworzymy nowe odmiany pszenicy i wysokomlecznego bydła. Słowem, własnoręcznie kontynuujemy ewolucję.

— Kontynuujemy — zgodził się Łożkin. — Ja na przykład w chwilach wolnych od innych zajęć zamierzam wyhodować szybko rosnący parkan.

— Gratuluję. Zawsze ma pan jakieś nowe pomysły. No więc po rozmowie z panem zacząłem się zastanawiać, czy zawsze naśladowanie natury jest słuszne. Natura jest ślepa i zna tylko jedną drogę — naprzód — bez względu na to, czy jest dobra, czy zła.

— Droga naprzód jest zawsze postępową — zauważył Łożkin.

— Bardzo subtelna uwaga. A co będzie, jeśli zakłócić ten porządek? Odwrócić wszystko do góry nogami? Zapytał pan: jak można by zobaczyć brakujące ogniwo? Odpowiadam — rozplatać łańcuch dziedziczności. Puścić ewolucję do tyłu i zagłębiając się w historię dotrzeć do jej źródeł.

— I bez tego mamy co robić — zaproponował Łożkin.

— A perspektywy? — zapytał profesor, mrużąc znacząco oczy i pochylając głowę.

— To nie są perspektywy, tylko retrospektywy — powiedział Łożkin.

— Wspaniale! — wykrzyknął Minc. — Czym posługuje się genetyka? Krzyżowaniem i doбором. Naszą nową naukę nazwiemy wobec tego retrogenetyką. Retrogenetyka posługiwać się będzie rozkrzyżowywaniem, odkrzyżowywaniem i rozbiorem. Genetyka wyhoduje nową odmianę owiec, której dotychczas nie było, natomiast retrogenetyką — odmianę, której już nie ma. Naukowcy nie będą już musieli grzebać w ziemi. Wystarczy, aby paleontolog zamówił w laboratorium pierwszego neandertalczyka i po jakimś czasie spokojnie go sobie obejrzy.

— Słaby punkt — oświadczył Łożkin.

— Słaby punkt? W mojej teorii?

— Pański neandertalczyk żył milion lat temu. Zamierza pan może poświęcić następny milion lat na jego ponowne wyhodowanie?

— Słuchajcie, Łożkin. Gdybyśmy zdali się na łaskę natury, to wspaniałe odmiany pszenicy, które dzisiaj bujnie plonują na kołchozowych łąkach, same by się wyhodowały za milion lat. A może w ogóle by się nie wyhodowały, gdyż nie są naturze do niczego potrzebne.

— No, jeśli nawet nie milion, to co najmniej tysiąc lat — nie dawał za wygraną Łożkin. — Zanim się pański neandertalczyk urodzi, zanim spłodzi swoich przodków...

— Nie, nie i jeszcze raz nie — zaoponował profesor. — Po co niby mielibyśmy realizować wszystkie pokolenia? W każdej komórce jest dokładnie zakodowana cała jej historia. Wszystko odbędzie się, drogi mój przyjacielu, na poziomie molekularnym, jak uczy członek rzeczywisty Akademii Nauk, Engelhardt.

— No dobra, wyhoduje pan to, co było dawniej. A co dalej? Jaką korzyść z tego odniesie gospodarka narodowa?

Odpowiedź na swe pytanie otrzymał Łożkin w trzy miesiące później, kiedy pożółkły lipy w miejskim parku, a dzieci szkolne wróciły z kolonii.

Lew Chrystoforowicz stał przy bramie i czekał na kogoś, kiedy Łożkin natknął się na niego wracając ze sklepu z kupionym właśnie kefirem.

— Jak leci? — zainteresował się. — Kiedy zobaczymy żywego neandertalczyka?

— Nie zobaczymy go nigdy — uciał profesor. W ciągu ostatnich tygodni wyraźnie zmizerniał, chyba od nadmiaru pracy umysłowej. — Istnieją ważniejsze problemy.

— Jakież to?

— Zna pan Iwana Sidorowicza Chatę?

— Nie miałem przyjemności — powiedział Łożkin.

— To człowiek godzien najwyższego uznania, zootechnik, kierownik fermy hodowlanej w naszym miejskim gospodarstwie pomocniczym „Guslarczyk”. Odważny, nawet ryzykancki i niezmiernie szlachetny. Dusza nie człowiek!

W tym momencie w bramę wjechał gazik, z którego wyskoczył żwawy okularnik niewielkiego wzrostu, ale wielkiej duszy.

— Jedziemy? — zapytał, przywitawszy się uprzednio z profesorem Mincem.

— Weźmiemy z sobą Łożkina — zdecydował Minc — jako przedstawiciela opinii publicznej. Już najwyższy czas na zapoznanie tej opinii z naszymi wynikami.

— Czy nie za wcześnie? — zapytał Chata. — Spłoszą...

— Nie mamy się czego lękać, bo nie musimy niczego ukrywać! — powiedział dumnie Minc.

Gazik po krótkiej jeździe dotarł do zabudowań fermy hodowlanej. Obok obory stała nowa wysoka szopa.

— No cóż, wchodźcie, tylko załóżcie fartuchy.

Chata dał fartuchy Łożkinowi i Mincowi i sam też się ubrał na białe. Łożkin poczuł klucie w żołądku i przygotował się na niezwykle, a może nawet straszliwe widoki. Ale niczego straszego nie zobaczył.

Pod stropem paliło się kilka silnych lamp, oświetlając stadko kudłatych zwierząt żujących siano w przeciwległym kącie szopy. Łożkin przypatrzył się im uważniej. Zwierzęta były dziwne. Takich nigdy jeszcze nie widział. Były pokryte długą rudą sierścią, miały długie nosy i grube słupowate nogi. Na widok ludzi przestały żuć i zagapiły się na nich małutkimi czarnymi ślepkami, a potem nagle kwiknęły, ryknęły i na złamanie karku rzuciły się w stronę Chaty i Minca. O mało ich nie poprzewracały, tak się łąsiły i podskakiwały, a profesor wyjmował z kieszeni fartucha kostki cukru i rozdawał je zwierzątom.

— Co to za zwierzęta? — zapytał Łożkin spod ściany. — Dlaczego ich nie znam?

— Nie domyślił się pan? — zdziwił się Chata. — Mamucięta. Przecież to jasne jak słońce.

— Dla mnie niejasne — obraził się Łożkin, cofając się przed mamuciątkiem, które wyciągało

do niego malutką trąbkę, domagając się w ten sposób poczęstunku. — Gdzie kły, gdzie trąby? Dlaczego mały gabaryt?

— Wszystko będzie — uspokoił go Minc, odciągając mamutka za krótki ogonek, aby nie napastował gościa. — Wszystko im z wiekiem odrośnie. Rozumiem pańskie zdziwienie, gdyż nie stykał się pan jeszcze z młodymi przedstawicielami tego wspaniałego gatunku.

— Ze starymi też się nie stykałem — powiedział Łożkin. — I jakoś przeżyłem bez tego, nie uskarżam się. Gdzieście ich wykopali?

— Czyżby się pan nie domyślał? Przecież wyhodowaliśmy je metodami retrogenetyki — rozkrzyżowywaniem i rozbiorem. Ze słonia uzyskaliśmy wspólnego przodka słoni i mamutów — bliskiego mastodontom. Potem ruszyliśmy w odwrotną stronę i wyhodowaliśmy mamuta.

— Tak szybko?

— Na poziomie molekularnym, Łożkin, na poziomie molekularnym. Pod mikroskopem elektronowym. Metodą rozkrzyżowywania, odkrzyżowywania i rozbioru. Rozumie pan teraz, dlaczego zrezygnowałem z niezmiernie pociągającej idei odnalezienia brakującego ogniwa i zająłem się mamutami?

— Nie rozumiem — powiedział Łożkin.

— Jesteście, towarzyszu, najwidoczniej dalecy od problemów hodowli zwierzęcej — w głosie Chaty zabrzmiało współczucie. — Zastanawialiście się kiedyś, co może nam dać mamut?

— Nie zastanawiałem się. Nigdy nie miałem mamuta.

— Mamut daje nam sierść. Daje nam pożywne mięso, wysokokaloryczne mleko i nawet mamucią kość...

— Ale najważniejsze — wykrzyknął Minc — że daje się hodować bezstanowiskowo! Okrągły rok pod gołym niebem! Nie potrzebuje ani ocieplanych obór, ani specjalnej paszy. Niech pan przy tym pomyśli o trudno dostępnych regionach dalekiej północy, gdzie mamut może stać się niezastąpionym zwierzęciem wierzchowym i jucznym dla geologów i topografów!...

Minęły jeszcze trzy miesiące.

Pewnego dnia pod dom nr 16 na ulicy Puszkina, gdzie mieszkał Lew Chrystoforowicz Minc, zajechała szarawa „Wołga”, z której wysiadł nienatrętnej powierzchowności mężczyzna w średnim wieku ubrany w bułgarski kożuszek. Wyjął z ust fajkę, zerknął pobłażliwie na skromne podwórko, poprawił okulary w masywnej oprawie i zatrzymał wzrok na Kseni Udałowej, która właśnie rozwieszała pranie:

— Przepraszam bardzo, obywatelko — powiedział. — Jeśli nie wprowadzono mnie w błąd...

— Pewnie dziennikarz? — zapytała Ksenia.

— Właśnie. Z Moskwy. A skąd pani wie?

— Jak to skąd? — zdziwiła się Ksenia. — Pan jest osiemnasty w tym tygodniu. Proszę wejść na pierwsze piętro. Drzwi otwarte. Lew Chrystoforowicz wypoczywa.

Wdrapując się po skrzypiących schodach do skromnej siedziby wielkiego profesora, dziennikarz mamrotał pod nosem: „Szarlataneria. Oczywista szarlataneria. Wprowadzanie w błąd opinii publicznej...”

— Proszę — rozległ się zza drzwi głos profesora Minca, który właśnie odpoczywał, to znaczy czytał miesięcznik popularnonaukowy, słuchał dziennika radiowego, oglądał telewizyjną transmisję meczu hokejowego, prasował spodnie i rozmyślał.

— Jestem dziennikarzem z Moskwy — powiedział gość podając mu legitymację prasową. — To pan tu hoduje mamuty.

Dziennikarz z Moskwy powiedział to takim tonem, jakby zamierzał wykrzyknąć: „To pan za nos wodzi opinię publiczną?”

— Mamuty również — odparł skromnie profesor, wsłuchując się w wieści z Canberry i

zachwycając się kunsztem najlepszego hokeisty sezonu, Jakuszewa.

— Metodami... — dziennikarz wydobył notes z zamszowej kieszeni — retro, pardon, genetyki?

Ufający w życzliwość ludzką Minc nie dostrzegł ironii w jego głosie.

— Istotnie — powiedział i nabrał wody w usta ze szklanki, żeby skropić spodnie.

— Ma pan jakieś wyniki?

Minc przesunął rozpalonym żelazkiem po kancie spodni i zniknął w kłębach pary.

— Coś z tym jednak trzeba będzie zrobić — powiedział, mając na myśli spodnie i sytuację w Australii.

— A jednak — nalegał dziennikarz — może mógłbym obejrzeć pańskie mamuty.

— Dlaczego nie? Pasą się gdzieś na polach. Wygrzebują paszę spod śniegu.

— Jasne. A potrafi pan wyhodować jeszcze jakieś inne zwierzęta.

— Gdy będzie pan nad rzeczka, proszę zerknąć do przerebła, gdzie pływają brontozaury. Latem zamierzamy wysłać je do Azji Środkowej. Przydadzą się tam do oczyszczania instalacji irygacyjnych.

W tym momencie w okno zapukało długim, zębatym dziobem jakieś paskudztwo. Paskudztwo miało błoniaste skrzydła niczym nietoperz i wrzasnęło tak, że zabręczały szyby w oknach i lufcik otworzył się z trzaskiem.

— Niemożliwe! — powiedział dziennikarz, odskakując pod ścianę. — Co to jest? Mamut?

— Mamut? Nie, to jest Tomek. Tomek pterodaktyl. Kiedy dorośnie, rozwinie skrzydła na całe osiem metrów.

Minc wyciągnął spod stołu kartonowe pudełko filetów z makreli, podszedł do lufcika i rzucił filety do rozdziawionego dzioba paskudztwa. Pterodaktyl złapał pudełko i połknął nawet nie rozpakowując.

— Po co panu pterodaktyl? — zapytał dziennikarz. — Nadaje się tylko do straszenia ludzi.

Nie był już nastrojony tak sceptycznie, jak w pierwszej chwili.

— Jak to po co? Pterodaktyle są nam po prostu niezbędne. Z ich skrzydeł będziemy produkować płaszcze przeciwdeszczowe, spadochrony, no i oczywiście parasole. W dodatku nauczymy je pasania owiec i ochrony stad przed wilkami.

— Przed wilkami, powiada pan? No tak, oczywiście... — Dziennikarz zaprzestał indagacji i wkrótce wyszedł.

„Całkiem możliwe, że to jednak w pewnym stopniu nie jest szarlataneria — myślał, kierując się do swego samochodu — ale generalnie rzecz ujmując mamy tu do czynienia z szarlatanerią”.

Przez cały dzień jeździł po mieście, obserwując z daleka igraszki młodych mamutów, krzywiąc się boleśnie, gdy padał na niego cień przelatującego pterodaktyla i wzdrygając się na odgłos ryku niedźwiadka jaskiniowego.

— Nie, to nie jest szarlataneria — powtarzał uparcie. — Ale pod pewnymi względami coś znacznie gorszego niż szarlataneria!

Wiosną w czasopiśmie zatrudniającym owego dziennikarza ukazał się artykuł pod surowym tytułem:

OWOCE LEKKOMYŚLNOŚCI

Nie ma najmniejszego sensu streszczać wszystkich obaw i inwektyw gościa profesora Minca, który przestrzegał, że nowe zwierzęta zakłóca i tak już zachwianą równowagę ekologiczną, że niedźwiedzie jaskiniowe i mamuty zagrażają bezpieczeństwu dzieci i młodzieży, a na zakończenie rozwinął apokaliptyczny obraz perspektyw retrogenetyki:

„Nieodpowiedzialność prowincjonalnego naukowca i prowadzonych przez niego na pasku działaczy i hodowców guslarskich zmusza mnie do bicia na alarm. Doświadczenie, nie sprawdzone uprzednio na drobnych i nieszkodliwych stworzonkach (żukach, królikach itd.), doprowadzi z pewnością do godnych pożałowania wyników. Gdzie mamy gwarancję, że mamuty nie zegżą się i nie strują zieleń miejskiej? Że nie uciekną do lasu? Gdzie mamy gwarancję, że brontozaury nie wygramolą się na brzeg w poszukiwaniu nowych zbiorników wodnych? Proszę wyobrazić sobie te gady pełzające po ulicach, przewracające słupy i kioski! Jestem przekonany, że pterodaktyle, zamiast paść owce i oddawać skrzydła w charakterze surowca do produkcji parasoli, zaczną polować na drób, a może nawet na owce, które miały strzec przed zakusami wilków. I wszystko skończy się tym, że na likwidację skutków nieprzemysłanego eksperymentu trzeba będzie wydatkować przeznaczone na co innego fundusze państwowe i zmobilizować do tej akcji masę pracujących miast i wsi...”

*

Artykuł trafił do rąk profesora Minca dopiero latem. Czytając go Lew Chrystoforowicz uśmiechnął się tylko, a potem zabrał czasopismo na otwarcie wystawy międzyrejonowej.

Ośrodkiem wystawy, jak zresztą należało oczekiwać, stał się pawilon „Retrogenetyka”. Właśnie tam spieszyli ludzie ze wszystkich stron, z innych miast, obwodów i państw.

Przecisnąwszy się przez międzynarodowy tłum do pawilonu, profesor Minc znalazł się przy wybiegu z mamutami.

Było bardzo upalnie i dlatego mamuty zostały ostrzyżone na zapałkę, dzięki czemu przypominały muskularne psy rasy airdaletterier. Niektórym już zaczęły wyrzynać się kły. Pterodaktyle siedziały im na grzbietach i wydziobywały pasożyty. W okrągłym basenie pośrodku pawilonu pływały dwa brontozaury. Od czasu do czasu unosiły się ciężko na tylnych łapach i przyciskając przednie do błyszczących piersi wyzebrywały od zwiedzających pierożki z serem. Jeśli któryś ze zwiedzających nie miał pierożka, to rzucał pięciokopiejkową.

Tam właśnie, między wybiegiem a basenem, Minc spotkał Łożkina i Chatę. Natychmiast też przeczytał im sceptyczny artykuł.

Śmieli się z niego nie tylko ludzie. Zataczały się ze śmiechu brontozaury, trąbiły mamuty, a jeden z pterodaktyli zaczął tak rzeć, że nie mógł zamknąć paszczęki, zanim nie przybiegł dozorca i nie dał wesółkowi w dziób drewnianym młotkiem.

— Czyżby — powiedział profesor, kiedy wszyscy jako tako zdołali się uspokoić — ten naiwny człowiek przypuszczał, że moglibyśmy hodować wymarłe potwory, nie zaszczepiwszy im przed tym genetycznej miłości i szacunku dla człowieka?

— Nigdy — powiedział twardo emeryt Łożkin. — W żadnym razie!

Pterodaktyl, wciąż jeszcze trzęsąc się ze śmiechu, podszedł do profesora, który poczęstował go cukierkiem. Małutkie dzieci jeździły po kolei wierzchem na mamutach, podkładając sobie poduszki pod pupcie, żeby nie pokłuć się o krótką sierść, brontozaury zbierały monety z dna basenu i uczciwie oddawały je dozorczy, a na uboczu popiskiwał niedźwiedź jaskiniowy, którego od rana nikt nie pogłaskał.

Tego samego dnia stołeczny dziennikarza, pechowego proroka, omal na śmierć nie zagryzła jego własna syjamska kotka, ukochane zwierzątko domowe.

ZMARTWYCHWSTANIE CZAPAJEWA

Udałow i Grubin przechodzili obok kina. Był akurat późny sobotni ranek i obaj aż do obiadu nie mieli nic do roboty. W kinie na 11.30 szedł „Czapajew”.

— Sasza — powiedział Udałow, — Dawno to oglądałeś?

— To ulubiony film mojego dzieciństwa — odparł Grubin. — Z czasów, kiedy nie było jeszcze szerokich ekranów i telewizorów. Wyobrażasz sobie, jak teraz nakręciliby scenę ataku psychologicznego?

— Wcale nie jestem pewien, że lepiej — powiedział Udałow. — Na wszystko jest swój czas.

— No to co, może wykupimy bilety po dziesięć kopiejek i pokolegujemy się z dzieciakami? — zapytał Grubin i ruszył do kasy.

Przed kasą było tak pusto, że aż dziw brał, że nikt nie chce oglądać takiego zasłużonego filmu.

— Wygląda na to — powiedział Grubin do rozespanej kasjerki Toni — że obecne pokolenie dzieci woli „Siedemnaście mgnień wiosny”. Wobec tego dwa bilety staruszkom.

— Wcale nie — powiedziała Tonią. — Został mi tylko ostatni rząd.

— A co się stało z resztą biletów?

— Reszta została wykupiona razem z poprzednim seansem. Te urwipółcie oglądają po dwa razy.

Weszli do pustego hallu kina, gdzie za ladą bufetu nudziła się kobieta w podeszłym wieku, a na ścianach wisiały fotografie naszych radzieckich gwiazd filmowych wycięte z kalendarza ściennego. Wypili, po piwku, zakąsili kanapkami z holenderskim serem, a potem Udałow zapytał:

— Sasza, ile razy widziałeś ten film?

— Masz na myśli „Czapajewa”? Chyba z dziesięć.

— A ja co najmniej pięć razy — wyznał Udałow. — Potem przestałem chodzić, bo bardzo mnie bolało, że Czapajew utonął w rzece. Myślałem, że może z raz nie utonie. A on tonął.

— Takich głupich marzeń nie miałem nawet będąc smarkaczem — powiedział Grubin i chyba akurat wtedy skończył się pierwszy seans, bo otworzyły się drzwi sali projekcyjnej, zza których w kierunku bufetu pognęło stu pięćdziesięciu chłopców i pięć dziewczynek. Wszyscy ściskali w piąstkach drobne na cukierki i lemoniadę. Grubin i Udałow musieli zaprzeć się o stół, żeby nie porwał ich ten burzliwy strumień. Dzieci tłoczyły się przy ladzie, spiesząc zjeść i wypić swoje przysmaki przed następnym seansem.

Jedno z najsprytniejszych dzieci, dziesięcioletni mniej więcej chłopak z szelmowskimi oczyma i mnóstwem zadrapań pokrywających nos i policzki, pierwsze zdołało wywalczyć sobie ekierkę i szklanę lemoniady i dosiadło się do stołu dorosłych.

Chłopak pożywał się dość nerwowo i powiedział między dwoma kęsami:

— Zwijajcie się, bo możecie się spóźnić.

— Do rozpoczęcia seansu zostało jeszcze dziesięć minut — powiedział Grubin, a Udałow, który miał własne dzieci, dorzucił z oburzeniem:

— Chłopczyku, tak z dorosłymi rozmawiać nie wolno!

— Jak uważacie. Nie dostaniecie miejsca i już. Przecież ja ze szczerego serca.

— Miejsca mamy numerowane — zauważył Grubin.

— Numerowane! — wykrzyknął chłopak z patosem w głosie. — Kto tam będzie patrzył na wasze bilety, kiedy każdy chce być jak najbliżej ekranu!

— Głupstwa gadasz — powiedział Udałow, a Grubin uwierzył dziecku, jednym haustem dopił

piwo, przełknął resztę kanapki i odezwał się do Korneliusza:

— Pójdę pierwszy i zajmę ci miejsce.

Ale Korneliusz już szedł za nim.

Znaleźli przyzwoite miejsca w środku widowni, o wiele lepsze od tych, które im przysługiwały wedle biletów. Usiedli. Sala była prawie pełna, bo wiele dzieci pilnowało swoich dobrych miejsc, a niektórym po prostu brakowało środków płatniczych na lemoniadę.

— I wy wszyscy oglądacie ten film drugi raz z rzędu? — zapytał Grubin sąsiada.

— Wielu zostałoby nawet na trzeci seans — odparł sprytny chłopak.

— A gdyby ten film szedł przez cały dzień?

— Niektórzy by zostali, ale reszta uciekłaby z głodu.

— A czemu jesteś taki podrapany?

— Tresowałem kota. A wy czemuście się wybrali na ten film?

— Stęskniliśmy się za nim — odparł Grubin. — Zapragnęliśmy wspomnieć dzieciństwo.

— Też macie co wspominać — powiedział chłopak z pogardą. — Ja tam nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie skończę z tym dzieciństwem.

Do sali tymczasem wpadli z hallu chłopcy i dziewczęta i pędzili zajmować wolne miejsca. Ku zdumieniu Udałowa tuż przed nim w piątym rzędzie, na samym środku, był pusty fotel, którego nikt nawet nie usiłował zająć. „Może połamany?” — pomyślał Udałow i już chciał poradzić pewnemu dziecku, które stało w przejściu z cukierkiem w zębach, żeby tam usiadło, kiedy na sali zaczęło przygasać światło i jako ostatni bez pośpiechu wkroczył na widownię niewysoki, szczuplutki chłopczyk w okularach. Chłopczyk lizał lody, a wszyscy patrzyli na niego z szacunkiem i co więcej, cały rząd wstał ze swoich miejsc, żeby mógł bez przeszkód dotrzeć do wolnego fotela.

— To z pewnością prymus — powiedział Udałow, patrząc na dziwnego chłopczyka.

— Albo wielki chuligan — zauważył Grubin. — Judoka.

— Nic podobnego — oburzył się ich sprytny sąsiad. — To Tisza Zielonko, nie prymus i nie chuligan, ale wielki człowiek.

Wielki człowiek opadł na swój fotel w środku piątego rzędu i machnął rączką, żeby siedzący przed nim rozsunęli trochę głowy i nie przeszkadzali mu oglądać filmu. Siedzący przed nim, o dziwo, rozsunęli się, chociaż tak siedzieć było im niewygodnie.

— A dlaczego on jest wielkim człowiekiem? — zapytał Grubin.

Chłopczyk Tisza usłyszał te słowa, obejrzał się i popatrzył na Grubina surowym wzrokiem.

Zgasło światło i zaczęła się kreskówka o wilku i zającu. Wszyscy oglądali ją bez szczególnego entuzjazmu, bo znali ten filmik na pamięć, a poza tym nie było w nim dramatycznych momentów. Później zaczął się właściwy film. Wszystko w nim było jak należy. Udałow i Grubin przypominali sobie wszystko, co pozornie wyleciało im z pamięci i dziwili się, że w ogóle podejrzewali się o zapomnienie takich znanych kadrów. Sala reagowała na film zupełnie prawidłowo — z entuzjazmem i zachwytem, a kiedy trzeba z oburzeniem — akcja zaś tymczasem zbliżała się do swego tragicznego końca.

Oto już czapajewcy zaczęli się wycofywać, a na żadną pomoc nie można liczyć. Oto już widać urwisty brzeg rzeki Ural a nasi są coraz bliżej owego urwiska. Na sali zapadła niemal martwa cisza, wszyscy wstrzymali oddech. „Ech, gdyby... gdyby tak...” — pomyślał Korneliusz Udałow, kiedy Czapajew płynął już przez rzekę. Ural i pociski rozpryskiwały wodę coraz bliżej niego... Ileż to razy oglądał ten film i ileż razy miał nadzieję, że tym razem Czapajew mimo wszystko pokona przeszkodę wodną, a inni zdołają go uratować, przyjść na pomoc...

Ale oto głowa Czapajewa już skryła się pod wodą i Udałow mimo woli zmrużył oczy, żeby ponownie nie przeżywać takiego przykrego widoku. A w dodatku na widowni zerwały się

dziecięce krzyki i tupanie nogami. „Trzymaj się!” — wołały dzieci. — „Jeszcze trochę” — a inne głosy pomagały im innymi okrzykami: „Tisza, bierz się do roboty! Tisza, ratuj Czapaja!”

— Oho! — powiedział Grubin, a w jego głosie brzmiało takie zdumienie, że Udałow otworzył zmrużone oczy i ujrzał coś nieprawdopodobnego: Czapajew wynurzył się na powierzchnię i chociaż był ranny, płynął z najwyższym trudem, było oczywiste, że tym razem zdoła dotrzeć do brzegu. Już do wody wbiegali mu naprzeciw towarzysze. Nie wiedzieć czemu znalazł się wśród nich wierny Pietia, Anka i nawet komisarz, który już zupełnie nie wiadomo skąd się tam wziął. Dzieci zaczęły bić brawo i z sali nie wyszedł nikt, nawet zupełna dzieciarnia, dopóki ze swego miejsca nie podniósł się Tisza Zielonko, zmęczony, lecz zadowolony z siebie. A kiedy przechodził obok, sprytny sąsiad Udałowa odezwał się do niego:

— Dzisiaj wyszło ci lepiej niż wczoraj.

— Wczoraj nie było Anki od karabinu maszynowego — odparł Tisza i błysnął okularami.

— Posłuchaj, chłopcze! — ocknął się wreszcie Grubin, kiedy Tisza Zielonko opuszczał już salę w otoczeniu tłumu rozentuzjzmowanych rówieśników. — Posłuchaj! — chwycił za rękaw sąsiada. — Jak to? To on zrobił?

— A niby kto? On to przecież robi nie pierwszy raz. Dopóki Tisza z nami nie chodził, Czapajew zawsze tonął. A teraz film dobrze się kończy, i to za każdym razem inaczej.

— Ale jak on to robi? — zapytał Grubin. — Hipnoza czy co?

— I po co dorośli chodzą na poranne seanse? — odpowiedział pytaniem sprytny chłopiec. — W ten sposób wszystko zepsujecie. Jeśli jego matka się dowie, wybuchnie wielka awantura! Tisza Zielonko jest okropnie wykształcony. Wie wszystko o wojnie — i domowej, i o ostatniej. Ma całą kupę książek o wojnie i przez to w zeszłym roku o mało nie powtarzał piątej klasy. Dlatego rodzice zabronili mu chodzić na filmy wojenne. „Jeśli — powiadają — film jest o faunie, o budownictwie, proszę bardzo, możesz się rozerwać. O wojnie — ani nam się ważyć”. A Tisza bardzo to przeżywa, bo koniecznie chce zostać wojennym historykiem. Nie zważając na żadne zakazy.

Tak rozmawiając wyszli na ulicę i znaleźli się w letnim, wakacyjnym słońcu.

— Jak to się stało, że ten chłopiec zdołał przerobić koniec filmu? — zapytał Grubin.

— A może teraz dla dzieci dorobili szczęśliwe zakończenie? — zapytał Udałow. — Specjalnie na poranki? Żeby nie kaleczyć dziecięcej psychiki?

— Głupstwa gadacie — odparł nieuprzejmie chłopiec. — Wczoraj rodzice zamknęli Tiszę Zielonko w domu, nie udało się nam go wykraść, no i Czapajew utonął jak głupi. Nie, to wszystko robota Tiszki. On tak za wszystkich sobie wyobraża, że Czapajew nie utonął, że Czapajew nie tonie. Jasne?

— Jasne — powiedział Grubin w zadumie, gdyż miał bardzo silnie rozwiniętą wyobraźnię.

— Niejasne — warknął z irytacją Udałow, który wprawdzie również miał bardzo silnie rozwiniętą wyobraźnię, ale jednocześnie oburzała go władza, jaką jakiś tam smarkacz miał nad klasycznym dziełem sztuki filmowej. — A może...

I w tym momencie wątpliwości zderające Udałowa przybrały inną formę. Korneliusz pomyślał mianowicie, że wszystko może być o wiele prostsze, niż im się wydaje. Może niepotrzebnie dają się wrabiać, wierzyć w żarty chłopaka. Może Czapajew wcale nie zginął, tylko na filmie tak to wszystko przedstawili, żeby było dramatyczniej?

— Udałow — Grubin przerwał rozmyślania przyjaciela. — Musimy koniecznie porozmawiać z chłopczykiem Tisza. Przecież to jest zjawisko psychologiczne o pierwszorzędym znaczeniu... Nauka nie może go zignorować.

— Ach tak — ocknął się Udałow. — Naturalnie. Tylko że ja w to nie bardzo wierzę, bo to chyba jakaś sztuczka.

— Ale Tichon nie zechce z wami rozmawiać — powiedział sprytny chłopiec. — On się boi swojej mamusi. A nuż dowie się, czym to on się w kinie zajmuje. Przecież obiecał rodzicom iść do lasu na jagody.

— Nie zdradzimy go. Słowo — powiedział Grubin. — Ale twój Tisza powinien liczyć się z interesami nauki.

— Spróbuję — powiedział chłopiec i pobiegł po Tiszę.

Za jakieś dwie minuty przyprowadził go. Tisza był chmurny i odzywał się niechętnie. Najwyraźniej nie wierzył w naukę, za to lękał się rodzicielskiego gniewu.

— Chłopczyku — powiedział Udałow czule. — Coś ty w kinie narobił?

— Niczego nie narobiłem — odparł Tisza. — Oglądałem jak wszyscy.

— A jak się film kończy?

— Kończy się tak, że Czapajew przepłynął rzekę.

— Aha. A co się potem z nim stało?

— Potem zginął podczas szturmu na Pierekop. Wtedy już dowodził korpusem.

— Co za kłamczuch — powiedział Udałow półgłosem. — Nie warto nawet z nim gadać.

— Poczekaj — powiedział Grubin. — W ten sposób nic z tego nie wyjdzie. Daję ci słowo jak badacz badaczowi. Ani słowa rodzicom, ani słowa w szkole. Ale masz takie zdolności, które mogą zainteresować naukę. Mam pewną książkę. Nazywa się „Żywoty rosyjskich feldmarszałków” i jest wydana ponad sto lat temu. Zawiera życiorysy, których nigdzie poza nią nie znajdziesz. Chcesz ją dostać za darmo?

— Chcę — odpowiedział Tisza.

— Wobec tego musisz okazać dobrą wolę.

Udałow westchnął, gdyż był przeciwny całej tej mistyce.

— Proszę pytać — powiedział Tisza Zielonko zupełnie jak dorosły. — Tylko gdzie mam gwarancję, że ja tę książkę dostanę?

— Masz na to moje słowo — odparł po prostu Grubin i chłopiec mu uwierzył. — Powiedz, jak ci udaje się wywierać wpływ na akcję filmu? Działasz za pomocą hipnozy?

— Nie, co pan! — powiedział chłopczyk. — Ja po prostu bardzo chcę, żeby Czapajew nie utonął. Tak mocno chcę, że aż strach. Cała dzieciarnia też chce i dlatego Czapajew nie tonie.

— Ale za każdym razem robisz inne zakończenie?

— Trochę inne. Dzisiaj przypomniałem sobie Ankę i chciałem, żeby ona też brała udział. A poprzednim razem Czapajewa wyciągnął z wody komisarz.

— A przedwczoraj Pietia za nim nurkował — powiedział sprytny chłopak.

— No tak — zamyślił się Grubin. — Skoro jesteś takim fenomenem, to trzeba cię wypróbować. Jaki film teraz będzie?

— Kryminał — podpowiedział mu rozmówca. — O takim jednym filateliscie...

— Znakomicie — ucieszył się Grubin. — Zaraz wszystko sprawdzimy. Seans się jeszcze nie zaczął?

— Zaraz się zacznie.

— Udałow! Leć po bilety! Dla wszystkich.

— Kupić cztery?

— Kupuj cztery.

— A na mnie czekają w domu — powiedział Tisza, który bardzo chciał pójść na kryminał.

— Powiem twojej mamie, że byłeś ze mną — obiecał Grubin.

I w ten sposób cała czwórka znalazła się ponownie w kinie. Tym razem na widowni siedzieli również dorośli, nikt nie hałasował, bo wszyscy w skupieniu przyzywali emocjonującą akcję.

— Wiesz, jak to się skończy? — zapytał Grubin szeptem sprytnego chłopca.

— Wiem. Tego długiego będą gonić po dachach, a on spadnie prosto w beton. Już trzy razy oglądałem, bo ja wszystkie nowe filmy oglądam...

— Znakomicie — powiedział Grubin. — Posłuchaj, Tisza. Możesz zachcieć, żeby on nie ginął w betonie?

— Po co? — zdziwił się Tisza. — Dobrze mu tak.

— Nie, to jednak żywy człowiek, można go jeszcze wychować i sprawić, że rozpocznie nowe życie. Uratujmy go, co? Jeśli uratujesz, książka będzie twoja.

— A co pan obiecał?

— Mówiłem, że ci ją dam, jeżeli pomożesz nauce.

Grubin nie był skąpy, książkę i tak by chłopczykowi podarował, ale czuł, że Tiszy potrzebna jest silna zachęta. Jeśli ten chłopiec mógł przebudować widzialny świat siłą swojej niedziecięcej woli, to powinien chcieć to zrobić.

Tisza westchnął i skupił się. Połyskiwał okularami i gapił się w ekran. Udał w te wszystkie sztuczki nie wierzył i w ogóle zaczął już powątpiewać, czy Czapajew w ogóle utonął.

Rozpoczął się najdramatyczniejszy epizod filmu. „Długi” biegał po dachach, a za nim biegli milicjanci.

— No! — niemal krzyknął Grubin, kiedy bohater filmu zachwiał się, przygotowując się do malowniczej śmierci na oczach całej widowni.

Tisza sprężył się i pochylił do przodu.

„Długi” balansował na krawędzi dachu...

Pobalansował chwilę i jak należy zwałił się wprost do wykopu wypełnionego płynnym betonem.

„Może się jeszcze wynurzy” — pomyślał Grubin, ale nastąpiła zmiana kadru i rozpoczął się zupełnie inny epizod.

Z kina wyszli w milczeniu. Tisza czuł się winny i o książce nawet nie wspominał. Udał w ulgą wdychał świeże powietrze, bo rozrywki kulturalne bardzo go już zmęczyły. Grubin martwił się fiaskiem eksperymentu, ale pocieszał się, że wynik ujemny jest również wynikiem.

— No cóż, do widzenia — powiedział Tisza. — Dziękuję za kino.

— Poczekaj — powiedział Grubin. — Wstąpimy do mnie po książkę.

— Przecież nie spełniłem oczekiwań powiedział chłopczyk zupełnie jak dorosły.

— Słowa należy dotrzymywać — rzekł Grubin. — A poza tym wzięłeś jednak udział w doświadczeniu i teraz przynajmniej wiemy, że nie masz nic wspólnego z tym czapajewowskim zjawiskiem.

— Nie mam — powiedział chłopczyk.

— I może w ogóle to całe zjawisko było tylko pozorne.

— Naturalnie — zgodził się chłopczyk.

Grubin wziął zmartwione dziecko za rękę i tak ruszyli w stronę domu, gdzie Grubin wyniósł z pokoju wartościową książkę i pożegnał się z Tiszą Zielonko, który pospieszył do swojego rodzinnego domu, aby ponieść zasłużoną karę za tak długą nieobecność.

— No i co to było? — zapytał Udał, żegnając się z Grubinem.

— Zmiana percepcji pod wpływem oddziaływania masowego — odparł Grubin, ale te słowa nic nie znaczyły i niczego nie wyjaśniały.

Następnego dnia była niedziela. Udał wstał późno, w domino grać mu się nie chciało, a iść do kogoś w gości było jeszcze za wcześnie, zszedł więc do Grubina. Grubina nie było w domu. Wyszedł gdzieś z samego rana. Udał poszedł na samotny spacer i nawet nie zauważył, kiedy znów znalazł się pod kinem. Dochodziła chyba jedenasta. Seans o dziewiątej jeszcze się nie skończył, do następnego było daleko. I w pewnej chwili Udał pojął, że tam, na sali, film

właśnie dobiega końca. Nic go to niby nie obchodziło, ale pragnienie ujrzenia raz jeszcze zakończenia i sprawdzenia, co się właściwie stało ze słynnym dowódcą — utonął w końcu czy wypłynął — opanowało go z niezwykłą siłą. Podszedł do okienka i namówił kasjerkę do sprzedania biletu na seans, który zaczął się ponad godzinę temu. Kasjerka bardzo się dziwiła, nie chciała sprzedać biletu, ale Udałow wytłumaczył jej, że na sali siedzi jego syn, którego trzeba wyciągnąć z kina, bo przyjechała babcia ze wsi.

Udałow wszedł na salę i stanął z tyłu pod ścianą. Film zbliżał się do końca. Już biali napadli na sztab dywizji, a jego obrońcy ostrzeliwali się ostatnimi nabojami. Już rzeka jest tuż tuż. Na widowni zaczynają się dziać nieopisane rzeczy. Dzieciarnia przeżywa, a sławny wódz płynie przez rzekę Ural i pociski rozpryskują wodę tuż przy nim... I Czapajew utonął, chociaż dzieciarnia krzyczała i przeżywała. Utonął, nikt nie mógł go uratować...

Zapaliło się światło. Udałow razem ze wszystkimi ruszył ku wyjściu. Nie ku wyjściu na ulicę, lecz w stronę bufetu, gdzie powstał w kolejce po ciastka, wypił szklankę lemoniady i zrozumiał, że trzeba iść do domu. Sztuczka się nie udała. Widocznie coś ma z nerwami, a w dodatku żal mu Czapajewa.

Ale do domu nie poszedł. Sam sobie nie potrafiłby tego wytłumaczyć, dlatego wrócił na salę, usiadł w przedostatnim rzędzie, żeby nikt go nie zauważył i spojrzął do przodu. Miejsce w piątym rzędzie było puste. Chłopczyk Tisza był dziś nieobecny.

I nagle Udałow usłyszał cichy głos:

— Korneliuszu, co tu robisz?

Dziwna rzecz! W ostatnim rzędzie siedział za kolumną Grubin.

— Dawno tu jesteś?

— Przesiedziałem cały pierwszy seans. A ty?

— Widziałem tylko koniec.

— A Tiszki nie było?

— Nie, nie było go.

I w tym momencie w drzwiach ukazał się Tiszka otoczony grupką chłopców. Szedł szybko, głowę miał pochyloną, pod pachą trzymał książkę o feldmarszałkach, a na wyrzuty przyjaciół odpowiadał:

— Nic mi się nie uda. Wczoraj mnie naukowo sprawdzili. Nie mam takich zdolności.

— Tiszka, pomożemy ci — mówili przyjaciele. — Nie pękaj.

Tiszka odwrócił się ku sali i zaczął kogoś wypatrywać. Udałow przestraszył się, że wypatruje właśnie jego, dał nura pod fotel i zobaczył tuż obok rozwichrzoną czuprynę Saszy Grubina. Okazuje się, że on również nie chciał, aby go rozpoznano. Przesiedzieli w ten sposób aż do chwili, kiedy zapalił się srebrny ekran.

— Jak sądzisz, uda mu się? — zapytał Udałow Grubina, gdy Czapajew na ekranie opowiadał o taktyce za pomocą ziemniaków.

— Nie sądzę — odparł Grubin. — Nie zawsze można włożyć łapami w duszę i poddawać ją badaniom. Chyba coś ostatecznie zepsuliśmy.

— To znaczy wierzysz, że coś było?

— Wierzę.

Dalej już siedzieli w milczeniu, a kiedy nadeszły ostatnie chwile życia, cała dzieciarnia na sali rozkrzyczała się: „Trzymaj się, Wasiliju Iwanowiczu!” „Już niewiele zostało!” A inne dzieci wołały: „Tiszka, do roboty!” I wśród tej wrzawy rozległ się cieniutki, smutny głos: „Chłopaki, nie mogę!”

Tymczasem głowa dowódcy już skryła się pod wodą, już wrogowie wzięli górę nad bohaterem, na sali podniósł się ryk, Tisza aż uniósł się z fotela. A Grubin i Udałow, którzy

nieświadomie wraz z innymi wołali do Tiszki, żeby się postarał, zauważyli, jak chłopczyk uniósł pięści do walki z brutalną prawdą arcydzieła sztuki filmowej i wówczas głowa Czapajewa znów ukazała się na powierzchni, a z brzegu rzucili mu się na pomoc przyjaciele i towarzysze broni. Wyciągnęli go na brzeg i uratowali.

Udałow i Grubin poczekali, aż wszyscy opuszczą widownię. Udałow chciał podejść do Tiszki i skarcić go za to, że wczoraj mu się nie chciało, a dzisiaj się chciało, ale Grubin złapał go za rękaw i powiedział:

— Daj spokój. To jest o wiele bardziej skomplikowane niż zwyczajny eksperyment. Rozumiesz?...

UPARTY MARSJASZ

Któregoś dnia Lew Chrystoforowicz Minc zszedł na parter do Saszy Grubina pożyczyć trochę soli. Obaj — wybitny uczony, wypoczywający w Guslarze po stresach doznanych w metropolii i utalentowany wynalazca — samouk Grubin — byli kawalerami o nieuregulowanym życiu osobistym. Fakt ten, a zwłaszcza oddanie Nauce (pisanej wielką literą), jak również nieodparte pragnienie przeniknięcia tajemnic Natury zbliżyło do siebie ludzi. Serdeczne rozmowy, które toczyli w rzadkich chwilach wolnych od zajęć, wyróżniały się niezwykłą wręcz szczerością i całkowitą bezinteresownością.

Grubin szukał soli, a tymczasem Minc przysiadł na rozchwierutanim krześle i wsłuchał się w monotonny jęk skomplikowanej konstrukcji, której koła, kółka i kółeczka, pomagające sobie nawzajem, wolno kręciły się w kącie pokoju.

— Nie zaszkodziłoby przesmarować — powiedział Minc. — Coś skrzypi to twoje perpetuum mobile.

— Jego skrzypienie mnie uspokaja. Proszę, tu jest sól — powiedział Grubin, podając mu papierową tutkę.

— Chcę zrobić pilaw — oznajmił Minc. — Chociaż to może dziwnie zabrzmieć, jestem najlepszym we Wszechświecie specjalistą od pilawu. Zawołam cię tak gdzieś koło szóstej.

— Dziękuję chętnie wpadnę — powiedział Grubin. — A propos, ostrzegał mnie pan, że wieczny silnik nie ma przed sobą żadnych perspektyw i działań nie będzie. A przecież pracuje drugi tydzień. I to nawet bez smaru.

— Drogi kolego, to jeszcze o niczym nie świadczy! — powiedział Minc, gładząc się po lśniącej łysinie. — Posiadam informację, że w Argentynie, w laboratorium Aya de Torro silnik kręci się już od osiemnastu lat. Z tego wynika jedynie, że jest to silnik długowieczny, ale nie wieczny. Za sto lat może przecież stanąć.

— Sto lat wystarczy — powiedział Grubin, pochylając krnąbrnie swoją kudłatą głowę. — Mnie tam na sławie nie zależy. Grunt to zasada.

— Sławy nie pozwolą ci nawet polizać — zauważył Minc. — I będą mieli rację! Naukę tworzy się na Olimpie. Robią ją ludzie naznaczeni stygmatem Wieczności, a utalentowany dyletant może jedynie zakłócić zwycięski krok postępu. Nauka zatem słusznie odrzuca perpetuum mobile powstałe w kawalerce bez wygod. Wieczny silnik powinien powstawać w odpowiednim laboratorium odpowiedniego Instytutu Problemów i Perspektyw Ruchu Przedłużonego.

— Dlaczego przedłużonego? Przecież to wieczny silnik!

— Wszystkim wiadomo, że perpetuum mobile nie ma i być nie może. Wynika z tego dowodnie, że jeśli nauka kiedykolwiek zajmie się na serio budową wiecznych silników, będzie musiała najpierw znaleźć dla tego urządzenia jakąś przyzwoitą nazwę, nie skompromitowaną w ciągu ostatnich stuleci przez samouków i szarlatanów.

— To znaczy, że nie ma dla mnie żadnej nadziei?

— Tak, mój drogi. Nie masz nawet dyplomu wyższej uczelni, znalazłeś się więc w sytuacji upartego Marsjasza.

— A co to za jeden?

— Satyr. Prowincjonalny satyr z Frygii, który miał pecha połuszczyć się na fujarkę podrzuconą przez Atenę. A wiesz dlaczego?

— Niby skąd mam wiedzieć? Ze starożytnych Greków znam tylko Herkulesa i Prometeusza.

— No więc Marsjasz pięknie grał na fujarce i wpadł na głupi pomysł, żeby stanąć w zawody z Apollinem. To zupełnie tak, jak byś ty przyniósł swoją maszynkę na Radę naukową Instytutu Problemów i Perspektyw Ruchu Przedłużonego.

— Marsjasz przegrał?

— Jury jednogłośnie przyznało pierwszą nagrodę członkowi rzeczywistemu Olimpu, bogu Apollinowi.

— To nie takie straszne — zauważył Grubin. — Najważniejsze to brać udział. Zwycięstwo nie jest takie istotne.

— Jak dla kogo — westchnął profesor Minc, patrząc na skrzypiącą maszynę Grubina. — Z Marsjasza żywcem zdarli skórę.

— Za co? — Grubin aż zachwiał się z wrażenia. — Przecież i tak wygrał Apollo!

— Obawiam się, że to zwycięstwo było trochę wątpliwe... Zresztą bogowie nie kochają walczyć ze śmiertelnymi na równych prawach. Dziś Marsjasz się poważy, jutro Iwanow, pojutrze Grubin... No dobra, idę, dzięki za sól.

Profesor wstał z krzesła i skierował się ku drzwiom.

— Pan też miał jakieś nieprzyjemności? — zapytał Grubin.

— Ja nie wynajdywałem perpetuum mobile — odparł Lew Chrystoforowicz nie odwracając głowy.

— Lwie Chrystoforowiczu! — wykrzyknął Grubin. — Nie ma pan racji! Marsjasze też mają prawo do miejsca na Ziemi. Czynniki społeczny nie pozwoli zdzierać z nich skóry! My też możemy uprawiać nasze skromne ogródki!

Lew Chrystoforowicz odwrócił się, uśmiechnął, ale nic nie powiedział.

— Ostatecznie nie wypadliśmy sroce spod ogona! — dodał Grubin. W Wielkim Guslarze też tętni myśl twórcza. Wprawdzie trudniej tu zdobyć uznanie niż w centrali, ale nas to tylko mobilizuje do czynu. Aha, nad czym pan obecnie pracuje, profesorze?

— Hoduję narybek — odparł Minc.

CZARNY KAWIOR

Nie bacząc na stosunkowo niską cenę konserwatywni mieszkańcy miasta Wielki Guslar niechętnie kupowali efektowne puszczyki z barwnym portretem jesiotra i napisem „Czarny kawior”. Sokole oko klienta dostrzegło bowiem wykonany malutkimi literkami dopisek: „s y n t e t y c z n y”.

Profesor Lew Chrystoforowicz Minc kiedyś tam czytał o uwiecznionych sukcesem badaniach nad syntetycznym kawiolem i wiedział, że w smaku nie ustępuje on prawdziwemu, a jeśli chodzi o wartości odżywcze — nawet go przewyższa. Przy tym kawior syntetyczny miał być absolutnie nieszkodliwy dla zdrowia. Wcześniej jednak nie udało się profesorowi syntetycznego kawioru spróbować. Dlatego właśnie Lew Chrystoforowicz był jednym z trzech mieszkańców Guslaru, którzy nabyli nowy produkt w drodze kupna.

Wieczorem, przy herbacie, profesor Minc otworzył puszkę, posmarował kawiolem kanapkę, ostrożnie odgryzł kawałek, zżuł i doszedł do wniosku, że kawior rzeczywiście ma walory smakowe, jest odżywczy i absolutnie nie szkodliwy. Ale czegoś mu brakuje... Odłożył więc nadgryzioną kanapkę i oddał się rozważaniom nad problemem ulepszenia syntetycznego kawioru. Potem doszedł do wniosku, że nie będzie się tym zajmował — kawior wynaleźli ludzie na pewno nie głupszy od niego, którzy swe eksperymenty doprowadzili do rozsądnych granic.

— Nie — powiedział głośno. — Konkurować ze sobą nie będziemy. Ale... Tu wstał od stołu, wziął pincetką ziarenko kawioru, położył na szkiełku przedmiotowym i usiadł przy mikroskopie. Oglądając i preparując ziarenko prowadził dalej głośne rozważania sam ze sobą — było to przyzwyczajenie, będące skutkiem życia w samotności.

— Rutyniarze — mamrotał. — Kłapki na oczach. Kawior wynaleźli. Jutro wynajdziemy kurze jajko. Co za dziwna maniera kopiować naturę i zatrzymywać się w pół drogi.

Następnego dnia profesor Minc kupił w sklepie zoologicznym nieduże akwarium, nalał do niego wody z dodatkiem różnych środków, postawił elektryczne słoneczko, nad akwarium powiesił lampę radonową i promiennik nadfioletu, połączył czujniki i termometry i zajął się innymi problemami. Po dwóch tygodniach śmiała myśl profesora wydała pierwsze owoce.

Ziarenka kawioru — co prawda nie wszystkie — powiększyły się zauważalnie i wewnątrz, przez syntetyczną błonkę, z której zmył się nieszkodliwy czarny barwnik, można było zobaczyć zwinięte w kłębuszek embriony.

Po upływie następnego tygodnia, kiedy — rozerwawszy błonki — malutkie, centymetrowe strzałki narybku zakłębiły się w akwarium, uradowany, acz powściągliwy w ocenach profesor udał się nad mały, pod jesień prawie wyschnięty, stawek za cerkwią Paraskewy Piatnicy, i wlał do niego zawartość akwarium.

Był jasny, nieco wietrzny dzień wiosenny. Młodziutkie listki dopiero co pojawiły się na brzożach, żabia ikra gronami kolebała się przy brzegu. Minc wyjął ikrę ze stawu, a potem, tuląc akwarium do piersi, wyszedł na szosę i zatrzymał wywrotkę.

— Niech mi pan odleje trochę benzyny! — poprosił profesor uprzejmie. — Niedużo, ze dwa litry.

— Czego?!

Zdziwiony kierowca patrzył z góry na tęgiego starszego mężczyznę w zamszowej marynarce, opinającej krągły brzusek. Mężczyzna podsuwał mu pod nos akwarium i żądał benzyny.

— Mam ogród — powiedział łysy. — Robactwo oblazło. Truję. Dajcie benzynki.

Otrzymał benzynę (za takie pieniądze, jakby to nie była benzyna, a perfumy „Krasnaja

Moskwa”) profesor wlał do stawku. Zdawał sobie sprawę, że postępuje jak wandal, ale waga eksperymentu była tak wielka, że dobro stawku musiało zostać odsunięte na plan dalszy. Profesor podkarmił syntetyczne jesiotrzęta nie tylko benzyną. Kiedyś Udałow, z dziada pradziada mieszkaniec Wielkiego Guslaru spotkał Minca na peryferiach miasta, gdzie tkalnia sztucznego jedwabiu wpuszcza do rzeki Guś kolorową strużkę mętnej cieczy. Na oczach Udałowa profesor zaczerpnął ze strużki pełne wiadro i połączył do miasta.

— Co pan robi. Lwie Chrystoforowiczu? — zdziwił się Udałow. — Przecież to ścieki!

— No i świetnie! — odpowiedział wcale nie speszony profesor. — Im gorzej, tym lepiej!

Produkty, które gwiazdnymi nocami profesor Minc wlewał do stawku za cerkwią, były nader różnorodne — a przede wszystkim podejrzane z wyglądu i obdarzone obrzydliwym zapachem. Ludzie, którzy z przyzwyczajenia chodzili do pracy drogą koło stawku, nie mogli się nadziwić, co dzieje się z malutkim zbiornikiem wodnym i zaczęli obchodzić stawek z daleka. Żaby także z niego uciekły.

Pewnego upalnego czerwcowego dnia, kiedy dalekie powiewy nadciągającej burzy poruszały ciężkie od zapachu bżów powietrze, profesor przyprowadził nad stawek swojego przyjaciela, Saszę Grubina. Profesor niósł pokrywkę i wiadro. Grubin — drugie wiadro.

Na Grubinie stawek zrobił żalotne wrażenie. Trawa na jego brzegu uschła, woda była bura i mętna, bez śladu jakiegokolwiek życia.

— Co się dzieje w przyrodzie — powiedział Sasza, stawiając wiadro na trawie. — Klęska ekologiczna. Przemysłu w okolicy nie ma, a stawek jednak umiera. I pachnie jakoś nieprzyjemnie...

— Gdyby pan tu był wczoraj wieczorem... — uśmiechnął się profesor. — Wylałem litr kwasu azotowego, wiadro mazutu i wysypałem woreczek sproszkowanego azbestu.

— Po co? — zdziwił się Grubin. — Przecież sam pan niedawno włosy rwał z głowy nad sytuacją w przyrodzie.

— Rwałem włosy z głowy — to nie to określenie — odpowiedział Minc. — Dla mnie to po prostu tragedia.

— Teraz to już nie nie rozumiem.

— Zaraz to pan zrozumie — uspokoił go Minc i wyjął z kieszeni paczuszkę, która rozsiewała wyjątkowo paskudny odór. — Zdobyłem to z najwyższym trudem — poinformował Grubina — nie chcieli dać...

— A co to znowu?!

— Ach, drobiazg — powiedział profesor i zawartość paczuski wrzucił do stawku.

W tym momencie woda w nim zakipiała, jakby wetknął weń rozpalony pogrzebacz. Umiarkowanej potworności rybiska, których istnienie w stawku wydawało się niemożliwe, rozpaczliwie walczyły o niejadalne pożywienie. Grubin odskoczył.

— Wiadro! — krzyknął Minc, podnosząc z ziemi pokrywkę. — Niech pan mocno trzyma!

Zaczął wylapywać ryby i wrzucać je do wiader. Po trzech minutach były pełne. Klębiły się w nich młode, wylupiastookie jesiotry.

— Parę sztuk zostawimy tu — zdecydował Minc po zakończeniu operacji. — Dla kontroli i oczyszczenia stawku.

Po drodze do rzeki Guś Lew Chrystoforowicz tłumaczył Grubinowi istotę śmiałego eksperymentu:

— Żułem ten syntetyczny kawior i dumalem: jak stereotypowo myślą nasi Apollinowie. Kawior jest drogi i smaczny. No to wynaleźli tańszy i gorszy. W rezultacie żaden postęp! Bo postęp jest możliwy przy odwadze myślenia, śmiałości zderzania paradoksów. To właśnie moja cecha — cecha prowincjonalnego Marsjasza. Jeżeli jest syntetyczny kawior, to co z

syntetycznymi jesiotrami?

— Nonsens — powiedział Grubin.

— Zgadza się. Nonsens. Pod warunkiem, że nie popatrzysz do wiader, które niesiemy... W porządku, myślałem więc dalej. Być może ja, przy moim wyjątkowym talencie, potrafię wyhodować z syntetycznego kawioru syntetyczne ryby. Ale po co? I tu mnie olśniło! Dla Sprawy!

— Dla jakiej Sprawy? Wodę zatruwać?

— Myślisz niby poprawnie, ale bez polotu — odpowiedział profesor. — Nie truć, ale ratować! Jeżeli wyhoduję syntetyczną rybę, to ona odżywiać się będzie syntetycznym żarciem. Czyli tym, co prawdziwym rybom w stawach i rzekach do niczego się nie przydaje. Głównym surowcem do produkcji syntetycznego kawioru są pochodne ropy naftowej. A czego jak czego, ale tego świństwa jest w naszych zbiornikach wodnych więcej niż trzeba. To wszystko znaczy, drogi kolego, że jeśli powstanie syntetyczny jesiotr, to będzie się on żywił ropą naftową i innymi paskudztwami, które trafiają do rzeki. To genialne odkrycie otworzyło nowe horyzonty... Pozostało tylko znaleźć potwierdzenie mojej hipotezy w praktyce, ale dochowałem się krzepkich rybek, nie tylko z wielkim upodobaniem ćpających mazut i kwasy, lecz także przyzwyczajonych do najobrzydliwszych produktów chemii organicznej i nieorganicznej, jakie trafiają się w zbiornikach wodnych. Rzeczywiście na pewien czas zatrułem stawek przy cerkwi. Ale za miesiąc woda będzie w nim czysta jak łąza. I taka woda będzie też w naszej rzece.

Przyszli na miejsce. Niedaleko od fabryki mebli i tkalni syntetycznego jedwabiu, które wzbogacały wodę rzeki smugami ścieków, łączącymi się wdzięcznie z tęczowymi plamami z pobliskiej bazy samochodowej, Grubin — do głębi wstrząśnięty geniuszem profesora — zdjął buty, wlaź do wody i wychlusnął wiadro z jesiotrami.

— Hej! — krzyczeli z mostu siedzący tam smarkacze. — Wędkarze na odwrót! Kto tak robi!

Grubin odebrał od Minca drugie wiadro z podrastającymi rybami-potworami i też wychlusnął je do wody. Widać było, jak wygłodniałe ryby rzuciły się na plamy mazutu i strugi ścieków. W drodze powrotnej Grubin zapytał:

— A jeść się te jesiotry da?

— Niech ręka boska broni! — wykrzyknął profesor. — Ale po oczyszczeniu naszych rzek będzie w nich taka obfitość prawdziwych jesiotrów, że kawioru najemy się do upojenia!

— Trzeba by się podzielić doświadczeniami, zawiadomić Moskwę...

— Nie uwierzą — uciał profesor. — Mnie bardzo rzadko wierzą. Niech się nasze jesiotry najpierw wykażą.

Grubin, człowiek o wiele od profesora praktyczniejszy, udał się następnego dnia do redakcji gazety „Sztandar Guslaru”, aby pogadać ze swoim przyjacielem, Miszą Standalem. Ten obejrzał oczyszczony dokładnie w ciągu doby stawek przy cerkwi Paraskewy Piatnicy, popatrzył, jak młode jesiotry z zapalem żrą olej napędowy, którym karmi je Grubin, wpadł w zachwyt i wymusił na redaktorze naczelnym zgodę na opublikowanie — póki sprawa się całkowicie nie wyjaśni — następującej treści ostrzeżenia:

„Uwaga wędkarze! W ramach eksperymentu wpuszczono do rzeki Guś specjalne urządzenia oczyszczające wodę z ropy i innych zanieczyszczeń. Dla celów praktycznych urządzeniom tym nadano kształt ryb jesiotrowatych, które w rzeczywistości nie występują w naszych zbiornikach wodnych. Jeżeli urządzenie tego typu znajduje się w sieci lub zostanie złapane na wędkę, prosimy o niezwłoczne wrzucenie go do wody. Spożywanie takiej ryby grozi ciężkim zatruciem! Urządzenia oczyszczające charakteryzują się wyraźnym zapachem kwasu i nafty”.

Kiedy profesor przeczytał notatkę, zauważył tylko:

— Naiwny! Gdzie mój jesiotr da się złapać na wędkę! Dla niego robak to trucizna.

Mieszkańcy Guslaru szybko przywykli do widoku wyrosłych przez lato potężnych rybiszcz, żerujących przy bazie samochodowej czy fabryce. Jesiotrom, które zostały w stawku, także przyszło zmienić miejsce pobytu — przeniesiono je do rzeki, ponieważ karmienie ich stało się dość kłopotliwe. A i stawek dawno zrobił się za ciasny.

Pod jesień przyjechała z obwodu komisja, sprawdzająca efektywność oczyszczania zbiorników wodnych przy użyciu jesiotrów. Komisja była nastawiona sceptycznie. Minc, który tego właśnie się spodziewał, ukreślił z wierzby fujarkę i, nie bacząc na zdumione uśmiešky kolegów, udał się nad rzekę, wygrywając prościutką melodyjkę. Jedyne Grubin domyślał się, że profesor robi za nieszczęsnego Marsjasza. Rzeka Guś płynęła wśród zieleni, wzbudzając zachwyt kryształową czystością swej toni. Czysta była nie tylko dzięki jesiotrom. Od miesiąca wstrząśnięci bajecznymi rezultatami eksperymentu generałowie guslarskiego przemysłu przestali wlewać do rzeki brudną wodę i inne świństwa.

Dyrektor bazy samochodowej — dawniej zacięty wróg czystości, a teraz honorowy przewodniczący Towarzystwa Ochrony Przyrody — oczekiwał komisji nad rzeką. Na oczach wszystkich napełnił szklanke i podniósł ją ku słońcu.

— O pięć procent czystsza niż w Bajkale — oznajmił dyrektor bazy. — Można sprawdzić laboratoryjnie — dodał po chwili.

— W porządku — odparł przewodniczący komisji. — Doskonale. A gdzie są te rzekome jesiotry.

Na twarzy dyrektora odbiło się zmieszanie. Ale był on człowiekiem prawdomównym więc szczerze odpowiedział:

— Jesiotry się was nie doczekały. Odpłynęły.

Profesor Minc smętnie zaświstał na fujarce.

— To znaczy wcześniej były, a teraz się zmyły? — powiedział przewodniczący komisji.

— Przedwczoraj widziałem ostatniego — odpowiedział dyrektor. — Normalna sprawa.

— Nienormalna.

— Tu już nie było nic do żarcia! To co miały robić?! Szybciutko wpuści się prawdziwe.

— Taak... — uśmiechnął się przewodniczący komisji. — Były i nie ma.

— Teraz to trzeba ich szukać w Północnej Dźwinie — oznajmił dyrektor. — Posłaliśmy im nawet ostrzeżenie, żeby nie wylawiali...

— A z Marsjasza zdarli skórę — niezrozumiale dla wszystkich — poza Grubinem — odezwał się profesor Minc.

— To znaczy, że jechaliśmy, traciliśmy czas i państwowe pieniądze — w głosie przewodniczącego słychać było groźbę. — I co zobaczyliśmy?

— Rezultaty udanego eksperymentu — powiedział Minc. — Tak udanego, że jakby go wcale nie było...

— No i woda jest czysta! — wykrzyknął dyrektor bazy samochodowej. — Za to wyrażamy podziękowanie.

Zapadło niezręczne milczenie. Wszyscy zrozumieli, że czas się pożegnać..., Bo i co tu da się zrobić?

I nagle z oddali dobiegł warkot motorówki. Dyrektor bazy zmarszczył czoło. W mieście Wielki Guslar ustanowiono niedawno przepis, zabraniający używania motorówek.

Pasażer łódki zobaczył ludzi na brzegu, ostro skręcił i motorówka utknęła dziobem w mule.

— Lekarza! — zawył z łódki dżentelmen w panamie i dżinsach. — Przyjacieli mi się stru!ł!

— Czym się stru!ł? — zainteresował się Minc.

— Złapaliśmy wczoraj rybke. Rano się podpiekło...

— A duża była ta rybka? — zapytał typa Minc.

— Nie... Skąd... Nieduża.

— Jesiotr?

— A skąd pan wie? — dżentelmen w panamie nagle spłoszył się i zaczął wycofywać w stronę dzioba motorówki, wyraźnie zamierzając odbić od brzegu.

— Miała tak z półtora metra? — zapytał domyślnie dyrektor bazy. — Głuszyliście dynamitem?

— Ludzie! Nie bądźcie małostkowi! Tam człowiek kona!

— Żeby nie poczuć zapachu kwasu i nafty — głosem pełnym zdumienia powiedział Minc — trzeba zażyć potężną dawkę alkoholu...

— Ależ my troszeczkę...

— Tak więc, szanowna komisjo — zaproponował dyrektor od samochodów — namawiam do podjęcia wycieczki na miejsce postoju tych kłusowników i zaznajomienie się z doczesnymi szczątkami syntetycznego jesiotra, który niestety nie zdołał daleko odpłynąć od swego rodzinnego gniazda. Po drodze zabierzemy lekarza i milicjanta...

— Tam została tylko głowa — z przerażeniem wymamrotał typ. — Myśmy ją zakopali.

— Wystarczy głowa — przerwał mu dyrektor.

Członkowie komisji wahali się.

Marsjasz spokojnie grał na fujarce.

— Nie musimy tam jechać — powiedział Sasza Grubin. — Nie musimy. I wskazał palcem na rozlewającą się za rufą łódki benzynową plamę. Nagle wszyscy zobaczyli, jak ogromne rybsko z długim, odrobinę zadartym pyskiem, pożera ową plamę, szeroko otwierając paszczę.

— No i co? — zapytał Grubin, wpadając wieczorem do profesora. — Nie zdarli skóry?

— Co się odwlecze, to nie uciecze — z filozoficznym spokojem odpowiedział Minc.

DWIE METODY TELEPORTACJI

Lew Chrystoforowicz Minc zawsze miał słabość do orkiestr dętych. Orkiestra dęta w mieście Wielki Guslar była na wysokim poziomie, o czym świadczy fakt, że nawet w Wołodzie dostała dyplom. W soboty, kiedy orkiestra występuje w muszli koncertowej, profesor Minc rzuca pracę i idzie do parku rozkoszować się muzyką, która przypomina mu młode lata. Czasami przyłącza się do niego Sasza Grubin czy emeryt Łożkin, także będący wielbicielem solidnych tang i walców o falach Amuru. Tej soboty Mincowi i Grubinowi się nie poszczęściło. W mieście panowała niewielka epidemia grypy, przez co orkiestra na pewien czas została pozbawiona klarncisty i specjalisty od gry na perkusji. Trzeba było tych artystów wypożyczyć z zespołu jazzowego, który grał zwykle w restauracji „Wielki Guslar”. Wdarłszy się do orkiestry młodzieńcy ci burzyli wszelkie tradycje, spiesząc się i wybijając z rytmu tubę i litaury, co spowodowało, że w walcu „Na sopkach Mandzurii” pobrzmiwało jakieś synkopowe lekkoduchostwo. Pełni goryczy koneserzy odeszli od estrady i przysiedli na niebieskiej ławeczce nieopodal kiosku z piwem. Wysokie stoliki dla piwożłopów — jak bez cienia szacunku nazywał ich stary Łożkin — oddzielone były od ławeczki krzakami bzu.

Profesor i Grubin milczeli, pogrążeni w myślach o nauce, sensie życia i innych ważkich problemach, gdy nagle zza krzaków dobiegła ich rozmowa.

Godny basowy głos mówił:

— Pij, Tiupkin, pij, nie kępuj się. Dzisiaj jest mój wielki dzień.

— A co, Edwardzie, masz pomysł, czy coś ci wyszło?

— Mam pomysł.

Za krzakami zapadło milczenie. Widocznie pili piwo.

— A jaki? — rozległo się po pół minucie. Tiupkin miał głos cichy i delikatny.

— Radykalny — odpowiedział Edward. — Postanowiłem przerzucić parę rzeczy na odległość. Na przykład do Saratowa.

— Oho — cichutko sapnął Grubin.

— Zawsze pana szanowałem, Edwardzie, ale to jest chyba niemożliwe — wyszemrał Tiupkin.

— Śmiały lot myśli nie zna granic ni kordonów — odpowiedział skromnie Edward.

— I zamierza pan ten wynalazek wdrażać?

— Daj mi miesiąc — odparł Edward. — W ciągu miesiąca rozgryzę ten problem jak orzech. A na razie — sza! Sam rozumiesz, wszędzie tylu niezyczyliwych zawistników...

— Jasne, Edwardzie, jasne... — zgodził się Tiupkin.

Kufle brzęknęły o stół, rozległy się kroki i już z pewnej odległości doszedł podsłuchujących głosik Tiupkina:

— A w jaki sposób dowiem się o sukcesie pańskiego doświadczenia?

— Za miesiąc, w tym samym miejscu — odpowiedział Edward — i o tej samej porze. Powiem wtedy — udało się czy nie.

Przez pewien czas profesor Minc i Grubin siedzieli wstrząśnięci. Pierwszy oprzytomniał Grubin:

— No nie! Obłędna liczba geniuszy, jak na takie małe miasteczko! Wbrew prawom statystyki. I do tego jeszcze go nie znam!

— Ja też go nie znam — powiedział profesor. — Nigdy nie słyszałem tego głosu. Ale rzecz nie w liczbie geniuszy. Rzecz w tym, że transmisja czegokolwiek materialnego na odległość jest niemożliwa.

— Dlaczego? — zainteresował się Grubin.

— Bo gdyby było inaczej, dawno by to już ktoś wynalazł.

To był argument. Trudno było Grubinowi z nim się spierać. Przy czym na spór wcale nie miał ochoty. Głęboko szanował profesora Mincę jako człowieka i jego wielki umysł.

— Ale jeżeli... — podjął bez przekonania.

— Jeżeli to możliwe, to wynajdę to ja! Choćby dlatego, żeby dowieść samemu sobie wyższość solidnej wiedzy nad dyletantyzmem. Posiadam metodologię...

— Ale przypuśćmy, że Edward ma talent...

— Możemy przypuścić — powściągliwie zgodził się profesor i pośpieszył do domu.

*

Lew Chrystoforowicz w ciągu następnych dni dosłownie przepadł. Rano gnał do sklepu po kefir, potem odwiedzał pocztę, gdzie odbierał przesyłane z Moskwy rzadkie urządzenia i części, i z powrotem pędził do swojego gabinetu-laboratorium. Gdybyście przeszli po korytarzu, usłyszelibyście, jak profesor mruczy, dyskutuje sam ze sobą i z niewidzialnymi oponentami.

Tak minęły dwadzieścia cztery dni. Wszyscy mieszkańcy domu przy ulicy Puszkina 16 znali przyczynę, dla której Mincę wybrał życie pustelnika — Grubin wszystko doniósł. Czekali z niecierpliwością rezultatów zaocznych zmagania tytanów — nieznanego Edwarda i powszechnie lubianego Lwa Chrystoforowicza. Grubin z Udałowem chodzili nieraz pod kiosk z piwem, ale nikogo podobnego do Edwarda i Tiupkina nie spotkali. Doszli więc do wniosku, że Edward również porzucił świat dla swojego laboratorium.

Dwudziestego piątego dnia profesor wynurzył się ze swojego gabinetu i udał się na podwórze, gdzie jego sąsiedzi grali w domino, oświetleni czerwonożłotymi promieniami zachodzącego słońca. Gracze zamarli, wpatrując się w poszarzałą z wysiłku umysłowego twarz Lwa Chrystoforowicza.

— No i co? — przerwał dramatyczną ciszę Udałow.

Profesor westchnął, nie był bowiem nadmiernie skromny.

— Trzeba będzie jeszcze popracować? — zapytał Grubin.

— Trzeba będzie — odrzekł profesor. — Chodźcie do mnie.

Na środku pokoju stało dziwaczne urządzenie. Na dwóch końcach poziomego stojaka, oplatanego kablami przyrządów i prowizorycznie umocowanymi płytkami drukowanymi, wspierały się niewielkie platformy.

— Oto odległość — wyjaśnił profesor — na którą mogę przesłać materię. Taki jest stan na dzień dzisiejszy.

Wziął ze stołu butelkę kefiru, włączył prąd i nacisnął kilka guziczków. Urządzenie głucho zabrzęczało i butelka zniknęła z platformy, pojawiając się natychmiast na drugiej.

Rozległy się huczne oklaski. Grubin i Udałow gorąco gratulowali profesorowi fundamentalnego dla nauki odkrycia.

— Dzisiaj metr — powiedział Udałow — a jutro — na Księżyc!

— Ma pan oczywiście rację — zgodził się Mincę. — Ale do Saratowa jeszcze kawał. Nawet sobie przyjaciele nie wyobrażacie, ile na to potrzeba energii!

— Z tego wynika, że Edwardowi też nie wyjdzie — zamyślił się Grubin. — W tej sytuacji pan jest Apollinem, Lwie Chrystoforowiczu.

— A on Marsjaszem? — Lew Chrystoforowicz popatrzył na zakurzoną fujarkę, walającą się po parapecie. — Nie, nigdy nie zdarłbym skóry z człowieka, który życie poświęcił nauce. Nawet jeśli się myli, jeśli przecenił swe siły. Niech śmiało kroczy naprzód.

— Mogę spróbować? — spytał Udałow.

— Bardzo proszę — pozwolił profesor. — Tę dźwignię niech pan przesunie w pobliże zera, a ten klawisz naciśnię, ale nie do końca.

Udałow podszedł do urządzenia, ale nie wytrzymał, dźwignię przesunął poniżej zera, a klawisz wdusił do oporu. Butelka znikła, ale nie pojawiła się na drugiej platformie. Za to z podwórka rozległ się brzęk i wściekły ryk.

Stał tam obłany od stóp do głów kefirem emeryt Łożkin i jakby się na coś złościł.

Trzeba go było przeprosić i w ramach rekompensaty pozwolić na teleportację własnego zegarka.

— Zrobimy większą dźwignię — zdecydował Udałow — i jutro dojdziemy do stu metrów.

Nie był wcale zmieszany i nie miał poczucia winy. Uczestniczył. A życzliwy ludziom Sasza Grubin polecał do sklepu po kefir, żeby profesor miał coś do picia na rano.

*

Napięcie rosło. Zbliżał się dzień, w którym pod budkę z piwem przybyć miał rywal profesora. Jak on się trzyma? Co z Saratowem? A może się nie udało? A może fiasko?

Z jednej strony wszyscy chcieli fiaska. Człowiek to istota słaba i patrioci domu przy Puszkina 16 życzyli zwycięstwa swemu profesorowi. Z drugiej strony wrodzone poczucie sprawiedliwości mówiło im, że zwycięstwo powinno należeć do nieznanego samouka.

Dokładnie w miesiąc po przypadkowym podsłuchaniu rozmowy w parku Minc, Grubin i Udałow przyszli na tę samą niebieską ławeczkę. Był przyjemny ciepły wieczór i po piwo ustawiła się kolejka. Sąsiedzi podeszli do pierwszego stoika z brzegu. Stał przy nim nieduży, zgarbiony facet, samotnie pijący piwo.

— Tiupkin? — zapytał Udałow.

— Nazywam się Tiupkin — przytaknął tamten lękliwie. — Ale ja nie mam z tym nic wspólnego.

— Edward przyjdzie?

Tiupkin zamrugał nerwowo ale nic nie odpowiedział.

— Spokojnie — powiedział Grubin. — Do pana nic nie mamy. Potrzebny nam Edward. A właściwie nie tyle on, co jego odkrycie.

— Ja tam nic nie wiem! — pisnął Tiupkin. — To nie moja sprawa!

— Nieprawda — powiedział Udałow. — Edward wyznaczył tu panu spotkanie na okoliczność swojego pomysłu o przesyłaniu różnych rzeczy na odległość. A dokładnie — do Saratowa. Jesteśmy ciekawi, czy mu się to udało...

Malutki Tiupkin nagle skoczył i rzucił się w krzaki przy estradzie. Tak w ogóle to poważnym ludziom nie bardzo przystoi uganiać się po parku za jakimś Tiupkinem, ale tym razem szło o wynalazek na skalę światową. I dlatego należało się uganiać.

Dopadli Tiupkina na brzegu rzeki, gdzie usiłował schować się pod ławkę.

— I po co to — perswadował Udałow, wyciągając człowieka spod owej ławki. — Tylko się przyznaj i idź z Bogiem. Nie chcemy twojej krzywdy.

— Chcecie! — zaszczekał zębami Tiupkin. — A ja nic nie wiem. Ja tylko tak z nim gadałem. Prawie człowieka nie znam...

— Spokojnie — zmarszczył czoło Grubin — wszystko po kłęi.

— Jak było po kolei, to zapytajcie na milicji — powiedział Tiupkin. — Dzisiaj go wzięli zaraz po obiedzie.

— Co?! Takiego uczonego!? — Gdzie go trzymają? Zaraz go stamtąd wyciągniemy!

— Nie wyciągniecie — powiedział Tiupkin. — Złapali go na gorącym uczynku. Akurat wysyłał ze swojego magazynu takie różne rzeczy do Saratowa.

— Z magazynu...? — Udałow nachmurzył się. Zaczęło do niego docierać, że padli ofiarami tragikomicznej pomyłki.

— A niby skąd? — powiedział Tiupkin. — Był magazynierem. Kradł, co mu wpadło w ręce. Paskudny typ, ale z rozmachem.

Wracając do domu sąsiedzi żywo dyskutowali niedawne wydarzenia i Grubin zauważył:

— Nie będę protestował, jeżeli z tego akurat Marsjasza zedrą skórę. Ale w sumie odegrał pozytywną rolę w rozwoju nauki.

— Słusznie — zgodził się Udałow. — Gdyby nie on, Lew Chrystoforowicz nie wziąłby się za te eksperymenty.

— A to dlaczego? — obraził się nagle profesor. — Pomysł leżał na ulicy. Stamtąd go wziąłem i zmaterializowałem. Gdyby problem teleportacji nie tkwił głęboko w mojej podświadomości, od razu bym się połapał z kim mam do czynienia.

W tym momencie z nieba spadł kociak, miauknął i rzucił się do ucieczki.

— Pędem do domu! — wrzasnął Udałow. — Niepełnoletni Gawryłow wpadł do pana gabinetu! Jeżeli go nie powstrzymamy, przeteleportuje wszystko, co jest w pokoju!

I sąsiedzi pocwałowali do domu.

TIMEO DANAOS...

Pewnego wrześniowego piątku w okolicach godziny siedemnastej spadł deszcz. Ochłodziło się. Udałow wracał właśnie z pracy i mocno żałował, że nie wziął parasola. Przeczekiwanie deszczu nie miało sensu — najwidoczniej zaciągnęło się na dłużej — i lepiej było trochę zmoknąć, ale jak najszybciej dotrzeć do domu przy Puszkina 16.

Kiedy Udałow przebiegł przez plac, usłyszał nad sobą jakiś huk, podniósł głowę i w ten sposób stał się pierwszym mieszkańcem Wielkiego Guslaru, który zobaczył, jak na plac opada Konstrukcja. Chmury przysłoniły statek kosmiczny i problem, czy zbliżył się on do Guslaru, czy tylko opuścił Konstrukcję, pozostał nierozwiązany. Ledwie Udałow zdążył uskoczyć w stronę muzeum, gdy Konstrukcja ciężko gruchnęła na asfalt. Asfalt nie wytrzymał i promieniście popękał.

Udałow z zapartym tchem przyglądał się Konstrukcji.

Nie wyglądała sympatycznie. Z centralnego słupa sterczały pod ostrymi kątami osie i sworznie, pełne kół j kulek, które, gdy tylko Konstrukcja znieruchomiała, zaczęły obracać się z różnymi prędkościami. Konstrukcja cała była czarna, tylko gdzieś tam przeblyskiwał metal. Miała około pięciu metrów i cicho, ale przenikliwie brzęczała.

Udałow zapomniał o deszczu, zastanawiając się, czym z grubsza jest ta Konstrukcja i w jaki sposób może zagrozić ludności miasta Wielki Guslar. Niczego jednak nie mógł wymyślić z tej prostej przyczyny, że coś takiego widział po raz pierwszy w życiu. Wyrwały go z zadumy zdziwione głosy zgromadzonych na placu guślarzan. Błyskawicznie zbiegła się kupa narodu i przybyły na miejsce wypadku sierżant milicji Pierepielkin odgrodził środek placu sznurem na słupkach, żeby nikt nie zbliżał się do Konstrukcji przed przybyciem uczonych.

Pierwsi naukowcy ściągnęli helikopterami już wieczorem, reszta, mniej operatywna, dobiła nad ranem autobusami i służbowymi samochodami. Od tego momentu plac zaroił się od specjalistów wszelkich możliwych dziedzin nauki. W dodatku trzeba było chronić Konstrukcję przed ciekawością gapiów i turystów. Jednak mimo surowych zakazów i szczelnej ochrony, trzeciego dnia na metalu Konstrukcji pojawiły się dwa napisy. Jeden z nich komentował osobiste stosunki jakiegoś Pieti z jakąś Lusią, a drugi był jeszcze bardziej lakoniczny: „Byliśmy tu, Kola, Ira i Szlapikow z Syzrania”. Ponieważ metalu Konstrukcji nie można było zarysować żadnym świdrem ani wiertelkiem, pozostało słodką tajemnicą Pieti i Szlapikowa z kolegami, w jaki sposób udało im się uwiecznić swe imiona na powierzchni Konstrukcji. Poszukiwania Szlapikowa trwają.

*

Kiedy uczeni oglądali, mierzyli i drapali Konstrukcję, w domu przy ulicy Puszkina 16 prowadzono gorące dyskusje na jej temat. Rozważano, dlaczego mianowicie i w jakim celu zrzucano Konstrukcję z Kosmosu i czy stanowi ona zagrożenie dla Ziemi — w ogóle, i dla Wielkiego Guslaru — w szczególności.

Romantycznie nastawiony do rzeczywistości Udałow przemierzał krótkimi, energicznymi krokami zagracony gabinet profesora Minca i perorował:

— Podstawowe uczucie w Kosmosie — to pragnienie współpracy, przyjaźni. Spotkałem się z kilkoma Kosmitami, mało który był do nas nastawiony negatywnie.

— To jeszcze o niczym nie świadczy — zauważył znany sceptyk, emeryt Łożkin.

— W tym powinien być jakiś cel... — zamyślił się profesor Minc, przyglądając się uważnie fotografii Konstrukcji. Nie można jej było obejrzeć w naturze, ponieważ uczeni dla ochrony przed turystami przykryli Konstrukcję brezentową kopułą, służącą dawniej jako namiot przyjeżdżającym do miasta cyrkom.

— Dlaczego zrzucili na Ziemię tę paskudną dla naszego nieprzywykłego oka Konstrukcję? — ciągnął Udałow. — Mieli tylko jeden cel: wzbogacić nas.

— Wzbogacić? — spytał Grubin. — Jeżeli wzbogacić, to o co?

— O zdobycze postępu kosmicznego.

— Bzdura — powiedział profesor Minc. — Jak ja mam kogoś o cokolwiek wzbogacać, to przyczepiam do urzędnika jakąś karteczkę z wyjaśnieniem. W zrozumiałym języku. Po diabła nam wzbogacenie, jeżeli nie mamy pojęcia, o co nas wzbogacają?

— I o to chodziło — krzyknął radośnie Udałow. — Tu właśnie jest pies pogrzebany! Na pierwszy rzut oka — bzdura, a tu wszystko precyzyjnie przemyślano. Wystawcie sobie: siedzą na tej swojej planecie nasi wyżej zorganizowani bracia w rozumie i myślą: dorosła już Ziemia do poziomu cywilizacji kosmicznej? Może jej zaproponować galaktyczną współpracę? I jak znaleźć odpowiedź na takie pytanie?

— Przyjechać i zapytać — powiedział Grubin.

— Zapytają ciebie, a czy ty jesteś obiektywny? Sfałszujesz cały obraz.

— Przecież ja nie kłamię — zaperzył się Grubin.

— Wprowadzasz w błąd. Każdy z nas wprowadzi w błąd. Przy tym jesteśmy niedoinformowani. Ja na przykład nie śledzę ostatnich osiągnięć mechaniki teoretycznej. Być może Lew Chrystoforowicz... Ale i on... No, spróbuj znaleźć kogoś miarodajnego.

— Aha — powiedział Minc. — Takiego niełatwo znaleźć.

— I tu przysyłają nam Konstrukcję. Takiej jeszcze nie widzieliśmy. I tę Konstrukcję powinniśmy rozszyfrować i uruchomić. To nieważne do czego ona służy: może sadi drzewa, może kopie dołki w ziemi, wszystko jedno. Ale oni siedzą i przyglądają się nam: sprawdzimy się czy nie sprawdzimy? Sprawdzimy się — wszystkie drogi rozwoju naukowego i gospodarczego staną przed nami otworem. Nie sprawdzimy się — przyjdzie jeszcze ze sto lat poczekać...

Wszyscy się zadumali. Idea Udałowa brzmiała pociągająco. Coś w niej było... Tylko uparty Łożkin zauważył:

— To w końcu po co spuścili ją nam? Powinni dać ją do Moskwy albo do Paryża. Tam są specjaliści i miasta większe.

— Nie masz racji, Łożkin — powiedział Udałow. — Droga losowania wybrali najzwyczajniejsze miasto i najzwyczajniejszych ludzi. Zresztą co to zmienia, że to nie Moskwa. Spójrz tylko na hotel — zabity członkami akademii, po trzy sztuki w jednym łóżku śpi.

— Rozumiem — wyszeptał Minc. — Wszystko zrozumiałem...

Podniósł się, podszedł do okna, wziął z parapetu własnoręcznie wykonaną fujarkę, wetknął ją do kieszeni zamszowej marynarki, powiódł pełnym zadumy wzrokiem po obecnych i wyjaśnił: ‘

— Konstrukcję spuszczone właśnie tutaj, ponieważ tamci wiedzą, że w tym miasteczku mieszkam ja. A pytania zostały zadane mnie — skromnemu Marsjaszowi. Niestety, całe zebrane stadko Apollinów jest tu bezsilne.

Mówiąc to profesor wyszedł z pokoju, a Udałow zapytał:

— A ten Marsjasz, to kto?

— Bóg wojny — wyjaśnił Łożkin. — Tylko on siebie przecenia. Tamci to akademicy, a on kto? Prosty profesor.

— Marsjasz też był tylko prostym satyrem, grającym na fujarce — powiedział Grubin. — Apollo obdarł go ze skóry.

— Aż tak niedobrze!? — zdenerwował się Udałow. — Ojej!

*

Akademicy Konstrukcję obmierzyli, zbadali, nawet się do niej przyzwyczaili, ale za nic nie mogli dojść do żadnych wniosków. Minc prawie ich nie zauważył, choć z niejednym razem studiował na Uniwersytecie. Myślał.

Konstrukcja spokojnie stała na placu, poskrzypując z cicha pod brezentowym namiotem, emeryt Łożkin obchodził ją z daleka, ponieważ nie miał zaufania do niosących dary Danaów, a Lew Chrystoforowicz zbudował w zaciszu gabinetu dwadzieścia modeli Konstrukcji i spędzał bezsenne noce na przyglądaniu się im i rozmyślaniu, do czego to właściwie może służyć.

I kiedy po miesiącu dowiedziawszy się o Konstrukcji wszystkiego, czego można się było dowiedzieć, i nie doszedłszy do żadnych wniosków poza stwierdzeniem, że jest przedmiotem nieznanego pochodzenia, akademicy zebrali się pod cyrkowym namiotem na ostatnią naradę, wkroczył na arenę profesor Minc z ogromną walizą w ręku. Dopóki członkowie Akademii dzielili się końcowymi spostrzeżeniami, siedział spokojnie pod ścianą i obracał w palcach fujarkę. Potem poprosił o głos.

— Szanowni koledzy! — powiedział. — Nie ujmując niczego waszej erudycji i szlachetnemu pędowi wiedzy, chciałem zwrócić waszą uwagę na pewien błąd metodologiczny, którego ofiarą padliście kolektywnie. A priori uznaliście Konstrukcję za nieznaną, zagadkowy przedmiot, nie mający praktycznego znaczenia. Ja zaś uważam, że Konstrukcja jest wyzwaniem, rzuconym naszemu intelektowi, naszej wynalazczości i rozumowi. Skoro nie została tu zrzucana przypadkowo, obowiązkiem naszym jest przyjąć to wyzwanie. Wyście się od tego uchylili, więc cały ciężar problemu przyszło mi wziąć na swoje barki.

Wygłosiwszy owo przemówienie profesor Minc otworzył walizę, a akademicy powściągliwie wyrazili swoje nieukontentowanie nader pewnym siebie tonem i manierami swego prowincjonalnego kolegi.

Lew Chrystoforowicz wyciągnął kilkanaście modeli Konstrukcji — tak od trzech centymetrów do pół metra — i położył je na asfalcie obok ich olbrzymiego prototypu.

— Koledzy — powiedział. — Odkryłem, że nasi kosmiczni egzaminatorzy okazali się o wiele chytrzejsi, niż na początku podejrzewałem. Konstrukcja da się wykorzystać praktycznie nie na jeden, a na co najmniej dwadzieścia sposobów.

Profesor ujął najmniejszy modelik, zgrabnie wyciągnął z kieszeni igłę z nitką, wetknął ją w model i, na oczach oszołomionych akademików, błyskawicznie zacerował tym urządzeniem dziurę w kurtynie, przy której jeszcze niedawno ustawili się uniformiści.

— To — wyjaśnił — równa się rewolucji w przemyśle włókienniczym. Nie mnie dziękujcie. Dziękujcie naszym kosmicznym braciom.

Mówiąc te słowa wziął do ręki drugi model.

— Przedstawiam panom — oznajmił — rewelacyjne nożyce do strzyżenia owiec.

Wybrał z dostojnego grona chlubę nauki obdarzoną nader bujną czupryną i przesunął model Konstrukcji nad głową uczonego kolegi. Kolega ujrzał się nagle ostrzyżonym na zero, od czego popadł w głęboką dystrakcję.

— Dalej — powiedział Minc, odkładając model drugi i biorąc się za trzeci — widzimy coś w rodzaju mechanicznego kreta, niezwykle przydatnego przy budowie rurociągów.

Lew Chrystoforowicz położył model na ziemi, nacisnął go, a ten z zapalem wgryzł się w asfalt, znikając wszystkim z oczu, aby po piętnastu minutach pojawić się na powierzchni w odległości jakichś stu metrów od Minca.

— A teraz... — mówił Minc, podnosząc czwarty model...

Tak nieprawdopodobna erupcja talentu wynalazczego kompletnie odjęła członkom Akademii zdolność mówienia. Krótko mówiąc — zatkało ich. Pod cyrkowym namiotem zapadła grobowa cisza. Nagle nad głowami zebranych rozległ się głuchy ryk. Minc zamarł. Członkowie Akademii zerwali się na równe nogi. Sierżant milicji, Pierepielkin wpadł do namiotu i krzyknął:

— Statek kosmiczny nieznanej konstrukcji!

Wszyscy wybiegli na zewnątrz, obserwując, jak podobny do jaskrawo pomalowanego dziecinnego bąka pojazd kosmiczny ostrożnie ląduje na placu.

Z tłumu wystąpił Minc. Nikt nie ośmielił się zatrzymać go w godzinie galaktycznego święta. Uśmiechając się zagadkowo, profesor kręcił w palcach fujarkę.

Luk otworzył się. Wszedł z niego kosmita w stroju dość niedbałym, a do tego jeszcze boso. Uprzejmie skłonił się zebranym, rozejrzał się i zapytał:

— Gdzie?

— Tam! — odpowiedział Minc, wskazując cyrkowy namiot.

— Ach, tak! — powiedział przybysz i wykonał niewielki ruch palcem wskazującym. Namiot znikł, i natychmiast pojawił się — schludnie złożony — w odległości mniej więcej stu metrów od Konstrukcji.

— To nie potrzebne — oznajmił gość z innej planety. — Ona nie boi się deszczu i zimna. To rzecz nie do zdarcia. Ale w każdym razie dziękuję.

Przybysz przechylił głowę i przyjrzał się Konstrukcji. Potem przeniósł wzrok na profesora Minca, który wyjął z kieszeni maluteńki model, mający stanowić rewolucję w przemyśle włókienniczym.

— Zuch! — powiedział z uśmiechem Kosmita. — Podobna... Bardzo podobna, pan jest kopistą?

— Nie. — Minc też uśmiechnął się w odpowiedzi. — Swego rodzaju racjonalizatorem.

— No, no... — powiedział przybysz. — Myślałem, że ją stąd zabiorę. Potem wyjaśnił:

— Popelniono pomyłkę. Poczciarze mieli ją dostarczyć na Sperlakidę, a zrzucili w innym sektorze. Pomyślałem, że ją wezmę i postawię, gdzie trzeba. A tu okazało się, że wam się spodobała. Robicie kopie, trzymacie na placu pod brezentem. Bardzo dziękuję!

— Wyczuwam sprawę — powiedział Minc.

— Czucie sztuki to wielki dar Kosmosu — przyznał przybysz. — Oddałem tej rzeźbie dwa życia!

Minc po cichutku schował do kieszeni maleńki model Konstrukcji. Osmyczony akademik znacząco chrząknął. Kosmiczny rzeźbiarz omiół plac wzrokiem i powiedział:

— Ale myśleć kategoriami wielkich form toście się jeszcze nie nauczyli. Zaraz to naprawimy!

Jednym ruchem palca przeniósł cerkiew Paraskewy Piatnicy na przeciwległy brzeg rzeki Guś, drugim — usunął z placu zabytkowy gmach muzeum. Trzecim ruchem palca unicestwił stary zajazd. Teraz już nic nie przeszkadzało mieszkańcom Wielkiego Guslaru w podziwianiu Konstrukcji z każdego punktu miasta...

A potem wziął i odleciał. ‘

*

Konstrukcja stoi na placu po dziś dzień. Właściwie mało komu się podoba, ale oddać na złom kosmiczny dar jakoś niezręcznie.

Tylko profesor Minc swoją samodzielnie wykonaną fujarkę wrzucił do rzeki Guś.

SĄ WOLNE MIEJSCA

Młodzieniec w starannie odprasowanym granatowym garniturze z ciemnym krawatem stanął w drzwiach i zapytał:

— Który z panów jest, za przeproszeniem, Lwem Chrystoforowiczem? Obrócenie w stronę gościa stali w gabinecie dwaj mężczyźni. Jeden był może nie gruby, ale krępy. Łysa głowa fascynowała szlachetnością linii. Małe jaskrawoniebieskie oczy patrzyły na młodego człowieka wnikliwie i uważnie. Drugi był młodszy, zarośnięty, chudy i wiecznie podniecony.

— Pan jest Lwem Chrystoforowiczem? — zapytał młodzieniec zarośniętego, który jakoś bardziej wyglądał mu na geniusza.

Ale zarośnięty z uśmiechem wskazał oczami łysego, który powiedział ostro, jak powiedziałyby Sherlock Holmes:

— Profesor Minc to ja. A pana niedawno postawiono na kierowniczym stanowisku i spotkał się pan z nieprzewidywanymi trudnościami, nieprawdaż?

Młodzieniec potulnie przytaknął.

— I trudności okazały się tak wielkie, że nie jest pan sobie w stanie z nimi poradzić. I ktoś znajomy, najprawdopodobniej kierownik naszego przedsiębiorstwa budowlanego. Korneliusz Udałow, poradził panu pójść do dobrego wujaszka Minca i poprosić, żeby wynalazł beton bez cementu, bo akurat cementu panu nie dowieźli, a plan się wali. Było tak czy nie?

Młodzieniec odpowiedział:

— Prawie tak.

— Dlaczego „prawie”? — Zdziwił się Minc. — Zawsze w takich sprawach mam rację.

— Przyjść do pana poradził mi Misza Standal z gazety miejskiej, nie kieruję budową, tylko hotelem „Geś”.

— Być nie może? — wykrzyknął Minc.

— Iwana Prokofiewicza zdjeli!

— Najwyższa pora — zauważył zarośnięty Grubin. Niech pan siada, po co stać.

Grubin podsunął młodzieńcowi krzesło, ale ten odmówił.

— Nasiedziałem się — powiedział. — Trzeci dzień przejmuję dokumentację.

— Do niczego się panu nie przydam — wtrącił Minc. — Hoteli budować nie potrafię, a jeśli chodzi o dokumentację, to ze mnie całkowity profan.

— Proszę mnie najpierw wysłuchać! — zakwilił młody dyrektor. — Nazywam się Fiodor Fiodorowicz Łastoczkin, pracowałem w rozpowszechnianiu filmów, a teraz rzucili mnie na usługi. Mówią: trzeba. Zgodziłem się. Hotel nieduży, pretendentów do łóżka wielu, obsługa kuleje. Zresztą co wam będę mówił, a sami wiecie.

— Wiemy, wiemy — powiedział Grubin. — Wywieszkę „Nie ma wolnych miejsc” to macie przynitowaną na stałe.

— W zasadzie ma pan rację. Ale co to zmienia? Przez dwa dni tłumaczyłem brak mięsa błędami poprzedniej dyrekcji, a dzisiaj wzywa mnie Białowski i powiada, że pojutrze w naszym mieście nastąpi otwarcie sympozjum na temat hodowli raków i znaczenie tego wydarzenia wykracza daleko poza granice naszego obwodu. Dla uczestników sympozjum trzeba zabezpieczyć dwadzieścia osiem luksusowych pokoi. Ja w hotelu mam ich tylko trzydzieści trzy. A wszyscy klienci mają delegację, wszyscy w pretensjach. Do tego jeszcze w holu koczują na walizkach coś z piętnaście sztuk. Opowiedziałem to wszystko mojemu przyjacielowi, Miszy Standalowi, a on na to: pomóc ci może jedynie profesor Minc. To prawdziwy geniusz. No to

przyszedłem.

Fiodor popatrzył na Minca wzrokiem pełnym męki. I Mincowi drgnęło serce. Jeszcze przed chwilą był przekonany, że kolejnemu petentowi pokaże drzwi. Ale młodzieniec rzeczywiście znajdował się w krytycznej sytuacji. I pobudki miał szlachetne. W sumie to ważne znaleźć dodatkową powierzchnię mieszkalną...

A do tego: wspaniały intelekt profesora Minca zetknąwszy się z nie rozwiązaniem problemem, zaczął aktywnie pracować niezależnie od woli swego posiadacza. Wynajdując i odrzucając tysiące wariantów, starał się znaleźć rozwiązanie, nie pozwalając Lwu Chrystoforowiczowi spokojnie spać i przyjmować posiłków.

— Nie — usłyszał Lew Chrystoforowicz głos Saszy Grubina. — Tu ci, Fiedia, i profesor Minc nie pomoże. Jeszcze nikomu nie udało się zatrzymać w naszym hotelu ot, tak sobie. To nie problem naukowy, tylko społeczny.

— Problemy, których by nauka nie potrafiła rozwiązać nie istnieją — surowo odpowiedział profesor Minc. — Wszystko na tym świecie jest ze sobą powiązane.

— Oho — powiedział Sasza Grubin — coś mi się wydaje, że całe moje gadanie na nic. Czuje moje serce, że pan się weźmie za ten hotel.

— I to bez zwłoki — powiedział Minc. — Jesteście wolni. Rozpoczynam proces myślowy.

— A kiedy mam przyjść po odpowiedź? — z nadzieją w głosie zapytał dyrektor hotelu.

— Sympozjum jest pojutrze? No to jutro po obiedzie.

Nazajutrz o trzeciej Fiodor Łastoczkin stał już pod oknem profesora. Nerwowo zacierał ręce, patrzył w górę, ale w sumie zachowywał się nienatępnie. Wreszcie głowa profesora pojawiła się w oknie, słońce odbijało się w łysinie i lustrzany zajączek poleciał w chmury.

— Czemu pan nie wchodzi? — krzyknął profesor.

— Bałem się panu przeszkadzać — odpowiedział dyrektor hotelu.

— Już można — oznajmił Minc. — Jabłko spadło.

Siedzieli w gabinecie Minca od trzeciej do dziewiątej. Z pokoju dobiegały głosy to podniesione w sporze, to przycichające refleksją. Po sześciu godzinach kryzys hotelowy w Wielkim Guslarze został rozwiązany. A Fiodor poszedł do siebie, tuląc czule do piersi ciężką metalową skrzynkę z urządzeniem, które Lew Chrystoforowicz konstruował w innym co prawda celu, ale mądrze je przystosował do rozgęszczania lokatorów.

Było już ciemno, kiedy Fiodor wszedł do żółtego budynku, dawnego hotelu „Promenada” służącego przyjezdnym kupcom, a teraz po dobudowaniu drugiego piętra i wymianie aksamitnych portier na nylonowe zasłony, będącego siedzibą miejskiego hotelu „Gęś” — agendy przedsiębiorstwa usług komunalnych.

W holu, pod ogromną, nadnaturalnej wielkości kopią obrazu Riepina „Iwan Groźny zabijający swego syna, Iwana” mrowili się jak pogorzelnicy bezdomni klienci. Dyrektora ze skrzynką nikt nie podejrzewał o bycie dyrektorem, więc bez przeszkód przedostał się do swego gabinetu. Tylko rubensowska w wyrazie Dusia, dyżurna recepcjonistka, osadziła wzrokiem na miejscu czarnowąsęgo mężczyznę, który usiłował jej podetknąć wypełniony blankiet meldunkowy. Recepcjonistka Dusia była przekonana, że im mniej dóbr, tym lepiej dla niej — ich szaf arki, bo zawsze przecież znajdzie się człowiek mądry, gotów właściwie ocenić jej wielkoduszość.

Następnego dnia dyrektor hotelu wcześniej przyszedł do pracy. Dusia jeszcze drzemała za barierką, w holu na krzesłach i walizkach spali bezdomni klienci. U siebie w gabinecie dyrektor otworzył sejf, w którym spędziła noc wynaleziona przez profesora Minca maszyna, wyjął ją i postawił na biurku. Potem włączył do prądu. I w tym momencie zadzwonił telefon. Dzwonił sam Biełosielski:

— I co robimy, Łastoczkin? — zapytał.

— Pomieścimy — spokojnie odpowiedział Fiodor.

Biełosielski westchnął i uprzedził:

— Tylko grzecznie, bez skandali! Poprzednich gości siłą nie wysiedlać! Nie zapominaj, że hasło „cel uświęca środki” wymyślili średniowieczni wstecznicy, jezuici. Nam z nimi nie po drodze!

— Żadnych jezuitów — odpowiedział Łastoczkin. — Myślę nawet, że zostanie trochę wolnych miejsc.

— No, no... — powiedział Biełosielski. Jego zadanie polegało na tym, aby podwładni uprawiali swoje skromne niwy, nie gwałcąc zasad humanitaryzmu. A szczegóły — to już ich sprawa.

Urządzenie pracowało. Migotało lampkami i cicho szumiało, jak przystoi fantastycznej maszynie. Odłożywszy słuchawkę Łastoczkin zaczął naciskać guziki...

Pół godziny później wyszedł do holu. Pogorzelnicy gnieździł się pod obrazem. Dusia malowała na niebiesko sztuczne rzęsy, złote pierścionki sypały w słońcu iskry. Rubensowska recepcjonistka była uciążliwym spadkiem po poprzedniej dyrekcji.

— Na dziś jest pani wolna — powiedział Łastoczkin. — Pokoje sam porozdzielałam.

— Co tam dzielić! — odpowiedziała Dusia. — Wolnych miejsc nie ma.

Fiodor nie wdawał się z nią w dyskusję. Począł, aż Dusia wyjdzie i otworzył książkę meldunkową. Wyjął z kieszeni karteczkę z tajemniczymi znaczkami i szybko naniósł je na rubryki księgi. Potem wyszedł na ulicę, zerwał niklowaną tabliczkę „Nie ma wolnych miejsc” i przymocował do drzwi kartkę z napisem „Wolne miejsca są”. Wrócił do holu, spojrzął na budzących się pogorzelników i oznajmił im:

— Towarzysze, proszę podchodzić po kolei. Postaramy się zabezpieczyć wam powierzchnię mieszkalną!

Następne trzy dni stały się dla miasta prawdziwym świętem. Uczestnicy sympozjum udekorowani gigantycznymi znaczkami przedstawiającymi czerwonego raka na błękitnym tle spacerowali po mieście, podziwiali zabytki architektury i owocnie obradowali w komisjach i na zebraniach plenarnych. Po ich wyjeździe pełen nieufności Biełosielski incognito odwiedził hotel „Gęś”, zajrzał do księgi meldunkowej, w której nie znalazł żadnych nieprawidłowości, i do książki skarg i wniosków, gdzie odkrył szesnaście pochwał pod adresem dyrekcji. Po tej wizycie Biełosielski wystąpił na zebraniu Miejskiej Rady Narodowej ze zwięzłym acz dobitnym przemówieniem na temat korzyści płynących ze stawiania na młodych. Jako przykład przytoczył pozytywne zmiany w funkcjonowaniu hotelu, którym ostatnio kieruje towarzysz Łastoczkin F.F.

I tak to się potoczyło. W spokojniejsze dni Fiodor oddawał ster władzy w ręce recepcjonistów, a gdy zbliżał się jakiś większy zjazd odprawiał wszystkich do domów i, spędziwszy pół godziny w towarzystwie maszyny profesora Minca, z pieśnią masową na ustach zakwaterowywał rozhisteryzowanych przyjezdnych.

I tylko Dusia cierpiała. W jej przekonaniu dyrektor był nędznym oszustem, albo wręcz bandytą. Zbyt dobrze знаła się na pracy w gospodarce komunalnej, żeby nie rozumieć, że wyczyny Łastoczkinina pachną czarną magią i szalbierstwem. Wiedziała, że hotel od czasu do czasu mieści dwa razy więcej gości niż ma pokoi. Strumień dowodów wdzięczności dla Dusii zaczął gwałtownie wysychać. Ale zdemaskowanie dyrektora okazało się nie takie łatwe. Książki prowadził porządnie, a gdy zwały się stada gości, pozbywał się Dusii. Raz o mało nie złapała go za rękę, ale wywinął się jak piskorz.

Było to tak. Z Władywostoku przyjechał autobus pełen turystów. Nieoczekiwanie. Hotel był pełny. Kiedy Fiodor poszedł ich poupychać, Dusia udała, że wychodzi, ale umyślnie zostawiła torebkę i po jakichś piętnastu minutach cichutko, na paluszkach wróciła. Fiodor był tak

pograżony w pracy, że nie od razu spostrzegł jej pojawienie się. Dusi udało się podejść blisko i zajrzeć mu przez ramię. I zobaczyła, że wypisuje turyście kwit na pokój nr 14. Na ten sam pokój, w którym Dusia umieściła wybitną dojarkę z Wołogdy! Dusia powinna była siedzieć cicho, kontynuować obserwację, zebrać jak najwięcej faktów i wystrzelić z grubej rury, ale nie wytrzymała i od razu zaczęła działalność demaskatorską.

— Co pan robi, Fiodorze Fiodorowiczu! Tam śpi kobieta, a pan pcha do pokoju mężczyznę! Za szerzenie rozpusty na pewno pana po główce nie pogłaszczą!

— Jaka znowu kobieta? — zaniepokoił się turysta. — Nie chcę! Mam żonę!

— Jewdokio Semionowna — dyrektor hotelu zamknął księgę i spojrzał na recepcjonistką złym wzrokiem. — Zechce pani wyjść. Wybitną dojarkę przeniosłem do innego pokoju. Niech pani nie szerzy plotek.

Cóż było robić? Dusia wzięła torbę i wyszła. Ale się nie poddała. Na drugi dzień, kiedy dyrektora nie było w pobliżu, poszła do numeru czternastego, zobaczyła tam wybitną dojarkę i bez owijania w bawełnę zadała jej pytanie:

— Panią wczoraj przeniesiono do innego pokoju?

— Nie.

— W pani pokoju nocował obcy mężczyzna?

— Jak pani śmie! — zarumieniła się wybitna dojarka. Była młoda i ładna, a jej narzeczony został w Wołodzie.

— Poszedł sobie o jedenastej, tak?

— Tu nikogo nie było — oczy wybitnej dojarki napęły się łzami. — Jak pani śmie!

— Dusia jej uwierzyła i ze zdwojoną czujnością zaczęła śledzić dyrektora. Wpadł po dwóch dniach.

A stało się to tak: zawiadomiono hotel, że rano przyjadą nurkowie-amatorzy w ilości sztuk czterdzieści, a sezon turystyczny w pełni, hotel zapchany po brzegi. Dusia zobaczyła, że optymizm dyrektora zaczyna się chwiać. Podśluchała nawet jak dzwonił do Biłosielskiego, ale Biłosielski, przekonany o dyrektorskiej wszechmocy odpowiedział krótko:

— Trzeba, Fiedia.

Komu innemu może by i pomógł, opróżniając dla nurków-amatorów budynek Technikum Rzecznego, ale Fiodor Biłosielskiego rozpuścił. A szef też człowiek, lubi mieć święty spokój.

Tak czy inaczej Fiodor nie poszedł tego dnia do domu, tylko zamknął się w swoim gabinecie. O dziesiątej wieczorem Dusia podkrađła się pod drzwi i usłyszała męskie głosy; dyrektor nie był sam. Przyłożyła ucho do dziurki od klucza, ale nie mogła niczego zrozumieć. Wyszła na zewnątrz i stanęła pod oknem. Firanka lekko się odchyliła, więc Dusia zajrzała do środka. Potem zemdląła. A kiedy rześkie powietrze nocy i bzykanie komarów doprowadziły ją do przytomności, pogoniła pisać skargę na dyrektora z żądaniem natychciastowego przysłania kontroli i przykładowego ukarania tego plugawca.

Nurkowie-amatorzy przespali się jakoś na polowych łózkach, a tego samego dnia — bo sygnał Dusi był mocno alarmujący — po obiedzie pojawiła się kontrola.

Kontrola usiadła przeglądać księgi, a dyrektor wymknął się z hotelu i popędził do profesora Minca.

— Ratunku! — powiedział. — Nie ustrzegłem się od kobry imieniem Dusia. Sprowadziła mi na głowę kłeskę żywiolową. Jak tylko przejdą się z książką po pokojach, sprawa się rypnie.

— Ech — westchnął Minc. — Nie chce mi się odrywać od kolejnego wynalazku, ale nie widzę wyjścia. Chodźmy do Biłosielskiego. To szeroka natura, pełna troski o dobro miasta, będziemy z nim szczerzy. Jeżeli go przekonamy, to wyjdziemy na swoje. A kontrolą się nie przejmuj. Niczego nie znajda.

Biełosielski przyjął ich od razu. Minca bardzo szanował, nawet chlubił się tym, że ten genialny mąż ceniał Wielki Guslar wyżej niż inne miasta. Przeciwko Fiodorowi też nic nie miał.

— W hotelu „Gęś” jest kontrola — powiedział Minc, gdy już usiedli. — Niczego nie znajdują.

— A tak, mam już wyniki — połapał się Biełosielski. — Tu trzeba, Fiedia, przypatrzeć się kolektywowi. W najzdrowszym kolektywie mogą znaleźć się jednostki nie w pełni uświadomione, ba — powiem więcej — elementy stojące na drodze postępu.

Fiodor kornie spuścił głowę. Był tego samego zdania.

— Kontrola niczego nie znajdzie — kontynuował Minc. — Nadużyć finansowych nie było. Wszystkie rachunki zostały uregulowane. Może mi pan wierzyć.

— No to dlaczego się denerwujecie? — z niejaką ulgą zapytał Biełosielski.

— Dlatego, że to nie ostatnia kontrola — odparł Minc. — Wcześniej czy później znajdzie się jakiś skrupulant, który odkryje nieporządek.

— Mówiliście, że niczego takiego nie ma!

— Kantów nie ma — odpowiedział Minc — a nieporządek jest. Cechą szczególną nas, ludzi, jest odpędzanie od siebie wszelkich złych myśli. Pan, na przykład, na pewno dawno podejrzewał, że w hotelu nie wszystko jest, jak trzeba: przez wiele lat o pokoju trudno było nawet marzyć, a teraz zawsze są wolne miejsca. Ale dopóki wszystko szło gładko, postanowił pan niczego nie zauważać.

— W tym coś jest — przyznał Biełosielski. — To moje wyraźne niedopatrzenie. Więc powiedzcie wreszcie o co chodzi i pomyślimy wspólnie.

— Nie będę niczego ukrywał — zgodził się Minc. — Przyszedł do mnie towarzysz Łastoczkin i poprosił o pomoc. Zacząłem więc intensywnie myśleć nad rozwiązaniem kryzysu hotelowego w naszym mieście. Początkowo rozważałem metodę minimalizacji.

— Sprecyzujcie! — poprosił Biełosielski.

— Sprecyzuję. Metoda minimalizacji polega na redukcji odległości między atomami, dzięki czemu każda istota wielokrotnie się zmniejsza. Przeprowadziłem podobny eksperyment z szefem naszego przedsiębiorstwa budowlanego, Korneliuszem Udałowem i był to eksperyment udany, jeżeli oczywiście nie brać pod uwagę pewnych komplikacji natury osobistej i rodzinnej.

— Chwileczkę, chwileczkę — wtrącił Biełosielski. — Jak to? Widziałem wczoraj Korneliusza na zebraniu. Był zupełnie naturalnej wielkości!

— Minimalizacja działa w określonym czasie, mniej więcej dobie, przy czym nie jest szkodliwa dla zdrowia. Osobnik poddany minimalizacji kurczy się do rozmiarów myszy, a potem wraca do normalnej wielkości. Myślałem najpierw, że kupimy w sklepie z zabawkami lalczyne łódeczka, uszyjemy pościel, piżamki...

Biełosielski pokiwał głową z niedowierzaniem.

— I o to chodzi — profesor Minc zauważył ten ruch. — Też myślałem o kłopotach organizacyjnych. Każdemu wyjaśnić o co chodzi, budować magazyny na bagaże... A co będzie, jeżeli obywatele na delegacji będą chcieli robić w mieście zakupy? Albo komuś wyskoczy niezaplanowana narada?

— Nie — zdecydowanie stwierdził Biełosielski. — Niech pan wybaczy, Lwie Chrystoforowiczu, ja się pod tym nie podpiszę. Nie zgadzam się.

— I dobrze pan robi — potaknął Minc. — Ja sam też jestem przeciwny. Po prostu chcę panu unaocznić śmiały lot moich myśli.

— Rzeczywiście — zgodził się Biełosielski. — Bardzo śmiały.

— Tak więc porzuciwszy pierwszy pomysł — a także osiem innych, nad którymi nie będę się tu rozwodził — pozostałem przy najprostszej, czystej i na dzisiejsze czasy zwariowanej idei. Przy idei światów równoległych.

— Czy to nie jest jakaś mistyka? — zaniepokoił się Bięłosielski.

— Problem w pełni naukowy — odparł Minc. — Czego dowodem hotel „Geś”.

— Proszę o szczegóły surowo powiedział Bięłosielski. — Kontrola już pracuje i muszę zapoznać się ze wszystkimi detalami.

Detali nie ma wiele. Musi pan przyjąć, że nasza Ziemia nie jest w kosmosie jedynaczką. W innych wymiarach istnieje wiele równoległych do niej światów. Wynałazłem więc urządzenie, które pozwala nawiązać łączność z tymi z nich, które są do Ziemi najbardziej podobne. Jest tam oczywiście miasto Wielki Guslar, hotel „Geś” i pozostałe realia naszego życia.

— Ja też jestem? — zapytał Bięłosielski.

— Jasne. Choć niedokładnie taki sam. W jednym świecie jest pan żonaty, w drugim ma pan wąsy, w trzecim coś tam jeszcze...

— Ciekawe — wyszeptał Bięłosielski i w zadumie musnął palcami górną wargę.

— W sumie różnice między światami istnieją. I to stało się podstawą mojego eksperymentu, na przykład, jeżeli u nas sympozjum na temat j hodowli raków jest dzisiaj, to na Ziemi-2 zacznie się dopiero jutro, a na Ziemi-3 zamiast raków wczoraj zaczęły się obrady ekspertów od łowienia pod lodem krokodyli.

— Rozumiem! — ucieszył się Bięłosielski. — I dzisiaj u nich hotele są puste!

— Pańska domyślność jest zaiste druzgocąca — wykrzyknął Minc. — Intelkt prawdziwie dociekliwy jest wielką rzadkością.

— Ależ, co pan... — zarumienił się Bięłosielski. — Nie powiedział pan jednak, jak przewozicie klientów?

— I na tym polega mój wynalazek. Trzeba znaleźć punkty styczne dla tych światów, a jak się znajdzie — wykorzystać. Klient przychodzi do pokoju, gdzie mieszka już, na przykład, wybitna dojarka, otwiera drzwi i trafia do takiego samego pokoju, ale na Ziemi-2. A o to, żeby wychodząc z numeru znalazł się z powrotem na naszej Ziemi, powinna się już zatroszczyć recepcjonistka z tamtego hotelu.

— Wspaniałe — przyznał Bięłosielski. — Ale ryzykowne.

— Nas eksperyment, jak wszystko co nowe, może spowodować nieporozumienia i nieżyczliwe plotki. Pan sądzi, że kontrola działa tylko na naszej Ziemi? O święta naiwności! W tej chwili pracują co najmniej trzy kontrole!

— I trzy Dusie?! — zapytał nagle Fiodor Łastoczkin.

— Może nawet więcej. Ale co tu wiele gadać. Zaraz sami zobaczycie. Minc wyciągnął z kieszeni miniaturowy aparacik i nacisnął guzik. Świat zawirował Bięłosielskiemu przed oczami i naczelnik na chwilę stracił przytomność. Kiedy przyszedł do siebie, zobaczył, że gabinet jakby się podzielił, nie zmieniawszy co prawda rozmiarów. A w gabinecie stoi trzech profesorów Minców, trzech Fiodorów Łastoczkinów i jeszcze do tego dwóch Bięłosielskich (w tym jeden z wąsami). Fiodorowie uśmiechnęli się do siebie życzliwie, bo przecież znali się nie od dziś i nie raz naradzali się jak zakwaterować klientów — Dusia nie bez powodu zemdląła, zobaczywszy w gabinecie Łastoczkiną trzech dyrektorów na raz. A trzech profesorów uprzejmie skłoniło głowy, spoglądając na siebie z szacunkiem. To przecież Oni znaleźli sposób na zwalczenie kryzysu hotelowego.

— To co robimy z kontrolami? — zapytał jeden z Fiodorów. Bięłosielski nie wiedział który — tak byli podobni.

— Nie w tym problem — usłyszał swój własny głos. — Tu są rzeczy ważniejsze. Kto mi pożyczycy na tydzień walec drogowy?

— Jeżeli zorganizujesz mi pół tony blachy ocynkowanej — odpowiedział drugi Bięłosielski — to walec załatwiam ci od ręki.

— I jeszcze jeden drobiazg — powiedział trzeci Biłosielski. — Co zrobimy z Dusiami?

RYCERZE NA ROZDROŻACH

1

Korneliusz Udałow bał się pójść z reklamacją do domu towarowego, zszedł więc na dół i wezwał na pomoc sąsiada. Grubin roześmiał się ukazując długie żółte zęby, ale nie odmówił, gdyż poczuł się tym wyróżnieniem mile połączony. Odsunął mikroskop, zawiązał ziarnko ryżu w miękką bibułę i schował do szuflady. Następnie podszedł do trzystylitrowego akwarium własnej roboty i zdjął wiszącą na nim czarną marynarkę z wyświeconymi łokciami. Tą marynarką osłaniał tropikalne rybki przed zakusami gadającego kruka. Kruk je straszyl, bełtając dziobem wodę.

— Tylko się nie łam — mówił Grubin zakładając marynarkę na niebieski, mocno sprany podkoszulek. — W budownictwie raketowym braku są niedopuszczalne.

Kruk załopotał skrzydłami, prosząc w ten sposób, aby go wypuszczono na dwór, ale Grubin nie wziął go ze sobą, lecz, na odwrót, zamknął w szafie.

Udałow podniósł z podłogi wielką przezroczystą torbę, w której znajdowała się wybrakowana czerwona plastikowa rakietka na żółtej platformie startowej, następnie zsunął na oczy słomkowy kapelusz i pierwszy ruszył ku drzwiom.

Grubin, który przewyższał Korneliusza co najmniej o trzy głowy, kroczył zamaszycie, potrząsał potarganą czupryną, śmiał się i gromko perorował. Udałow szybko przebierał nóżkami, pocił się i lękał, że poznają go znajomi.

Żona Udałowa wybiegła za nim na podwórko i krzyknęła:

— Żebyś mi z pustymi rękami nie wracał!

— No, no — powiedział Grubin półgłosem. — Terrorystka. Ruszyli ulicą w stronę śródmieścia.

Jednopiętrowe, przeważnie murowane miasto Wielki Guslar, niegdyś ośrodek handlowy, a teraz stolica powiatu, pod koniec czerwca było rozpalone do białości od długotrwałych upałów. Nieliczne ciężarówki i autobusy, przejeżdżające ulicą Puszkina, ciągnęły za sobą długie stożki żółtego kurzu i przypominały lądujących spadochroniarzy. Dochodziła druga i skwar stał się nie do wytrzymania. Na ulice wypełzali jedynie ci ludzie, którzy koniecznie musieli. Dlatego Korneliusz wybrał tę porę, a nie wieczór. Zrezygnował nawet z obiadu, gdyż miał nadzieję, że dom towarowy będzie pusty i nie trzeba się będzie wstydzić reklamowania jakiegóż tam głupiej zabawki.

Gdy mijali aptekę, Grubin przywitał się z siedzącym w otwartym oknie prowizorem Sawiczem.

— Nie jest panu gorąco? — zapytał Sawicz zerkając na Grubina znad okularów. On sam spływał potem i dyszał ustami, jak ryba wyrzucona na piasek.

— Idziemy do boju! — powiedział głośno Grubin. — Wytaczamy państwu sprawę cywilną.

Udałow już żałował, że zabrał ze sobą sąsiada. Pociągnął go za połę marynarki, żeby się nie zatrzymywał.

— I wy też, towarzyszu Udałow, uczestniczycie w tej sprawie? — Prowizor ucieszył się, że ma okazję pogadać. — Macie kłopoty?

Udałow mruknął coś i przyspieszył kroku. Pokręcił głową, żeby kapelusz głębiej opadł na oczy, i nawet zaczął utykać, tak bardzo chciał, aby nikt go nie rozpoznał.

Grubin dopędził go dwoma krokami i powiedział:

— Sawicz ma rację. Już od dawna zastanawiam się, w jaki sposób można materialistycznie wytłumaczyć, że polowa pecha przypadającego na nasze miasto skupia się na tobie?

— Warto by pomalować archiwum — powiedział Korneliusz.

Grubin zdziwił się i popatrzył na cerkiew Paraskewy Piatnicy, w której mieściło się archiwum powiatowe.

— Twoja sprawa — powiedział. — Jesteś dyrektorem.

Po drugiej stronie ulicy stał klasztor Spaso-Trofimowski, oddany po rewolucji Technikum Rzeczemu. Barczyści uczniowie wyjeżdżali stamtąd na rowerach i gnali na plażę. W przeciwieństwie do cerkwi klasztor był bardzo przyzwoicie pomalowany, a kopuły głównego soboru błyszcząły w słońcu jak piekielne szklane kotły wypełnione płynną lawą.

— Mówiła mi twoja żona — ciągnął Grubin — że w dziesiątej klasie na egzaminie z historii wyciągnąłeś trzynasty zestaw pytań i dlatego nie dostałeś medalu. To prawda?

— I tak bym go nie dostał — zaproponował Udałow i pomyślał, że Ksenia niepotrzebnie plotkuje na ten temat. To przecież stara sprawa z Kastielską, ówczesną historyczką. Gdyby można było powtórzyć życie, wykułby się wszystkiego o prawie pańszczyźnianym. Ileż to lat minęło! Nie myślał wówczas, że zostanie dyrektorem przedsiębiorstwa budowlanego, widział przed sobą prostą drogę i jasną przyszłość.

— Ja tam jestem z życia zadowolony — powiedział na głos, a Grubin zerknął na niego z góry i roześmiał się. Albo nie uwierzył, albo sam nie był zadowolony.

Dom towarowy mieścił się w dawnym sklepie kupca Titowa. Kupiec tuż przed I wojną światową otrzymał szlachectwo i herb z trzema dzikami — Odwaga, Wytrwałość, Dobrobyt. Teraz dziki zostały z herbu usunięte, a rycerski hełm z pióropuszem nad tarczą pozostał. Zostały też kupidyne po bokach.

Przed wejściem do domu towarowego siedziały rządkiem zaczadziałe od gorąca babcie z podmiejskiego sowchozu. Siedziały tak od nocy, bo uwierzyły w plotkę, że będą dawać przecenione trykotowe bluzki.

Malutki Udałow odwrócił się od staruszek i spróbował wskoczyć bokiem na trzy stopnie. Bardzo starał się zrobić to lekko i szybko, ale potknął się o górny stopień, przewrócił się, uderzył bokiem o framugę, narobił mnóstwo hałasu i usiadł z rozmachem na polietylenowej torbie z plastikową rakieta.

Grubin tylko gwizdnął. Babcie ocknęły się i zaświergotały. Rakietą głośno skrzypnęła i rozpadła się jak suchy strączek grochu. Żółta platforma startowa spłaszczyła się na placek.

Korneliusz, bojąc się obejrzeć, wymacał za sobą torbę, chwycił ją i na ugiętych nogach wbiegł w chłodny półmrok sklepu.

— A nie mówiłem? — powiedział Grubin do staruszek.

Babcie przestraszyły się jego dzikiego wzroku i ucichły.

— Sprawa się komplikuje — oświadczył Grubin i pospieszył za Korneliuszem.

Udałow szedł wolniutko, jakby brodził po kolana w wodzie, i nie odwracał się, nie patrzył, jakiej biedy sobie napytał. Wolną ręką masował stłuczony bok. W ten sposób dotarł do stoiska z zabawkami, zatrzymał się i poczekał na Grubina.

— Jak tam? — wyszeptał spod kapelusza.

— Niedobrze — odparł Grubin. — Może wrócimy do domu?

— Nie da rady — westchnął Korneliusz — żona nie wpuści.

Szuroczka Rodionowa, ekspedientka w dziale zabawek, czekała na przerwę obiadową i czytała książkę Zenona Kosidowskiego „Opowieści biblijne”. Szuroczka wybierała się na archeologię i już od trzech lat uczęszczała na zajęcia kółka historycznego prowadzonego przez Helenę Siergiejewną Kastielską. Szkołę ukończyła z dobrym wynikiem, ale nie pojechała na studia do

Wołogdy, gdyż nie najlepiej było z pieniędzmi. Postanowiła na razie popracować z rok w handlu, chociaż ze swych planów nie zrezygnowała, czytała rozmaite książki i uczyła się angielskiego. Miała zaledwie dziewiętnaście lat i była tak ładna, że niektórzy bezdzietni mężczyźni przychodzili kupować u niej zabawki.

Szuroczka słyszała hałas dobiegający od drzwi, ale nie oderwała się od książki, bo czytała właśnie komentarz redakcyjny, wyjaśniający błędy autora. Dopiero kiedy Grubin i Udałow podeszli do lady, uniosła głowę, poprawiła złocistą grzywkę i powiedziała: „Słucham”. A myślami była jeszcze w mieście Jerycho na Bliskim Wschodzie i przeżywała jego tragedię.

Znała obu klientów. Jeden z nich, malutki, tęgi i łysawy, to był Udałow, dyrektor przedsiębiorstwa budowlanego. Drugi, długi, kanciasty i kudłaty, był kierownikiem punktu skupu surowców wtórnych, przyjmował puste butelki i makulaturę.

— Dzień dobry — powiedzieli klienci.

Udałow skrzywił się boleśnie i wolno wyciągnął zza siebie wielką polietylenową torbę z żalonymi resztkami plastikowej rakiety.

— Oj! — powiedziała Szuroczka. — Co się stało?

— Proszę wymienić! — powiedział Udałow. — Wybrakowana!

— Nie rozumiem.

Szuroczka odłożyła książkę i zapomniała o mieście Jerycho.

— Nie widzicie czy co? — tym samym gniewnym głosem zapytał Udałow.

Szuroczka nie wiedziała, że mówi tak dlatego, iż jest nieśmiały i zdaje sobie sprawę z niesłuszności swoich roszczeń, więc obraziła się:

— Ja wam, obywatelu, czegoś takiego nie sprzedawałam. Wando Kazimirowno!

Korneliusz całkiem już się speszył i wrzasnął:

— Dajcie mi książkę zażaleń!

Chciał zsunąć słomkowy kapelusz na tył głowy, ale zrobił to zbyt energicznie i kapelusz odleciał. Udałow pobiegł za frunącym kapeluszem.

— Proszę nas dobrze zrozumieć — powiedział Grubin. — Rakieta była vybrakowana już wtedy, kiedy wydarzył się incydent.

Podeszła Wanda Kazimirowna, dyrektorka domu towarowego, niewiasta postawna, tęgawa i energiczna, żona prowizora Sawicza.

— Taki towar — powiedziała do Grubina z ironicznym uśmiechem — należy odnosić do składnicy odpadków, a nie do sklepu.

Babcie usłyszały rozmowę i weszły do wnętrza. Jedna z nich powiedziała:

— Wstydziliby się czymś takim handlować. Inna zapytała:

— Bluzki dziś będą dawać?

— Tylko spokojnie — powiedział Grubin. — Zaraz pani wszystko pokażę.

Wyjął z torby dwie połówki rakiety, złożył je w strączek i pokazał Wandzie Kazimirownie:

— Widzi pani pęknięcie w tylnej części? Właśnie z tym pęknięciem sprzedano nam towar.

W tylnej części rakiety było kilka pęknięć i znaleźć to właściwe było niełatwo. Szuroczka zapłonęła świętym oburzeniem.

— Nabijacie się ze mnie czy co? — zapytała.

— Alkoholik! — oświadczyła jedna ze staruszek.

— Tu jest paragon — powiedział Korneliusz podchodząc do lady. Kapelusz trzymał pod pachą. — Kupowaliśmy nie dalej niż wczoraj i dlatego mam jeszcze paragon. Przyszedłem do domu i zobaczyłem pęknięcie.

— Jakie tam znów pęknięcie? — powiedziała Wanda Kazimirowna. — Szuroczka, nie denerwuj się. Zawiadomimy o wszystkim ich zakłady pracy. Przecież to nie jest rakieta, tylko

wynik trzęsienia ziemi.

— Proszę nie zwracać uwagi na to, że rakieta jest połamana — powiedział Grubin. — To stało się znacznie później. A trzęsienia ziemi u nas się nie zdarzają. Ludziom należy ufać.

I właśnie w tym momencie w Wielkim Guslarze zaczęło się trzęsienie ziemi.

Z ulicy dobiegł głuchy łoskot. Ziemia uciekła spod nóg. Zatrzęsły się półki. Stosy talerzy, jakby rzucone przez niedoświadczonego zonglera, rozleciały się po sklepie. Filizanki i czajniki rozpryskiwały się o lady, celuloidowe lalki i pluszowe misie zeskoczyły na podłogę, kolorowe chustki i powłóczki wleciały w powietrze niczym czarodziej sicie dywany, a stojaki z garniturami i płaszczami zaczęły sunąć ku wyjściu, co sprawiało wrażenie, jakby chciały ewakuować się na ulicę śladem staruszek, które uciekły ze sklepu z wielkim krzykiem i płaczem. Porozbijane flakony perfum i wody kolońskiej wypełniły lokal niepowtarzalnym i fantastycznym bukietem aromatów. Z sufitu płatami opadał tynk.

Grubin jedną ręką chwycił przezroczystą torbę z resztkami wyrzutni raketowej, drugą zaś podtrzymał chwiejącą się Szuroczkę Rodionową. Był jedynym, który nie stracił głowy.

— Zachować spokój! — krzyknął.

Korneliusz szybko naciągnął na uszy kapelusz, jakby tylko on mógł go uratować w minucie ciężkiej próby. Bujna wyobraźnia nakreśliła mu wizerunek spustoszonego przez żywioł Wielkiego Guslaru, ruiny wznoszące się przy zasypanych ceglami ulicach, szalejące pożary, jęki ofiar, płacz bezdomnych dzieci i starców. Ujrzał oczyma duszy, jak on, Korneliusz, idzie tymi ulicami, nie wiedząc, od czego zacząć, czując swą bezradność i zdając sobie z tego sprawę, że jako zwierzchnik przedsiębiorstwa budowlanego jest główną nadzieją zasypanych i bezdomnych. Ale nie ma sprzętu, nie ma rąk do pracy, panuje rozpacz i panika! I nagle nad głową rozlega się ryk samolotów odrzutowych, a na niebie białymi liliami rozkwitają spadochrony. To inne miasta nadeszły pomoc. Prefabrykowane domy, mosty i fabryki wolno opadają w dół i zajmują miejsca zaplanowane z góry w Centrali. Niczym manna niebieska sypie się z chmur kaloryczny zielony groszek, spadają na jezdnię, podskakują, deformują się, lecz nie pękają puszki skondensowanego mleka i sardynek. Pomoc nadeszła w porę. Korneliusz unosi głowę i wsłuchuje się w błogą ciszę.

Błoga cisza rzeczywiście nastąpiła.

Podziemne wstrząsy ustały równie niespodziewanie, jak się zaczęły. Ciężkie, katastrofalne milczenie ogarnęło dom towarowy i zatykało uszy niczym ryk odrzutowca.

— Opuścić pomieszczenie! — krzyknął ogłuszająco Grubin.

Rzucił na podłogę plastikową torbę, chwycił jedną z połówek raketowego strączka, drugą wepchnął do ręki Udałowowi i pociągnął wszystkich za sobą, aby odkopywać domy i udzielać pomocy ludności. Korneliusz posłusznie biegł z tyłu, chociaż nic nie widział, bo na głowę opadł mu obrus, który nadał mu wygląd beduina lub angielskiego szpiega Lawrence'a.

Na szczęście nie trzeba było nikogo odkopywać. Klęska żywiołowa, która spadła na Wielki Guslar, nie była trzęsieniem ziemi.

O jakieś trzydzieści metrów od wejścia do sklepu jezdni zapadła się i w dziurze tylnymi kołami utknęła załadowana ciężarówka do przewozu drewna. Kurz jeszcze nie zdążył opaść, kłębił się wokół samochodu, i migocąc w słońcu, nadawał całemu widokowi jakiś zagadkowy nieziemski charakter.

— Zapadlisko — powiedział spokojnie Udałow ściągając z głowy obrus i starannie go składając. Zapadliska zdarzały się w mieście dość często, gdyż Wielki Guslar był bardzo stary i obfitował w podziemne przejścia oraz w prastare piwnice.

— Znów masz pecha, Korneliusz — powiedział Grubin odrzucając ze złością połówkę rakiety. — Teraz nie ma mowy o żadnych reklamacjach. Będziesz musiał naprawiać jezdnię.

— A tu jak na złość kwartał się kończy — powiedział Korneliusz, po czym obrócił się do

dyrektorki domu towarowego i dodał: — Wando Kazimirowno, skorzystam z waszego telefonu. Muszę ściągnąć koparkę.

Z tumanów kurzu wyłonił się blady, drżący z przerażenia kierowca ciężarówki. Poznał Udałowa i natychmiast na niego naskoczył:

— Towarzyszu dyrektorze — powiedział. — Jak długo jeszcze mamy ryzykować życiem? A co by było, gdybym wiózł szkło albo materiały wybuchowe?

— Zaraz materiały wybuchowe — wtrącił się Grubin. — Kto ci je powierzy?!

— Jak będzie trzeba, to się taki znajdzie — odparł kierowca, który właśnie zobaczył Szuroczkę, przestał dygotać i przybrał bohaterską postawę.

— Zapadlisko jak zapadlisko — powiedział Udałow. — Nie pierwsze i nie ostatnie. Zaraz wyciągniemy, dziurę zasypimy i wszystko będzie jak w aptece. Skoczyłbyś na milicję, żeby postawili znak zakazu wjazdu. A autobus niech puszczą przez Krasnoarmiejską.

Helena Siergiejewna odgarnęła za ucho prosty kosmyk siwych włosów, zmrużyła oczy i wysypała do rondelka dokładnie pół szklanki kaszy manny z niebieskiej kwadratowej puszki, opatrzonej napisem „Cukier”. Mleko wzburzyło się, jakby kaszka okrutnie je oparzyła, ale Helena Siergiejewna zdążyła zamieszać w garnuszku srebrną łyżką, którą trzymała w pogotowiu.

Wania wjechał do kuchni czołgiem, zrobionym z tomu „Sowriemiennika” za rok 1863 i czterech pudełek po zapalkach.

— Nie potrzebuję twojej kaszy! — wrzasnął.

— Podaj mi sól — powiedziała Helena Siergiejewna.

— Znów zapomniałaś posolić, babciu? — zapytał Wania.

Helena Siergiejewna nie czekała, aż Wania zawróci czołgiem w stronę czarnego kredensu, zamasyście podeszła, wyjęła solniczkę i na jej widok przypomniała sobie, że już soliła mleko. Odstawiła ją więc na miejsce.

— Babciu — powiedział Wania rozkapryszonym głosem. — Nie chcę twojej kaszy. Ja chcę kogel-mogel.

W rzeczywistości nie chciał ani tego, ani tego. Chciał wywołać awanturę.

Helena Siergiejewna świetnie zdawała sobie z tego sprawę i dlatego nie odpowiedziała. Przez miesiąc zdążyli się sobie nawzajem naprzykrzyć, ale synowa zabierze go dopiero za dwa tygodnie.

Helena Siergiejewna stwierdziła, że w wieku sześćdziesięciu lat nie ma już serca do dzieci. Straciła dla nich wyrozumiałość i cierpliwość. Po awanturach z wnukiem uspokajała się wolniej niż on. A przecież sama poprosiła synową o przywiezienie Wani do Wielkiego Guslaru. Znużyła ją samotność długich zmierzchów, kiedy widmowe niebieskie światło wlewa się do pokoju, oświetlając pęczniące czarne szafy, które dawno już należało opróżnić ze starych czasopism i różnych rupieci.

Dawniej Helena Siergiejewna myślała, że na emeryturze nie tylko odpocznie, ale także zdoła wiele zrobić z tego, co dotychczas odkładała ze względu na nawal pracy, zebrań i posiedzeń. Zamierzała na przykład napisać historię Guslaru, wybrać się do siostry mieszkającej w Leningradzie, uporządkować zbiory muzeum, gdzie nieustannie zmieniały się jakieś nierozgarnięte dziewczyny, które po miesiącu wychodziły za mąż albo uciekały do innej pracy, gdzie płacono chociażby o dziesięć rubli więcej niż w niezbyt hojnym miejskim muzeum.

Nic jednak z tego nie wyszło. Historia Wielkiego Guslaru leżała rozgrzebana na biurku i niemal nie posuwała się naprzód. Dzieci siostry chorowały i zamiast bez pośpiechu obejść wszystkie leningradzkie muzea i teatry, Helena Siergiejewna musiała zająć się gospodarstwem. Do muzeum przyszedł nowy dyrektor, który uprzednio kierował Technikum Rzecznym. Dyrektor traktował swoją nominację jako niesprawiedliwą, lecz nieuniknioną karę i czekał, aż ucichnie gniew wysokiej powiatowej zwierzchności, żeby ponownie rozpocząć wspinaczkę po drabinie służbowej. Dyrektor był nieprzychylny Helenie Siergiejewnie, gdyż jej zabiegi o wzbogacenie zbiorów i rozwijanie kółek zainteresowań przeszkadzały mu w realizacji bardzo ważnej inicjatywy o znaczeniu ogólnoojewódzkim: budowy Pomnika Pionierów, którzy w odległych czasach wyruszyli na podbój Syberii i Dalekiego Wschodu. Pionierzy bardzo często wyruszyli z Wielkiego Guslaru, miasta kupieckiego, niespokojnego, konkurenta Archangielska i Wołogdy.

— Babciu, a w kaszce będzie dużo kluchów? — zapytał Wania.

Helena Siergiejewna pokręciła głową i uśmiechnęła się nieznacznie. Gruzelki naturalnie będą.

Przez ponad sześćdziesiąt lat swego życia jakoś nie potrafiła nauczyć się gotować kaszki manny. Gdyby udało jej się zacząć życie od początku, z pewnością podejrzalaby, jak to robiła nieboszczka mama.

Ktoś zastukał w okno. Wania zapomniał o czołgu i pobiegł odsunąć zasłonkę. Nie zobaczył nikogo — w okno zawsze pukali znajomi, zanim weszli przez furtkę, okrążyli dom i zastukali w drzwi od podwórka.

Helena Siergiejewna zmniejszyła płomień i uznała, że zdąży otworzyć drzwi, zanim kaszka się przypali. Szybko przeszła przez ciemną sień. Od każdego stąpienia, krótkiego i energicznego, ogłuszająco skrzypiały deski podłogi.

Za drzwiami stała Szuroczka Rodionowa, która przez lato wyładniała i wydorosłała, a poza tym obcięła sobie warkocz, aby wydawać się starszą.

— Wytrzymaj nogi — powiedziała Helena Siergiejewna patrząc z przyjemnością na Szuroczkę. Szuroczka zarumieniła się — miała delikatną brzoskwińową cerę i dlatego łatwo się czerwieniła, upodabiając się do przedrewolucyjnych panienek. Szuroczka przywitała się, wytarła nogi, choć na dworze było sucho, i poszła za Heleną Siergiejewną do kuchni. Była bardzo podniecona i dlatego trajkotała jak nakręcona, nie stosując znaków przestankowych i dużych liter.

— Taka historia Heleno Siergiejewno ciężarówka jechała ulicą Puszkina i zapadła się pod ziemię masa ludzi myśleli że trzęsienie ziemi Udałow z przedsiębiorstwa budowlanego powiedział będziemy zasypywać a tom piwnica a dyrektora muzeum nie ma bo pojechał do obwodu na naradę w sprawie pionierów i trzeba zapobiec temu bo tam mogą być zabytki...

— Poczekaj — powiedziała Helena Siergiejewna. — Zamierzałam właśnie nakarmić Wanię. Siadaj i powtórz wszystko wolniej i logiczniej.

Szuroczka zaczęła wszystko od początku. Poczula się onieśmielona i z młodej, przystojnej kobiety przekształciła się w uczennicę-prymuskę, przewodniczącą kółka historycznego.

Helena Siergiejewna nałożyła gęstej kaszy na talerz i posypała ją cukrem. Wania miał zamiar dopomnieć się o dżem malinowy, ale zapomniał. Był mocno zaintrygowany nieoczekiwaną wizytą i trajkotaniem Szuroczki. Posłusznie usiadł przy stole, wziął łyżkę i zagapił się na dziewczynę. Jak we śnie zaczerpnął łyżką kaszę, nie trafił nią do ust i wysmarował sobie ucho. Bezdźwięcznie poruszał wargami, powtarzając relację Szuroczki słowo po słowie, aby lepiej ją zrozumieć.

— No więc jechała ciężarówka ulicą Puszkina — mówiła Szuroczka nieco wolniej, choć nadal bez znaków przestankowych. — I od razu zapadła się tylnymi kołami ludzie myśleli że to trzęsienie ziemi wybiegli ze sklepu a tam piwnica...

— W którym miejscu dokładnie? — zapytała Helena Siergiejewna.

— Na rogu ulicy Tołstoja.

— Tamtędy biegł kiedyś Piekielny Zaulek — powiedziała Helena Siergiejewna mrużąc oczy i wyobrażając sobie plan miasta w okresie między wiekiem piętnastym a osiemnastym.

— Słusznie — ucieszyła się Szuroczka. — Opowiadała nam pani jeszcze na zajęciach kółka tam był Piekielny Zaulek w którym pracowali kowale szerokość dwa metry kończył się ślepo przy miejskich murach tak właśnie powiedziałam Udałowowi z przedsiębiorstwa budowlanego a on powiada że kwartał się kończy i musi zdać komisyjnie ulicę Puszkina którą asfaltowali przez trzy miesiące bo inaczej nie dostanie premii.

— Skandal — powiedziała Helena Siergiejewna. — Wania, nie dmuchaj na łyżkę. Nie mam go z kim zostawić.

— Ja z nim posiedzę, Heleno Siergiejewno — powiedziała Szuroczka. — Bez pani oni tam zasypią piwnicę, a pani nawet Bielów się słucha.

— Nie mam żadnej władzy — powiedziała Helena Siergiejewna. — Jestem na emeryturze.

— Panią zna całe miasto.

— Poczekaj chwilkę.

Helena Siergiejewna poszła do małego pokoiku obok kuchni i wkrótce wróciła. Uczesała się, ułożyła swe siwe włosy w kok. Założyła ciemną nauczycielską sukienkę z oślepiąco białym wykładanym kołnierzykiem. Szuroczka przypomniała sobie, jak pięć lat temu przyszła po raz pierwszy na zebranie kółka historycznego i Helena Siergiejewna, w takiej samej ciemnej sukience, poprowadziła członków kółka na górę, do pierwszej sali muzeum, gdzie stał oparty o ścianę sfatygowany kiel mamuta, wisiał obraz przedstawiający powszednie życie ludzi z epoki kamienia, a w gablotce pod szkłem leżały rządkiem gliniane skorupy i groty strzał, wyłowione z rzeki Guś przez przedrewolucyjnych gimnazjalistów.

— To posiedzisz z nim trochę? — zapytała Helena Siergiejewna.

— Dziś mam wolne popołudnie.

Helena Siergiejewna zeszła z ganku, żwawo przebiegła drewnianym chodniczkiem do furtki, zamknęła ją i ruszyła ulicą Słobodzką w stronę centrum, przez most przerzucony nad Griaznuchą, która od niepamiętnych czasów dzieli miasto na Guslar i Słobodę. Za mostem po prawej stronie wznosi się budynek szpitala dziecięcego, dawniejszy dom kupców Sinicyńców, w którym zachowały się wspaniałe piece kaflowe z połowy osiemnastego wieku, a po lewej — cerkiew Borysa i Gleba, szesnasty wiek, unikalna budowla, wymaga konserwacji. Za cerkwią jedną fasadą na ulicę, drugą na rzekę wznosi się Miejskie Gimnazjum Męskie, obecnie Szkoła Średnia Nr 1. Za gimnazjum rozciąga się obszerny, zawsze wietrzny plac, pokryty w połowie trawnikami. Przed rewolucją stały tu zajazdy i sukiennice, ale w roku 1930, kiedy burzono cerkwie, przy okazji rozebrano również i to, chociaż hale dałyby się wykorzystać jako lokum dla rynku kolchozowego. Tam właśnie nowy dyrektor muzeum zamierzał postawić Pomnik Pionierów. Po przeciwległej stronie placu wznosi się piętrowy budynek muzeum, zabytek osiemnastowiecznej architektury miejskiej pod ochroną. Ale Helena Siergiejewna nie poszła przez plac, tylko przy sklepie spożywczym skręciła w ulicę Tołstoja.

Na rogu spotkała prowizora Sawicza, starego znajomego.

— Słyszałaś, Lena — powiedział Sawicz, sapiąc i wachlując się postrzępioną książką — że ciężarówka wpadła do piwnicy?

— A jak sądzisz, dokąd ja idę? — zapytała Helena Siergiejewna. — Z wizytą do koronczarek?

— Daj spokój, Lenoczko — powiedział łagodnie Sawicz. — Nie warto się denerwować. Jeśli mnie pamięć nie zawodzi, to już trzecie zapadlisko w ciągu ostatnich lat? — Czwarte, Nikita, czwarte — powiedziała Helena Siergiejewna. — Pójdę już tam, żeby czegoś przypadkiem nie zniszczyli.

— Naturalnie. Gdyby nie ten upał, sam bym poszedł popatrzeć. Ale przerwa obiadowa jest krótka, a moje brzuszysko domaga się pokarmu. Zresztą przypuszczałem, że cię spotkam. W tym mieście wszystko cię obchodzi.

— Obchodziło. Teraz jestem na emeryturze. Pozdrowienia dla Wandy Kazimirowny.

— Dziękuję, już dawno wybieramy się do ciebie w gości...

Jednak Helena Siergiejewna ostatnich słów już nie słyszała. Szybkim krokiem szła w kierunku ulicy Puszkina. Sawicz poprawił okulary i powłókł się dalej, zastanawiając się nad tym, czy w lodówce stoi jeszcze butelka piwa, czy już ją wczoraj wypił. Wyobraził sobie zapełniała, ciemnozieloną butelkę, syk gazu wydobywającego się spod kapsla, zmrużył oczy i przyspieszył kroku.

Na ulicy Puszkina, nie dochodząc do domu towarowego, stał tłum. Tłum wydawał się nieruchomy i jakby nieżywy. Jedynie dzieciarnia krążyła wokół niego, wpadała do sroka i znowu wyskakiwała na zewnątrz jakby pszczoły z roju. Jeźdnią wolno toczyła się koparka na gąsienicach.

Gdy Helena Siergiejewna podeszła bliżej, tłum rozpadł się na poszczególnych ludzi, przeważnie znajomych — uczniów, przyjaciół, sąsiadów i po prostu mieszkańców miasta, o których nie wie się niczego, ale jednak wymienia z nimi ukłony na ulicy.

Helena Siergiejewna przecisnęła się przez tłum i znalazła się na skraju zapadliska. Asfalt pokryty był pęknięciami, garbatymi falami, w jakie układa się zazwyczaj miękki gumowy dywanik, i urywał się nad owalną czarną studnię. Po drugiej stronie studni stała ciężarówka do przewozu drzewa, którą już wyciągnięto na jezdnię. Obok niej leżały nie okorowane pnie.

Nad zapadliskiem kłócili się dwaj mężczyźni. Jeden z nich był niski, agresywny i krył twarz pod słomkowym kapeluszem. Drugi, wysoki jak koszykarz, z rozczochranymi włosami, w czarnej marynarce założonej bezpośrednio na niebieską koszulkę gimnastyczną, wycofywał się pod naporem niziutkiego, ale nie zaprzestawał walki.

— Według mnie to skandal i nieporządek — stwierdził niski. — Skończyliśmy asfaltowanie odcinka, złożyliśmy raport powiatowi i obwodowi, oczekujemy na zasłużoną premię — nie ja osobiście, lecz cała załoga. A ty co mi radzisz? — Zrobił krok do przodu, a długi cofnął się, ryzykując upadek w przepaść.

— Korneliuszu, zapomniałeś o nauce, o sławie rodzinnego miasta — powiedział balansując na skraju zapadliska.

— A ludzie tracą premię? Hej, Edik! — niziutki dojrzał koparkę. — Edik, podjeżdżaj tu!

— Poczekajcie — powiedziała Helena Siergiejewna.

— A pani niby jakim prawem? — zapytał niziutki nie podnosząc głowy. — Edik!

— Słuchaj, Korneliuszu — powiedziała Helena Siergiejewna. — Zdejmij kapelusz i podnieś głowę.

W tłumie ktoś zachichotał. Operator koparki wyłączył silnik i podszedł bliżej.

— To właśnie ta dziura? — zapytał. — Ona ma jakieś historyczne znaczenie?

Dyrektor przedsiębiorstwa budowlanego posłusznie zdjął kapelusz i uniósł do góry szczere, błękitne oczęta notorycznego dwójkowicza. Wszystko już zrozumiał i poddał się.

— Dzień dobry, Heleno Siergiejewno — powiedział. — Nie poznałem pani.

— Nie o to mi chodzi, Korneliuszu.

— Słusznie, nie o to. Ale proszę wejść w moje położenie.

— A gdyby coś podobnego wydarzyło się na Placu Czerwonym? — zapytała surowo Helena Siergiejewna. — Sądzisz, że Komitet Centralny pozwoliłby wezwać koparkę i zasypać zapadlisko, zanim uczeni go nie zbadają?

— Plac Czerwony to co innego — odparł Udałow.

— Dobrze mu tak — ucieszył się Grubin. — Zaraz tam zejdę i migiem wszystko obejrzę.

— A propos, jeśli się nie zbada, dokąd prowadzi zapadlisko — dodała Helena Siergiejewna — to nie da się wykluczyć, że jutro wydarzy się katastrofa o dziesięć metrów stąd, na przykład tam.

Wszyscy posłusznie spojrzeli we wskazanym przez nią kierunku.

Grubin przykucnął i spróbował dojrzeć, co kryje się w piwnicy, ale nic nie zobaczył.

— Potrzebna jest latarka — powiedział.

— Latarka jest.

Z tłumu wyłonił się szczuplutki chłopczyk z długą latarką elektryczną w ręku.

— Tylko weźcie mnie z sobą — poprosił.

— Nie zamierzamy bawić się w podchody — powiedział Grubin i odebrał chłopcu latarkę. — Heleno Siergiejewno, pozwoli pani?

— Proszę poczekać. Tam powinien zejść przedstawiciel muzeum.

— Poza panią nie ma nikogo. A pani może kontrolować moje poczynania z góry.

Obok Heleny Siergiejewny pojawił się młody człowiek z aparatem fotograficznym, podobny do Czechowa w młodości.

— Nie znacie mnie, jestem tu od niedawna — wyjaśnił. — Pracuję w gazecie rejonowej i nazywam się Standal. Misza Standal. Skończyłem wydział historii.

— No to jak, będziemy stać czy będziemy zasypywać? — zapytał operator koparki. — Zdecydujcie się na coś, bo godziny lecą.

— Idźcie — zgodziła się Helena Siergiejewna.

— Wobec tego i ja pójdę — powiedział nagle operator. — Muszę popatrzeć, gdzie sypać ziemię, a zresztą siła fizyczna też może się przydać.

Helena Siergiejewna zgodziła się również i na to. Udałow z początku chciał oponować, ale potem machnął ręką. Jak niefart, to niefart.

— Tu nie jest głęboko — powiedział Grubin świecąc latarką do studni.

Położył się na asfalcie, zwiesił nogi do otworu i zjechał na brzuchu w ciemność. Sieknął i znikł.

— Chodźcie tu! — dobiegł po paru sekundach jego dudniący, podziemny głos.

Tłum przysunął się do krawędzi zapadliska i Helena Siergiejewna powiedziała:

— Odejdźcie, towarzysze. Sami możecie wpaść i innym zrobić krzywdę.

— Słyszycie, co się do was mówi — ożywił się Udałow. — Do tyłu!

Operator koparki zeskoczył w dół i schwycił Misze Standala.

— No i jak tam? — krzyknął Udałow. Uklęknął opierając się silnie pulchnymi łapkami o asfalt i głos jego zabrzmiał głucho, odbity przez niewidzialne ściany zapadliska.

— Tu jest przejście! — odezwał się z dołu czyjś głos.

— Tam jest przejście — powtórzył ktoś w tłumie.

— Przejście...

Wszyscy znieruchomieli i zamilkli, zamilkła nawet dzieciarnia porażona przecuciem bliskiej tajemnicy. W ludziach ożyły atawistyczne instynkty poszukiwaczy skarbów, które drzemią w każdym człowieku, lecz budzą się jedynie w wyjątkowo energicznych jednostkach, nieoczekiwanie skłaniając je do rzucenia się w wir przygody, wyruszenia na dalekie szlaki.

Zapadlisko wydawało się Milicy Fiodorownie Bakszt, z jej punktu obserwacyjnego, wielkim atramentowym kleksem. Milica Fiodorowna przyglądała się opisanym już wydarzeniom z okna pierwszego piętra. Podjechała w fotelu na kółkach do samego okna i położyła na parapecie różową atlasową poduszeczkę, aby łokcie miały miękkie oparcie. Poduszczyzna zmieściła się między dwiema wielkimi doniczkami, owiniętymi barwną krepiną.

Bardzo stara syjamska kotka o różnobarwnych oczach machnęła ogonem i ciężko wskoczyła na parapet. Kotka również chciała wyjrzeć na ulicę przez szczelinę między doniczkami.

Milica Fiodorowna doskonale pamiętała czasy, kiedy ulica była jeszcze nie zabrukowana i nazywała się Jelizawietinska. Wówczas naprzeciwko domu Baksztów, obok składu zboża Titowów, stał zamożny dom ojca Serafima, ozdobiony rzeźbionymi okiennicami i dębowymi kolumnami malowanymi w marmurek. Dom ojca Serafima spłonął w roku 1860, na rok przed zniesieniem pańszczyzny. Doskonale pamiętała też przyjazd gubernatora, który złożył Baksztom wizytę, bowiem wraz z drugim mężem Milicy Fiodorowny uczył się w Korpusie Paziów. Tego wieczoru gospodyni poleciła nie żałować świec i Jego Wysokość, odrzuciwszy konwenanse, spędził cały wieczór u jej nóg, poruszając bokobrodami, a pan Bakszt czuł się zaszczycony i wkrótce został powiatowym marszałkiem szlachty. W ostatnich latach pamięć płatała Milicy Fiodorownie przedziwne figle. Nie chciała gromadzić najświeższych wydarzeń i usłużnie podsuwała portrety dawno zmarłych krewnych oraz kolegów męża, a nawet znacznie starsze sceny, jeszcze petersburskie, osnute mgiełką romantycznych uniesień i subtelności białych nocy.

W latach rewolucja Milica Fiodorowna była już nader sędziwa i dlatego musiała korzystać z pomocy bardzo pobożnej, ale podkradającej to i owo damy do towarzystwa. Z owych lat nie wiedzieć czemu zapadła jej w pamięć jakaś procesja. Na czele procesji młodzi ludzie nieśli czarną trumnę z białym napisem „Curzon”. Kim był ów Curzon, Milica Fiodorowna nawet się nie zainteresowała.

Pamiętała także ostatnią wizytę Miłego Przyjaciela. Miły Przyjaciel mocno się posunął w latach, chodził z laską i broda mu posiwiła. Nie mógł zatrzymać się w mieście i był zmuszony opuścić gościnny dom wdowy Bakszt, nie zrealizowawszy swych planów.

Zapadlisko na ulicy Puszkina zakłóciło powszedni bieg myśli Milicy Fiodorowny. Zapomniała nawet, że punktualnie o trzeciej mieli do niej przyjść pionierzy. Obiecała im opowiedzieć o przeszłości rodzinnego miasta. Wizyta ta była pomysłem jej upartej sąsiadki, Szuroczki, pannicy dobrze wychowanej, która jednak nosiła krótkie spódniczki. Milica Fiodorowna obiecała pokazać pionierom album, w którym jej znajomi jeszcze przed rewolucją zapisywali różne aforyzmy i wiersze.

Milica Fiodorowna wypatrzyła Szuroczkę wśród ludzi otaczających zapadlisko. Stara pani Bakszt na wzrok się nie uskarżała. Byłoby grzechem uskarżać się w takim wieku.

Potem Milica Fiodorowna zdrzemnęła się, ale jej sen był krótki i płytki. Coś ją niepokoiło. To coś było związane z zapadliskiem. We śnie ukazał się jej Miły Przyjaciel, grożący kościstym palcem i powtarzający: „Milico, nie zapominaj!”

Kiedy ponownie otworzyła oczy, dowództwo nad tłumem przy zapadlisku przejęła już znana jej Helena Siergiejewna Kastielska, chuda dama pracująca w muzeum, która jakieś dziesięć lub piętnaście lat temu przyszła do madame Bakszt w poszukiwaniu starych dokumentów. Milicy Fiodorownie nie przypadła jednak do gustu pewna ostrość w ruchach i zachowaniu muzealnej damy, wobec czego Kastielska musiała odejść z niczym. Przy tym wspomnieniu Milica

Fiodorowna zezwoliła uśmiechowi rozchylić nieco jej wyschnięte, zaciśnięte wargi. Dawniej wargi były zupełnie inne — pulchne i soczyste. Ale uśmiech, ten sam uśmiech niegdyś doprowadzał do szaleństwa członków Gwardii Przybocznej Jego Wysokości.

W tym momencie Milica Fiodorowna znów zapadła w drzemkę. Przed tym rozdzierająco ziewnęła, zamknęła powieki i odjechała z fotelem do kąta, w przytulny półmrok za piecem. Syjamska kotka natychmiast wskoczyła jej na kolana.

— O trzeciej przyjdą goście... o trzeciej... — myślała przez sen Milica Fiodorowna, ale nie mogła sobie za nic przypomnieć, kto właściwie przyjdzie o trzeciej, a zamiast tego ponownie zobaczyła Miłego Przyjaciela, który był gniewny i surowy. Jego wzrok przenikał do samej głębi rozdygotanego serca Milicy Fiodorowny i elektryzował duszne, zatęchłe powietrze w saloniku — jedynym pokoju, jaki pozostawiono pani Bakszt.

Podziemie w ciągu tej godziny, przez którą było otwarte na wpływ gorącego powietrza, niemal wcale się nie przewietrzyło. Wypełniał je stuletni chłód, gęsty jak stare wino. Misza Standal wsparł się na podanej mu z ciemności kwadratowej dłoni operatora koparki, przycisnął do piersi aparat i dał susa w dół, w nieznaną.

W zapadlisku panowała cisza. Ciężkie oddechy ludzi szamotały się w nim i głuchły pod niewidzialnymi ścianami.

W błękitnym owalnym oknie nad nimi ukazał się okrągły przedmiot o gabarytach przewyższających wymiary ludzkiej głowy. Z przedmiotu wydobył się głos:

— No i jak tam?

Głos należał do malutkiego dyrektora przedsiębiorstwa budowlanego, któremu tak zręcznie dała po nosie stara Kastielska z muzeum. Okrągły przedmiot był słomkowym kapeluszem kryjącym twarz Udałowa.

— Tu jest przejście — odparł inny głos, rozlegający się z boku, niedaleko Miszy.

W ciemności miotał się promień latarki. Grubin rozpoczął systematyczne badania.

— Tam jest przejście... Przejście... — zaszeleścił tłum na górze. Głosy były dalekie i niewyraźne.

Misza Standal posunął się o krok w stronę przejścia, ale wpadł na plecy operatora koparki. Plecy były twarde. Oczy zaczęły przyzwyczajając się do ciemności. W miejscu, gdzie był Grubin, ciemność była znacznie głębsza.

— Idziemy — powiedział operator koparki.

Misza wyciągnął rękę jak ślepiec i po dwóch krokach jego palce natrafiły na coś i przestraszyły się, gwałtownie cofnęły, zacisnęły w pięść.

— Tu jest ściana, śliska — wyszeptał Misza. Szept wydawał mu się najodpowiedniejszym do porozumiewania się w ciemności.

Grube, czarne bale wznosiły się do góry, niemal pod sam asfalt. Pomieszczenie było długie, strop w rogu zapadł się. Przeciwległa ściana, po której Grubin szperał promieniem latarki, była zbudowana z cegieł. Cegły osiadły, popękały. Pośrodku ściany widniały niziutkie drzwiczki, okute sztabami zardzewiałego żelaza jak stary podróżny kufer.

Grubin przyjrzał się tym drzwiom. Zamka nie było, zamiast niego widniał kuty pierścień. Pociągnął — drzwi ani drgnęły.

— Pozwólcie mnie — powiedział operator koparki.

— Nie — zaoponował Misza Standal. — Nie mamy do tego prawa. Nikt nam nie dawał carte blanche. Trzeba chociażby sfotografować.

Misza Standal czytał niedawno o tym, w jaki sposób odkryto w Egipcie grobowiec Tutenchamona. Tam również były drzwi i stojący przed nimi badacze, i chwila, która przeszła do historii.

— Nie jesteśmy na wykopaliskach — powiedział Grubin. — Za tymi drzwiami też może być ziemia i koniec naszej podróży.

— Czego tam — powiedział Edik. — Dyrektorka kazała popatrzeć, co i jak, to popatrzmy. Udałow i tak dopnie swego, zasypie i będzie po wszystkim. Przecież ulica jest zablokowana.

Obejrzał dokładnie drzwi:

— Trzymaj mocniej latarkę. Świeć tutaj, bardziej w lewo. Nie trześ ręką.

Teraz przypominał chirurga. Grubin mu asystował, Misza Standal pełnił rolę studenta—

praktykanta, gapia, człowieka beзуżytecznego.

— One otwierają się do środka — powiedział operator koparki. Odnalazł miejsce, to jedyne miejsce, w które należało weprzeć się ramieniem. Nacisnął.

Drzwi okropnie zaskrzypiały i zapadły się w ciemność. Cegły zaczęły osiadać z głośnym hurkotem i operator koparki — strzeżonego Pan Bóg strzeże — odskoczył do tyłu, omal nie zwalając Miszy z nóg. Latarka zgasła — widocznie Grubin puścił przycisk — i w piwnicy zapanowała groźna cisza, taka cisza, że Standał prawie od niej ogłuchł.

— Co się stało? — zapytał głos z góry. Głos był zdumiewająco bliski. Niby przez te parę minut trójka badaczy odeszła daleko od ludzi, a tymczasem o trzy metry od nich Udałow zadaje pytania pełnym niepokoju, ale zwyczajnym głosem.

— Wszystko w porządku — powiedział operator koparki i dodał, zwracając się do Grubina: — Świeć prosto.

Grubin usłuchał go i poświecił.

Edik, zaglądając do środka, zasłonił plecami większą część drzwi, a Misza Standał poczuł się głęboko dotknięty. Miał wykształcenie historyczne i uważał się za moralnie uprawnionego do kierowania poszukiwaniami. Ale operator koparki tego nie czuł i tak się jakoś złożyło, że to on znalazł się na czele. Misza posunął się nawet o krok do przodu, bo chciał odsunąć Edika i dać mu choć byle jaką wskazówkę, ale w tym momencie Edik odwrócił się i popatrzył na Misze. Jego oko, w którym odbił się promień latarki, zaświeciło żółtym, niedobrym światłem.

Misza poczuł wewnętrzne skrzepowanie i wstrzymał oddech. Tam, za drzwiami, mogły kryć się skrzynie ze złotem i naszyjnikami z pereł, srebrne puchary ozdobione scenami z książęcych polowań, damasceńskie miecze i szkielet pechowego grabieżcy — puste, czarne oczodoły czaszki... A operator koparki zaraz wyciągnie zza pasa ostry kindżał, nieco wyszczerbiony od częstego używania, i wbije go Standałowi w serce.

Edik zabrał Grubinowi latarkę, bo tak mu było wygodniej.

— Też pokój, towarzysze — powiedział.

Zgiął się wpół, przekroczył wysoki próg i zginął w ciemności. Grubin z Misza czekali.

Ze środka zadudnił głos:

— Chodźcie tutaj, tylko się nie potknijcie, bo bez latarki niczego nie widać.

Drugi pokój okazał się mniejszy od pierwszego. Promień latarki, nie zdążywszy nawet się rozszerzyć, legł żółtym krążkiem na przeciwległej ścianie, przecinając po drodze świetlistym ostrzem różne dziwne przedmioty, i co najbardziej zdumiewające, oświetlił zakurzone gięte szkło — Butle, retorty i wielkie ciemne naczynia. Promień szperał po kątach i pozwalał obejrzeć częściami komnatę — ceglana, sklepioną i zatęchłą — długi stół pośrodku i odległy kąt z zapadniętym stropem.

— Konspiracyjna drukarnia — powiedział Grubin. Zamilkł i pomyślał: — Może tutaj drukowano „Iskrę” albo nawet „Koło” Hercena.

— Nie ma prasy drukarskiej — zauważył rozsądnie operator koparki.

— Odejdźcie — powiedział Misza. — Niczego nie dotykajcie. Mam lampę błyskową. Zrobimy historyczne kadry.

Usłuchali. Misza miał w ręku sprzęt techniczny, a jego towarzysze technikę szanowali.

Standał długo marudził, przygotowując w ciemności aparat do akcji. Edik mu pomagał, przyświecając żółknącą już latarką. Później błysnął flesz. Jeszcze i jeszcze raz.

— To wszystko? — zapytał operator koparki.

— Wszystko — odparł Misza.

— Trzeba będzie wynieść na światło — powiedział Edik. Zwrócił latarkę Grubinowi, chwycił największą butlę i ruszył z nią do wyjścia.

— Z jakiej epoki jest ta piwnica? — zapytał Grubin.

— Trudno określić — odpowiedział Misza — ale najprawdopodobniej niezbyt stara.

— Szkoda — mruknął Grubin. — To już drugie rozczarowanie w ciągu dnia.

— A jakie było pierwsze?

— Pierwsze było wtedy, kiedy pomyślałem, że zaczęło się prawdziwe trzęsienie ziemi. Ale czy jesteście pewni, towarzyszu Standał?

— Naczynia wyglądają prawie współcześnie, i książki... Misza podszedł do stołu, otworzył książkę w skórzanej oprawie.

— Idziemy już? — zapytał Edik. — Na górze pewnie nie mogą się nas doczekać.

— Później sobie wszystko obejrzymy — powiedział Grubin. Wziął jeszcze jedną butlę i kolbę. Misza szedł za nim z książkami w rękach.

Kapelusz Udałowa odskoczył od skraju studni. Mrużąc oczy w ostrym blasku dnia Edik podał mu butlę. Misza stał o trzy kroki z tyłu. Słup światła, przenikający do zapadliska, wydał mu się materialny i elastyczny. Operator koparki, skąpany w tym świetle, przypominał antyczną rzeźbę. Butla pewnie spoczywała na jego dłoniach.

Do wnętrza studni opuściły się szczupłe ręce Heleny Siergiejewny, które pochwyciły butlę. Misza uniósł do góry ciężkie foliały.

— Widzicie, co tam było — powiedział ktoś w tłumie potępiającym tonem. — A on chciał zasypać.

Udałow udał, że nie słyszy. Odebrał książki od Standala i położył je na asfalcie, gdzie już stała butla pokryta pleśnią. Przez miejsca, gdzie pleśń się starła, przeglądał czarny płyn. Inne naczynia mętnie połśniewały nieco dalej.

Udałowowi było zimno. Nawet zapiął kołnierzyk niebieskiej jedwabnej koszuli. Udałow miał wyrzuty sumienia. Kiedy wezwał koparkę, żeby zasypać jamę w jezdni, działał w interesie rodzinnego miasta. Jego bujna wyobraźnia już podsuwała mu straszliwe obrazy, skłaniając do energicznego działania. Jeden z obrazów przedstawiał wypełniony pasażerami autobus, jadący ulicą Puszkina. Autobus wpadł do piwnicy tak, że tylko tylny zderzak został na wierzchu. Obok stał zagraniczny korespondent i nieustannie pstrykał swoim aparatem. Nowy obraz: w Komitecie Obwodowym lub nawet w KC oglądają fotografie zamieszczone w zagranicznej gazecie i mówią: „Ładny gagatek z tego Udałowa! Żeby tak zabagnić gospodarkę komunalną rodzinnego miasta!” I kręcą głowami.

Był jeszcze jeden obraz, o wiele tragiczniejszy. Nieletnie dziecię w szkolnym fartuszkach biegnie ze skakanką przez jezdnię, a wokół polatują barwne motylki i małe ptaszęta. Dziecię patrzy i śmieje się. Śmieje się nawet Udałow obserwujący tę scenę. A tu nagle — czarna paszczyka zapadliska i daleki krzyk dziecka. Została tylko osierocona skakanką na potrzaskanym asfalcie, i matka, nieszczęśliwa matka dziecka, która krzyczy: „Niczego nie potrzebuję! Dajcie mi tylko Udałowa! Dajcie mi go, a rozedrę go na strzępy!...”

Dopóki nie przyjechała koparka, Udałow nieustannie walczył ze swą wyobraźnią i wciąż rozglądał się na boki: patrzył, czy nie biegnie dziecko ze skakanką, czy nie kręci się gdzieś w pobliżu zagraniczny korespondent, który nie miał tu nic do roboty.

Udałow wierzył, że w zapadlisku nie ma nic interesującego. Ileż już ich było za jego pamięci — i wszystkie puste. Dziwactwa Kastielskiej też nie potraktował poważnie. Po prostu nie chciał wojować z czynnikiem społecznym. Po co? I tak się zasypie. Wszystkie zapadliska — i to przy domu archijereja, i to, które wytworzyło się na placu budowy łaźni, i to pod rzeźnią — wszystkie wywoływały ożywienie w muzeum rejonowym, a nawet w obwodzie. Ale Udałowowi i władzom miejskim stały one kością w gardle — zapadliska nie da się zaplanować. W zapadlisku jest dla pracownika gospodarki komunalnej coś wstydliwego — groszowy, pokątny żywioł.

Teraz nad dziurą w jezdni stały butle, leżały książki. I były one nie tylko przeszłością, lecz także przyszłością. Przyszłością, w której nazwisko Udałowa będzie odmieniane na wszelkie sposoby przez działaczy kultury jak kraj długi i szeroki aż do Wołogdy, w której będzie mu się wyrzucać ciasnotą umysłu i zaściankowość. Był wręcz pewien, że padnie słowo „zaściankowość”. Trzeba więc było ratować sytuację i dowodzić.

— Dużo tam tego? — zapytał Udałow, unosząc kapelusz i ukazując wypukłe czołko z głębokimi zatokami.

— Całe laboratorium — odparł spod ziemi operator koparki, który już zapomniał o swym pierwotnym zadaniu i przeszedł do obozu przeciwnika.

— Warto zabezpieczyć znalezisko — powiedział Misza zza pleców Edika. — Należy zaprosić specjalistów z obwodu.

— Popelniacie błąd — zaripostował trzeźwo Udałow. — Nasi specjaliści są nie gorsi od obwodowych. My przecież, towarzysze, mamy Kastielską!

Ostatnie słowo wymówił tak głośno, jakby spodziewał się oklasków, i rzecz zdumiewająca — jest taka szczególna intonacja, znana ludziom zaprawionym w przemówieniach, która w połączeniu z dowolnym nazwiskiem zmusza obecnych do uniesienia dłoni i klaśnięcia nimi.

Przy słowie „Kastielską” w tłumie rozległy się oklaski. Udałow uśmiechnął się w duchu. Wziął górę nad tłumem. Sytuacja została opanowana. Piwnica będzie zasypana.

Helena Siergiejewna w każdym innym wypadku nie pozwoliłaby się okręcić wokół palca. Zażartowałyby, powiedziałyby jakąś złośliwość, którą zawsze miała na podorędziu. Ale teraz, kiedy stała i czekała, co znajdą, kiedy patrzyła na przyniesione przedmioty, zrozumiała, że nie ma sensu rozpoczynać wojny z Udałowem. Znaleziska nie były takie znów stare.

— Teraz, towarzysze, pod okiem Heleny Siergiejewny uratujemy skarby kultury i odniesiemy je do muzeum. Słusznie?

— Słusznie — odparli słuchacze.

— No, gdzie mamy skarb kultury numer jeden?

Korneliusz zerknął na wielką butlę i poczuł neodpartą chęć ‘kopnięcia skarbu numer jeden — właśnie owej butli. Zaprzagnął nawet powiedzieć narodowi, że wszystkie te graty to po prostu wyposażenie przedrewolucyjnej bimbrowni. Ale się powstrzymał.

Badacze podziemia po wysłuchaniu mowy Udałowa znowu poszli wynosić rzeczy z drugiej izby. Udałow wysłał umyślnych do domu towarowego po papier pakowy. Helena Siergiejewna przykucnęła i wzięła do ręki jedną z książek. Ostrożnie, podważając paznokciem, otworzyła zardzewiałe zameczki oprawy i przewróciła pierwszą stronę.

Widzowie pochylili się nad nią i bezdźwięcznie poruszając dziesiątkami ust sylabizowali tytuł starej książki.

Milica Fiodorowna ocknęła się. Dręczyło ją przecucie. Na skroni niespokojnie pulsowała żyłka. Coś wydarzyło się w trakcie króciutkiego snu. Zegar podróżny Pawła Boure wskazywał trzecią. Album w safianowej okładce leżał na stole, był dla kogoś przygotowany. Przez szybę dobiegały z ulicy strzępy rozmów. Trzeba wrócić do okna.

Wówczas myśli przebudzą się, jak obudziło się ciało, i wszystko wróci na swoje miejsce. Kotka, wyrwana ze snu, zdumiała się żwawością ruchów swej pani. Portrety znajomych, akwarele i zrudziałe fotografie spoglądały na Milicę Fiodorownę obojętnie lub wrogo. Ich oryginały dawno już umarły i nie przebaczyły pani Bakszt godnej pozazdrosczenia długowieczności.

Różowa poduszeczka czekała na parapecie. Milica Fiodorowna oparła się ostrym łokietkiem i wyjrzała spod między doniczek. Na ulicy niewiele się zmieniło. Tłum się przerzedził. Przed Heleną Siergiejewną Kastiełską stały na asfalcie jakieś przedmioty i butle o staroświeckim wyglądem. Sama zaś muzealna dama siedząc w kucki — w pozie, jaka nie przystoi jej wiekowi — kartkowała zniszczoną książkę.

To znaczy, że piwnica nie była pusta, że coś w niej znalezione. Milica Fiodorowna zmusiła się do myślenia. W mózgu drgnęły zwapniałe naczynia, żwawiej pobiegła krew i po całym pokoju rozniósł się cichutki trzask, jakby ktoś brązowym kluczykiem nakręcał stary zegar.

Dokąd prowadziło przejście z tej piwnicy? Przecież nie wchodziło się do niej z ulicy? Do ojca Serafima? Nie, jego dom, dopóki nie spłonął, stał w głębi, za kępami potrójnego bzu. Może do domu sąsiadującego z Baksztami, po tej samej stronie ulicy? To również niemożliwe, gdyż w tym miejscu od niepamiętnych czasów wznosił się skład zboża. Może do oficyny? Tam były zielone okiennice z otworami w kształcie serduszek, i coś jeszcze wiązało się z tą oficyną...

— Milico — męski głos odezwał się przy drzwiach, głos znajomy i wiecznie młody. — Proszę się nie lękać. Poznaje mnie pani?

— Wcale się nie boję, mój przyjacielu — odparła poważnie i cicho Milica Fiodorowna, usiłując odwrócić się wraz z fotelem. — Już nie potrafię się bać. Proszę podejść do światła.

Starzec zbliżył się do okna, ciężko opierając się na sękatej lasce z bukszpanu. Miał siwą, poźółkłą brodę, niedawno podstrzyżoną. Wulgarny odór wody kolońskiej, odór taniej razury rozlał się po pokoju, klóćąc się z innymi, zadomowionymi w nim zapachami. Te domowe zapachy — naftalinowy, waniliowy, wełniany, kamforowy — starały się wyprzeć natręta, ale aromat „Chypre’u” bezczelnie zajął środek pokoju i po chamsku szczyrzył zęby.

— Proszę mi wybaczyć, Milico — powiedział starzec. — Dopiero co byłem u fryzjera.

— Długo pan u nas zagości, Miły Przyjacielu? — zapytała Milica Fiodorowna i podała starcowi szczupłą, wiotką jeszcze, choć podagrycznie powykręcaną rękę. Starzec oparł się mocniej na lasce, pochylił się, całował długo i czule.

— Posunąłem się w latach — powiedział prostując się. — Mocno się posunąłem.

— Proszę usiąść, Miły Przyjacielu — powiedziała Milica Fiodorowna. — Tam jest krzesło.

— Dziękuję. Wszedłem kuchennym wejściem. Od tyłu. Nie chciałem natknąć się na ludzi.

— Na długo do nas?

— Trudno powiedzieć, Milico. Sam nie wiem. Jeśli ta sprawa, której poprzednio nie zakończyłem, powie mi się, może się nieco zatrzymam. Bo inaczej przyjdzie umierać.

— Niech pan nie mówi o śmierci — powiedziała Milica. — Śmierć może usłyszeć. Jesteśmy zbyt słabo związani z życiem. Cieniutką nitką.

— Nonsens — powiedział Miły Przyjaciół. — Powoduje panią ciekawość, a to znaczy, że jeszcze pani żyje.

— Tam wydarzyło się coś dziwnego — powiedziała Milica Fiodorowna. — Zapadła się jezdnia. Ludzie denerwują się, biegają.

— Mrówcza krzątanina — powiedział starzec. — Ileż to ja pani nie widziałem? Chyba z pięćdziesiąt lat.

— Pan znów swoje.

— Jestem bezpośredni i niedelikatny. Życie mnie tego nauczyło. Pięćdziesiąt lat to ogromny kawał czasu.

Milicy Fiodorownie nie chciało się wypytywać gościa o to, co przydarzyło mu się w ciągu tych pięćdziesięciu lat. Jej te lata upłynęły monotonnie. Samotnie. Czasami chłodno, czasami głodno. Ostatnio nieco lepiej.

Sąsiedzi, prości ludzie, załatwili staruszce emeryturę. Nie, lepiej nie wypytywać. Niechaj to spotkanie, choć tak długo wyczekiwane, odbędzie się poza czasem, poza jego paraliżującym biegiem.

Starzec rozejrzał się po pokoju. Portrety poznały go. On je również rozpoznał. Uprzejmie skinął głową. Wizerunki w odpowiedzi też się skłoniły, machnęły bakami, brodami i wąsami, błysnęły epoletami i akselbantami, wielokrotnie uśmiechnęły się słynnym uśmiechem Milicy, wzruszyły obnażonymi ramionami, zakołysały lokami i kędziorami.

Milica Fiodorowna patrzyła nań i rozpoznawała to, co już się skryło pod siatką zmarszczek. Przeczucia i sny nawiedzały ją nie na darmo — Miły Przyjaciół przyszedł do niej.

— Zechce pan otworzyć lufcik — powiedziała wstydząc się swej słabości. — Jest mi duszno. A wstaję rzadko, nader rzadko.

Starzec wstał, podszedł do okna. Był na tyle wysoki, że do lufcika sięgnął nie podnosząc ręki do góry. Otwierając lufcik zerknął w dół, na ulicę, zobaczył dziurę w asfalcie i leżące obok książki, butle i retorty.

— O Boże! — powiedział. Powiedział to jak człowiek, do którego śmierć przysłała na godzinę przed ślubem.

Chwycił się ramy okiennej i jego płaskie palce wyraźnie zbiały. Nie mógł utrzymać się na nogach.

— Co z panem? — zapytała Milica, która nie pojęła przyczyny jego zdenerwowania. — Żle się pan czuje?

Starzec nie patrzył na nią.

— Nic wielkiego — powiedział. — To minie. Wszystko minie.

Zamknął oczy.

— A propos — zapytała uspokojona Milica Fiodorowna, która z własnego doświadczenia знаła ataki słabości i duszności. — Dokąd mogło prowadzić przejście w tej piwnicy?

— Dokąd?

— Właśnie. Pomyślałam zrazu, że do domu ojca Serafima. Pamięta pan ojca Serafima? Okropnie się rozpił, kiedy spłonął mu dom. W dodatku kolumny były malowane w marmurek. Nie, sądzę, że nie tam. Tamten dom stał w głębi. A po naszej stronie był skład zboża. Po co mu taka piwnica? Może jednak do składu zboża?

— Nie do składu — powiedział starzec. — Nie do składu. Jaki tam skład? Piwnica prowadziła do waszej oficyny. Mój Boże, co za nieszczęście...

— Słusznie, słusznie — pomyślała Milica Fiodorowna. — Wyjście z piwnicy rzeczywiście musiało być pod oficyną...

A Miły Przyjaciół gniewał się. Jego oczy ogromniały, rosły i miały błyskawice. On sam zaś

uniósł się pod sufit, groził stamtąd kościstym palcem i coś bezdźwięcznie mówił... To się już Milicy Fiodorownie śniło. Zapadła w drzemkę. Starzec nie wleciał do góry i nie groził palcem. Stał z czołem opartym o szybę i ciężko, ochryple jęczał.

Helena Siergiejewna nie wracała. Szuroczka odpowiadała na pytania Wani i przypominało to splątany kłębek — nitka ciągnęła się, pytanie następowało za pytaniem, a w żadnym z nich nie można się było doszukać sensu. Oglupiała za szczętem dziewczyna omal nie zapomniała, że na trzecią obiecała pionierom wycieczkę do starej pani Bakszt.

Kukułka niechętnie wygramoliła się z drewnianego zegara i dwa razy skrzypnęła, nie otwierając dzioba. Na trzeci raz już nie starczyło jej siły. Wskazówki stały na za pięć trzecia. A Heleny Siergiejewny wciąż nie było.

— Wanieczka, chodźmy na spacer — powiedziała Szura czułym głosem, bo przecież Wanieczka mógł sobie nie życzyć spaceru. — Może znajdziemy babcię.

Przekonała Wanię, że powinien włożyć kurtkę i panamę. Wania ciągnął za sobą czołg z pudełek po zapalkach, bo tylko pod tym warunkiem wyraził zgodę na spacer.

Na moście przez Griaznuchę Szuroczkę i Wanię wyprzedzili znajomi z Technikum Rzecznego, barczyści uczniowie na rowerach. Wracali z plaży i dlatego czuli się niezmiernie dziarsko. Na widok Szuroczki zaczęli żartować, że Wania jest jej synem, co bardzo ich rozweseliło. Szuroczka obraziła się, a Wania się przestraszył i chciał pójść nad rzeczkę, żeby trochę posiedzieć na brzegu. Walił obcasami w kocie łby i zapierał się. Uczniom Technikum znudziło się dowcipkować w upale, więc nacisnęli pedały. Jeden z nich został w tyle, odwrócił się i powiedział, że kupił dwa bilety do kina na dziewiątą i że będzie czekał. Szuroczka prawie go nie słuchała, bo właśnie przemawiała Wani do rozsądku:

— Wanieczka — mówiła. — Pójdźmy do babci. Dam ci czekoladowego cukierka.

— Nie wolno mi jeść cukierków — kaprysił Wania. — Ja chcę ananasa. Mnie boli ząb trzonowy.

— Zaraz obejrzymy sobie twój ząb — rozległ się z tyłu pocziwy głos. — A może nawet wyrwiemy go z korzeniem.

Dopędził ich prowizor Sawicz, który szedł z obiadu do apteki.

— Zgodziłam się posiedzieć z Wanią — powiedziała Szuroczka — a Helena Siergiejewna nie wraca i nie wraca.

Sawicz popatrzył na wnuka Heleny i pomyślał z przykrością, że nie ma przy sobie cukierka lub innego przedmiotu, jakie zazwyczaj daje się dzieciom. Nie miał dzieci, choć mógłby już mieć nawet wnuki.

— Ja chcę złapać złotą rybkę — powiedział Wania, który wcale nie przestraszył się doktora.

— Złotą rybkę zdobywa się dzięki pracy, mój chłopcze — powiedział Sawicz. Prowizor nie potrafił rozmawiać z dziećmi.

— Ja będę łapał dzięki pracy — zgodził się Wania.

Szuroczka wykorzystała sytuację i ruszyła Wanię z miejsca. Sawicz szedł obok i starał się być miłym dla dziecka, ale odpowiadał mu ni w pięć, ni w dziewięć. Już po stu krokach dziecko zrozumiało, że jego sąsiad jest głupi, co było nieprawdą. Prowizor w tym czasie myślał. Myślał o życiu. Dawniej nie zauważał, że myśli. Dawniej mógł jeść i myśleć, czytać i myśleć, rozmawiać i myśleć. Teraz starał się być miły dla cudzego wnuczka, ale w rzeczywistości myślał o życiu.

Po zburzonych sukiennicach została tylko wieża z zegarem. Najpierw wykorzystywano ją jako wieżę strażacką, a potem dobudowano do niej trzypiętrowy dom dla pracowników Rady Powiatowej i zainstalowano elektryczny zegar, jakie zawiesza się na słupach w wielkich miastach — okrągły i niedokładny. Zegar wskazywał dziesięć po trzeciej.

— Oj! — powiedziała Szuroczka. — Czekają na nas pionierzy. Pobiegniemy.

Wania zgodził się biec, bo Sawicz go znudził. Szuroczka i Wania ruszyli pędem w stronę szkoły, a za nimi po pustej, rozgrzanej jezdni skakał czołg zrobiony z tomu „Sowriemiennika” i czterech pudełek po zapalkach. Jedno z pudełek wkrótce się oderwało i zostało na jezdni. Prowizor podniósł je i odruchowo obrócił w palcach. Na pudełku widniał rysunek drzewa bez liści i napis „Egoista usycha, niczym samotne bezpłodne drzewo. Turgieniew”. Szuroczka pociągnęła Wanię w zaułek. Przed nową murowaną szkołą stał dąb. Dąb był bardzo stary. Wicedyrektor szkoły lubił powtarzać starą legendę o tym, jak to pionier i odkrywca Barchatow przed wyruszeniem na wyprawę w celu odkrycia lewych dopływów Amuru posadził dąb w rodzinnym mieście. Wicedyrektor nie tylko ją powtarzał, ale także wymyślił. Legenda bardzo przypadła do gustu nowemu dyrektorowi muzeum, który miał nadzieję odnaleźć dokumenty świadczące o jej autentyczności.

W cieniu dębu nudziło się sześciu pionierów z kółka historycznego. Latem kółko nie miało zajęć, ale Szuroczka odszukała wszystkich jego aktywnych członków, którzy pozostali w mieście, i namówiła na wycieczkę do starej pani Bakszt. Był okropny upał i pionierzy nie mogli usiedzieć na miejscu. Bardzo lubili historię, ale teraz mieli wielką ochotę na kąpiel.

Złota grzywka Szuroczki Rodionowej przykleiła się do czoła. Obok niej dreptał przedszkolak. Pionierzy ożywili się i wydobyli notesy.

— Chodźmy — powiedziała Szuroczka. — Bo się spóźnimy.

Pionierzy niechętnie wypełźli na skwar.

Ich droga biegła obok zapadliska i dlatego początek wycieczki trzeba było przesunąć o dalsze kilka minut. Pionierzy wbili się w tłum przy dziurze, po chwili wszystko już wiedzieli, i Szuroczka, gdyby nawet chciała zaprowadzić ich do mieszkania staruszki Bakszt, nie mogłaby tego zrobić.

Udałow pod okiem Heleny Siergiejewny zawijał w papier pakowy wydobyte przedmioty. Edik z Grubinem wynosili z podziemia resztę rzeczy, a Misza Standal odbierał je i układał na asfalcie. Pachniało wodą kolońską „Chypre”. Zapach ten wydzieliał wysoki, kościsty starzec z żółtawą, niedawno podstrzyżoną brodą. Starzec był niespokojny i nerwowo wyłamywał gruzłowate palce. Prowizor Nikita Sawicz, który idąc prostą drogą wyprzedził Szuroczkę, zobaczył Wanię i zwrócił mu pudełko po zapalkach.

— Babciu — powiedział Wania. — Idziemy do domu.

— Co ty tu robisz? — zdziwiła się Helena Siergiejewna. — Gdzie jest Szuroczka?

— Jestem tutaj — powiedziała Szuroczka. — Zaczęłam się niepokoić, zastanawiać, gdzie pani zginęła, ale potem przypomniałam sobie, że mam wycieczkę, pionierzy czekają, wzięłam więc Wanię, poszłam do szkoły i po drodze wpadłam tutaj.

Wania tymczasem zainteresował się dziurą w ziemi, podszedł bliżej, pochylił się i wpadł do jamy.

— Ach! — wykrzyknął tłum.

Ale Wani nic złego się nie stało. Właśnie w tym momencie wędrowało do góry krzesło. Wania spotkał się z nim w pół drogi, miękko wylądował i po paru sekundach powrócił na powierzchnię.

Jednak upadek Wani stał się przyczyną innych wydarzeń.

Ku zapadlisku rzucili się prowizor Sawicz, starzec pachnący wodą kolońską, Misza Standal i Udałow, który zrozumiał, że jego koszmarne przeczucia zaczynają się sprawdzać. Ta czwórka zderzyła się nad dziurą, przeszkadzając sobie nawzajem w chwyceniu dziecka. Udałow, najbardziej pechowy, wpadł na starca, stracił równowagę i jak worek kartofli zwałił się w dół.

W bałaganie, wywołanym powrotem Wani i zniknięciem Udałowa, wonny starzec nieoczekiwanie chwycił jedną z butli, odrzucił bukszpanową laskę, która boleśnie uderzyła

prowizora, i podrzucając wysoko kolana zaczął biec ulicą. Helena Siergiejewna przyciskała do piersi wcale nie przestraszonego Wanię i nie widziała tej sceny.

Prowizor Sawicz chciał krzyknąć: „Stój!”, ale pomyślał, że to nie wypada. Tylko Misza Standal zorientował się w sytuacji i rzucił się w pogoń. Starzec już zniknął w bramie domu.

Podwórko było otoczone wysokim płotem. Starzec zna — j laż ślą w pułapce. Na widok Standala, nie wypuszczając butli z rąk, przycisnął się do ściany. Ciężko oddychał, wciągając powietrze jak herbatę — z siorbaniem.

— Proszę to wziąć — powiedział. — Zażartowałem. Tylko niech pan nie rozbije. Standal zwlekał.

— Proszę mnie nie dotykać — powiedział starzec surowo. — Niech pan weźmie butlę i wraca.

W jego oczach zapłonął taki wściekły gniew, że Standal nie odważył się oponować. Wziął butlę, ciężką i ciepłą od słońca, odwrócił się na pięcie i wyszedł na ulicę. Zaraz też napotkał resztę pogoni. Kroczył szybko, zdecydowanie, i ludzie posłusznie ruszyli za butlę. W takim samym porządku powrócili nad zapadlisko. Tymczasem Grubin z operatorem koparki wyciągnęli Udałowa, który złamał rękę. Pierwszej pomocy udzielono mu w aptece.

Zdobycz zaniesiono do muzeum, jako że znajdowało się niedaleko i chętnych do pomocy było pod dostatkiem. Przodem szła Helena Siergiejewna. Prowadziła za rękę Wanię i niosła jedną z książek, cieńszą od pozostałych i bardziej postrzępioną. Za nią sunął Misza Standal z dwiema butlami. Ciemny płyn pluskał w nich i rozkołysywał Miszę. Aparat fotograficzny podskakiwał między butlami i bił go w pierś. Potem szli pionierzy z Szuroczka na czele. Każdemu z nich dostał się do niesienia jakiś przedmiot. Pochód zamykał Edik z krzesłem. Właściwie powinien przystąpić do pracy, ale zwierzchnik ze złamaną ręką został odniesiony do apteki, a piwnica była tak wielka, że najpierw należało rozebrać strop i dopiero później zasypać ziemią, którą zresztą należało dopiero przywieźć.

Muzeum było zamknięte, bo personel miał akurat wolny dzień. Dozorczydni jednak wyszła z kluczami, gdyż pozostała wierna starej dyrektorce — zbyt wymagającej, ale za to wykształconej.

Helena Siergiejewna poszła wprost do gabinetu dyrektora. Tam też złożono znaleziska, częściowo na podłodze, częściowo zaś na skórzanej kanapie dla gości. Kiedy wszyscy wyszli, Helena Siergiejewna jeszcze z godzinę siedziała w gabinecie, przeglądając książki i odcyfrowując napisy na etykietach przyklejonych do butli. Potem dwie małe butelki zamknęła w kasie pancernej, a ze sobą zabrała postrzępiony brulion. Wania wciąż marudził, domagał się lodów. Helena Siergiejewna była zamyślona i ze zdumieniem kręciła głową, wspominając dopiero co przeczytane teksty.

...Sawicz nałożył Udałowowi łupki i zapytał, czy zdoła sam dojść do szpitala na prześwietlenie. Udałow czuł się bardzo źle. Leżał w pokoju, gdzie przygotowywano lekarstwa. Obie młodziutki farmaceutki współczuły mu i jedna z nich przyniosła wody, a druga strzykawkę, żeby zrobić zastrzyk przeciwbólowy. Ale Udałowa ta troskliwość wcale nie wzruszała. Mdlilo go od zapachu lekarstw, którego ani prowizor, ani dziewczęta nie zauważali, bo przywykli. Grubin wciąż rozglądał się, przypatrywał się chemikaliom stojącym na półkach i na wszelki wypadek notował w pamięci. Sawicz zadzwonił po pogotowie. Karetka przyjechała z opóźnieniem, bo musiała kluczyć zaułkami — zapadlisko zagradzało przejazd. Udałow wciąż usiłował wydawać dyspozycje, ale głos odmawiał mu posłuszeństwa. Wydawało mu się, że mówi, ale wszyscy słyszeli tylko niewyraźne jęki i posłusznie kiwali głowami, żeby uspokoić chorego. Korneliusz, otumaniony zastrzykiem i mdłościami, był pewny, że nie zasypane w porę zapadlisko zaczyna się osuwać i pochłaniać okoliczne domy. Oto do wnętrza ziemi spelzł dom towarowy i ekspedientki z Wandą Kazimirowną na czele wyskakują tylnym wyjściem, usiłując ratować niektóre towary z działu jubilerskiego. Za domem towarowym — Korneliusz zobaczył to jak na jawie — zapada się pod ziemię cerkiew Paraskewy Płatnicy. Chwała Bogu, że przynajmniej nie zdążył jej pomalować i Materiały archiwalne, zmiecione przez kataklizm, wytryskują z wąskich okien i niczym białe łabędzie ulatują w guslarskie niebo. Naprzeciw archiwum zjeżdża w przepaść Technikum Rieczne. Solidne budynki klasztorne opierają się przyciąganiu ziemskiemu, gną się, zawisają nad przepaścią. Barczyści uczniowie chwyciwszy za liny starają się pomóc swym pokojom internatowym i klasom, lecz na próżno — liny pękają jak nitki, chłopcy padają pokotem na ziemię i klasztor wraz ze złotymi kopułami zapada się w otchłań. A później okoliczne domy z wyraźną ochotą skaczą w dół, niktą z dziwnym bulgocącym dźwiękiem... Korneliusza najbardziej przeraża moment, kiedy zapadlisko dotrze do rzeki. Oto pękła tama, fale rzeki burzą się i pienia zalewając głębie. Już gdzieniegdzie obnażyło się dno, stare omszałe sumy wysuwają miękkie wąsy z płytkich kałuż. Nie ma już miasta — na jego miejscu rozlewa się jezioro, po którym w płaskodennej łódce (skąd się ta łódka wzięła?) płynie Korneliusz wraz z przewodniczącym Powiatowego Komitetu Wykonawczego. Obaj płaczą, a fale kołyszą łódkę... kołyszą... kołyszą... Korneliusz Udałow stracił przytomność. Grubin odprowadził Udałowa do karetki pogotowia, ucisnął dłonie prowizora i dziewcząt farmaceutek, przykazał lekarzom aktywnie walczyć o życie i zdrowie sąsiada, po czym ruszył do domu.

Pierwsza sprawa była najtrudniejsza. Należało zawiadomić żonę Udałowa o nieszczęściu. Grubin zapukał do jej drzwi.

— No i jak? — zapytała Ksenia Udałowa nie odwracając się od płyty kuchennej, bo akurat robiła obiad. — Wymieniliście?

— Korneliusz trafił do szpitala — powiedział Grubin bez żadnych wstępów.

— Ach!

Żona Korneliusza upuściła kawałek mięsa, który przeleciał obok garnka i trafił wprost do wiadra na odpadki. Sąsiedzki kot złapał mięso i uciekł z nim na podwórze, ale Ksenia nawet tego nie zauważyła.

— Co z nim, ja tego nie przeżyję — powiedziała.

— Nic strasznego — Grubin postarał się złagodzić cios. — Zwichnął rękę, no, może co najwyżej jakieś tam lekkie pęknięcie kości.

Ksenia patrzyła na Grubina okrągłymi, rozwścieczonymi oczyma i nie wierzyła mu.

— A dlaczego nie przyszedł do domu? — zapytała.

— Musiał pójść do szpitala, bo kość mogłaby się źle zrosnąć. Ale lekarze mówią, że nie będzie żadnych komplikacji.

Ksenia wciąż nie wierzyła. Ściągnęła fartuch, rzuciła go na podłogę i fartuch miękko opadł w dół, zachowując kształt jej potężnego brzucha. Ruszyła na Grubina niczym puma, której chcą zabrać małe. Miała zamęt w głowie. Z jednej strony nie wierzyła Grubinowi i była przekonana, że chce ją uspokoić, a w rzeczywistości z Udałowem jest źle, bardzo źle. Jednocześnie, znając męża, podejrzewała spisek, pobyt Udałowa w piwiarni, a może nawet, co gorsza, w izbie wytrzeźwieni. Do tej pory Udałowowi nic podobnego się nie przytrafiło, ale przy jego pechu powinno się obowiązkowo przytrafić.

— Gdzie on jest? — spytała groźnie. Grubin nie wierzył własnym oczom. Jeszcze wczoraj wieczorem była mu przychylna, pukała do drzwi jego kawalerskiego pokoju i zapraszała na herbatę.

— W szpitalu miejskim — odparł pośpiesznie, potrząsnął czupryną i uciekł do siebie. Zatrzasnął drzwi i zaczął nasłuchiwać, czy przypadkiem Ksenia się do niego nie włamuje. Nie włamywała się. Wyskoczyła na podwórze i popędziła do szpitala.

Grubin zdjął czarną marynarkę i postać chwilę, trzymając ją w wyciągniętym ręku. Marynarka zionęła żarem i parowała. W szafie rozległo się chrobotanie.

— Poczekaj — powiedział Grubin i zarzucił przewietrzoną marynarkę na akwarium. Wyjął z kieszeni spodni kluczyk i otworzył szafę.

Kruk zeskoczył na podłogę, zastukał po niej pazurami, parę razy rozprostował skrzydła, zerknął z ukosa na akwarium i kurzym krokiem podreptał do starego skórzanego fotela z wyłazającymi sprężynami.

Fotel, podobnie jak wiele innych przedmiotów w pokoju Grubina, prawie nic go nie kosztował. Zdobyl go za pośrednictwem punktu skupu surowców wtórnych, którym kierował. Każda rzecz — stojąca, leżąca lub poniewierająca się po kątach — została nabyta zupełnie przypadkowo i mogła pochwalić się długą historią. Weźmy na przykład fotel: jego sprężyny były połamane od zbyt długiego używania i niebezpiecznie sterczały. Jedno z bocznych oparcie było całkowicie pozbawione skóry, drugie zaś zupełnie całe. Najwidoczniej poprzedni właściciel lubił opierać się na lewym łokciu. Jeśli chodzi o inne uszkodzenia, to były jeszcze dwa przecięcia na siedzeniu, jakby ktoś patroszył fotel szablą, i przestrzelmy w plecach. Możliwe, że strzelano od tyłu do siedzącego w nim człowieka. Obraz uzupełniały najrozmaitsze plamy, od atramentowych po jajecznicowe, rozrzucone malowniczo tu i ówdzie.

Kruk uważnie, aby nie nadziać się na odłamek sprężyny, wskoczył na fotel i nastroszył pióra.

Na podłodze pośrodku pokoju stały opakowania szklane. Dwie butelki po piwie, jedna po winie „Rkacyteli” i jedna po wódce. Ta ostatnia miała wyszczerbioną szyjkę. Poza tym flakon po wodzie kolońskiej i brudny słoik po majonezie. Kiedy Grubin wychodził z domu, naczyń jeszcze nie było.

— Ech, durne pały — wykrzyknął Grubin, pochylając się nad szkłem. Oddzielił od reszty flakon i butelkę z wyszczerbioną szyjką i wtoczył pod łóżko. Wrzucił tam również trzy pięciokopiejówki. Zapytał kruka:

— Dawno byli?

Kruk nie odpowiedział.

— Przecież siedziałeś w szafie — przypomniał sobie Grubin.

— Nie przeczę — powiedział kruk i wsunął dziób pod skrzydło udając, że zasypia, czuł się bowiem dotknięty brakiem zaufania i długim uwięzieniem w szafie.

— Chcesz się przespacerować? — zapytał Grubin, który czuł się winny.

Podszedł do okna i otworzył je.

Kruk jeszcze przez chwilę wytrwał w pozie skrzywdzonej niewinności, po czym wskoczył na parapet i odleciał.

— No dobra — powiedział Grubin wtykając niebieski podkoszulek za pasek spodni. Iść na rynek, otwierać budkę, kupować butelki i makulaturę zupełnie mu się nie chciało. Dzień był pełen wrażeń. Grubin podniósł lewą nogę, zaczepił nią o prawą i zrzucił pantofel. Tą samą operację przeprowadził z drugim butem. Z podwórza do pokoju napływało rozleniwienie i miodowy zapach lip. Grubin położył się na łóżku z niklowanymi gałkami, ale nie zasnął — patrzył, jak na zagraconym warsztacie kręci się, poskrzypuje perpetuum mobile, malutki, doświadczalny model. Wieczny silnik kręcił się już drugi miesiąc, tylko podczas złej pogody zawilgał i wtedy trzeba go było popychać palcem. Grubin był zadowolony z życia, które nic od niego nie wymagało, zostawiając mu czas na niewinne przyjemności i zajęcia rękodzielnicze.

Szuroczka zaprowadziła pionierów do Milicy Fiodorowny Bakszt. Misza Standal, od niedawna cichy wielbiciel Szuroczki, tak długo nudził, że trzeba go było wziąć ze sobą. Zapukała ostrożnie, bo wiedziała, że staruszka ma dobry słuch i jeśli nie śpi, to otworzy. Nadstawiła ucha. Wydało jej się, że za drzwiami rozlegają się głosy, szept, kroki. Potem wszystko ucichło.

— Chwileczkę — powiedziała wreszcie stara pani Bakszt. — Wejdźcie.

Wszystko w pokoju było jak dawniej. — Ten sam zaduch zamkniętego pomieszczenia, te same akwarele i sztychy na wyblakłych tapetach, doniczki z pradawnymi kwiatami na parapecie, fikus w rozsypującej się drewnianej kadzi, Milica Fiodorowna siedząca przy okrągłym stole. Na obrusie, ciemnozielonym, nieco pogryzionym przez mole, leżał album w czerwonej safianowej oprawie ze złotymi zapinkami w kształcie lwich głów.

Milica Fiodorowna wyglądała dziwnie. Utraciła jakby część swego królewskiego majestatu, skurczyła się, zapadła w sobie. Rzadkie śnieżnobiałe włosy, przez które przeświecała różowa, sucha skóra, nieco rozwichrzyły się na skroniach, co nigdy dotąd się nie zdarzało. Pergaminowe policzki pokryte były ciemnymi, niemal czerwonymi plamami.

— Przepraszam bardzo — powiedziała Szuroczka. — Przyszliśmy do pani zgodnie z umową. Obiecała nam pani coś opowiedzieć.

— Pamiętam — powiedziała madame Bakszt i skinęła głową. — Niech dzieci wejdą.

Dzieci weszły i grzecznie się przywitały. Nie widziały nigdy przedtem pani Bakszt i zdumiały się, że bywają aż tak starzy ludzie. Głowa Milicy Fiodorowny zupełnie zapadła się w ramiona, dłonie opuchły i leżały na stole jak cudze, nieżywe. Nos zbliżył się do górnej wargi i nawet na nim zarysowały się głębokie zmarszczki. Tylko oczy — wielkie, szare, obramowane ciemnymi rzęsami — zachowały dawną żywość.

— Siadajcie — powiedziała Milica Fiodorowna. — Zachowujcie się cicho i nie palcie.

— My nie palimy — powiedziała Tania Metryk.

— Nie palę — dodał Standal, gdyż Szuroczka popatrzyła na niego srogim wzrokiem.

— Nae mogę poświęcić wam tyle czasu, ile byście pragnęli — powiedziała staruszka. — Obejrzyjcie sobie mój album. Podejdźcie do stołu, śmiało.

W pokoju nastąpiło poruszenie, powietrze zakołysało się i zapachy szafranu, kamfory, wanilii przemieszały się z sobą, a zza parawanu wionął ku nim aromat wody kolońskiej „Chypre”.

Standal pociągnął nosem i zerknął na parawan, spod którego wystawały czubki męskich butów. Znajome czubki. Buty należały do staruszka — porywacza. Jednak Misza nie podejmował żadnych gwałtownych kroków. Gdy dzieci pochyliły się nad albumem, zaczął nieznacznie przesuwać się w stronę parawanu.

— Na tej fotografii — mówiła miarowym głosem staruszka — widzicie mnie w stroju siostry miłosierdzia.

— Przed rewolucją? — zapytał rudy pionier.

— Tak, w Sewastopolu.

Znaczenie tych słów nie dotarło do pionierów. Szuroczka zdziwiła się. Nigdy nie widziała tego albumu. Kobieta w średnim wieku, ubrana w długą białą suknię i czapeček, stała na tle worków z piaskiem między dwiema staroświeckimi armatami. Obok niej — oficerowie w czapkach z maleńkimi daszkami. Twarz jednego z nich wydała się jej znajoma.

— Kto to jest? — zapytała.

— Pewien znajomy. Nie pamiętam już teraz, jak miał na imię — odparła pani Bakszt. —

Bodajże Lowoczka.

Standal kontynuował ruch ku parawanowi. Stapał na palce, a dopiero później opadał na pięty. Na razie jego podchody nie zostały dostrzeżone.

— A tutaj jest wiersz poety Połońskiego. Pewnie nie znacie takiego. To był prześwietny poeta. Sam imperator bardzo pochlebnie się o nim wyrażał.

Wiersz był poświęcony gospodyni.

Milica Fiodorowna zaczęła deklamować go z pamięci, a pionierzy porównywali z tekstem. Okazało się, że deklamowała bezbłędnie.

Do parawanu zostało najwyżej półtora metra. Czubki butów poruszyły się i cofnęły. Wyleniła stara kotka wyskoczyła zza parawanu i z dzikim wrzaskiem wskoczyła na pierś Standala. Misza gwałtownie cofnął się i omal nie przewrócił fikusa.

— Boże święty! Co się tam dzieje? — wykrzyknęła młodym głosem Milica Fiodorowna.

— Kot — powiedział Standal.

— Proszę natychmiast tu wrócić — powiedziała Milica Fiodorowna — bo w przeciwnym razie będę zmuszona wskazać wszystkim drzwi.

— Ja nic... — wyjąkał Standal. — Wydawało mi się tylko...

— Misza! — powiedziała Szuroczka.

W saloniku zapanował spokój. Standal wrócił do stołu i również zaczął oglądać album, ale kątem oka zerkał na parawan. Kotka położyła się staruszcze na kolanach i też zezowała — na Misze, jakby mu groziła.

— A teraz pomówmy o mojej młodości — powiedziała stara pani Bakszt. Spieszyła się, denerwowała i niemal krzyczała.

Na następnej stronie był akwarelowy portret panienki w sukni z głębokim dekoltem.

— To ja — powiedziała Milica Fiodorowna. — W okresie mojego pobytu w Sankt Petersburgu. A ten wiersz wpisał mi do albumu Aleksander Siergiejewicz Puszkina. Tańczył ze mną na balu u Wiaziemskich.

Pionierzy, Szuroczka i Standal zamarli, jak rażeni gromem. Staruszka powiedziała te słowa tak zwyczajnie, że nie można było wątpić w ich prawdziwość. Stronica była zagryzmołona niewyraźnym, pospiesznym pismem. A u dołu widniał podpis: Puszkina (z „twardym znakiem” na końcu).

W tym momencie zza parawanu szybko wyszedł staruszek z żółtawą brodą, dwoma susami dopadł drzwi i zniknął za nimi, unosząc z sobą przenikliwy zapach wody kolońskiej. Nikt go nie zauważył, nawet Standal, tylko syjamska kotka odprowadziła go swymi różnobarwnymi oczyma: jednym czerwonym, drugim niebieskim.

Wieczór, użaliwszy się nad ludźmi wymęczonymi przez upał i nadzwyczajne wypadki, wygramolił się zza granatowego, prastarego lasu, spędził słońce nad horyzont i zaczął igrać krwawymi barwami zachodu. Kurz opalizował czerwienią, domy poróżwiały, rozszłociły się szyby. Jedynie zapadlisko ziało czernią na sinawym asfalcie — wokół niego wznosiło się już ogrodzenie z grubych lin rozwieszonych na słupkach. Wszystko złągodniało — i powietrze, i ludzie. Każdy, kto szedł do kina lub po prostu na spacer, zatrzymywał się przy zapadlisku i rozpowszechniał różne pogłoski o bajecznych skarbach, które znaleziono w piwnicy. Opowiadano o pewnym operatorze koparki, co to zabrał po cichu złoty łańcuch wagi dwóch pudów, i chwalono się znajomością z nim. Pokazywano palcem oficera śledczego, spacerującego z żoną ulicą Puszkina, przekonując słuchaczy, że wcale nie spaceruje, tylko śledzi. Ludzie okropnie zazdrościli operatorowi koparki i mieli nadzieję, że go złapią i przykładownie ukarzą.

Udałow leżał tuż przy oknie na dużej sali szpitalnej. Ręka już go prawie nie bolała. Grubin słusznie przypuszczał, to było tylko pęknięcie, a nie złamanie. Chociaż w tym Udałow miał szczęście. Lekarze obiecali jutro wypisać go do domu. Przybiegła żona, która najpierw denerwowała się i złościła, a potem uspokoiła się i przyniosła z domu pieróg z kapustą. Przed odejściem postąpiła przy oknie, pottrzymała męża za zdrową rękę. Przybiegał syn Maksymek, przychodziła córeczka — przyprowadzali z sobą przyjaciół i znajomych ze szkoły i przedszkola, chwalili się ojcem w szpitalnym oknie.

Przechodnie kłaniali się, pozdrawiali. Udałowowi wkrótce zdudziły się te oznaki współczucia, odsunął się więc od okna, podkurczył nogi i przełożył poduszkę na środek łóżka. Nie wiedział, że jego nazwisko jest również wymieniane w związku ze skarbem. Jedni mówili, że Udałow ucierpiał starając się zatrzymać człowieka ze złotym łańcuchem. Inni utrzymywali, że starał się uciec wraz z przestępcą w celu dokonania podziału zdobyczy, ale noga mu się powinęła.

Nad zapadlisko przyszedł również prowizor Sawicz. Popatrzył w czarną głębię i postanowił, że jednak odwiedzi Helenę. — Dawno u niej nie byłem. Jeśli jej nie zastanę, to po prostu przespaceruję się koło domu — pomyślał.

Zanim Sawicz dotarł do Kastielskiej, zapadł już zmierzch. Na ulicach zażółciły się pierwsze latarnie. W oknie Kastielskiej paliło się światło. Helena czytała. Sawicza nagle opanowało onieśmienie. Koło przystanku autobusowego po przeciwległej stronie ulicy stała ławka — drewniane listwy na żeliwnych nóżkach w kształcie lwich łap. Sawicz usiadł udając, że czeka na autobus, i powtarzał w myśli przemowę, którą by wygłosił, jeśli starczyłoby mu odwagi na to, żeby wstąpić do Heleny. Powiedziałby: „Heleno, czterdzieści lat temu nie dokończyliśmy naszej rozmowy. Wiem doskonale, że to sprawa dawno przebrzmiała, że biegu czasu nie można odwrócić. Gdzieś wybraliśmy niewłaściwą drogę. Ale jeśli błędu nie da się naprawić, należy przynajmniej przyznać się do jego popełnienia”.

Wolno zapadał zmrok, niebo na zachodzie stawało się zielonkawe. Barczysty uczeń Technikum Rzecznego nie doczekał się na Szuroczkę, sprzedał drugi bilet, sam poszedł na dziewiątą do kina i z rozpachy pił w bufecie lemoniadę. Udałow bez apetytu zjadł kolację i zaczął myśleć. Stara pani Milica Fiodorowna Bakszt nie mogła zasnąć. Wstała więc, wzięła z kąta laskę, z którą chodziła do Ubezpieczalni i na targ, zarzuciła na ramiona kaszmirowy szal w ciemnoczerwone róże i udała się na spacer. Po drodze zastanawiała się, czy przypadkiem nie popełniła błędu, pokazując pionierom album z autografem Puszkina. Musiała jednak ratować swoje dobre imię i umożliwić Miłemu Przyjacielowi niezauważalną rejteradę. Grubin obudził się,

nakarmił rybki, zgasił światło i poszedł odwiedzić sąsiada, Korneliusza Udałowa. Wanda Kazimirowna, dyrektorka domu towarowego i małżonka Sawicza, zjadła samotnie ostygłą kolację i zmyła statki. Potem ogarnął ją smutek, który ustąpił miejsca atakowi zazdrości.

Zrobiło się już zupełnie ciemno. Nad lasami nabrzmiewała burza. Spoza grzebienia drzew wystrzelały bezdźwięczne błyskawice, co sprawiało wrażenie, jakby jakiś złoczyńca dawał innemu złoczyńcy ukradkowe sygnały latarką. Udałow rozmawiał szeptem z Grubinem, stojącym pod oknem szpitala. Udałow postanowił uciec i teraz wyczekiwał tylko stosownej chwili. Rano lekarze znów zamierzali zrobić mu prześwietlenie i założyć nowy gips. Udałow bał się tych zabiegów. Był też inny powód desperackiej decyzji. Kończył się kwartał, należało więc pilnie zlikwidować zapadlisko i pozostałe nieporządki w mieście. Udałow bardzo liczył na premię.

Dozorczyńni muzeum sprawdziła, czy wszystkie okna i drzwi są zamknięte. Posiedziała na ławeczce pod krzewem przekwitłego bzu, ale komary szybko wypędziły ją do stróżówki. Westchnęła, przeżegnała się patrząc na gmach Archiwum Miejskiego i weszła do mieszkania. Na rzece panowała cisza. Jej wstęga z czarnymi kreseczkami znieruchomiałych barek była nieco jaśniejsza od granatowego nieba.

Na dziedziniec muzeum wszedł starzec z ciężką bukszpanową laską. Zapach wody kolońskiej odstraszał komary, które krążyły wokół niego, wrzeszczały cieniutkimi głosikami, złościły się na starca, ale usiąść na nim nie śmiały. Starzec wolno wszedł na ganek muzeum. Nie spieszył się, żeby rozeschnięte stopnie nie zaskrzypiały. Z parku miejskiego dobiegało dudnienie bębna — orkiestra dęta grała walca „Na wzgórzach Mandżurii”. Był sam. Wyjął z kieszeni wytrych i zaczął nim gmerać w solidnej kłódce wiszącej na muzealnych drzwiach. Kłódka długo się opierała, była stara i niezawodna, ale wreszcie ustąpiła z ogłuszającym szczęknięciem. Okoliczne psy dosłyszały ten dźwięk, rozszczękały się i zaczęły się miotać na łańcuchach. Starzec zerknął na drzwi stróżówki — nie, dozorczyńni nawet się nie poruszyła... Zdjął kłódkę, położył ją ostrożnie na drewnianej balustradzie i pociągnął ku sobie drzwi obite ceratą. Ciągnął i nasłuchiwał. Przy każdym skrzypnięciu nieruchomiał, po czym znów na centymetr przyciągał drzwi do siebie. Wreszcie wytworzyła się szczelina. Najpierw wsunął laskę, a potem sam wślizgnął się do środka ze zdumiewającą w jego wielu zręcznością. Zamknął drzwi za sobą. Oparł się o nie szerokimi, zgarbionymi plecami i długo chrypiał uspokajając rozkołataną serce.

Z początku popełnił błąd — udał się do magazynu muzealnego. Znał rozkład pomieszczeń, więc w ciemności zszedł na dół do sutereny, pokręcił wytrychem przy żelaznych drzwiach magazynu i ponieważ się spieszył, stracił na tą operację co najmniej trzy minuty.

Amfilada magazynów tonęła w mroku. Starzec wyjął z kieszeni cieniutką, nie grubszą od długopisu latarkę i osłaniając ją dłonią, aby światło nie padało w okna, wolno ruszył przed siebie. Portrety drobnych posesjonatów z okolic Wielkiego Guslaru, ujęte w złote wąskie ramki, patrzyły na niego ze ścian, zdekompletowane meble tłoczyły się pośrodku pokojów, w szafach kryły się wyblakłe sarafany, suknie kupieckich żon i mundury carskich stójkowych; lampy naftowe na postumentach z brązu i porcelany celowały zakurzonymi knotami w sufit, a dawno już zepsuty złocony zegar — pasterz i pasterka — polśniewały pod przypadkowo zahaczającym o nie promieniem latarki.

W magazynie nie było tego, czego starzec szukał, wyszedł więc przymykając za sobą drzwi. Nie zamykał ich, bo brakowało mu na to czasu. Przystanął i zamyślił się. Gdzie oni to wszystko mogli schować? Później parsknął ze złością — że też się wcześniej nie domyślił — i pospieszył, postukując laską, na pierwsze piętro do gabinetu dyrektora. Tym razem się nie zawiódł. Trzy butle i kolba stały na biurku, obok makiety Pomnika Pionierów. Leżały tam również dwie książki. Inne książki i puste retorty poniewierały się na skórzanej kanapie.

Ruchy starca nabrały zwinności i precyzji. Obmacywał butle, oświetlał je latarką, rozpoznawał

płyną po kolorze. Jedną z butli od korkował i powąchał, skrzywił się jak od niucha dobrej tabaki, kichnął i wetknął z powrotem gumowy korek w szyjkę naczynia. Przejrzał książki leżące na kanapie, jedną z retort z odrobiną proszku na dnie ostrożnie wsunął za pazuchę. Jeszcze raz przejrzał wszystkie butle i książki, ale w żaden sposób nie mógł znaleźć czegoś niezmiernie potrzebnego, cennego, czegoś, po co przyszedł tu o tak niezwyklej porze.

Starzec ciężko westchnął i zatrzymał się w zadumie przed kasą pancerną. Kasa wydawała mu się podejrzana. Brakowało dwóch butelek. Postać jeszcze chwilę zastanawiając się, dlaczego zniknęły właśnie te butelki? Zapragnął nagle, żeby nie było ich w kasie pancernej. Bowiem, jeśli zostały one oddzielone od pozostałych, to znaczy, że ktoś przynajmniej częściowo odgadł jego sekret.

Kasa pancerna poddała się po dwudziestu minutach. Na jej górnej półce leżały ważne dokumenty muzealne, kwitariusze składek związkowych, pieczęć i rozmaite papiery. Na dolnej półce — dwie niewielkie butle. Starzec miał rację, ale wcale go to nie ucieszyło. Tym bardziej że brakowało pewnej rzeczy, niezbędnej dla powodzenia przedsięwzięcia. Zaczął się domyślać, gdzie owa rzecz mogła się podziąć.

Wolno i ciężko szedł po schodach, zanurzywszy butle w obszernych kieszeniach. Zapomniał, że znajduje się w muzeum nielegalnie, i zamasyżycie otworzył drzwi wejściowe. Zawiasy przeraźliwie skrzyknęły. Starzec nie słyszał tego pisku, gdyż zamysłił się. Drzwi zatrzasnęły się z głuchym łoskotem. Na dole przy schodach czaiła się przerażona dozorczyńni, przyciskając do warg gwizdek milicyjny.

Starzec nie od razu ją zauważył. Z zadumy wyrwał go gwizd, krótki i zdławiony — dozorczyńni była tak przestraszona, że nie potrafiła przyzwoicie dmuchnąć. Ręka drżała, gwizdek stukał o zęby.

— Co tu robisz? — zapytał starzec, wciąż jeszcze myśląc o czymś zupełnie innym. — Dlaczego tu stoisz? — powtórzył już z większym naciskiem.

— Boziu! — powiedziała dozorczyńni i cofnęła się o krok, depcząc muzealny klomb. — Przecież tam nie wolno wchodzić. Muzeum jest zamknięte.

— A ja wcale nie wybieram się do muzeum — powiedział starzec, który przyszedł do siebie i przypomniał sobie, gdzie jest i dlaczego się tu znalazł.

— Boziu — powtórzyła dozorczyńni. — Czyżby to był pan? Poznałam po głosie. Dzieckiem byłam, ale po głosie poznałam.

— Pomyliłaś się — powiedział starzec. — Jestem przyjezdny. Chciałem — zapoznać się z waszymi zabytkami. Chodzę sobie, oglądam...

— Nie ma się co przede mną ukrywać — obraziła się dozorczyńni. — Chociaż dzieckiem byłam, ale pamiętam, jak dziś pamiętam.

— Dobra — powiedział starzec. Zszedł już ze schodów i stał na chodniczku, górując nad dozorczyńnią. Kieszenie mu odstawały i płyn głośno bulgotał w butelkach.

Dozorczyńni, zaskoczona tym spotkaniem, zmieszana, już nie myślała o niczym złym. Uznała z goryczą, że starzec pije i nosi wódkę po kieszeniach.

— Może nie macie, ojczulku, gdzie zanocować? — zapytała. Starzec złagodniał.

— Nie martw się, stara — powiedział. — Mamy lato. Komary mnie nie biorą. Kto dziś przynosił różne rzeczy do muzeum?

— Stara dyrektorka, Helena Siergiejewna. Oni potem długo jeszcze siedzieli.

— Czy zabrała coś ze sobą?

— Z wnukiem była, z Wanią. Jest teraz na emeryturze.

— Czy miała książkę? Starą?

— Ona często z książkami chodzi.

- Jak wychodziła, to miała książkę z sobą?
- Miała, miała, pewnie że miała, jak by ona magła bez książki?
- Dawno wyszli?
- Jeszcze jasno było...
- Dokąd poszli?
- Do niej do domu, na Słobodzką...

Udałow już całkiem przygotował się do ucieczki ze szpitala, kiedy właśnie skończył się ostatni seans w kinie i na ulicę z głośnymi rozmowami i śmiechem wylegli ludzie. Księżyc nie było, bo zza lasu nadciągnęły burzowe chmury. Grubin przylgnął do ściany. Udałow położył się do łóżka. Na sali było już ciemno, światło zgaszone, chorzy spali.

— Przeszli — szepnął wreszcie Grubin dając sygnał do akcji.

Jako ostatni szpitalne okno minął kinooperator, podzwaniając kluczami od kabiny projekcyjnej.

Można było uciekać. Udałow bardzo chciał, żeby ta operacja przeszła niezauważalnie i pomyślnie. Jeśli go teraz schwytają i zawrócą, będzie niemało śmiechu i Ironicznych rozmów. Ale do rana nie można czekać. Rano do szpitala zwali się mnóstwo lekarzy i średniego personelu medycznego. Nie puszcza. Udałow podparł się zdrową ręką i usiadł na parapecie.

Z tyłu za nim skrzypnęły drzwi. Pielęgniarka. Udałow zamknął oczy i skoczył w dół, na ręce Grubinowi. Chorą rękę trzymał w górze, żeby jej nie urazić, i tak utworzyli pod oknem nieruchomą grupę rzeźbiarską, majestatyczny żywy obraz.

Przed nosem Korneliusza poruszały się niespokojne, bujne wąsy Grubina. Udałow nie otwierał oczu, oczekując w przerażeniu na groźny okrzyk siostry. Wydawało mu się już, że we wszystkich szpitalnych oknach zapalają się jaskrawe elektryczne ognie, że na szpitalne korytarze wylęgają pielęgniarki i salowe, lekarze i palacze, i że wszyscy krzyczą: „Uciek! Uciek! Zawiódł zaufanie!”

— Aj! — powiedział Korneliusz. Grubin pacnął go głową w usta, żeby zachował milczenie. Na sali szpitalnej było cicho. Może pielęgniarka nie zauważyła, że jednego podopiecznego brakuje, a może to w ogóle nie była siostra, tylko któryś z chodzących pacjentów wyszedł na korytarz. Korneliusz ciężko westchnął, rozluźnił się i powiedział:

— Poczekaj chwilę, niech odpocznę. Bądź co bądź jestem chorym człowiekiem.

I wtedy usłyszeli ciężkie, nierówne kroki. Ich odgłos zbliżał się nieubłaganie i surowo, jakby to szedł nie człowiek, lecz pomnik. Samym środkiem ulicy, nie kryjąc się, przeszedł wysoki starzec z laską. Przeszedł nierówno i skąpo oświetlony rzadkimi latarniami i tylko jego cień jeszcze przez dłuższą chwilę wydłużał się i kołysał pod nogami Udałowa. Pozostał zapach wody kolońskiej, dziwny bulgot, wydawany przez starca, oraz postukiwanie laski.

— Podejrzany staruszek — powiedział Udałow szeptem. Przestraszył się go i dlatego chciał go poniżyć. — Kręcił się koło zapadliska, pamiętasz? Zepchnął mnie w przepaść.

— Sam się zepchnąłeś. Nie ma co wymyślać — powiedział sprawiedliwy Grubin.

— I nie przeprosił — dodał Udałow. — Pokaleczył człowieka, który przez niego trafił do szpitala, a nie przeprosił. Mój wypadek wydarzył się nie w godzinach pracy i wobec tego Ubezpieczalnia nie będzie mi płacić zasiłku. Trzeba będzie z niego ściągnąć.

— Daj spokój. Korneliuszu — przemawiał mu do rozsądku Grubin. — Co ty ściągniesz ze starca?

— Wytoczę mu sprawę — powiedział Udałow, który wreszcie zrozumiał, kto jest wszystkim winien.

Poderwał się i niosąc przed sobą chorą rękę niczym karabin maszynowy, potruczał ulicą za starcem. Biegł ostrożnie, miękko kłapiąc szpitalnymi kapciami i powiewając połamami piżamy. Chciał się dowiedzieć, gdzie starzec mieszka, ale rozmawiać z nim teraz, na ciemnej ulicy, nie miał zamiaru. Starzec miał laskę, a Udałow, jako uciekinier, stał poza prawem.

Grubin westchnął i dopędził Korneliusza. Szedł obok niego i przekonywał, że nie warto tego robić. Napomykał, że taka pogoń może odbić się na zdrowiu. Udał milczał i machał ręką. Machał na przyjaciela i krwiożercze komary...

Szuroczka już trzy razy powiedziała Standalowi, że powinna iść do domu, ale nie odchodziła. Rzeczywiście powinna już wrócić do domu. Standal odpowiadał: „Nie, jeszcze trochę posiedzimy”. Wielokrotnie chodził na róg, gdzie stała sprzedawczyni lodów, i przynosił Szuroczce „Eskimo”. I znów mówił o poezji, cudownych przypadkach, planach na przyszłość, zaletach dziennikarskiego życia, mamie, która pozostała w Leningradzie, o miłości do zwierząt, o długowieczności, i wciąż przerywał sam sobie pytaniem: „Posiedzimy jeszcze?” Szuroczka miała pewne przecucia, które przyprowadziły ją o dreszcze, ale kiedy zrobiło się zupełnie późno, wstała i powiedziała: „Pójdę już. Mama będzie się gniewać”.

— Jutro jest pani wolna? — zapytał Standal.

— Nie wiem — odparła Szuroczka. — Lepiej niech mnie pan nie odprowadza. — Obawiała się, że barczyści uczniowie z technikum zobaczą z nią Standala i pobiją go.

I w tym momencie rozległy się kroki. Kroki były ciężkie i towarzyszył im stukot laski. Ulicą w kierunku mostu przez Griaznuchę szedł starzec z laską. Ciągnął za nim znajomy zapach wody kolońskiej. Standal poczuł, jak w jego wnętrzu wszystko się napina. Starzec uosabiał tajemnicę. Było w nim coś złowieszczonego.

— Idziemy! — powiedział. — Tego człowieka nie wolno nam tracić z oczu...

...Milica Fiodorowna Bakszt zamyśliła się i spacerowała znacznie dłużej, niż należy w jej wieku. Trafiała aż na Słobodę, co nie przydarzało się jej od jakichś trzydziestu lat. Wlokła się w stronę domu po nocy, pora już było spać, słabe nogi zdrętwiały, a przemykające z rykiem autobusy przerażały, zmuszały do krycia się pod ścianami domów. Może już nie zdoła dojechać do domu, do fikusa i szafranowego półmroku. Kotka posłusznie dreptała za nią, starając się nie pozostawać w tyle, a jej różnobarwne oczy płonęły mętnie, niczym reflektory przebijające się przez mgłę.

Postawna kobieta wyprzedziła Milicę Fiodorownę, nawet nie spojrzawszy w jej stronę. Tej kobiety Milica Fiodorowna prawie nie знаła — widziała ją ze dwa razy wychodzącą z domu towarowego.

Sawicz poznał żonę po rytmie jej kroków. Niegdyś ten stukot obcasików podbił go, wydawał się lekki i elegancki. Potem zachwycenie minęło, pozostała umiejętność rozpoznawania z daleka, szybkiego reagowania. Teraz też zadziałał odruch. Sawicz zrozumiał, że jego żonę męczy zazdrość, że go szuka. Dwoma susami przeskoczył ulicę i ukrył się za furtką na podwórku Kastielskiej. Wanda Kazimirowna przystanąła przed oknem, zajrzała do środka i przekonała się, że Kastielska jest sama. Siedzi przy stole i czyta. Sawicza tam nie ma. Nieco uspokojona ruszyła dalej, w kierunku mostu. Tym razem szła wolniej, jakby na przechadzkę.

Sawicz zamierzał wrócić na ulicę, ale gdy się tylko poruszył, znów rozległy się kroki, ciężkie i twarde. Sawicz pozostał w cieniu. Furtka odskoczyła pod ciosem laski i rozwarła się na oścież. Parkanik zadrzał. Wysoki starzec wtargnął na podwórko, omal nie potracając Sawicza ramieniem, obszedł dom i wbiegł na ganek. Zapukał do drzwi.

Sawicz wyprostował się. Już gdzieś widział tego starca. Starzec mu się nie spodobał. Było w nim coś agresywnego, coś zagrażającego Helenie. Chciał podejść, zadać jakieś pytanie, ale powstrzymał się od tego w obawie, że znajdzie się w niezręcznej sytuacji. Bo niby co on sam tu robi?

Gdy Sawicz tak się wahał, zaszły dalsze wypadki. Po pierwsze, drzwi do mieszkania Heleny otworzyły się i starzec, bez słowa, wszedł do środka. Po wtóre, przez otwartą furtkę wbiegł młody mężczyzna w okularach, ciągnąc za rękę uroczą Szuroczkę Rodionową, podwładną

Wandy. Młodzi ludzie zatrzymali się, nie wiedząc, co robić dalej. W tym momencie przed furką zarysowały się dwie kolejne postacie, z których jedna trzymała przed sobą sztywno wyciągniętą białą i grubą rękę. Druga postać była wysoka, a jej kudłata głowa w świetle latarni ulicznej przypominała głowę Gorgony. Udałow zaczął miotać się po chodniku, a Grubin wyciągnął żylastą szyję, zajrzał w okno Kastielskiej i powiedział:

— On jest tam.

Udałow natychmiast podążył na podwórko, wyprzedził, nie zauważając, Szuroczkę i jej towarzysza, po czym zaczął bębnić w drzwi. Pod jego uderzeniami drzwi się otworzyły i Udałow dał nura w ciemność.

— Coś się stało? — zapytał Sawicz wyskakując z cienia.

— Nie wiem — Grubin wcale nie zdziwił się na jego widok. — Całkiem możliwe.

— Przecież ci mówiłem — powiedział Misza Standal do Szuroczki i pospieszył w stronę ganku.

Jako pierwszy wbiegł do pokoju Udałow. Chciał się przywitać, ale słowa utknęły mu w gardle. Okazało się, że starzec zagnał Helenę Siergiejewnę do kąta i usiłował odebrać jej sfatygowaną książkę w skórzanej okładce. Helena Siergiejewna przyciskała książkę do piersi obiema rękami, milczała i patrzyła na starca oczyma pełnymi pogardy.

— Ach, ty! — powiedział Udałow. Wystawił do przodu zagipsowaną rękę i z rozmachem rąbnął nią starca w plecy. Starzec jęknął, ale Heleny nie puścił. Na pomoc Udałowowi pospieszył Sawicz. Przewyciężył siebie, pokonał obawy przed znalezieniem się w niezręcznej sytuacji. Powodował nim lęk o ukochaną niegdyś kobietę. Starzec charczał, kołysząc się niczym potężny dąb smagany wichurą.

Już i Grubin, i Udałow, i Standal, i nawet Szuroczka odrywali go od Heleny Siergiejewny, ciągnęli, ale on wciąż się opierał, choć powoli ulegał wspólnym wysiłkom przeciwników. Walka toczyła się wśród sapań, westchnień, pochrząkiwań i szmerów, ale bez słów.

Słowa rozległy się od drzwi:

— Przestańcie — powiedział starczy głos. — Natychmiast przestańcie.

W drzwiach, opierając się ciężko na lasce, stała opadła z sił Milica Fiodorowna Bakszt. U jej nóg, sprężona do skoku niczym pantera, przysiadła syjamska kotka.

Starzec wypuścił z rąk książkę i cofnął się pod ciężarem zwisających na nim wrogów. Poruszył ramionami, strząsnął z siebie wszystkich i jak gdyby nigdy nic usiadł na krześle.

— Jak dzieci — powiedziała Milica Fiodorowna. — Mnie też podajcie krzesło. Zmęczyłam się.

— Miły Przyjacielu — powiedziała Milica Fiodorowna. — Zachował się pan w sposób niegodny mężczyzny. Pozwolił pan sobie podnieść rękę na damę. Musi ją pan natychmiast przeprosić.

— Proszę mi wybaczyć — powiedział starzec, łowiąc oczami i odbijając pytające spojrzenia obecnych.

Helena Siergiejewna jeszcze nie przyszła do siebie. Wciąż stała przyciskając książkę do piersi.

— Mój przyjaciel nie zamierzał uczynić nic niewłaściwego — powiedziała Milica Fiodorowna. — Był jednak niezmiernie zdenerwowany możliwością utraty.

— Mnie on nie podobał się od samego początku — wtrącił Udałow. — Trzeba wezwać milicję.

— Sami sobie damy radę — powiedział Standal.

— W ten sposób do niczego nie dojdziemy, Heleno Siergiejewno — powiedział starzec.

— No, no — wykrzyknął groźnie Udałow, podciągając spodnie od piżamy. Był odważny, gdyż za nim stała opinia publiczna. — Złamałem przez pana rękę.

— Sameś skoczył — burknął starzec bez cienia szacunku.

— Miły Przyjacielu — powiedziała stara pani Bakszt. — Obawiam się, że teraz jest już za późno na stawianie warunków.

Następnie obróciła się do Udałowa i Standala i powiedziała:

— Mój przyjaciel nie powtórzy swych godnych pożałowania występków. Ręczę za to.

W jej głosie brzmiała zupełnie niestarcza pewność siebie. Udałow zmieszał się i spuścił oczy. Standal chciał coś odpowiedzieć, ale Szuroczka pociągnęła go za rękaw.

— Sądzę — kontynuowała Milica Fiodorowna Bakszt — że nadeszła pora, aby wszystko opowiedzieć.

— Tak, warto byłoby się wytłumaczyć — powiedziała Helena Siergiejewna i odłożyła nieszczęsną książkę na sam środek stołu.

— Co pani wie? — zapytał starzec Helenę Siergiejewnę.

— To, co tu jest napisane.

Starzec skinął głową. Oparł się szerokimi dłońmi na rączce laski. Teraz było widać, że jest bardzo stary, nieprawdopodobnie stary.

— No więc dobrze — powiedział. — Istota sprawy polega na tym, że urodziłem się w roku 1603.

To oświadczenie było dla wszystkich zbyt nieoczekiwane.

Udałow zachichotał. Nerwowo, niezbyt głośno, głaszcząc dłonią kędzierzawe kosmyki, wyrastające wianuszkami wokół łysiny, roześmiał się Sawicz. Zaraźliwym śmiechem parsknął Standal. Grubin uśmiechnął się od ucha do ucha. Szuroczka również się uśmiechnęła, ale natychmiast spoważniała, gdyż przypomniała sobie album starej pani Bakszt. Sama Milica Fiodorowna nie śmiała się... Wanda Kazimirowna zajrzała przez okno i dostrzegła roześmianego męża w mieszanym towarzystwie. To już przekraczało wszelkie granice i Wanda Kazimirowna wpadła z gniewem do domu. Tupnęła muskularną nogą, przerywając w ten sposób radość obecnych, i zapytała zwracając się głównie do męża:

— Śmiejecie się? Wesoło wam?

Sawicz zbłądł. Chciał wstać, przeprosić, chociaż nie był niczemu winien. Ale i tym razem stara pani Bakszt zaprowadziła porządek. Powiedziała głośno i surowo:

— Kto chce się śmiać, niech idzie do kinematografu. A pani, madame, niech usiądzie na ławce i nie przeszkadza w rozmowie.

Wszystkim natychmiast odeszła ochota do śmiechu. Wanda Kazimirowna usiadła na samym brzeżku ławki, obok Szuroczki, i zamilkła. Starzec jakby tylko na to czekał. Powtórzył dobitnie:

— Urodziłem się w roku 1603.

Tym razem nikt nie przerwał, nikt się nie uśmiechnął. Było oczywiste, że starzec nie kłamie, że istotnie urodził się tak dawno, iż jest cudem natury, unikatem, którego losy w sposób tajemniczy i cudowny związane są z zapadliskiem na ulicy Puszkina.

— Mój ojciec był biedny. Matka umarła w połogu. Mieszkaliśmy tutaj, w mieście Wielki Guslar, na ulicy Wologodzkiej. Ojciec był szewcem, ochrzczono mnie w cerkwi św. Mikołaja, która do dziś wznosi się na rogu ulic Krasnogwardyjskiej i Pokoju. Na chrzcie świętym dano mi imię Ałmaz. Imię obecnie rzadkie i zapoznane.

Starzec rozkasłał się. Kaszel wstrząsał jego wielkim i już najwidoczniej zupełnie pustym wewnątrz ciałem.

— Heleno Siergiejewno, czy można się czegoś napić? — zapytał wreszcie.

Szuroczka pobiegła do kuchni, przyniosła szklankę zimnego mleka. Starzec wypił je i niespiesznie otarł wąsy niebieską chusteczką.

— Jako małego chłopca oddano mnie na służbę do kupca Tomiły Pierfiriewa, człowieka ogromnie skąpego i złodziejowatego. Kupiec bił mnie bez litości. Rosłem jednak na silnego dzieciaka, chociaż mięso widywałem jedynie z okazji wielkich świąt cerkiewnych. Pamiętam, chodziły wtedy słuchy o Polakach, którzy wzięli Moskwę. Polacy do nas wprawdzie nie dotarli, ale i tak niepokój był wielki.

Starzec mówił wolno, starając się wydarzenia z XVII wieku ubrać we współczesne, zrozumiałe dla słuchaczy słowa. Jakby już sam nie bardzo wierzył w to, że te wydarzenia kiedyś miały miejsce. Sam sobie wydawał się kłamcą i natrętem — co tych ludzi obchodzi hałaśliwy rozgwar rynku, jękający się diak z „gramotą” w rękach, co tych ludzi może obchodzić zdeptana na śmierć żebraczka i potrójne słońce, złowieszczy znak na niebie. Czy coś takiego istotnie się wydarzyło, czy też po prostu widział to w kinie trzysta lat później?

— Komu się nudzi, może sobie pójść, wcale nie nalegam, żebyście mnie słuchali — powiedział nagle ze złością. Wciąż mu się wydawało, że widzi na twarzach obecnych ironiczne uśmiešky.

Nikt się nie odezwał. Prowizor Sawicz zdawał sobie sprawę z tego, że należy zażądać dowodów, gdyż w przeciwnym razie sytuacja stanie się nieznośna. Jej nierealność została spotęgowana przez to, że po raz pierwszy od wielu lat w jednym pokoju zetknęły się Wanda i Helena.

Starzec milczał i omiatał wszystkich przenikliwym wzrokiem. Ucichło skrzypienie krzeseł, ustał ruch, skończyło się porozumiewawcze zerkanie.

— Kiedyś złapałem gospodarza na fałszowaniu miary, a było to przy ludziach. Blizny do dziś jeszcze zupełnie się nie wygładziły, tak mnie skatował. Ale to nic, jakoś się wykaraskałem i przy okazji zyskałem przydomek „Bity”. Tak mnie nazwali. A więc, Ałmaz Bity. Inna rzecz, że imię i nazwisko zmieniałem wielokrotnie, a w radzieckim dowodzie osobistym figuruję jako Bitów. To zresztą nie jest ważne. Podrosłem, uciekłem z Wielkiego Guslaru i tak zaczęły się moje wieloletnie wędrówki. Najpierw przystałem do kupców, którzy szli na Syberię. Młody byłem i w wiele rzeczy się wplątywałem. Gdybym opowiedział wszystko, wyszłoby z tego długa powieść z wieloma przygodami.

Doszedłem z Kozakami do Ziemi Kamczackiej, bywałem również w Indiach, a kiedy wróciłem do Rosji, dobiegałem już pięćdziesiątki i cieszyłem się pewną sławą jako człowiek

odważny i miłujący prawdę. Jeśli ktoś z was ma dostęp do archiwów, to może tam znaleźć, jeśli ocalały z licznych pożarów, dokumenty wspominające moje sprawy i wyprawy, a nawet łaski carskie, które na mnie spływały. Był w tych latach wzajemny ucisk, chępliwość, smutek i rozpacz. Ruszyłem wtedy na południe, na Zaporoską Sicz. Zostałem pułkownikiem wojska zaporoskiego i myślałem już, że dokonam swego żywota w wyprawach i bojach, ale pewnego razu wydarzyło się coś takiego...

Starzec Ałmaz przerwał swą mowę, pomilczał chwilę, popatrzył wokół i poczuł się usatysfakcjonowany. Słuchacze zainteresowali się., poddali hipnozie suchych zdań, zdań krótkich i powściągliwych.

— Nie zdarzyło się wam przypadkiem słyszeć nazwiska Briuchowiecki, Iwaszka Briuchowiecki? Pani też nie, Heleno Siergiejewno? To rozumiałe. Ten człowiek zapadł w niepamięć i znany jest jedynie historykom — specjalistom. A wszak w moich czasach jego imię zarówno na Siczy, jak i na całej Rusi było nader znamienite. Dla ludzi był on hetmanem zaporoskim, a dla mnie — bezpośrednim zwierzchnikiem.

Wzywa mnie kiedyś ów Briuchowiecki do siebie i powiada: „Jest dla ciebie, Ałmazie Fiodotowiczu, sekretne i pilne zadanie. Zaszczycił mnie car gramotą, rozkazał wysłać zbrojnych, żeby starca Meletija w bezpieczne okolice odprowadzić. Posłałem ich, tylko że oni oskubali starca i wszystko, co miał przy sobie — sześć wozów i gramoty zamorskie — zabrali. Teraz car się gniewa. Gdzie, pyta, zagrabione dobro. Już drugi dzień siedzi u mnie poddiaczy Tajnej Kancelarii, Porfirusz Ołowiennikow, pokazuje spis mienia i rozkazuje zwrócić. Grozi. Poradź, Ałmaz, co robić?” Od razu rozumiałem, że Iwaszka Briuchowiecki kręci, bo grabieżcy na pewno szczerze się z nim podzielili. A komu chciałoby się oddawać dobytek? Pytam go więc:

— A gdzie są gramoty? Wątpliwe, żeby car wysłał Ołowiennikowa, człowieka sprytnego, tylko po jakieś tam sześć wozów,

Briuchowiecki z początku zapierał się, twierdził, że niby nie wie, gdzie są gramoty, że nawet o nich nie słyszał. Potem niby sobie przypomniał i przyniósł. Jak dziś pamiętam: rzeźbiona szkatuła, a w niej zwitki i pojedyncze karty. Zażądałem trochę czasu na przejrzanie. Briuchowiecki nie miał nic naprzeciw. Burknął tylko, że wezwie mnie rano. Z tym wróciłem do swego domu.

„Wydaje mi się, że gdzieś natknąłem się na nazwisko tego Briuchowieckiego” — pomyślała Helena Siergiejewna odganiając od twarzy papierosowy dym.

Standal zaczął się nudzić. Kręcił się na krześle i zerkał na Szuroczkę, ale bał się do niej odezwać. Udałow niańczył złamaną rękę — widocznie go bolała. Grubin słuchał uważnie i oczyma duszy widział butnego hetmana, u którego pod drzwiami siedzi moskiewski poddiaczy z Tajnej Kancelarii.

— Wezwałem pewnego skrybę, Greka, nie pamiętam już, jak się nazywał. Razem z nim odczytałem gramoty. A były to gramoty bardzo interesujące — wschodni patriarchowie uznawali w nich nieograniczoną władzę cara Aleksego. A Nikona, patriarchę ruskiego, stawiali niżej od cara. Gramoty były niezmiernie ważne i poddiaczy nie na darmo tracił czas. Car chciał skończyć z Nikonem, ale nie ważył się sam pozbawić go patriarszej godności. Wysyłał posłów do Jerozolimy, do Antiochii, jednał sobie tamtejszych patriarchów, prosił ich o pomoc. Wśród papierów znajdowała się pewna kopia, która mnie szczególnie zainteresowała. Była to kopia gramoty samego Nikona, który wyklinał w niej cara i bojarów gnębiących naród, głosił prawdę i sprawiedliwość, uskarżał się na carską samowolę, groził wojną. I tę właśnie kopię carscy posłowie wozili na Wschód, aby pokazać patriarchom, jaka czarna owca zakradła się do ich owczarni. Ta gramolą bardzo współgrała ze stanem mojego ducha. Od wielu lat szukałem sprawiedliwości i oto teraz ta sprawiedliwość, przepisana przez skrybów, wygłoszona przez

wielkiego człowieka, który wystąpił przeciw carowi i bojarom — leży przede mną. Nie orientowałem się wówczas w zamiarach patriarchy i postanowiłem, że gdy tylko żyw będę i ujrzę starca, poproszę go o wskazanie mi słusznej drogi.

Rano poszedłem do Iwaszki Briuchowieckiego i poradziłem mu: „Oddaj, powiadam, coś z tego, co zabrałeś, jakiś drobiazg. Ale te cztery gramoty, napisane przez patriarchów, koniecznie zwróć. Wtedy car cię poniecha. Powiedz, że wszystko Kozakom odebrałeś, złożyłeś w cerkwi, a cerkiew spłonęła”. Iwaszka dopytuje się: „A ujdzie mi to na sucho?” „Ujdzie” — powiadam.

Briuchowiecki tak też i zrobił. Poddiaczy, gdy tylko zobaczył patriarsze gramoty, od razu ożył — po nie właśnie jechał.

Starzec rozgadał się. Głos mu okrzepł i stał się dźwięczniejszy. Wymachiwał laską niczym buławą lub szabłą, zapomniał o słuchaczach, nie oni mu teraz byli w głowie.

Sucha relacja nabierała życia, zakurzone imiona przekształcały się w ludzi.

— Rwałem się do Moskwy, ale dotarłem tam dopiero za jakieś dwa, trzy lata, kiedy już do niej podjeżdżali przez Gruzję, a potem Wołgą, zwołani przez cara patriarchowie, żeby sądzić Nikona, unicestwić go. Briuchowiecki również wtedy pojechał do Moskwy, z hołdem, i udało mi się przez podstawionych ludzi nawiązać kontakt z Nikonem.

W owym czasie groziło mu już zesłanie do północnego klasztoru, pokuta w charakterze zwykłego mnicha, ale starzec nie poddawał się, nie uważał walki za przegraną. Mówiąc językiem współczesnym, miał jeszcze mocne plecy. Właśnie na nich się opierał. A z drugiej strony zwrócił uwagę na naród. Może nawet nie z miłości do niego, ale co miał robić? Przegrał kampanię. Mnie Nikon umieścił w pewnym klasztorze, gdzie nazwano mnie starcem Siergiejem. Szablę jednak jeszcze potrafiłem w rękę utrzymać. Siedzenie w klasztorze nużyło mnie, chociaż Nikon czynił mi wielkie nadzieje — zbliża się, powiadał, nasz czas. Posłużysz jeszcze, mówił, Ałmaz, słusznej sprawie.

— Wytrzymajcie jeszcze trochę — powiedział nagle starzec pojednawczym tonem, zwracając się do Grubina, który wyjął notes i zaczął w nim coś pisać. — Jeszcze tylko kilka słów. Zaraz przejdę do sedna sprawy. Bez tego, co opowiedziałem, nie pojmiecie mojego stanowiska i moich losów.

— Ja po prostu robię notatki — powiedział Grubin, ale zamknął zeszytik.

— Z południa, znad Wołgi, nadeszły wieści, że powstał Stieńka Riazin. Nie mógł darować Dołgorukiemu śmierci swojego brata Iwana, śmiały był człowiek, i chociaż Prozorowski, wojewoda astrachański, w imieniu cara obiecał mu wybaczenie dawnych grzechów, ruszył wzdłuż Wołgi, postanowił obalić władcę. Myślał, że wtedy ludzie zaczną dobrze żyć. Kiedy u nas w klasztorze zaczęli o tym przebąkiwać, zrozumiałem, że nie dziś to jutro wezwą mnie do Nikona. Był wówczas Nikon zwyczajnym mnichem pohańbionym, uwięzionym w klasztorze św. Feraponta, tutaj na naszej Wołogodzkiej Ziemi. Ale w klasztorze znali go i lękali się jego potęgi, bo mógł jeszcze wiele. Wezwał mnie i powiada: „Ty, Kozaku Ałmazie, idź do Stiepana Timofiejewicza nad Wołgę. Beze mnie Stiepan sobie nie poradzi. On sam to wie, bo słyszałem, że jest wśród jego łodzi barka obita czarnym aksamitem — rozpuścił Stiepan plotkę, że ja w tej barce płynę. Pojedź tam, rozejrzyj się, będziesz niby moim posłem”. Pobłogosławił mnie Nikon i poszedłem nad Wołgę. Byłem właśnie w Astrachaniu, kiedy Prozorowskiego rzucili w bystrzynę, zdobywałem Carycyn i pod Symbirskiem z wojskiem stałem. Wszystko było. Tylko, rzecz jasna, sukienkę zakonną zrzuciłem i chociaż wołali mnie po dawnemu starcem Siergiejem, biłem się po kozacku. Wtedy właśnie poznałem Milicę.

Ałmaz wskazał węzlastym palcem staruszkę, drzemiącą w kącie z kotką na kolanach. Wszyscy posłusznie obrócili się w jej stronę.

— Była ona wówczas, a zresztą jest do dzisiaj, księżniczka, o której ludzie śpiewają znaną

pieśń. Że niby ją Stiepan Timofiejewicz za burłę do Wołgi wrzucił.

— Oj — westchnęła Szuoczka Rodionowa.

— Nie budźcie jej — powiedział Ałmaz, chociaż nikt nie zamierzał budzić Milicy Fiodorowny. — W pieśni mówi się, że Stiepan Timofiejewicz wyrzucił ją za burłę, ale to nieprawda. Odgrażał się, nawet przysięgał, żeby uspokoić zazdrosnych Kozaków. Ale przecież nie był bandytą. Był on już w owym czasie mężem stanu, armię za sobą prowadził. Incydent wprawdzie był, przyznaję to. Znajdowałem się wówczas na tej samej barce, co Stiepan. Mocno się kłóciliśmy, bo były między nami wielkie różnice zdań. Na to akurat przyszli niektórzy dowódcy — Symbirsk już niedaleko, powiadają, a tam ślubna małżonka oczekuje. Niedobrze będzie, powiadają, jeśli z dziewczką się tam zjawicie, morale wojsk ucierpi. Dziewka nie rozumiała ani słowa po rusku. Zresztą nazywała się zupełnie inaczej niż dziś. Tylko oczyskami swoimi strzelała na wszystkie strony, zwracała Kozakom w głowach. Stiepan zaklął i rozkazał mnie, jako starcowi, człowiekowi pewnemu, zabrać ją w nocy i przewieźć na czarną, nikonowską barcę. Na niej właśnie płynęła. A w Symbirsku umieściliśmy ją w pewnym domu. A ty, kudłaty, nie szczerz zębów. Jeśli wszystko pójdzie jak należy, jutro jej nie poznacie. Była pierwszą pięknoscią w Persji i tutaj też będzie pierwszą pięknoscią.

Starzec zmęczył się i umilkł, aby nieco odsapnąć. Oddychał ciężko, chrapliwie. Ałmaz wyjął z kieszeni paczkę „Bielomorów”, zapalił. Wokół rozlegały się urywki zdań, ale zdań zwyczajnych, słów powszednich, bo nikt nawet nie wspominał o usłyszanym opowieści, nie wiedząc jeszcze, jak i co trzeba powiedzieć. Szuoczka przyniosła Wandzie Kazimirownie coś do picia. Helena narzuciła szal na ramiona Milicy Fiodorowny, żeby staruszka nie zmarzła. Za oknem panowała cisza, ciemność, chłodek. W oddali sennie i leniwie poszczekiwały psy. Brzmiało to tak, jakby wymyślały, bez większego zresztą przekonania, dokuczliwym komarom.

— Dalsza opowieść to sam tylko smutek — powiedział starzec. — Powstanie, jak wiecie, zostało zdławione, Książę Dołgoruki postawił w Arzamasie dwieście szubienic. Na każdej z nich zginęło po pół setki ludzi. Policzcie sobie, ilu ich było. Ale ja tego nie widziałem. Z dwiema sotniami Kozaków odskoczyłem na północ, do klasztoru św. Feraponta. Poznał mnie Nikon, ucieszył się, ale nie chciał ryzykować. Namawialiśmy go do działania. Zdobędziemy klasztor św. Cyryła, mówiliśmy, tam bogaty skarbiec, armaty, i nad Wołgę, na pomoc Stiepanowi pospieszymy. Wszystko na próżno, nie ośmielił się starzec, został. Przez te spory spóźniliśmy się z pomocą.

W owym czasie Stiepana i Froła już do Moskwy wieźli. Kozaków zwolniłem, żeby każdy ratował się na własną rękę, szukał szczęścia, jak potrafi. A sam chciałem pójść do lasu. Był jednak tam pewien pies — kniaź Samojfa Szajsupow, któremu car kazał śledzić Nikona. Szajsupow wszędzie miał swoich ludzi. Donieśli. Schwytali mnie niedaleko klasztoru, zakuli i do Moskwy, jako najbardziej niebezpiecznego zbrodniarza stanu. Można powiedzieć, że spadłem carowi jak z nieba. Jeśli się przyznam, to koniec z Nikonem, bo nie doniósł, komu trzeba, o naszym przyjeździe i namowach. Nikona i tak już przenieśli do twierdzy, do klasztoru św. Cyryła, i tam trzymali o chlebie i o wodzie. A moje zeznania byłyby dla niego gwoździem do trumny. Przywieźli mnie do Moskwy i tam zaszło nieprzewidziane wydarzenie, które ma bezpośredni związek z dzisiejszym dniem.

Ręce wiązali mu w przegubach sznurami obszytymi wołłokiem, nogi krępowali rzemieniami i podciągali ciało do góry. Kat nadeptywał na koniec rzemienia, ciągnął, rozdzierał ciało, rozrywał stawy rąk i nóg. Później bił po plecach knutem, rzadko, jakieś trzydzieści uderzeń na godzinę, i po każdym ciosie z pleców odpadał pas skóry, jakby wycięty nożem. Do czerwoności rozżarzał kleszcze i chwycił za żebra.

Starzec Siergiej do niczego się nie przyznawał. Frola Riaziria, który go rozpoznał, powitał pustymi oczyma, a mnichom, którzy widzieli go, jak wchodził i wychodził od byłego patriarchy Nikona, wymyślał od najgorszych. Starzec był ogromny, jeszcze silny, ale po torturach mocno podupał, głowa chwiała się na boki, język spuchł tak, że nie mógł wymówić nawet słowa.

Car Aleksy, dusząc się ze strachu, przeszedł nocą z pałacowych komnat do lochów Tajnej Kancelarii. Miał przy sobie paperek, na którym własnoręcznie nagryzmołił pytania, jakie miał zadać starcowi.

„Za co Stieńka chciał pobić soborowych, czy nie za to, że oni słusznie obalili Nikona, i co on im rozkazywał?” — powtarzał władca słowa notatki. „O Karolu — gramota od niego z nikonowską pieczęcią przyszła zza granicy do jego Carskiej Wysokości”. To o Szwedach. Szwedzi są niepewni i podstępni, Katoszyczna, zbiegłego buntownika, ukryli, drukarnię trzymają, w książkach różne wieści o zbrodniarzu Stieńce drukują i fałszywie na temat Nikona donoszą. Starzec powinien coś o tym wiedzieć.

Diak Daniłło Polański szedł o pół kroku za nim i trzymał świecę, żeby car nie uderzył się głową o sklepienie. W przejściu było duszno i smrodliwie, strzelec stojący przed drzwiami katowni zakrzętnął się otwierając je, cofnął się, i od tego carowi zrobiło się jeszcze paskudniej na duszy. Polański powiadał, że starzec Siergiej milczy. To źle. A są przecież ludzie, pewni chyba, którzy twierdzą, że Siergiej to wcale nie Siergiej, nie starzec, tylko kozacki pułkownik.

Stopnie wiodące do lochu były śliskie i brudne, mogliby wymyć, bądź co bądź monarcha tamtędy chodzi. Nic jednak nie powiedział Polańskiemu, powtarzał słowa pytań i słowa ulatywały, ginęły w różnych niespokojnych myślach, a w środku wszystko płonęło, piekło, widać Niemczury—lekarze dali jakieś paskudne ziele. Gorzko było carowi od ludzkiej niewdzięczności, od wrogości i prywaty, złości i obmów.

— Moglibyście wymyć schody — powiedział nagle do Polańskiego, chociaż niby wcale nie zamierzał.

Przeszli lochem do sali tortur. Za kratami komór więziennych poruszały się cienie, białe ręce sterczały ze szmat, a łańcuchy dzwoniły jak na pożar.

Starzec Siergiej bezwładnie wisiał na belce. Siwe włosy, pokryte błotem i krwią, sterczały mu kołtunem w bok, co sprawiało, że wyglądał jak młody bojarzyn w czapce założonej modnie na bakier.

Poddiaczy, który prowadził przesłuchania, poderwał się zza stołu, ale car nawet nie popatrzył w jego stronę. Ciężko przedstawiając opuchnięte nogi, podszedł do Siergieja i zajrzał mu w twarz. Kat, żeby monarsze było wygodniej, żwawo zabiegł od tyłu i opuścił postronek. Siergiej dotknął nogami posadzki, ale nogi odjechały w bok, nie trzymały go.

— Co powiedział? — zapytał car patrząc na starca, tak niezbędnego dla spokoju i triumfu władcy.

— Milczy — powiedział poddiaczy cicho, patrząc w brzuch swego władcy. Bał się carskiego gniewu.

Opuchnięty, czarny język więźnia sterczał z ust, nie mieścił się w nich. Oczy, obrócone białkami ku górze, nie zamykały się.

— Jest mi potrzebny żywy — powiedział nagle car zwyczajnym głosem, lecz jakby ze smutkiem.

Powiedział to tak, że nawet Polańskiego przeszedł dreszcz. Najłagodniejszy z monarchów był nader zatroskany, a to wielu mogło kosztować głowę.

— Niechaj z rana medyk go obejrzy, da lekarstwo. I nie wypytywać, zanim nie powiem.

Ałmaza polali wodą, wnieśli nieprzytomnego do komory i rzucili na ziemię. Nie zamierzali do rana wzywać medyka. Starzec był mocny.

Ałmazowi wydawało się, że jest na pustyni. Pałą i pieką nogi pokaleczone o kamienie, i jeziora tylko łudzą, a okazują się wichrami, bijącymi po spalonej skórze. Potem miły chłodek opadł na czoło. Lodowata woda, tak zimna, że drętwiały zęby, sama wlewała się do ust, zrobiło się lekko i błogo.

— Lepiej się czujesz? — zapytał cichy głos, miły, niczym ten chłodek na pustyni.

— Tak — powiedział Ałmaz i otworzył oczy. W ciele siedział ból i drętwota, ale to nie było ważne, gdyż umysł rozjaśnił się, ożył. Głos dźwięczał tam, w środku, jakby ktoś gładził palcem ciemność. Tuż obok, na kopce zgniłej słomy, leżał rozpostarty malutki człowieczek i dotykał wychudłymi rękami Ałmaza. Jego oczy w ciemności świeciły się po kociemu.

— Nieczysta siła — powiedział Ałmaz — zgiń, przepadnij!

— Ciszej — odezwał się głos w jego głowie. Wargi malutkiego człowieka nie poruszały się, były zaciśnięte w wąską linię. Tylko oczy świeciły się ostrą zielenią. — Ciszej — głos uspokajał, koił. — Usłyszają i przyjdą. Znów zaczną torturować. Pragnę twojego dobra. Jestem zmordowany i słaby, nogi mam połamane.

W komorze panowała gęsta ciemność, ale Ałmaz zobaczył, że nogi sąsiada są nieruchome, nieżywe. Krew płynąca z ust zapiekła się na policzku. Ałmazowi przeszedł strach. Język był ciężki, ale jakoś się poruszał.

— Pij — powiedział bezdźwięcznie sąsiad i wyciągnął dłoń, w której jak rosa na liściu perlila się woda. W malutkim człowieczku nie było zła i wrogości. Ałmaz pochylił głowę i zlizął rosę.

— Na dybach cię męczyli? — zapytał sąsiad.

— Umrę — odparł Ałmaz. — Sam car z rana się do mnie zabierze.

— Jesteś buntownikiem? — zapytał sąsiad. — Ze Stienką zbójowałeś?

— To nieważne — odparł Ałmaz. Podejrzewał, że tajni diakowi podstawili mu swoje ucho.

— Nie obawiaj się — powiedział człowiek. — Znam twoje myśli. Możesz mnie uważać za medyka z Ziemi Frazińskiej. Oskarżyli mnie o czary, ogniem torturowali, nogi łamali. Znam sekret, jak stąd uciec, ale nie mam nóg.

Ałmaz długo żył na tym świecie i wielu rzeczy się napatrzył. We Frazińskich Ziemiach, w niemieckich, cudów jest wiele. Sam Ałmaz w Indiach był, Turcję widział, ale w cuda, rzecz oczywista, wierzył.

— Opowiedz mi o sobie — błagał sąsiad. — Nie musisz słowami, myśl tylko, ja zrozumieję.

Oczy zaglądały w duszę, oświetlały ją zielonkawym ogniem, wypatrywały, co ukrył, a ukrył Ałmaz w swojej opowieści niewiele, tylko to, co dotyczyło patriarchy Nikona. To niechaj sąsiad sam wyczyta — czy to nieczystą siłą, czy to zwykłymi czarami.

Czasami sąsiad prosił o powtórzenie, wypytywał o szczegóły, ciekawił się, jakby nie był skazany, podobnie jak Ałmaz, na niechybną śmierć. Opowieść go zadowoliła. Mówił, że zabłysła mu nadzieja, że poszczęściło mu się, iż sąsiadem jest Ałmaz. Na nic już nie liczył, utracił wiarę, czuł bliską śmierć.

Z lochów Tajnej Kancelarii nie ma ucieczki, Ałmaz dobrze o tym wiedział. Nikt jeszcze stąd

nie uszedł. Może mały człowiek stracił rozum, a może zna tajemne słowo.

— Nie — powiedział sąsiad. — Nie znam słowa, ale widzę przez ściany. Nie dopytuj się, jak, bo nie odpowiem, nie zdołasz tego zrozumieć.

Ałmaz nie upierał się. Wierzył w sekretne i dziwne rzeczy, ale czarowników unikał. Może naprawdę człowiek patrzy wskroś ściany, jeśli mu to dane.

— Tutaj w jednym miejscu ściana jest cienka — powiedział człowiek. — Na jedną cegłę. Zamurowane drzwi. W dawnych czasach było przejście, ale widać po pożarze zarzucili je, zamurowali. Pod Kremlom w różnych miejscach są wykopane przejścia i piwnice, tak wiele, że niektórych nawet nie znajdziesz. Carowie już od dawna tu mieszkają, a wszystkim władcom potrzebne są sekretne miejsca, skrytki i więzienne lochy.

Za kratą przeszedł strzelec. Zajrzał w ciemność, niczego nie dostrzegł, zawołał:

— Starcze Siergieju, Starcze Siergieju, żyjesz?

Ałmaz jęknął przeciągle.

— Żyje — powiedział strzelec. — Z samego rana medyka przyprowadzą jak do jakiego bojara.

Roześmiał się.

— Jak do bojara — powtórzył i ruszył dalej.

— A jak my ten mur rozbierzemy? — zapytał Ałmaz.

— Ciszej, nie mów językiem — odezwał się wewnątrz głowy sąsiad. — Myśl, a ja wszystko rozumiem.

— Nie przywykłem tak.

— Jeszcze wczoraj oblużowałem cegły. Wyciągniesz mnie, poniesiesz. Cegły ułożysz na miejscu. Może nie od razu się spostrzegą.

— Zgadzam się — powiedział Ałmaz, gdyż był człowiekiem trzeźwym i rozumiał, że jeśli nie ucieknie nocą, czekają go nowe męczarnie, po których śmierć wyda się wybawieniem.

— Czekaj — usłyszał głos rozlegający się w głowie.

Człowiek, opierając się na łokciach, powłókł bezwładne ciało ku przeciwległej ścianie i od jego bólu, który niechcący przekazywał Ałmazowi, starcowi zawirowało w głowie.

— Czołgaj się tutaj, tylko nie hałasuj — rozległ się rozkaz. Ałmaz zbliżył się i wymacał szczupłe ciało. Człowiek chwycił jego rękę i uniósł ku ścianie. Jedna cegła już była wyjęta, a druga się chwiała.

— Silniej ciągnij — słyszał Ałmaz. — Wyjmuj je. Zaprawa jest stara i łatwo się kruszy. Ja będę przekładał.

Znów przeszedł strzelec, głośno tupiąc butami. Widocznie zziąbnął w lochu.

— Czekaj na zmianę warty — powiedział sąsiad. — Myśli o tym, jak by się rozgrzać. Myśli, że przez noc umrzesz. Medyka nie trzeba będzie wzywać, co i dla ciebie lepiej. Dobry człowiek.

Ałmaz skinął głową na znak zgody. Strzelec chciał, żeby starzec jak najszybciej przestał się męczyć.

Ałmaz wyjmował cegły ze ściany, a sąsiad odkładał je na bok. Obmacał dziurę — była wąska, ale da się przeleźć. Sąsiad trącił go w plecy, bo odgadł, o czym Ałmaz myślał. Ałmaz precyzyjnie się przecisnął przez dziurę. Ciągnął stamtąd chłód i mrok, katownie Tajnej Kancelarii w porównaniu z nim wydawały się ciepłym rajem. Ręce zapadły się w lodowate blocko, a ramiona zdrętwiały. Człowiek popychał z tyłu, ale że był słaby, niepotrzebnie się starał. Własny oddech wydawał się Ałmazowi wyciem wiatru w kominie, chrypliwym i dudniącym.

— Naprzód, wysił się jeszcze trochę, już niewiele zostało. Tam jest wolność!

Słowa człowieka, jego namowy łomotały w głowie jak krew i Ałmaz gmerał rękami w blocku, ciągnął swe nieposłuszne ciało, które wreszcie przeważyło... Głowa upadła w smród i ziąb,

wstręt i przerażenie przydały sił. Odpoczął nieco, wyciągnął nogi z dziury i uniósł się, żeby zetrzeć smrodliwą maź z twarzy.

— Mnie weź, nie zapomnij — błagał człowiek.

Ale Ałmaz nawet nie myślał zostawić towarzysza w biedzie, towarzysza, który wskazał mu drogę do wolności. Ałmaz nigdy nie zawiódł ludzi. Widocznie człowiek odgadł jego myśli, bo ucichł i pokornie czekał, aż Ałmaz odpocznie, wsunie ręce do dziury i wciągnie go — słabego, bezsilnego, nieważkiego — do czarnego tunelu.

Ałmaz wyprostował się, krzywiąc się z bólu i wściekłości na swe nieposłuszne członki. Sklepienie było niskie i musiał się pochylić, a spadające z góry lodowate krople wody parzyły poranione plecy. Człowieka wziął na ręce niczym niemowlaka — na barana nieść go nie mógł, chociaż to poręczniejsze, bo dokuczały pokrwawione plecy. Po paru krokach przełożył go pod pachę, aby wolną ręką wymacywać drogę w ciemności. Nie było to zresztą potrzebne, bo człowiek podpowiadał, dokąd iść, gdzie zawracać, gdyż niczym kot widział w mroku. Ałmaz już się nie dziwił, nie miał sił na zdziwienie, szedł więc, potykał się, ślizgał w błocie.

Dotarli do podziemnej komory. Strop poszedł do góry i można się było wyprostować. Pomacał ręką wokół siebie — szkatuły, kufry. Widać jakieś zapomniane bogactwa.

— Nie — powiedział człowiek — to są książki, kroniki, gramoty. Stare. Zostały z czasów cara Iwana.

— Nie słyszałem, żeby car bawił się książkami — powiedział Ałmaz.

— Interesował się — powiedział człowiek. — Tu są ukryte wielkie bogactwa. Tajemnice państwowe. Wielu już ich szuka, ale nie znajdują. Z ziemi lochy są niewidoczne.

Daleko z tyłu wzmocniony gardzielami przejść, jak trąbami bojowymi, rozległ się hałas. Splatał się w zwarte dudnienie, cichł, rozpadał się na poszczególne głosy.

— Spostrzegli się, zauważyli, że nas nie ma — powiedział człowiek. — Teraz nie znajdują. Zanim odważą się wejść do podziemia, zanim przez nie przebrną, my już będziemy daleko.

...Wyszli przez na poły zawalony śmieciami, pełen nietoperzy i szczurów podziemny korytarz, który kończył się na przeciwległym brzegu rzeki Moskwy, opodal Kadaszewskiej Słobody. Kupa zetłatego drewna i trochę kamieni — oto wszystko, co pozostało po kapliczce, ukrywającej pradawne podziemie. Świtało. Jakiś chłopak pędził konie z nocnego pastwiska, a z przeciwka, ledwie majacząc we mgle, szła baba z wiadrami. Po lewej były ogrody, w których nawoływali się stróże, strzegący carskiego dobra. Z mgły, niczym dzidy, wyłaniały się dzwonnice kadaszewskich cerkwi. Było spokojnie i nawet psy nie szczekały, nie zakłócały ludziom snu w taką zwyczajną noc.

— Pójdziemy brzegiem — powiedział człowiek. — Wiem, gdzie jest łódka.

Dopiero teraz Ałmaz mógł przyjrzeć się swemu towarzyszowi. Ból w nim, zbitym i stortuowanym, był wielki. Przez strzępy odzienia przeglądały rany i siniaki, ręce były tak poorane, jakby ktoś z nich ściągnął skórę, a i w twarzy nietknięte pozostały jedynie oczy. W porannym brzasku utraciły koci blask i wewnętrzne światło, i teraz były niebieskie i bezdenne jak powietrze. W tych oczach kryła się myśl i męka.

— Pocierp trochę — powiedział człowiek. — Donieś mnie.

— Pewnie — powiedział Ałmaz i nawet się uśmiechnął, pomyślawszy, że sam też jest straszny i obrzydliwy.

— Co prawda, to prawda — powiedział człowiek. Ałmaz wprawnym już ruchem wsunął go sobie pod pachę, przy czym jego połamane nogi ciągnęły się niemal po ziemi, rozsuwały wysoką przybrzeżną trawę.

Łódka była tam, gdzie być miała. Człowiek znów miał rację, i wiosła, zapomniane lub umyślnie zostawione, leżały w dulkach. Po godzinie dotarli do lasu i tam przeleżeli cały dzień,

ukrywający łódź w trzcinach.

Ałmaz nabierał jagód, zjadł parę syrojadek. Jego towarzysz nie chciał jeść, tylko pił wodę, lecz nie z rzeki, jak Ałmaz, ale z własnych dłoni, jak w Tajnej Kancelarii, kiedy poił tą wodą-rosą swojego sąsiada.

Potem znów szli, obchodzili wsie, szli bez wytchnienia i dopiero następnego dnia rano ledwie żywi dobrnęli do jaru, w którym przykryte pożółkłymi gałęziami stało coś niewidzianego, niesłychanego, coś, co przypominało arkę. I wtedy całkowicie wyczerpany padł, bez przytomności, na ziemię u końca podróży.

Ocknął się wewnątrz arki, na miękkim posłaniu, w świetle słońca, chociaż arka nie miała okien. Leżał nagi, pokryty dekoktami i maściami. Jego towarzysz, przebrany w inne odzienie, kuśtykał dokoła niego na własnej roboty kulach, uśmiechał się cienkimi wargami, mamrotał po swojemu i cieszył się. Przekonywał Ałmaza, że nie jest siłą nieczystą, tylko wędrowcem. Ale Ałmaz go nie słuchał, gdyż jego starcze członki nie chciały żyć i znosić takich mąk, i trzęsły się w gorączce, która mąciła rozum.

— No cóż — usłyszał resztką świadomości — trzeba będzie uciec się do środków ostatecznych.

Może wędrowiec powiedział inaczej, tego Ałmaz nie był pewny, gdyż znów ogarnął go ni to sen, ni to śmierć, a we śnie trzeba było za wszelką cenę trzymać się burty łodzi, bo jeśli ją wypuścić z rąk, wtedy zabierze człowieka wołżańska fala i rozbije go o stromy brzeg. Ale Ałmaz zdołał się utrzymać i kiedy ponownie się ocknął, nadal w tej samej arce, człowiek powiedział do niego:

— Lękałem się, że twoje serce nie wytrzyma. Ale jesteś silny i serce wytrzymało.

Nie miał już lasek i biegał zwawo. Widocznie minęło wiele czasu.

— Nie — powiedział człowiek, znów odgadując myśl Ałmaza. — Minął zaledwie jeden dzień. Popatrz na siebie.

Podał Ałmazowi okrągłe zwierciadło, z którego spojrzała nań młoda twarz — znajoma i nieznajoma zarazem. Ałmaz pomyślał w pierwszej chwili, że to portret, malowany wizerunek, ale człowiek wciąż się tylko śmiał i kazał patrzeć w zwierciadło, i wtedy Ałmaz pojął, że stał się młody...

— To byłoby wszystko — powiedział starzec i znów sięgnął po papierosa. — On odleciał do swoich. Nie miałem wówczas pojęcia, kim on jest, czym jest jego arka i skąd pochodzi, i tłumaczyłem sobie wszystko najprościej — duch, najpewniej posłaniec boży. Zostawił mi wszystkie medykamenty przywracające młodość i kazał przysiąc, iż dochowam tajemnicy, bowiem jest jeszcze za wcześnie, aby ludzie o czymś takim wiedzieli, i odleciał. Na odjeźdny kazał mi korzystać z eliksiru i czekać na niego, obiecał też wrócić za sto lat i odnaleźć mnie. Czekałem ponad sto lat. Nie wrócił. Może coś się stało, a może jeszcze przyleci. Raz naruszyłem jego zakaz. Byłem w Symbirsku, odszukałem swoją przyjaciółkę Milicę i przywróciłem jej młodość. A od tej pory, gdy tylko siebie odmładzałem, zawsze przyjeżdżałem do niej — gdziekolwiek by była. I to wszystko. Możecie mnie ganić za skrytość, możecie chwalić. Jednak wkrótce minie trzysta lat, a przecież nawet Milica do dziś nie wiedziała, dlaczego dzieją się z nią takie czary. Myślała, że to moja zasługa. Ale gdzież tam...

Starzec zamilkł. Zmęczył się. Słuchacze powracali do XX wieku, wymieniali ukradkowe spojrzenia, kręcili głowami, ale nie było w nich niewiary. Historia była zbyt dziwna, a i staruszek w dodatku nie miał powodu zmyślać po nocy baśni i opowiadać ich ludziom, którzy w bajki nie wierzą.

Milica wciąż drzemała w fotelu z kotką na kolanach. Jej głowa opadła na pomarszczone ręce.

— Jeśli tak było istotnie, to Przybysze nie są mitem — powiedział Standal.

Misza pierwszy przerwał milczenie, które zazwyczaj następuje po długim referacie, kiedy to słuchacze muszą dopiero zebrać myśli i pisać notatki, posyłane później do prezydium.

— No i jak, dacie mi teraz wypić moją dołę? — zapytał starzec. — Wszystko opowiedziałem jak na świętej spowiedzi. Młodość nie jest mi potrzebna do zabawy, tylko do załatwienia poważnych spraw, i dla Milicy również proszę. Ona mi wierzy.

— Wcale nie spałam — powiedziała nagle Milica Fiodorowna. — I wszystko, co tu Miły Przyjaciół opowiadał, mogę potwierdzić pod przysięgą. Wcale nie chcemy zachować monopolu na eliksir. Nieprawdaż?

Starzec skinął głową.

— Może ktoś z obecnych tu dam i kawalerów zechce się do nas przyłączyć?

Człowiek jest istotą rozumną. Rozum mówi mu, że popełnia błędy. Chciałby je naprawić, ale zawsze jest na to zbyt późno. Cokolwiek by zrobił, jeśli przeoczył właściwą porę, na poprawki jest za późno, i dlatego w każdym człowieku drzemie chęć odwrócenia biegu czasu.

Gdy człowiek jest jeszcze mały i chodzi do przedszkola, pragnie wrócić do przeszłości i nie jeść tych przeklętych cukierków, za które dostał lanie. W szkole, gdy nieco wydorosł, pragnie cofnąć się o dzień i wykuć astronomię od strony 18 do 19 i w ten sposób uniknąć dwójki.

Im dalej, tym gorzej. Człowieka zaczyna prześladować nieodwracalność nieopatrznie wypowiedzianych słów, przegapionych spotkań, mimowolnych i umyślnych oszustw, niepotrzebnych półprawd, zlekceważonych możliwości. W którymś momencie nieodwracalność przekształca się w życie, które skreśliło w niewłaściwą stronę. Dokładnie widzi się zakurzone rozdroże i ogromny kamień z napisem; „W tę stronę nie idź, tutaj się nie pchaj, tu nie zagłądaj!” Ktoś inny poszedł, wepchnął się, zajrzał, nie posłuchał wskazówki na drogowskazie — i wygrał. A ty nie.

Najczęściej ludzie przyzwyczajają się, godzą z sytuacją, jakoś dociągają do grobu. Postronnemu obserwatorowi może się wydać, iż są zadowoleni z życia. A gdy zajrzeć nieco głębiej, to okaże się, że niemal każdy, gdyby tylko miał możliwość, powróciłby na rozdroże, przeżyłby swe życie od nowa, korzystając z własnych wieloletnich doświadczeń, naprawiłby błędy, odwróciłby nieodwracalne. Ludzie czynią to w marzeniach i we śnie. W języku ludzkim istnieje nawet tak zwany tryb warunkowy, posługujący się słówkiem „gdyby”. Ów tryb nie trafiłby do gramatyki, gdyby ludzi nie męczył ten odwieczny problem.

Sto tysięcy lat temu pierwszy pitekanthrop przemienił się w człowieka. Przeżył swe krótkie życie i pomyślał: gdyby zacząć wszystko od początku... i umarł. Wcześniej umarł. W owych czasach ludzie żyli bardzo krótko — rodzili potomstwo i ustępowali mu miejsca. Od tej pory ludzie nauczyli się żyć nieco dłużej i dzięki temu mogli częściej i z większą zaciekleścią powtarzać: „Gdyby... gdyby... gdyby...”

W pewnym momencie okazało się, że ludzie nie muszą pracować od świtu do nocy. W wolnych chwilach niektórzy z nich zaczęli pisać książki. Książki odzwierciedlają ludzkie pragnienia. Tak narodził się doktor Faust, odmłodzony za sprawą siły nieczystej. Dorian Gray posłużył się w tym celu portretem, inny znów bohater literacki — skórą jaszczura. A gdzieś u zarania literatury snuje się Gilgamesz w poszukiwaniu nieśmiertelności. Ale wszystko na próżno. Słodkie pierniki namalowane na szyldzie nikogo jeszcze nie nasyciły.

A tutaj, późnym wieczorem, w mieście Wielki Guslar, stolicy powiatu, zebrało się kilkoro ludzi. Powiedziano im, że można zamienić tryb warunkowy na coś bardziej realnego. Poszczęściło się im, nieprawdopodobnie się poszczęściło. Peszyła ich tylko pewność, że coś takiego jest niemożliwe. Peszył mur wzniesiony w świadomości, mur zbudowany przez ewolucję w tym celu, aby ludzie nie tracili rozsądku. Bo jeśli wierzy się w cuda, można oszaleć.

Jeśli lekkomyślnie uwierzyć w lewitację, zapagnie się skoczyć z dachu dziesięciopiętrowego budynku. Jeśli uwierzyć w niewidzialność, zapagnie się wziąć z banku cudze pieniądze. Jeśli uwierzyć w telepatię, będzie się chciało zaprzestać myślenia, aby ktoś nie podsłuchiwał. Właśnie do walki z łatwowiernością służy przegródka w głowie człowieka, która nosi nazwę instynktu samozachowawczego. Jedną i jej funkcji jest negowanie cudów.

— Tak więc środek składa się z trzech części — powiedział starzec imieniem Almaz. — Proszek mam w kieszeni. Rozpuszczalnik znajduje się w butelkach, które zabrałem z muzeum.

Trzecia część składa się z różnych substancji, a recepta spisana jest w zeszycie.

Starzec Ałmaz wziął ze stołu brulion w skórzanej okładce i powachlował się nim. W pokoju zrobiło się duszno od pełnych podniecenia oddechów.

Helena Siergiejwna bębniła palcami w blat stołu, starając się odpędzić wewnętrzne zmieszanie, zagłuszyć dzwonienie w uszach. Przez gęste lepkie powietrze przebiło się ku niej czyjeś uważne spojrzenie. Podniosła głowę, napotkała wzrok Sawicza i zrozumiała, że on jej nie widzi, że widzi teraz Lenoczkę Kastielską, którą tak niezdarnie kiedyś kochał. Helena Siergiejwna pojęła w tym momencie, że Sawicz powie „tak”. W nim to „gdyby” tkwiło przez długie lata, odbierało spokój. Zerknęła ukradkiem na Wandę Kazimirownę. Ale dziwna rzecz, ta kobieta patrzyła nie na męża, lecz w błękit za oknem. Uśmiechała się do swoich myśli, i Helena Siergiejwna przypomniała sobie, jaką efektowną rzepą była Wanda, nim utyla od siedzącego trybu życia i tłustego jedzenia.

— Byłem wyłącznym właścicielem tego sekretu i korzystałem z niego, kiedy było trzeba — ciągnął Ałmaz. — Uważałem, że ludziom może tylko zaszkodzić. Teraz wytłumaczyłem wam, jak to wszystko wygląda, i proszę o wyrozumiałość. Nikogo nie przymuszam. Natomiast mnie samemu bardzo na tym zależy, zarówno ze względu na mój sędziwy wiek, jak i ze względu na mnóstwo różnych spraw, które muszę koniecznie załatwić.

Ałmaz odłożył brulion na stół i przycisnął go kciukiem.

— To znaczy, że pan zgadza się podzielić z ludźmi? — zapytał Sawicz.

— Zgadzą się. Może w innej sytuacji bym się nie zgodził, ale teraz jest za późno. Obawiam się, że za późno.

— Z formalnego punktu widzenia nie ma pan prawa korzystać ze znaleziska, które jest własnością muzeum — powiedział Misza Standal. — Tym bardziej że naraził pan na szwank skarb państwa.

— A to jest karalne — dodał Udałow.

— Już to mówiliście — powiedziała stara pani Bakszt. — Nie zachowujcie się jak rosyjscy liberałowie. Oni zawsze wiele gadali i nigdy nic z tego nie wynikało.

Helena Siergiejwna usiłowała dostrzec w staruszce rysy pięknej perskiej księżniczki, ale oczywiście niczego nie dostrzegła, bo starcza maska była doskonale niezawodna i nieprzenikliwa.

— Nie, tak nie można — powiedział Standal. — Trzeba koniecznie odwołać się do władz i organizacji społecznych.

— Słusznie — zgodził się Udałow, którego bardzo ubodło porównanie z carskim liberałem. — Co powiedzą w Komitecie Powiatowym? W Akademii Nauk? Dopiero potem nastąpi scentralizowana dystrybucja.

— Ile czasu to zajmie? — zapytał starzec.

— Ile będzie trzeba.

— Rok?

— Może rok, może dwa.

— Nie mogę się na to zgodzić. Mam sprawy do załatwienia. Milica też nie może czekać, umrze.

Milica pochyliła ze smutkiem głowę.

— Głupstwa mówicie, towarzyszu Udałow — wtrącił się Sawicz, który chciał uwierzyć w eliksir. — Myślicie, że przyjdziecie do Komitetu Powiatowego albo nawet do Akademii Nauk i powiecie: „W tym słoiku znajduje się eliksir młodości, otrzymany przez pewnego mego znajomego w podarunku od marsjańskiego podróżnika w XVII wieku”. Wiecie, co wam na to odpowiedzą?

— Poradzą zmierzyć temperaturę — zachichotała Szuroczka Rodionowa. Dziewczyna siedziała cicho jak myszka, kępowała się, ale wyobraziła sobie Udałowa z termometrem pod pachą i nabrała odwagi.

— Gdyby taki człowiek przyszedł do mnie — powiedział Sawicz — postarałbym się go jak najszybciej izolować.

Udałow usłyszał słowo „izolować” i zamilkł. Lepiej zmilczeć. W każdym razie on już swoje powiedział. W razie czego ludzie to sobie przypomną.

Grubin nie wytrzymał, poderwał się na równe nogi i zaczął miotać się po pokoju, przeskakując przez nogi i krzesła.

— Rosyjscy lekarze — powiedział — wszczepiali sobie dżumę. Umierali. W złych warunkach. A nam przecież nikt nie proponuje śmierci. Bez większego ryzyka możemy okazać się bohaterami w oczach nauki i całej ludzkości.

Głos Grubina zabrzmiał wysokimi rejestrami i ucichł. Kudłacz palcami rudymi od nikotyny starał się zapiąć górny guzik marynarki, ukryć niebieski podkoszulek, gdyż odczuwał nieadekwatność swego stroju do wzniosłych słów, które właśnie wypowiedział.

— To wcale nie jest śmieszne — skarcił Sawicz chichoczącego Udałowa.

— Nie możemy zwrócić się do instytucji naukowych — ciągnął Grubin nabierając odwagi. — Zaczną się z nas śmiać, jeśli nie gorzej. Nie mamy prawa odmawiać udziału w doświadczeniu. W każdym razie ja nie mam prawa. Jeśli odmówimy — butelki albo zaginą w muzeum, albo towarzysz Ałmaz Bity przeprowadzi eksperyment sam i niczego się nie dowiemy.

— Jeśli doświadczenie się powiedzie — powiedział Sawicz, który chciał wierzyć — wówczas pójdziemy do uczonych, ale już nie z pustymi rękoma.

— Z metrykami i dowodami osobistymi — dodał Grubin — w których nasz ankietowy wiek nie będzie zgodny z rzeczywistością.

— Okropność! — wykrzyknęła Wanda Kazimirowna. — A jeśli to trucizna?

— Ja będę pierwszy — odparł starzec Ałmaz.

— I ja — powiedziała Milica Fiodorowna. — Dla mnie to nie pierwszyzna.

— Nikogo nie zmuszamy — oświadczył Grubin. — Uczestniczą w eksperymencie tylko chętni. Pozostali będą grupą kontrolną.

— Czy mogę o coś zapytać? — Misza Standal podniósł dwa palce do góry. — A co będzie, jeśli ja zgodzę się na udział w doświadczeniu?

— Staniesz się osekciem — odpowiedziała Szuroczka Rodionowa. — I ja też. Zabiorą nas stąd w wózekkach.

— A to działa od razu? — zapytał Udałow. Nie chciał się wyróżniać, ale myślał o powrocie do domu. Do małżonki.

— Nie, po pewnym czasie — odpowiedział Ałmaz. — Dekokt działa rozmaicie, ale zanim organizm go nie wchłonie, musi upłynąć parę godzin. Nad ranem wszystko stanie się jasne. Każdy powróci do okresu rozkwitu sił fizycznych. Dlatego młodym nic tu nie grozi. Zresztą nie warto na nich tracić eliksiru.

Ałmaz poczuł, że opinia obecnych zaczyna mu sprzyjać. Ciekawość ludzka, pasja poznawania nowych rzeczy, przekłete „gdyby”, obawa, aby nie być tchórzliwszym od innych — wszystkie te przyczyny sprzyjały powodzeniu jego zamysłów. Szybko więc ustawił na środku stołu butelkę i polecił Helenie, aby przyniosła szklanki i inne naczynia oraz łyżkę wazową. Poprosił też o zwykłą, drobną sól kuchenną i kredę lub wapno, a sam pospiesznie kartkował brulion, przypominał sobie receptę. Obawiał się bowiem, że ktoś zacznie żartować, gdyż ironia w takich wypadkach jest gorsza od inwektyw i wątpliwości. Wystarczy, aby ktoś uznał, iż baśniowość eliksiru kłóci się ze zwyczajnym wyglądem saloniku i czasami, w których żyją ci ludzie — i już

zabiorą butle, zanosą je do muzeum, zamkną w kasie pancерnej. Jeśli tak się stanie, upadnie sprawa, dla której odbył tak daleką podróż, a i jego życie wrotce dobiegnie kresu. Do tego nie wolno było dopuścić, gdyż starzec, dożywając na świecie trzystu lat, dopiero teraz naprawdę zaczynał poznawać smak ludzkiego istnienia.

W czasie przygotowań, które były tak zwyczajne, jak przygotowania do południowej herbaty, zaczęły się ciche rozmowy — w dwójkę, we trójkę. Czasami rozlegał się śmiech, który jednak nie krył w sobie żadnej ironii, był nerwowy, zdławiony.

Ałmaz Fiedotowicz wsypał do miski więcej niż połowę proszku, żeby starczyło dla wszystkich. Potem odkorkował butelki z rozpuszczalnikiem, przelał do jednego naczynia, zmrużył oko i napełnił miskę ciemnym płynem. Zaczął mieszać proszek, mieszać starannie, fachowo i wprawnie, drugą ręką wyjmując z kieszeni spodni różne torebeczki i zawiniątka.

— Te wszystkie dodatki — wyjaśnił — kupiłem w aptece. Nie ma w nich nic nadzwyczajnego. Zaopatrzyłem się nawet w aspirynę, w celu wzmocnienia efektu.

— Potem będziemy musieli wszystko zanotować i przekazać uczonym — powiedział Grubin.

— Nie zapomnimy — zgodził się starzec, dla którego obcowanie z uczonymi było rzeczą niezmiernie odległą i niezupełnie realną. Myślał teraz tylko o jednym — żeby zdążyć wszystko przygotować, a potem niech się dzieje, co chce.

— Poproszę kartkę papieru — zwrócił się Grubin do Heleny Siergiejewny. — Sporządzimy protokół doświadczenia. Nikt nie oponuje?

— Po co to? — zapytał Udałow.

— Przekażemy kompetentnym organom.

— A jeśli ktoś sobie rwę życzy? — zapytał Udałow.

— Wolna wola. Obserwatorzy też są nam potrzebni.

Udałow chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Grubin odebrał mu głos, powstrzymał podniesioną dłoń, wziął kartkę, długopis i wykaligrafował wielkimi literami:

„Dwunastego lipca roku 1975. Miasto Wielki Guslar w obwodzie wołogodzkiem. Uczestnicy eksperymentu mającego na celu odmłodzenie organizmu”.

Siebie wpisał na pierwszym miejscu:

„1) Grubin Aleksander Jewdokimowicz, urodzony w roku 1934”.

Potem szedł starzec Ałmaz:

„2) Bity Ałmaz Fiedotowicz — urodzony w roku 1603”.

„3) Bakszt Milica Fiodorowna”.

— Kiedy się pani urodziła?

— Niech pan napisze orientacyjnie — odparła Milica Fiodorowna. — W dowodzie osobistym figuruje rok 1872, ale to nieprawda. Proszę napisać połowa XVII wieku.

Grubin więc napisał: „połowa XVII w.”

W poczynaniach Grubina była pewność siebie oraz rzeczowość i dlatego wszyscy bez żartów, poważnie odpowiadali na pytania i dalsza część listy przybrała następującą postać: „4) Kastieiska Helena Siergiejewna, 1915 rok; 5) Udałow Korneliusz Iwanowicz, 1933; 6) Sawicz Nikita Nikołajewicz, 1914; 7) Sawicz Wanda Kazimirowna, 1924; 8) Rodionowa Aleksandra Nikołajewna, 1955; 9) Standal Michał Arturowicz, 1947”.

— Łącznie dziewięć osób — powiedział Grubin. — Dzielę je umownie na dwie grupy. Do pierwszej zaliczam tych, którzy uczestniczą w eksperymencie w nadziei na sukces. Numery od pierwszego do siódmego. Druga grupa jest kontrolna. U jej członków nie powinno być żadnych wyników, ale ryzyko pozostaje.

— Nie szkodzi — powiedział Misza. — W najgorszym razie Szuroczka może zrezygnować.

— Jeszcze czego! — oburzyła się Szuroczka.

W oczach Grubina zabłysnął święty ogień pioniera, ogień Galileusza i Giordano Bruno. Kierował eksperymentem, a Udałow bardzo chciał znaleźć się w grupie kontrolnej, chociaż i to nie ratowało go przed ewentualnymi konsekwencjami.

— Jest pan gotów? — zapytał Grubin Ałmaza, obracając się ku niemu całym ciałem i powiewając kartką protokołu niczym sztandarem.

— Można rozlewać — odparł starzec. Był prawie bez sił, wycieńczony napięciem i wysiłkiem fizycznym. Wyraźnie chwiał się na swym krześle.

— Pomóc? — zapytała Helena Siergiejewna i nie czekając na odpowiedź rozlała płyn z miski do szklanek i kubków. Dziewięć naczyń stało ciasną grupką pośrodku stołu i ktoś pierwszy powinien wyciągnąć po nie rękę.

Starzec przeżegnał się zamasyście, co było sprzeczne z naukowym nastrojem doświadczenia, lecz nie wywołało protestów, przesunął dłonią nad grupą filiżanek i wybrał sobie błękitną ze złotym szlaczkiem.

— No — powiedział obrzuciwszy pozostałych przenikliwym wzrokiem — z Bogiem!

Przymknął oczy, wlał zawartość filiżanki do gardła i przełknął z głośnym bulgotem. Potem odstawił puste naczynie na stół i powiedział ochryple:

— Dobre poilo. Heleno, daj wody do popicia.

I natychmiast cisza, która zapadła w pokoju, gdy tylko starzec wziął filiżankę ze stołu, skończyła się. Wszyscy jak na komendę ruszyli do stołu, po szklanki, jakby znajdował się w nich szampan...

Misza Standal wypił pierwszy i rozkasłał się.

— Mocne? — zapytał Grubin, który wolno sączył eliksir, aby dokładnie poczuć działanie preparatu.

— Dostało się w drugą dziurkę — powiedział Misza, nadal kaszłąc. Szuroczka, nie wypuszczając filiżanki z ręki, poklepała go po plecach i rozlała eliksir na podłogę.

— Co ty robisz! — powiedział Misza. — Podłogi nie zamierzaliśmy odmładzać.

— Rzeczywiście! — rozżłościł się Grubin.

Szuroczka zmieszała się, upiła łyk, skrzywiła się i powiedziała:

— Jakie paskudztwo! I w dodatku słone.

Grubin zamieszał resztkę płynu na dnie szklanki i powiedział, zwracając się przede wszystkim do Udałowa, który znieruchomiał ze szklanką w ręku, w ciężkiej podejrzanym zadumie:

— Dzisiaj my, a jutro cała ludzkość — wykrzyknął. — Na świecie nie będzie starców.

Wzrok Grubina zahipnotyzował Udałowa. W jego wnętrzu zaczął rosnać bohater. Bohater objął się o zębra, trykał w serce, kopał w kolana i łaskotał w kręgosłup. I Udałow ujrzał oczami duszy, jak on, młody i smukły, jedzie na Plac Czerwony.

...Zgodnie i rytmicznie gra orkiestra dęta. Ogromne tłumy mieszkańców Moskwy i przyjezdnych stoją po obu stronach ulicy Gorkiego, którą w otwartym samochodzie sunie majestatycznie Korneliusz Udałow z butelką eliksiru w dłoniach. Z tyłu suną samochody członków rządu. Udałow ma zajęte ręce, więc nie może godnie odpowiedzieć na entuzjastyczne powitania ludu, tylko uśmiecha się szeroko i z całego serca.

Na Placu Czerwonym ustawili się w karnych szeregach uprawnieni do skorzystania z eliksiru w pierwszej kolejności.

Po prawej zasłużeni emeryci, po lewej — kaukascy matuzalemowie. Udałow wysiada z samochodu. Muzyka urywa się, tylko miarowo, niczym wielkie serce, łomocze werbel.

— Witajcie, towarzysze starcy! — mówi Udałow.

— Witaaaaa!...

Grzmią, przetaczają się nad Placem Czerwonym drżące głosy.

Udałow walczy ze łzami, napływającymi do oczu. Wyjmuje z kieszeni srebrną szklaneczkę z kompletem do golenia i ostrożnie, aby nie uронić nawet kropli — kamery telewizyjne całego świata śledzą każdy jego gest — nalewa szklaneczkę do pełna. Stoi przed nim długowieczny starzec kaukaski w wieku 142 lat, a osiemdziesięciu dwóch wnuków i prawnuków, zgrupowanych za nim, bije brawo. Matuzalem drżącą ręką podnosi szklaneczkę do wyschniętych ust, po czym oblizuje krople z brody.

Udałow nie traci czasu. Robi krok do przodu. Jeszcze jeden sędziwy starzec patrzy na niego z nadzieją i miłością...

Następnie szybkim defiladowym krokiem przecina Udałow plac po czerwonym chodniku i nalewa do pełna weteranowi trzech wojen. Weteran pije. Udałow — siewca ludzkiego szczęścia — idzie dalej i wszędzie towarzyszą mu pełne zachwyty westchnienia wdzięcznego narodu. Starcy i weterani młodnieją w oczach. Wracają na swoje miejsce przerzedzone włosy, nikt nie siwizna, prostują się zgarbione plecy, oczy nabierają blasku i oto Już ognista zamaszysta lezginka poderwała pierwszego matuzalema. Były starzec mknie w tańcu po kamiennej kostce, a za nim wnuki i prawnuki, równie smukli i barczyści, podzwaniający ładownicami i kindzałami, wywijający papachami. Lezginkę podchwytyją weterani, krąg taneczny wciąż się rozszerza i potężnieje. Młode i piękne sprzedawczynie z GUM-u na widok takiego skupiska młodzieży męskiej porzucają swoje miejsca pracy i wybiegają na plac, kokieteryjnie strzelając oczyma. A Udałow wciąż biegnie i biegnie wzdłuż spragnionych szeregów, nie ustaje, dopóki widzi chociażby jedną, wyciągającą się ku niemu pomarszczoną rękę...

— No i jak, będziemy pić? — zapytał surowym głosem Grubin, niweczając piękne widziadło.

Udałow wyprężył się, obciągnął niebieską kurtkę od pizamy, westchnął głęboko i zupełnie tak samo, jak sędziwi starcy z jego widzenia, duszkiem wypił filiżankę. Natychmiast wydało mu się, że odmłodził i usłyszał lezginkę. O mało nie ruszył w tany, ale nadział się na własną gipsową rękę i zląkł się, że wypił zbyt mało eliksiru. Mogli go przecież oszukać, wykiwać. Zobaczył ledwie napoczętą filiżankę Szuroczki i ukradkiem sięgnął po nią zdrową ręką.

Grubin postawił swą szklanką i wrócił do protokołu.

— No więc, Grubin zażył — pierwsza grupa. — Kto jeszcze z pierwszej? Udałow. Standal i Rodionowa — druga grupa. Towarzysz Sawicz?

Sawicz w tym momencie wreszcie się zdecydował. Pił i starał się nie patrzeć na żonę, której nigdy nie mógł wybaczyć, że się z nią ożenił. Nie był złym człowiekiem, życzył jej szczęścia i miał nadzieję, że jeśli preparat poskutkuje, Wanda odmłodnieje i znajdzie sobie nowego męża. Jednocześnie, jako fachowiec o wykształceniu medycznym, starał się przekonać samego siebie o niemożliwości takiego baśniowego rezultatu, a gdy się już przekonał, wpadał w przerażenie, że istotnie nic się nie wydarzy. Pił wolno, usiłując odgadnąć skład, i lękał się go odgadnąć, gdyż jeśliby mu się to udało, mogłoby się okazać, że starzec jest sprytnym oszustem, który usiłuje osiągnąć jakieś ciemne, podejrzanе cele. Albo jeszcze gorzej — starzec jest niespełna rozumu i oni wszyscy — mój Boże, iluż dorosłych ludzi! — padli ofiarą taniego żartu. Aby już dłużej o tym nie myśleć, Sawicz szybko dopił i powiedział do Grubina:

— Niech pan postawi ptaszka przy Sawiczu.

Wanda Kazimirowna wypila swą filiżankę, gdy tylko przekonała się, że jej mąż już to zrobił. W ogóle traktowała to wszystko jako zabawę, związaną, rzecz dziwna, z niepoważnym charakterem męża, ale nie chciała ryzykować. Jeśli z takim trudem utrzymuje przy sobie podstarzałego Sawicza, to młody Sawicz rzuci ją natychmiast. Ale jeśli ona odmłodnieje...

— Pani jest ostatnia — zwrócił się starzec do Heleny Siergiejewny. — Proszę się nie lękać, zapewniam panią, że to jest zupełnie nieszkodliwe.

— Nieszkodliwe, ale i niepoważne — powiedziała Helena Siergiejewna i aby uniknąć sporów,

wypiła pół filiżanki. Płyn był jednocześnie słodkawy i słonawy. To połączenie byłoby dość wstrętne, gdyby nie dziwny aromat ziół i korzeni, gdyby nie miętowy chłodek, kryjący się w każdym łyżeczku eliksiru.

— Koniec — powiedział Grubin. — Już po eksperymencie. Można rozejść się do domów.

— Hura! — wykrzyknął Sawicz, odczuwając przyływ sił. Zerknął na Wandę, która nieszczercze się uśmiechnęła.

— Hura!!! — powtórzył Sawicz tak głośno, że Helena Siergiejewna skarciła go odruchowo:

— Ciszej, bo obudzisz Wanię.

Krzyk obudził syjamską kotkę, która drzemała u nóg właścicielki, pociągając nosem jak staruszka. Przeraziła ją wojowniczość okrzyku, który być może nałożył się nieszczęśliwie na jakiś koci koszmar. Syjamka otworzyła oczy — jedno niebieskie, drugie czerwone — rzuciła się między ludzkie nogi i żeby wyrwać się, uratować skoczyła w górę, pacnęła brzuchem o stół, zaczęła miotać się po obrusie, przewracając puste szklanki i kubki, uderzyła bokiem o butlę z płynem, która zaczęła się wolno chylić na bok niczym wieża w Pizie.

Butla zbliżyła się do krawędzi stołu, ale nikt nawet nie ruszył się z miejsca, wszyscy jak zaczarowani gapili się na nią i liczyli odruchowo sekundy, dzielące ich od katastrofy. Jedyne Grubin, jakby przedzierając się przez gęste błoto, zaczął przechylać się w kierunku butli.

Butla runęła ze stołu. Błysnęła i rozleciała się na zielone odłamki.

Grubin skoczył i upadł obok niej na podłogę. Po jego ciele, niczym seria pocisków z karabinu maszynowego, zabębniły odłamki szkła i krople ciemnego płynu.

— Gamonie — powiedział starzec.

Kotka zeskoczyła w ślad za butelką ze stołu, przysiadła, bijąc końcem ogona, i chleptała z czarnej kałuży rozlanej na podłodze, wypluwając odłamki szkła.

— To koniec — powiedział z podłogi Grubin ocierając twarz rękawem marynarki.

— I co teraz będzie? — zapytała Szuroczka. — A czy nie można tego odtworzyć?

— Gdyby było można, wszyscy byliby młodzi — odparł starzec. — Nie mamy jeszcze takiej techniki.

— A wedle czego niby zamierzasz odtwarzać? — rzucił się Grubin na Szuroczkę, jakby to ona była wszystkiemu winna. — Według korka?

— Tym bardziej wzrośnie nasza wartość dla nauki — powiedział Misza Standal, sprytnie odwracając w ten sposób uwagę od Szuroczki. — Będą nas badać w Moskwie.

Misza zwątpił. Nawet kotka wydawała mu się teraz częścią gigantycznej mistyfikacji.

— Został nam proszek — zwrócił się Grubin do starca, bez większej zresztą nadziei w głosie.

— Proszek to rzecz drugorzędna — odparł Ałmaz. — Z samego proszku młody nie będziesz.

Noc dobiegała kresu. Na wschodzie między dzwonicami i domami niebo już zaczynało jaśnieć, wypełniać się przejrzystym błękitem, w którym tajały pomniejsze gwiazdy. W podwórkach dźwięcznie nawoływały się koguty, a z całkiem już fantastycznej dali za rzeką dobiegł dźwięk dzwoneczków — ludzie pędzili krowy na pastwisko.

Przedranny sen miasta był mocny i spokojny. Skrzypnięcie furtki, ciche glosy ludzi nie zakłócały go, nie przerywały, lecz tylko pogłębiały.

Helena Siergiejewna stała przy oknie i nasłuchiwała, jak nikły w oddali głosy jej nocnych gości, rytm ich kroków. Wyrazisty tupot obcasików Szuroczki. Nierówny, jakby szarpany krok Grubina, donośne, długie jak starczy kaszel szuranie podeszew Ałmaza, delikatny, koci krok Udałowa, splot niemłodego już, zgodnego marszu Sawicza i jego żony.

Kroki rozchodziły się w różne strony, oddalały się, głuchły. Jeszcze przez kilka minut, niczym dudnienie dalekiego bębna, dobiegał stukot laski starca. Wreszcie zapadła cisza.

Udałow uniósł rękę do dzwonka, ale cofnął ją, bo opadły go obawy. Pogrzebał w kieszeniach piżamy i wyłowił czarny portfel. W oddzielnej przegródce nosił tam okrągłe lustro. Wyjął je, chuchnął, wytarł lustro o nogawkę i długo się w nim przeglądał. Chociaż światło na schodach było bardzo słabe, 15-świecowe, wydało mu się, że wyraźnie odmłodził. Nie na darmo, kiedy wszyscy denerwowali się wyczynem kotki, dopił cudze filiżanki. Przy jego niefarcie mniejsza dawka nie podziała. Pożegnaj się, postanowi, i ucieknę z domu. Zastanawiał się, czy jeśli naprawdę odmłodzi, pozostanie zastarzały obrzęk na szyi. Byłoby dobrze, żeby zniknął. Myślał tak, sapał i dreptał pod swoimi drzwiami.

Żona Udałowa, śpiąca czujnie i niespokojnie, obudziła się na dźwięk szmerów i pomyślała, że to złodzieje dobierają się do mieszkania. Podeszła na bosaka do drzwi, nadstawiła ucha i powiedziała w dziurkę od klucza:

— Kto tam?

Zaskoczony Udałow drgnął i upuścił lustro.

— Ja — odpowiedział, chociaż nie miał ochoty się przyznawać.

— Jaki ja? — zapytała żona, która nie poznała jego głosu, sądząc, że Udałow jest na trwale przykuty do szpitalnego łóżka bóleści.

— Korneliusz — odparł Udałow i zmieszał się. Poczł się tak, jakby chciał się wedrzeć nocą do cudzego mieszkania. Rodziła się w nim jakaś obcość, dystans do starego świata.

Żona krzyknęła zduszonym głosem, natychmiast otworzyła drzwi, i ujrzała na podłodze szczątki lusterka. Odlamki błyszczały jak rozsypany brylantowy naszyjnik.

— Kto cię odprowadzał? — zapytała surowo. Podejrzewała męża nie dlatego, żeby były ku temu podstawy, lecz dlatego, że mężom w ogóle nie można ufać.

— Ja sam — powiedział Korneliusz. — Zły znak. Lustro się zbiło.

— To znaczy, że ty nad ranem stoisz sobie na schodach i przeglądasz się w lustrze? Zachwycasz się sobą? Dobry jesteś! A ja mam ci niby wierzyć, tok?

— Nie krzycz z łaski swojej — powiedział Udałow. — Dzieci pobudzisz.

— Twoje dzieci śpią, oczy sobie wyplakały z tęsknoty za ojcem. Tylko ja sama... — w głosie żony zabrzmiały niemal prawdziwe łzy.

— Słowo honoru — powiedział Udałow. — Słowo honoru, że nikt mnie nie odprowadzał. Potrzebuję pilnie wyjechać w delegację służbową. Nawet z tej okazji wypisali mnie ze szpitala. Wpadłem tylko do domu, żeby się przebrać i wziąć niezbędne rzeczy.

Wskazał gestem swą szpitalną, niebieską piżamę:

— O, widzisz, w takim stanic...

— W delegację, powiadasz? I kiedy to cię posłali? Nocą?

— Dopiero co przyszedli z Komitetu Powiatowego. Samochód czeka za rogiem.

Udałow kłamał jak najęty. Nawet obcy by to zrozumiał.

— Idź — powiedziała żona. — Idź i nie wracaj! Tylko pozbieraj odlamki jej lusterka. Nie życzę sobie...

— Ciszej, co ty mówisz, kochanie...

— To ona jest dla ciebie kochanie. Nie życzę sobie po niej sprzątać.

Zatrzasnęła drzwi i zostawiła Udałowa na schodach.

Udałow zastanawiał się nad sytuacją. Z jednej strony zwolniono go. Z drugiej zaś, nie dano odzieży i ręcznika. Chciał już zadzwonić, uspokoić żonę, ale ręka jakoś nie mogła podnieść się

do przycisku dzwonka. Było oczywiste, jaką awanturę urządzi żona, kiedy czekając pod drzwiami na pełen skruchy dzwonek, ten dzwonek usłyszy.

— No i dobrze — powiedział Udałow i przykucnął, żeby pozbierać kawałki lusterka, czego nie musiał robić. Lusterko pożyczył sobie od żony, z jej starej torebki. Zaczepił gipsem o framugę drzwi i omal się nie rozplakał.

Wsypał kawałki szkła do kieszeni piżamy i ruszył w dół, ku wyjściu. Żona usłyszała oddalające się kroki, wściekła się jeszcze bardziej, rzuciła się do pokoju, otworzyła na oścież szafę i przez otwarte okno, nie patrząc, z rozgłośnymi jękami zaczęła wyrzucać rzeczy męża. Dzieci obudziły się, ale niczego nie rozumiały. Udałow dostał butem w głowę. W kurzu poniewierały się spodnie i wędki. Z okna wciąż wyfruwały podkoszulki i kalesony, które niczym białe łabędzie unosiły się nad podwórkiem. Naprzeciwko zapaliło się światło. Udałow szybko wybrał ze stosu rzeczy najpotrzebniejsze — garnitur wyjściowy, buty, skarpetki, marmurowego słonika na szczęście — i wybiegł z podwórka. Kości zostały rzucone i nie wiadomo było, co leżało na drugim brzegu Rubikonu.

Do Grubina iść było niebezpiecznie, zbyt blisko. Tam będą go z pewnością szukać. Błękitną w rodzącym się brzasku dnia ulicą biegł Udałow w niebieskiej szpitalnej piżamie, powiesiwszy sobie na gipsowej ręce niedzielny garnitur, skarpetki i krawat. Biegł do Heleny Siergiejewny, przemykając się pod ścianami domów i wypatrując pogoni. Pogoni nie było. Żona wprawdzie rzuciła się za nim, ale widok rozrzuconego po podwórku dobytku ostudził jej zapał. Zrozumiała, że zanim ruszy w pościg, musi wszystko zanieść do domu, bo ukradną.

Helena Siergiejewna umieściła Udałowa w malutkim pokoiku, w którym mieszkały niegdyś jej dzieci, a teraz spał Wania. Wstawiła mu tam składane łóżko, a Udałow nieustannie dziękował jej, peszył się i nie wiedział, co ma zrobić z przedmiotami rozwieszonymi na gipsowej ręce.

Biegając przez miasto jakoś zapomniał o zbliżającym się odmłodzeniu. Był zdenerwowany i podniecony, ale głównie dlatego, że miał za sobą nieprzespaną noc i ucieczkę od żony.

— Ja — nic nie chcę — mówił. — Proszę nie zawracać sobie mną głowy. Koca nie potrzebuję i prześcieradła nie potrzebuję, ja po żołniersku, jak Suworow. Niech pani idzie spać, zaraz się rozwidni. A ja jestem na zwolnieniu i poduszki też nie potrzebuję.

Mówił tak i myślał, że należało zabrać prześcieradła z domu. Diabli wiedzą, jak długo jeszcze będzie musiał wycierać cudze kąty. Ale nawet i ta pozornie smutna myśl wypełniała jego pierś cudownym poczuciem męskiej wolności.

Helena Siergiejewna nie usłuchała Udałowa. Pościeliła prześcieradło, dała koc, poduszkę z powłóczką i wyszła.

Udałow zasnął snem sprawiedliwego, ledwie jego głowa dotknęła poduszki, i tak rozgłośnie chrapał, że Helena Siergiejewna w żaden sposób nie mogła zasnąć.

Helenie Siergiejewnie powiedziano, że może odmłodnieć. Jako mądra i wykształcona niewiasta wyobrażała sobie, jak to może się odbyć. Najwidoczniej preparat starca pobudza działalność gruczołów wydzielania wewnętrznego. To znaczy, w wariacie optymalnym, wygładzą się zmarszczki, wzmoże się obieg krwi itd. Helena Siergiejewna starała się pozostać na ściśle naukowym gruncie, obchodząc się bez cudów i wątpliwych Marsjan. Mimo wszystko bała się. Chociażby dlatego, że każdej akcji odpowiada reakcja. Za odmłodzenie organizmu trzeba zapłacić. Ale czym? Czy aby amatorzy eksperymentu nie skrócą sobie życia, zamiast je przedłużyć? Naukowcy mają jednak rację, że wszystkie doświadczenia przeprowadzają najpierw na myszach. Udałow chrapał na różne tony i coś mamrotał przez sen. A propos, kiedy nastąpi odmłodzenie? Starzec powiedział: obudzicie się jako zupełnie inni ludzie. Czy to jest bolesne?

Helena Siergiejewna zapragnęła przekonać się, że jeszcze nic się nie stało. Podeszła na bosaka do szafy, zapaliła lampę na stole i przejrzała się. Żadnych zmian. Co prawda zaczerwieniły się powieki, ale to dlatego, że dzień był długi i męczący... Zgasiła światło, wróciła do łóżka i spróbowała zasnąć. Za oknem było już prawie widno i za jakiegoś trzy godziny obudzi się Wania.

Wydawało się jej, że woale nie spała. Na moment zapadła ciemność, a tu już Wania potrząsa ją za ramię...

— Babciu, wstawaj.

Helena Siergiejewna nie otworzyła oczu. Wiedziała, że Wania zaraz podrepcze do sieni, gdzie stał nocnik, i utknie tam co najmniej na dziesięć minut. W tym czasie należy rozbudzić się, wstać, narzucić szlafrok i umyć się. I jeszcze napalić pod kuchnią. Wykonała w myśli owe poranne czynności i w miarę tego, jak budził się mózg, ocknęły się, wypłynęły na powierzchnię inne myśli.

Trzeba koniecznie przejrzeć się w lustrze. Podejść do szafy i przejrzeć się. Dlaczego?

Ach, tak! Starzec, baśniowa historia, rozbita butelka...

Zrzuciła z siebie koc i usiadła na łóżku. Szafa z lustrem stała bokiem, zwierciadło przypominało wąską szczelinę, odbijającą błękit nieba.

Należało wstać i zrobić dwa kroki. Okazało się, że to jest trudne. Nawet przerażające. Nie odrywając wzroku od błękitnej szczeliny, Helena Siergiejewna — uczyniła te dwa kroki...

W nieprawdopodobnej, wręcz przerażającej przemianie, której Helena Siergiejewna uległa we śnie, nie było żadnej nauki, żadnego działania hormonalnego. Nie wygładziły się zmarszczki, nie wzmożł się krwioobieg... Po prostu dokonał się cud, antynaukowy i niewytłumaczalny, cud, od którego nie ma ucieczki i który pociąga ze sobą mnóstwo komplikacji, szarpaniny nerwów i kłopotów. Pierwszym z nich, myślała Helena Siergiejewna patrząc w lustro, poznając siebie, przyzwyczajając się do siebie od nowa, będzie spotkanie z Wanią, który w każdej chwili może wrócić z sieni. Dziecko zostało bez babci. Kim ona teraz jest? Matką? Nie, jest zbyt młoda jak na matkę. Siostrą? Helena Siergiejewna przesunęła ręką po twarzy, zaskoczona dawno już zapomnianym odczuciem świeżości i delikatności własnej cery.

Wania wszedł do pokoju i podbiegł do Heleny Siergiejewny. Zatrzymał się, z powolną zadumą włożył palec do ust i znieruchomiał. Znieruchomiała również Helena Siergiejewna. Czuła głęboki wstyd wobec wnuka. Marzyła o jednym: żeby cud się skończył i żeby nastąpiło przebudzenie. To był ten rodzaj snu, którego bardzo się nie chce przerywać, ale który trzeba przerwać koniecznie dla dobra innych. Helena Siergiejewna boleśnie uszczypnęła się w ucho.

Wania dostrzegł jej gest i powiedział nie wyjmując palca z buzi:

— Babciu, jaka ty jesteś dzisiaj ładna! Nawet młoda. A czego się szczypiesz?

— Kochany! — powiedziała Helena Siergiejewna. — Poznał mnie!

Chwyciła Wanię na ręce, przycisnęła do siebie — jaki lekki stał się przez noc! — podrzuciła do sufitu, a potem zawirowała z nim po pokoju, wciąż powtarzając:

— Kochany! Poznał!

I śmiała się. I była wdzięczna Wani.

Wania śmiał się basem, cieszył się i, żeby do maksimum wykorzystać dobry nastrój babci, krzyczał z góry:

— Kup mi rower! Kupisz mi rower?

W szaleńczym korowodzie rozwiewały się poły starego szlafroka. Helena Siergiejewna lekko i zwinnie stawiała szczupłe zgrabne nogi, a puszyste młode włosy, zburzone od szybkiego ruchu, opadały jej na oczy.

Postawiwszy Wanię na podłodze Helena Siergiejewna przypomniała sobie nagle, że ma w domu gościa. Udałowa. Pewnie jeszcze śpi, pomyślała. Ciekawe, jaki on jest? Ostrożnie uchyliła drzwi do małego pokoju.

Pościel była skłębiona, koc zwisał na podłogę, marynarka wisiała na oparciu krzesła. Niczym zrzucony kokon leżał w kącie biały gipsowy cylinder — skorupa złamanej ręki.

Udałowa nie było.

Stara pani Bakszt zdrzemnęła się w fotelu. To było szkodliwe w jej wieku, ale nie chciała przegapić powrotu młodości. Zupełnie zapomniała, jak to było poprzednim razem, a nie wiedziała, czy jeszcze jedno odmłodzenie nastąpi.

Drzemała nerwowo, z okresami głębokiego snu, urywanymi majakami i powrotami do półmroku pokoju, do słabej lampy osłoniętej abażurem z frędzlami. Kotka miotała się z kąta w kąt, drapała parawan.

Odmłodzenie przyszło niezauważalnie. Wydawało się, że tylko na minutę zamknęła oczy, w przelotnym koszmarze zapadła się w otchłań, poleciała ku dalekiej ziemi, a gdy otworzyła oczy, żeby przerwać koszmarny lot — ujrzała w lusterku spojrzenie dwudziestoletniej pięknej Milicy. Ciasna starcza suknia uwierała w piersiach i biodrach i doskwierał wstyd — za tę starą sukienkę i za własną niedawną starość.

— Mój Boże — powiedziała Milica Bakszt. — Jaka ja jestem ładna!

Jednym skokiem, posłuszne ciało niemal wzniosło się w powietrze, dotarła do drzwi, narzuciła haczyk, aby nikt nie wszedł, i pospiesznie, śmiejąc się i płacząc, zdarła z siebie starcze łachy, zrzuciła z pogardą wysokie, rozciapane kamaszki, zerwała z włosów idiotyczny czepiec, i stanęła przed lustrem naga i piękna.

Odmłodzona do niepoznania kotka wskoczyła na stół i różnobarwnymi oczyma — niebieskim i czerwonym — zagapiła się na panią. Milica Fiodorowna Bakszt powiedziała do niej wibrującym, namiętym szeptem:

— Taką właśnie kochał mnie Aleksander Siergiejewicz. Sasza Puszkina.

Zrobiło się duszno i zaczęły przeszkadzać zastarzałe wonie saloniku. Milica podbiegła na paluszkach do okna i otworzyła je na oścież. W powietrzu unosiły się kłęby kurzu i strzępy pożółkłego, kruchego papieru. Bóg wie kiedy naklejonego na ramy. Skrzypnięcie okna rozległo się szeroko po uśpionym mieście, ale sen nad ranem jest najmocniejszy, nikt więc nie obudził się i nikt nie zobaczył błękitnawej w świetle brzasku nagiej piękności w oknie na pierwszym piętrze starego domu.

— „Pamiętam nagie zachwycenie” — zaśpiewała cichutko Milica i znieruchomiła, gdyż zagłuszony radosnymi przeżyciami, ale żywotny głos staruszki Bakszt przestrzegał ją, że może się przeziębic. Trzeba się oszczędzać, jeszcze tyle lat przed nią. Ale beztraska młodość wzięła górę.

— Nie szkodzi — uspokoiła się Milica. — Nic mi się nie stanie, przecież nie mam stu lat.

Narzuciła szlafroczek, roześmiała się głośnie i dodała:

— Znacznie więcej.

Zachciało się jej spać. Odmładzanie to jednak duży wysiłek. Chciało się też jeść. Gdzieś powinny leżeć drożdżówki. Czerstwe.

Milica otworzyła kredens. Drzwiczki zapiszczały z oburzeniem, nie przyzwyczajone do takiego brutalnego traktowania.

Zasnęła z drożdżówką w rękę, zwinięta w kłębek na miękkim fotelu. Spała mocno, zdrowo, bez snów...

Opisywanej tu nocy wszyscy nasi bohaterowie jak nigdy dotąd znaleźli się we władzy luster. Czy wierzyli, że staną się młodszy, czy też odnosili się do tego sceptycznie, to jednak starali się nie oddalać od luster, lusterek i zwierciadeł.

Grubin również wyciągnął zza szafy lustro, zakurzone, z odbitym rogiem. Pogardzał lustrami i nigdy się w nich nie przeglądał, nawet przy goleniu i czesaniu. Ale mimo wszystko był Grubin w pierwszym rzędzie badaczem, uczestnikiem eksperymentu, i dlatego uznał za swój obowiązek ów eksperyment obserwować.

Do świtu brakowało jeszcze około trzech godzin i należało spędzić je na nogach, aby mniej chciało się spać. Grubin podłączył perpetuum mobile do patefonu i założył płytę. Nie nastawił jej jednak na cały regulator, żeby nie budzić sąsiadów. Zarówno patefon, jak i płyta zostały zdobyte w pracy, wygrzebane spośród staroci i rozlicznych surowców wtórnych. Gdyby nie wieczny silnik, Grubin nie słuchałby w ogóle muzyki, gdyż nakręcanie silnej sprężyny patefonu było zbyt uciążliwe. Zestaw płyt również był przypadkowy. Jedna z nich miała głębokie pęknięcie. Na tej właśnie płycie popularni niegdyś komicy Bim i Bom opowiadali anegdoty. O czym te anegdoty były, Grubin nigdy się nie dowiedział — z powodu silnego szumu i trzasków. Była również pieśń „Wołga, Wołga” w wykonaniu Szalapina, ale za to bez początku, longplay „Ulubione pieśni młodzieży radzieckiej — 72” oraz przedrewolucyjna pieśń „Transvaa!, Transvaa! — kraju mój, cały w ogniu stoisz”.

Przy akompaniamencie smutnej transwaalskiej melodii zabrał się Grubin do wycinania na ziarenku ryżu „Pieśni o wieszczym Olegu”. Zajmował się tą ciężką pracą już prawie dwa lata i doszedł zaledwie do drugiej zwrotki. Wiedział już, że zabraknie miejsca na ostatnie wersy, ale pracy nie przerywał, gdyż był próżny i uważał się za zdolnego do większych dokonań niż Lewsza, który pchły podkuwał.

Praca posuwała się wolno, pod okulem szkolnego mikroskopu. Grubin zmęczył się, ale nie mógł oderwać się od zajęcia, które całkowicie go pochłaniało. Lustro stało przed nim, aby mógł od czasu do czasu rzucić nań okiem, w oczekiwaniu na przemianę.

W pokoju nie było hałasu, ale też i nie było cicho. Półgłosem rozpaczał śpiewak, Grubin wtórował mu szeptem, brzęczała mikrowiertarka, kruk czochrął się o skrzypiącą nogę stołu, pod łóżkiem krzątały się myszy, sennie pluskały złote rybki w akwarium. Zbliżał się świt. Grubin kończył właśnie rzeźbienie litery „c” w słowie „czarodziej”, gdy nagle coś go ukuło w serce, nastąpiła gwałtowna utrata przytomności, zawrót głowy. Grubin ocknął się po chwili i pełen podejrzeń spojrzął w lustro, ale spóźnił się.

Już był młody. Po dawnemu chudy, po dawnemu rozczochrany i dziko połyskujący oczyma, ale tak młody, jak nie był już od jakichś dwudziestu pięciu lat.

— Taak — powiedział. — Cholerne czarowniki!

Był niezadowolony. Eksperyment tak starannie przygotowany nie powiódł się. Potem jednak uspokoił się, dokładniej przejrzał się w lustrze i nawet sam sobie się spodobał.

— Tak — powtórzył zupełnie innym tonem, usiadł i zaczął rozmyślać.

Poczuł się w skórze człowieka, który wygrał dziesięć tysięcy rubli na obligację premiovą. Oto pieniądze przyniesione z kasy oszczędnościowej, gruby plik dziesięciuroblówek. Jest ich zbyt wiele, aby kupić nowy garnitur albo zapłacić zaległe komorne. Jest ich tak dużo, że chyba nie sposób ich wydać od razu na jakiś jeden bardzo cenny przedmiot. Wprawdzie w domu jest wiele wydatków, pilnych i niecierpiących zwłoki, na które można przeznaczyć część wygranej, ale na

tym właśnie polega psychologiczna perfidia okrągłej sumy, że dzielenie jej na drobne cząstki wydaje się być poniżające i nieprzyzwoite. Kupić dom? Pojechać na wycieczkę dookoła Europy? A po co nowy dom? Po co ta Europa? I człowiek zaczyna się miotać w pułapce bez wyjścia. Pieniądze przytłaczają, uciskają i zniewalają wolnego dotychczas człowieka.

Grubin wygrał dwadzieścia lat życia. Wygrał młodość. Na co przeznaczyć te lata, które spadły z nieba? Napisać na ziarenku maku „Słowo o pułku Igora”, żeby zamieścili o tym notatkę w tygodniku pod tytułem „Ogoniok”? Tak, trzy lata, nawet pięć lat można stracić na takie zajęcie. I ledwie Grubin o tym pomyślał, poczuł całkowity bezsens takiego pomysłu, odczuł go tak wyraźnie, że wygarnął spod mikroskopu zapisane ziarnko ryżu i wyrzucił je przez otwarty lufcik. Było ziarnko i nie ma ziarnka. Zdziobie go jakaś kura, nie czytając klasycznych strof. Cóż począć?

Jeszcze dwie godziny temu Grubin, nie dysponując młodością, mógł myśleć spokojnie i rozsądnie. Jeśli dostanie te lata, przeznaczy je na twórczą działalność wynalazczą. Nie będzie niczego zmieniał w swym trybie życia, tylko po prostu go przedłuży.

A teraz, zerkając w lustro na dwudziestoletniego rozczołchańca, stwierdził, że byłoby zbrodnią pozwolić życiu płynąć jego starym korytem. Wszak człowiek ma tylko jedno życie, trzeba więc zacząć je od początku. Zacząć pięknie i godnie, wyciągając nauki z wszystkich popełnionych kiedyś błędów. Wznieść się na wyżyny. Nie wiedział wprawdzie, jeszcze nie wymyślił, jak tego dokona, ale niepokój, żądza czynu, która zagnieździła się w jego sercu, nie pozwala dalej siedzieć w zakurzonej sypialni przed zakurzonym lustrem. Trzeba było brać się do roboty. Grubin zaczął nowe życie od tego, że otworzył szafę i wyjął z niej czystą odświeżoną koszulę, zapasowy podkoszulek i pasiaste skarpetki. Odzież używana dotychczas wydała mu się nieprzyjemna, a co najważniejsze, brudna. Zdumiewające, że wcześniej tego nie zauważał.

Sawicz obudził się nie od razu. Nigdy nie budził się od razu. Najpierw sny, obfite, kolorowe, traciły wyrazistość i prawdopodobieństwo. Już można było oddzielić siebie w tych snach od innych bohaterów, wznieść się ponad akcję i zrozumieć, że chociaż jest to sen podobny do rzeczywistości, to jednak jest to rzeczywistość pozorna.

Obok niego w łóżku, do obrzydzenia znanym i rozchwierutany, cicho oddychała dziewczyna, zapomniana, świeża dziewczyna, przybyła z jakiegoś innego, starego, nieziszczalnego snu. Sawicz niemal na jawie słyszał ten oddech i zdumiał się sennie, że mająk jest tak wyraźny.

Jego ręka odszukała ramię, kragłe i delikatne, i dołek nad obojczykiem. Palce zbiegły w dół i natknęły się na pierś. Pierś była równie świeża i jędrna, jak ramię, a twarda sutka — Sawicz we śnie widział, jak bardzo jest ona różowa — wymknęła się z palców. Dziewczyna jęknęła rozkosznie, poddając się bezwolnie pieszczocie męskich dłoni.

Sawicz obrócił się ku dziewczynie i ona również, posłusznie i nieśmiało — tak bywa tylko we śnie — zwróciła głowę w jego stronę i usta ich spotkały się. Sawicz drugą ręką przygarnął do siebie dziewczęce ciało, a dziewczyna wyszeptwała: „Nie trzeba”.

Sawicz bał się przebudzenia, gdyż jakiś maleńki fragment mózgu już czuwał i krytykował: otwórz oczy, mów, obudź się. Wanda już jest w kuchni, strzela garami, przez drzwi widać jej potężne plecy opięte pikowanym szlafrokiem. Zaraz odwróci się i powie porannym, poirytowanym tonem: „Dość tego wylegiwania, znów się spóźnisz”, i zacznie się kolejny dzień.

Ale sen na szczęście był silniejszy, nie odchodził i napawał radością. Brzuch dziewczyny był płaski i silny. Broniła się jeszcze, ale już wiedziała, że się podda — pragnęła Sawicza i jej ciało walczyło z rozsądkiem. Ręce splotły się na jego karku, przyciskały coraz silniej, wargi rozwarły się... Dziewczyna nagle krzyknęła, głośno i gardłowo, bo Sawicz był jej pierwszym mężczyzną i sprawił jej ból.

Taki dziwny i cierpki sen przyśnił się Sawiczowi. I skończył się.

Skończył się dlatego, że krzyk był. To właśnie krzyk obudził Sawicza. Otworzył oczy, do reszty zaplątany w myślach i odczuciach — bowiem sen nie odchodził, choć już nadeszła jawa.

Dziewczyna dygotała w jego objęciach, jej czarne włosy zakrywały świat, jej paznokcie rozorywały mu plecy, a twarde sutki wpijały mu się w pierś.

Dziewczyna była znajoma. Tę dziewczynę znał tysiąc lat temu. I tysiąc lat temu już tak krzyczała, gdyż on był jej pierwszym mężczyzną. Tysiąc lat temu.

A kiedy wszystko się już skończyło i dziewczyna rozpląkała się, bo był jej pierwszym mężczyzną i sprawił jej ból, Sawicz zrozumiał, że jednak się obudził i nie śnił.

Wanda powiedziała:

— Co ty ze mną zrobiłeś?

I nagle uśmiechnęła się, pokazując błyszczące białe zęby, odrzuciła z oczu kosmyk włosów i rozkazała:

— Natychmiast pogładź się po łysinie.

Sawicz nie odważył się zignorować dziwnej zachcianki. Ręka dotknęła gęstych włosów. Łysiny nie było. Rozzłoszczony już uporczywością i natręctwem snu, jak dziecko uniósł rękę do oczu. To nie była jego ręka, choć właściwie ręka była znajoma, niegdyś to była jego ręka, ale teraz była to ręka cudza.

— Odwróć się — powiedziała Wanda. — I w ogóle wstawaj, trzeba zdjąć prześcieradło.

Sawicz posłusznie zamknął oczy. Wanda zeskoczyła z łóżka, pobiegła na bosaka do łazienki i krzyknęła stamtąd:

— Stary nie kłamał. Mój Boże, jak ja się cieszę!

Potem głos dobiegł z sąsiedniego pokoju:

— Wielka szkoda, że nie uwierzyliśmy mu do końca. Nie spalibyśmy i moglibyśmy zobaczyć, jak to się stanie.

Roześmiała się głośno. Dodała:

— Nigdy bym ci nie pozwoliła tak zwyczajnie mnie wziąć. Mój Boże, dziewczęta całymimi latami myślą o tej chwili...

Wtedy Sawicz wszystko zrozumiał. Uniósł się na rękach i zerknął w lustro. W pościeli, goły do pasa, siedział młody Sawicz, student Sawicz, rozczochrany i czerwony jak rak.

Starannie umyty w zimnej wodzie, z wyczyszczonymi do połysku białymi zębami, w pasiastych skarpetkach i świeżej białej koszuli szedł Grubin przez uśpione jeszcze ulice Wielkiego Guslaru, cieszył się rzeźkością powietrza, lekkością obłoczków nad rzeką, rozgłośnością ptasiego świergotu, skrzypieniem wozów ciągnących na targ i dalekim rykiem syreny statku.

Nie wiedział, dokąd i po co idzie. Niósł w sobie tajemnicę i radość, chciał się nimi podzielić z innymi ludźmi, zrobić coś dobrego, aby w ten sposób godnie uczcić początek nowego życia.

Zatrzymał się przy zapadlisku. Zjrzał przez ogrodzenie do środka, w ciemność, z której tak niedawno wyłoniło się jego nowe życie, i aż gwizdnął, zdumiony własnym szczęściem. Gdyby Udałow nie poszedł do domu towarowego, gdyby nie lękał się samotnie stawić czoła sprzedawczyniom, siedziałyby teraz Grubin w domu i niczego nie podejrzewając dziergałby „Słowo o wieszczym Olegu”. Aż go zatrzęsło z obrzydzenia na myśl, że istnieją ludzie, którzy okradają siebie i ludzkość w tak idiotyczny sposób. Żałował przez chwilę, że razem z ziarnkiem ryżu nie wyrzucił mikroskopu, ale potem zawstydził się tego pomysłu — mikroskop jeszcze się może przydać do pracy, do prawdziwej pracy.

Okno na pierwszym piętrze było otwarte na oścież, a na parapecie wśród doniczek z kwiatami siedziała wytworna syjamska kotka i celebrowała poranną toaletę.

— Kiciu — powiedział do niej Grubin. — Czy ty przypadkiem nie jesteś zwierzakiem pani Bakszt?

Dopiero w tym momencie olśniła go myśl, że cudowna przemiana przydarzyła się nie tylko jemu. Przecież tej samej nocy odmłodził również jego przyjaciel Udałow (a co z jego żoną?), odmłodziła Helena Siergiejewna i stara pani Bakszt, której przed paroma godzinami pomógł dowlec się do domu. Z tyłu, jak sobie przypomniał, dreptała ciężko stara syjamska kotka. Teraz na parapecie siedzi młoda kocica, ale też syjamska i też z różnobarwnymi oczyma. Jest mało prawdopodobne, aby w Wielkim Guslarze żyły dwie syjamskie kotki z różnobarwnymi oczyma, tym bardziej w jednym domu.

— Kiciu — powtórzył Grubin. — A gdzie twoja pani? Kotka nic nie odpowiedziała. Grubin poszukał jakiegoś przedmiotu, którym mógłby przyciągnąć uwagę staruszki, bo okropnie był ciekaw, co się jej przydarzyło w nocy, ile lat udało się jej zrzuć. A nuż nie podziałało? Zrobiło mu się szczerze żal babci stojącej nad grobem.

Podszedł do tablicy z wczorajszą gazetą, oderwał pół strony, zmiął w twardą bryłkę i z rozmachem rzucił w otwarte okno. Przerazona kotka zeskoczyła z parapetu potracając doniczkę z nasturcją. Doniczka spadła do wnętrza i narobiła hałasu.

— Ach! — wykrzyknął ktoś w pokoju. Grubin zmieszał się i chciał uciec. Zrobiłby to, gdyby w oknie nie ukazała się urocza, bajecznie piękna dziewczyna. Długie włosy o barwie kruczego skrzydła spadały jej na ramiona bujnymi falami, oczy były ogromne i promienne, nosek prosty i krótki, usta pełne i skóre do uśmiechu.

— Ach! — powtórzyła dziewczyna widząc, że z ulicy gapi się na nią z zachwytem kudłaty młodzieniec w białej koszuli. Wstydliwym gestem zgarnęła na piersi stary szlafroczek i nagle perłście się roześmiała, nie lękając się obudzić całej ulicy.

— Głuptasie! — wykrzyknęła przez śmiech. — Ta doniczka stała tu od stu lat, ale wcale mi jej nie żal. Przecież pan jest Grubinem, który wczoraj odprowadzał mnie do domu. Proszę do mnie. Napijemy się dobrej herbaty.

— Pędzę — powiedział Grubin, stanął na rękach i na rękach pomaszerował przez ulicę ku drzwiom domu, bo ręce miał silne i kiedyś zdobył pierwszą klasę w gimnastyce.

...Milica podejmowała gości ciasteczkami, konfiturami, przetworami — smakołykami domowymi, babcinymi, niedzisiejszymi. Zapomniała, gdzie co leży, i bardzo ją to śmieszyło. Wieloletnie aromaty saloniku uciekły przez otwarte okno, jakby na to tylko czekały. W pokoju było słonecznie i chłodno.

— Najpierw wyrzucę wszystkie te rupiecie — mówiła Milica. — Pomoże mi pan, Aleksandrze Jewdokimowiczu? Już dawno zamierzałam to zrobić, ale kiedy jest się tak starą i słabą, trzeba pogodzić się z rzeczami. Starzały się wraz z człowiekiem i wraz z człowiekiem umrą. Teraz wszystko będzie inaczej. Jestem niewdzięczna, prawda?

— Dlaczego? — zdziwił się Grubin. — Ja w ogóle nie miałem rzeczy. A czy to prawda, że Stiepan Razin omal pani nie wrzucił do rzeki?

— Nie pamiętam. Wiem o tym tylko z opowiadań Miłego Przyjaciela. Wydaje mi się jednak, że by tego nie zrobił.

— Z pewnością nie chciał — powiedział Grubin, skrępowany, że on, tak nieporządnie ubrany i rozczochrany, znajduje się w jednym pokoju z piękną dziewczyną. — Kozacy go zmuszali.

— Byli zazdrośni — przytaknęła Milica, która biegając po pokoju nie zapomniała zerkać w lustro. Bardzo się sobie podobała.

Grubin zdrapał paznokciem zastarzałą plamę ze spodni, upił łyk herbaty ze staroświeckiej filiżanki i zagryzł piernikiem. Jeść również się krępował, chociaż był potwornie głodny, Milica nie mogła usiedzieć przy stole. Podrywała się, poprawiała coś w pokoju, zestawiała na podłogę doniczki z kwiatkami. Wreszcie otworzyła komodę i wyrzuciła na podłogę suknie, robiony, salopy, palta, peleryny i chusty — na chwilę w pokoju zrobiło się duszno od naftalinowego czadu, który jednak szybko ulotnił się przez otwarte okno.

— To trzeba wyrzucić, to też trzeba wyrzucić, a z tego można jeszcze coś zrobić. Kiedy otworzą kioski z gazetami, kupi mi pan żurnal?

— Naturalnie, mogę pójść choćby zaraz — odparł Grubin. — Ale u nas żurnale mód rzadko bywają.

Zdumiewało go, że Milica absolutnie wyzbyła się przeszłości. Jakby nigdy nie była staruszką. On sam czuł ciężar przeżytych lat. Niezbyt silnie, ale jednak czuł. Milica natomiast zachowywała się tak, jakby dopiero wczoraj przyszła na świat.

— Podobam się panu? — zapytała.

— Słucham? — Grubinowi nikt nigdy takich pytań nie zadawał.

— Jestem piękna? Jestem pociągającą kobietą?

— Bardzo.

— Proszę pić herbatę, jeszcze panu zrobię. Tymczasem pójde za parawan i przymierzę suknię. Nie ma pan nic przeciwko temu?

Grubin nie miał nic przeciwko temu, Był w transie, w zagadkowym słodkim śnie, w którym ludzie piją herbatę z pierniczkami.

Zza parawanu wyszła Milica, upuszczając na podłogę różne przedmioty, szeleszcząc suknią i zadając coraz to nowe pytania:

— Aleksandrze Jewdokimowiczu, zdarzyło się panu bywać w Moskwie?

— Proszę nazywać mnie Saszą — powiedział Grubin. — Bo jakoś mi niezręcznie.

— To bardzo miło z pana strony. Szalenie podoba mi się ten nowoczesny styl. A wie pan, że choć byliśmy z Aleksandrem Siergiejewiczem Puszkinem, poetą, bardzo blisko zaprzyjaźnieni, on zawsze zwracał się do mnie — Milico Fiodarowno. Interesujące, prawda? I pan też ma na imię Sasza.

Grubin zwymyślał się w duchu za brak dobrego wychowania. Nie tyle zdumiały go znajomości Milicy Fiodorowny, bowiem te znajomości były dawne i zupełnie naturalne przy jej wieku i urodzie, ile...

— Milico Fiodorowno, trzeba będzie — powiedział oficjalnym, nieco obrażonym tonem — pójść do Heleny Siergiejewny. Poradzić się.

— Słusznie, Saszeńka — roześmiała się srebrzyście Milica. — A pan będzie mnie nazywał Miłą? Tak mi się bardziej podoba. Przecież żyjemy w XX wieku. Nie bądź zazdrosny, Puszkina już dawno zabili.

— Naturalnie — powiedział Grubin. Był nadal obrażony, co sprawiało mu wielką przyjemność. Nigdy dotąd nie obrażał się na tak piękną kobietę.

— Coś tylko dopasuję na siebie. Nic się nie nadaje, dosłownie nic. Potem pojedziemy.

— Nie ma sensu jechać — powiedział Grubin. — Przecież to dziesięć minut spacerkiem.

— Saszeńka, jesteś inżynierem?

— Skąd ten pomysł? Brakuje mi wykształcenia. Pracuję w biurze.

Grubin kłamał, ale to kłamstwo odnosiło się do przeszłości. Wiedział, że od dziś już nie kieruje punktem skupu surowców wtórnych. Dziś jest raczej inżynierem niż śmieciarzem. Przeszłość była jego prywatną sprawą. Przecież Miła też do wczoraj była sędziwą gospodynią domową. Ale to minęło.

Milica wyszła zza parawanu, niosąc na rękach suknię.

Rozłożyła ją na stole, odsuwając filiżanki z kawą na samą krawędź blatu. Wyjęła z komody nożyczki i zamyśliła się. Potem powiedziała:

— Już dawno nie interesowałam się modą. Trzeba będzie obudzić Szuroczkę.

— Tak, Szuroczka — przypomniał sobie Grubin. — Piła razem z nami lekarstwo. Żeby tylko nic się jej nie stało. Przecież ona robiła to dla żartu.

— A co się z nią może stać?

— Odmłodzenie.

— Saszeńka, jakiś ty naiwny! Przecież Miły Przyjaciół nikogo jeszcze nie oszukał. Ja i ty odmłodnieliśmy zupełnie jednakowo, chociaż poprzednio różniliśmy się wiekiem.

— Racja — zgodził się Grubin.

Przekradał się za Milicą przez wspólny korytarz i lękał się niespodzianek. A nuż Szuroczka stała się młodsza o dziesięć lat i zamieniła się w dziecko? Przecież to tragedia dla jej rodziców. Chowali ją przez dziewiętnaście lat i nagle okazuje się, że dziesięć lat — na darmo. Albo całe osiemnaście.

Grubin stanął za plecami Milicy przy drzwiach Rodionowów i nadśluchiwał z niepokojem, czy nie rozlegnie się tam płacz oseska.

— Oni bardzo wcześnie wstają — powiedziała Milica, która fałszywie odczytała niepokój Grubina. I zadzwoniła.

— Państwo do kogo? — zapytała otwierając drzwi kobieta w średnim wieku, rysami twarzy i głosem wielce przypominająca Szuroczkę, należąca do tych niewiast, które zachowują figurę i jędrność ciała przez długie lata, rodzą takie same krzepkie dzieci i, co więcej, potrafią świetnie się z nimi obchodzić, robiąc to bez zbytniego hałasu, nerwów i obawy przed przeciągami. Zza jej spódnicy wyglądało dwóch chłopczyków, również podobnych do Szuroczki.

— Do Szuroczki? — zapytała kobieta. — Ze sklepu?

— Dzień dobry — powiedziała wesoło Milica. — Pani mnie nie poznaje?

— Może gdzieś widziałam — powiedziała obojętnie matka Szuroczki. — Wejdźcie do środka, nie ma sensu stać w korytarzu. Szurka przyszła dopiero nad ranem. Gniewam się na nią.

— Dziękuję, my tylko na chwilę — powiedziała Milica, ucieszona, że nie można jej poznać.

— Córka dobrze się czuje? — zapytał Grubin z półmroku korytarza.

— A co niby mogło się jej stać? Szura! Masz gości! Matka odpłynęła korytarzem do kuchni, a za nią jak kacząta podreptali braciszki Szuroczki.

— Ona mnie nie poznała! — powiedziała Milica uroczystym tonem. — A nie dalej jak dwa dni temu pożyczałam od niej sól.

Szuroczka, rozespana i zła po domowej awanturze, a poza tym taka sama jak przedtem, wyrzała na korytarz, z powodu złego oświetlenia wzięła Milicę za jedną ze swych przyjaciółek i zapytała:

— Co cię tu po nocy przyniosło? Jeszcze się nie obudziłam.

— Nie poznała — powiedziała Milica. — Twoja mamusia też mnie nie poznała. A jego poznajesz? Saszeńka, chodź tutaj.

Grubin uśmiechnął się z zażenowaniem i zrobił dwa wielkie kroki.

— Mamusiu! — wykrzyknęła Szuroczka. — Towarzysz Grubin! Czyżby naprawdę podziało?

— Jak pani widzi — powiedział Grubin i obrócił się dokoła własnej osi, wolno i niezgrabnie, niczym u krawca.

— A ja? — przypomniała sobie Szuroczka. — Przecież nawet nie zdążyłam się przejrzeć. Wszystko w porządku?

— Pani jest w zupełnym porządku — odparł Grubin. — Pani nie potrzebowała się zmieniać.

— Bardzo dobrze. A jak reszta?

Szuroczka rozmawiała z Grubinem, a na Milicę nawet nie spojrzała.

— Reszta? — Grubin zachichotał i mrugnął do Milicy. — Nie wiem jak pozostali, ale tutaj stoi pewna pani znajoma.

— Jaka znów znajoma?

Szuroczka zmarszczyła czoło, poprawiła grzywkę i przypatrzyła się uważnie Milicy. Nie mogła jednak w żaden sposób jej rozpoznać.

— Albo mnie nabieracie, albo całkiem zgłupiałam — powiedziała wreszcie.

— Jestem twoją sąsiadką, Milicą Fiodorowną — szepnęła Mila. — Jesteś mi potrzebna. Jako rówieśnica.

— Boziu! — wykrzyknęła Szuroczka. — To niemożliwe. Jeśli mnie nie nabieracie, zaraz padnę tu trupem!

— Kochanie, daj spokój — powiedziała Milica. — U mnie w pokoju wiszą na ścianach akwarele, na których bardzo jestem podobna. Chodźmy, nie ma czasu. Trzeba wyjść na miasto, a ja nie mam żadnej kiecki. Przecież nie będę chodziła po ulicach w robionie. Muszę uszyć sobie coś ze starych łachów.

— Cuda — powiedziała Szuroczka. — Niech pani się pokaże do światła.

W tym momencie z wielkiego podniecenia zupełnie przestała wymawiać wielkie litery i znaki interpunkcyjne.

— Zaraz weźmiemy jakąś moją sukienkę — roztrajkotała się, prowadząc Milę do okna, aby lepiej się jej przyjrzeć. — To naturalnie pani ja i stąd widzę że na akwareli to też pani ale towarzysz Grubin zmienił się znacznie mniej teraz nauka uczyni ogromny krok naprzód i starców w ogóle nie będzie a z sukienką coś wymyślimy weźmie pani moją proszę tu poczekać a ja ściągnę jedną na pewno będzie pasowała nie ma sensu zajmować się teraz szyciem byle tylko mama nie zobaczyła...

Szuroczka wyparowała, znikła, tylko jej słowa jeszcze przez kilka sekund pozostały w pokoju.

— No tak — powiedziała Milica. — Czyż ona nie jest urocza?

— Obie jesteście urocze — palnął Grubin, zmieszany się i podszedł do okna. Przypomniał sobie

nagle, że Mila jest bądź co bądź perską księżniczką i знаła kiedyś Puszkina.

— Dziękuję za komplement — odparła Milica wrzucając stare suknie do szafy. — Potrafisz prowadzić auto? W naszej nowej sytuacji auto może się przydać.

— Obejdziemy się — zbagatelizował sprawę Grubin. — Skąd niby weźmiemy to auto?

— Czy nie mówiłam ci, że mój zmarły mąż interesował się techniką i kupił auto? U progu nowego wieku. Ale przystaw zabronił mu jeździć, żeby przechodnie i psy nie wpadali w panikę. Dlatego nie jeździliśmy. A potem pan Bakszt zmarł.

— No i co z tego?

— Ono nadal stoi w szopie.

— Co stoi?

Grubin poczuł, że zatrząśły mu się ręce. Słowa Mili, nawet w ten rano obfitujący w nieprawdopodobne wydarzenia, poruszyły go do głębi. Poruszyły go tak bardzo, że cała reszta odeszła na plan dalszy. Samochód, obojętnie jaki, był marzeniem Grubina. W mieście było niewiele samochodów, a już o prywatnych szkoda mówić. Samochód śnił się Grubinowi. Samochód stał w szopie.

— Przecież z pewnością już je ukradli albo zepsuli — powiedział. Powiedział tak umyślnie, żeby nie zauroczyć, żeby nie spłoszyć szczęścia.

— Wątpię — odparła Mila. — Gdzie się ta Szuroczka podziała? Całkiem niedawno zaglądałam do szopy. Gdzie ja wsadziłam klucz? Znajdziesz sam, czy mam ci pomóc? Moja szopa stoi po prawej stronie. Jest najstarsza ze wszystkich, na pewno ją poznasz.

Szuroczka przybiegła z sukienką i powiedziała od drzwi:

— Moja stara ciągle mi wymyśla podejrzewa że coś zmalowałam jako panienka trzeba będzie zwięzić i skrócić.

— Nigdy w życiu nie nosiłam takiej krótkiej sukienki — powiedziała Milica zerkając na odkryte kolana Szuroczki. — To wypada?

— Co pani teraz wszystkie tak chodzą nawet na wsi a jaka pani jest młoda nawet młodsza ode mnie!

— Idę — powiedział Grubin ściskając w spoczonej dłoni klucz od szopy. — Popatrzę.

— Nie zobaczysz go od razu, bo jest przykryty workami i różną starzyzną. Jeśli chcesz, mogę ci pomóc.

— Gdzie on idzie? — zapytała Szuroczka.

— Do szopy, musi odnaleźć pewną rzecz. To niespodzianka.

Grubin popędził schodami na podwórko, przeskakując po pięć, a czasami nawet po sześć stopni naraz, znalazł bez trudu najbardziej sędziwą szopę i nie troszcząc się o to, czy ktoś go zobaczy z okna, wsunął klucz do kłódki. Klucz obrócił się lekko. Staruszka była gospodarna i nie pozwalała, żeby jej dobro rdzewiało.

Promienie porannego słońca przez rozwarte na oścież drzwi wtargnęły do szopy w ślad za Grubinem i pozłociły kłęby kurzu. W szopie nie było żadnego samochodu, były natomiast niezliczone kufry, kosze i skrzynki, poniewierały się nóżki od krzeseł, drzwi zmarłych ze starości szaf, dywany pogryzione przez mole i szczury, drewno opałowe i łopaty.

Chwileczkę, uspokajał się Grubin. Szopa nie jest mała i za workami, jak mówiła Mila, za workami, tylko spokojnie, Grubin, spokojnie, zaraz odsuniemy drewno. Chwycił za krawędź sągu i rozsypał go z łoskotem karabinu maszynowego. Nie pozwalając hałasowi ucichnąć, z pasją poszukiwacza skarbów kontynuował wykopaliska. Musiał odsunąć wielki i niezmiernie ciężki kufel, później zagrzebać się w strzępy portierny, za którą ukazało się coś, co było przykryte brezentem. Skraj brezentu uniósł się do góry i spod niego błysnął reflektor przypominający oko ważki. Maszyna stała na miejscu.

Hałas, jakiego Grubin narobił w szopie, dotarł nawet do uszu Milicy i Szuroczki, Dziewczęta śmiały się z zapachu Saszeńki, ale nie poszły mu pomagać, były bowiem zajęte dopasowywaniem sukienki. Inni mieszkańcy domu akurat się budzili i nie podejrzewali niczego złego. Ranek był na to zbyt słoneczny i miły.

Wyzwoliwszy automobil spod zwałów rupieci, Grubin wreszcie obejrzał go dokładnie i zdumiał się. Zbyt słabo znał historię przemysłu motoryzacyjnego, aby ocenić rzadkość i cenność maszyny, która ukazała się jego oczom.

Twórca auta, starając się zaspokoić wyrafinowane gusty ówczesnych bogatych konsumentów, oparł się w swej konstrukcji na znanych kształtach landa, luksusowej karety, weneckiej gondoli, a może nawet pucharu św. Graala.

Groźnie połśniewały miedziane, złoczone, srebrzone i stalowe detale, błyszcząły niezliczone szprychy wysokich kół, których obręcze płonęły krwistą czerwienią. Zielonozłota karoseria kołysała się na wysokich resorach, a siedzenia z miękkiej angielskiej skóry, gdzieś pogryzione przez myszy, kuśiły obietnicą wielkiej wygody. Chciałoby się utonąć w nich i wolno płynąć pod niebem Paryża Polami Elizejskimi i naciskać na klakson — gramofonową tubę z lewatywową gruszką na końcu. Pojazd miał niezmiernie wytworny kształt, peszył jedynie komin z boku i miedziany kocioł. Nie musiało się być biegłym w technice, aby zrozumieć, że automobil wyposażono w silnik parowy.

Grubin pokręcił głową, odpędzając falę dojmującego rozczarowania, A jednak był to samochód. Automobil starej marki. Grubin poczuł, jak wzbiera w nim coś w rodzaju bolesnej ojcowskiej czułości, uczucia, jakie żywią rodzice do głupiego, brzydkiego, ale swojego i w dodatku jedyne dziecko. Kto inny na miejscu Grubina spaliłby się ze wstydu na samą myśl, że czymś takim wyjedzie na ulice rodzinnego miasta. Grubinowi nawet nie przyszło to do głowy. Odszukał w szopie stare wiadro, poszedł do studni, napełnił kocioł, ułożył drewno w palenisku i uruchomił samochód.

Starzy rzemieślnicy robili solidne, niezniszczalne rzeczy. Samochód kichnął, tłok drgnął z głośnym sapnięciem, nad podwórkiem uniósł się kłęb niebieskiego dymu i Grubin, szczęśliwy pogromca maszyny, z szybkością sześciu mil na godzinę wyjechał, rozpędzając kury, na ulicę i nacisnął klakson pod oknami pięknej Milicy.

Wcześni przechodnie z przerażeniem i zdumieniem gapili się na antyczny aparat. Ich zdziwienie osiągnęło szczyty, gdy z domu wybiegły dwie piękne dziewczyny i z głośnym śmiechem usadowiły się na tylnej kanapie wozu, za plecami rozczochranego szofera. Ekwipaż ruszył na miasto.

Obok niego dreptały psy i obszczekiwały z zapalem pojazd, a dzieci spieszące do szkoły zatrzymywały się i sypały żarcikami. Po mieście, już i bez tego podnieconym niezwykłymi wydarzeniami, rozeszła się plotka, że z Moskwy przyjechała grupa filmowców i kręci historyczny serial telewizyjny.

Sawicz w roztargnieniu mieszał łyżką owsiankę i myślał, że jeśli jest porządnym człowiekiem, to powinien ożenić się z Wandą, a właściwie zostać z nią, ponieważ poślubienie własnej żony, nawet odmłodzonej o trzydzieści lat, nie było konieczne.

— Nie mam zielonego pojęcia, jak ja się pokażę w sklepie — mówiła tymczasem Wanda. — Wyobrażasz sobie chyba, jaką tam zrobię furorę. Dzień dobry, jestem waszą kierowniczką! A one mi na to: możemy ewentualnie zatrudnić jako uczennicę. Wyobrażasz sobie? Ale jedz, jedz.

Wanda była pełna czułości dla młodego męża. Przeżyła z nim wiele lat, nie zauważając, jak się starzeje, i nie zastanawiając się nad tym, czy się w ogóle starzeje. Natomiast teraz, kiedy znów stał się młody i silny, pomyślała nie wiedzieć czemu, że nie popełniła błędu zgadzając się zostać jego żoną, a właściwie wymuszając na nim zgodę na ożenek.

— Trzeba zachować daleko idącą ostrożność — powiedział Sawicz. — Jeśli sąsiedzi nas zobaczą, znacznie się niepotrzebna gadanina. Należy udać się do Heleny Siergiejewny, bo tam z pewnością już zebrali się wszyscy nasi. I ustalić sposób postępowania.

— A niby po co mamy iść do Kastielskiej? — zaproponowała Wanda. — Może tylko nam się poszczęściło?

— Tym bardziej należy iść. Zapomniałaś, że jesteśmy uczestnikami eksperymentu, doświadczenia.

— Ale czemu właśnie do Kastielskiej? I w tym samym momencie Wanda wyobraziła sobie młodą Kastielską. Pamiętała ją jako młodą i nie lubiła za to. Od wielu już lat z satysfakcją szukała i znajdowała u Kastielskiej oznaki starzenia się, a każdą zmarszczkę w głębi serca uważała za własną zasługę. Jej zazdrość wobec pechowej, niby pokonanej rywalki wcale nie mijała z upływem lat, gdyż Wanda podejrzewała męża o chroniczną wierność tej kobiecie. Wierność niewybaczalną u żonatego mężczyzny.

— Może ona została staruszką — powiedziała. — To całkiem możliwe. — I popatrzyła na męża w nadziei, że przyzna jej rację. Sawicz naturalnie przytaknął.

— A jednak mimo wszystko należy pójść do Heleny Siergiejewny — powiedział. — W przeciwnym razie możemy znaleźć się w głupiej sytuacji.

— Jak chcesz — odparła Wanda otulając się szlafrokiem. — W końcu jestem od niej młodsza prawie o dziesięć lat.

— Naturalnie, pamiętam o tym.

Wanda długo się ubierała i malowała oczy. Nucila przy tym tango z czasów swej młodości, a Sawicz stał przy oknie i myślał.

Jeśli to, co mu się przydarzyło, nie jest autohipnozą i złudzeniem, nagą powłoką młodości na starym ciele, to starość oddaliła się od niego. Ale czy warto ją było oddalać? Sawicz odwrócił się, popatrzył na młodą żonę i pomyślał z nieoczekiwaną irytacją: Ach ty, rzepo, energii nigdy ci nie brakowało. Teraz jeszcze mocniej weźmiesz mnie pod pantofel.

Ranek zaczął już wyłączać promieniami słońca szczyty drzew i kopuły cerkwi. Za ścianą poruszył się sąsiad.

— Pospiesz się — powiedział Sawicz. — Sidor Iljicz już wstaje.

— Zabawne — odezwała się Wanda. — Jeśli on mnie zobaczy, to pomyśli, że sobie sprowadziłeś na noc dziewczynę. A jeśli zobaczy najpierw ciebie, pomyśli sobie brzydko o mnie.

— Gdyby tylko pomyślał! — westchnął Sawicz. — On również powie, i to nie tylko nam.

— Dobra, zaraz będę gotowa — powiedziała Wanda i roześmiała się. — Dziewczyny sobie sprowadzasz? Zestarzałeś się. A jak ja pójde do fryzjera?

— Nie wiem — odparł Sawicz. — Może wszyscy będziemy musieli na razie wyjechać do Wołody. Albo nawet do Moskwy. Jak długo można na ciebie czekać? Dawniej się tak nie guzdrałaś.

— Dawniej było co innego, a dziś mam święto.

Sawicz i Wanda ostrożnie wyszli na korytarz. Wanda cichutko chichotała i szczypała Sawicza w łokieć, a w ciemnej sieni nawet pocałowała go w policzek i ugryzła w koniuszek ucha. Sawicz bez przekonania bronił się przed jej karesami, a potem otworzył drzwi i pierwszy wyslizgnął się na ulicę w chłodną przezroczystość poranka.

Szli ulicą i Sawicz modlił się w duchu, żeby nie spotkali znajomych, a jednocześnie serce kołatało mu jak oszalałe na myśl, że już wkrótce zobaczy Helenę. Było to doznanie niemal doszczętnie już zapomniane i dlatego w trójnasób dojmujące.

Gdzieś w tyle, dopędzając ich, sapał jakiś samochód i Sawicz, aby uniknąć ewentualnego spotkania ze znajomymi, odwrócił się plecami do jezdni. Samochód przesunął się wolno do

przodu, spowijając go w kłęby dymu. Pojazd był ogromny i niezmiernie staroświecki, ale dym przeszkadzał tak bardzo, że Sawicz nie zdołał dojrzeć żadnych szczegółów i odczytać marki samochodu. Odwrócił się i skoncentrował ponownie na myśli o spotkaniu z Heleną, ale kobieta siedząca na tylnej kanapie kabrioletu uniosła się, odwróciła i krzyknęła do kierowcy:

— Saszeńka, zatrzymaj się, moim zdaniem, to są nasi znajomi.

Automobil brzęknął, wypuścił syczący strumień pary i znieruchomiał. A kobieta — młoda, czarnowłosa i niezmiernie zgrabna — zapytała głośno, jakby nie lękała się obudzić całego miasta:

— Czy państwo Sawiczowie? Idziecie do Kastielskiej?

Kierowca uniósł się, osłonił dłonią oczy i uważnie przypatrywał się Sawiczom.

— Oczywiście, że to oni. Popatrz, jak Wanda Kazimirowna odmłodziła.

Druga kobieta w samochodzie okazała się Szuroczką Rodionową. Wówczas Wanda, która szybciej niż mąż zorientowała się, że wehikuł ma coś wspólnego z nocnymi wydarzeniami, zapytała:

— Czyżby mnie można było rozpoznać?

— Bardzo trudno, Wando Kazimirowno — odparła Szuroczka. — Ale jednak można. Przecież widywałam panią niemal codziennie.

W tonie Szuroczki nie było ironii ani zawiści i Wanda była jej za to wdzięczna.

— Siadajcie — powiedział Grubin. — Miejsca starczy dla wszystkich.

— A jak pozostali? — zapytał Sawicz pomagając żonie wsiąść do auta. Miał na myśli Helenę Sergejewnę, ale nikt poza Wandą nie pojął tego.

— Mogę przysiąc — powiedziała czarnowłosa dziewczyna — że mnie pan nie poznał. Jestem Miła Bakszt. Milica Fiodorowna.

Helena Siergiejewna odgarnęła jasny pukiel włosów, zmrużyła oczy i wyspała do rondelka dokładnie pół szklanki kaszki manny, nabranej z niebieskiej kwadratowej puszeki z napisem „cukier”. Mleko wzburzyło się, jakby kaszka okrutnie je oparzyła, ale Helena zdążyła je zamieszać srebrną łyżką, którą trzymała w pogotowiu.

Ruchy były wczorajsze, zrutynizowane i było rzeczą interesującą patrzeć na własne ręce. Były znajome i zarazem obce.

— Nie chcę twojej kaszki, babciu — powiedział z przyzwyczajenia Wania. — Zapomniałaś ją posolić.

— Rzeczywiście zapomniałam — roześmiała się Helena Siergiejewna.

Ktoś zapukał do drzwi i po chwili do kuchni wszedł nieznajomy miody człowiek ogromnego wzrostu. Wypełniał ciasną marynarkę tak dokładnie, że rękawy nie ukrywały bicepsów, a guziki z najwyższym trudem utrzymywały się w dziurkach.

— Proszę mi wybaczyć — powiedział znajomym niskim głosem. — Drzwi były otwarte, więc pozwoliłem sobie wtargnąć bez zaproszenia. Dzień dobry.

Po gospodarsku rozsiadł się przy stole, odsunął maselniczkę i powiedział:

— Poczęstowałabyś herbatką, Heleno.

Helena Siergiejewna musiała przez kilka minut wpatrywać się w twarz gościa, zanim domyśliła się, że jest nim Ałmaz Bity.

— Poznałaś? — zapytał Ałmaz. Zdobył gdzieś nowe pantofle i dżinsy. — Stało się tak, jak powiedziałem. Obudziłaś się i nie poznałaś samej siebie. A trzeba przyznać, że ładna z ciebie dziewczyna. Nie tak ładna, jak moja Milica, ale całkiem do rzeczy. Teraz wydamy cię za męża.

— Proszę nie żartować — powiedziała Helena Siergiejewna, ukradkowym gestem wskazując na znieruchomiałego ze zdumienia Wanię. — W moim wieku...

Ałmaz roześmiał się. Na ulicy coś groźnie załomotało. Hurkot zbliżał się stopniowo, aż wreszcie pod otwartym oknem zgrzytnęły hamulce i podniosła się chmura sinawego dymu.

— Jest tam kto? — zapytała czarnowłosa piękność, wsuwając głowę do wnętrza. — Ojej, zmieniła się pani nie do poznania! A my do pani w gości.

— Oto i Milica — powiedział Ałmaz podrywając się zza stołu. — Przecież mówiłem, że jest ładna. Mam rację, Heleno?

— Zaraz przyniosę herbatę — powiedziała Helena i wybiegła do pokoju Wani. Wybiegła tak szybko, że Ałmaz uśmiechnął się pobłaźliwie — pomyślał, że Helena nie chce uznać przewagi Milicy.

W rzeczywistości Helena zobaczyła w samochodzie młodego Sawicza i zrozumiała, że opuścił ją zaledwie na tydzień, nie więcej, że ich głupia sprzeczka się skończyła. Okazało się, że przez cały ranek czekała na to spotkanie, że dziesiątki lat przeżyte na całkiem innej drodze zupełnie się nie liczyły. Lata przeszły i wszystko powróciło na swoje miejsce.

Nogi ugięły się pod nią, w oczach zaszczypało. Zatrzasnęła za sobą drzwi i całym ciałem przylgnęła do chłodnych kafli pieca, odpędzając od siebie miraż, przekonując się o czymś, perswadując coś sobie niezrozumiale, jakby myślała w nieznanym języku.

W sąsiednim pokoju przekrzykiwały się z ożywieniem młode, znajome, nie słyszane od dawna głosy. Helena rozejrzała się w panice dokoła, szukając kryjówki, i wtedy spostrzegła, że łóżko, na którym spał Udałow, nie jest posłane. Pochyliła się więc nad nim i zaczęła składać pościel. Ręce dopominały się o jakieś zajęcie.

— A gdzie jest Helena Siergiejewna? — pytał za drzwiami Grubin.

— Poszła zrobić herbatę.

— W kuchni jej nie ma. — Weszła tutaj.

— No to ją tam zaraz dopadniemy.

Głosu Sawicza wśród innych nie było. Helena jednak czuła jego oddech za drzwiami i kiedy Grubin nie pukając, na prawach starego przyjaciela, wtargnął do pokoju, podniosła poduszkę do twarzy, lękając się za plecami Grubina napotkać wzrok Sawicza, który by natychmiast wszystko, do ostatniego słowa, wyczytał z jej oczu.

— Pokaż się, pokaż — powtarzał Grubin.

Wyrwał jej z rąk poduszkę, zaczął ze wszystkich stron oglądać Helenę Siergiejewnę i cieszyć się, że jest taka młoda i ładna. Potem wciągnął ją za rękę do dużego pokoju i zademonstrował z dumą obecnym, jak swoją narzeczoną. A Ałmaz pośmiał się ze wszystkimi i powiedział, jak ktoś od dawna zadomowiony:

— Heleno, gdzie herbata? Goście są głodni.

Helena Siergiejewna wzięła się w garść, podniosła głowę i wokół niej, jak na szkolnym balu, zawirowały roześmiane twarze. Nawet Wania roześmiał się na widok jej zmieszania. Stopniowo wracała jej pewność siebie, wracał spokój. Spozrzęła, że tylko Sawicz na nią nie patrzy, zagapiony w kwiatuszki tworzące ornament filizanki — zupełnie tak samo, jak trzydzieści lat temu... Helena nie wyczula w nim poczucia winy i rozterki, uznała więc, że jego również opanowała radość ze spotkania, zmusiła się do uśmiechu i powiedziała:

— Herbata zaraz będzie. Nastawimy duży samowar.

— Pomogę — poderwał się Ałmaz. — Będę w twym domu pełnił obowiązki gospodarza.

— Dobrze — odparła Helena, chociaż miała nadzieję, że to N i kit a proponuje jej pomoc. Albo wejdzie, niby przypadkiem, do kuchni, wsunie się boczkim, stanie pod ścianą i podejmie nie dokończoną rozmowę.

Wania pomagał Helenie i Ałmazowi rozpalić samowar, przy czym ciągle pytał, dlaczego wszyscy są dzisiaj tacy młodzi i weseli? Ałmaz zdumiał się, że dzieciak potrafi wszystkich rozpoznać. Rozpoznał nawet staruszkę Milicę w pięknej perskiej księżniczce. Ałmaz bardzo się Wani podobał ze względu na swoje bajeczne wymiary i poważny stosunek do niego, to znaczy do Wani.

Misza Standal dyskretnie zapukał i wszedł do mieszkania. Był starannie ubrany, dystyngowany i nieco przypominał młodego Czechowa, przynoszącego do redakcji pierwsze opowiadanie.

— Czy zastałem Helenę Siergiejewnę? — zapytał Helenę Siergiejewnę.

Wania ogromnie ucieszył się z ignorancji gościa, szturchnął babcię w bok i powiedział:

— Ale głupi, babci nie poznał!

— Sensacja — powiedział cicho Standal. — Sensacja stulecia.

Chwycił się za nasadę nosa, jakby chciał zdjąć czechowowskie pince-nez.

— Ho, hol — ryknął Ałmaz. — To ma być sensacja? Prawdziwa sensacja jest w tamtym pokoju!

Standal spojrział na Ałmaza jak Hamlet na ducha swego ojca.

— I pan też? — zapytał.

— Ja też. Idź, idź. Szurowca też tam jest. Na szczęście nie zmieniła się ani na jotę.

— A ja nie wziąłem aparatu! — zmartwił się Standal. — Wie pan, w głębi duszy...

— Szura! — zagrział Ałmaz. — Młody człowiek do ciebie!

Misza uchylił drzwi do pokoju i natychmiast do kuchni wtargnął różnobarwny wodospad dźwięków. Standola powitano niczym spóźnionego, długo wyczekiwanego gościa, który

nareszcie przybył na spotkanie absolwentów.

— Młody człowiek! Młody człowiek! — śmiała się dźwięcznie Milica. — Masko, znam cię, a teraz ty zgadnij, kim ja jestem!

— Trzeba nas nakarmić — powiedział Ałmaz zamykając drzwi za Miszą. — Tyle narodu. Masz kartofle?

— Zaraz przyniosę — odparła Helena.

— Sam to zrobię — powiedział Ałmaz. — Siła mnie rozpiera.

Wydostał worek z komórki i wycisnął go trzy razy jak sztangę, co wprawilo Wanę w nieopisany zachwyt.

Ałmaz zajął do dużego pokoju i przerywając na moment zabawę powiedział:

— Michał, masz tu dziesiątkę. Weź ją i skocz z łaski swojej do sklepu. Kup kiełbasy i co tam jeszcze trzeba na śniadanie. Pozostali nie powinni raczej włóczyć się bez potrzeby po ulicach. Żeby, znaczy, nie było tej sensacji.

— Pójdę z tobą — powiedziała Szuroczka. — Bo jeszcze kupisz nie to, co trzeba. Mężczyźni zawsze kupują nie to, co trzeba.

Grubin podał Miszy jeszcze jedną dziesiątkę.

— Nie oszczędzaj — powiedział. — Weź jakąś flaszkę, bądź co bądź mamy dziś święto.

— W żadnym razie — powiedziała Szuroczka. — Już ja dopilnuję, żeby tego nie było.

W jej głosie zabrzmiał suchy, ostrzegawczy ton, pewnie podsłuchany u matki.

— Kupcie szampana — powiedziała Helena Siergiejewna.

— Mam pieniądze — zwrócił się Misza do Grubina. — Nie trzeba.

Szuroczka i Misza wzięli wszystkie siatki i torby na zakupy, jakie tylko znalazły się w domu, i wyszli. Ałmaz obierał ziemniaki szybko i fachowo.

— Gdzie pan się tego nauczył? — zapytała Helena Siergiejewna. — W wojsku?

— Miałem trudne życie — odparł Ałmaz. — Przy okazji opowiem. Już od trzystu lat obieram kartofle po więzieniach.

Helena Siergiejewnie wydało się, że za drzwiami rozległ się śmiech Sawicza.

Drzwi na dwór pozostały uchylone, bo „młodzi ludzie”, wybiegając po zakupy, zapomnieli je zatrzasnąć. Przez szparę wpadały promienie słoneczne, wąskim prostokątem kładły się na podłogę, i Helena dokładnie widziała każdą nierówność, każdą szczyrbę w deskach. Do wnętrza wpadła osa i wirowała, połyskując skrzydełkami, tuż przy samych drzwiach, jakby nie mogła się zdecydować, czy warto ryzykować wyprawę w głąb ciemnej kuchni. Nagle osa wyprysnęła do góry i zniknęła, spłoszona ruchem za drzwiami. Światlisty prostokąt na podłodze rozszerzył się i słońce dotarło do nóg Heleny.

W drzwiach ukazała się malutka sylwetka. Pod słońce nie można było dojrzeć, kto przyszedł. Helena Siergiejewna pomyślała już, że to któreś z sąsiedzkich dzieci, chciała więc podejść i zagrozić mu drogę, bo jeszcze się przecież nie umówili, jak będą się zachowywać.

Malutka figurka zdecydowanie weszła do środka, a słońce przez moment złoćło chłopięcy wichek na czubku głowy. Dziecko zrobiło jeszcze jeden krok i nagle zamachnęło się nogą w wielkim bucorze i kopnęło wiadro z obranymi kartoflami. Wiadro przewróciło się, woda zalała kuchnię, a kartofle rozprysnęły się po kątach.

— Jak ci przyłożę! — powiedział groźnie Wania.

Ale niegrzeczny chłopczyk go nie słuchał, tylko biegał po kuchni i miażdżył bucorami ziemniaki, które pękały z głośnym chrzęstem i zamieniały się w białą maź. Chłopczyk płakał przy tym z wściekłości, a kiedy trafiał na słońce, jego prześwitujące uszy zamieniały się w malinowe łopaty.

— Kto za to będzie odpowiadał? — wykrzykiwał chłopczyk, starając się mówić basem. —

Kto poniesie konsekwencje?

Ałmaz wolno wyprostował swe dwumetrowe ciało, bez pośpiechu, precyzyjnie i zwinnie wyciągnął rękę, chwycił dzieciaka za kołnierz, uniósł do góry i zbliżył do światła. Dzieciak wymachiwał nogami, a zawinięte rękawy koszuli opadły, zasłaniając mu dłonie, jakby ubrany był w bojarski kaftan szyty na wyrost.

— Popatrz, Heleno — powiedział Ałmaz, wolną ręką odwracając twarzyczkę chłopczyka do słońca. — Przyjrzyj mu się uważnie.

Chłopczyk zachłystywał się płaczem, z szeroko rozwartych ust wydobywały się urwane, niewyraźne, żalosne dźwięki, a różowy języczek dygotał jak w febrze.

— Poznajesz? — zapytał Ałmaz, a kiedy Helena pokręciła przecząco głową, powiedział: — Paskudna historia. Albo źle obliczyłem dawkę, albo on ma nietypowy organizm.

— To jest Udałow? — zapytała Helena, zaczynając w jasnowłosej główce rozpoznawać mięsistą męską twarz.

— A kto za to odpowie?! — darł się chłopczyk wrywając się z rąk Ałmaza.

— Jesteś Korneliuszem? — zapytała Helena i poczuła, że zaraz się roześmieje. Żeby do tego nie dopuścić, nie naigrawać się z ludzkiego nieszczęścia, udała napad kaszlu.

— Nie poznaje mnie pani? — płakał chłopczyk. — Mnie teraz rodzona mama nie pozna! Postaw mnie na podłodze, bo dostaniesz! Kto za to będzie odpowiadał? Zaraz pójdę na milicję.

Gniew chłopczyka na nikim nie zrobił wrażenia, gdyż każdy widział przede wszystkim cieniutką dziecięcą szyjkę i wielkie uszy przeświecające w promieniach słońca.

— Grubin! — krzyknął Ałmaz. — Gdzie masz twoje protokoły? Trzeba ten wypadek odnotować.

— To okrutne z pana strony, Ałmazie Fiedotowiczu — powiedziała Helena.

Grubin już wszedł do kuchni i stanął tuż przy progu. Za nim, nie spędziwszy jeszcze uśmiechów z twarzy, wbiegli pozostali. Udałow na widok ich młodości i urody rozpaczliwie załkał.

— A ty znów miałeś pecha, Korneliuszu — powiedział ze współczuciem Grubin.

Kiedy Korneliusz mówił, że pójdzie na milicję, nie była to czcza pogroźka. Już był w komisariacie.

Obudził go promień słońca, który przebił się przez zamknięte powieki i przyniósł ze sobą dojmujący niepokój.

Udałow otworzył oczy i przez chwilę leżał nieruchomo, gapił się na wymagający od dawna malowania sufit i usiłował zorientować się, gdzie jest i co się z nim dzieje. Potem, jak na taśmie filmowej puszczanej od tyłu, ujrzał swe przyjście do Heleny Siergiejewny, następnie kłótnię z żoną, a wreszcie opowieść starca i paskudną historię z zapadliskiem.

Obrócił się na bok. Polówka skrzypnęła, zachwiała się. W kącie obok pieca posapywał w swym łóżeczku malutki Wania... Udałow uniósł zagipsowaną rękę, a wtedy ku jego zdumieniu gips lekko zsunął się z niej i upadł na podłogę.

Ręka była malutka, cienutka, dziecinna i słabiutka.

Z początku uznał to za sen, zamknął więc oczy i ponownie otwierał je wolniutko, powtarzając w duchu, że nie trzeba wierzyć snom. Ręka była na miejscu, tak samo maleńka.

Udałow zeskoczył na podłogę i ledwo zdołał utrzymać się na nogach. Postronnemu obserwatorowi mogło się wydawać, że wykonuje jakiś taniec wojenny — unosi ręce i nogi, wyrzuca je gorączkowo na boki, obmacuje kończyny i całe ciało — przy czym bezgłośnie i rozpaczliwie łka. W rzeczywistości Udałowowi nie tańce były w głowie, lecz po prostu takim dziwnym i nerwowym sposobem uświadamiał sobie nieszczęście, jakie tej nocy przytrafiło mu się z winy staruszka i całej pozostałej bandy.

Wania powiedział coś przez sen, a przerażony Korneliusz znieruchomiał na jednej nodze. Nagle ogarnął go strach, pragnienie wyrwania się z zamkniętego pomieszczenia, gdzie mogą go zobaczyć, zdziwić się, stwierdzić przemianę solidnego mężczyzny, ojca dzieciom w szczuplutkiego ośmioletniego blondaska. Zastanowić się nad sytuacją można będzie później...

Dziecięce ciało marzło w spadającej z ramion koszuli i w spodniach od pizamy, które trzeba było przytrzymać ręką, aby zupełnie nie spadły.

Udałow wygrzebał spod łóżka swoje buty i utopił w nich nogi. Pantofle były strasznie ciężkie i trzeba było końce sznurowadeł zawiązać pod kolanami. Najwięcej kłopotu sprawiały niebieskie spodnie. Jak by ich nie podwijać, wciąż były za długie, za obszerne i okropnie śmieszne. Korneliusza opanowało uczucie kompletnego osamotnienia na tym świecie.

Wania znów poruszył się w swym łóżeczku, a zza ściany dobiegło senne westchnienie Kastielskiej.

Udałow przystawił krzesło do okna, przepęłnął na brzuchu przez parapet i zwałił się w łopiany pod ścianą...

Długo i bez celu włóczył się po pustych, chłodnych ulicach śpiącego jeszcze Guslaru. Kiedy wyprzedzały go rzadkie ciężarówki lub autobusy wyjeżdżające na trasę, przyciskał się do płotów, dawał nura w bramy i otwarte furtki. Szczególnie pilnie strzegł się przechodniów. W głowie kłębiły mu się mgliste, zawzięte i niekonkretne myśli. Należało kogoś pociągnąć, żeby ktoś poniósł konsekwencje i zaprzestał...

Udałow ukrył się wreszcie na skwerze obok cerkwi Paraskewy Płatnicy, w której mieściło się archiwum powiatowe. Tam zebrał myśli. Siedział w krzakach, niewidoczny z ulicy, i usiłował opracować plan działania. Wstające razem ze słońcem pracowite owady ufnie siadały mu na głowie i ramionach. Najbardziej ufnie i nieostrożne Udałow rozgniałał, i myślał. Nisko przeleciał

rozkładowy AN2 do Wołody. W kierunku bazaru przejechał źle nasmarowany wóz z prosiętami pokwikującymi w workach. Udałow myślał dalej. Można było wrócić do Heleny Siergiejewny i zagrozić zdemaskowaniem. A co będzie, jeśli oni odżegnają się od niego, jeśli to wszystko było z góry ukartowane? A skoro tak, to po co? A więc i zapadlisko było ukartowane? Ukartowane jako część gigantycznego spisku z udziałem Marsjan? Udałow poszedł na pierwszy ogień, a potem zaczął się przekształcać w dzieci działaczy powiatowych, wojewódzkich i wreszcie funkcjonariuszy organów centralnych... Pójdzie tam, a oni wyprą się lub nawet zlikwidują niewygodnego świadka! Kto będzie szukał chłopczyka bez rodziców i meldunku? Przecież żona nie zechce rozpoznać w nim ślubnego małżonka. Może podnieść alarm? Pobiec na milicję? W takim stroju?... Pytań było wiele, ale odpowiedzi na razie brakowało.

Udałow zbił na ziemię przelatującą w pobliżu pszczołę, która przed śmiercią zdążyła jeszcze wbić mu żądło w dłoń. Dłoń spuchła. Ból, wędrując włóknami nerwowymi, dotarł do mózgu i po drodze przekształcił się w ślepy gniew, który uniemożliwiał trzeźwe myślenie i doprowadził do powzięcia nierozsądnej decyzji: natychmiast zawiadomić kogo należy, uderzyć w dzwon alarmowy. Wtedy oni będą się mieli z pyszna. Udałowa pozbawiono rzeczy mu najbliższej i najcenniejszej — ciała, które teraz będzie musiał ponownie hodować przez wiele lat, pokonując żmudnie poniżające szczeble dzieciństwa i młodości.

Udałow podniósł się gwałtownie z ziemi, przy czym opadły mu spodnie od piżamy. Pochylił się, aby je podnieść, i wtedy spostrzegł, że alejką o parę kroków od niego idzie chłopczyk w tym samym, co on obecnie wieku, z odstającymi uszami i perkatym nosem. Chłopczyk był ubrany w granatowe spodnie do kolan, a w rękę miał siatkę na motyle. Chłopczyk był zdumiewająco znajomy. Chłopczyk był Maksymkiem, rodzonym synem Korneliusza Udałowa.

— Maksym! — powiedział Udałow rozkazującym tonem. — Chodź no tutaj!

Jednak głos zawiódł Udałowa. Nie był głośny — był cienki.

Maksymek zdziwił się i przystanął.

— Chodź tutaj — powtórzył Udałow senior.

Chłopiec nie widział ojca zasłoniętego krzakami, ale w wołającym go głosie usłyszał ton człowieka dorosłego i nie ośmielił się sprzeciwić. Jak zahipnotyzowany zrobił krok w stronę krzewów.

Udałow wyciągnął rękę, chwycił za sterczący do przodu kijek od siatki i przebierając rękami, choć spuchnięta dłoń bolała i piekła, zbliżył się do dziecka, jakby wspinał się po linie.

— Co ty tu robisz o tej porze? — zapytał pozbawiwszy syna możliwości ucieczki.

— Wybrałem się na motyle — odparł Maksymek.

Gdyby tę scenę obserwował ktoś postronny, kto w dodatku potrafiłby unieść się w powietrze, mógłby stwierdzić zdumiewające podobieństwo chłopców, trzymających za dwa końce siatki. Ale nikogo w pobliżu nie było.

— A gdzie matka?

W duszy Udałowa przebudziły się uczucia rodzinne, zrodzone przez wspomnienie aromatu porannej kawy i skwierczenia jajecznic.

— Matka płacze — powiedział spokojnie Maksymek. — Ojciec od nas uciekł.

— Tak — mruknął Udałow i dopiero wtedy zdał sobie sprawę z tego, że syn nie traktuje go jak ojca, że rozmawia z nim jak z rówieśnikiem, i że w ogóle nie ma już dawnego Udałowa. Jest po prostu niczyje dziecko. Zdał więc sobie z tego sprawę i ponownie zapłonął sprawiedliwym gniewem. Aby dać mu ujście, musiał złożyć ofiarę z syna.

— Zdejmuj spodnie — powiedział do chłopca.

Nie podtrzymywane już spodnie od piżamy znów opadły na ziemię i Korneliusz stał teraz przed synem w długiej koszulce gimnastycznej, podobnej do sarafanu lub nocnej koszuli.

— Idź sobie — powiedział chłopiec niepewnym tonem do swego sobowtóra. Nikt go dotąd ani razu nie obrabował i dlatego nie wiedział, co należy w podobnej sytuacji mówić.

Udałow senior westchnął i rąbnął syna w nos twardą piąstką. Nos natychmiast poczerwieniał, spuchł i uрониł kropelkę krwi, która spadła na białą koszulkę.

— A co będzie ze mną? — zapytał dzieciak, który pojął już, że spodenki trzeba będzie oddać.

— Weźmiesz moje — odparł Udałow. — Moje są większe. Majtki też ściągnij.

— Bez majtek nie można chodzić — upierał się chłopczyk.

— Jeszcze ci mało? Zapomniałeś, jak ci przedwczoraj dałem w skórę?

Maksymek zdziwił się. Przedwczoraj od nikogo, poza ojcem, w skórę nie dostał.

Biała koszulka sięgała Maksymkowi tylko do pępka, wobec czego zasłonił się podniesionymi z ziemi, zwiniętymi spodniami od piżamy.

— Z tych spodni zrobimy ci trzy pary — powiedział łagodnie Udałow zakładając granatowe spodenki. — A teraz leć i powiedz Kseni, żeby się nie martwiła. Wróć. Jasne?

— Jasne — odparł Maksymek, który niczego nie zrozumiał. Osłaniając się od przodu zwiniętą piżamą pobiegł ulicą, a jego bielutkie pośladeckie żałośnie podrygiwały przy każdym kroku wyzwalając w ojcu gorzkie uczucie osierocenia.

Dyżurny oficer komisariatu popatrzył na kobietę, która nieśmiało oparła się biustem o drewnianą, rozklekotaną barierkę. Łzy zostawiły na jej policzkach iskrzące się kryształki soli.

— Syna mi obrabowali — powiedziała interesantka. — Dopiero co. I mąż uciekł. Udał. Z przedsiębiorstwa budowlanego. W jasny dzień, na skwerze.

— Zbadamy sprawę — powiedział oficer. — Tylko proszę po kolei.

— On ma złamaną rękę, w gipsie — powiedziała kobieta patrząc na dyżurnego wzrokiem domagającym się natychmiastowego działania. Słonymi drózkami popłynęły nowe strumienie łez.

— Kto ma złamaną rękę? — zapytał oficer.

— Korneliusz. Mam tu zdjęcie, przyniosłam ze sobą. Kobieta podała oficerowi amatorską, szarą fotografię.

Na zdjęciu można się było domyślić, że stojąca w centrum postać to ona. Oprócz niej był tęgi, zamazany mężczyzna i dwoje dzieci.

— W jasny dzień — kontynuowała kobieta. — Akurat wybierałam się do was, bo sąsiedzi poradzili, a tu nagle przylatuje Maksymek, bez spodni, granatowe były. I to przynosi.

Kobieta szerokim gestem siewcy rzuciła na barierkę spodnie od męskiej piżamy.

Oficer popatrzył na nią wzrokiem zaszczutego zwierzęcia.

— Może to pani wszystko napisze? — zaproponował. — Po kolei. Gdzie, kto, co komu zabrał, kto dokąd uciekł. Po kolei, tylko proszę się nie denerwować.

Mówiąc to podszedł do karafki z przegotowaną wodą, nalał do musztardówki i podał interesantce.

Kobieta piła i natychmiast wylewała wodę w postaci obfitych łez, nie chciała niczego pisać i wciąż usiłowała opowiedzieć dyżurnemu co bardziej malownicze szczegóły, pomijając sedno sprawy.

Po jakichś dziesięciu minutach oficer wreszcie zorientował się, że dwa tragiczne wydarzenia, które dotknęły rodzinę Udałowów, nie mają ze sobą żadnego związku. Mąż zaginął wieczorem, a właściwie w nocy, przyszedł ze szpitala, powołał się na pilną delegację i zniknął w piżamie. Syna natomiast obrabowano rankiem, dopiero co, na skwerze przy cerkwi Paraskewy Piatnicy, a rabunku dokonał małoletni przestępca.

Uzyskawszy te informacje, dyżurny zadzwonił do szpitala.

— Macie tam pacjenta nazwiskiem Udałow? — zapytał.

Poczekał na odpowiedź, podziękował. Pomyślał chwilę, a potem zadał jeszcze jedno pytanie:

— A nie mieliście zamiaru go wypisać? Ach, tak. W nocy? O dwudziestej trzeciej? Rozumiem.

Następnie zwrócił się do Kseni:

— Prawdę powiedzieliście, obywatelko. Wasz małżonek uciekł ze szpitala i udał się w niewiadomym kierunku. Personel medyczny przypuszczał, że do domu. A wy sądzą, że nie?

— Tak właśnie myślę — odparła Ksenia. — W dodatku syna obrabowali. Piżamę mu zostawili.

Oficer rozłożył spodnie od piżamy na biurku.

— Pochodzą z dorosłego człowieka — powiedział. — A wy mówicie, że dzieciak rabował.

— Sama tego nie rozumiem — zgodziła się Ksenia. — A synek jest taki prawdopodobny. Cichy i posłuszny. Spodenki były zupełnie nowe. Całkiem jak na tym tu.

Obywatelka Udałowa wskazała palcem chłopca w granatowych spodenkach, który właśnie wszedł do środka i w popłochu cofnął się na jej widok.

Ksenia nie poznała swego męża. Nie poznała też spodenek, należących dawniej do Maksyma, gdyż na Korneliuszu leżały one jak ulał.

— No to jak, napiszecie swoją skargę? — zapytał oficer.

— Napiszę. Wszystko napiszę — powiedziała Ksenia. — Tylko polecę do domu i tam napiszę. Dzieciaki muszę najpierw nakarmić.

Słyszając taki dowód troski żony o pomyślność rodziny Korneliusz omal nie załzał się łzami skruchy, ale opanował łkanie, nie chcąc przedwcześnie zwracać na siebie uwagi.

— Czego chcesz, chłopcze? — zapytał oficer, kiedy Udałowa wyszła pisać meldunek i karmić dzieci.

Udałow, drapiąc się w spuchniętą dłoń, podszedł do barierki. Jego jasnowłosa główka ledwie wystawała znad przegrody i musiał wspiąć się na palce, żeby porozmawiać z oficerem dyżurnym.

— Nie czego chcesz, tylko czego pan sobie życzy — poprawił go. Kiedy był zajęty czymś innym, jakoś zapominał o swoich prawdziwych wymiarach.

— No dobrze, czego pan sobie życzy — zgodził się oficer. — Gadaj, smarkaczu.

— Sprawa najwyższej wagi państwowej — powiedział Udałow i poczuł skrepowanie.

— Zuch — powiedział dyżurny. — To dobrze, kiedy dzieci myślą o wielkich sprawach. Popatrzcie, sierżancie, my w jego wieku interesowaliśmy się wyłącznie futbolem.

Sierżant siedzący w przeciwległym kącie zgodził się ze swym zwierzchnikiem.

— Ja chcę bliżej — powiedział Udałow. — Za barierkę.

— Właż, siadaj i zaczynaj — zezwolił oficer. — Zaczynaj, bo mi się dyżur kończy. Pora do domu. Żona czeka, rozumiesz?

Udałow znakomicie to rozumiał i ze współczuciem skinął głową.

Oficer popatrzył na chłopczyka z takim samym współczuciem. Nie miał dzieci, ale je bardzo lubił, i chociaż sprawa chłopczyka dotyczyła na pewno jakiejś drobnej niesprawiedliwości, nie miał zamiaru go lekceważyć i chciał wysłuchać jak dorosłego.

— Istnieje spisek — powiedział Udałow. — Nie wiem jeszcze, kto go finansuje, ale całkiem możliwe, że to wcale nie Marsjanie.

— Ale zalewa — powiedział sierżant wstając z krzesła i podchodząc bliżej.

— Szpiega widziałeś? — zapytał łagodnie oficer.

— Proszę mnie wysłuchać! — wykrzyknął chłopczyk i w jego oczach ukazały się łzy. — Powiadam, że jest spisek. Sam jestem tego dowodem.

Dyżurny mrugnął ukradkiem do sierżanta, ale chłopczyk zauważył to i powiedział surowym tonem:

— Tylko proszę bez mrugania, towarzyszu lejtnancie. Oni teraz omawiają dalsze plany. Mnie załatwili, a co będzie dalej, aż strach pomyśleć. Całkiem możliwe, że teraz przyjdzie kolej na czołowych funkcjonariuszy administracji powiatu i województwa.

— Ale zalewa — powiedział sierżant zupełnie cicho. Pomyślał, iż życie toczy się w coraz szybszym tempie, i jeśli uważnie czytać prasę, to można stwierdzić, że w krajach zachodnich choroby psychiczne nabrały alarmującego zasięgu. Teraz zabierają się do nas. A dzieciaka szkoda.

— No, a jak się nazywasz, chłopcze? — zapytał oficer.

— Udałow — odparł chłopiec. — Korneliusz Udałow. Mam czterdzieści lat.

— Taak — przeciągnął lejtnant.

— Jestem żonaty — powiedział Udałow i jego malutka twarzyczka zaróżowiła się. — Mam dwoje dzieci. Syn Maksynek chodzi już do szkoły.

W tym momencie Udałowa nawiedziły wspomnienia o przestępstwie, jakiego dopuścił się wobec własnego syna, i zaczerwienił się jeszcze bardziej.

— Taak — powtórzył lejtnant. — A więc też Udałow. Nieoczekiwanie jego wzrok stał się ostry i przenikliwy.

Pomilczał chwilę, a potem zapytał ostrym tonem:

— A spodnie w parku z ciebie zdjęli?

— Jakie spodnie?

— A twoja mamusia przychodziła na skargę?

— Przecież ona mnie nie poznała! — wykrzyknął Udałow błagalnym tonem. — Dlatego że nie jestem jej synem, tylko mężem. Ale zamienili mnie w dziecko, w chłopczyka. Właśnie o tym mówię. A wy nie wierzycie. Gdybym był synem, to by mnie poznała. A ja jestem mężem, więc mnie nie poznała. Jasne?

— Ale zalewa — powiedział sierżant i ruszył wolno ku drzwiom, aby z drugiego pokoju zadzwonić po pogotowie.

— Lepiej idź do jego matki. Ona zostawiła tu adres — powiedział lejtnant domyśliwszy się zamiarów sierżanta. — Zresztą poczekaj, dzieciaka trzeba najpierw umieścić w izbie dziecka.

— Nie! — wrzasnął Udałow. — Ja tego nie zniosę! Ja mam dowód osobisty, co prawda, nie przy sobie. Ja wam opowiem takie intymne szczegóły ze swego życia! Jestem dyrektorem przedsiębiorstwa budowlanego!

Oficer opuścił wzrok, aby nie patrzeć w oczy chorego dziecka. Cóż mógł powiedzieć poza banalnymi słowami współczucia? Zresztą nawet te słowa mogły jeszcze bardziej zdenerwować dzieciaka, który ubzdurał sobie, że jest Udałowem.

Sierżant zrobił krok w kierunku chłopczyka, ale Udałow głośno płacząc i wykrzykując niejasne groźby, że potrafi dotrzeć do Wołody, a nawet do Moskwy, zeskoczył z krzesła, załomotał ciężkimi buciorami, prześlizgnął się między rękoma sierżanta, uskoczył przed lejtnantem i wymknął się za drzwi, a następnie oderwał się od pościgu między stertami gruzu i rozmaitego budowlanego śmiecia, zalegającymi podwórko pracowni konserwacji zabytków...

Umiejętność ścisłego myślenia jest zjawiskiem rzadkim i niekoniecznie cechującym uczonych. Ta właściwość zakłada obiektywizm wewnętrzny i pragnienie dotarcia do prawdy. Udałow nie dysponował taką umiejętnością, gdyż stał się chłopczykiem, kiedy człowiek nastroił się na przekształcenie w pełnego sił młodzieńca, jest zbyt krzywdzące i wstydlive. Dlatego wyobraźnia Udałowa, bogata, lecz nieco rozwichrzona, zamieniła doświadczenie na spisek, a ów spisek potężniał w miarę tego, jak zasapany Korneliusz biegł coraz dalej w miasto, płosząc po drodze kury i gęsi. Niebawem już zaczęło mu się wydawać, że spiskowcy w czarnych maskach podkradają się do węzłowych punktów sieci wodociągowej i trucizna przenika do wody, piwa, wódki, a nawet do kropli na katar.

Budzi się kraj rano i stwierdza, że nie ma w nim już ludzi dorosłych. Jedyne dzieci, płacząc się w spodniach i sznurowadłach, wychodzą z płaczem na ulicę. Komunikacja została sparaliżowana, gdyż dziecięce nóżki nie mogą dosięgnąć pedałów hamulca. Zatrzymały się obrabiarki, bowiem dziecięce rączki nie potrafią udźwignąć ciężkich detali. Jakiś chłopczyk rozpaczliwie łka na rogu — dziś miał zamiar przejść na emeryturę, a co teraz? Płacze dziewczynka — miała dzisiaj wyjść za mąż, a co teraz? Płacze inna dziewczynka — chciała jutro lecieć w kosmos. Płacze inny chłopczyk — jeszcze wczoraj podrzucił sztangę wagi dwustu kilogramów, a dzisiaj nie może podnieść nawet dwudziestu. Chłopiec–milicjant usiłuje dwiema rączkami unieść paleczkę, którą jeszcze wczoraj regulował ruch. Dziewczynka–baletnica nie może wspiąć się na palce, chłopczyk–bas, śpiewak operowy, tylko piszczy... A wrogowie złośliwie chichoczą, szepczą z podstępą satysfakcją: „Teraz nie dacie rady wgramolić się do

czołgów i obronić przed nami waszej ojczyzny”...

Wtedy właśnie, w miarę tego, jak w jego wyobraźni płówał i rozsypywał się straszliwy obraz totalnego odmłodzenia, Udałowa zaczęła opanowywać nowa myśl: a może już się zaczęło? Może on nie jest jedyną ofiarą podstępного starca? Może oni wszyscy — i Kastielska, i Szuroczka Rodionowa, i przyjaciel Grubin, i nawet podejrzana staruszka Bakszt — stali się dziećmi? Zdziecinnieli i z płaczem pukają do drzwi Kastielskiej...

Nowa myśl uderzyła Udałowa swą prostotą i oczywistością, podpowiedziała metodę dalszego postępowania.

Do domu Kastielskiej zbliżał się z całą ostrożnością i bawiącym się na chodniku dzieciom przypatrywał się z obawą i nadzieją — każdy dzieciak mógł okazać się Heleną Siergiejewną lub jego przyjacielem Saszą Grubinem. Zresztą w ogóle dzieci w mieście było bardzo dużo, więcej niż wczoraj. Ten fakt Udałow skłonny był również złożyć na karb spisku starca z Marsjanami, a nie na karb ładnej pogody, jak było w istocie.

Ale wystarczyło wejść do sieni, aby wszystkie iluzje rozwiały się jak dym. Ucierpiał tylko Udałow.

Przed Udałowem stał kubek kakao i bułka grubo posmarowana wołogodzkiem masłem. Na talerzu pośrodku stołu piętrzył się cukier w kostkach. W głębokiej misce parowały kartofle.

O Korneliusza troszczono się, współczuły mu piękne kobiety, które częstowały go szampanem w naparstku, mężczyźni zaś leciutko poklepywali po plecach, żartowali i też współczuli. Tutaj nikt przynajmniej nie powątpiewał w tożsamość Udałowa. Udałow wziął się w garść i poczuł się niczym samotny zwiadowca w jaskini podstępного wroga. Każdy nieostrożny krok groził wyspą. Udałow uśmiechał się powściągliwie.

— Czyżby nie było żadnego remedium? — szeptała Milica do Grubina, który zerkał pytająco na Ałmaza, Ałmaz zaś rozkładał nad stołem swe potężne ręce. Może gdzieś, na dalekiej gwiazdzie, taka odtrutka już dawno została wypróbowana i można ją kupić w każdej aptece. A na Ziemi na razie nie jest potrzebna. Ałmaz czuł się trochę winny, ale zbytnio nie żałował Udałowa: dostał człowiek dodatkowe dziesięć lat życia. Potem zrozumie to, uspokoi się. Innemu powinno to szczęście przypaść w udziale, serdecznie by za nie podziękował.

— Nie przedawkowałeś? — zapytał Grubin.

— Nie — odparł Ałmaz myśląc tymczasem o czymś zupełnie innym, o tym, jak siedział w celi na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Razem z nim siedział były student, który chodził w lud. Ałmaz bardzo rwał się wówczas na wolność, bo chciał napić studenta, człowieka skrajnie wyczerpanego, gruźlika, dać mu eliksir, zwrócić życie i zdrowie. Ale student umarł, spalił się, wypluł płuca...

— A po ile trzeba? — dopytywał się Grubin.

— Zjrzyj do zeszytu, tam wszystko jest zapisane — odpowiedział Ałmaz.

Grubin kartkował brulion poruszając bezdźwięcznie wargami, a potem znów zapytał:

— A nie pomyliłeś się przypadkiem?

— Nalałem mu tyle samo, co i pozostałym — odparł Ałmaz.

— A może on sam? — zapytała Szuroczka.

— Wypiłem tylko swoją filiżankę — powiedział szybko Udałow i poczuł, że ma wypieki. Czerwienił się zawsze, gdy kłamał. Dopił porcję Szuroczki, pozlewał resztki z pozostałych naczyń, gdyż obawiał się, że go oszukano, że jego porcja będzie za mała.

— Wisienkę zjadłam, a pestkę wyplułam za okno — powiedziała Szuroczka. Szybko przywykła do myśli, że Udałow jest tylko dzieciakiem, i odpowiednio go traktowała.

— Przecież mówię, że nie piłem — powiedział Udałow i nieoczekiwanie się rozplakał. Uciekł zza stołu, rozmazując lzy piąstkami. Helena Siergiejewna popatrzyła na Szuroczkę z wyrzutem, pokręciła głową. Ałmaz zauważył to i uśmiechnął się pod wąsem, gdyż gest Heleny Siergiejewny należał do przeszłości i zupełnie nie pasował do jej obecnego wyglądu.

Grubin wciąż przeglądał brulion staruszka. Interesował go skład dekoktu, chociaż z notatek dokonanych przed wieloma laty trudno się było czegokolwiek dowiedzieć. Sawicz zerkał z ukosa na Helenę i od czasu do czasu przeciągał dłonią po włosach, jakby gładził łysinę. Sawicz był zakłopotany, gdyż całkiem niedawno, wczorajszej nocy pozwoił sobie na iluzję, że gdy tylko odmłodnieje, natychmiast rozpocznie nowe życie, odejdzie od Wandy, wróci do Heleny i powie jej: „Przed nami nowe życie, Lenoczka. Spróbujmy zapomnieć o wszystkim, wszak jesteśmy sobie nawzajem potrzebni”. Albo coś równie pięknego. Teraz zaś, obudziwszy się rano w szerokim łóżku, ujrzał obok siebie jędrną, młodą i różową Wandę, tę samą, dla której przed wieloma laty porzucił Helenę, i znów znalazł się w ślepym zaułku. Co powiedzieć Helenie? Z

pewnością czeka na jakieś jego słowa. A Wanda? Kto mógł przypuścić, że ona również odmłodnieje? A poza tym jest przecież jego małżonką.

I Sawicz poczuł złość do staruszka Ałmaza, który postawił go w tak niezręcznej, dwuznacznej sytuacji.

Helena też zerknęła na Sawicza, ale myślała o czymś innym. Myślała o tym, że transformacja, jakiej ulegli, jest oszustwem. Oszustwem wprawdzie nie oczywistym, lecz jednak najprawdziwszym w świecie. Przecież w istocie nikt z nich, z wyjątkiem być może staruszki Milicy, która niemal zupełnie zdzieciniała i straciła pamięć, nie stał się naprawdę młody. Pozostała pamięć o przeszłości, pozostały przyzwyczajenia nabierane od lat, pozostały rozczarowania, smutki i radości, od których nie można się uwolnić nawet wtedy, gdy człowiek wygląda na osiem lat, jak Udałow.

Na przykład Sawicz. Siedzi, a w oczach poczucie krzywdy i zagubienia. Ale owo poczucie krzywdy i zagubienia nie cechowało Sawicza—młodzieńca, lecz narastało stopniowo, jako skutek wiecznego niezadowolenia z siebie, ze swej pracy, swego mieszkania, tyranii własnej żony. I nawet gest, którym Sawicz przygląda włosy, zjawił się wraz z łysiną, wraz z goryczą i obawą przed zbyt szybkim i okrutnym upływem czasu.

Jeśli trzydzieści lat temu można było siedzieć we dwójką na ławeczce, całować się, patrzeć w rozgwieżdżone niebo, zdumiewać się pięknnością świata i świeżością swoich uczuć, to teraz coś takiego było nie do pomyślenia. Choćby nie wiem jak starała się oszukać samą siebie, nigdy nie wyzwoli się od obrazu tęgiego, wciąż zasapanego, łysego prowizora.

Odmłodzenie było iluzją, ale Helena nie potrafiła jeszcze dociec, na ile ta iluzja była potrzebna i komu była potrzebna. Na razie przyszłość ją przerażała. Nie tyle ze względu na konieczność przeżycia dodatkowych kilkudziesięciu lat, ile z powodu życiowych komplikacji wynikających z odmłodzenia.

— Dziewięć osób zażyło eliksir — powiedział rzeczowo Grubin zatrząskując brulion. — Kontrolna dwójka, jak było do przewidzenia, pozostała bez zmian. Reszta odmłodziła. Jeden nawet za bardzo.

Udałow zaniósł się głośnym płaczem. Nawet Wania go pożałował, wziął piłkę i poszedł do małego pokoju pocieszać smutnego chłopczyka.

— Mimo wszystko procent jest wysoki — zauważył Sawicz.

— Najważniejsze jednak, że eksperyment się udał. A to otwiera przed ludzkością szerokie perspektywy, na nas zaś nakłada wielkie obowiązki. Przecież butla się rozbiła.

— Wątpię, żeby nam uwierzono — powiedział Sawicz. — To wszystko jest zbyt nieprawdopodobne.

— Z pewnością nam uwierzą — zaoponował Grubin. — Jest nas dziewięćoro. Poza tym mamy dokumenty, mamy własne wspomnienia, mamy ludzi, których możemy powołać na świadków. Przecież my, starzy, gdzieś się podzieliśmy. Nie, będą musieli nam uwierzyć.

— Nie uwierzą — powiedział Udałow, który tymczasem wszedł do pokoju, aby pozbyć się poniżającego towarzystwa dzieciaka z piłką. — Powiem prawdę, już byłem na milicji. Nie uwierzyli. O mało nie oddali mnie mamie, to znaczy mojej żonie. Trzeba było uciekać.

Udałow skruszonym tonem zrelacjonował swe przygody. Po wysłuchaniu pełnego pasji monologu Grubin zrozumiał nagle, że Korneliusz padł ofiarą pomyłki, ofiarą swego wyjątkowo złośliwego pecha.

— Ech, Udałow, Udałow... — powiedział wreszcie Grubin. — Kiedy ty wreszcie dorośniesz?

— Za jakieś dziesięć lat — powiedziała Szuroczka i zachichotała.

— Szuroczka! — skarciła ją Helena.

— Tylko byście się z człowieka nabijali — powiedział Udałow. — A ja zostałem bez pracy i

bez rodziny. Jak mam wykonywać swoje obowiązki służbowe i rodzinne? Utrzymywać żonę i dzieci, składać sprawozdania zwierzchności?

— Tak — powiedział Grubin. — Trudna sprawa, i na milicję teraz nie można pójść, nie można poprosić o pomoc. Udałom im tak zamieszal w głowach, że natychmiast zadzwonią po pogotowie i sanitariuszy z kaftanami bezpieczeństwa. Inne organy też z pewnością zostały uprzedzone. Musimy jechać do Moskwy, wprost do Akademii Nauk. Wszyscy razem.

— Już? — zapytała Milica z rozczarowaniem w głosie. — A ja chciałam trochę pożyć bez kłopotów, chciałam użyć życia.

— W Moskwie będziesz miała większe możliwości — powiedział Ałmaz. — Tylko będziecie musieli obejść się beze mnie. Dobiję do was później, a tymczasem muszę wrócić do swojej pracy.

— Jakże to tak? Bez ciebie nie da rady niczego naukowo objaśnić.

— Moje objaśnienia nie mają nic wspólnego z nauką.

— A co to za sprawy, jeśli nie sekret? — zapytała nagle Helena.

— Pytasz tak, jakbym przez te trzysta lat dochrapał się co najmniej stanowiska ministra. Muszę cię rozczarować. Osiadłem na Syberii i pracuję tam w inspekcji rybackiej. Jest tam pewna fabryka, która zatruwa rzekę, spuszcza do niej rozmaite paskudztwa. Niedługo nie będzie ani jednej ryby. Kiedyś, wolniejszym czasem, opowiem, jaką walkę toczą z nimi już od czterech lat. Dotarłem nawet do KC, ale wiek dawał mi się we znaki, starcza niemoc. Teraz ich zniszczę. Będą tańczyć, jak ja im zagram. Naczelnym inżynierem albo założę filtry, albo pójdzie do piachu zamiast mnie. Jestem człowiekiem bezwzględny, życie mnie tego nauczyło...

Ałmaz położył rękę na ramieniu Heleny, która nie miała nic przeciwko temu. Ręka była ciężka, gorąca, silna. Sawicz odwrócił się, bo ten gest sprawił mu przykrość.

— Powinien się pan uczyć, Ałmazie Fiedotowiczu — powiedziała Milica. — Wówczas może zostanie pan ministrem.

— To nie jest wykluczone — zgodził się Ałmaz. — Ale najpierw naczelnemu inżynierowi zaleję sadła za skórę i was wszystkich zaproszę na znakomitą zupę rybną. Zgoda?

Grubin, który tymczasem uklęknął pod stołem i usiłował oderwać drzazgę przesyconą eliksirem, zapytał stamtąd:

— A za czyje pieniądze mamy jechać do tej Moskwy?

Nikt już nie wątpił, że trzeba jechać do Moskwy. Słowo „trzeba”, gdy już raz padło, opanowało wszystkie umysły. Ludzie żyli, starzeli się, zajmowali się własnymi sprawami i nie wiązali swych losów z losami ludzkości. Nawet wtedy, kiedy wyrażali zgodę na udział w niezwykłym eksperymencie, robili to z najrozmaitszych powodów, które jednak nie miały nic wspólnego z przyszłymi losami ludzkości. Kiedy jednak okazało się, że tajemniczy eliksir rzeczywiście działa, na ludzi spadł nagle ciężar odpowiedzialności, bez względu na to, czy tego chcieli, czy też nie. Zresztą, co można zrobić, jeśli podobny sekret nagle wpada do rąk? Wyjechać do innego miasta, żeby spokojnie przeżyć jeszcze jedno życie? Ałmaz do tej pory tak właśnie robił, chociaż kolejne życia przeżywał niespokojnie, w stałym napięciu i gorączkowej działalności. Nie mógł jednak zwrócić się do ludzi, podzielić się z nimi tajemnicą. Lękał się to uczynić, gdyż zniszczyliby go, zabrali tajemnicę, pobili się o nią. Tak mówił Przybysz. Wtedy jednak Ałmaz był sam, a teraz był jednym z dziewięciorga.

Słowo „trzeba”, skoro nie jest narzucone z zewnątrz, lecz rodzi się samo, składa się z nader różnych słów i myśli, tak różnych, że czasem trudno dotrzeć do jego źródeł. Grubin na przykład od pierwszej chwili traktował wszystko jako czysto naukowy eksperyment i nie zmienił swego zdania. Jednak, kiedy odmłodził i uświadomił sobie całą nędzę swego poprzedniego życia, obudził się w nim prawdziwy uczony, dla którego istota odkrycia tkwi w możliwości jego spożytkowania.

Udałow przyczynił się do powstania stanu konieczności, gdyż był przekonany, że w Moskwie są bardzo dobrzy lekarze. Jeśli zdoła do nich dotrzeć, to wyleczą go z dzieciństwa, przywrócą mu prawdziwą postać. Jego „trzeba” było czysto egoistyczne.

Sawicz nie miał ochoty stać się królikiem doświadczalnym, tym bardziej że przez swoje gapiostwo dopuścił do objęcia kierownictwa eksperymentu przez Grubina. Stało się tak, gdyż z początku myślał wyłącznie o spotkaniu z młodą Heleną. Spotkanie nie wiadomo czemu nie doszło do skutku, ale to jeszcze nic straconego. Zresztą nie zamierzał wracać do swej guslarskiej apteki.

Helena Siergiejewna nie była zbyt zadowolona z wyników doświadczenia, ponieważ uważała, że życie ma już za sobą i zaczynanie go od początku jest niepoważne. Jednak jako człowiek przywykły do odpowiadania za swe czyny, była nawet bardziej niż pozostali skłonna poddać się wszelkim badaniom, nie bacząc na niewygodę i przykrość, aby przynieść korzyść społeczeństwu. Swoje obowiązki zawsze, najpierw w szkole, a potem w muzeum, starała się spełniać jak najrzetelniej.

Szurowczka i Milica, mimo różnicy wieku, myślały mniej więcej jednakowo. Dla nich wyprawa do Moskwy była przede wszystkim pasjonującą przygodą. Wyprawą do Moskwy właśnie. O całej reszcie decydowali ludzie mądrzejsi i bardziej od nich doświadczeni.

Wanda gotowa była jechać wszędzie, pod warunkiem, że pojedzie tam Sawicz. Sądziła bowiem, że nocne odmłodzenie było jeszcze jedynym dowodem na to, iż w swoim czasie nie popełniła błędów zwiąawszy swe losy z Sawiczem. Zabawna historia: matka przez całe życie besztala ją za zły wybór, a w końcu wreszcie Sawicz spełnił pokładane w nim nadzieje i podarował jej drugi miodowy miesiąc. Jeśli naturalnie ta Kastielska nie zacznie znowu intrygować. No, wtedy się zobaczy.

Wreszcie Misza Standal... Misza Standal poprawił okulary, upodobił się do młodego Czechowa odjeżdżającego w bohaterską ekspedycję na wyspę Sachalin i powiedział:

— Pieniądze można zdobyć.

— Jak? — zapytał Grubin zmęczonym głosem. — Liczymy już od pół godziny i wciąż wychodzi, że wszystkie nasze kapitały nie wystarczą na bilety. Nawet jeśli znajdzie się jakiś dureń, który kupi mój mikroskop, album z wierszami Puszkina należący do Milicy Fiodorowny i naszą odzież. Jak na złość wypłata dopiero za trzy dni, żadnych oszczędności, a Wanda Kazimirowna nie chce dać pieniędzy...

— Przecież mówię, że nie mam ani grosza — wykrzyknęła rozpaczliwie Wanda Kazimirowna. — Wszystko rozpozyczyłam.

No i nie staliśmy się młodzi, pomyślała Helena. Wanda była kiedyś zawołaną rozrzutnicą, bez troski i wesoło wydającą wszystko, co do grosza. Była, ale nie jest. Tamta Wanda nie łągałaby, nie wymyślałaby nie istniejących pożyczek, bo nie znała jeszcze smaku pieniędzy.

— Odłożymy wyjazd? — zapytał Sawicz.

— Nie można — odparł Grubin. — Przecież sam pan wie.

Wygramolił się już spod stołu z garścią trocin, zeszkrobanych z podłogi w miejscach, gdzie rozlał się płyn z rozbitej butli. Zamierzał je zbadać, określić skład cieczy.

— Przecież pan wie — powtórzył — że z każdą chwilą ślady eliksiru coraz bardziej wchłaniane są przez naszą krew. Za dzień lub dwa nic nie zostanie. Na podstawie czego moskiewscy uczeni będą pracować? Każda chwila jest droga. Albo wyjedziemy nocnym pociągiem, albo nie ma sensu w ogóle ruszać się z miejsca.

— Właśnie mówię — powiedział Standal — że pieniądze można zdobyć i to zupełnie oficjalną drogą. Zaczniemy od tego, że dotyczące nas bezpośrednio wydarzenia miały miejsce nie gdzie indziej, lecz właśnie w mieście Wielki Guslar. A kto słyszał o naszym mieście? Historycy? Statystycy? Geografowie? A dlaczego? A dlatego, że Moskwa zawsze przywłaszczała sobie sławę innych miast. Ja sam pochodzę z Leningradu, ale dzisiaj uważam się już za guslarczyka. I wiecie, jaka jest sytuacja? W Teatrze Kirowa nie ma już prawie baletnic, bo zabrała je Moskwa. Drużyna piłkarska „Zenit” nie może odnieść żadnego sukcesu, bo Moskwa skaperowała co lepszych graczy. A dlaczego metro zbudowano u nas później niż w Moskwie? Bo wszystkie środki zabrała Moskwa. A Guslar w ogóle nie może marzyć o współzawodnictwie. A niby dlaczego nie mielibyśmy porywalizować? Zwróćmy się do naszej gazety!

— Słusznie, Misza — powiedziała Szuroczka. — A dawniej, w szesnastym wieku, Guslar prawie nie ustępował Moskwie. Iwan Groźny o mało nie przeniósł tu stolicy.

— Pięknie mówisz — odezwał się Ałmaz. — Miasto porządne, ale trochę za małe. Nawet jeśli ktoś odkryje tu środek na nieśmiertelność, to i tak nie da rady konkurować z Moskwą.

— Gazeta da nam pieniądze — kontynuował Standal — opublikuje pilny materiał, i w ten sposób będziemy już mogli pojechać do Moskwy. To chyba oczywiste, i Guslar zapisze się złotymi zgłoskami na kartach historii.

— No cóż — powiedział Ałmaz. — Spróbuj.

Standal błysnął okularami, omiatając wzrokiem audytorium. Zatrzymał wzrok na Milicy i powiedział:

— Milico Fiodorowno, pójdzie pani ze mną? Wzielibyśmy pani album.

— Och, z prawdziwą przyjemnością — odparła Milica. — A redaktor jest młody?

— W średnim wieku — powiedział Standal powściągliwie.

Grubin uruchomił kabriolet, zabrał Sawicza i ruszył do domu, gdzie zamierzali zanalizować przesycone eliksirem drzazgi z podłogi. Razem z nimi pojechała Milica ze Standalem do redakcji i Szuroczka do pracy, do domu towarowego — i tak już spóźniła się o pół godziny. Lękała się gniewu kierowniczkini działu, groźnej Walerii Lwowny, chociaż Wanda obiecała ją usprawiedliwić.

Zdjęcia, które fotoreporter przyniósł z fermy drobiarskiej, były do niczego. Należało je właściwie wrzucić do kosza, żeby redakcyjne myszy mogły zgadywać, gdzie jest rekordowa nioska, a gdzie tablica honorowa. Malużkin tak mu właśnie powiedział. Fotoreporter obraził się. Maszynistka zrobiła osiem skandalicznych literówek w pisemku, które trafi na biurko pierwszego sekretarza Komitetu Powiatowego. Malużkin porozmawiał z nią, maszynistka obraziła się, i teraz jej łkania dobiegające zza cienkiego przepierzenia bardzo go rozpraszały. Stiepan Stiepanow z wydziału rolnictwa, konsultant do spraw kultury, sprawdzał artykuł o malarzach–krajanach. Przepuścił straszliwego knota: artykuł informował, że Roerich był batalistą. Malużkin porozmawiał ze Stiepanowem i Stiepanow się obraził. Tuż przed przerwą obiadową połowa redakcji była śmiertelnie obrażona na naczelnego, co wypełniło serce Malużkina dojmującą goryczą. Sytuacja człowieka, mającego prawo słusznie obrażać podwładnych, wywyższa go i pozbawia prawa do ludzkich słabości. Malużkin sam zapragnął się na kogoś obrazić, aby zrozumieli, jak mu jest trudno.

Dzień był potwornie upalny. Zepsuł się wentylator, niedawno pomalowany parapet iskrzył się w słońcu i oślepił, woda w karafce nagrzała się i nie gasiła pragnienia. Przed domem zahamował jakiś samochód. Kto to mógł przyjechać?...

Malużkin był patriotą gazety. Przez całe swe świadome życie był patriotą gazety. W szkole ciągle łapał dwójki, gdyż wieczorami przepisywał kaligraficznie listy do redakcji gazetki ściennej, w których zachęcał kolegów do dobrej nauki. Na wyższej uczelni często opuszczał randki i wykłady, bo właśnie w tym czasie dokarmał pierożkami z marmoladą niedbałych grafików. Każdy nowy numer gazetki wywieszał osobiście, łamał w zdenerwowaniu pinетки i długo wystawał w kącie, patrząc, czym i jak interesują się koledzy. Nowa płachta gazety wisząca w korytarzu była dla Malużkina najlepszą, najbardziej upragnioną nagrodą, która co prawda miała tę dziwną właściwość, że po jakimś czasie przestawała cieszyć, traciła swą wartość, wymagała zamiany. Malużkina można było porównać z mężczyzną, który stale i wiernie kochał kobiety w ogóle, ale nie potrafił zadowolić się jedną z nich, chociażby najlepszą.

Czasami wieczorem, kiedy uczelnia tajemniczo milkła i tylko na korytarzach gdzieniegdzie paliły się słabe żarówki, Malużkin zakradał się do pokoju rady zakładowej, gdzie za kasą pancerną starzały się zakurzone zwoje zeszlórocznych gazetek, wydobywał je, zdmuchiwał kurz, rozwijał na długim stole, przyciskał rogi ciężkimi przedmiotami, przyklejał odlepione brzegi notatek i przypominał wtedy donżuana, przeglądającego kolekcję ofiarowanych mu kiedyś fotografii z dedykacjami: „ukochanemu” i „jedynemu”.

Już wówczas, w młodości, Malużkin nauczył się obrażać na ludzi za to, że nie podzielają jego pasji, i obrażając się, obrażał podporządkowane mu na mocy decyzji rady uczelnianej dziewczyny, obrażał za niedostateczną miłość do gazety. Kiedy zaś przez fabryczną wielonakładówkę przebił się do prawdziwej prasy, nie utracił miłości do gazety i dlatego jeszcze częściej obrażał innych.

Z ludzi pokroju Malużkina wyrastają albo święci, luminarze nauki i dobroczyńcy ludzkości, albo drobni tyranie, drewniane piły, inkwizytorzy — wielkimi tyranami nie stają się nigdy, bowiem wielki tyran nie może mieć własnych pasji, gdyż tylko w takim wypadku możliwa jest prawdziwa, wielkość.

Przed obliczem redaktora stanął publicysta Standal.

— To ty przyjechałeś samochodem? — zapytał Malużkin. — Jakoś nie widziałem cię od rana.

— Może pan przyjąć, że uczestniczyłem w naradzie — powiedział Standal i usiadł na rozchwierutanim krześle.

— Posyłałem cię? — zapytał Malużkin.

— Nie. Ja sam.

— A szkic do materiału o sobotnich pracach społecznych przygotowałeś?

— Nie.

— To znaczy, że ja mam za ciebie pracować, tak?

Malużkin poczuł wzbierającą w nim długo oczekiwaną falę krzywdy. Standal skrzywdził go tym, że zamiast pisać niezbędny gazecie artykuł włóczył się nie wiadomo gdzie.

— Mam bardzo ważną sprawę — powiedział Standal.

— Ważna sprawa jest tu — powiedział Malużkin i pokazał niedopisany wstępniak o przygotowaniach szkół do nowego roku szkolnego. — Niestety, nie wszyscy to rozumieją.

Malużkin przyłożył palec do ust, następnie zatoczył łuk w powietrzu i stuknął w przepierzenie. Zza przepierzenia dobiegał przytłumiony szloch. Standal zrozumiał, że maszynistka znów narobiła literówek.

— A więc? — zapytał Malużkin, który miał skłonność do niezbyt gramatycznych zwrotów.

— A więc trudno w to uwierzyć, ale przyniosłem prawdziwą sensację.

— Różne bywają sensacje — powiedział Malużkin sucho. Samo słowo „sensacja” miało dla niego nieprzyjemny posmak, kojarzyło się z pejoratywnymi epitetami. — Tylko bez tanich sensacji! W pewnej gazecie centralnej wydrukowano informację o śnieżnym smoku i co? — Malużkin gwałtownym ruchem przeciągnął dłonią po szyi, ilustrując tym gestem los redaktora. — Ale mów, nie obrażaj się.

— Mamy szansę stać się pierwszą, najbardziej znaną gazetą świata. Interesuje to pana?

— Zobaczmy — odparł Malużkin.

Maszynistka za przepierzeniem przestała łkać i nadstawiła ucha.

— Ale w każdym razie — kontynuował Malużkin — będę musiał skończyć artykuł wstępny. Przecież nie potrafisz go za mnie dopisać?

Malużkin zamknął na chwilę oczy i nieco pochylił siwiejącą głowę. Czekał na pochwały.

— Wstępniak do kosza. Na pierwszą kolumnę damy coś innego — powiedział nieuprzejmie Standal.

Malużkin uśmiechnął się pobłaźliwie. Zawsze potrafił wychwytywać rzeczy najważniejsze, na czasie. Wygląd Standala powiedział mu, że młody człowiek przyszedł z jakimś głupstwem. Pojąwszy to, redaktor zajął się obmyśleniem artykułu wstępnego.

— Wczoraj — powiedział Standal — w naszym mieście miało miejsce epokowe wydarzenie, sensacja stulecia, po raz pierwszy przeprowadzono pomyślny eksperyment mający na celu generalne odmłodzenie organizmu ludzkiego. Uroczyste słowa, na co zresztą liczył Standal, łatwiej przenikały do mózgu Malużkina, który jednak słysząc je nie zastanawiał się nad ich sensem, lecz starał się wykorzystać je do prawdziwej roboty, do układania wstępniaka. „Po raz pierwszy w kraju przeprowadzono pomyślny eksperyment — powtarzał w myśli Malużkin — mający na celu całkowite objęcie dorastającego pokolenia siecią szkolnictwa ośmioletniego”. Myśląc tak Malużkin odruchowo podtrzymywał rozmowę ze Standalem.

— W szpitalu, powiadasz, przeprowadzono ten eksperyment? — zapytał. — Mamy tam zdolną młodzież.

Z własnego zdania wybrał do artykułu słowa „zdolna młodzież”. Musiał jeszcze znaleźć dla nich stosowną otoczkę.

— Nie, nie w szpitalu, w mieszkaniu prywatnym.

— Nie biegaj po gabinecie, siadaj — powiedział Malużkin. Biegający, podniecony,

wymachujący rękami, przecierający okulary Standal nie pozwalał mu się skupić.

— Kilku ludzi — powiedział Standal siadając na brzeжку krzesła i przebijając nogami — uzyskało możliwość opanowania tajemnicy wiecznej młodości.

Stosowna otoczka dla „zdolnej młodzieży” znalazła się. „Zdolna młodzież zyskała możliwość opanowania tajemnic nauki.” Malużkin zanotował w myśli to zdanie.

— Tak, tak — odezwał się. — Już o tym czytałem.

— Gdzie? — Standal z wrażenia przestał nawet poruszać nogami. — I nic pan nie powiedział?

— Gdzie? — zdziwił się Malużkin. — „Nauka i Życie” pisało. — Redaktor był przekonany, że nie można mu dowieść kłamstwa, bowiem czasopismo „Nauka i Życie” pisało już o wszystkim. — Były takie doświadczenia w Stanach. U nas też. Na psach.

— Jasne — powiedział Standal. Zrozumiał, że redaktor wcale go nie słuchał. — I pan by mógł! — krzyknął nieoczekiwanie.

Malużkin zapomniał wszystkie zdania, przygotowane do swego wstępniaka. Przestraszył się.

Za ścianą rozległo się gromkie westchnienie maszynistki.

— I pan mógłby stać się młodym! — wrzeszczał Standal. — Każdy może stać się młodym! Wczoraj starzec, dziś — młodzieniec. Rozumie pan?

— Tylko spokojnie — powiedział Malużkin. — Denerwujesz się. Cezarze, a więc nie masz racji.

Machnął ręką w stronę przepierzenia i kontynuował szeptem:

— Za ścianą są ludzie, rozumiesz? Zaczną się plotki. A ty nie sprawdziłeś i już krzyczysz. Są świadkowie? Kontrola była?

— Sam jestem świadkiem — powiedział Standal, również przechodząc na szept i pochylając się nad biurkiem. Siedzieli teraz jak dwaj kosiarze, omawiający plan obrabowania banku.

— Mam jeszcze jednego świadka — wymamrotał Standal. — Zawołać?

— Dobra — zgodził się z westchnieniem Malużkin, bo artykuł wstępny musiał i tak zaczynać od początku.

Standal wychylił się przez okno i krzyknął:

— Miła, bądź łaskawa wejść na górę. Pokój numer pięć. Zresztą wyjdę po ciebie.

Gdy tylko Standal odszedł od biurka, Malużkin natychmiast zajął się wstępniakiem. Standala to zirykowało, chwycił więc kartkę, podarł i wrzucił do kosza.

— Zwariowałeś — powiedział Malużkin. Znów poczuł się skrzywdzony.

— Zaraz tu przyjdzie kobieta, która ma minimum trzysta lat — powiedział Standal. — Znała Aleksandra Puszkina!

Wybiegł z pokoju.

— Kobiety — myślał Malużkin pochylając się nad koszem na śmieci. — Wszędzie kobiety. Wszystkie znały albo Puszkina, albo Jewtuszenkę, a żadnej nie można wierzyć.

Za drzwiami rozległ się głos Standala:

— Tutaj, Milico. Naczelnicy na nas czeka.

— Dziękuję — odpowiedział srebrzysty głosik.

— Teatr — pomyślał Malużkin. — Pokazówka.

Drzwi otworzyły się i zjawiła się bogini. Królowa nocy, piękna dziewczyna w sarafanie z albumem w rękach. Tej dziewczyny dawniej nie było i być nie mogło. Tę dziewczynę można było zobaczyć tylko raz w życiu i do końca swoich dni o niej marzyć.

— Dzień dobry — powiedziała dziewczyna i podała Malużkinowi rękę. Trzymała ją wyżej, niż to jest przyjęte, i dlatego dłoń znalazła się w pobliżu warg redaktora. Malużkin nieoczekiwanie dla siebie ucałował smukły, atlasowy przegub i usiadł oblewając się pąsem.

— Czy ja również mogę usiąść? — zapytała dziewczyna.

— Bardzo mi miło — odparł Malużkin. — To znaczy bardzo miło mi panią poznać. Proszę siadać, naturalnie. — Redaktor zapragnął mówić wytwornym stylem, chociażby takim, jakim posługiwali się bohaterowie Lwa Tołstoja. — Czuję się niezmiernie zaszczycony — zakończył.

— Miszeńka z pewnością już o mnie mówił — uśmiechnęła się dziewczyna, a z jej oczu wytrysnęły ostre, promienne strzały. — Nazywam się Milica Bakszt i mieszkam w Wielkim Guslarze od ponad stu lat.

— To niemożliwe — powiedział Malużkin przyglądając włosy na skroniach — zapamiętałbym z pewnością pani cudowne oblicze...

Po redakcji rozeszła się już plotka, że u naczelnego siedzi jakaś nieznaną piękność. Wszyscy myśleli, że należy do ekipy filmowej, kręcącej film historyczno–rewolucyjny. Mężczyźni udali się na korytarz, żeby zapalić. Palili obok drzwi gabinetu szefa.

— Przecież pan mnie nie może znać — powiedziała Milica. — Jeszcze wczoraj byłam okropną staruchą, chodziłam o lasce. Potworny widok, zapewniam pana. Rozumie pan to, prawda?

— O, tak — powiedział Malużkin.

Milica zwinnie poderwała się z krzesła, obróciła się na obcasach tak zamasyście, że sarafan zawirował i odsłonił zgrabne nogi, po czym zgarbiła się, oparła się na nie istniejącej lasce i szurając nogami postąpiła z trudem parę kroków.

Malużkinowi zrobiło się wesoło i radośnie na duszy, więc powiedział:

— Jest pani aktorką, utalentowaną aktorką, powinna pani zagrać w filmie.

Maszynistki, które usłyszały te słowa przez ścianę, wyniosły na korytarz potwierdzenie plotki: nieznajoma była istotnie aktorką filmową, naczelną ją chwali. Stiepanow przypomniał sobie dwa filmy, w których ją widział. Wielu z obecnych również ją sobie przypomniało.

— Bardzo dobrze to robisz — powiedział Standal. — Tak to mniej więcej wyglądało. Sam pamiętam.

— Wierzy mi pan? — zapytała Milica znów siadając na krześle. Jej oczy znalazły się tak blisko twarzy Malużkina, że redaktor poczuł zawrót głowy i powiedział:

— Wierzę pani we wszystkim, w wielkim i małym.

— Milu, pokaż mu dowód osobisty — powiedział Standal.

— Nie trzeba — zaproponował Malużkin. — Nie trzeba pokazywać żadnego dowodu. Misza zaraz przygotowuje materiał, a pani niech nas nie opuszcza, błagam. Proszę mi opowiedzieć wszystko, co, jak i kiedy. Natychmiast do drukarni.

— Zamiast wstępniaka — powiedział Standal, który był jeszcze bardzo młody i wierzył w triumf dobra.

— Zamiast wstępniaka — potwierdził Malużkin.

— Miszeńka — powiedziała Milica. — Wygląda na to, że on się we mnie zakochał. Najwyraźniej traci rozsądek. Co teraz zrobimy? Zakochał się pan we mnie?

— Chyba tak — wyszeptał redaktor. Nie śmiał zaprzeczyć, ale nie chciał, żeby podwładni dowiedzieli się o tym.

— No, to ja zabieram się do pisania? — powiedział Misza pytającym tonem.

— Naturalnie. A pani... — w głosie Malużkina zabrzmiała żalosna prośba. — A pani posiedzi tu ze mną, prawda?

— Posiedzę, pewnie, że posiedzę. Przecież nie wychodzisz na długo, Misza?

— Nie potrzebuję wychodzić, napiszę tutaj, na parapecie. Mam już gotowy szkic.

— No więc — powiedziała Milica — poznaliśmy się i teraz możemy swobodnie porozmawiać. Czyż to nie cudowne, że wczoraj byłam staruszką, a dzisiaj jestem młoda?

— Cudowne — powiedział Malużkin. — Pani ma cudowne zęby.

— A fe, takie rzeczy mówi się tylko brzydkim dziewczynom, żeby im nie było przykro — powiedziała Milica i roześmiała się tak srebrzyście, że drżenie przebiegło po palących w korytarzu mężczyznach, a maszynistki spoważniały i zachmurzyły się.

— Ależ nie, cóż za pomysł! Pani ma piękne ręce i włosy, i nos — powiedział Malużkin. Chciał kontynuować tę wyliczankę, ale zadzwonił telefon i redaktor, który nie chciał z nikim rozmawiać, aby nie zniweczyć wspaniałego nastroju, podniósł jednak słuchawkę i powiedział ostro, żeby się od niego odczepili:

— Mam naradę.

Słuchawka zabulgotała odległym ludzkim głosem i Malużkin, który jej na czas nie odłożył, zaczął słuchać. Misza mrugnął do Milicy, sądząc, że sprawa jest załatwiona, a dziewczyna odmrugnęła mu, bowiem była zadowolona ze swej urody.

— Tak — powiedział uprzejmie Malużkin. — Naturalnie. W jutrzejszym numerze, towarzyszu Bielów. Osobiście się tym zajmę... Doskonale sobie zdaję z tego sprawę, że to nasze zaniedbanie, towarzyszu Bielów.

Głos w słuchawce wciąż coś mamrotał i stopniowo twarz Malużkina przybierała swój normalny, rzeczowy wyraz, a włosy, które jeszcze przed chwilą zwijały się w cygańskie kędziory, w oczach prostowały się karnie opadały, układając się po obu stronach przedziałka.

— Odzwierciedlimy, naturalnie, wszystko będzie w największym porządku — powiedział wreszcie odkładając słuchawkę.

— No tak — mruknął patrząc na Milicę i pocierając palcem koniec nosa. — Dajemy artykuł wstępny na temat przerywki i pielienia. Jasne, Standal? Na temat pielienia, a nie o przygotowaniach do nowego roku szkolnego. Ze szkołami jeszcze się nie pali. Nasz błąd. Sami powinniśmy się domyślić. Wezwijcie tu do mnie Stiepanowa, ale na jednej nodze. Niech weźmie ze sobą harmonogram przerywki.

— Jak to? — zapytał Standal. — Artykuł?

— Tak, tak — powiedział Malużkin. — Bardzo mi było miło. Zawsze rad będę panią widzieć. Standal, na co czekasz? Nie ma czasu. W pracy redakcyjnej najważniejsze jest zachowanie spokoju. Jasne?

Malużkin mówił to z takim naciskiem, że Standal nie śmiał mu się sprzeciwić. Wyszedł na korytarz i znalazł Stiepanowa. Stiepanow zadawał pytania dotyczące dziewczyny, ale Standal opędzał się od niego jak od natrętnej muchy.

— Idziemy — powiedział. — Będzie pan pisał wstępniak. Proszę zabrać dane dotyczące pielienia. Na jednej nodze. Polecenie szefa.

— Ja naprawdę odmłodziłam — przekonywała Milica redaktora, kiedy Standal wrócił do gabinetu. Malużkin podniósł na Misze oczy skrzywdzonego dziecka, bo przeszkadzano mu w pracy. — Żebyś mi jutro był punktualnie w redakcji! — zwrócił się do podwładnego.

— Ale mnie przecież Aleksander Puszkina wpisał do albumu — powtórzyła Milica. — tylko mnie. I nigdzie go nie drukował. Był we mnie bez pamięci zakochany.

— Bardzo interesujące — powiedział Malużkin. — Proszę zostawić album, przejrzymy go sobie. Zamieścimy w rubryce „Z historii naszych okolic”. Dobrze? A więc jesteśmy umówieni. To bardzo dobrze, żeście ten wierszyk wyszukali.

Malużkinowi, który całkowicie przełączył się na pielienie, wydawało się, że bardzo dobrze potraktował interesantów.

— Panienko, proszę się nie obawiać, nie zagubimy wierszyka, bo doskonale sobie zdajemy sprawę z jego wartości.

— Pan mnie wzywał? — zapytał Stiepanow wchodząc do gabinetu i gapiąc się na Milicę Bakszt.

Małuzkin zerknął w tę stronę i jakieś niejasne wspomnienie poruszyło się w jego duszy. Powiedział:

— Chodź tu, Stiepanow, siadaj. Wziąłeś dane na temat pielenia? Dzwonili do mnie w tej sprawie, więc trzeba jak najszybciej, sam rozumiesz...

— No, to my pójdziemy — powiedział smutno Standal.

— Naturalnie, naturalnie — powiedział Małuzkin patrząc zakochanym wzrokiem na wykresy w ręku Stiepanowa. Małuzkin kochał gazetę i kochał pracę redakcyjną. Poczucie krzywdy zniknęło.

— Nie spóźnij się! — krzyknął do wychodzącego Standala i zapomniał o nim.

Trzasnęły drzwi, zakołysały się tiulowe firanki w oknie. Stiepanow pożałował, że dziewczyna wyszła, bo w taki upał nie miał najmniejszej ochoty pisać o pieleniu. Miał ochotę pójść na plażę. Przynął sobie pozostawiony przez gości na redaktorskim biurku otwarty album w safianowej okładce. Pismo na poślódkiej karcie było znajome. Obok tą samą ręką był narysowany profil dziewczyny, która przed chwilą wyszła z gabinetu.

— To jej album? — zapytał Stiepanow.

Małużkin zdziwił się, ale odpowiedział:

— Powiada, że to jej Puszkina wpisał — i zachichotał. — W „Czerwonym Sztandarze” wszystkie maszyny stoją, a w sprawozdaniu zawyżają. Co o tym myślisz?...

Oczywiście, że to było pismo Puszkina. Albo zdumiewający, najdoskonalszy pod słońcem falsyfikat, który powinien znaleźć się w moskiewskim Muzeum Puszkina.

— ... „Uwolnij mnie, perska księżniczko” — przeczytał Stiepanow. — „Uwolnij mnie, perska księżniczko” — przeczytał jeszcze raz, na głos.

— Ciszej — skarcił go Małużkin. — Zostaw te wiersze! Bierz się do roboty.

Stiepanow nie słyszał, bo poruszając wargami czytał wiersz dalej. Tego utworu nie znał. I nikt nie znał. Stiepanow był pierwszym puszkinią na świecie, czytającym wiersz zaczynający się od słów: „Uwolnij mnie, perska księżniczko”.

— To przecież odkrycie — powiedział. — Sensacja na skalę światową. Trzeba napisać do Moskwy! Andronnikow jutro tu przyleci.

— Jakbyście się wszyscy zmówili! — oburzył się Małużkin. — Stiepanow, bądź człowiekiem! Skończymy wstępniak i będziemy dzwonić do Andronnikowa, Lwa Tołstoja, Puszkina, wypijemy po kuflu piwa, zrobimy wszystko, na co będziesz miał ochotę. A teraz posłuchaj: „Pełną parą idzie pielenie na kołchozowych polach naszego powiatu”. Czy to nie jest banalne?

Ale Stiepanow nie słyszał, podobnie jak kilka minut wcześniej Małużkin przestał widzieć i słyszeć Milicę Bakszt.

Stiepanow Stiepanowicz był zwariowany na punkcie Puszkina. Jego idee fixe była ambicja dowiedzenia się wszystkiego o wielkim poecie, poznania każdego słowa, odtworzenia każdego dnia jego życia. Gdy to już niemal osiągnął, cierpliwie czekał, aż los zlituje się nad nim i podaruje mu odkrycie w dziedzinie puszkiniistyki, odkrycie przypadkowe, gdyż wszystkie pozostałe zostały już dokonane.

Minęło trzydzieści lat od chwili, gdy Stiepan Stiepanow znalazł na strychu starego domu pierwodruk „Eugeniusza Oniegina” i stał się żołnierzem maleńkiej międzynarodowej armii puszkiniistów. Przez ten czas postarzał się, zdziczał, dorobił się dolegliwości wątroby i zadyszki, pochował żonę, sam wychował córkę Ludę i teraz zamierzał wydać ją za męża, a odkrycia wciąż nie było. Ani sam Puszkina, ani jego krewni, ani przyjaciele dekabryści nie bywali w Wielkim Guslarze i nie zostawili tam pamiętników, dzienników i ustnych wspomnień. Ale Stiepanow wciąż szukał, odwiedzał zapomniane, zakurzone strychy, wydawał ostatnie grosze na bibliofilskie rarytasy, korespondował z Herakliuszem Andronnikowem i pastorem Gruenwaldem ze Szwajcarii, nauczył się dwóch języków zachodnioeuropejskich, nie zrobił kariery służbowej, a odkrycie wciąż nie przychodziło.

I oto teraz leżał przed nim nieznany wiersz Puszkina, który bez najmniejszych starań z jego strony wpadł mu w ręce.

Stiepanow ciężko podniósł się z krzesła i trzymając w wyciągniętym ręku album w safianowej okładce podszedł do okna, do światła, aby w słońcu przekonać się, że szczęście istotnie go nawiedziło, że jedno z największych odkryć w puszkiniście w drugiej połowie wieku dwudziestego było właśnie jego udziałem.

— Siadaj — dopędził go głos Malużkina. — Posłuchaj: „Jednak w niektórych gospodarstwach tempo pielenia jest nie dość wysokie”... Albo może napisać po prostu: „niewysokie”? lub „niskie”?

— Kim jest ta dziewczyna? — zapytał Stiepanow.

— Jaka dziewczyna?

— Dziewczyna, która była u ciebie z Miszą Standalem.

— A skąd ja mogę wiedzieć? Sam ją zapytaj. Nie znam żadnej dziewczyny.

Malużkin też był człowiekiem pochłoniętym idee fixe. Jego ambicją życiową było uczynienie ze swej gazety najlepszego organu powiatowego w województwie.

— Tak — powiedział Stiepanow, strzepnął popiół i łupież z wygniecionych spodni, z trudem dopiął je na tłustym brzuchu i głośno śpiewając: „Uwolnij mnie, perska księżniczko”, wyszedł z gabinetu redaktora naczelnego, po czym, wciąż przyśpieszając kroku, słoniowym truchtem przebiegł korytarz i wypadł na ulicę.

Malużkin popatrzył za nim i śmiertelnie się obraził.

Milica ze Standalem dowlekli się do budki z piwem, przy której pod różnobarwnymi parasolami plażowymi stały chwiejne stoliki z błękitnymi plastikowymi blatami. Misza postął w kolejce i postawił na stoliku dwa kufle z wianuszkami ciepłej piany. Był rozczarowany do życia i stracił ideały.

— Wygląda na to, że nasza misja nie zakończyła się sukcesem? — zapytała Milica.

— Popełniłem błąd taktyczny — powiedział Standał nie wiedząc jeszcze, na czym ów błąd polegał.

— Z początku bardzo mu się spodobałam — powiedziała Milica.

Standał, krzywiąc się niemiłosiernie, pił piwo.

— Trzeba będzie jechać wprost do Moskwy — powiedział. Wielki Guslar pozostanie nikomu nie znanym, zabitym deskami miasteczkiem. A oni będą sobie pluć w brody. Niech plują.

— Trochę jednak zasłynie — powiedziała Milica. — Przecież tu mieszkałam.

Uśmiechnęła się. Żartowała, bo chciała trochę Miszę rozweselić. — Wszystko się ułoży — powiedziała.

— I nikt nie wierzy — ciągnął Standał. — Udałowowi nawet na milicji nie uwierzyli. A mnie w gazecie. Jakbyśmy byli jakimiś aferzystami. Na przykład Grubin popędził robić doświadczenia, żeby niczego nie zaniedbać, a i pani myśli nie tylko o sobie, prawda?

— O, tak! — powiedziała piękna Milica. — Proszę spojrzeć, tamten śmieszny pan do nas biegnie.

Przez plac, kręcąc na wszystkie strony głową, biegł bardzo tęgi mężczyzna, którego naga czaszka wyglądała z wianuszka szarych włosów, jak orle jajo z gniazdka. Miał mięsiste, aktorskie wargi i nos rzymskiego cesarza z okresu upadku imperium. Pod pachą ścisnął wielki album. Cała jego postać, od brudnych butów poczynając, za co Malużkin wielokrotnie dawał mu reprimendy, a na obsypanej popiołem marynarce kończąc, stanowiła zdumiewającą mieszankę niepewności, nieśmiałości i niepokromionej woli zwycięstwa.

— Niesie mój album — powiedziała Milica.

— To Stiepan Stiepanow! — wykrzyknął Misza Standał. — Nareszcie się zorientowali. Zrozumieli i teraz nas szukają. — Tutaj! — zawołał i zaczął machać ręką. — Tutaj jesteśmy, Stiepanie Stiepanyczu!

Ucieszony Stiepanow przytruchtał do stolika.

— A ja was szukam — powiedział opadając na krzesło. — Właściwie panią. Już bałem się, że nie znaję, że to wszystko tylko mi się przyśniło.

— Jednak Malużkin pana przysłał — zapytał Standał twierdzącym tonem.

— Jaki znów Malużkin? Nic podobnego. On gwałtownie protestował. On sobie niczego nie uświadamia. Panienko, skąd pani ma ten album?

— To jest mój album — odparła Milica.

Stiepanow drżącą ręką przysunął sobie kufel Standala i w zdenerwowaniu upił trochę piwa.

— A czy pani wie, co się w nim znajduje? — zapytał mrużąc swoje i tak już maleńkie oczka.

— Wiem, wpisywali się do niego przyjaciele i znajomi. Tiutczew, Fet, Dzierżawin, Sikomorski, Puszkina i jeszcze jeden taki, zapomniałam nazwiska.

— Puszkina, powiada pani? — Stiepanow był surowy i bezwzględny w dążeniu do prawdy. — A pani go czytała?

— Naturalnie. Miszeńka, czy w waszej redakcji wszyscy są tacy dziwni?

— Jeśli Stiepanycz nie zdoła przekonać naczelnego, to nikt tego nie potrafi zrobić — powiedział Misza, w którym obudziła się nadzieja.

— Nawet nie będę próbował — powiedział Stiepanow. — A czy panienka wie, że ten wiersz nie był nigdzie publikowany?

— Oczywiście! — wykrzyknęła Milica. — On przecież sam mi go napisał. Siedział, gryzł pióro, potrząsał czupryną. Nawet się z niego śmiałam. A wiersz pokazywałam tylko przyjaciółom.

— Tak — powiedział Stiepanow, sapiąc i dopijając piwo Standała. — A poważnie? Skąd panienka ma ten album?

— Proszę mu wytłumaczyć — powiedziała Milica. — Ja już nie mam siły do dzisiejszej młodzieży.

— Album to tylko mała częśćka tego, co usiłowaliśmy wbić do głowy Malużkinowi — powiedział Standal przysuwając sobie kufel Milicy. — Tu wcale nie chodzi o album.

— Misza, nie gadaj głupstw — powiedział Stiepanow.

— Chodzi właśnie o ten album. Nie może być rzeczy ważniejszej od niego.

— Stiepanie Stiepanyczu — powiedział Standal. — Przecież pan wie, jak bardzo pana szanuję. Nigdy z pana nie żartowałem. Proszę uważnie posłuchać i nie przerywać. Bardzo pana proszę, niech pan dosłucha, a potem dzwoni do domu wariatów albo po karetkę pogotowia...

Kiedy Standal zakończył opowieść o cudownych przemianach, na stoliku stała już cała bateria pustych kufli. Kupowała je i przynosiła Milica, która się nudziła, współczuła mężczyznom, była poczciwa i usłużna. Kioskarka już do niej przywykła i sprzedawała piwo bez kolejki, a żaden z mężczyzn stojących na słońcu nie oponował. Byłoby dziwne, gdyby ktoś zaoponował, bo przecież nikt przedtem nawet nie potrafił sobie wyobrazić takiej pięknej dziewczyny.

— A co z albumem? — zapytał Stiepanow, kiedy Misza zamilkł.

— Album zabierzemy do Moskwy w charakterze dowodu rzeczowego — odparł Misza. — Jak tylko zdobędziemy pieniądze na bilety.

— Do Andronnikowa?

— Zobaczymy na miejscu, może i do Andronnikowa.

— On dostanie go ode mnie — powiedział Stiepanow. — Jadę z wami.

— Czyżby? — zdziwił się Standal. — Czyżby pan nam uwierzył?

— Będę z panem zupełnie szczerzy — powiedział Stiepanow, gładząc safianową okładkę. — Aby rozwiać ostatnie wątpliwości, chciałbym spotkać się z Heleną Kastielską. Mam honor być jej znajomym od czterdziestu lat. Jeśli ona potwierdzi, moje wątpliwości odpadną.

— Może pan jej nie poznać — zauważył Standal. — Ma teraz dwadzieścia lat, tak samo jak ja.

— Zadam jej parę pytań. Na przykład, kto poza nią głosował w ubiegłym roku za udzieleniem kredytów na konserwację cerkwi św. Serafina. Ja też nie jestem głupi.

— Jestem świecie przekonana, że to pan głosował, szanowny panie — powiedziała Milica. — Macie jeszcze ochotę na piwo?

— Ja — przyznał się zdumiony Stiepanow. — Dziękuję, nie. Pójdziemy?

— A czy nie wydaje się panu — zapytał Standal, który znów nabrał optymizmu — że to wszystko jest bajeczne, nieprawdopodobne, tajemnicze i wręcz podejrzone?

— Młody człowieku — odparł Stiepanow z godnością. — Na moich oczach narodziły się telefon i radio. Na własne oczy widziałem fotokopię listu Puszkina, odnalezionego niedawno w niewielkim miasteczku nad Amazonką. Dlaczego miałbym nie wierzyć godnym szacunku ludziom tylko dlatego, że moje oczy i pozostałe zmysły nie chcą w to wierzyć? Zmysły ludzkie są zawodne i nie potrafią dotrzeć do sedna zwyczajnej teorii względności, natomiast rozum jest wszechmocny. Zaufajmy więc mu i wtedy wszystko wróci na swoje miejsce. Wówczas istnienie

wiersza zyskuje niezwykle wprawdzie, ale jednak wytłumaczenie, a to już coś znaczy.

Almaz pomógł zmyć naczynia, a potem zaproponował Helenie i Wandzie, jako że tylko one zostały w domu:

— Chodźmy, dziewczyny, na spacer, pokażemy się na mieście w nowej postaci.

— Co pan? — przestraszyła się Helena. — A jeśli ktoś nas pozna?

— Wtedy powiesz, że się pomylił.

Helena nie potrafiła znaleźć argumentu, więc spróbowała wymówić się pretekstem:

— Jakże mogę Wanię zostawić?

— Wania powinien pójść spać — odparł Almaz. — Przecież dzieci w ciągu dnia też śpią?

To pytanie skierował do Wani, który patrząc nań wzrokiem pełnym uwielbienia nie ośmielił się zaoponować.

— Idę — powiedziała jak japoński kamikadze.

Wanda już kilka razy chciała się pożegnać, ale wciąż nie wychodziła.

Kiedyś zburzyła już życie Heleny na tydzień przed jej ślubem. Zobaczyła Nikitę u kogoś w gościach, Nikitę spokojnego, urządnego, posłusznego Helenie, i bez chwili namysłu postanowiła go odbić. W pamiętniku przyjaciółki wyczytała czyjś aforyzm: „W miłości, podobnie jak na wojnie, żadne reguły nie obowiązują”. Aforyzm leżał w zapasie przez trzy lata, a teraz się przydał. Uprzejmy, dobrze wychowany Sawicz powinien należeć właśnie do niej, jędrnej, zdrowej, skorej do śmiechu dwudziestolatki, a nie do wędnącej już, deskowatej starej panny!

Po co zresztą grzebać się w przeszłości? Została ona w pamięci tylko trojga aktorów dramatu, a innym nic do tego. Wanda natychmiast wyczuła w Sawiczu słabe miejsce, jego gotowość do podporządkowania się i niezdolność powiedzenia „nie”. Wyczuła też słabość Heleny, słabość płynącą z nadmiernej dumy. Ta szczapa kierowała się jakimiś zasadami, nie przekraczała ich i myślała, że inni również je uszanują.

Wanda zwyciężyła w ciągu trzech dni. Teraz wydawało się dziwne, że aż tak szybko, chociaż te dni były bardzo długie. Od tej pory Sawicz stał się jej bezwzględna własnością, co jednak powodowało stałą niepewność, bo przecież Sawicz pozostał ten sam. Co gorsza, zjawiał się rodzaj skruchy i jakaś wstydliva, śmiesząca samą Wandę tęsknota do Heleny.

Tak, potrafiła trzymać Sawicza w garści, nawet na odległość, ale zawsze pamiętała, że „nie ma reguł”, a skoro nie ma dla niej, to nie ma również dla innych. Teraz, gdyby to od niej zależało, wprowadziłaby takie reguły i chociaż z upływem lat konkurentek było coraz mniej, nie osłabiała chwytu.

Dzisiejsze przebudzenie ożywiło stare niepokoje, ale również nadzieję, że Helenie się nie poszczęściło. Zawiodła się. Helena stała się jej rówieśnicą, właśnie taką, jaką po raz pierwszy ujrzał Nikita Sawicz.

Wandzie ścisnęło się serce, kiedy rano weszła do domu Kastielskiej: Helena stała plecami do słońca i jej platynowe lekkie włosy tworzyły świetlistą aureolę. Co prawda, była tak samo chuda, jak w starości. Może dla innych smukła, ale w oczach Wandy po prostu chuda. Zresztą i to było niewielką pociechą.

Zmieszanie Nikity też trudno było znieść. Tak ją ono zabolowało, że omal nie chwyciła go za rękę i nie wyprowadziła z domu.

I nagle, w którymś momencie, jakby pękła szyba i powiało świeżym wietrzykiem. Wanda zrozumiała, że trzydziestoletnie wychowywanie, dobrowolna niewola jest silniejsza od starych

uroków Heleny. Nikita jej unika, jak spłoszony zając zerka na żonę, czy aby się nie gniewa, i jeszcze jedno: Helena została wierna swoim zasadom i nie przyswoiła sobie starego aforyzmu.

Mój Boże, jak ci biedacy się oszukali, pomyślała Wanda. Może ona sama nie zmadrzała przez te trzydzieści lat, ale za to nabrała doświadczenia, nauczyła się kwalifikować ludzi. Gdyby się nie nauczyła, pierwszy lepszy rewizor z obwodu zjadłby ją w kaszy. Jeszcze wczoraj wydawało się im, że można przebudować życie, odpokutować za swoje grzechy i błędy, przywrócić czas, w którym jeszcze nie było jej, dzisiejszej Wandy. Ale przeszłości nie można zatrzymać, nie można przed nią uciec, jak przed własnym sumieniem.

Niepokój znikł.

Po raz pierwszy od trzydziestu lat mogła popatrzeć na Helenę spokojnie, inaczej niż w czasie przypadkowych spotkań na ulicy, kiedy dostrzegała jedynie nowe zmarszczki, siwe włosy i wytarte rękawy palta.

I Helena jej się spodobała tak, jak może podobać się młoda kobieta innej młodej kobiecie, jeśli nie ma między nimi rywalizacji, nie ma mężczyzny i zazdrości. Chyba zresztą i Helena to zrozumiała, bo choćby nie wiem jak się człowiek odmładzał, dawnej młodości nie zdoła przywrócić.

Dlatego Wanda została w domu Kastielskiej nawet wtedy, kiedy pozostali wyszli, sprawnie pomagała jej w zajęciach domowych, głośno się śmiała, kokietowała Ałmaza, trącała go wysoką pierśią, bez żadnych zresztą zamiarów, po prostu z rozpieszczonej ją dziewczęcej pustoty.

— Dobra myśl, Lenoczka, chodźmy na spacer! — poparła projekt Ałmaza. Ta „Lenoczka” po trzydziestu latach oficjalnej znajomości nie zrobiła dobrego wrażenia. Helena Siergiejewna uznała, że jej była rywalka lęka się jej, ochrania męża i w udawanej familiarności szuka obrony. Pomyślała, że jednak nie warto odpychać Wandy.

— Chodźmy — powiedziała.

Wanda przyglądała się, jak Kastielska usiłuje swe puszyste, platynowe włosy zwinąć w babciny kok.

— Zostaw je — powiedziała. — Daj spokój z tym kokiem, tak ci bardziej do twarzy. — I dodała z zawiścią: — Ty to masz szczęście, figura niemal wcale ci się nie zmieniła. Możesz nosić wszystkie swoje sukienki.

Helena miała na sobie starą, ciemną sukienkę z białym kołnierzykiem. Teraz jednak wyglądała w niej nie jak nauczycielka, lecz jak uczennica przed bale maturalnym. Wanda natomiast musiała założyć elastyczną bluzkę, a spódnicę spiąć agrafką.

— Tylko że twoje pantofle to po prostu coś okropnego. Dzisiaj nikt już takich nie nosi.

— Czy to nie wszystko jedno?

To powiedziała stara Kastielska, młoda zaś zaczęła się usprawiedliwiać:

— Kiedy byłam młoda, nikt nie myślał o pantoflach.

Na ulicy Ałmaz wziął kobiety pod ręce, wcale nie ukrywając, jaką przyjemność sprawia mu spacer z takimi młodymi i pięknymi dziewczynami. Helena wciąż spotykała znajomych i sąsiadów, którzy gapili się na nią ze zdumieniem, i tylko z największym trudem powstrzymywała się od tego, aby się nie przywitać, nie zapytać ich o zdrowie, o szkolne sukcesy dzieci. A jednocześnie wciąż pamiętała, że ma na nogach stare kapcie, że wszyscy to widzą i mają za złe.

Za mostem Ałmaz kupił im obu lody „Eskimo”, sobie też wziął porcję, po czym usiedli na ławce w cieniu. Wanda powiedziała nagle:

— Chodźmy do mnie, do domu towarowego.

Była teraz dobra i przychylna ludziom. W tamtej, prawdziwej młodości nigdy w sobie takiej dobroci nie czuła.

— Po co?

— Mam na zapleczu francuskie pantofle. Siódemkę. Akurat dla ciebie.

— Ależ po co, nie trzeba! — powiedziała Helena i nagle zdała sobie sprawę, że wręcz marzy o tym, aby zobaczyć, potrzymać w ręku, założyć francuskie pantofelki, których istnienie było równie abstrakcyjne, jak istnienie Antarktydy, na którą latają wyłącznie młodzi, niezwykli ludzie.

— Ależ nie bój się — Wanda nie zrozumiała nastroju Heleny i postanowiła ją uspokoić. — One są już zapłacone. U mnie lada moment powinien być remanent, wobec tego kupiłam je.

To była półprawda, ale nie będziemy się teraz wdawać w subtelności pracy dyrektorki domu towarowego w mieście Wielki Guslar, nie będziemy też dyskutować o obliczu moralnym Wandy Kazimirowny, która w kwestii najważniejszej nie kłamała: w magazynku podręcznym istotnie leżała para francuskich pantofelków, właściwie trzy pary, ale to już zupełnie inna historia.

— Nie, coś ty — opierała się Helena, ale Ałmaz rozumiał kobiece rozterki i przeciął spór:

— Pantofle to niezły pomysł. Kto po nie pójdzie?

— Sama pójdę — powiedziała Wanda. — Nikt przecież jeszcze nie pozbawił mnie stanowiska.

— Tak sądzisz? — Ałmaz bezceremonialnie obejrzał Wandę od zadartego noska i sokolich brwi aż do krągłych kolan. — Jak to wytłumaczysz swoim pracownikom?

— Wymusztrowałam je — powiedziała Wanda podrywając się z ławki.

— Może jednak poprosimy Szuroczkę?

— Szuroczka nie jest zorientowana — ucięła Wanda. — Dam sobie radę.

Odezwała się w niej dyrektorka.

Wanda poprowadziła ich przez podwórko zastawione stertami pustych skrzynek, obok ciężarówki z pojemnikami, do tylnego wejścia. Za ciężarówką palili konwojenci. Wanda przystanęła i zapytała dyrektorskim głosem:

— Przywieźliście garnitury?

— Garnitury, Wando Kazimirowno — odparł głos konwojenta.

— Zajrzyjmy do mojego gabinetu — powiedziała Wanda wspinając się wąskimi schodami na pierwsze piętro. — Muszę się dowiedzieć, czy aby nie zaczął się remanent.

— A co cię to może obchodzić? — zdziwił się Ałmaz. — Możesz uznać, że jesteś na zwolnieniu.

— Ty tego nie rozumiesz...

Wanda była tak pewna siebie, tak niezłomna, że Ałmaz i Helena, ludzie przecież dorośli i poważni, szli za nią jak przywiązani, chociaż najchętniej by się wycofali do wyjścia.

— Dokąd to, młodzi ludzie? — rozległ się energiczny głos. — Tutaj obcym wstęp wzbroniony.

— To ja, Wanda. Nie poznajesz, Walerio Lwowno? Przejście zagroziła im kwadratowa, barczysta kobieta w średnim wieku, ubrana w granatowy fartuch z podwiniętymi do łokcia rękawami, o mocno wymalowanej twarzy i z dziwną fryzjerską konstrukcją na głowie, przypominającą ulubioną koafiurę tragicznie zmarłej królowej francuskiej Marii Antoniny.

Jeden tylko niedostatek niweczył groźne wrażenie, które wywoływała ta postać, ale ów niedostatek ujawnił się dopiero wtedy, kiedy młodzi ludzie weszli na podest i stanęli obok niej. Kobieta była tak niska, że mimo butów na wysokich obcasach i baszty na głowie sięgała Wandzie ledwie do ramienia.

— Czego? — zapytała niepewnie kobieta.

— Trzeba znać swoją szefową — odpowiedziała Wanda. — Nikt nie dzwonił, nikt nie przychodził?

Waleria Lwowna milczała i trzepotała uczerwionymi rzęsami. Zastanawiała się. Kiedy jednak Wanda chciała przejść dalej, zagroziła jej drogę.

— Ty nie jesteś Wanda — powiedziała zdecydowanie. — Dzisiaj Wandy Kazimirowny nie ma.

— Nie, to ja — upierała się Wanda. — Nie zwracaj uwagi na mój wygląd. Byłam u kosmetyczki, zrobiłam masaż.

— Kosmetyczka, powiadasz? — nadciągała burza. Pierwsze podejście zakończyło się fiaskiem.

Wanda zrozumiała to i natychmiast zmieniła ton. Teraz nie rozkazywała, lecz prosiła:

— Jestem siostrzenicą Wandy Kazimirowny. Ludzie mówią, że jestem bardzo podobna do cioci.

— Siostrzenica?

Wątpliwości pozostały.

— A co z ciotką?

— Zachorowała na gripę. Leży w łóżku.

— A ci są z tobą?

To ostatnie pytanie odnosiło się do Heleny i Ałmaza, którzy stali z boku.

— Ze mną — odparła Wanda swym dawnym głosem. Takim tonem zwraca się do biletera sławny bas operowy wprowadzając swych przyjaciół bez biletów na atrakcyjny spektakl.

— Czego chcesz, siostrzenico?

— W magazynku podręcznym — odpowiedziała Wanda — leży w szafie para francuskich pantofli, siódemek. Przynieś je tutaj.

Waleria Lwowna znów zamarła. Głos był dyrektorski, a wygląd młody. Żądanie — pochyłe. Słysząc było, jak pod strzelistą koafiurą odbywa się proces myślowy.

— Nie wolno — powiedziała wreszcie. — Nie ma tam żadnych francuskich pantofli. Nie dostaliśmy w tym miesiącu.

— Jak to nie dostaliśmy? Jak chcesz, to ci powiem, gdzie leży faktura.

— Głupoty — odparła zastępczyni Wandy. — Nie dostaliśmy.

Zrozumiała, że ma przed sobą zamaskowanych rewidentów.

— A ty skąd je masz? — zapytała Wanda.

— Gdzie?

— Na nogach.

— Na których?

— Na twoich. Może to nie są francuskie czarne czółenka na obcasie, siódemki za czterdzieści trzy pięćdziesiąt.

Waleria Lwowna wykonała dziwne taneczne pas, jakby zamierzała, nie siadając, podciągnąć pod siebie nogi. Ale podczas gdy nogi mimo woli się poruszały, nie przestawała myśleć i wreszcie uznała, że jedynym ratunkiem jest trzymanie się swego. Sięgnęła niedbale do kieszeni fartucha, niby po chustkę do nosa, ale wyjęła z niej gwizdek milicyjny, półgłosem, jakby na próbę powiedziała: „Bandydzi!”, a następnie wydała straszliwy, świdrujący w uszach gwizd.

— Wycofujemy się! — krzyknął Ałmaz pociągając Helenę ku drzwiom. — Niech szlag trafi te pantofle.

— Ja ci to jeszcze przypomnę! — krzyknęła w biegu Wanda.

Waleria Lwowna nie pobiegła za nimi, tylko gwizdała z góry, niczym przerażony świstak. Zatrzymali się dopiero na przeciwległej stronie ulicy.

— Nie trzeba było tam chodzić — powiedziała Helena, kiedy wreszcie znowu przybrali wygląd spacerowiczów i weszli do pachnącego kurzem i lemoniadą parku miejskiego. — Jakoś do tej pory żyłam bez pantofli, to i nadal się bez nich obejść.

— Nie! — znów podnieciła się Wanda. — Ja swojego zawsze dopnę!

Tak właśnie się zachowała, kiedy zobaczyła Nikitę, pomyślała nagle Helena i już nie chciała żadnych pantofli.

— Pora wracać do domu — powiedziała. — Wania na pewno się już obudził.

— Idźcie, a ja wrócę do sklepu — odparła Wanda.

— Zwariowałaś! — oburzył się Ałmaz. — Wszystkim nam zaszkożysz. Ona już tam z pewnością urządziła zasadzkę i schwyta cię jak złotą rybkę.

— Nie ma żadnego ryzyka — warknęła Wanda. — Co ja bym była warta, gdybym nie znała swoich ludzi? Masz notes?

— Mam.

— Daj mi go.

Wanda napisała krótki liścik, wyrwała kartkę i zwróciła notes Ałmazowi, który wzruszył ramionami i pomyślał, że każdy robi to, co uważa za stosowne. Po czym poszedł z Heleną do jej domu, a Wanda przed wejściem do parku zamknęła się w budce telefonicznej. Zadzwoiła do swojego gabinetu.

Telefon odebrała Waleria Lwowna.

— To ty, Lera? — zapytała Wanda.

— Ja.

— Poznajesz swoją dyrektorkę?

— Już nie wiem, kogo mam poznawać. Tu byli jacyś kanciarze. Chcieli francuskie pantofle, na ciebie się powoływali. Już pomyślałam, że masz kłopoty, rozumiesz?

— Niczego nie rozumiem — ucięła Wanda. — Jestem chora, leżę w domu. Zresztą nie o to chodzi. Wysłałam do ciebie siostrzenicę, a ty ją wygnałaś.

— Bo myślałam, że ona się podszywa.

— Rozumiem i wybaczam. Teraz ona wróci, a ty jej dasz parę pantofli, które są już załatwione. Pamiętasz, gdzie leżą?

— Jak mam nie pamiętać?

— No to świetnie. Co poza tym słyhać?

— Nic specjalnego. Szurka Rodionowa z działu zabawek spóźniła się pół godziny i jeszcze chce się po obiedzie zwolnić.

— Zwolnij ją. Ma dziś egzaminy. Do zobaczenia.

— Nie choruj za długo.

Wanda Kazimirowna powiesiła słuchawkę i spokojnie wróciła do domu towarowego. Weszła na piętro do swojego gabinetu, gdzie siedziała Waleria Lwowna.

— Jeszcze raz dzień dobry — powiedziała głosem uprzejmym, ale nieco urażonym, jakim powinny mówić niesłusznie skrzywdzone krewnie wielkiego człowieka.

Na biurku stało już przygotowane pudełko z pantoflami.

Człowiek niedoświadczony mógłby pomyśleć, że Waleria opętana magią telefonicznego rozkazu będzie rozpływać się w uprzejmości. Nic błędniejszego. Waleria udała, że jest pochłonięta studiowaniem faktur, na sekundę tylko oderwała od nich oczy, zakołysała koafiurą i powiedziała sucho:

— Kartkę!

Wanda uśmiechnęła się z zadowoleniem, gdyż słusznie przypuszczała, że bez liściku żadnych pantofli nie dostanie.

Bez słowa podała kartkę.

Waleria przeczytała ją, przez dłuższą chwilę demonstracyjnie badała podpis zwierzchniczki, potem w milczeniu przesunęła pudełko w kierunku Wandy, i opuściła wzrok.

— Dziękuję ci, Walerio — powiedziała Wanda cofając się ku drzwiom, i nie potrafiąc oprzeć

się chęci zakpienia dodała: — Jak twój chłop? Kiedy wczoraj przyszedł do domu?

Waleria popatrzyła na nią zdumionymi, a nawet nieco przerażonymi oczyma.

Wanda pożałowała swego żartu, bo Waleria znów mogła sięgnąć po swój gwizdek. Dlatego dodała pośpiesznie:

— Ciocia prosiła, abym się dowiedziała.

— Spotkamy się z nią, to pogadamy — powiedziała Waleria i długo patrzyła na wychodzącą siostrzenicę. Kiedy jej kroki umilkły na schodach, starannie schowała kartkę od Wandy: przyda się.

Helena omal nie zepsuła Wandzie jej triumfu, gdy kategorycznie odmówiła przymierzenia pantofli.

Ałmaz powiedział:

— Daj spokój, zakładaj, przecież nie będą leżały w szafie. A pieniądze oddasz później.

Wanda lekceważąco machnęła ręką.

Kiedy Sawicz zobaczył, że obie jego ukochane chodzą w jednakowych pantoflach, uznał to za igraszkę losu, a o prawdziwej przyczynie nigdy się nie dowiedział.

— Heleno Siergiejewno — powiedział Standal od drzwi, przepuszczając przodem Milicę i Stiepanowa — proszę powiedzieć z łaski swojej, kto poza panią głosował w ubiegłym roku za udzieleniem kredytów na konserwację cerkwi św. Serafina?

— Stiepanow — odpowiedziała Helena Siergiejewna.

— Poznałem — powiedział Stiepanow. — Nawet bez tego bym poznał. Pani w ogóle mało się zmieniła. Dzień dobry, Heleno Siergiejewno. Gratuluję reinkarnacji.

— Stiepanie Stiepanowiczu, jakże się cieszę! — powiedziała Helena. — Przynajmniej jeden żywy człowiek. Bo znaleźliśmy się w jakiejś fałszywej sytuacji.

— Poza dobrem i złem — powiedział Ałmaz Bity z podłogi. Akurat razem z Wanią budował kolejkę linową z nici, pudełek po zapalkach i najrozmaitszych drobnych przedmiotów. Nogi Ałmaza opierały się o ścianę i w ogóle było mu niewygodnie, ale inaczej nie dałby sobie rady z budową.

Stiepanow wypełnił pokój swym ogromnym ciałem i położył album na stole.

— Proszę przyjąć moje najszczerze wyrazy współczucia — powiedział. — Dopiero co byłem świadkiem kolejnego niepowodzenia naszych młodych przyjaciół w redakcji. Co innego marzyć o kanarku na dachu leżąc na tapczanie, co innego zaś domyślić się, że to właśnie on sfrunął na parapet i wyciągnąć po niego rękę.

— Bity — powiedział Ałmaz podnosząc się z podłogi jak młody lew, wolno prostując potężne członki. — Jeden z winowajców tego zamieszania. Ale wcale nie żałuję.

— Pewnie, pewnie — zgodził się Stiepanow. — To bardzo szlachetne z pańskiej strony, że zgodził się pan podzielić z innymi takim interesującym sekretem.

— Z początku nie chciałem — powiedział Ałmaz. — Myślałem, że z tego mogą wynikać tylko kłopoty.

— A teraz? — zapytała Helena.

— Teraz za późno żałować. Ale kto mi odpowie, czy ludziom potrzebna jest nowa młodość? Do niej też trzeba się przyzwyczaić.

— A pan się przyzwyczaił?

— Nie od razu — odparł Ałmaz. — Prawdziwa młodość bywa tylko raz, dopóki się nie wie, co po niej nastąpi.

— Racja — zgodziła się Helena.

— Ale ty się nie martw — powiedział Ałmaz. — Zabiorę cię na Syberię, a tam znajdzie się odpowiednie zajęcie., Proszę mi powiedzieć — zwrócił się do Stiepanowa. — Skoro pan już wie wszystko o naszych przygodach, czy zgodziłby się pan, jeśli zostałoby jeszcze nieco eliksiru, przyłączyć się do nas?

— Nie wiem — powiedział z namysłem Stiepanow. — Chyba jednak nie. Jestem zupełnie zadowolony z mojego wieku. Może tylko chciałbym nieco schudnąć. Nadmierna waga przeszkadza.

— To żaden kłopot — wtrącił Standal. — W Moskwie umieścimy pana w Instytucie Żywienia. Stanie się pan smukły jak Apollo. Będziemy mieli znakomite kontakty w świecie lekarskim. W ogóle wszystkie wielkie odkrycia z początku spotykały się z niedowierzaniem i oporami, wywoływały dyskusje, spory i tak dalej. Może, kiedy zjawimy się w Moskwie z receptą na wieczną młodość, z niepełną receptą, nie wszyscy nam uwierzą. A nawet ci, którzy uwierzą, uwierzą nie od razu.

— Ale ja przecież uwierzyłem! — wykrzyknął Stiepanow. — Co więcej, znając wasze przejściowe trudności finansowe, jestem gotów wam pomóc. Mam trochę oszczędności. Oddacie mi później, kiedy sytuacja się polepszy.

— To lubię — powiedział Ałmaz.

— Stiepan Stiepanycz jest puszkinistą — wyjaśnił Standal. — Uwierzył nam, kiedy obejrzał album.

— Tak, interesuję się twórczością Puszkina.

— Milica go znała — zauważył Ałmaz.

— Wie pan, że jakoś trudno mi było w to uwierzyć — wyznał Stiepanow. — Ale uwierzyłem.

— A ja jakoś się z nim nie zetknąłem — powiedział Ałmaz. — Chociaż byłem w owym czasie w Petersburgu i mógłbym uratować Puszkina.

— Cooo?! — Stiepanow opadł ciężko na krzesło, a Wania odskoczył do kąta, obawiając się, że krzesło natychmiast się rozpadnie i jego szczątki zbombardują obecnych.

— Zwariować można — powiedział Stiepanow. — Nigdy by mi coś takiego nie przyszło do głowy.

— Szkoda, że nie spotkaliśmy się wczoraj — odparł Ałmaz. — Byłem wtedy o wiele starszy.

— Ale proszę mi opowiedzieć o Puszkynie — błagał Stiepanow. — Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi! Pan wspomniał o możliwości jego uratowania, prawda? Czy to był żart?

— Nie, to nie był żart — odpowiedział Ałmaz. — Tylko teraz mamy zbyt mało czasu na tę długą historię.

— Proszę opowiedzieć — odezwała się Helena. — Dla Stiepana Stiepanowicza to jest bardzo ważne.

— Heleny usłucham — powiedział Ałmaz. — Helenie nie potrafię odmówić, bo ona pojedzie ze mną na Syberię.

— Proszę nie mówić głupstw przy dziecku — oburzyła się Helena.

— Pojedziesz — powiedział Ałmaz z przekonaniem. — W styczniu roku 1837 wracałem z Paryża do Rosji. Miałem w Sankt Petersburgu spotkać się z pewnym człowiekiem, przekazać mu listy i pieniądze. A człowieka tego poznałem na Placu Pałacowym w roku dwudziestym piątym...

— Ma pan na myśli powstanie dekabrystów? — zapytał Stiepanow.

— Naturalnie — powiedział Ałmaz.

— Zwariować można — powtórzył Stiepanow.

Nie każdemu jest dane dokonać odkrycia. Gdyby było inaczej, dawno już byśmy utonęli w morzu odkryć i wynalazków, nikt nie nadażyłby z ich realizacją i przy pogłębiającej się dewaluacji tych szlachetnych poczynań ludzkość mogłaby zabrnąć w ślepy zaułek: jeśli wszyscy będą dokonywać wynalazków, to kto będzie administrował, kto będzie realizował i kto wreszcie będzie przeszkadzał w realizowaniu?

Grubin czuł się odpowiedzialny wobec ludzkości. Zbudzone rankiem powołanie domagało się konkretnego działania, wobec czego Sasza rzucił się na robotę, jak głodny na kromkę chleba.

Potem szczęśliwa myśl pobrania krwi od wszystkich uczestników eksperymentu, zeskrobania wilgotnych drzazg z podłogi doprowadzi do odkrycia, które zmieni oblicze ziemi, ale imię Grubina zagubi się wśród trzydziestu trzech laureatów rozlicznych nagród, przyznanych za niezwykle osiągnięcia w dziedzinie nauk biologicznych. Może zresztą jego imienia na liście nagrodzonych w ogóle nie będzie, ale Grubin już nigdy nie wróci do dawnego trybu życia, do pracowitego lenistwa minionych dni.

— Sawicz, co tam widzisz za oknem? — zapytał Grubin zauważywszy, że jego kompan przestał myć szkiełka przedmiotowe. — Czas ucieka.

— Aha — powiedział Sawicz. Jego ręce poruszały się z fachową zręcznością, ale robiły to bez zapalu, automatycznie. Umysł Sawicza był pochłonięty gorączkowym procesem myślowym, poszukiwaniami własnego miejsca w nowym życiu. Poszukiwania nie dawały rezultatów. Chciał pójść do Heleny, wszystko wytłumaczyć i wszystko powiedzieć, a może razem znaleźć wyjście z sytuacji. Ale nie można było skrzywdzić Wandy.

Kruk dreptał wokół akwarium, zaglądał przez szybę, postukiwał w nią dziobem: straszył rybki i usiłował ściągnąć z akwarium marynarkę, ale robił to bez większego przekonania, bo w gruncie rzeczy doskonale wiedział, że Grubin jest bardzo do rybek przywiązany. Po prostu żartował.

Pośrodku pokoju leżał słoik po majonezie, a spod łóżka dobiegał jakiś chrobot. Po chwili wysunęły się stamtąd trzy duże myszy, zerknęły na kruka, wytoczyły ćwierćlitrową butelkę po wódce i gdy tylko kruk obrócił dziób w ich stronę, prysnęły z powrotem pod łóżko. Kruk sfrunął na podłogę, uniósł dziobem koc, zajrzał pod łóżko i wrócił do rybek.

— Ma pan tu myszy — powiedział Sawicz.

— Ach — odparł Grubin. — Ciężar właściwy: trzy przecinek dwa. Jak sądzisz, ta prasa się nada?

— Do czego? — zapytał Sawicz.

— Do wytłaczania cieczy z drewna.

— Nie wiem.

— A może przemyć drzazgi wodą? Uzyskamy roztwór wodny.

— Jak chcesz — powiedział Sawicz. — Dlaczego nie wykładasz trutki na myszy?

— Co? Przecież one są oswojone. Przynoszą mi opakowania szklane, a ja im za to płacę. Według cennika, jak w zbiornicy. Dwanaście kopiejek za półlitrowkę.

— Nie gadaj głupstw — powiedział Sawicz. — Po co myszom pieniądze?

— Jak to po co? Kupują sobie coś, oszczędzają, zresztą nie wiem. Wiem tylko, że one bardzo lubią pieniądze i za darmo niczego by nie przyniosły. Tylko nie potrafią odróżnić całej butelki od wyszczerbionej. Nie mam pojęcia, jak im to wytłumaczyć, i w ogóle one tu, kiedy będę w Moskwie, zupełnie się rozpuszczą.

— Pan nie żartuje? — zapytał Sawicz.

— Prrrawda, prrrawda — powiedział kruk.

— A po co miałbym żartować? Nie żarty mi w głowie. Po prostu potrafię nawiązać kontakt ze zwierzętami. No to jak, zrobimy wyciąg wodny? Obawiam się, że drzazgi zupełnie wyschną, że wszystko wyparuje.

— Niech pan robi. Preparaty krwi już gotowe, może je pan obejrzeć.

— Najpierw niech pan sam obejrzy, bo ja przecież nie odróżniam leukocyty od erytrocyty. W razie czego proszę mnie zawołać. Mam nadzieję, że w krwi coś się znajdzie. Zapomniałem tylko dla porównania pobrać krew zdrowego człowieka.

— Nie szkodzi, potrafię znaleźć jakieś wyraźne odstępstwa od normy — powiedział Sawicz.
— I tak nie mam nic lepszego do roboty.

Obaj zajęli się pracą i nie odrywali się od niej przez jakąś godzinę. Słońce przesunęło się teraz ku horyzontowi i świeciło wprost w okno, w pokoju zrobiło się gorąco, a z podwórka dobiegały głosy mężczyzn, którzy obsiedli chwiejny stolik pod krzakiem bzu i rozstawiali na nim kamienie domina.

Sawicz podszedł do okna i spostrzegł wchodzącego nieśmiało na podwórko chłopczyka w krótkich spodenkach, w którym natychmiast rozpoznał nieszczęsnego Udałowa.

— Popatrz — powiedział do Grubina. — Przestępcę ciągnie na miejsce zbrodni.

W tej samej chwili któryś z graczy zapytał głośno:

— Jak tam twój chłop, Ksenia? Jeszcze się nie znalazł?

Z okna wprost nad głową Sawicza rozległ się surowy, zimny głos kobiecy:

— Niech tylko spróbuje się pokazać. Za wszystko odpowie. Milicja go przyprowadzi. Na komisariacie taki sympatyczny oficer osobiście mi to obiecał.

Grubin, trzymając się z boku, aby go nie było widać z podwórka, wyjrzał na zewnątrz i wyszeptał:

— Jak tego idiotę nasi puścili?

Nie wiedział, że nękany tęsknotą za domem i poczuciem winy wobec najbliższych Udałow dokonał drugiej ucieczki w ciągu dnia. Gotów był ponieść najsroższą karę, gdyż zrozumiał, iż jedynym człowiekiem, który mógł mu pomóc, była Ksenia. Helena nie od razu spostrzegła nieobecność Udałowa, gdyż akurat wtedy wszedł Stiepanow.

— Ksenia! Ksiusza! — zawołał Udałow zatrzymując się na środku podwórza.

Gracze w domino przestali na moment stukać kamieniami. Z okna naprzeciwko żeński głos pomógł Udałowowi:

— Ksenia, jakiś dzieciak cię woła. Może przyniósł wiadomość?

— Ksenia! — ryknął jeden z graczy. — Wyjrzyj przez okno.

— Ksiusza — powiedział miękko Udałow ujrawszy w oknie ukochane oblicze. — Wróciłem,

— Czego chcesz? — zapytała Ksenia z irytacją.

— Wróciłem, Ksenia — powtórzył Udałow. — Zupełnie do ciebie wróciłem. Przyjmiesz mnie?

Gracze zaczęli się śmiać, bo w słowach dzieciaka było coś niepojętego, a jednocześnie niezmiernie śmiesznego.

— Jest coś od Korneliusza? — zapytała Ksenia.

— Jestem od Korneliusza — odparł chłopczyk. — To właśnie ja jestem Korneliuszem. Nie poznajesz mnie?

— On! — krzyknął nagle inny dziecięcy głosik. To wyglądający przez okno Maksymek, syn Udałowa, poznał swojego porannego prześladowcę. — To on mi zabrał spodnie! Mamo, wołaj milicję.

— Trzeba chyba będzie pośpieszyć na pomoc — powiedział Grubin. Wprawdzie psuło to jego

plany, ale nie mógł przecież zostawić przyjaciela w biedzie.

— Niech pan poczeka — powiedział Sawicz. — Zapomniał pan o własnym wyglądzie. On zdąży uciec.

— Chuligan! — powiedziała Ksenia. — Zaraz do ciebie zejdę!

— Nigdy nie należy skakać wyżej własnego pępka — powiedział refleksyjnie Sawicz. — Życie powinno toczyć się wedle własnych praw.

— Ależ nie, on ma po prostu pecha — zaproponował Grubin.

— On oderwał się od własnego życia, a nie odnalazł się w nowym. Zupełnie jak ja. I co teraz? Rzucić się pod pociąg?

— Za daleko do kolei — powiedział Grubin. — Zdasz się rozmyślić.

— To nie moja wina — powiedział Korneliusz nie mogąc powstrzymać się od płaczu. — Mnie wbrew mojej woli... Przyprawdę świadków...

— Popatrz, jaki ten dzieciak podobny jest do twojego Maksymka — powiedział jeden z graczy w domino. — Jak dwie krople wody.

— Rzeczywiście — powiedziała kobieta wyglądająca przez okno na przeciwległym końcu podwórza.

— Przecież jestem twoim mężem! Korneliuszem! — płakał chłopczyk. — Wyglądam tak nie z własnej woli...

Korneliusz ruszył w stronę domu, aby wejść na górę i przyjąć karę pod własnymi drzwiami, lecz ironiczne okrzyki rozlegające się z tyłu i śmiech dobiegający z otwartych okien skłoniły go do zatrzymania się. Stał więc i wykrzyknął błagalnie:

— Nie śmiecie się ze mnie! Przeżywam prawdziwą tragedię. Moje dzieci są starsze ode mnie. To nieważne, że zmieniłem się zewnętrznie. Ja z tobą, Matwieicz, przedwczoraj grałem w domino. Wygrałeś wtedy trzy partie z rzędu. Tak było?

— Wygrałem — powiedział wąsaty gracz. — A ty skąd wiesz o tym?

— Jak mam nie wiedzieć? — powiedział Udałow. — Przecież grałem z tobą w parze przeciwko Wasi i Kacowi. Nie ma go dzisiaj. To wszystko sprawa medycyny. Dokonano na mnie eksperymentu, zresztą za moją zgodą... Może to było bardzo cenne dla nauki, ale ja mam rodzinę...

— Głos wołającego na puszczy — powiedział Sawicz. — Wypędzą go.

Ksenia tymczasem zeszła na podwórko. W rękę trzymała wiklinową trzepaczkę. Maksymek szedł za nią z siatką na motyle.

— Chodź no tutaj — powiedziała. — Bliżej. Korneliusz opuścił głowę, uniósł do góry wąskie ramionka i podszedł. Ksenia chwyciła go za kołnierz koszuli i szybkim, sprawnym ruchem rozpiąwszy szeleczyki ściągnęła spodni, uniosła dzieciaka w powietrze i zamasyście uderzyła trzepaczką.

— Aj! — powiedział Korneliusz. — Za co?

— Poczekałabyś z tym — poradził Matwieicz. — Może to rzeczywiście nauka.

— To ten! — cieszył się Maksymek. — Przylej mu jeszcze!

Nieoczekiwanie ręka Kseni, uniesiona do następnego klapsa, znieruchomiała w pół drogi. Zdumienie Udałowej było tak oczywiste, że całe podwórko zamarło. Ksenia wypuściła trzepaczkę i uwolnioną w ten sposób ręką ostrożnie dotknęła pupy chłopczyka. Na pośladku widniał duży brązowy pieprzyk w kształcie ludzkiego serca.

— Co to? — zapytała cicho Ksenia.

Korneliusz spróbował, wisząc w powietrzu, wykręcić głowę w ten sposób, aby zobaczyć własne plecy.

— Ludzie kochani! — powiedziała Ksenia. — Przysięgam na zdrowie własnych dzieci, że

Korneliusz w tym samym miejscu miał identyczne znamię.

— Przecież mówiłem — rozległ się w martwej ciszy głos Matwieicza — że zanim zabierzesz się do bicia, powinnaś najpierw sprawdzić. Czego to nie bywa w epoce atomu!

— Ksenia, przypatrz się — powiedziała kobieta z przeciwka. — Człowiek rozpacza, a wiesz, że on ma pecha.

Korneliusz, który zaznał wstydu i bólu, sflaczał na rękach Kseni i zaczął gorzko szlochać. Ksenia objęła go, przycisnęła do obfitej piersi i szybko poszła do domu...

— Nie mogę już — powiedział nagle Sawicz.

— Co ci się stało? — zdziwił się Grubin.

— Idę.

— Dokąd?

— Zmęczyło mnie to wszystko, śmiertelnie zmęczyło.

Oczy miał znużone i puste. Studenci nie miewają takich

Okolo siódmej wieczorem wszyscy ponownie zebrali się w domu Kastielskiej. Przynieśli ciepłą odzież i rzeczy niezbędne w podróży. Grubin po zakończeniu doświadczeń przyprowadził samochód i zajął się przygotowaniem go do drogi na dworzec, który znajdował się w Biełojarze, o czterdzieści kilometrów od Guslaru. Automobil stał w ogródku za domem Heleny Siergiejewny i wolno pykał miedzianym kominem. Kółka niebieskiego dymu unosiły się ponad drzewami i można było pomyśleć, że w ogródku pyka fajkę jakiś leniwy palacz.

Sawicz postawił na ławce w sieni walizkę, wypchaną przeważnie rzeczami Wandy, i z niezrozumiałą dla siebie samego irytacją popatrzył, jak Helena z Wandą z zapalem zwięzają sukienki i spódnice, jakby zapomniały o zastarzałej rywalizacji o jego serce. Westchnął i poszedł do ogródka, gdzie krzątał się Grubin.

— Co tam z Udałowem? — zapytał.

Grubin wygramolił się spod wozu, wytarł ręce szmatą i powiedział:

— Obawiam się, że nie starczy drewna. Trzeba będzie załadować je do bagażnika. Pytałeś o Korneliusza?

Koszula Grubina była pokryta plamami kurzu i smaru, we włosach sterczały strużyny drewna. Przypominał małego chłopca, który dostał na urodziny prawdziwy rower.

— Tak. Co słyhać u Korneliusza?

— Przed wyjściem z domu wywołałem go na korytarz. Korneliusz jest w dobrym nastroju. Żona dała mu klapsa i przebaczyła. Wybierała się do nas, bo natchnąłem ją nadzieją, iż moskiewscy lekarze pomogą mężowi. Podaj mi klucz francuski.

— Gdzie on jest?

— Otwórz skrytkę na rękawiczki. Z przodu.

Sawicz zajrzał do wnętrza kabrioletu, znalazł mahoniową szufladę ze złożoną rączką i wysunął ją. W szufladzie leżał nastawny klucz do nakrętek i niewielka szkatułka oklejona czarnym aksamitem.

— A co tu jeszcze jest? — zapytał.

— Gdzie?

— Obok francuza.

— Nie wiem — powiedział Grubin. — Jeszcze nie badałem. Za mało czasu. Samochód zostawię u ciotki, która mieszka w Biełojarze. A jak wrócimy z Moskwy, rozbiórę go na części i z powrotem złożę. Wieczna maszyna. Ręczna robota. Teraz takich już nie robią.

Sawicz z trzaskiem odpiął zameczki w kształcie lwich pysków. Wewnątrz czarnej szkatułki leżała para pistoletów pojedynkowych. Oksydowane lufy płynnie przechodziły w rękojeści wygięte jak ogony przerażonych psów.

— Trzeba Milicę zapytać — powiedział Grubin nie interesując się szczególnie bronią.

Z takiego zabili Puszkina, pomyślał Sawicz podnosząc pistolet na dłoni, jak Hamlet czaszkę Yoryka. Lermontowa też. Odliczało się dziesięć kroków i opuszczało rękę dopóty, dopóki lufa nie znalazła się na jednej linii z piersią przeciwnika. Potem naciskało się spust...

— Ostrożnie — powiedział Grubin postukując czubkiem buta po przedniej oponie. — Bo jeszcze wystrzeli.

— Ciekawe, czy go się nabijało od przodu? — zapytał Sawicz.

— Młodzi ludzie, co tam znaleźliście? — powiedziała Milica, która wyfrunęła do ogródka z wiadrem w ręku. — Gdzie tu jest pompa?

Na widok perskiej księżniczki Grubin zapiął koszulę i zaczerwienił się.

— To są pistolety mojego teścia — powiedziała Milica. — Jak dziś pamiętam. Sawicz, błagam, proszę nie celować. Może pan trafić w Saszeńkę.

Sawicz odłożył pistolet na miejsce. Milica wcale nie bała się, że pistolet może rozerwać się w rękę Sawicza. I w ogóle Sawicz nikogo nie obchodził.

— Miła, nie denerwuj się — powiedział Grubin. — On nie trafi. A poza tym pistolety nie są nabite.

— Saszeńka, bardzo ci do twarzy z tym samochodem — powiedziała Milica. — Chciałabym cię zobaczyć w skórzanej kurtce i lotniczych okularach.

Z domu wyszli Ałmaz i Stiepan Stiepanowicz, pograżeni w przyjaznej rozmowie.

— A ja mu wtedy powiedziałem — rozległ się bas Ałmaza — wasza wysokość może powiesić tych nieszczęsnych ludzi, których jedyna zbrodnia polega na tym, że są głodni, ale wówczas wasza wysokość nie zdoła ująć przed zemstą...

— Jeszcze jeden album? — wykrzyknął Stiepan Stiepanowicz na widok atlasowej szkatułki w rękach Sawicza.

— Nie — odparł Sawicz. — To są pistolety.

— Gdzie je znaleźliście? — zapytał Ałmaz.

— W samochodzie — odparł Grubin. — W skrytce na rękawiczki.

— To są pistolety mojego teścia — wyjaśniła Milica. — Staruszek lubił powtarzać, że lęka się rozbójników.

Na ganek wyszła Helena Siergiejewna i powiedziała:

— Milico! Panią tylko po śmierć posłać. Gdzie woda?

— Proszę mi wybaczyć — powiedziała Milica — ale dokonaliśmy ciekawego odkrycia. Saszeńka znalazł stare pistolety.

— To ja je znalazłem — powiedział Sawicz, gdyż było rzeczą niesłuszną przypisywanie znaleziska komuś innemu.

— Natychmiast je schowajcie — powiedziała Helena. — Przecież nie macie pozwolenia na broń.

— Lena, nie obawiaj się — odparł Ałmaz. — Taka broń może zainteresować jedynie zbieracza. Jak tam z waszymi przygotowaniami do podróży? Wkrótce musimy ruszać.

— Zaraz będziemy gotowe — powiedziała Helena Siergiejewna. — Nikita, oddaj pistolety Ałmazowi.

Helena patrzyła na Sawicza, który nie chciał rozstawać się z pistoletami, i dziwiła się sobie. Powinna widzieć tęgawego studenta o blond włosach i niebieskich oczach, poczciwego, obraźliwego, widziała zaś starszawego otyłego mężczyznę, jakby ów student dawno już umarł. Nawet poczuła rodzaj zawstydenia, że poranne spotkanie przyprawiło ją o nieoczekiwane bicie serca.

Sawicz, jak gdyby odgadł myśli Heleny, cofnął się o krok od wyciągającego ku niemu rękę Ałmaza, nieprzyjaźnie powiódł wzrokiem po jego niedźwiedziej sylwetce i zapytał:

— Dlaczego?

— Trzeba — odpowiedział Ałmaz. — Oddamy je Stiepanowi Stiepanowiczowi, który umieści je w muzeum. A ty coś dzisiaj zaczynasz brykać. Młodość cię rozpiera?

— Ma pan całkowitą rację — wtrącił Stiepan Stiepanowicz. — Te pistolety mają wielką wartość historyczną.

Sawicz spojrział na Helenę. Helena stała na ganku i niskie słońce oświetlało ją z boku, a łagodny wietrzyk przyciskał sukienkę do jej dziewczęcego ciała. Diana Łowczyni — pomyślał Sawicz. — Okrutna bogini...

— Siłą mam ci je odebrać czy co? — zapytał Ałmaz ironicznie.

Wielki czarny kruk sfrunął gdzieś z nieba, usiadł na gałęzi i krzyknął:

— Krrrew!

— Co tu robisz? — zapytał Grubin kruka. — Chcesz jechać z nami?

— Okropność! — wykrzyknęła Milica. — Ten ptak sprowadzi na nas nieszczęście!

— Brrrednie — powiedział kruk.

Sawicz cofał się przed nacierającym Ałmazem.

— Heleno, moje słonko, co mam z nim zrobić? — zapytał kpiąco Ałmaz. — Wybaczyć czy wyzwąć na udeptaną ziemię?

— Nie żartujcie z bronią — powiedziała Helena surowym tonem. — Nikita, przestań się wygłupiać.

— Te pistolety mają co najmniej ze sto lat — powiedział Grubin. — Łąduje się je od przodu.

— Na udeptaną ziemię! — roześmiała się Milica. — Pamiętam, jak to bywało.

— Panowie, weźcie pod uwagę — powiedział Ałmaz — że ja trafiam na trzydzieści kroków w czerwienego asa.

— W czerwienego asa — powtórzył Sawicz jak zahipnotyzowany. — W samo serce.

Milica podbiegła, odebrała Sawiczowi szkatułkę i powiedziała:

— Będę waszym sekundantem. Bez sygnału nie strzelać. Dwanaście kroków. Walczycie o serce pięknej damy.

— Wcale nie potrzebuję walczyć — powiedział Ałmaz patrząc na Helenę — bo serce i tak zabiorę.

Całkiem możliwe, myślał Sawicz, że sto lat temu gdzieś niedaleko cofał się w kierunku zarośli inny mężczyzna, taki sam jak ja, ale inny. Narażono na szwank honor ukochanej kobiety. Kobiety, która nigdy nie będzie do ciebie należeć, lecz dla której gotów jesteś umrzeć. Zamiast samochodu stała kareta. Czarna kareta. Ale kobieta została utracona. Utracona dwukrotnie, gdyż jeśli nawet człowiek wróci na rozdroże, zdobędzie prawo wyboru innej drogi, droga ta mimo wszystko zaprowadzi go w to samo miejsce.

— Dawno już tak nie stałem z pistoletem. Odzwyczailem się — powiedział Ałmaz odbierając broń z rąk Milicy, poczym sprawnie odciągnął twardy kurek. — Przygotuj się, kornecie.

— A czy pojedynkował się pan kiedyś? — zapytała Szuroczka, która biegła po bilety do miejskiej kasy i wróciła w najgorętszym momencie.

— Dwukrotnie, kochanie — odparł Ałmaz. — Dwukrotnie.

— I oba razy o kobietę?

— Nie, oba razy o poważne sprawy. O kobietę walczę po raz pierwszy — powiedział Ałmaz, obrócił się ponownie do Heleny i poprosił: — Ofiarowałabyś mi chusteczkę na pamiątkę...

— Ałmazie Fiedotowiczu! — powiedziała surowo Helena.

— Żartuję.

Sawicz ścisnął ciepły, poręczny uchwyt pistoletu i poczuł, jak zrasta mu się z dłonią, a ręka zaczyna się wolno unosić, bowiem trzeba, aby pierś przeciwnika i lufa broni znalazły się na jednej linii.

Ałmaz nie spieszył się. Podrapał się pistoletem za uchem i powiedział obojętnie:

— Sawicz, zapomniałeś odwieść kurek. W ten sposób broń ci nie wystrzeli.

Sawicz usłuchał.

— Mocniej ciągnij — powiedział Ałmaz. — Na razie go zabezpieczyłeś. Tak, teraz jest w porządku. Celuj. Wiesz jak?

— Wiem — powiedział Sawicz.

W głowie przewalały mu się skłębione myśli. Upadnę, to znaczy on upadł brocząc krwią,

upadł na trawę, a krew splamiła mu koszulę, zobaczę, to znaczy on zobaczy zrozpaczone oczy Heleny, rozkochane oczy Heleny, utracone na zawsze oczy Heleny...

— Pal! — krzyknęła Milica.

Ałmaz, któremu ta zabawa już się nieco znudziła, wprawnym ruchem przesunął lufę w górę i w bok, żeby przypadkiem kogoś nie postrzelić, i szcęknął kurkiem. Opuścił rękę i chciał już odejść, kiedy Sawicz krzyknął:

— Stój! Mój strzał!

Sawicz dostrzegł uśmiech przeciwnika, ale nie potrafił się zatrzymać. To był pojedynek i jeden z nich musiał zginąć.

Grzmotnęło, pistolet szarpnął się w rękę. Pocisk, który spokojnie przeleżał w lufie ponad sto lat, gwizdnął nad uchem Ałmaza i zniknął, strąciwszy po drodze gałązkę z drzewa. Helena rzuciła się ku Ałmazowi, stojąca na ganku Wanda wyrzuciła w przerażeniu ręce do góry. W oddali rozległ się czyjś wrzask, i zaległa cisza.

Zamilkły nawet ptaki i pszczoły.

— Nie sądziłem — powiedział Sawicz upuszczając pistolet na trawę — że on wystrzeli. Przecież jest taki stary.

— Bałwan — powiedział Ałmaz.

— Prawdziwy pojedynek — powiedziała lekkomyślna Milica. — Ałmaz ma prawo do strzału. Heleno Siergiejewno, proszę nie płakać. On i tak by nie trafił z tej odległości.

— Przepraszam — powiedział Sawicz.

Rozpaczliwy wrzask, który rozległ się w chwili wystrzału za furtką, zbliżał się coraz bardziej. W ogródku zjawiał się Udałow. To właśnie on był źródłem owego wrzasku.

— Zostałem zabity! — oświadczył.

— Do czego to podobne? — zapytała Ksenia Udałowa wchodząc za mężem do ogródka.

Udałow był bez spodenek. Spodenki niosła za nim żona. Na biodrze Udałowa widniał siniak. Ksenia pokazała wszystkim kulę.

— Wyjęłam ją ze spodni — powiedziała. — Złożę skargę.

Sawicz odwrócił się na pięcie i uciekł do sieni, odepchnąwszy stojącą w drzwiach Wandę. Zapragnął, żeby zrobiło się ciemno.

— Oddaj spodnie — powiedział Udałow do żony biorąc się w garść. — Nie jestem smarkaczem.

Wieczór był wietrzny i zapowiadał zmianę pogody. W samochodzie ulokowano najpierw kobiety i dzieci. Ksenia z Udałowem na kolanach usiadła obok kierowcy. Grubin chciał tam umieścić również Milicę, ale Wania, którego trzeba było wziąć do Moskwy, żeby oddać mamie, stanął okoniem. On również chciał być przy kierownicy i Helena Siergiejewna musiała się z nim przenieść na przednie siedzenie. Wania natychmiast zaczął dokazywać i zaczepiać Udałowa, a Ksenia, współczując mężowi, zerkała z irytacją na cudzego dzieciaka.

Tylne siedzenie zajęła Szuroczka, Wanda i Milica, a Stiepan Stiepanowicz z albumem i ponury Sawicz przysiedli na walizkach. W ostatniej chwili Sawicz oświadczył, że nigdzie nie pojedzie, ale Ałmaz wziął go na stronę, porozmawiał chwilę i namówił do wyrażenia zgody. Wanda wyciągnęła rękę, żeby pogłodzić go po ramieniu, ale Sawicz odsunął się, więc powiedziała:

— Jak nie, to nie. Od wieków wybierałam się do Moskwy. Przecież mam do tego prawo na starość.

— I tak nie możesz pojawić się w pracy — powiedział Grubin.

Sawicz milczał.

Ałmaz i Misza Standal ulokowali się na tylnym stopniu. Automobil budowano w latach, kiedy jeszcze istnieli lokaje, wobec czego wyposażono go w stopień tak szeroki, że zmęczony fagas mógł na nim przysiąść.

Kotka Milicy, o której wszyscy zapomnieli, w ostatniej chwili zdążyła wskoczyć do samochodu, i kruk, krążący nad Grubinem, poczuł się tym dotknięty, krzyknął więc na nią, żeby się nie wychylała.

— Ale arka Noego! — powiedział Ałmaz. — Ruszaj, sałata. Jedziemy podbijać stolicę.

Grubin dodał pary, dym wystrzelił w pociemniałe niebo, w trzewiach automobilu załomotało i kabriolet wolno, niczym parowóz ciągnący półkilometrowy skład wagonów, ruszył z miejsca.

Kruk usiadł na chłodnicy, zatrzepotał skrzydłami i zaśpiewał fałszywie:

— „Żegnaj, miasto ukochane!”

— Nie przeszkadzaj — powiedział Grubin, przekrzykując stuk silnika. — Zasłaniasz mi drogę.

Wania wtórował krukowi i wówczas ptak, żeby duet lepiej brzmiał, przefrunął Wani na ramię. Ksenia obawiała się kruka i osłaniała przed nim Udałowa.

Miasto przejechali wolniutko, wzbudzając sensację i wywołując ironiczne komentarze ludności. Wcale ich to jednak nie peszyło, gdyż oderwali się już od miejskiego życia.

Wypolerowane do połysku mosiężne i srebrne detale automobilu promieniowały łagodnym blaskiem. Na skrzyżowaniu spotkali redaktora Malużkina. Poznał on żółtą łysinę Stiepana Stiepanowicza, która kołysała się ponad krawędzią kabrioletu, poznał Standala stojącego na tylnym stopniu, zdziwił się i obraził, i zdążył krzyknąć:

— Żebyście jutro byli w redakcji przed dziesiątą. Będzie zebranie w sprawie dyscypliny!

Standal uniósł rękę pozdrawiając Malużkina i odparł:

— Pomiął pan dziś dwie okazje zdobycia sławy. Współczujemy panu!

Malużkin nie dosłyszał odpowiedzi podwładnego, bo przeszkadzał mu w tym łoskot silnika, ale na wszelki wypadek pogroził palcem.

Samochód wjechał między podmiejskie domy z rzeźbionymi obramowaniami okien, ogródkami od frontu i wysokimi antenami telewizyjnymi. Ciężarówki trąbiły wyprzedzając

automobil, a jeden z kierowców wychylił się z kabiny i powiedział do Grubina:

— Numer zgubiłeś. Uważaj, żebyś nie złapał mandatu. — O rany! — spłoszył się Grubin. — Rzeczywiście nie mamy numeru.

— Nie przejmuj się — odparł Almaz. — Jeśli tutaj nam się poszczęści, to na stację przyjedziemy już po ciemku.

Kiedy minęli zakręt w stronę domu wypoczynkowego, z nizinki zaczęła napływać mgła, która zawisała nad szosą niczym tiulowe firanki i zwierala się za samochodem, wytłumiając stukot silnika. Dym z komina opadł do tyłu i zlewał się z mgłą. Las ze wszystkich stron obstał podróżników, skradając się czujnie i nieufnie.

— Jakoś mi zimno — powiedziała Milica. — Kiedy byłam babcią, miałam mnóstwo różnych szali.

— Chcesz moją koszulę? — zapytał Grubin odwracając głowę.

— Patrz na drogę — powiedziała Ksenia przyciskając do piersi ukołysanego Korneliusza.

— Dziękuję ci, Saszeńka — powiedziała Milica. Zaplątała palce w jego czuprynie i samochód zatoczył się jak pijany.

W tej samej chwili Grubin nacisnął hamulec. Przed nimi pośrodku drogi stał człowiek zanurzony po pas we mgle.

Człowiek podniósł rękę.

Grubin uniósł się, wychylił do przodu i powiedział:

— Masz szczęście, że poruszamy się z taką małą szybkością. Gdyby to była wywrotka, zostałyby z ciebie tylko mokra plama.

— Wiem — powiedział człowiek.

— Prosimy więc zejść z drogi — powiedział Grubin. — W autobusie nie ma już wolnych miejsc.

— Proszę się odsunąć — Ksenia poparła Grubina. — Wieziemy chore dziecko.

— Wiem wszystko — powiedział człowiek. — Proszę opuścić samochód.

— Co? — zdziwił się Grubin.

— Społeczny inspektor ruchu — powiedział Standal.

— To jest mój samochód — wyjaśniła Milica. — Jedzie za moją zgodą. Nie przekroczyliśmy żadnego przepisu. Spieszmy się do Moskwy.

— O to właśnie chodzi — powiedział człowiek. — Ałmazie Fiedotowiczu, nie poznał mnie pan?

— Poznałem — powiedział cicho Ałmaz. Tak cicho, jak nie mówił ani razu w ciągu ostatnich dwóch dni. — Poznałem.

— Ałmazie Fiedotowiczu, pogwałcił pan naszą umowę — powiedział człowiek. — Uprzedzałem pana o konsekwencjach.

— Tak — odparł Ałmaz podchodząc blisko do nieznanego. Okazało się, że jest od niego wyższy co najmniej o dwie głowy.

— Dopóki używał pan eliksiru młodości tylko dla siebie, zobligowany wdzięcznością za uratowanie mi życia, nie stawiałem żadnych przeszkód. Nie czyniłem tego również i wtedy, kiedy użył pan środka przeciwko starości do wyleczenia pańskiej bliskiej znajomej Milicy Bakszt. Jednak wczoraj, powodowany strachem przed nadchodzącą śmiercią, ujawnił pan sekret postronnym. Tym postępkami postawił pan mnie w trudnej sytuacji. Jestem zmuszony podjąć odpowiednie kroki.

— Wybacz — powiedział Ałmaz. — Jakoś tak wyszło. Ale z tym strachem przed śmiercią przesadziłeś. Po prostu mam wiele spraw do załatwienia i nie mogę teraz umrzeć.

Nieznanomy promieniował słabym blaskiem i mgła w jego pobliżu wydawała się nieco jaśniejsza. W półmroku trudno było dojrzeć rysy jego twarzy. Człowiek mówił poprawnie, ale monotonicznie i beznamiętnie, jakby odczytywał stosowny dokument z okrągłą pieczęcią.

— Domyślasz się, kto to jest? — zapytał Grubin Milicę.

— Tak — odparła dziewczyna przerażonym szeptem.

— Ja też.

Standal zeskoczył ze stopnia i chciał podejść do rozmawiających, ale malutki człowiek powstrzymał go gestem ręki.

— Pan i tak znakomicie wszystko słyszy — powiedział.

Standal stanął.

Cała ta scena postronnemu widzowi mogłaby się wydać zagadkowa, a nawet złowieszczą. Staroświecki, zwilgotniały od mgły automobil stał pośrodku szosy, a świerki wyciągały ku niemu czarne łapy. Przed nim, po pas we mgle, znieruchomiał Ałmaz i kosmiczny podróżnik. Ludzie w kabriolecie również znieruchomieli, zdrtwili. Jedyne kruk wolno chodził po masce postukując

długimi pazurami.

— Jestem zmuszony odebrać wam niezasłużony dar — powiedział człowiek. — Powróćcie do poprzedniego stanu i wspomnienie o waszej przygodzie wyda się wam jedynie dziwnym snem.

— Nie! — powiedziała Milica. — Nie, tylko nie to! Przecież jestem młoda, bardzo młoda!

— Oszczędź ich — poprosił Ałmaz.

— Ciebie też oszczędzić?

— Jak chcesz.

— Nie mam prawa — powiedział nieznajomy. — Ziemia jeszcze nie dorosła do młodości. Mógłbym pozostawić was w spokoju, gdybym był pewien, że całe to wydarzenie nie zostanie rozgłoszone. Ale udajecie się do Moskwy i jutro spotkacie się z uczonymi, których zdołacie przekonać, iż to, co wam się przydarzyło, wydarzyło się naprawdę. Macie dokumenty i fotografie, na których wasz wiek absolutnie nie odpowiada waszemu obecnemu wyglądowi. W rezultacie naukowcy, przekonawszy się, że przygotowanie eliksiru młodości jest możliwe, zaczną pracować w tym kierunku. Po jakimś czasie, za parę lat, zdołają zapewnić ludziom wieczną młodość. Nie możemy do tego dopuścić. Ziemia nie dorosła do takiego daru, nie jest jeszcze do niego przygotowana.

— Ja nikomu nie powiem. Przysięgam, że nikomu nie powiem! — płakała Milica, — Saszeńka, powiedz mu, że ty też nikomu nie powiesz!

— Istotnie nikomu nie powiemy — potwierdził Misza Standal, który przeraził się, że znów zobaczy zgrzybiałą staruszkę Bakszt.

— Młody człowieku — powiedział Przybysz z Kosmosu i wyrzutem w głosie. — Doskonale rozumiem, że panu osobiście nic nie zagraża. Mogłoby się wydać, że z pańskiej strony nie będzie żadnych przykrych niespodzianek. Zapomniał pan jednak, że mogę czytać myśli. Ałmaz Fiedotowicz zapewne powiedział wam o tej mojej umiejętności. Pańskie myśli kryją w sobie podstęp i oszustwo. Ma pan nadzieję, że uwierzę, pozostawię was w spokoju, a potem będziecie mogli kontynuować podróż. — Obrócił się w stronę Grubina i powiedział szybko: — Proszę wyjąć rękę ze szkatułki. Pistolety i tak nie są nabite. Nie zdoła mnie pan zabić, a jeśli nawet, to na moje miejsce przyjdą inni i odbiorą wam młodość. To będzie sprawiedliwe.

— Babciu, nie słuchaj wujka — powiedział Wania. — Taka mi się bardziej podobasz.

— Moja decyzja jest nieodwołalna — powiedział człowiek. — Osobiście wam współczuję. Nie jestem okrutny i wierzę, że w swoim czasie, za kilkaset lat, wasi potomkowie...

— On blefuje! — powiedział nagle Grubin bardzo głośno. — Ałmaz, nie słuchaj go. On blefuje. Nigdy nie zmusi nas do przełknięcia swoich antytabletek i antykropli.

— Nie — odparł człowiek — nie oszukuję was. Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że nie będziecie chcieli zażyć odtrutki. Mam inny sposób na przywrócenie sprawiedliwości.

W jego ręczce pojawił się czarny aparat, przypominający rewolwer z obciętą lufą. Z aparatu wytrysnął zielony promień, rozpylił się w powietrzu, zaślnił miękkim seledynem w oparach mgły i ogromnym ciężarem zwałił się na ludzi. Grubin zatrzymał się w pół skoku, Ałmaz i Standal zwalili się na zimny asfalt, utonęli we mgle, a perska księżniczka urwała na wysokiej nucie rozpaczliwy krzyk...

Ale świadomość jeszcze nie zgasła. Myśli galopowały, skakały przez przeszkody, odliczały ostatnie sekundy.

Helena widziała własne ręce, przyciskające Wanię do piersi. Ręce były młode i silne, więc drętwiała z przerażenia, że zaraz osłabną, pokryją się zmarszczkami.

Milica szeroko otwartymi oczyma patrzyła na przednią szybę kabrioletu, która wyglądała jak czarne lustro. W tym zwierciadle widziała miękki owal twarzy i kruczoczarne włosy spływające

na ramiona. Te włosy wypadną, wyblakną, podbródek uniesie się do góry i głębokie bruzdy przeorzą kąciki zapadniętych ust. Milica błagała zapomnianego Boga, aby zesłał jej szybką śmierć, żeby umarła, zanim nastąpi straszliwa przemiana.

Ałmaz zamknął oczy. Spowijająca go biała mgła była materialna i ciężka. Pomyślał z żalem o rzece. Wyobraził ją sobie: i brzegi obramowane brudną pianą, i pożółkłe krzewy na brzegach, i ryby pływające w zrudziałych falach białymi brzuchami do góry. Przynależał rzece, że ją uratuje. Nie dotrzymał słowa. Mimo wszystko wróci tam, bo do śmierci zostało mu jednak jakieś kilka dni.

Grubin z nienawiścią myślał o swoim pokoju zawalonym rupieciami, o życiu wśród tych rupieci, ale ziarenka z przerwana w pół słowa „Pieśnią o Wieszczym Olegu”, które wyrzucił kurom, wcale nie żałował.

Wandę nawiedziła dziwna myśl: bolała nad tym, że nigdy nie przespaceruje się po Moskwie w modnej sukience i nie będą się za nią oglądać nieznajomi, przystojni mężczyźni.

Grubinowi przysłała do głowy jeszcze jedna myśl. Nie odważył się dotąd dotknąć perskiej księżniczki, a teraz było za późno, i nie było sił, żeby odwrócić głowę, żeby na zawsze zapamiętać...

Łzy toczyły się po policzkach Szuroczki. Twarz miała mokrą i gorącą, ale nie mogła jej obetrzeć. Tak bardzo chciała pocieszyć Helenę Siergiejewnę...

A Helena wyobraziła sobie rzekę, nad którą mogłaby mieszkać z Ałmazem. Teraz, kiedy miała pewność, że to się nie spełni, mogła się do tego przyznać...

Zielony promień ustąpił miejsca złotemu i myśli zgasły.

Człowieczek odrzucił na bok, w mgłę, niepotrzebny już aparat, który unicestwił działanie eliksiru. Sprawiedliwości stało się zadość... Ruszył w stronę samochodu i po drodze przestąpił przez nieruchome ciało Ałmaza.

Człowieczek był smutny. Odebrał myśli tych ludzi i przeklinał chwilę, w której podarował Ałmazowi sekret młodości. Gdyby wówczas wiedział, że nie tylko on sam zapłaci najwyższą cenę za chwilę słabości...

Dorośli, gruby Udałow zsunął się z kolan tęgiej kobiety, swojej żony, a jego głowa oparła się na krawędzi karoserii. Człowieczek ostrożnie unióśł tę głowę za rzadkie, jasne włoski i wpatrzył się w zadartonosą, zamyśloną twarz. No cóż, Udałow szybko pogodził się z powtórnym przeobrażeniem, bo przywykł do dziwnych historii. Myślałby kto! Był dziś ośmioletnim chłopczykiem i znowu stał się kierownikiem komunalnego przedsiębiorstwa budowlanego.

Człowieczek zajrzał na tylne siedzenie. Sawicz, który siedział na walizkach oparty plecami o Stepana Stepanowicza, przypominał teraz swego sąsiada. Na twarzy prowizora zastygł wyraz skrzywdzonego dziecka, jakby do ostatniej chwili nie mógł się zdecydować, czy zajście na drodze jest dobre dla niego, czy też nie.

— No cóż — powiedział głośno człowieczek. — Spełniłem swój obowiązek.

Już niemal zupełnie się ściemniło, a mgła zaczęła przelewać się przez wierzch samochodu. Gwiazdy mrugały na granatowym niebie w szczelinach między szarymi chmurami. Wiatr wyginał wierzchołki świerków, co sprawiało wrażenie, jakby drzewa wdychały i szeptały tajemniczo pochylając się ku sobie.

Człowiek przeniósł wzrok na Milicę, chociaż nie chciał tego robić, gdyż obawiał się, że nie zniosła swego nieszczęścia i umarła.

Milica siedziała z głową odrzuconą na oparcie skórzanej kanapy, a jej piękna twarz była spokojna, jakby w ostatniej sekundzie pogodziła się z losem. Krucze włosy spływały po policzkach i zwijały się w pukle na stromej piersi. Długie rzęsy czarnymi półkolami podkreślały błądź policzków.

— To niemożliwe! — wykrzyknął człowieczek.

Obok Milicy, niezręcznie pochylona ku Sawiczowi, siedziała młoda Wanda.

Człowiek bezceremonialnie odsunął Udałowa i zajrzał w twarz Heleny Siergiejewny. Kastiejska była młoda, tak samo młoda, jak pięć minut temu.

— Co, nie udało się? — zapytał kruk podrywając się z maski.

Człowiek machnął ręką na ptaka, odbiegł od samochodu, pochylił się, zniknął we mgłę i zaczął na oślep szukać Ałmaza. Wreszcie go wymacał i unióśł za ramiona. Ramiona były ciężkie, pełne, skóra zaś gładka i jędrna.

— To niemożliwe — powtórzył człowiek prostując się.

W tej samej chwili skończyło się działanie promienia i ludzie odzyskali przytomność.

Milica przede wszystkim dostrzegła dorosłego Udałowa, który usiłował wstać z podłogi u stóp swojej żony. Zobaczyła go i rozplakała się, lękając się przenieść wzrok na Saszeńkę i nie śmiejąc nawet poruszyć ręką. Wanda zaś zobaczyła męża i gorzko krzyknęła.

Z mgły, niczym bajkowy rycerz z morskiej fali, wyłonił się Ałmaz Bity. Poklepał się po ramionach, przeciągnął i zapytał:

— No cóż, wędrowcze, nie udało ci się?

Człowiek pobiegł wzrokiem za jego spojrzeniem, dostrzegł smukłą sylwetkę Heleny, usłyszał

głos Wani: „Wszystko w porządku, babciu, nie martw się. Jesteś tak samo ładna”. Wtedy powiedział:

— Zrobiłem wszystko tak, jak powinienem zrobić.

— Nie udało się! — wrzasnął kruk.

— Sądzę — ciągnął człowieczek rzeczowym tonem — że do poprzedniego stanu wrócili jedynie ci osobnicy, którym młodość była niepotrzebna. Pozostali podświadomie potrafili przeciwstawić się działaniu żółtego promienia.

— Dobra, dobra, pewnie się lepiej na tym znasz — rzucił pobłaźliwie Ałmaz. — No i jak, Udałow, teraz jesteś zadowolony?

— Zadowolony — odpowiedziała za niego Ksenia i nie mogąc powstrzymać się od płaczu, zaczęła powtarzać: — Wrócił mój zajaczek, wrócił. Niech cię dotknę.

— Daj spokój, daj spokój — mruknął Udałow zażenowany tym, iż żona używa słów zastrzeżonych dla sytuacji intymnych. — Przecież mówiłem, że wszystko się ułoży.

— Chyba dobrze się stało — powiedział Stiepan Stiepanowicz.

— Ale to przecież niesprawiedliwe — zaoponował Sawicz. — Za co właśnie mnie to spotkało? Przecież pragnąłem pozostać młody nie mniej niż Wanda lub Helena.

— Nie martw się, mój drogi — powiedziała mu Wanda i jej białe zęby błysnęły w ciemności. — Kocham cię. Taki nawet jeszcze bardziej mi się podobasz.

— Zrobiłem wszystko, co mogłem — powiedział raz jeszcze człowiek z kosmosu cofając się ku skrajowi lasu i rozsuwając gałęzie świerków. — Odlatuję, Ałmazio Fiedotowiczu, mam nadzieję, że jeszcze się kiedyś spotkamy. W bardziej sprzyjających okolicznościach.

— Dziękuję ci — powiedział Ałmaz.

— Nie ma za co — odparł człowiek.

— Proszę się nie gniewać za kłopot, który panu sprawiliśmy — powiedziała Szuroczka.

— Drobiazg.

— Dziękuję za Korneliusza — powiedziała Ksenia. — Bo co bym zrobiła z trzema dzieciakami bez męża?

Człowiek uśmiechnął się smutno i rozpląnął w ciemności.

W jakieś dwadzieścia minut później Grubin ponownie zaczął dorzucać do paleniska. Musiał się spieszyć, żeby zdążyć na moskiewski pociąg. Krzątał się przy kotle, a Milica trzymała świeczkę osłaniając jej płomyk przed wiatrem. Palce przeświecały różowo, a oświetlona od dołu twarz stała się zagadkowa. Grubin kręcił głową i Ałmaz zaczął gderać, żeby zajął się robotą zamiast gapić się na księżniczkę.

— Zaczekam tu na ciebie — powiedział Sawicz do żony. — Jedźcie sami. Muszę pomyśleć, przemyśleć bardzo wiele rzeczy.

— On ma kompleks niższości — poskarżyła się Wanda Helenie, bo niby komu miała się poskarżyć? — Różnica wieku między nami nie jest znów taka wielka. Mamy przed sobą co najmniej dwadzieścia lat szczęśliwego pożycia. Powiedz, Lena, czy jestem złą żoną?

— Nie namawiaj go — powiedziała Helena Siergiejewna. — Niech zostanie.

— A jak popełni samobójstwo?

— Nie popełni — powiedział Ałmaz.

— Nie lubię, kiedy się o mnie mówi jak o nieobecny — powiedział Sawicz i odwrócił się, żeby odejść, ale Wanda go dopędziła.

Udałow obejmował Ksenię w talii i mówił do Grubina gorączkowym tonem, jakby stał na peronie u drzwi odchodzącego pociągu:

— Powiem naszym, sąsiadom z domu, żeby się nie denerwowali, i rybki będę karmił. Za światło zapłacę, nie bój się. I za mieszkanie. Oddasz po powrocie. Pisz listy, Sasza. Szkoda, że nie wypiliśmy na drogę.

— Ciągle tylko o jednym myślisz — powiedziała Ksenia czule. — Nic, tylko byś pił.

— Pewnie się bardzo bałeś, Saszeńka? — zapytała Milica zdmuchując świecę.

— Nie — odparł Grubin z udawaną beztroską. — Pamiętałem, że mamy w walizce próbki eliksiru. Powtarzałem w duchu tabliczkę mnożenia, żeby Przybysz z Kosmosu nie przeczytał moich myśli. W najgorszym razie odłożylibyśmy młodość na jakieś dwa lub trzy lata.

— Ja bym nie zdążyła — powiedziała Milica takim tonem, jakby chodziło o kogoś innego.

— Pisz, nie zapominaj — powtórzył Udałow gładząc się dłonią po brzuchu, rozkoszując się solidnością swego dorosłego ciała. Ubrany był w piżamę Sawicza, gdyż spodenki Maksymka rozleciały się na strzępy podczas powtórnego przeobrażenia.

— Pisz, Nikitka — powiedziała Wanda wsiadając do samochodu. — Na poste restante. Jak tylko przyjadę, natychmiast wyślę do ciebie telegram.

Samochód sapnął i ruszył.

Wanda uniosła się z kanapy i obejrzała się za Sawiczem. Sawicz nie odwracając głowy odchodził we mgłę.

Udałow i Ksenia objęci stali po pas we mgle i machali rękoma na pożegnanie.

Oni też rozplłynęli się we mgle i w łoskocie tłoków.

Samochód płynął rzeką mglistych oparów.

Przez nieboskłon przemknął odlatujący statek kosmiczny, nie wyróżniając się niczym spośród innych sputników i rakiet.

Około trzeciej nad ranem pociąg zbliżał się do Wołody. Za oknami rozpościerał się nieśmiały letni brzask, a drzewa odsuwały czarne listowie od rozpędzonych wagonów. Za uchylonymi, żeby nie było tak duszno, drzwiami przedziału wzdychali, przewracali się z boku na bok, pojękiwali przez sen pasażerowie z Wielkiego Guslaru.

— Chodźmy zapalić na pomost — powiedział Ałmaz.

— Ja nie palę — odparła Helena.

— No to po prostu postoisz ze mną.

Drzwi na pomost otwarły się zamasyście, w uszy uderzył stukot kół wagonu. Na pomoście było znacznie chłodniej.

— Zdumiewająca historia — powiedziała Helena. — Nigdy bym w nią nie uwierzyła, gdyby ktoś mi opowiedział. Dlaczego właśnie ja? Przecież na świecie żyje trzy miliardy ludzi i wielu oddałoby wszystko, żeby znaleźć się na moim miejscu.

— Zwyczajna loteria — odparł Ałmaz zaciągając się z przyjemnością tanim papierosem. — Szczęśliwy los.

— Ten los nie dla wszystkich okazał się szczęśliwy.

— Milionową wygraną też można przepić albo przegrać w karty, a potem powiesić się z rozpacz.

Zamigotały żółte gwiazdki latarni i pojawiła się rozległa, ciepła, jasna plama stacyjki. Pociąg nieco zwolnił.

— Co będzie dalej? — zapytała Helena. — Co będzie z nami?

— Chcesz zajrzeć w przyszłość? Mogę ci w tym pomóc.

— Jesteś również jasnowidzem?

— Jeśli człowiek żyje tak długo, jak ja, wszystkiego może się nauczyć.

— Wobec tego opowiedz, co będzie ze mną.

— Twoją przyszłość jest najłatwiej przewidzieć. Wyjdiesz za mnie. Nie teraz jeszcze, ale za rok. Pojedziesz na Syberię. Będziesz uczyć dzieciarnię w szkole. Urodzisz mi syna.

— Nie jesteś jasnowidzem — oburzyła się Helena — tylko wstrętnym uwodzicielem, wykorzystujesz ufność naiwnej panienki.

— Chciałaś słuchać, więc się nie oburzaj — odparł Ałmaz. — Ja się nie zmienię. Taki już mam charakter, że nadal będę urządził awantury, narażał się na kłopoty, dyskutował, gdy nie trzeba, nie słuchał, kiedy należy słuchać. Słowem, najbliższe sto lat będę miał wypełnione po brzegi.

— To brzmi przekonująco — uśmiechnęła się Helena. — Ten wariant mi się podoba. A teraz opowiedz o innych.

— O innych? Nasz przyjaciel Sasza Grubin zajmie się nauką. Stanie się w końcu członkiem korespondentem Akademii Nauk. I dziwakiem. Im będzie starszy, tym bardziej będzie dziwaczny. Stanie się typowym roztargnionym profesorem, co to kalosze zakłada nie na tę nogę i wychodzi na deszcz bez kapelusza. A jego małżonka będzie wybiegać za nim na ulicę i wykrzykiwać: „Sasza, co ja mam z tobą zrobić?”

— Milica?

— Co tu ma do rzeczy Milica? Milica za niego nie wyjdzie. Odfrunie i utonie w wirze moskiewskiego życia. Kupi sobie nowy sztambuch, a jakiś poeta napisze w nim wiersz o czarnych oczach perskiej księżniczki.

— O Sawiczach nie mów, sama wiem — powiedziała szybko Helena.

— Nie wiesz. Niedługo z sobą pożyją. Uciekną od siebie. Sawicz będzie za tobą wzdychał, przysyłał okolicznościowe życzenia. On chyba najgorzej na tym wszystkim wyszedł: i ciebie nie zdołał odzyskać, i Wandę straci.

— Domyśliłeś się?

— Ślepy by to zauważył. Żal mi go... Kto nam jeszcze został? Aha, Standal. A więc Standal napisze swój koronny artykuł. Kiedy przyjedzie do Domu Dziennikarza, szatniarze powitają go jak kumpla, a młodzi żurnaliści zaczną pytać: „Kim jest ten facet podobny do Czechowa?” A starsi koledzy odpowiedzą im na to: „To Standal. Pamiętasz artykuł «Cudowny eliksir»? Od niego się wszystko zaczęło”. Młodzi dziennikarze będą patrzeć na niego z zazdrością, gdyż każdy chciałby napisać artykuł, który z gazetowej efemerydy przejdzie wprost do historii. A Malużkin, guslarski redaktor, będzie aż do emerytury tłumaczył kolegom: „Wiesz, jak to jest, pielenie...”

— O Standalu opowiedziałeś mi szczegółowo. A co będzie z Szuroczką? To moja uczennica.

— Pozostanie twoją uczennicą. Zda egzaminy na wyższą uczelnię, zdobędzie dyplom historyka, szczęśliwie wyjdzie za mąż, urodzi troje dzieci, podobnych do niej jak dwie krople wody, ale z pracy nie zrezygnuje...

— Masz bujną fantazję — powiedziała Helena. — Robi się chłodno. Pora iść spać. Zanim się człowiek obejrzy, znajdzie się w Moskwie. Jak tam będzie?

— Tak w dwóch słowach nie da się tego opowiedzieć, to cała powieść fantastyczna, która zacznie się w momencie, gdy wysiadziemy na Dworcu Jarosławskim, a skończy się z chwilą utworzenia specjalnego Instytutu Młodości. W tej powieści też będą zawikłane intrygi, scenki komiczne, łyzy i karkołomne przygody.

— Czyżby cały instytut naukowy? — zapytała serio Helena.

— Może nawet nie jeden — odparł Ałmaz gasząc papierosa. — Widzę, jak w przyszłości uczeni będą wciąż pracować nad tym problemem, aż wreszcie, po jakimś czasie, osiągną pewne sukcesy.

— Jaka szkoda, że tak późno. Może nie warto jechać do Moskwy?

— Musimy jechać! Koło historii obraca się tylko w jedną stronę. Będzie kiedyś eliksir dla całej ludzkości. Kiedyś. Dla przyszłych pokoleń. A my jesteśmy potrzebni po to, żeby ludzie zrozumieli, iż wieczna młodość jest możliwa.

— Szkoda. Myślałam...

— No, jeśli się zmartwiłaś, to muszę się przyznać, że skłamałem. Diabeł mnie podkusił. Daję głowę: eliksir będzie gotowy za rok i będziesz go mogła kupić za parę kopiejek w każdej aptece. Teraz jesteś zadowolona?

Wrócili do wagonu. Helena poszła do swego przedziału, natomiast Ałmaz zatrzymał się w korytarzu, gdzie czatował na niego Stiepan Stiepanow z albumem w rękach.

— Chce się panu spać? — zapytał Stiepanycz z obojętnością w głosie.

— Nie, nie jestem śpiący — odparł Ałmaz.

— Znakomicie — ucieszył się puszkinista. — Wspominał pan mimochodem o swoich kontaktach z dekabrystami. Jak do nich doszło?

Ostatnią rzeczą, którą Helena usłyszała przed zaśnięciem, był przytłumiony głos Ałmaza:

— Z Küchelbeckerem zetknąłem się zupełnie przypadkowo...